

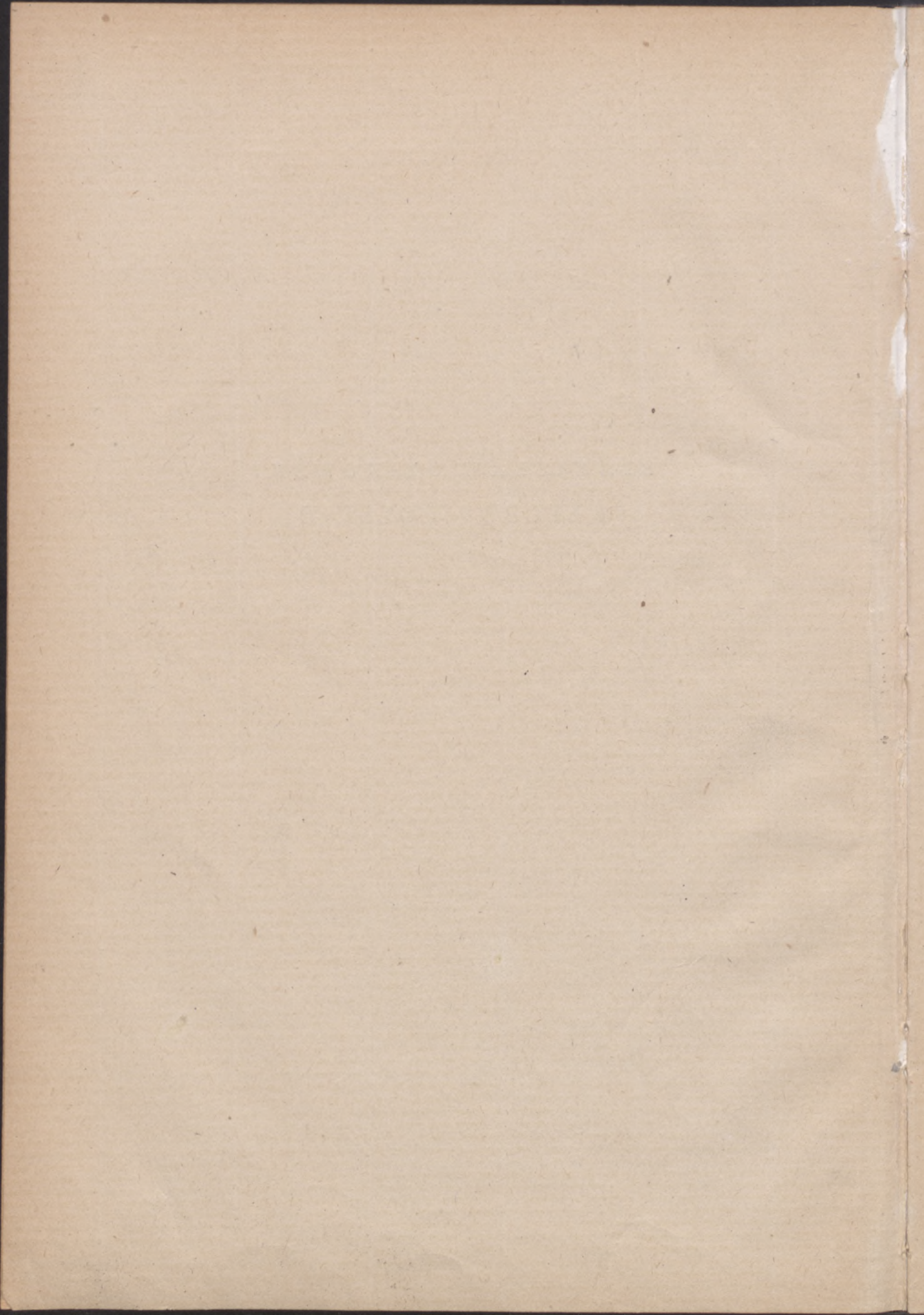
Stanisław Dzikowski

KLECHDY POLSKIE



9

STANISŁAW DZIKOWSKI
KLECHDY POLSKIE



K L E C H D Y
P O L S K I E

PODANIA, LEGENDY, BAŚNIE, BAJKI, OPOWIEŚCI I FA-
CECJE NA PODSTAWIE MATERIAŁÓW LUDOWYCH
OPRACOWAŁ, WSTĘPEM, PRZYPISAMI I POSŁOWIEM
OPATRZYŁ

STANISŁAW DZIKOWSKI

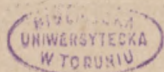
SERIA PIERWSZA

W A R S Z A W A 1948

WYDAWNICTWO JÓZEFA KUBICKIEGO

Okladka, ilustracje i zdobniki
EDMUNDA BARTŁOMIEJCZYKA

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE



9.15.40/43

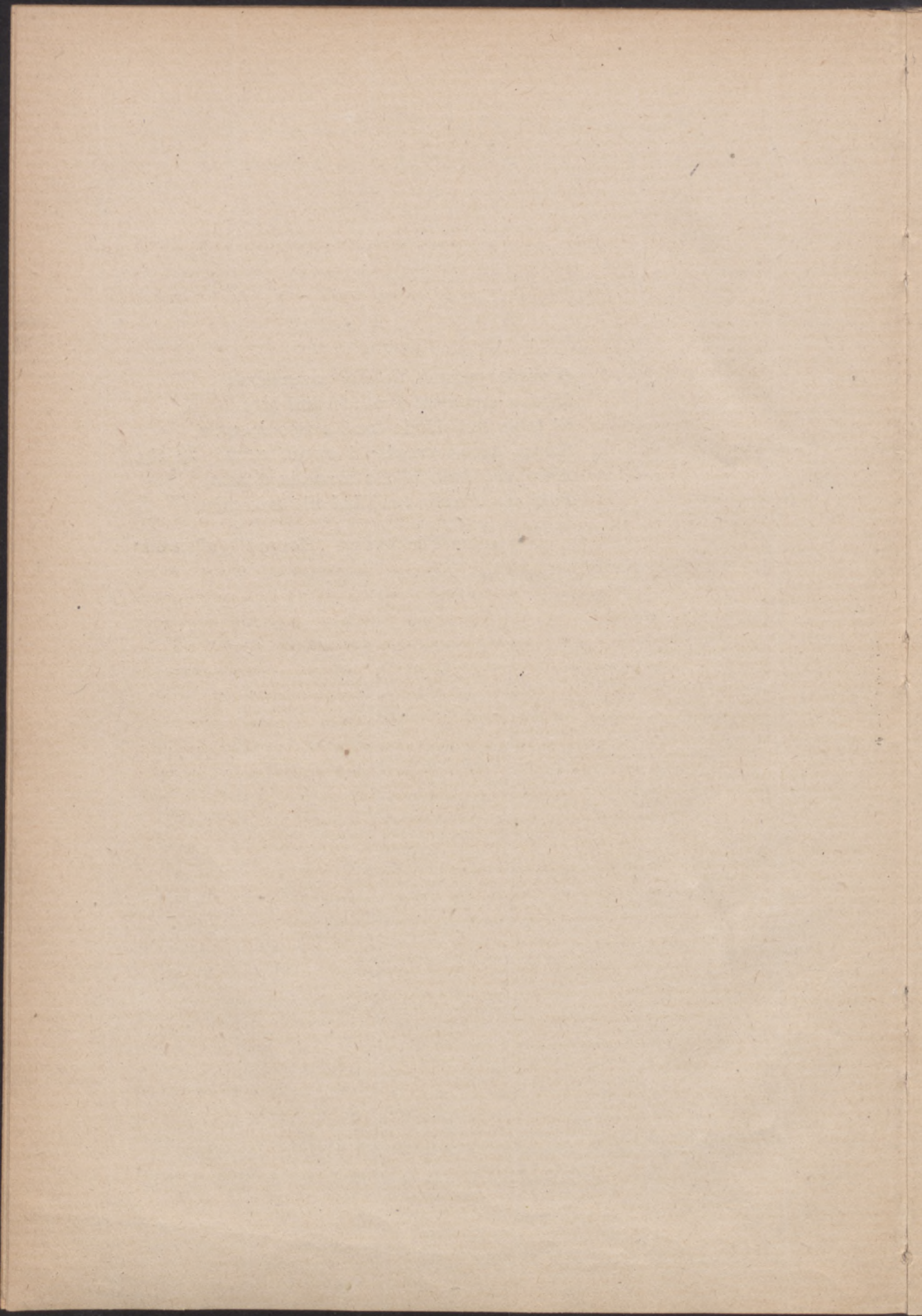
B-35868

Zakład Salezjański — Dział Grafiki — Warszawa, ul. ks. Siemca 6.

*O wieści gminna, ty arko przymierza
Między dawnymi i młodszymi laty,
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty.
Arko, tyś żadnym nie złamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy.*

Adam Mickiewicz: „Konrad Wallenrod“

C O R C E M O J E J W A N D Z I E



W S T Ę P

Tak jak wszystkie narody Polska posiada właściwy sobie zasób ludowych klechd, podań, legend, baśni, bajek, powieści i facecji, które w chodzą w skład ogólnej twórczości ludu i stanowią normalny dobytek narodowy. Są to jakby podziemne złoża bogactwa naturalnego, które od czasu do czasu bywają wykorzystywane z wielkim natężeniem, to znowu porzucone i zaniebane wydają się nikomu niepotrzebne. Pokrywa je wtedy grubą warstwą pyłu zapomnienia, przytłacza ciężar obojętności, aż wreszcie artysta buntujący się przeciwko skostniałym formom przeżytego okresu sięga znowu do niewyczerpanego bogactwa prymitywu. Wówczas następuje cud zmartwychwstania. Odstania się całun pozornie śmiertelny i okazuje się, że toczyło się tam w ukryciu życie tajemnicze, związane nieraz z najstarszymi przejawami ludzkiego typu. To, co przedstawiciele epoki chylącej się ku upadkowi (np. klasycy w walce z romantykami) określają jako pomysły dziwaczne, bezwartościowe i poniżające prawdziwą sztukę, staje się potężnym bodźcem rozwoju, w twórczym napięciu rozsadza formy skostniałe i niwecząc je niemal zakwita niby cudowny, baśniowy kwiat. Ta zdolność zapładniania się nowej sztuki przez wchłonięcie prymitywu ludowego jest zjawiskiem znanym we wszystkich dziedzinach literatury, plastyki i muzyki. W niektórych okresach schyłkowych zastępy artystów poszukujących nowej treści i nowej formy sięgają do pierwotnej kultury własnego ludu albo też odnajdują właściwe podniety w zetknięciu z tworzywem szczepów najbardziej prymitywnych, jakichś mieszkańców wysp egzotycznych i to tym owocniej, skoro cywilizacja zwycięska pochłania i niweczy dawną kulturę ludową. Znika ona coraz szybciej i traci bezpowrotnie podstawy swego bytu. Być może, iż w niedługim czasie przemiany społeczne na wsi doprowadzą starodawny prymityw do zupełnej ruiny. We wszystkich środowiskach stanie się on niebawem jedynie okazem muzealnym lub przedmiotem uciążliwych szperań po zapomnianych ksiązkach.

Na szczęście nieustrudzeni zbieracze materiałów etnograficznych ocalili od klęski zapomnienia znaczne bogactwo tych zasobów, które dzisiaj wydają się wstydliwym przeżytkiem nawet przedstawicielom tego środowiska, pośród którego rodziły się niegdyś i rozwijały. Dziś trudno sobie wyobrazić, aby, dajmy na to, prace najbardziej

wytrwałego zbieracza w rodzaju Kolberga lub Udzieli mogły przynieść poważniejsze rezultaty. Wędrowiec, który by krążył od wsi do wsi, zdołałby w najlepszym razie zgromadzić okruchy i ułamki niezbyt ciekawych tekstów gwarowych mało już komu przydatnych. *) Zagadnienia nowoczesnej wsi polskiej są zupełnie odmienne od tych, które istniały jeszcze kilkadziesiąt lat temu. Wystarczy przeczytać choćby takie pamiętniki Słomki, aby się przekonać, że na wsi małopolskiej już przed trzydziestu laty znikalo bezpowrotnie to, co przejmowało niegdyś do głębi żarliwych poszukiwaczy skarbów etnograficznych. Jeszcze jaskrawiej, uwidoczniają się te przemiany przy lekturze „Pamiętników chłopskich“. Powieściopisarze ludowi ostatniej doby z większym i mniejszym powodzeniem wnikają przede wszystkim w społeczne zagadnienia wsi polskiej; żadnemu z nich nie przyjdzie do głowy poetyzować to, co już poważnie istnieć przestało.

„Oblicze kulturalne wsi — pisze Jan St. Bystroń w swojej doskonałej książce „Kultura ludowa“ — ulega szybkiej zmianie; zaczyna się niwelizacja kulturalna i urbanizacja, częściowo nawet i kosmopolityzacja. Dawne treści tradycyjne w jakimkolwiek zakresie tracą swą popularność: coraz mniej opowiada się baśni, coraz rzadziej śpiewa się dawne pieśni; zwyczaje i obrzędy stają się coraz częściej jedynie zabawą, do której nie przywiązuje się znaczenia; ustępują dawne sposoby techniczne, ginie strój, tak, że w niektórych okolicach nawet pamięć zaginęła o tym, jak się dawniej ubierano.“

Mimo największego zamilowania do prymitywnej kultury ludowej, trzeba sobie powiedzieć, że proces jej zanikania jest objawem naturalnym, nieuniknionym i ściśle związanym z postępem na wsi. Sentymentalne skargi z powodu zjawisk, których odwrócić nie podobna, są kłamliwą, niczym nieusprawiedliwioną frazeologią. Wszystkie próby ocalenia prymitywu ludowego, próby demagogiczne, przeprowadzane przez fałszywych proroków miejskich wytworzyły często atmosferę pełną sztucznej nietrwałości, która pod naporem rzeczywistości rozkłada się i ztraca.

Z drugiej jednak strony nie mamy powodu do lekceważenia i unicestwiania tego, co w zakresie kultury ludowej zostało zgromadzone przez pokolenia poprzednie. I to dla wielu powodów. Sztuka polska znajdować tu będzie zawsze wartościową podniechęć nawet wówczas, kiedy prymityw ludowy zniknie zupełnie z życia bezpośredniego.

*) Tego rodzaju zatracanie się znajdujemy np. w „Tekstach gwarowych z Polskiego Śląska“ Stanisława Bąka, Kraków 1939.

Etnografia, a zwłaszcza etnologia, ma przed sobą olbrzymie zadanie parania się materiałem, który został zebrany najczęściej dość chaotycznie, nieraz bez odpowiedniego przygotowania naukowego.

W dziełach wielu wybitnych uczonych polskich wylania się dopiero problematyka tej olbrzymiej, jakby dotychczas bezpańskiej dziedziny. Odbywa się zwolna porządkowanie i systematyzowanie materiałów bezładnych, dokonywuje się subtelna analiza na rozmaitych pograniczach wiedzy i sztuki, rozszerzają się coraz bardziej horyzonty naukowe, wzrasta trzeźwa świadomość naszych właściwości narodowych, naszych zalet i braków.

Jest to dziedzictwo rozległe, w którym właściwą gospodarckę musi przeprowadzić teraz dopiero wielu specjalistów: zarówno etnograf i etnolog, jak i historyk literatury, sztuki, obyczajów, jak filolog, socjolog, językoznawca, itd. Jest to wreszcie dobytek ogólny, który w poszczególnych dziedzinach domaga się jak najszerszego upowszechnienia, co jest właściwym zadaniem tego właśnie zbioru „Klehd polskich“.

Stosowne gromadzenie materiałów ludoznawczych trwało w Polsce od pierwszego wystąpienia Kolberga (r. 1857) aż do ogłoszenia tekstów gwarowych przez Lorentza i Nitscha (r. 1929). A więc z górą lat siedemdziesiąt najgorliwszych w tym kierunku wysiłków. To, czegośmy mogli i umieli dokonać, zostało dokonane. To, cośmy zaniedbali, nie może być już naprawione. W przyszłości możemy jedynie spodziewać się udostępnienia niewyzyskanych jeszcze materiałów, które ukrywają się w archiwach i zbiorach instytucji naukowych lub znajdują się w posiadaniu prywatnym. Trzeba również liczyć się z tym, że straszliwa zawierucha wojenna dokonała w tej dziedzinie niepowetowanych spustoszeń.

! Kiedy zacząłem zajmować się klehdami polskimi, od razu niemal uświadomiłem sobie, że jesteśmy jednym z tych nielicznych narodów, które nie posiadają dotychczas właściwego opracowania tego dobytku. Zbiory Wójcickiego i Glińskiego, pomijając ich nikle uzdolnienia literackie, nie dokonały właściwego zadania choćby z tego powodu, że za życia tych pisarzy nie istniały jeszcze tak bogate materiały ludoznawcze, którymi dziś każdy może do woli rozporządzać.

Podniecony tym brakiem jaskrawym zabrałem się do pracy, która trwała wiele lat, wymagała badań bardzo rozległych i zgromadzenia specjalnej biblioteki. Pierwszą serię klehd wraz posłowiem i przypisami ukończyłem dopiero podczas lat okupacyjnych. Ta praca była niejednokrotnie błogosławionym narkotykiem, który pozwo-

lil zapominać o wszystkich straszliwych przeżyciach osobistych i narodowych. Była również powinnością duchową, cichym zuchwalstwem w czasach prześladowania biologicznego. Staralem się dokonać podjętego zadania z jak największą rzetelnością. Być może, iż przerasta ono moje siły, zwłaszcza, że w poszczególnych wypadkach było niezmiernie różnorodne i wymagało zarówno wnikliwości naukowej jak i wrażliwości artystycznej. Niejedna z tych opowieści to całe zagadnienie związane z obszerną literaturą naukową własną i obcą. Nie wszystko mogłem wyzyskać, do wielu materiałów w warunkach wojennych nie podobna było dotrzeć. W każdym razie nie żałowałem trudu zbierackiego i wysiłku umysłowego, aby oddać rzeszom czytelniczym pierwszy pełny zbiór klechd polskich bez przykrawania go do poziomu dzieciennego czy młodzieżowego. Stąd w niektórych opowieściach rzadko u nas spotykana rubaszność i wprowadzenie motywów erotycznych. Pragnąłem, aby ten zbiór przeze mnie opracowany nie został zubożony przez naginanie go do celów pedagogicznych lub fałszywie pojętej popularyzacji.

Jestem niezmiernie zadowolony, że „Klechdy polskie“ zjawiają się w takiej, a nie w innej postaci, co nie wyklucza ich późniejszego przystosowania, choćby do użytku szkolnego. Byłbym również bardzo rad, gdyby moja praca pobudziła innych pisarzy w tym samym kierunku. Pomimo wszelkich wysiłków obiektywizmu opracowania tego rodzaju mają zawsze do pewnego stopnia charakter indywidualny. Kto inny będzie może bardziej wrażliwy na motywy, które do mnie nie tak dosadnie przemówiły. Kto inny opracuje bardziej interesująco niejedną klechdę, która w moim zbiorze wypadła zbyt niedokrwiście. Obumarła kraina polskiej baśni ukrywa jeszcze wiele bogactw niewyzyskanych. Jeśli uda mi się dokoła twórczości ludowej wytworzyć atmosferę właściwego rozciekawienia, jeśli uda mi się w pewnej mierze zniweczyć ten uraz niższości, który omotał polską kulturę ludową, wówczas zadanie moje zostanie spełnione.

Nakoniec pragnę wyrazić wielką wdzięczność prof. Julianowi Krzyżanowskiemu, którego troskliwa opieka i zawsze wartościowe wskazówki przyczyniły się w znacznym stopniu do pogłębienia całej mojej pracy.

Świetne ilustracje prof. Edmunda Bartłomiejszyka sprawiły, że „Klechdy polskie“ ukazują się w pięknej szacie artystycznej.

Warszawa w lutym 1947 r.



Z ŻOŁNIERZA PAN

Był w jednej wsi karczmarz tak bogaty, że swoich dukatów nawet zrachować nie umiał. Jednego tylko miał syna, Szymona, ale ten wyrósł na wielkiego nieponia. Hardy był, niespokojny i chociaż jeszcze nosa poza swoją wieś nie wytknął, dziwy snuły się po jego głowie i wciąż mu szeroki świat pachniał. Zawsze wierzył, że to dzisiejsze marne życie odmieni się, a on wielkim panem, a może królem zostanie. Tymczasem hulał z różnymi panami i oficerami, którzy nieraz zajeżdżali do ojcowskiej karczmy.

Szymon od ojca często porządne ciągi obrywał, ale to nic nie pomagało. Nareszcie stary karczmarz poradził się tych wojskowych, coby z takim pędziwiatrem zrobić? Oni zaś odpowiedzieli, że najlepiej oddać go na służbę do wojska. I tak się stało.

Jednego dnia podpoili go, namówili, choć namawiać wiele nie było trzeba, kapelusz gwardjacki na głowę wcisnęli i wzięli jak swego.

Dali mu tam przy wojsku mundur, karabin i płaszcz, ale choć długi czas przeszedł, nie mógł się dosłużyć żadnego wyższego stopnia. Doprosił się wreszcie, że go zrobili dobozsem. Ale cóż, kiedy tego bicia pałkami za dużo było. Życie przy tym prowadził ladajakie. Dostał

się w kompanię samych drapichrustów, paliwodów i szulerów. Włóczył się z nimi po różnych szynkowniach i zgrajach, gdzie, jak to wówczas w modzie było, szukali zwady z królewskimi drabantami. I choć to były chłopcy na schwał, przecinali im pyski i odwalali uszy. Gwardiacy sprawni do bitki zawsze się gracko spisywali, a potem zaczynała się hulanka. Wieszali się przy nich bez ustanku różne latawice i wycieruchy. Z nimi to przepijali pieniądze do ostatniego grosika, a kiedy pieniędzy nie stało, pili na urodę.

Ale skoro się wszyscy wysupłali do ostatniego i żadne sztuki już się nie udawały, nikt im nawet jednego kieliszka gorzałki nie chciał dać na wiarę.

— Kredyt umarł — mówili szynkarze — borg nie żyje!

Dostał się wtedy Szymek do jednego starego inwalidy na kwartę.

— U ojca — żalił się przed nim — było przynajmniej co jeść, a tutaj człowiek wyschnie na szczapę i nawet nie będzie miał siły do ruszania pałkami.

A inwalida na to:

— Kiedy ty masz takiego bogatego ojca, to napisz do niego, żeś został kapralem. Niech cię wspomóż przy takiej dobrej okazji i niech ci przyśle pieniędzy.

Stary karczmarz przeczytał list i rzekł do żony:

— Widzisz kochanie, nawet taki pędziwiatr może wyjść na ludzi...

Posłał mu dużo talarów. Szymkowi te pieniądze nie starczyły nawet na dwa miesiące. Pił z inwalidą i ze swoimi koleżkami, a jak się talary skończyły, napisał do ojca, że znowu awansował i że trzeba się pokazać przed starszyzną. I tak wciąż słał nowe listy, a stary nie skąpił. Brząkał wciąż Szymek dukatami, a talarami to już siał po prostu.

Trwały te dzikie hulanki tak długo, aż Szymek generałem w listach został, choć naprawdę zawsze po staremu na bębnie tarabanił.

Karczmarz ucieszony ostatnią nowiną postanowił wybrać się w daleką podróż, bo kiedy syn został generałem, godzien jest, żeby go ojciec odwiedził.

Matka też chciała jechać, bo może to wszystko, co Szymek pisze nieprawda, a on tylko dobro ojcowskie marnuje.

Kupili sobie piękny powóz, zaprzęgli cztery konie i pojechali do miasta. Kiedy tam przybyli, trafili właśnie na wielką paradę wojskową, co się na głównym odbywała placu. Przechodziły stamtąd uli-

cami regimenty piesze i konne, dobosze bili w bębny, kapele grały huczno marsza, a całe wojsko przeciągało równym krokiem. Jedni zaciągali warty, drudzy wracali do koszar. W całym mieście słychać było nieustające strzały na wiwat.

Stary karczmarz nie mógł dostrzec syna w tej ciżbie strojnej i zbrojnej. Zajechał wreszcie do jednej gospody i począł się wypytywać, gdzieby mógł znaleźć generała takiego a takiego nazwiska.

— Takiego generała — powiedzieli mu ludzie — nie ma w naszym mieście, jest tego samego imienia i nazwiska dobosz - pijak, którego w nocy najłatwiej znaleźć w rynsztoku.

Słuchał tej rozmowy inwalida, u którego Szymek stał na kwaterze i przyglądał się dobrze co się dalej działo.

Kiedy stary karczmarz pojął nareszcie całą prawdę, strasznym zapłonął gniewem. Poszedł do starszych oficerów i zażądał, żeby mu syna oddali. W bór go za miasto wywiezie i tam okrutną śmiercią pokarze. Nikt się temu nie śmiał sprzeciwić, bo takie było ojcowskie prawo. Na próżno matka zalewała się łzami i prosiła o życie dziecka. Stary karczmarz chwycił Szymka pijanego do nieprzytomności i jak wór bezwładny z tyłu do powozu przywiązał.

Inwalidę trapiły wyrzuty sumienia. On to przecież z Szymkiem po całych nocach hulał, on go do cyganienia ojca w listach namawiał. On teraz powinien swojego kamrata z ciężkiej niedoli wybawić.

Biegł tedy bez tchu z wyostrzonym pałaszem i kiedy powóz zaczął się chybotać na wyboistej drodze, doskoczył i przeciął powrozy, którymi skrępowane były ręce i nogi Szymka. Pociągnął go za drogę w najgłębszą gęstwinę i tu mu dopiero opowiedział o tym, co się stało.

— Idź teraz przed siebie, gdzie cię oczy poniosą — radził — bo ojciec ci życia nie daruje.

Inwalida wrócił do miasta. Szymek sam został w lesie. Zaczęło świtać, powietrze było czyste i rześkie. Szymek wrócił na drogę i patrząc na nią pomyślał, że teraz jest przed nim znowu ten daleki, biały świat, który chciał kiedyś zdobyć.

Wreszcie śmiało ruszył naprzód, aż doszedł do pierwszego drogowskazu i tu skręcił na prawo rozchodząc się ze śladami ojcowskiej koleiny.

Długo bardzo wędrował, przebywał w wielkich miastach, chodził po wsiach, zaglądał do rozmaitych dworów i bogatych panów. Niektórzy chętnie go przyjmowali i nieraz groszem sypnęli, bo Szymek umiał teraz pięknie grać na piszczałce. A kiedy tak chodził i chodził

po świecie, przyszedł raz do takiej miejscowości, gdzie stały dwa wielkie zamki, jeden w górze, drugi na dole. Dziwne mu się wydało, że ten w dole zapłonął pod wieczór we wszystkich oknach wesołym światłem, a ten w górze pozostał ciemny, nieprzeniknionym mrokiem zasnuty. Pytał się więc ludzi miejscowych: kto tam w tych zamkach mieszka?

Oni zaś opowiadali mu, że w tym zamku na dole mieszka bardzo bogaty książę z jedną tylko córką. Nadobna ona i śliczna, jak jabłonka w sadeczku rozkwitła, gładziuchna, jakby się każdego rana rosą myła. Ale choć taka urodziwa i bogata, wciąż jest smutna, łzami gorzkimi się zalewa i na swój los utyskuje, a to właśnie przez ten drugi zamek, który jest zaklęty. Tam przeszkadza po śmierci dziad, któremu się zmarło kilkanaście lat temu. Nie było nad niego większego łupiskóry, ciemięcy, pijaka, rozpustnika i kartolupy. Trzeszczał za jego czasów chłopski łeb, bat świstał po grzbietach i nędza rozsiadła się po wszystkich chałupach. Dużo majątku zostawił, ale więcej jeszcze zgałganił z takimi, jak on farmazonami. Widać nie ma dla jego grzesznej duszy miejsca ani w czyścju, ani w piekle nawet, bo się od śmierci swojej po tym zaklętym zamku włóczy, jak upiór. A powiedziane jest, że księżniczka nie może prędzej wyjść za mąż, aż się znajdzie taki śmiałek, który wybawi umarłego i zaklęty zamek wyswobodzi. Rozgłosił już o tym książę po całym świecie i nie mało się tu rycerstwa zjechało ze wszystkich stron, bo trudno było znaleźć tak piękną i bogatą księżniczkę. Jeden po drugim szedł tam na górę po zachodzie słońca, ale jeszcze żaden nie wrócił, aż i śmiałków nie stało.

Plącze więc biedna, bo lata mijają, płyną jak woda, a młodość pomału ginie...

Kiedy Szymek tego wszystkiego wysłuchał, zaraz mu przyszło na myśl, że nikt inny tylko on zamek zaklęty wybawi, a potem piękną księżniczkę pojmie za żonę.

Zaraz na drugi dzień poszedł pod ten niższy zamek, usiadł sobie na trawniku, wyjął piszczałkę z kieszeni i zaczął grać tak pięknie i tak wesoło, że aż książę z córką przyszedł do okna. Księżniczce podobalo się bardzo Szymkowe granie i jego uroda. Prosiła ojca, żeby go kazał zawołać do zamku. Mówiła nawet, że najlepiej by było, żeby u nich na zawsze został i przygrywał im w smutnych chwilach. Książę był bardzo dobrym człowiekiem, księżniczkę z duszy kochał, więc się na wszystko zgodził. Sama księżniczka wyszła przed zamek i prosiła Szymka, aby ich muzykantem został. On zaś, kiedy śliczną

zobaczył panienkę, na wszystko przystał, bo mu odrazu wciśła się w serce.

Kiedy się z nim w rozmowę wdali, dziwili się, że jest taki rozgarnięty. Przez cały dzień przyjmowali go, jadła dobrego i napitku nie żałując. Opowiadali mu także oboje o tym, o czym się już od ludzi dowiedział. Szymek przyznał się śmiało, że ma zamiar z zamku strachy wypłoszyć i w ten sposób zdobyć rękę księżniczki. Księżę mu jednak odradzał, bo przecież stamtąd nikt jeszcze nie wrócił, a szkoda by było takiego łebskiego chłopaka. Księżniczka podczas tej rozmowy ani słowa nie rzekła, tylko jagody się jej paliły i oczy dziwnie świeciły. Widać było, że się o Szymka boi, ale i słodka nadzieja zajaśniała w strapionej główce. Tymbardziej się młodzik zawziął. Widział księżę, że żadnej rady na to nie ma, więc kiedy już wieczór nadchodził, kazał Szymka odwieźć do zakłętego zamku karetą i czterema końmi. Kiedy tam już przyjechał, śmiało wyskoczył i przez ciemny przedsionek dostał się do pierwszej komnaty. Zapalił światło i zobaczył wielką salę prawie pustą. Pięknie rzeźbioną powalę podtrzymywały marmurowe słupy. Na ścianach błyszczwały wielkie lustro w złotych ramach, dokoła wisiały czerniałe obrazy. Pełno było jakichś figur i drogich matczi. Za dużymi oknami rozpościerał się ogród zamkowy, a przez gęstwinę drzew migotały gwiazdy.

Było cicho, cichutko, czasami tylko lekki wiatr zaszumiał albo przeleciał ptak nocny trącając gałęzie skrzydłami. Szymek nie dumiał wiele. Przyniósł sobie stół i krzesło, potem poszukał zegara i naciągnął go, żeby wiedzieć która godzina. Usiadł wreszcie, wyjął książkę i czytał, a bać się jakoś wcale nie bał.

Znowu zrobiło się cicho, jak makiem siał. Zegar wybił jedenastą a potem pół do dwunastej.

— Teraz już chyba przyjdzie — pomyślał Szymek — czas na niego.

Nareszcie szczerknęło gdzieś coś daleko, jakby żelazem o żelazo uderzył, raz po raz, coraz bliżej — potem zaszeleściły ciche kroki. Zadygotało serce w piersiach Szymka, ale nic, siedzi dalej, nie rusza się wcale i czyta sobie.

Rozwarły się drzwi i stanęła w nich zgarbiona postać starego człowieka z pękiem kluczy w ręku. Spojrzał Szymek na niego i widzi, że on całkiem nagi i całkiem czarny od stóp do głów. Tylko siwe wąsy stroszyły się i oczy płonęły ogniem piekielnym. Szymek wcale na niego nie zważał, tylko czytał i czytał.

Czarny zbliżył się do niego, przyjrzał mu się ciekawie i zapytał chrapliwym, złym głosem:

— Któż ci pozwolił zasiąść w moim zamku?

— Nikt mi nie pozwolił — odparł Szymek — widziałem, że stoi pusty, więc przyszedłem zanocować.

— A nie boisz się mnie? Wiesz chyba ilu już ludzi zginęło z mojej ręki!

— Ja tam nie taki lękliwy! Chłopski syn jestem i dlatego zdaje mi się, Czarny panie, żeście chyba za życia straszniejsi byli niż po śmierci.

— Bardzoś mądry, chłopski synu, ale czy dalej taki będziesz? Ano zobaczmy!

— Masz tu klucze — zawołał — otwieraj mi drugie drzwi!

Szymek ani drgnął i spokojnie odpowiedział Czarnemu:

— Mogę za tobą pojąć, ale nie będę ci służył. Tyś pan, otwórz sobie sam!

Czarny nic na to nie odpowiedział, tylko zakręcił w zamku drugich drzwi, otworzył je i kiedy przestąpił próg drugiego pokoju, zbieła mu od razu czubek głowy.

Szymek widział to i bardzo się ucieszył. To samo powtórzyło się przy trzecich drzwiach. Czarny podał klucze Szymkowi i kazał mu otwierać, ale on odpowiadał:

— Tyś pan, otwórz sobie sam!

Czarny odemknął drzwi od trzeciego pokoju i wtedy zbieła mu cała głowa.

Szymek dobrze na to uważał, ale nic nie mówił. Otworzyły się drzwi czwarte, piąte, szóste i... dwunaste. Czarny co tylko które drzwi otworzył i przeszedł próg, zbieła coraz bardziej. Przy siódmych drzwiach był biały po sam pas, a w dwunastym pokoju czarność zupełnie z niego zesła i stał się do ludzkiego stworzenia podobny.

Kiedy otworzyli drzwi do dwunastego pokoju, straszliwy stamtąd uderzył zaduch. Szymek o mało co nie padł na ziemię, a skoro już przyszedł do siebie, rozejrzał się i zobaczył pełno trupów. Biały zaś uśmiechnął się, ukazał twarz wesołą i przemówił spokojnym głosem:

— Przypatrz się: tylu ludzi zginęło dlatego, że nie umieli mnie wybawić. Widać przeznaczone było, aby tego dokonał syn chłopski. Tyś jeden wiedział co masz mówić, co masz robić. Tyś mnie i ten zamek wybawił. Nie wiem czy pokuta moja skończona? Może mnie jeszcze na tamtym świecie srogie męki czekają, ale przynajmniej

z ziemi odejdę i w tym zamczysku przeszkadzać nie będę. Weź teraz ten topór, którym zabijałem tych tutaj ludzi i zetnij moją głowę!

Szymek nie chciał tego uczynić i jak mógł, tak się wymawiał, ale Biały pan rzekł:

— Jeśli ty mi głowy nie zetniesz, na nic wybawienie się nie przyda, a zamiast mojej spadnie twoja głowa.

Szymek nie miał ochoty zostać bez głowy, chwycił topór i od jednego zamachu ściął pański łeb. Wtedy całe ciało pokutnika w proch się rozsypało, tumanem na miejscu wszystko się zakręciło i jakiś ptak stamtąd wyleciał, co się przez powalę zamku przebił. To była dusza wybawiona tego niegdyś Czarnego pana.

Po tym wszystkim Szymek ułożył się na spoczynek i obudził się dopiero rankiem. Właśnie zaturkotała na zajeździe kareta książęca. Szymek wybiegł do nich. Książę z księżniczką przestraszyli się mocno, bo nie wiedzieli czy patrzą na żywego człowieka czy też na jego pośmiertne widmo, ale on zawołał wesoło:

— I czegoście się tak przejękli? Pan Bóg mi dopomógł, żem zamek wybawił, a jeśli nie wierzycie, to chodźcie i sami zobaczycie...

Książę i księżniczka obejrzeni wszystko. Bardzo byli zadowoleni, że się ta nieszczęsna pokuta skończyła i wspaniały zamek znowu się dostał w ich ręce. Księżniczka raz po raz spoglądała na Szymka strasznie z niego rada, że tego dokonał, czego najślawniejsi rycerze nie potrafili.

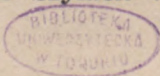
Potem kazali pogrzebać wszystkich, których Czarny pan pozabijał. Pokoje miała służba wyczyścić i wykadzić, bo tu się właśnie miało odbyć wesele księżniczki z Szymkiem. Książę tak był z niego zadowolony, że na nic już nie zważał i zaraz chciał za niego córkę wydawać, ale Szymek tak powiedział:

— Na wesele zawsze dość czasu będzie. Trzeba mi jeszcze przed tym odwiedzić rodziców i zobaczyć, czy oni żyją, bo przecież już sześć lat minęło od tego czasu, kiedym się rozstał z nimi.

Tak więc odbyły się tymczasem zaloty huczne i ludne, a zaraz po nich przygotowywało się wszystko dniem i nocą, bo miał Szymek wyjechać w drogę jako wielki pan.

Żegnali się z sobą serdecznie, ona na niego przy rozstaniu żałośnie spoglądała, a on jej do uszka miłe słówka prawił. Umówili się, że jeśli po kilku tygodniach znaku życia od niego nie będzie, wtedy księżniczka przyjedzie do tej wsi, gdzie rodzice Szymka mieszkają.

Na trzeci dzień wreszcie Szymek wyruszył z wielką gromadą służby i dworaków.



Piękna pogoda panowała, Szymkowi wesoło było na duszy, dobrze się też jechało.

Dopiero pod wieczór zobaczyli przed sobą ciemny bór i przez ten bór wypadła im droga. Z początku noc była widna, księżyc i gwiazdy świeciły, potem jednak czarne wylazły chmurzyska i deszcz lunął jak z cebra. Zrobiło się ciemno, choć oko wykół. Konie były już pomęczone, ludzie także zmarnowani, bo kawał drogi bez odpoczynku jechali. Prosilili więc Szymka dworacy, żeby gdzie zanocować. Ale jakże nocować, kiedy nigdzie ani wsi ani karczmy nie widać. Jechali więc dalej, a tu coraz większe biedy: wiatr świszczce, fala oczy zalewa, drogę trudno rozpoznać.

Wtem jeden z ludzi spostrzegł światełko migocące pomiędzy drzewami. Zwrócili się w tę stronę i dobili wreszcie do jakiegoś starego karczmyska. Pozsiadali z koni, wchodzą do sieni i patrzą, a tu stara baba gotuje wieczerzę na nalepie. Po chwili wyszedł do nich żyd i zaprasza ich do izby. Posłuchali go, ale uważali, że temu karczmarzowi jakoś brzydko z oczu patrzy.

Były dwie izby w tej karczmie, do jednej poszedł Szymek, w drugiej została jego służba, parobcy zaś pilnowali koni w stajni. Wszyscy byli tak w drodze utulani, że mało co jedli. Wnet zasnęło całe bractwo. Na to tylko żyd czekał, bo to była zbójcka karczma.

Wymknął się do lasu i przyszedł do kryjówki, gdzie siedziało dwunastu zbójców.

— Jest co nowego? — zapytali go.

— Ano jest, śpi u mnie ogromnie bogaty pan, pieniędzy i wszelkiego dobra ma jak lodu...

— Dużo ich? — zapytał starszy zbójca.

— Dużo, ale strasznie zmarnowani, śpią na oba uszy, można ich rżnąć jak baranów.

Zaraz się ci zbójcy uszykowali, cichutko do karczmy podeszli, jedni wpadli do stajni, drudzy do izby, gdzie spała służba. Szczęk broni, krzyki mordowanych i okrutne nawoływania zbójców zaraz obudziły Szymka. Zerwał się z łóżka i wołał na sługi, żeby mu podali pistolety — ale już było za późno. Starszy zbójca wpadł do drugiej izby i strzelił, a Szymek padł zakrwawiony, Zbójcy myśleli, że już nie żyje. Tymczasem Szymek widząc, że to nie przelewki, zataił się i ranny tylko udawał zabitego. Zdięli z niego całe ubranie i zostawili tak, jak go matka urodziła. Ludzi wszystkich wytracili, nie żywili nikogo ani z dworaków ani z parobków, a to, co tamci wieźli ze so-

ba, do cna zrabowali. Wzięli konie, wozy, skrzynie z pieniędzmi, drogimi klejnotami i pięknymi szatami.

Kiedy zbójcy wyszli z izby, Szymkowi udało się wykryć dziurę pod przyciesiami karczmy i tamtędy uciec do lasu. Biegł aż do śródwieczera, a kiedy się już drzewa przeredzać zaczęły, poznał, że szedł w dobrą stronę i był już niedaleko od karczmy ojcowskiej. Przez wieś nie chciał iść bez żadnego odzienia, wolał pod jakimś drzewem czekać aż do wieczora, a dopiero, kiedy zmroknie, pójść dalej. Tak sobie myślał, ale stało się inaczej. Po paru chwilach wyjechali z lasu chłopci z drzewem i zaraz zaczęli spoglądać w tę stronę, gdzie on stał. Zobaczyli nagiego człowieka, który ukrywał się, żeby go nie widzieli.

Kiedy podeszli blisko, zaraz go poznali i mówią:

— A cóż ty świszczypało robisz? O tobie jest we wsi gadka, żeś generałem został, a ty, jak widać, gorszyś chyba od dziada, co żebrze, bo przecież dziad by się wstydził po świecie bez portek i bez koszuli chodzić.

— Nie przycinajcie mi, gospodarze — odpowiedział Szymek — taki dziad ze mnie znowu nie jest, ale widzicie: zbójce mnie napadli i odarli ze wszystkiego, ledwom z życiem uciekł.

A chłopci na to:

— Ano, cóż z tobą robić? Trzeba cię jakoś oblec, bo gdybyś szedł nago przez wieś, to byś wszystkich ludzi przestraszył. A cóż dopiero twój ojciec by powiedział, który podobno strasznie jest na ciebie zawzięty...

Każdy dał mu co mógł, wsiedli na wóz i pojechali do wsi. Udało się Szymkowi, że w karczmie ojca nie było, a matczyisko, jak to matczyisko, ucieszyła się bardzo i splotała, skoro swojego kochanego synaczka zobaczyła. Ponieważ oboje bali się ojca, schował się Szymek na wszelki wypadek do piwnicy.

Kiedy stary karczmarz do domu wrócił, zaraz poznał, że coś się stało, bo karczmarka oczy ma czerwone i ciągle sobie pochlipuje.

— Czegóż ty płaczesz? — zapytał.

— Dowiedziałam się gdzie jest mój syn i tak mi go żal...

— Szkoda leż na takiego łotra, — zawołał stary — żebyś go dostał w swoje ręce, to bym go zaraz śmiercią ukarał, tak, jak wtedy chciałem zrobić... — widząc, że żona nic nie odpowiada, tylko wciąż lzy wylewa, spojrział na nią z podełba i zapytał: — Ale powiedz mi gdzie on jest?

— Przysięgnij mi — odpowiedziała — że mu życie darujesz, to ci powiem.

Poszła do piwnicy i wyprowadziło go, ale stary tak się na Szymka zajął, że nie chciał mu przebaczyć. Dał mu najgorsze ubranie i kazał paść kozy, swoje i ludzkie.

Szymek nie tracił fantazji, bo wiedział, że prędzej czy później księżniczka do niego przyjedzie. Wydostał gdzieś kawał skóry i zrobił sobie bęben. Na tym bębnie tarabanił, na piszczalce grał i uczył kozy mustry. Równał małe z małymi, duże z dużymi, z rogami osobno i bez rogów osobno. Maszerowały w rzędach, jak żołnierze i nauczyły się nawet klaniać. Zawsze jedną godzinę je pasł, a drugą mustrował. I tak dzień za dniem schodził.

Tymczasem księżniczka czekała przez sześć niedziel, a kiedy o Szymku słuch zaginął, wybrała się w drogę, niespokojna, że mu się coś złego pewno przytrafiło.

Jechała z wielką paradą we wspaniałej karecie w sześć cisawych koni pod szorami ze złota i srebra. Przed karetą waliła wielka liczba pacholków i dworzan, a dalej cały oddział regularnych żołnierzy i służba na wozach.

Cała ta ciżba wspaniała i groźna tą samą posuwała się drogą, co Szymek przed kilku tygodniami. I w tej samej karczmie stanęli na noc. Szczęśliwie się jednak złożyło, że zbójcy na łów poszli, a z nimi razem żyd-przechera. Tylko ta sama kobieta, która wtedy na nalepie wieczerę warzyła dla zbójców, gotowała ją i teraz.

A była to kobieta uczciwa, przez zbójców przymuszona do posługi. Kiedy zobaczyła księżniczkę, żal jej się zrobiło takiej ślicznej dziewczeczki i rzekła:

— Niech wielmożna panienska tutaj się nie zatrzymuje, tylko jedź dalej, bo to niedobre miejsce. Tu mieszka żyd - karczmarz, co ma znowę z dwunastu zbójcami. Ci zbójcy pozabijali dworaków i służbę jednego wielkiego pana, który tak, jak wielmożna panienska, jechał tędy przed niedawnym czasem.

Księżniczka zaczęła o wszystko wypytywać i dowiedziała się, że chociaż zbóje tego pana zabili, to jednak na drugi dzień ciała jego nie znaleźli. Być może ciężko ranny uciekł i żyje.

Księżniczka była chwałką dziewczyną i nie zlekła się ani dwunastu zbójców ani żyda - karczmarza. Kazała tylko wszystkim broń mieć w pogotowiu, nie spać wcale i czekać spokojnie aż tamci zaczną.



Wnet żyd wrócił do karczmy i bardzo się ucieszył na widok strojonej i bogatej gromady. Zdawało mu się, że znowu dobra trafiła się gratka. Odstąpił księżniczce dwie izby, a sam poleciał do lasu, do zbójckiej kryjówki.

— Jest co nowego? — spytali zbójcy.

— Ano jest, śpi u mnie bogata pani. Jeszcze więcej wiezie majątku, niż ten, któregośmy niedawno obłupili. Poczekaście aż dobrze zasną, a wtedy śmiało na nich uderzajcie!

O dwunastej godzinie rzucili się zbójcy na umówiony znak i wpadli do środka, ale tamci tylko na to czekali. Gruchnęły pistolety i samopały, połała się krew zbójcka, a księżniczka z własnych białych rączek najstarszego zbójca ustrzeliła. Wyginęli wszyscy razem z żydem - karczmarzem.

Kiedy księżniczka swego najmilszego chłopca pomściła, zabrała ze sobą gospodynię zbójców i jechała dalej. Na śródcieczek przybyła do wsi Szymkowej.

Zobaczył kozłarz, że wojsko idzie gościńcem, więc zaraz zaczął z kozami naprzeciwko nich maszerować z paradą. Wyglądało to wszystko bardzo wesoło. Te kozy, co miały rogi, ustrojone były wiankami, a te bez rogów nosiły na łbach wspaniałe bukiety. Szymek bębnił ostro i prowadził swoje wojsko w równych szeregach. Większe szły przodem, a mniejsze z tyłu zostały. Wszyscy ludzie powychodzili i poznali kozłarza, który kozy głodem morzył, ale je za to mustry nauczył. I wielka była we wsi uciecha.

A kiedy ta kozia komenda blisko już była wojska, poznała księżniczka, kto je prowadził. Szymek maszerował i bębnił, a potem zakomenderował. Kozy zaczęły się tak zabawnie kłaniać, że żołnierze o mało co z koni nie pospadali. Śmieli się wszyscy i witali ze sobą, a potem ciągnęli razem ku karczmie. Wojsko zostało na polu, Szymek poszedł kozy zawierać, a księżniczka prosiła w karczmie o nocleg.

Karczmarz, kiedy księżniczkę zobaczył, upadł jej do nóg, tak, że nosem ziemię zaorał, ale potem wymawiał się i tłumaczył, że nie przystoi, aby tak można pani w lichej chałupie nocować miała. Księżniczka jednak nie zważała na to gadanie i kazała przyrzędzić wieczerzę, kazała także, aby jej do stołu Szymek podawał, bo ona go zna dobrze z tych czasów, kiedy on u niej służył i zawsze porządnie się sprawował.

Karczmarz na syna wciąż zawzięty nieustannie na niego pomstował. Wołał, że to nicpoń zatracony, ziółko, latawiec, marnotraw-

ca. O wszystkich jego sprawkach opowiadał i radził księżniczce, że jeśli go na służbę przyjmie, niech kija nie żałuje.

Ale księżniczka odpowiedziała krótko i węzłowato:

— Rada go widzę!

Tymczasem Szymek zaczął jej podawać talerze i półmiski z jedzeniem. Najpierw mu zgrabnie szło, ale potem, jakby z figlów, przewrócił się przez źdźbło słomy na podłodze i zbił wszystko, co niósł. Księżniczka śmiała się, a ojciec krzyczał i krzyczał.

Na drugi dzień rano księżniczka rozkazała:

— Niech mi wody do mycia przyniesie ten, kto mi jedzenie podawał!

Szymek nagrzał wody i nanosił księżniczce, a ona zamknęła się z nim, kazała mu się rozebrać, dopiero go umyła i w piękne szaty ubrała. Sama także się jak od święta wystroiła.

Wyszli oboje do rodziców. Stary karczmarz chciał im obojgu do nóg paść, a księżniczka zapytała:

— Czy poznajecie waszego syna?

— Prawda, — odpowiedział karczmarz — że ten wielki pan do Szymka podobny, ale gdzieżby on był tym wielkim panem...

Kręcił stary głową, medytował, nie chciał wierzyć i ledwo wtedy uwierzył, kiedy go Szymek w rękę pocałował i zaczął przeproszać za wszystko, co złego zrobił...

Potem zabrali starych rodziców i pojechali daleko do tych dwóch zamków, z których jeden Szymek wybawił. Księżę przyjął ich z wielką uciechą. Niebawem odbyło się wesele Szymka i księżniczki. Trwało cały tydzień. Przyjechało wielu bogatych panów. Jadła i picia było po uszy. Hulali też wszyscy i śpiewali. Na dziedzińcu zaś księżę wyprawiał bal dla chłopów ze wszystkich swoich wsi. Kapela grała aż się rozlegało. Dawali tyle jeść i pić, że się dzisiaj na samo wspomnienie słodko w ustach robi.

Ale ojcowie Szymka nie chcieli zostać na zawsze w zamku. Woleli wrócić w swoje strony na stare śmiecie i czekać spokojnie, aż Chuda po nich przyjdzie...



KUR I WIATR

Powiadają, że jak tam hen, hen dawno wiatrowi syn pomarł, to przez siedem lat wiatr nie wiał. Świat wtedy cały pajęczyną zarósł, wody zatęchły, a ludziom i bydłom ciężko było oddychać.

I nikt wiatrowi nie mógł rozważyć, aż dopiero kur do niego zaszedł i mówi:

— Co ty się, bracie, tak frasujesz? Moich synków po sto na dzień leże i przepada, a jam wesół; — i wraz skoczył na płot i zapiał na całą gardziel: — Kuku rykuu!

Aż się wiatr roześmiał.

I wnet zatrzepotały listki na drzewach i krzaczach; kwiatki z radości zapachniały i znów po staremu wiało i wieje dotąd.



DIABEŁ NA SŁUŻBIE

Był raz biedny chłop, któremu się wcale nie wiodło ani w robocie, ani w chudobie. Z roku na rok podupadał na majątku i gospodarstwie, z roku na rok coraz był biedniejszy, choć się nie mało namudził i głową kręcił, jak mógł. Wiadomo mizerakowi zawsze wiatr w oczy wieje.

Aż mu i na to przyszło, że jeść nie zawsze było co i głód nieraz dobrze doskwierał, więc pusty brzuch paskiem zaciskał i tak się marnie na tym świecie poniewierał. Pomału się z biedą swoją pojednał i nawet mu do głowy nigdy nie przyszło, że się przecież zły los jakoś odmienić może. Wyprzedał się z całego dobytku, do ostatniego się grosza wysupłał, w stajni i oborze nie było widać ani jednego ogona, co lepszy grunt zabrali żydzi za długi, zostały tylko takie ugory; na których koziabroda i mrzyglód rosną, zostały chrapy ze stojącą wodą i karczowiska po wyrąbanym lesie.

Jednego roku na wiosnę, wziął się do karczowania tego ostatniego lepszego pola, co go miał dobry kawałek pod pańskim borem; myślał, żeby to jakoś oporzędzić, karpy wywalić, przeorać, a potem zasiać i mieć duży kawał dobrej roli, bo ziemia tam była sposobna, urodzajna. Ale wycięcisko wielkie było, karpy się mocno korzeniami trzymały, a chłop zmarnowany biedą nie miał dość krzepy na taką pracę.

Dhubanina to tylko była, nie robota. Któregoś dnia upiekł sobie w popiele placek, włożył go za pazuchę i poszedł. A kiedy przyszedł na swoje miejsce, zdjął sukmanę, schował placek do środka, a sam począł dziabać siekierą.

Tymczasem przyleciał taki zły z piekła, co się po świecie włóczy i patrzy tylko, żeby człowieka do grzechu przywieść. I chciał on tego biednego chłopca skusić, żeby zaklął, więc mu placek z sukmany porwał, uciekł z nim na kępę i począł zajadać.

Chłop porąbał parę godzin, poczem tak mu się jeść zachciało, że aż omdlał. Idzie więc do tego miejsca, gdzie leżała sukmana, zagląda, a tu placka wcale nie ma. Zadziwił się, zadumał i tak powiada:

— Mój Boże, mój Boże, biedny ja jestem biedny, ale muszą być jeszcze biedniejsi ode mnie, kiedy się na mój placek łaszczą...

Tymczasem diabeł, skoro zjadł placek, poleciał do piekła, bo już czas był ostatni na niego.

Zaszli się tam wszyscy czarci tak jak się schodzą pod wieczór ludzie robotni z pola.

Stanęli kołem przed najstarszym djabelem, a on się wypytywał, co każdy z nich robił na ziemi?

Jeden mówi:

— Z wiatrem gonilem po polach, łąkach, lasach i wsiach. A gdzie tylko przeleciałem, tam zostawały drzewa z korzeniami wydarte, dachy z chałup pozrywane, siano z kopic rozrzucone, a zboże zsiokane i zbite...

Drugi mówi:

— W starym zamczysku się skryłem i namówilem najpiękniejszą księżniczkę, aby po całym kraju ogłosiła, że tylko tego weźmie za męża, kto w onym zamku nockę przebędzie. I zjeżdżali się z całego świata królewicze, rycerscy panowie ze złotymi ostrogami i z miasta junacy i chłopski synowie. Kiedy północ wybiła, brałem się z nimi za bary i nie było jeszcze takiego, któremu bym łba nie urwał, nim kur zapieje...

Trzeci mówi:

— Straszylem ludzi w ciemną noc na rozstajnych drogach, kryłem się pod mostkiem dziurawym i w spróchniałej wierzbie. Wodziłem ich po manowcach, bezdrożach, debrach, mokradłach, oparczy-skach, gąszczach i urwiskach. Kto mnie krzyżem i modlitwą nie odegnał, tom go z wozem wywalił, drogę zmylił, w błocie utyłał, w pokrzywach i ostach poparzył i tak wodził aż do świtania.

Tak się jeden diabeł po drugim chwalił, aż przysła kolej na ostatniego. A to był najmarniejszy diabeł, z którego się wszyscy w piekło prześmiewali i kto nie bądź nim potyrał.

Pyta go więc najstarszy diabeł:

— A cóżeś ty zrobił?

— Nic — powiada on — nic nie zrobiłem. Chciałem skusić biednego chłopca, żeby zaklął... więc mu porwałem śniadanie i zjadłem.

Zaśmiali się wszyscy czarci, a najstarszy wypytuje jeszcze:

— A cóż na to ten chłop powiedział?

— Nic nie mówił, tylko westchnął sobie i rzekł: „Mój Boże, mój Boże, biedny, ja biedny, ale muszą być biedniejsi ode mnie, kiedy się na mój placek łaszczą“.

— Widzisz ciemnego zatracony, cóżeś najlepszego zrobił? Nie djabelska to sprawa chudziakowi na złość robić. Inna rzecz bogatemu sadła za skórę zalać, żeby zaklął siarczyście, ale cóż z tego wyjdzie, że się taki mizerak tylko użali. Przecie żeś świński ryju do cnoty go nie do grzechu przywiódł. Kiedyś taki głupi i kiedyś taką głupią rzecz zrobił, to pójdiesz teraz do tego biednego chłopca i będziesz u niego tak długo za parobka służyć, aż się dorobi wielkiego majątku.

Diabeł rad nie rad wyleciał z piekła, wziął na się ludzką postać, przychodzi do chłopca, który dalej pole karczował i powiada:

— A to gospodarzu pole karczujecie?

— Ano tak, mój panie, karczuję.

— A może byście — mówi diabeł — wzięli mnie do siebie na służbę?

— Jakże ja mogę kogo na służbę brać? Do garnka nie ma co włożyć, w mieszkaniu ani grosika, pocóż mi jeszcze kłopot z parobkiem!

— Już się o to nie bójcie, gospodarzu, jakoś to będzie. Jeść, jem niewiele, jak nie będzie więcej to i dwie łyżki kapusty wystarczą. Zapłaty żadnej nie chcę, a kiedy się obaj weźmiemy do roboty, to wszystko innym pójdzie porządkiem, bo zawsze cztery ręce, to nie dwie. Jeden to tylko dudli, a zawsze nic z tego nie wychodzi.

— No to — powiada chłop — kiedy tak chcesz, to karczuj, a ja każę ugotować śniadanie i zaraz ci tu przyniosę!

— Nie trzeba, gospodarzu, kiedy nie ma co, nie będę jadł, aż na wieczór. A wy też nie chodźcie nigdzie, tylko układnijcie się, odpocznijcie sobie, boście zmordowani. Ja teraz będę karczował, a skoro słoneczko zajdzie, pójdziemy do chałupy na wieczerzę.

Kiedy się chłop położył, diabeł zaraz zaczął karczować. I tak mu ogniście robota szła, że co tamten miał przez rok zrobić, to ten za jeden dzień odwalił. Do wieczora z całego lasu kopy tylko leżały, a ziemia już była przydatna pod pług.

Gdy się chłop obudził, patrzy dookoła i oczom wierzyć nie chce:
— O Bóg że mi ciebie chyba zesłał, kiedyś taki mocny parobek, toć ja bym tego wszystkiego i za dwa lata nie zrobił.

Diabeł się tylko roześmiał i mówi:

— No, no, przecież mówiłem wam, że we dwóch sporzej pójdzie. A teraz chodźcie na wieczerzę, bo i wam i mnie jeść się chce.

Przyszli do chałupy, wieczerza była tylko dla gospodarza, a dla drugiego nic się nie znalazło. Tego chłopą baba zaraz zaczęła się swarzyć:

— A ty dziadygo, sam nie masz co do gęby włożyć, a jeszcze parobka namówił. Cóż mu dasz jeść?

Parobek siadł sobie tymczasem w kąciку koło kotliny i odzywa się:

— Niech gospodyni nic nie gada, jutro pójde do miasta i nakupe wszystkiego, żebyśmy mieli jedzenia dosyć.

Dziwnie im się wydało, że ten parobek taki usłużny, ale nic już nie mówił, tylko układali się wszyscy spać.

Nazajutrz kiedy tylko słońce zeszło, wybiera się ten parobek w drogę i zaraz budzi gospodarza:

— Gospodarzu, wstańcie i dajcie mi jaki worek to ja pójde do miasta i przyniosę zboża, żebyśmy mieli co jeść. Wy się też zaraz bierzcie do roboty; weźcie pakuł, słomy i ognia i idźcie palić te gromady, cośmy wczoraj nakarczowali, bo i orać trzeba będzie duchem.

W mieście nie wiekował długo, minęły może dwie godziny, a już był z powrotem. Przyniósł wór zboża do chałupy, postawił i woła do gospodyni:

— Trzeba to zaraz w żarnach zemleć i ugotować nam kaszy, a ja pójde do gospodarza na pole.

Przychodzi tam i widzi, że gospodarz dopiero jedną kupę spalił, więc mówi:

— Ja już zboże przyniosłem, a wyście tak mało zrobili, ano weźmy się teraz oba.

Jak zaczęli karpy palić, zaraz inaczej poszło, krzątał się parobek, to i gospodarz raźniej się uwijał. Do południa spalili połowę. Gospodyni przyniosła im obiad. Podjedli sobie niegorzej, a diabeł mówi znowu:

— Gospodarzu, ogarnijcie te perzyska tak, żeby się wszystko do czysta spaliło, a ja pójde pożyczyć gdzie jakich chabetów, bo przecież trzeba coś do pługa założyć.

W mig przyprowadził parę koni.

Czarne były. długimi ogonami ziemię zmiatały, a ze ślepi ogni-
stych to im aż skry leciały. Założył je zaraz do pluga i jak zaczął
orać, to karpa nie karpa się wywalala, takie konie były mocne. Do
wieczora połowę pola zaołał. Kiedy zaś przyszli do chałupy, odzywa
się do nich:

— Siadajcie gospodarzu przy piecu, gospodyni niech wstawi we
wielki sagan wody, a ja wezmę to zboże i pójdę do młyna.

Chłop i baba robili już teraz wszystko tak, jak on chciał, nie
śmieli się sprzeciwić mu nawet na włos.

Nie trwało godziny, a już z mąką powrócił. Konie wyprzęgl, spę-
tał, puścił na paszę i poszedł na wieczerzę.

Kazał ugotować jada dosyć.

— Przez te dwa dni — mówił — tom się trochę zamorzył. Teraz
choćbym chciał coś większego na plecy dźwigać, mocy żadnej nie
mam, a gospodarz też weźmie lada kierzek i nie może go wcale unieść.
Robota z pustym brzuchem torby sieczki nie warta.

Baba nażniotła im, ugotowała i zjedli do syta. Po wieczerzy zaraz
zagonił ich do spania.

— Teraz się już kładźcie, bo trzeba rano wstać w czas.

Ledwo świtać zaczęło, zaraz budził chłopca.

— Wstawajcie gospodarzu, dzień wielki i skowronek śpiewa, pora
już brać się do roboty.

Tamtemu nie bardzo chciało się ruszać, ale parobek nie dawał
spokoju:

— Wyjrzyjcie no na te koniska, może one przez noc gdzieś daleko
zaszły.

Gospodarz podniósł się, patrzy i powiada:

— Toć widać je niedaleko...

— Weźcie bicza i przygnajcie mi je tu do woziska.

Rad nie rad wstał i poszedł z biczem, a tamten zaraz zaprzął.

— Teraz — powiada — pojedę po zboże do zasiewu na ten kawa-
łek, to my go jeszcze dziś oporzadzimy.

Nie trwało dwóch godzin, a on już ze zbożem do zasiewu na po-
le przyjeżdża. Przywiózł jarki, jęczmienia i prosa. Zaraz jarkę siać
zaczął na tym kawałku, który wczoraj wykarczowali, a gospodarz
zaprzął konia do wozu i włókł za nim. Tak im zeszło do południa.

Po obiedzie zaczęli palić te gromady, które jeszcze zostały, potem parobek wziął się do orki, gospodarz ogarniał węgle kosiorem. I tak im szło wszystko jak po maśle. Nie do wiary, ile jednego dnia zrobili, boć i zaorali wszystko i wszystko zasiali, na jednej połowie jarzę, na drugiej jęczmień i proso.

Wieczorem w chałupie gospodarz patrzy na swego parobka jak na obrazek i pyta:

— Mój chłopcze, a jakież ty masz imię?

— Jakie mam imię? Bartoszek!

— Mój Bartoszkule, a ciebie chyba Pan Bóg do mnie przysłał...

— Nikt mnie nie przysłał, mój gospodarzu, takem oto wędrował, nie miałem się gdzie podziać, widzę, że karczujecie, żeby się wam jakaś wyręka przydała, więc do was przysłałem...

Przez wiele dni jeszcze robota ostro szła. Mokre pola, chrapy takie i bagna pocięli wielkimi rowami i wszystka woda wwalila się do nich. To, co do tej pory ugiorem stało, zaorali, zawłoczyli, zasiali zbożem, zasadzili ziemniakami i kapustę.

O wszystkim Bartoszek myślał. Co tylko trzeba było, zawsze przywiózł, nie brakowało teraz jada ani omasty.

Aż jednego dnia mówi on do gospodarza:

— Jużemy wszystko zrobili, macie co jeść, gwałtu żadnego nie ma, bieda wam w oczy nie zajrzy. Ale to jeszcze wszystko mało. Pójdę ja gdzieś do dworu na robotę. Będzie jeszcze lepiej.

— Mój Bartoszkule rób jak chcesz, tociś ty mądrzejszy ode mnie.

Wziął konie i poszedł do jednego pana drzewo z lasu wozic. Z tym panem tak się ugodzili, że zwiezie mu sam środek od ziemi do góry, a swojemu gospodarzowi weźmie za tę robotę czubek. Kiedy pojechał do lasu, chwycił zaraz wielkie drzewo i wydarł je z koreniami. Dworscy parobcy, co dopiero nadjechali, zaczęli podkpiwać sobie z niego:

— Ty pół drzewa nie poradzisz, a całe chcesz zabrać?

On nie mówił nic, tylko gwizdnął sobie i włożył całą sosnę na wózek. Kiedy trzasnął batem, to konie leciały niby strzały. Droga, co była krzywa zrobiła mu się prosta. Przyjechał do takiego miejsca, które każdy z daleka omijał, bo tam była przepaścista bajora, a on nie pyta i jedzie prosto przed siebie.

Wszyscy ludzie patrzą na niego i śmieją się, że utknie tam razem z końmi i wozem, a on równo z wiatrem przeleciał i prędzej jechał niż inni choćby w dziesięć koni.

Przez kilka godzin trzydzieści wielkich sztuk zwiózł — panu same ośrodki, a gospodarzowi karpy i gałęzie. Pomocy żadnej nie chciał, bo co wielu ludzi musiało długo pilami przecinać, on jednym machnięciem siekiery zrobił, a gałęzie to od pniaka batem odcinał.

Dziwowali się wszyscy ludzie i mówili:

— Chyba to nie jest taki człowiek jak my...

A kiedy nadeszły żniwa, najpierw swego gospodarza w robocie podparł, a potem poszedł do drugiego dworu godzić się do młócki.

— A cóż ty człowiecze będziesz chciał, kiedy mi zboże wymłócisz? — pyta pan.

— Ja panie nic nie będę chciał, tylko każdego zboża tyle, ile uradzę.

— No, dobrze.

Przyszedł on do stodoły do jednego szczytu i nakręcił ją całą, w drugim szczycie to samo zrobił, a potem zdjął cały wierzch i postawił na ziemi. Pan wyjrzał przez okno, patrzy, a tu nie ma czubka stodoły. Wyleciał przestraszony i widzi, że parobek siedzi wysoko na górze.

— Cóżes ty najlepszego narobił, popsuleś mi całą stodołę!

— Niech pan nic nie mówi, aż wszystko ukończę. Nie trza mi zwracać głowy.

Dziedzic rad nie rad poszedł sobie.

Ledwo na ganku stanął i obejrzał się, a tu zboże w stodole idzie takim wiatrem w górę, jedne snopy ponad drugimi.

Wszystko, co tylko było, zmieszało się razem, tak mocno trząsał. Pan się zatrwożył, złapał się za głowę i woła:

— O la Boga, a cóż ja będę miał z takiej roboty, kiedy tam jest i gryka i jęczmień i żyto a on wszystko pomieszał, do diaska z taką młócką.

Tak przetrząsał całą stodołę aż do dna, potem słomę zebrał osobno, kopy za stodołą poustawiał i zaczął wiać. Wieje to zboże, a tu jęczmień leci na osobną kupę, gryka na osobną i żyto na osobną, a wszystkie plewy znowuż na jedno miejsce. Kiedy już wszystko

wywiął, poszedł do jednego czuba szczytu, uniósł go i założył, naprostował drugi i postawił strop na stodole tak jak było pierwiej. Potem poleciał do włodarza i mówi, żeby mu worki dał i śpichrz otworzył, bo zaraz będzie nosić zboże. Włodarz poszedł do pana i opowiada mu o wszystkim.

— A jakże on to zrobił? — pyta pan.

— Dobrze zrobił.

— To nakażcie parobkom wnosić to zboże do śpichrza, a on niech i drugą stodołę tak wymłóci jak tamtą, kiedy taki chwata.

Zaraz z drugiej stodoły zdjął wierzch i młóci. Kiedy już wszystko powymłacał do czysta, idzie do porachunku, a pan mówi:

— Ano nie ma co, tylko tak, jak powiedziano: bierz sobie każdego zboża tyle, ile uradzisz.

Wleciał na podwórze i zaczął sobie kręcić powrósło, skręcił takie długie, że cały śpichrz opasał. Później, jak się nie podsadzi, to tylko kamienie zostały, a cały śpiechrz z nim razem poszedł.

Włodarz leci, ręce rozkłada i krzyczy w niebogłosy:

— Panie mój! Co on robi, ze śpichrza tylko przycieś została, a wszystko zabrał.

— Toć ja — mówi pan — zaraz się tego spodziewałem, kiedy on czubek ze stodoły zdjął, ale cóż, z takim mocarzem nie poradzi...

On zaś przyniósł do gospodarza ten śpichrz, postawił go, idzie do izby i woła:

— No gospodarzu, com się napracowałem, tom się napracowałem, ale teraz będzie już jedzenia dosyć na całą zimę.

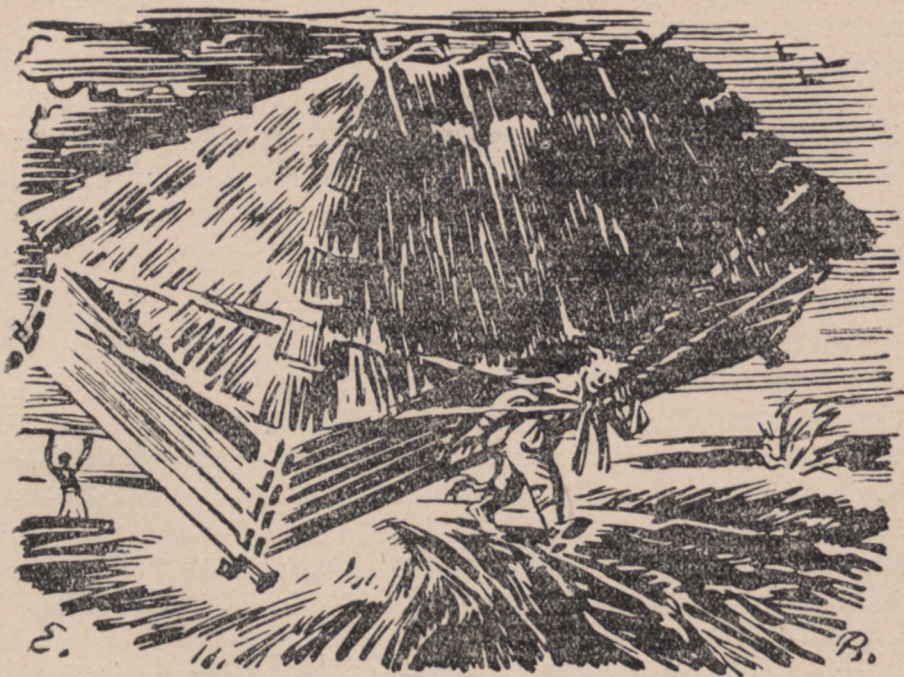
Jak przedtem biedniał, tak teraz dorabiał się ten chłop z roku na rok. Chałupę sobie nową postawił jak dwór, nie brakowało niczego ani w stodole ani w komorze. Do ogromnego doszedł majątku, a wszystko było z siły, zwinności i sprytu tego parobka. Pięć lat wreszcie minęło od tego czasu, kiedy Bartoszek nastał na służbę. Jednego dnia na jesieni, po zbiorze kartofli i zboża, powiada on do gospodarza:

— Teraz, kiedyście już bogaci, to ja pójdę od was.

— Ej, mój Bartoszkule, zostań choć ze trzy lata jeszcze.

— Teraz, kiedy macie już wszystkiego dosyć, mogę sobie iść.

— A gdzież ty pójdiesz?



— Tam pójde, skądem przyszedł. Teraz mogę całą prawdę powiedzieć. Posłali mnie do was na służbę za ten placek z popiołu, com wam porwał i zjadł. Ja jestem diabeł z piekła.

Przestraszył się teraz gospodarz, ale mówi:

— Diabeł nie diabeł, ale dla mnie byłeś dobry. Czym ci za to wszystko zapłacę?

Bartoszek zamyślił się i po chwili rzekł:

— Niczego ja od was nie potrzebuję, dajcie mi tylko po korczyku zboża, abym w piecu ugotował sobie warzy na drogę, bo mam pójść daleko.

— Tego zboża chcesz zaraz?

— Ano zaraz, bo już czas na mnie...

Gospodarz dał zboża, a diabeł wlepił w piec kociołek, nalał wody i rzuciwszy ziarno, coś dziwnego zaczął gotować. Wciąż ten płyn mieszał i kosztował. Z początku było to gorzkie i niesmaczne, a potem czymś ostrym zalatywało po całej izbie. Próbowali tego płynu wszyscy po trochu, ale najwięcej diabeł, który wreszcie upił

się, obalił na ziemię i zasnął. Na drugi dzień, kiedy wytrzeźwiał, napój był już chłodny, więc go pozlewał do gąsiorków i zaprosił gospodarzy, aby z nim razem pili.

Pierwszy kieliszek był mocny, aż się gęba od niego wykrzywiła. Prawdziwie diabelski trunek. Za to drugi głódziej już poszedł. Po szóstym i siódmym gospodarz począł się cieszyć, diabła całował i tańczył z nim. Piła żona i dzieci, a gospodarz kazał potem zawołać wszystkich sąsiadów.

Diabeł częstował ich wódką i namawiał:

— Pijcie, bo to jest dobry trunek!

Od tego czasu ludziska pili w tej wsi coraz więcej. Wszyscy prawi, że gorzałka dobra, bo jak się od niej czubek zagrzeje, to się jakoś świat na wesoło odmienia. Nieraz jednak po śmiechach i zabawie dochodziło do kłótni i bijatyki. Nieraz nawet krew się polała. Ale kto tego diabelskiego smakołyku pokosztował, ten się już od niego odzwyczaić nie mógł. Jedna wieś od drugiej uczyła się zażywać gorzałki, a gospodarz, u którego ów Bartoszek służył, warzył wciąż i sprzedawał czartowski trunek.

Wreszcie diabeł widząc, że ludziska do wódki już przywykli, poleciał do swoich kamratów. Najstarszy czart darował mu wszystkie winy, bo się na ostatku dobrze piekłu zasłużył...



H U L A L A . . .

Nieraz zdarza się, że chłop chłopu doradza, aby w jakiś trudnym razie wystąpił z całą siłą. Wtedy, pomiędzy góralami zwłaszcza, sły-chać często takie powiedzenie:

— To po waszej mowie nic... Wiecie, lepsze jedno hulala niż sto pacierzy!

Otóż co oznacza właściwie to przysłowie, które mało już kto rozumie, tłumaczy następująca pieszczalczka czyli facecja góralska:

Jeden gazda miał pasterza, który mu pasał owce. Choć kierdelem nie chodziły na hale, tylko kręciły się po łąkach niedaleko domu, zagroziły im jednego razu wilki. Znać było, że te bestie chciwe na baranie mięso uwijają się wszędzie. Niespokojny pasterz pyta tedy gazdę, co ma robić w tym razie, kiedy i do niego wilk przyjdzie?

A gazda mówi tak:

— Je, cobyś tam robił?: Ino pacierz mów, to on ci nic nie weźmie...

Skoro potem przyszedł wilk i zaczął bić owce, pasterz, jak mu nakazano, zaczął odmawiać pacierze. Klepie jeden za drugim, a wilk jak dusił owce, tak dusi. Wreszcie kiedy już tylko kilka jagniątek zostało, dopieroż pasterz krzyknął z całej mocy na tego rozbójnika:

— A tu!

Bo na wilka zawsze się krzyczy: tu! No i to tukanie lepiej, niż pacierze pomogło. Wilk przestraszył się i uciekł.

Pasterz wrócił do domu i powiada tak:

— Ej gazda, gazda, kazaliście mi pacierze mówić a tu z tego nic, bo wilk na moje modlitwy nie zważał. Dopiero, kiedym tuknął, to puścił owcę i do lasu poleciał... Ej, lepsze jedno hulala niż sto pacierzy!

TOPIELC

Kiedy dziesięć chórów anielskich, odtąd już złych duchów, zostało wraz z Lucyperem strąconych do piekła, lecieli oni w przeciągu czterdziestu dni i czterdziestu nocy w postaci najdrobniejszego deszczu. Dużo takich kropel padło w przelocie na ziemię, a gdzie tylko która z nich się dostała, tam zły duch zmuszony jest przebywać aż do sądnego dnia. Zagęściło się tedy od pokaźników we wszystkich okolicach pustych i ludnych, we wsiach, miastach i miasteczkach.

Który jednak z diabłów padł na wodę, ten tam został i sprawując władzę nad poddanym sobie żywiołem, czyha na ludzi, aby ich utopić i dlatego nazywają go topielcem albo utopcem.

Niektórzy opowiadają, że topielce żyją z boginkami, które są nieraz ich żonami i rodzą im dzieci. Podobno spokrewniony z nimi jest również planetnik, który mieszka w chmurach i tam rządzi.

W Polsce najczęściej się słyszy o topielcach w ziemi krakowskiej i jej okolicach, którą przepływa wiele rzek większych i mniejszych. Diabeł wodny przebywa najchętniej w każdym głębszym miejscu, gdzie z powodu zielonkawatej barwy dna nie widać, więc w rzecznych baniorach,*) w wirowatych bełkach,**) zbąkach***) i plosach,****) nawet koło jarów, zwłaszcza we wszystkich przepaściach wodnych, gdzie się wznosi zazwyczaj jego wspaniały pałac.

Poza tym spotkać go można także i w pomniejszych rzeczkach, potokach, w jeziorach, jeziorkach, stawach i sadzawkach, nawet

*) głębokie miejsce w wodzie.

***) wir wodny.

****) wirowata głębina, w „Słowniku gwar polskich“ wyrazu tego nie ma.

*****) głębokie miejsce w wodzie, gdzie nagły spadek i dziura wodą wybita.

w studzienkach i źródłach, nawet na moczarach, błotach i bagnach, zwłaszcza w miejscach porośniętych olszyną, gdzie chętnie przebywa. Często wśród nocy księżycowej ugania się po łąkach świeżo skoszonych albo siedząc na kopce siana iska i grzeje się do miesiączka.

Wszędzie tutaj wyprawia utopiec swoje harce. Ludziom najprzeróżniejsze stroi psoty, zjawia się w coraz innej postaci, topi nieostrożnych i słabych przy pomocy diabelskich sztuczek, a kiedy swego dokona, wówczas ludzie przerażeni słyszą, jak śmieje się śmiechem potępińczym.

Czasami widać go wśród dnia, jak bawi się w wodzie, skacząc, pływając, śmiejąc się i klaszcząc w ręce, najczęściej jednak pojawia się znienacka wśród nocy — nieraz zupełnie podobny do człowieka, tak, że go poznać trudno.

Razu pewnego gospodarz z Łęszkowic wracał nocą z jarmarku do domu. W połowie drogi przyłączył się do niego jakiś człowiek porządnie ubrany, w nowym kapeluszu na głowie, widać dopiero co na jarmarku kupionym, bo na niego stary naciągnął. Idąc razem zaczęli rozmawiać ze sobą, to o tym, to o tamtym, zwyczajnie jak między chłopami.

Gospodarzowi nie podobał się jego towarzysz ani z twarzy, ani z mowy. Gębę miał czarną, włosy długie i zwichrzone, patrzył z podoba, a co najważniejsze z troku od sukmany kapała mu woda.

Od razu przyszło mu na myśl, że to z topielcem sprawa. Ponieważ jednak łęszkowicki gospodarz bardzo był śmiały i skory do bitki, więc się niczego nie lękał, szedł dalej i tylko pilnował się baczenie jakiegoś niespodziewanej zdrady. Kiedy obaj przechodzili w bród przez Rabę, okazało się zaraz, że się nie omylił. Nieznajomy, który był najprawdziwszym topielcem, rzucił się na gospodarza, aby go utopić.

Ten jednak nie stracił przytomności. W oczy diabelskie nie patrzył, bo wiedział, że spojrzenie ich zabić może, od razu chwycił go za gardło i za prawą rękę, bo w lewej topielec nie wiele ma siły. Potem wyprostowawszy się nagle, skopał przeciwnika tak mocno w brzuch, że ten skowycząc wpadłby do wody, gdyby go nie przytrzymał. Tym sposobem zaciągnął diabła na brzeg i tutaj dopiero puściwszy go, sam uciekł czym prędzej.

— Ty i tak długo nie pożyjesz! — wołał za nim topielec.

I rzeczywiście sprawdziło się. Gospodarz po powrocie do domu rozchorował się z wysilenia i po niedługim czasie rozstał się z tym światem.

Nie lepiej powiodło się parobkowi, któremu wywróżyła cygan-ka, że zginie z ręki topielca.

Parobek ten wprawdzie unikał wszelkiej wody, w Rabie się nie kąpał, ani jej przepływał w bród. Pewnego razu skusiło go coś jednak. Wracając z pola dał się porwać koniowi do Raby. Chociaż wstrzymał go od razu na skraju rzeki, na nic się to nie przydało. W okamgnieniu zwałił topielec chłopą z konia, zaciągnął go na głębinę i utopił.

Wiadomo, że choćby człowiek był najbardziej krzepki, samą siłą ludzką utopca pokonać nie podobna.

Dobrze jest wchodząc do wody umaczać palce, na piersiach znak krzyża położyć i powiedzieć:

*„Niech cię Pan Jezus przeżegna
I do piekła wegnął“*

Podczas kąpieli nie należy zdejmować z siebie rzeczy poświęconych: szkaplerza, medalików, krzyżyków i pierścionka ślubnego. Nad rzeką trzeba unikać piaszczystych brzegów i pamiętać, że po północy nie ma już topielec żadnej władzy nad istotą ludzką. Najlepszą jednak bronią w spotkaniu z topielcem jest nowy nóż albo nawet zwykła igła. Świadczy o tym następujące zdarzenie:

Pewien gospodarz z tych samych Łęszkowic przechodził wieczorem w bród przez Rabę do Chełma. Niespodziewanie na środku rzeki wskoczył mu na ramiona topielec. Widać chciał chłopą wprawić w zamieszanie, zachwiać nim i chwyciwszy za słabiznę już bez wielkiego trudu utopić. Gospodarz jednak, widząc z kim ma do czynienia, wydobyl szybko z kieszeni nowy nóż, żgnął nim topielca tak mocno w podbródek, że mu się jucha strumieniem puściła. Pokusnik stracił odrazu siłę i władzę. Chłop, korzystając z tego, zaczął mu dogrzewać coraz potężniej i pięścią i nożem, najpierw w rzece, a potem i na brzegu, kiedy się obaj tam wyprowadzili.

Topielec ledwo się z rąk chłopą wydobywszy, stał się najpodlejszym diabłem, gdyż rana od nowego noża nie goi się nigdy na topielczym ciele. Nie mając nic do roboty i nie mogąc już nigdy zanurzyć się w wodzie, włóczył się nieustannie za tym, co go pokonał i złorzeczył mu żalonym głosem.

Innemu utopcowi powiodło się tak samo, skoro chciał pewną kobietę wciągnąć z piaszczystego brzegu do Raby, a ta uklęła go nawą igłą i w ten sposób unieszkodliwiła na zawsze złośliwego pokusnika.

Mniej niebezpieczna jest dla topielca rana zadana starym nożem lub starą igłą. Rana ta bowiem goi się z czasem. Dopóki jednak na bliźnie nie zatrze się skaza, woda nie przyjmie do siebie krwawiącego utopca.

Za dawnych czasów odbyła się prawdziwa wojna z topielcem we wsi krakowskiej Stadnikach. Uwijało się wówczas tych złych duchów co niemiara po wszystkich wodnych miejscach. Ludzie, którzy przychodzili od Wisły, opowiadali, że kiedy tamtędy płynęły galary, nieraz na wiślanej fali ukazywały się postacie topielców, którzy, klaskając w ręce wołali:

*„Jedzie, jedzie,
Mój będzie!”*

Najdziwniejszych przygód doświadczyli ludzie w całej okolicy. W Stadnikach tymczasem było spokojnie. Gospodarze z tej wsi, słysząc o psotach topielcowych, przechwalali się:

— Niech by się tylko jakiś u nas pokazał, będziemy wiedzieli jak sobie poradzić!

Widać obudziło się licho, skoro zaraz po tych przegrażaniach zaczęło przeszkadzać pod samą wsią na Rabie. Najpierw zły duch pokazywał się w różnych postaciach i zaczepiał ludzi dniem i nocą, nie czyniąc im na razie nic złego.

I tak na przykład jedna kobieta zobaczyła wieczorem nad rzeką jakieś dziecko gołe, skulone, z podwiniętymi nogami, chudymi i długimi. Na widok ludzkiej istoty zaczęło ją wołać do siebie, pokazując dla zachęty pieniądze. Kiedy kobieta zbliżyła się, poznała topielca i czym prędzej poszła dalej, a on skoczył jednym potężnym susem do wody, śmiał się i klaskał w ręce.

To znowu pomiędzy dziećmi bawiącymi się nad rzeką znalazł się ni stąd ni zowąd jakiś obcy chłopiec w czerwonej koszulinie i czerwonej chustce na głowie. Bawił się z nimi potrochu, a potem namawiał na kąpiel w Rabie. Wszyscy mieli ochotę wleść do wody i po mału zbliżali się do rzeki. Dopiero najstarszy z nich, złym tknięty przeczuciem, począł odradzać. Skoro tylko chłopcy cofnęli się, w tym samym miejscu, gdzie przedtem stali, brzeg urwał się i wraz z nieznanym wpadł do wody. Był to naturalnie utopiec, który teraz śmiał się i klaskał.

Innym razem do parobków pasących konie nad rzeką przyszedł pan czarno ubrany, po trochu z nimi gawędził, aż wreszcie niespodziewanie zaczął prosić, aby nauczyli go pływać. Parobcy jednak



poznali się na farbowanych lisach i stanowczo odmówili. Czarny pan widząc, że nic nie wskóra, od razu nie rozbierając się chlusnął do wody.

Widywano go także jako staruszka albo chłopca nagiego, albo podrostka z dużą głową, czarnymi włosami, cienkimi a długimi nogami i rękami. To znowu dla odmiany w zwierzęcej zjawiał się postaci. Dawał się chwytać w zbąku jako wielki rak albo piękna ryba. Jakiś chłop zobaczył królika szczypiącego jakby niewinnie trawkę i dopiero wtedy poznał topielca, kiedy ten królik plusnął do wody, począł się śmiać na całe gardło ludzkim głosem i ogon z wody wystawił.

Kupiec pewien spotkał wśród nocy dwa czarne barany i kiedy niosąc je na plecach zbliżył się do rzeki, te wpadły do wody i zaczęły chichotać. Inni znowuż mieli do czynienia z topielcem w postaci świni, psa, gęsi i żaby.

W tym czasie jeden ze stadnickich gospodarzy, który miał łąkę nad rzeką, zauważył, że chociaż deszczów wielkich nie było, gniją mu pokosy od zbytku wody. Wreszcie wyszedł, że właśnie tamtędy chodzi topielec i z mokrego troka oblewa siano. Którejś nocy, kiedy

księżyc pięknie świecił, zuchwały gospodarz zaczął się z tęgą pałą za krzakiem.

Po niedługiej chwili wylazł z rzeki topielec całkowicie ubrany, ze słomianym kapeluszem na głowie. Woda ciekła mu zewsząd i z troków i z całego ubrania i nawet z warg. Usiadł na kopie siana, rozebrał się do naga i mówi sam do siebie:

— Jutro idę do ślubu, trzeba się wyiskać...

Zaraz też wraził paluchy w rozczochrany łeb, to znowu grzebał sobie między nogami. Ciągłe coś jeszcze mruczał pod nosem, ale tego już gospodarz nie rozumiał.

Kiedy jedno skończył, stracił się gdzieś na chwilę. Wróciwszy przyniósł ze sobą kawał skóry i znowu mówi:

*„Świć księżyczku, świć,
Będę butki szyć!”*

Pracował zawzięcie, a kiedy księżyc schował się za chmurami, zawołał na niego:

*„Mignij, ta panie, mignij,
Żeby mi było widnij!”*

Widać niewiele topielcowe gadanie pomogło, bo niebawem zaczął krzyczeć niecierpliwie:

*„Trzyszczu,
Błyszczu,
Świciłbyś...”*

Gospodarz niewiele myśląc podkradł się do tego miejsca, gdzie siedział topielec i schowany za kopką nuże okładać pokuśnika nie-miłosiernie pałą. Utopcowi zdawało się widocznie, że to księżyc tak go srodze katuje, bo znowuż woła swoje:

*„Trzyszczu,
Błyszczu,
Świciłbyś,
Nie bilbyś!”*

Wreszcie nie mogąc wytrzymać tego łomotania, uciekł do rzeki i w wielkim pośpiechu zostawił parę butów świeżo uszytych. Gospodarz zadowolony wrócił do domu. Topielec nigdy więcej nie pokazał się w tym miejscu, a jego obuwie okazało się tak trwałe, że nie tylko wystarczyło chłopu do śmierci, ale jeszcze jako spadek zostało dla syna.

Tak się skończyła pierwsza potyczka z topielcem w pięknej ziemi krakowskiej pod Stadnikami.

Ludzie podkpiwali sobie ze złego ducha, a on jakby się zapadł pod ziemię i przez długi czas nie dawał znać o sobie. Ukazał się wreszcie na drugim końcu wsi tuż przy rzece i od razu rozpoczął swoją straszną robotę. Zdawało się jakby szukał pomsty za swoje niepowodzenie. Teraz już nie straszył nikogo, nie zwodził, tylko od razu ciągnął do wody. Najpierw porwał muzykanta, który wracał nocą z wesela. Zwalił go z kładki i tak szybko utopił, że nieszczęsny grajek nawet zipnąć nie zdołał. Zaraz na drugi dzień zginął w jego okrutnych rękach młody parobek, który płał konie na rzece. Ci, którzy z daleka przypatrywali się walce śmiertelnej, opowiadali, że kiedy chłopak został już wciągnięty pod wodę, ukazały się na powierzchni krwawe bańki. Chłopi przerażeni zaczęli się teraz bardzo pilnować, a utopiec, kiedy ludzi nie stało, brał co mu pod rękę wpa-
dło: krowy, konie, świnie, nawet gęsi i kaczki.

Sprzyskrzyło się to wreszcie stadnickim gospodarzom, pomiędzy którymi nie brakowało zabijaków gotowych na wszystko. Postanowili utopca ze wsi swojej wyświęcić. Naradzali się długo ze starymi, doświadczonymi ludźmi, którzy znali różne sposoby na złego ducha. Można go było wziąć, jak każdego diabła, na lipowe łyko albo okiełznać uździennicą owiniętą poświęcanym zielem. Trzeba było jednak wysledzić najpierw dokładnie, gdzie się znajduje jego pałac podwodny i tam z nim rozpocząć walkę.

Najbardziej zawziął się na topielca gospodarz nazwiskiem Jachowski, któremu porwał on parobka i niemało utopił chudoby. Podczas samej Wielkanocy wziął sobie Jachowski kilkunastu osiłków do pomocy i rankiem wyruszyli wszyscy nad Rabę. Najpierw puścili nad wodę cebrzyk, w którym ustawiono krzyż z Panem Jezusem i zapaloną gromnicą. Wszyscy patrzyli, jak to naczynie ze świętościami popłynęło szparko, po czym zatrzymało się i poczęło wirować w jednym miejscu. Widać tu właśnie ukrywało się pod wodą mieszkanie topielca. Niebawem zresztą ukazał się na fali wielki, szpetny łeb potwornego dzieciucha.

— Jest, jest! — wołali wszyscy chłopi rozdygotanymi głosami.

Jachowski był już gotów. Włożył na szyję szkaplerz i różaniec, miał ze sobą wodę święconą, stary, naprawiony dzwonek, a na ręku ślubny pierścionek. Ubrany był w obcisłe, grube portki, zawinięte pod kolanem, brzuch zaś opasał sobie mocno prześcieradłem, aby topielec nie mógł go schwytać za przyrodzenie. Szybko przewiązał

się grubą liną, której koniec przytrzymali co najtężsi chłopci i śmiało weszli do wody.

Trudno było dojrzeć co się działo, kiedy Jachowski doszedł topielca. Uczyniła się tam jakaś wielka kotłowanina, a potem zły duch wraz z chłopem zniknęli pod wodą. Myśleli już przerażeni chłopci, że Jachowski utonął, aż wtem ozwał się z daleka drżący głos dzwonka. Wszyscy zaczęli z całej siły ciągnąć linę i wyciągnęli niebawem Jachowskiego, który trzymał za rozczochrane kudły obezwładnionego utopca.

— Ledwo mu dałem rady — opowiadał na brzegu — stracił siłę dopiero wtedy, kiedy mu wraziłem pierścionek ślubny na prawą rękę.

Teraz dopiero włożono topielcowi na jego cienką szyję szkaplerz i różaniec. Był tak przerażony, że ledwo stąpał na swoich chudych nożynach, odzianych w krótkie, pstre portki. Na wielkim łbie nosił czerwoną czapeczkę, a cały obwieszony był, jak błazen, jakimiś kolorowymi wstążeczkami. Chłopci zaprowadzili go z triumfem do kościoła i tu odwiązawszy sznury od wielkich dzwonów tak długo bili i kropili wodą święconą tego wroga ludzkości, aż przyrzekł, że się wyprowadzi na zawsze z całej gdowskiej parafii. Co prawda starzy ludzie dowodzili, że topielec nie ma władzy złożenia takiego przyrzeczenia na dłużej niż trzydzieści lat.

Kiedy się wieść o zwycięstwie chłopów stadnickich nad topielcem rozeszła, zaczęła się z nim walka w wielu wsiach okolicznych. Wypędzono go z Czasławia, z Rybitw i Tyńca nad Wisłą, ze Stryszowa, z Gaja, Mogilan, Lipnik, Bugaja, Świątnik, Górzysk i z wielu jeszcze innych miejscowości.

I nigdy się już więcej w tych stronach nie pokazał...

Nie zawsze jednak topielec był tak straszny i niebezpieczny. Czasami łączyły go z ludźmi ludzkie sprawy. Chodził na jarmarki jak zwyczajny chłop, kupował jedzenie albo je kradł cichaczem po nocy, wyjadał zboże i mąkę we młynie, przyjmował na służbę dziewczkę jedną i drugą, a kiedy mu żona zległa, to prosił kobiety w kumy, najczęściej w takiej okazji sprowadzał do siebie babkę *) ze świata.

I tak zdarzyło się raz, że jedna położna kobieta wracając od chorej szła z Łagiewnik do Woli Duchackiej drogą, która prowadziła koło tak zwanego zimnego dołu czyli jeziorka porośniętego bujną trawą. Było już bardzo późno, wśród nocy ciemnej tylko gwiazdy

*) Tu w znaczeniu akuszerki.

iskrzyły się, a po łąkach i błoniach snuła się mgła. I właśnie z tej mgły wychylił się niespodziewanie jakiś pan bardzo porządnie ubrany i zatrzymawszy kobietę spytał:

— Skąd to idziecie?

— Właśnie wracam z Łagiewnik od położnicy.

— Toście babka?

— Tak, jestem babka.

— Dobrze się składa — rzekł nieznamy pan — możebyście poszli ze mną do żony, która mi zległa?

— Z ochotą — odpowiedziała babka — to przecież mój fach.

Kiedy przyszedli do jeziora, kazał jej ów pan wejść z nim razem do wody, a kiedy nie chciała, wepchnął ją tam przemocą. Nic jej się jednak złego nie stało. Woda tylko chlupnęła i oto rozwarły się drzwi topielcowego mieszkania, bo on to był we własnej osobie.

Od razu zaprowadził ją do żony która leżała w małej izdebce. Utopcowa przywitała się bardzo grzecznie z babką, a mąż jej rzekł:

— Teraz ja pojedę w świat, a wy tu zróbcie co do was należy. Kiedy wrócę, dostaniecie za waszą fatygę należną zapłatę.

Topielec zaraz się gdzieś stracił, a jego żona po pewnym czasie urodziła dziecko. Było ono bardzo brzydkie i okropnie krzyczało. Babkę przerażała najwięcej czarna twarz noworodka i nie tała przed położnicą, że się jej coś tutaj wydaje w nieporządku. Ta jednak pocieszała swoją opiekunkę i wreszcie rzekła stanowczo:

— Tak być musi!

Minęło wiele dni, a topielec nie wracał. Kobieta coraz bardziej tęskniła do świata i strasznie jej było przebywać pod wodą, w czarowanym mieszkaniu. Zresztą nie wiedziała jak się jeszcze skończy ta dziwna przygoda.

— Pomóżcie mi — prosiła żonę topielca — abym się stąd jakoś wydostała.

— Prędzej nie wydostaniecie się — odpowiedziała położnica — aż mój wróci. I pewno byście tutaj marnie zginęli, ale mnie was żal, więc dam wam dobrą radę. Kiedy was mąż zapyta, co żądacie za swoją robotę, to mu powiedzcie, że nie chcecie nic więcej jak tylko trochę tych śmieci, które leżą w kącie. Od pieniędzy się odmawiacie, a kiedy pozwoli wam zabrać śmieci, to je zamiatajcie od drzwi do łóżka. Potem zgarniecie sobie to wszystko do fartucha i nie oglądając się za sobą pójdziecie spokojnie do domu.

I tak się stało. Topielca bardzo zdziwiła prośba babki.

— Przecież śmieci macie dosyć w domu — mówił — weźcie sobie lepiej pieniędzy.

Ale babka pomna przestrogi topielcowej nie chciała w żaden sposób przyjąć nic innego, jak garstkę śmieci.

— Wasze szczęście — zauważył topielec, godząc się na jej żądanie.

Kiedy babka wróciła do domu, okazało się, że ze śmieci, które przyniosła w fartuchu, zrobiły się srebrne i złote pieniądze. Od tego czasu wiodło się jej bardzo dobrze, za nic na świecie jednak nie poszłaby już więcej do topielcowego mieszkania...

Bywało za dawnych czasów, że topielec brał sobie dziewczynę wiejską za żonę. Żadna z nich jednak nie patrzyła chętnie na takiego straszego kawalera, co w głębinie wodnej mieszka i któremu zawsze woda z warg cieknie.

We wsi Studzianach pod Przeworskiem pewna młoda i ładna dziewczyna prała razu pewnego chusty na rzece. Wtem gęste sito-wia przy brzegu rozchyliły się i oczom dziewczyny ukazała się przedziwnej piękności lilia wodna. Zdawało się jej nawet, że czuje cudowny zapach. Wabiła tak z bliska, że wystarczyło po nią rękę wyciągnąć. Kiedy jednak to uczyniła, fala zaszemrała, plusnęła i biały kwiat umknął dłoni. Wciąż ją jednak tak nęciła, że dziewczyna uchwyciwszy się jedną ręką łoży nadbrzeżnej, przechyliła się mocno i sięgnęła znowu. W tej chwili zwierciadło wody ukazało straszną twarz utopca. Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie i straciła przytomność. Diabeł wodny chwycił ją pociągnął ku sobie. Porwana szamotała się trochę, a potem zniknęła pokryta falą. Przez jakiś czas rozchodziły się kręgi po wodzie, wreszcie tafla rzeki wygładziła się zupełnie. Tylko w głębinie ozwał się śmiech i klaskanie w ręce...

Nikt nie wiedział, co się stało z młodą dziewczyną, która zniknęła bez wieści.

Zjawiła się dopiero po kilku latach. Trudno ją było poznać. Wy-nędzniała i zmarnowana przywlokła się do wsi z dwojgiem topiel-cowych dzieci. Wkrótce umarła, nie wyjawiając nikomu co się z nią działo podczas pobytu w podwodnym mieszkaniu topielca.

Tajemnica głębin wodnej wydała się dopiero w innej okolicy, a mianowicie w puszczy sandomierskiej we wsi Jeziorkach, gdzie utopiec zakochany w córce jednego gospodarza co wieczór przycho-dził do niej na zaloty. Dziewczyna nie była mu zbyt rada, ale jak to dziewczynie, pochlebiało, że jeszcze jeden smalił do niej cholewki. Czynił to zresztą po swojemu. Milczący i ponury rzadko się odzy-wał, tylko wpatrywał się w gładkie liczko roziskrzonymi oczyma.

Nikt nie wiedział skąd pochodzi i gdzie mieszka.

Dopiero wyjaśniło się wszystko, kiedy w chałupie zjawili się wędrowni muzykanci i prosili gospodarza o nocleg. On im nie odmówił, a tamci z wdzięczności zaczęli grać i hulać z dziewczynami do upadłego. Topielec przyglądał się zabawie i wreszcie odezwał się do grajków:

— Ja bym jeszcze lepiej od was potrafił tańcować!

Ale oni zmiarkowali od razu z kim sprawa. Kiedy przyszedli, obejrzeli go sobie dobrze i zauważyli, że siadywał zawsze na jednej tylko pole surduta, z której woda ciurkała raz po raz.

— O jakiś ty mądry — zawołał jeden z grajków — ale my także nie głupi!

Drugi złapał go za sukmanę i pokazał gospodarzowi:

— Patrzcie jakiego mokrego galanta macie w chałupie!

Topielec uciekł czym prędzej i więcej się już tam nie pokazał. Dziewczyny jednak nie poniechał. Snuł się za nią wszędzie i tylko czekał na dobrą okazję.

Pewnego razu, kiedy dziewczyna przyszła do rzeki poić bydło, sam topielec wyszedł z wody i rzucił na nią urok. Postradała zupełnie wolę i musiała bez sprzeciwu robić wszystko, czego on sobie życzył. Kiedy kazał jej iść, szła ku niemu prosto, nie zważając na okropne wiry. Topielec uderzył złotym pręcikiem po wodzie i oto rozstały się odmęty, a na suchym lądzie ukazał się długi, równy gościniec, który prowadził aż do wspaniałego, podwodnego pałacu. Aż oczy bolały od blasku, którym gorzał. W jakiś tajemniczy sposób zbudowany został z wodnych kryształów, ozdobiony perłami, brylantami i sopłami lodu. W wielkich oknach płonęło żółto-słoneczne światło, a blask złotego przepychu bił z komnat ozdobnych i bogatych sprzętów.

Topielec zaprowadził dziewczynę do środka i zdjawszy z niej urok oddał ją pod opiekę starej, bardzo strasznej baby, w której bez trudności poznała osławioną z Jeziorkach czarownicę. Kiedy się swojego czasu gdzieś zapodziała, myśleli wszyscy, że ją diabli wzięli do siebie, a ona tymczasem służyła utopcowi za gospodynię.

Niebawem rozpoczęły się bardzo gwałtowne zaloty.

Topielec usiłował pozyskać sobie dziewczynę wszelkimi sposobami: namową gorącą, najpiękniejszymi obietnicami, a wreszcie gwałtem. Dziewczyna jednak o niczym słuchać nie chciała i tylko nad jednym się biedziła, jakby uciec od obmierzłego diabła wodnego.

Widząc, że wszystkie starania zawodzą, topielec postanowił na pewien czas opuścić swój pałac. Dziewczyna dobrze rozumiała, że

skoro wróci, doświadczy na pewno niejednej straszliwej próby. Tymczasem stara rajfurka pilnowała jej jak oka w głowie i ciągle namawiała, żeby nie była przeciwną tak bogatemu i pięknemu panu, którego władza rozciąga się nad całą podwodną krainą.

Dzień za dniem mijał w beznadziejnej niewoli. Wszystko ją tutaj odstręczało. Czego tylko dotknęła, zimne było i wilgotne. Najpiękniejsze sprzęty pokrywała zielonkawa warstwa pleśni, z całego pałacu rozchodził się obmierzły zaduch stęchlizny. Poza tym tu i ówdzie rzucało się w oczy wiele zagadek, ale czarownica nie opuszczała dziewczyny ani na chwilę i nie pozwalała zaglądać do tajemnych zakamarków. Od pierwszego dnia zwracało uwagę, że we wszystkich niemal pokojach poustawiane i pozawieszane były szczelnie zamknięte garnuszki, oraz puszki. Nie wolno ich było dotykać, a tym bardziej otwierać. Dopiero kiedy czarownica gdzieś na chwilę wyszła, dziewczyna nie namyślając się długo podniosła jedną z pokrywek. Natychmiast wyfrunął stamtąd biały gołąbek i uleciał w górę ze słowami: „Bóg zapłać“.

A kiedy otworzyła którąś z puszek wyfrunęło z niej aż pięć takich ptaków. Były to dusze ludzi przez topielca potopionych i pokutujących w podwodnym pałacu. Dziewczyna mimowoli wybawiła je i pomogła dostać się do nieba.

Kiedy czarownica wróciła i zobaczyła co się stało, zaczęła okropnie swarzyć:

— Cóżes ty najlepszego narobiła? — wołała zrozpaczona. — Co my teraz pocniemy? Toć on nas pozabija i dusze nasze będą marynować się w tych samych garnkach. O ciebie nie dbam, bo taką ładną dziewczynę nic tu dobrego nie czeka, ale mnie tutaj wiodło się doskonale, szkoda takiej dogodnej służby...

Wreszcie postanowiła, że obie muszą uciekać.

Czarownica знаła wszystkie sekrety podwodnego pałacu. Nie trudno jej było sięgnąć do któregoś ze schowków i wydobyć stamtąd taki sam złoty pręcik, jaki widziała w rękach topielca. Kiedy uderzyła nim po wodzie, ukazał się suchy ląd, a na nim wygodna, bezpieczna droga.

Obie wróciły do wsi. Stara jędza gdzieś się podziała, widać nie dowierzała dziewczynie, która, chociaż wody się bardzo strzegła, długo już nie żyła. Pałac podwodny nikomu szczęścia nie przynosi...

Od tych dawnych czasów nie słyhać już o topielcach. Nowy porządek na świecie kazał im najpierw ustąpić, a potem zniknąć zupełnie. Może jeszcze któryś z nich ukrywa się w jakichś dalekich, niedostępnych pustaciach wodnych...

KOBYLE JAJO

Było to wówczas, kiedy Niemcy zaczęli sprowadzać się do Polski. Przyjeżdżali z cielęcymi torbami na wózkach w psy zaprzęgniętych i wykupywali ziemię osiedlając się po wsiach. Pracowali zawzięcie, ale jeszcze lepiej umieli drzeć z ludzi skórę, a sami żywili się byle czym. Pół jaja starczyło im na śniadanie, a podczas festynu kwarta wina wychodziła na stu Niemców. Żarliby dużo klusek, ale z cudzej mąki, a jak się sami dobrze najeść chcieli, to się najadali suczą kiełbasą albo szpekem z końskiego ogona. Dogadać się z nimi było trudno. Wiarę luterską albo kalwińską wyznawali, a niektórzy ludzie nawet opowiadali, że każdy z tych odmieńców ma u nogi po sześć palców.

Często podkpiwano sobie z pludraków, a nieraz nawet udało się niejednemu wypłatać jakiemuś Niemcowi niezgorszego figla.

I tak pewnego razu zdarzyło się, że jeden z takich „olendrów“ wybrał się na targ do miasteczka. Ujrawszy tam ogromnej wielkości dynię, którą chłop miał na sprzedaż, zapytał:

— Co to jest?

— Kobyle jajo! — odpowiedział bez wahania chłop - filut.

— No, a co się z tym jajem robi? — dowiadywał się rozciekawiony Niemiec.

— To jajo możecie sobie sami wysiedzieć! Jak będziecie na nim siedzieć bez przerwy, to po czterech tygodniach wylęgnie się wam żrebak, a po roku będziecie mieć konia.

Po długich targach zapłacił Niemiec chłopu kilka talarów i zabrał dynię.



Przyszedszy do domu wyśmiał polskiego chłopca, że mu za tanie pieniądze sprzedał rzecz tak kosztowną i począł naradzać się z żoną, gdzie on ma wysiadywać to jajo. Żona mniemała, że w domu na takie sprawy miejsca nie ma, najlepiej będzie, jeżeli się gdzieś schowa na polu w zbożu. Trzeba bowiem, aby sąsiedzi nie wiedzieli i nie zazdrościli, bo na pewno nic by się nie wylęło. Jak uradzili tak się i stało. Żona nosiła mu teraz wasser-zupki i kartoflanki, a na koniec, gdy już osłabł, kluski z owocami i wieprzowinę. Pludrak obżerał się co niemiara i nabierając coraz lepszej wagi, stał się bardziej ociężały. Zawczasu cieszył się z oczekiwanego źrebaczka. Myślał sobie, że to będzie krzepki koń jak ptak, bo w jajach tylko ptaki ze skrzydłami bywają. I tak mu zeszło cztery tygodnie, a tu jeszcze nic nie widać. Zniecierpliwiony rozmaicie już zaczął myśleć. Może kobyle jajo zaziębił, kiedy z niego na chwilę zląził, może trafił na jajo niezależone. Wreszcie powiedział sobie, że jak za tydzień nic nie wysiedzi, to wyrzuci je do lasu.

Tymczasem zdarzyło się, że dziedzic tamtejszy wyprawiał właśnie polowanie dla swoich gości i psy pogoniły w tę stronę, gdzie Niemiec odsiadywał owe rekolekcje. Dziedzic tuż za psami, zoba-

czywszy zająca, wystrzelił i ubił go. Działo się to wszystko tuż obok owego heretyka, a że dynia pod nim była już nadgniła, więc Niemiec zląwszy się upadł na ziemię. Wtem ujrzał, że zając pada obok niego, więc załamał ręce i woła w najwyższej rozpaczy:

— Moje zibie, moje zibie!

A dziedzic na to:

— Głupi jesteś, przecież to zając...

Niemiec rozumiejąc, jakoby szlachcic mówił o zajęciu począł się skarżyć:

— Ej, było to panu zająć, a nie zastrzelić, pif, paf!

Kiedy wrócił do domu, długo żalił się żonie. Wciąż opowiadał, że ten koniczek taki był krzepki. Przecież źrebię jak się urodzi, to z miesiąc chodzić nie może, a ten z kobyłego jaja od razu tak chyżo uciekał. Byłby go chował i karmił gołym owsem, siankiem zielonym i ziółkiem pachnącym, aby mieć konia najlepszego chyba gatunku na świecie.

Przez długi czas nie mógł się opamiętać z żalu. Ile razy wybrał się na jarmark, zawsze patrzył, czy kto czasem nie sprzedaje kobyłego jaja.



WILK I JEGO ŚNIADANIE

Tam daleko na Ukrainie, gdzie jeszcze wielkimi gromadami wilki chodzą, śniło się jednemu z nich, że zjadł bardzo dobre śniadanie. Kiedy o świtaniu wyszedł ze swojego legowiska, przeciągnął się i czując, że mu się od głodu kiszki skręcają, rzekł do siebie:

— To był piękny sen, ale jeszcze lepsze będzie to śniadanie, które teraz zjem. Pójdę, a ono na pewno wleci mi samo w pysk.

Wiadomo, że wilk jest bardzo głupi.

Ruszył w swoją drogę i niedaleko uszedł, aż trafiwszy na kozę z dwojgiem kozłąt pomyślał sobie: „Aha, to będzie moje śniadanie!”

Poszedł do kozy i rzekł do niej:

— Teraz wam już nic nie pomoże, bo ja was zjem. Najpierw małe kozłątka, a potem ciebie, stara, bo mi z głodu flaki aż mruczą.

— Toć możesz nas zjeść — odpowiedziała koza — skoro inaczej być nie może, ale chyba nam pozwolisz, abyśmy przed śmiercią zmówiły pacierz..

— Ależ dobrze — rzekł wilk — zmówta sobie pacierz, a potem was zjem.

Koza wraz z małymi podeszła do Bożej męki i jęła żałośnie beczeć, a kozłątka beczały za nią jeszcze głośniej. Wilk też długo wytrzymać nie mógł i począł wyć przeraźliwie.

Niedaleko za górą pasł owczarz trzodę. Słyszac beczenie kóz i wycie wilka, posłał w to miejsce swojego psa. A że pies był ostry, silny i do boju z wilkami przyuczony, więc wyszamotał i pokaleczył wilka tak, że musiał szybko ratować się ucieczką. O mało co go nie zażarli.

Tymczasem koza z kozłętami uciekła.

Kiedy pies nareszcie przestał go gonić, wilk stanął i pomyślał sobie: „A to było doskonale śniadanie, nie ma co mówić. Jakże byłem głupi!”

Szedł dalej i niebawem trafił na świnie z siedmioma prosiątkami.

„To będzie dobre śniadanie!” — pomyślał i rzekł do świni:

— Teraz zjem was wszystkie, bo głód mi doskwiera, że aż strach. Zjem najpierw ciebie, a potem prosięta.

— Możesz nas zjeść! — odrzekła świnia. — Czemuż by nie? Toż ludzie za to nas chowają, żeby mieli co na ząb położyć. Dlaczegoż miałbyś być gorszy? Zresztą życie mi już obmierzło, skoro moich żarłocznych dzieci nie mogę wykarmić. Ale przed śmiercią musisz zgodzić się na jedną tylko prośbę.

— Jeżeli nie zechcesz uciec, to na wszystko chętnie się zgodzę.

— Oto chciałabym — rzekła świnia — zanim zginę, dzieci moje ochrzcić.

Wilk zgodził się, więc poszli do młynówki na to miejsce, gdzie woda spada na koła. Tam świnia przełożyła deskę przez rynnę i wylazła na nią, wilka zaś ustawiła na przeciwnym końcu. Gdy się już zabierali do chrztu, świnia prędko zeskoczyła z deski, wilk zachwiał się, padł na koło i zaraz dostał się pod nie tak nieszczęśliwie, że ledwo wy dostał się stamtąd z życiem.

Tymczasem świnia z prosiątkami zniknęła.

Wilk idąc dalej srodze się zafrasował:

„Znowu diabli wzięli śniadanie. Ale dobrze mi tak, czemu jestem tak bardzo głupi.”

I dalej wędrując spotkał koguta.

„Aha — rzekł do siebie — to będzie moje śniadanie. Chociaż świnia albo koza byłyby smaczniejsze, ale lepsze coś niż nic.”

— Ciebie zaraz zjem — rzekł do koguta — bom już od kilku dni nic nie jadł, a głód mnie morzy okrutnie.

Kogut chciał się od razu ofiarować wilkowi na śniadanie, ale zaczął go prosić, żeby mu pozwolił przed śmiercią jeszcze raz zaśpiewać.

— Nie może być — odrzekł wilk, smutnym nauczone doświadczeniem — bo byś mi uciekł.

— Jeśli się boisz, żebym ci nie uciekł, to trzymaj mnie za ogon, a ja sobie zaśpiewam.

Skoro tak, zgodził się wilk i chwycił mocno w pysk ogon koguta, który zaczął trzepotać skrzydłami i pisać. Wtem jedno piórko

w ogonie kogucim poczęło tak nieznośnie laskotać wilka, że musiał kichnąć i puścić swoją zdobycz. Kogut natychmiast podleciał na drzewo, począł pisać radośnie i wyśmiewać się z wilka, który srodze się zasmucił.

„Jaki ja jednak jestem głupi! — myślał. — Wszyscy mnie oszukali. Pewno dziś już nie doczekam się ani śniadania, ani obiadu, ani kolacji i pójdę na głodno spać“.

W takich żalonych rozmyślaniach pogrążony szedł dalej i spotkał się z gęsią. Zaraz mu się serce rozweseliło, bo gęś była tłusta, i zawołał:

— Ty gąsko, nie ujdiesz mi. Zjem cię taką, jaką jesteś. Nareszcie doczekałem się śniadania.

— Możesz mnie zjeść, wilku — rzekła gęś — ja ci tego nie bronię i skarżyć się nie będę. Jestem już stara, jaj nieść nie mogę i czas już, abym umarła gęsią śmiercią. Ale widzisz, od sześciu niedziel ani razu się jeszcze nie myłam i dziś po raz pierwszy wyszłam z chlewa. Pozwól mi się obmyć w jeziorze, to ci będę lepiej smakowała...

— Nie, ja na to nie pozwolę — odrzekł wilk — bo byś mi uciekła.

— Możesz mnie trzymać za ogon — prosiła gęś — tak długo jak długo będę się myła, a wtedy napewno uciec nie zdołam.

Wilk widząc, że gęś po prawdzie nie była myta od długiego czasu, zgodził się i poszedł razem z nią do jeziora. Tutaj siadł na brzegu i trzymał gęś za ogon, a ona poczęła uderzać skrzydłami i lać karkiem wodę na siebie. Kiedy się już do połowy umyła, rzekła:

— Puśćże mnie trochę, abym się mogła głębiej zanurzyć.

Wilk przypuścił, a gęś zanurzyła się tak głęboko, że wypłynęła aż na środku jeziora.

A wilk na brzegu lamentował:

— Znowu mi przepadło śniadanie. Ach, jaki ja jestem głupi. Najlepiej by było się powiesić, bo chyba niedługo już z głodu zdechnę.

Szedł dalej w smutku i melancholii, aż przyszedł na łąkę, gdzie pasła się kobyła ze źrebięciem.

„To będzie moje śniadanie“ — pomyślał i skoczył do nich.

— Całe rano biegam za śniadaniem — wołał — a nic nie mogę zdobyć. Teraz nareszcie pojrę ciebie i twoje źrebiątko.

— Na to nie masz prawa! — odrzekła kobyła. — Mam przy sobie taki list, który ci wzbrania, abyś mnie zjadł.

— Bardzom ciekaw takiego listu — odrzekł wilk — bo któż mi może nakazać, abym ciebie nie schrupał. Może mi zechcesz pokazać to pismo.

— Tu jest — odparła kobyła i podniosła przednią nogę — zajrzyj tylko pod kopyto.

A ta klacz była ostro kuta. Kiedy wilk ustawił się i zajrzał pod kopyto, wtedy dostał tak mocno po łbie, że go na miejscu ogłuszyło. Nim przyszedł do siebie, kobyła ze źrebięciem uciekła za dziesiątą górę.

— A to mi było dobre śniadanie — stękał wilk, a głowa chybotała mu się z bólu. — Jakiż to głupiec ze mnie, aby po tylu doświadczeniach zaglądać kobyle pod kopyto. Ale dobrze mi tak!

Szedł dalej i już zwątpił o śniadaniu, aż tu trafił na polu staro-
rego barana.

— Ciebie teraz zjem ze skórą i rogami — rzekł do niego — bo od samego rana szukam śniadania i jestem taki głodny, żebym kamienie mógł gryźć.

— Zjedz mnie — rzekł baran — bo mi się już sprzykrzyło dłużej żyć. Stary jestem i nic po mnie na świecie. Sam ci najlepiej w gardło wleżę.

Bardzo się to wilkowi widziało. I było tam jezioro, a kawałeczek od brzegu wznosiła się góra.

— Ustaw się koło jeziora — rzekł baran do wilka — a ja wle-
ze na górę i zapuszczę się, by tym lepiej wpaść w twoje gardło. Otwórz pysk jak tylko możesz szeroko.

Wilk stanął tedy koło jeziora i rozwarł szczęki, a baran wla-
ł na górę i zapuścił się z całej mocy. A lecąc z góry z taką siłą ro-
gami we wilka buchnął, że ten wleciał aż do jeziora. Ledwo tam
nie utonął. Nim jednak na brzeg się wydobył, baran był już daleko.

— A to mnie poczęstował śniadaniem! — biadał wilk. — Głup-
szego ode mnie zwierzęcia nie ma już chyba na świecie. Ale dobrze
mi, dobrze!

I z ciężkim sercem szedł wilk do lasu. Tak go przecie uczęstowa-
li, że mu się odechciało śniadania.

W lesie siadł na wielkim pniu i począł lamentować:

— A to mi dali! Zamiast śniadania pobili mnie i byłbym bez ma-
ła w jeziorze utonął. Ale to wszystko przez moją głupotę. Sam nie
wiedziałem, że tak bardzo rozumu pozbawiony. Niechże mi kto
też zaraz ogon za to utnie, bom sobie zasłużył.

Jak powiedział tak się stało.

Za tym pniem, na którym wilk siedział, stał wypróchniały dąb, a w tym dębie skrył się chłop z toporem. Chłop rozumiał mowę wilka i kiedy usłyszał jego życzenie, rzekł do siebie:

— Ano, możesz dostać, wilczku, to, o co prosisz...

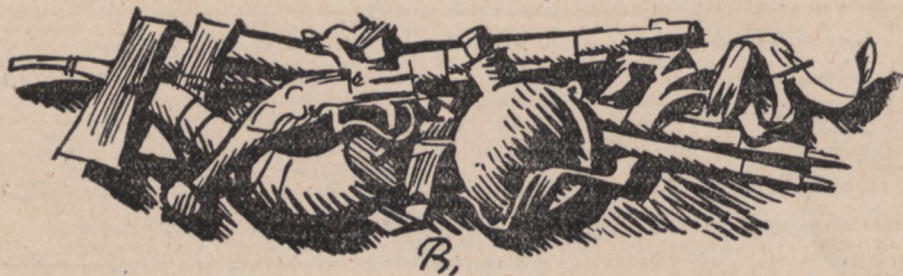
Napluł w garść, zamachnął się dobrze i uciął wilkowi ogon koło samego grzbietu.

Wilk zaskowyczał z bólu, podskoczył w górę i uciekł.

— Teraz dopiero — wołał slaniając się — dostałem to, czego chciałem. Teraz mam najlepsze śniadanie.

Tak to wiodło się wilkowi, któremu śniło się dobre śniadanie. Niech nikt nie wierzy w to, co mu się pośród nocy zamajaczy...





CZERWONY KIJASZEK

Kiedy Szwedzi pustoszyli nasz kraj, zaszli także i do Rudnika. Tutaj wszystko palili. Chłopów i dziatowinę mordowali, a kobiety i dziewczuchy zabierali ze sobą. Polscy żołnierze nie dawali Szwedom spokoju. W tej zawierusze wielu z naszych było nieszczęśliwych i bez Szwedów.

W Rudniku Szwedzi zrabowali cały zamek, wszystkich pozabijali, została tylko jedna urodziwa panienka, która kochanka swojego wysłała na wojnę. Szwedzi zabrali i tę dziewczynę, pędząc ją przed sobą na wpół nagą i bosą. Biedaczka nie zwyczajna takiego losu jak mogła tak szła wiele mil lasami. Kiedy nadeszła noc, starszy oficer kazał ją przywieść do siebie. Panienka nie opierała się i przyszła, ale kiedy Szwed jej dotknął, od razu padł nieżywy. Wszyscy żołnierze przestraszyli się i uciekli.

Tymczasem nieszczęsna dziewczyna szła wśród nocy ciemnej i szła, aż zaszła do gęstego lasu, gdzie spotkała człowieka calutkiego obrośniętego siwymi włosami. Opowiedziała mu o wszystkich swoich przygodach, a on jej poradził, aby zabrała od niego czerwony kijaszek, który przyda się jej w każdym przytrafunku.

Pięknie pożegnała starego i ruszyła w drogę. Ledwo uszła kilka stająn, a tu chmara Szwedów już, już miała dopaść dziewczyny. Ale ona fajt - majt czerwonym kijaszkiem, a tu wielka góra oddzieliła ją od żołdaków.

Spokojnie szła dalej, a tu jakieś wojsko dziwaczne poczęło strzelać do niej. Ona znowuż fajt - majt czerwonym kijaszkiem, a wszystkim wojakom fuzje powylatywały z garści.

Ledwo przebyła kawałek drogi, pojawili się znowuż Kozacy z pikami i chcieli ją przebić. Ona fajt - majt czerwonym kijaszkiem, a oto rzeka zalała Kozaków.

Spojrzała przed siebie i widzi, że jakiś żołnierz płynie ku niej rzeką. Już chciała wydobyć kijaszek, a tymczasem żołnierzysko pokazał jej swoją magierkę rogatą, tę samą, którą mu niegdyś wystroił. Poznała swojego kochanka, odfajtnęła, odmajtnęła czerwonym kijaszkiem i już rzeki nie było, a chłopiec ulubiony chwycił ją za szyję.

Długo się potem kochali, on przywiózł z wojny wielkie majątki, kupili sobie wieś i żyli szczęśliwie.



MIASTO Z RÓŻOWEGO MARMURU

Pewien król miał trzech synów, dwóch było mądrych, a trzeci uchodził za głupiego. Dwaj bracia starsi i ojciec mieli go za nic i przy każdej sposobności wyśmiewali się z najmłodszego, który tylko zęby zaciskał i do czasu wszystko znosił.

Pałac królewski otoczony był wspaniałym ogrodem, a dalej nad rzeką, która tamtędy przepływała, ciągnął się olbrzymi sad. Rosty w nim najlepsze i najrzadsze drzewa owocowe. Z dawna działo się tu wszystko jak trzeba. Na wiosnę drzewa kwitły cudownie, potem owoce wiązały się i dojrzewały. Stare, spracowane drzewa wycinano i zakładano młody sad. Nie było dotychczas takiego zdarzenia, aby ktoś z poddanych śmiał zakraść się do królewskiego ogrodu i ręką zuchwałą sięgnąć po rumiane jabłko lub soczystą gruszkę.

Dopiero od niedawnego czasu ogrodnicy poczęli donosić królowi, że każdej nocy w młodym sadzie nad rzeką ktoś nieznanymi trzmi młode wylamuje drzewka. A potem nawet wyszpiegowali, że sprawcami szkody są trzy białe łabędzie, które przylatują do królewskiego ogrodu. Najdziwniejsza w tym wszystkim sprawa, że łąka była nad ranem wydeptana jakby ludzkimi stopami.

Król bardzo się martwił i kazał zaciągać na noc strażę, które powinny złośliwe ptaki albo schwytać albo przynajmniej przepłoszyć. Nikt jednak tego dokonać nie umiał. Widać białe ptaki miały jakąś moc cudowną, bo najczujniejsi nawet stróże zasypiali wówczas, kiedy czuwać było trzeba, a rankiem łąka jak zawsze stratomana, ku niebu zaś sterczą żałośnie kikuty trzech zgruchotanych drzewek.

Wówczas najstarszy syn rzekł do króla:

— Ojcze, pójdę czatować na białe łabędzie.

— Idź, synu — odpowiedział stary król.

Najstarszy brat wyruszył wieczorem do ogrodu, usiadł pod drzewem i postanowił pilnować ogrodu bez przerwy. Ale niebawem zmorzył go sen, spał jak kamień, a o północy, kiedy się zerwał wielki wiatr, tym wiatrem gnane przyleciały trzy łabędzie.

Kiedy król przyszedł nad ranem do ogrodu, zobaczył najstarszego syna śpiącego pod drzewem, łąkę zdeptaną i trzy drzewka ułamane. Rozgniewał się bardzo i zbudziwszy syna rzekł do niego:

— Gdybyś nie był moim dzieckiem, kazałbym ci za twoje niedbalstwo nos i uszy oberżnąć.

Na drugą noc poszedł pilnować ogrodu drugi syn, ale on również nie lepiej się spisał.

— Ojcze — rzekł wówczas najmłodszy — teraz moja kolej; pozwól mi iść, może mnie się lepiej od moich braci powiedzie.

Ale król nie chciał go puścić.

— Jeżeli twoi mądrzy bracia — tłumaczył — niczego nie dokonali, to cóż tam po tobie!

Ale najmłodszy syn tak się uparł, że nie można go było powstrzymać.

— Wezmę ze sobą dużo smacznych rzeczy, bo w nocy trzeba się zawsze posilić. Będę jadł i będę pilnował.

Starsi bracia śmieli się z niego, ale on sobie z tego nic nie robił. Wieczorem wyładował dobrze torbę i poszedł na czaty do ogrodu. Chodził od drzewa do drzewa, ciągle coś przegryzał i czekał na to, co się stać miało.

Najpierw ściemniło się zupełnie, a potem zeszedł księżyc i świecił jasno. O północy wysokie drzewa w lesie za rzeką poczęły szumieć mocniej i mocniej, aż wreszcie zerwał się wielki wiatr.

„Teraz przylecą łabędzie“ — pomyślał najmłodszy królewicz i wyteżył wzrok. Nie wiele jednak mógł zobaczyć. Tymczasem gdzieś w górze daleko ozwał się przejmujący i ostry krzyk wielkich ptaków. Przywarł za krzakiem, a one opuściły się tak szybko, że nie zauważył ich, chociaż zapadły blisko niego. Szybko odrzuciły skrzydła i pióra. Królewicz ujrzał ze zdziwieniem trzy nagie panny płaszące na łące. Czasami tuman mgły zakrywał je niby płaszczem świetlistym, a potem ukazywały się znowu ich gibkie i zwinne ciała, opasane splotami rozpuszczonych włosów.

Nie chciał już czekać dłużej, mogły przecież zniknąć tak szybko jak przyleciały. Z bijącym sercem począł się czołgać do tego miejsca, gdzie na zroszonej trawie leżały pióra dzikich łabędzi. Zerwał się wreszcie szybko i chwycił ten śnieżno-biały strój, który mu wpadł pierwszy w ręce. Ledwo to się stało, już dwa łabędzie porwały się z przeraźliwym łopotem, a naprzeciwko niego stała wystraszona jedna tylko panna.

— Oddaj mi skrzydła i pióra! — prosiła łęklwym głosem.

— Nie oddam — rzekł — bo ulecisz i więcej cię nie zobaczę. Chcę wiedzieć coś ty za jedna i skąd przyleciałaś?

Prosiła go wtedy, żeby rzucił jej płaszcz, bo wstydzi się swojej nagości.

Dopiero wówczas opowiedziała mu wszystko.

Była królewną z bardzo dalekich stron. Te dwa łabędzie, które uleciały, to jej dwie starsze siostry. Całe ich królestwo i zamek zaklął pewien zły człowiek. Dopiero teraz, kiedy zostały spłoszone, a skrzydła i pióra dostały się w ręce ludzkie, zaklęcie straciło swoją moc.

— Więcej już tutaj nie przylecimy — zawołała — więcej nie będziemy tańczyć na łące ani też łamać młodych drzewek.

Kiedy patrzył na nią, kiedy jej słuchał, wydała mu się tak miłą i powabną, że zaczął prosić, aby poszła z nim razem do domu i została jego żoną. Opowiedział o wspaniałym pałacu, o dobrym, starym ojcu i dwóch braciach. Obiecywał jej życie wesołe i szczęśliwe.

— Niestety, teraz nie pora na to — odpowiedziała królewna.

— Dlaczego? — dopytywał się młodzieniec bardzo zasmucony.

— Najpierw muszę przemienić się w łabędzia i wrócić do domu...

— Ależ — zawołał — nie oddam twoich piór i skrzydeł. Schowam je tak, abyś ich nigdy znaleźć nie mogła.

— W ten sposób — rzekła królewna — ani mnie ani sobie szczęścia nie przyniesiesz. Zostanę twoją żoną, ale będzie mnie trapić straszliwa tęsknota. Nawet gdybym ci dzieci urodziła, ucieknę przy pierwszej sposobności i nie będziesz wiedział, gdzie mnie szukać.

— Więc cóż mam uczynić — prosił królewicz — aby ciebie na zawsze pozyskać?

— Teraz odleczę, a ty potem będziesz mnie szukał. Droga do mnie jest bardzo daleka i trudna.

— A gdzież ty mieszkasz piękna królewno?

— W mieście z różowego marmuru... — odpowiedziała i w tejże chwili korzystając z nieuwagi królewicza, sięgnęła po skrzydła.

i pióra, które natychmiast przywarły do jej ciała i oto wielki, śnieżno-biały labadź uniósł się w górę z żalonym okrzykiem.

Odrazu wzbil się wysoko, stał się podobny do małej, białej plamki i szybko znikł w chmurach. Królewicz patrzył jeszcze długo w dalekie przestworza, chociaż dawno już nic widać nie było.

Kiedy król przyszedł rano do ogrodu, bardzo się ucieszył, że tym razem żadnej szkody nie znalazł. Syna najmłodszego pochwalił i hojnie obdarował. Dziwili się wszyscy, że najmłodszemu udało dokonać się tego, czego starsi i mądrzejsi nie potrafili. Mimo to jednak ciągle mu dokuczali i dogadywali. W końcu sprzykrzyło mu się wszystko i pewnego dnia rzekł do króla:

— Ojczy, pójdę w świat.

Na próżno chcieli go wszyscy powstrzymać, na próżno namawiali, aby w domu spokojnie używał dostatków i nie szukał na szerokim świecie niebezpiecznych przygód. Zawział się i niebawem wyruszył w drogę. W tajemnicy przed wszystkimi postanowił znaleźć miasto z różowego marmuru, a w tym mieście ukochaną królową.

— Będę tak długo wędrował — myślał — aż znajdę tę, której szukam.

Przez cały tydzień jechał krajem ludnym i wesołym, mijali wioski bogate i wielkie miasta, gdzieniegdzie popasał, ale o miasto z różowego marmuru jeszcze nie pytał, bo narazie droga nie była ani daleka ani trudna. Chociaż dosiadał konia dzielnego, wydawało mu się, że posuwa się bardzo powoli i chyba nigdy nie zbliży się do upragnionego celu. Dopiero kiedy dostał się w olbrzymie knieje i uroczyska, nadzieja błysnęła mu jak dalekie światelko wśród ciemności. Dokoła szumiały niebotyczne drzewa, zwierz spłoszony przemykał wśród gęstwiny, a nigdzie nie było widać śladu człowieka. Minęło wiele dni, a on niczego więcej nie widział oprócz drzew i nieba. Znowu ogarnęło go zwątpienie. Może już nigdy nie zdoła wydostać się z tych borów i będzie wiecznie błądził po głuchych bezdrożach. Wreszcie popadł w zupełne zniechęcenie i rozpacz. Zdawało mu się, że nie tylko drogi do miasta z różowego marmuru nie odnajdzie, ale nawet nie zdoła wrócić do domu.

I właśnie w chwili największego zwątpienia posłyszał w oddali jakiś dziwny hałas. Natychmiast ruszył w tę stronę i dotarwszy do niewielkiej polany zobaczył trzech olbrzymich chłopów, którzy okładali się pomiędzy sobą tak zajadle, że aż się rozlegało po całym lesie.

Królewicz podjechał do nich blisko i zapytał:

— O cóż to zwada?

— Bijemy się — odpowiedział jeden z nich — o spuściznę po ojcu, bo nie wiemy, jak ją między siebie podzielić.

— Cóż to za majątek — zapytał królewicz — możebym ja was pogodził?

Trzej olbrzymi zaprzestali bijatyki i zaczęli opowiadać jeden przez drugiego, że dostali po ojcu najpierw takie buty, które, jak się obuje, to co krok siedem mil zrobisz. Oprócz tego mają taki płaszcz, który każdego człowieka czyni niewidzialnym. Wreszcie został im w spadku niepozorny kapelusz z piórkiem z tyłu. Wystarczy jednak odwrócić go piórem naprzód, a natychmiast rozlega się huk tak gwałtowny jakby największe armaty strzelały.

— Teraz chcemy się rozejść — zakończył najstarszy olbrzym — i nie wiemy, co każdy z nas ma wziąć ze sobą.

— Zdaje mi się, że lepiej majątku ojcowskiego nie dzielić — przemówił do nich królewicz. — Niechaj jednemu z was szczęście sprzyja. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli ja z tymi rzeczami stanę na jednym krańcu polany, a wy na drugim. Który z was pierwszy do mnie przybiegnie, ten wszystko zabierze.

Olbrzymi zgodzili się chętnie na pomysł królewicza, bo każdy z nich ufał w swoją siłę i każdy chciał osiąść wszystko. Skoro tylko rozeszli się, młody filut szybko wciągnął cudowne buty, otulił się cudownym płaszczem i włożył na głowę cudowny kapelusz. I tyle go widzieli. Teraz dopiero zaczęło mu się wieść doskonale. Konia już nie potrzebował, bo co krok postawił, to był o siedem mil dalej w świecie. Szedł i szedł bardzo szybko, a jednak świat był coraz większy i coraz dziwniejszy. Wieczorem, minawszy puste pola, dotarł znowu do jakiegoś błotnistego, czarnego lasu i tam go właśnie zaszła noc. Pośród ciemności trudno było wędrować. Kiedy więc ujrzał pomiędzy drzewami drżące światelko, udał się w tamtą stronę i trafił do jakiejś przygarbionej chałupiny. Wszedł śmiało do środka i zobaczywszy starą kobietę z białymi włosami, zaczął ją prosić, aby zatrzymała go na nocleg. Ono jednak odrzekła:

— To trudna sprawa! Ja jestem księżycowa matka. Dziś mój syn bardzo wczesnie wróci do domu i zaraz cię wyświeci. A wtedy może być źle z tobą...

Prosił jednak tak długo, aż go zatrzymała. Miesiąc zeszedł tej nocy bardzo wczesnie z nieba i przyszedł do domu, zaraz wyświecił gościa i począł go wypytywać:

— A tyś skąd się tu wziął?

— Szukam — odpowiedział królewicz — miasta z różowego marmuru. Ty, miesiącu, chodzisz po niebie, wszędzie zajrzysz i wszystko wyświecisz, czy nie wiesz, gdzie jest to miasto?

— Tego ja ci powiedzieć nie mogę — odparł miesiąc — miasto z różowego marmuru jest gdzieś bardzo daleko. Musisz wędrować przez cały dzień i znowu pytać o drogę.

Szedł więc dalej, dalej, a już pod wieczór trafił znowu na chałupę w lesie. Tam zobaczył kobietę tak starą, że prawie już do człowieka nie podobną. Prosił ją o nocleg, ale ona odrzekła:

— To trudna sprawa. Jestem matką słońcową. Słońce w tej chwili przyjdzie do domu i mogłoby być źle...

Prosił ją jednak tak długo, aż go zatrzymała. Kiedy słońce wróciło do chaty, zaraz przemówił do niego:

— Słońce złote, ty już od tylu lat świecisz, chodząc po niebie od wschodu do zachodu. Ty wszystko ogrzewasz i budzisz i widzisz. Ty też będziesz wiedział, gdzie jest miasto z różowego marmuru?

Ale słońce odrzekło:

— Tego nie wiem. Miasto z różowego marmuru musi być tam, gdzie słońce nie doświeci, miesiąc nie dojrzy, a wiatr nie dowieje. Trzeba ci iść jeszcze przez cały dzień i pytać znowu.

I znowu ruszył w dalszą drogę. A szedł bardzo szybko, bo miał te milowe buty na nogach. Już późną nocą zaszedł do jakiejś wielkiej chaty, gdzie mieszkała stara kobieta. Kiedy zapytał, czy mógłby u niej na noc zostać, staruszka odpowiedziała:

— To trudna sprawa. Jestem matką siedmiu synów, a wszyscy oni są wiatrami. Skoro przyjdą do domu, mogłoby być źle z tobą...

Ale on tak długo prosił, aż go zatrzymała.

Po niedługim czasie synowie jej z wielkim szumem przybyli do domu. Królewicz przemówił do nich zaraz:

— Wy wiatry chyże, co obiegniecie cały świat, lecąc przez modry obłok słoneczny, jeżdżąc chmurami po niebie, powiedzcie mi, gdzie jest miasto z różowego marmuru?

Ale wszystkie wiatry odrzekły:

— Nie wiemy nic o takim mieście.

Królewicz bardzo się wówczas zasmucił, ale matka wiatrów rzekła:

— Cicho chłopczel! Moich synów jest tylko sześciu w domu, siódmy jeszcze nie wrócił. Kiedy przyjdzie, pytaj go, może będzie wiedział.

Po chwili straszliwy szum rozległ się na dworze, cała chata zatrzęsa się, a stara kobieta rzekła:

— To jest mój siódmy, najukochańszy syn, najdzikszy ze wszystkich wiatrów.

Kiedy wszedł do izby czarny i ponury, w kozuchu z rozwartymi połami, królewicz rzekł do niego:

— Wietrze chyży, co rwiesz chmury i łamiesz drzewa w boru, co w okamgnieniu objeżdżasz krańce świata i wszędzie wchodzisz i wszędzie wychodzisz, czy nie wiesz gdzie jest miasto z różowego marmuru?

— Ja wiem! — odparł najdzikszy wiatr.

— To powiedz, w jaki sposób tam dojdę? — dopytywał się niecierpliwie królewicz.

— Tam w żaden sposób nie dojdiesz, bo to bardzo daleko. Nawet milowe buty niewiele pomogą.

Ale młodzieniec zaczął tak gorąco i długo prosić, aż zmiękło serce najdzikszego wiatru.

— Może będę ci mógł pomóc — rzekł — ale powiedz najpierw, czego tam szukasz?

Wtedy królewicz opowiedział mu wszystko. Jak wybawił królową, co była w labędzia zamieniona, jak mu kazała szukać siebie w mieście z różowego marmuru i że pragnie ją pojąć za żonę.

Najdzikszy wiatr pokręcił jednak głową i zauważył:

— Choć cię zaniosę do tego miasta, zapóźno tam przybędziesz. Wiedz o tym, że twoja królowa jutro idzie do ślubu. Byłem tam dzisiaj i suszyłem bieliznę na sznurach rozpiętą, żeby była gotowa na wesele.

— Nic nie szkodzi — odparł królewicz — jeżeli mi chcesz pomóc, porwij te sznury, na których suszy się bielizna, porzucaj ją w błoto, a wówczas będą musieli odłożyć wesele.

— To da się zrobić — zawołał z zadowoleniem najdzikszy wiatr — wybierajmy się zaraz w drogę, bo nie wiele mamy czasu do stracenia. Musimy stanąć na miejscu przed piątą rano.

Wiatr chciał nieść królewicza na swoim grzbiecie, żeby prędzej na miejsce przybyli, ale on roześmiał się i rzekł:

— Pocóżbym miał cię trudzić i tak będę szybszy od ciebie. Pokaż mi tylko w którą mam się udać stronę, a ruszę naprzód w moich siedmiomilowych butach.

Zaraz jak skoczył pierwszych siedem mil, musiał czekać, aż go zdyszany towarzysz dogonił. Wreszcie po jakimś czasie wiatr zatrzymał go i rzekł:

— Nie możemy biec tak szybko. Ledwo mogę zdążyć i nie zdajesz sobie nawet sprawy, jaka straszna szkoda robi się za nami. W pilności pośpiechu straszliwe szerzę spustoszenia. Jeżeli napotkam las, wrywam go z korzeniami, dwory i zamki przewracam, a z miast mało co zostaje. Teraz już niedaleko kres naszej drogi, będę cię niósł, pojedziemy wolno.

Niebawem zobaczyli olbrzymią, piaszczystą pustynię, którą zamykało pasmo niebosiężnych turni. Były to największe góry świata, tajemnicze, nieznane i niedostępne, spowite śniegiem i lodem, zasnute wieczystą mgłą. Dopiero za nimi ukazało się miasto z różowego marmuru.

Ledwo świtało, a wydawało się, że promienie wschodzącego słońca nasyciły swoim ciepłem i blaskiem mury domów, przed którymi tryskały srebrzyste fontanny. Przez chwilę krążyli ponad królewskim zamkiem, który jaśniał wśród wspaniałych ogrodów i sadów. Właśnie tutaj pracowite ręce niewieście rozciągnęły od drzewa do drzewa sznury, na których suszyła się bielutka, świeżo uprana bielizna. Widać, że wesele było już za pasem.

Najdzikszy wiatr dotrzymał swojego przyrzeczenia. Z wielkiej uciechy zachichotał jak potępieniec, wpadł do sadu i dalej swawolne wyprawiać harce. Zatargał sznurami, pozrzucał upraną bieliznę, bawił się nią okrutnie i wciekłymi podmuchami ciskał do błota. Wybiegły z zamku przerażone dziewczki, ale już było za późno, cała bielizna leżała utylana i zbrudzona. Trudna rada, wesele trzeba było odłożyć.

Tymczasem królewicz otulił się w płaszcz, który go czynił niewidzialnym i wszedł śmiało do zamku.

Bez trudu trafił do komnaty, w której przebywała właśnie najmłodsza królowna. Nie było tutaj więcej nikogo. Królowna siedziała przy oknie zadumana i jakby niespokojna. Królewicz zadowolony był bardzo, że ma ją tak blisko przy sobie. Na razie nie wiedząc, co ma uczynić, siadł za stołem. Niespodziewanie poczuł, że jest głodny jak wilk. Od rana przecież nic w ustach nie miał, a od tej szalonej jazdy czczość jeszcze bardziej dokuczała. Trudno było w tej chwili mówić o miłości. Na szczęście zobaczył na stole bochenek chleba i flaszkę wina. Nie bardzo to było królewskie jedzenie, ale głodny przysmaków nie szuka. Zresztą dziwnie mu ten chleb i to

wino zapachniało. Zaczął jeść i popijać chciwie. Smakowało wybornie i, o dziwo, choć walenie chleba krajał, a wina nie szanował, ani jednego ani drugiego nie ubywało.

Dopiero kiedy się już nasycił, przysunął się do królowny i przemówił groźnie:

— Piękna panno! nie wolno ci poślubić nikogo innego jak tylko mnie.

Królowna zdziwiła się bardzo słysząc głos, lecz nie widząc nikogo, potem przeraziła się i wezwała służbę na pomoc.

Zbiegło się ze wszystkich stron niemało dworaków i żołnierzy, ale królewicz obrócił swój kapelusz piórem naprzód i oto rozległ się huk straszliwy. Cała czereda uciekła w popłochu. Królewicz i królowna zostali sami.

Wówczas znowu do niej przemówił i jeszcze raz potwórzyl, że musi zostać jego żoną, a narzeczonego z kwitkiem odprawić.

Nie chciała właściwie poddać się jego woli, ale głos niewiedzialnego zalotnika zdobył sobie nad nią przedziwną władzę. Spętał jej duszę i słodkim przejmował wzruszeniem. Jakieś niejasne przecucie kazało wypełnić rozkaz siłą i groźbą narzucony. Przez trzy dni i przez trzy noce mieszkał u niej. Całował ją i pieścił, szeptał miłosne zaklęcia, ale ani na chwilę jedną nie ujrzała jego postaci. Kiedy się zbliżał do niej, czuła jego obecność, zanim spotkały się ich usta. Pograżyła się w tej miłości tajemniczej, nie wiedząc z kim jej doznaje. Przestała wreszcie pytać się i domyślać, pragnęła tylko, aby to uroczce omamienie trwało wiecznie.

Ale czwartego dnia skończyła się miłość.

Czwartego dnia królewicz zdjął ze ściany złotą szablę w złocistej pochwie i wszystko na niej napisał. Kim był, jak do niej przyszedł i gdzie go miała szukać. Szablę na ścianie powiesił, włożył milowe buty i ruszył z powrotem do swojego ojca. Wziął też ze sobą bochenek chleba i butelkę wina, z których nigdy nie ubywało...

Po drodze trafił do pewnego kraju, w którym panował wielki głód. Królewicz podarował im cudowny bochenek chleba, którym nakarmili się wszyscy ludzie w tym państwie. Nie żądał za to nic więcej jak tylko, aby nie uczynili żadnej krzywdy młodej królowej, która będzie tamtędy przejeżdżała, lecz odprowadzili ją do granic sąsiedniego kraju.

I znowu siedł dalej, aż zaszedł do takiej ziemi, gdzie wcale nie było wina. Smutek się tu rozpanoszył i żaloba, jakby w domu umarłego. Ludzie chodzili z głowami spuszczoneymi i jeden na drugiego



spoglądał posępnie. Nikt wesołej piosenki nie zanucił, chłopcy z dziewczętami nie chodzili w taniec, nie odbywały się tam ani wesela, ani zabawy.

Królewicz darował im przeto flaszkę wina, z której nigdy nie ubywało. Wnet radość i wesołość zapanowały w całym kraju. Znowu jako zapłaty zażądał tego samego, co i w wygłodniałym kraju, a oni chętnie się na wszystko zgodzili.

Wreszcie wrócił do ojca i został w domu jak się należało. Bracia śmieli się ciągle z niego i nazywali go głupim, ale on na to nie zważał.

Tymczasem młoda królowna została sama w mieście z różowego marmuru i bardzo się martwiła, że nie знаła swojego męża. A kiedy minął czas właściwy, urodził się jej chłopak tak ładny jak najładniejsze królewiątko. Włosy miał jasne i oczy niebieskie. Dziecko rosło i stawało się codzień mądrzejsze. Kiedy miało cztery lata, zachciało mu się pewnego razu złotej szabli ze ściany. Matka zdjęła ją, wyciągnęła z pochwy i zaraz ujrzała, że cała klinga pokryta jest jakimś pismem. Przeczytała to wszystko i ucieszyła się bardzo, bo już teraz wiedziała, kto jest jej mężem i gdzie go szukać.

— Teraz pojedziemy do ojca — obwieściła swojemu synkowi.

I wybrała się w podróż z całym dworem, z wozami, końmi i ludźmi.

Najpierw przyjechała do tego królestwa, w którym jej mąż zostawił bochenek chleba, co go nigdy nie ubywało. Po tym chlebie domyśliła się zaraz, że tamtędy przejeżdżał. Żadnej tu nie doznała krzywdy, lecz pod dobrą opieką odprowadzona została do granicy tego kraju, któremu królewicz darował butelkę wina. I znowu wiedziała, że mąż jej tędy ciągnął do domu. Ludzie tej ziemi przyjęli ją muzyką i śpiewaniem i odprowadzili daleko... Wędrowała jeszcze długo, aż wreszcie znalazła się o pół mili od tego pałacu, w którym mieszkał stary król z trzema synami.

Wówczas zatrzymała się i kazała całą drogę aż do królewskiej siedziby czerwonym wysłać sukniem. I kazała zawiadomić starego monarchę, że królowa przyjechała, aby pojąć syna jego za męża.

Wtedy najstarszy brat dosiadł konia i jechał po czerwonym szlaku do tego miejsca, gdzie zatrzymała się młoda królowa.

Stała i czekała wraz ze swoim synkiem. A kiedy najstarszy brat nadjeżdżał, chłopiec zapytał matki:

— Czy to mój ojciec?

— Nie — odrzekła królowa — to nie on.



E. B.

Wrócił się tedy najstarszy brat i pojechał drugi, ale i ten z niczym został odprawiony.

Wówczas wskoczył na siodło najmłodszy. Bracia wyśmiewali się z niego, ale on pędził tak szybko do swojej królowej, że koń czerwone sukno kopytami na perzynę poszarpał.

Kiedy nadjeżdżał, królowa wyszła naprzeciw i zawołała:

— Kochanku mój, już po tej dzikiej jeździe ja bym cię poznała!

I przywitali się wszyscy troje bardzo serdecznie, a potem pojechali do królewskiego pałacu, gdzie dwaj bracia patrząc na wdzięczną postać młodej królowej bardzo się dziwili, że najmłodszy i najgłupszy z nich największe osiągnął szczęście.

Długo w królewskim pałacu nie popasali, lecz wyruszyli niebawem do miasta z różowego marmuru, gdzie wyprawili huczne wesele. Królowali tam przez długie lata i może dziś jeszcze królują, jeżeli tymczasem nie pomarli. Trudno wiedzieć coś pewnego, bo to jest bardzo daleko. Tam by nikt z nas nie zaszedł. Miasto z różowego marmuru leży za najwyższymi górami świata, za górami, które osnuła wieczysta mgła...



GAŁAZ CZARTOWSKI

Przy drodze wiodącej z Wielogóry do Śmiechowic jeszcze niedawno znajdował się kamień olbrzymi, który w tym miejscu sprawiał wrażenie jakiegoś ogromnego kopca granicznego. Złom granitu o powłoce srebrzysto-złocistej wyglądał niesamowicie. Patrzył na niego każdy przechodzień i dociekał, skąd by się tu wziął w tej barwie okazałej i kształcie jajowatym, prawidłowo ku północy zwężonym. Powszechnie słynął pod nazwą „głazu czartowskiego“, ale mało kto wiedział, od czego ta nazwa pochodzi.

Stare baby prawily, że kiedy były malutkimi dziećmi, ich stuletnie babki opowiadały wieczorem przy kądzieli historię wielkiego kamienia. Działo się to w czasach, kiedy wszędzie na świecie uwijało się diabłów nad miarę. Siedziały przy drogach, włóczyły się po debrach i wertepach, harcowały z czarownicami na Łysej Górze. Ludzi kusiły, na despekt im robiły i jak rybacy siecią zagarniały dusze do piekła.

W pobliskiej wsi żył pan, złośnik i siłacz niesłychany, co się zwał Waligóra. Zaraz za miedzą południową siedział drugi imieniem Śmieszek, bo się śmiał ciągle, zaś na wschód słońca o jakichś osiemdziesiąt do stu stajenek siedział trzeci pan, któremu było Życ.

Wszyscy oni posprzedawali dusze diabłom. Najstarszy czart spiął z nimi cyrografy na bydlęcej skórze krwią z serdecznych palców utoczoną.

Pierwszy chciał być krzepki, drugi zawsze wesoly, a trzeci zażądał życia tak długiego jak Matuzala. Czart urządził im żywobycie wedle woli każdego — a ponieważ do wszystkiego potrzeba pieniędzy, pokazał im w moczarach, co jak raz pośrodku ich włości leżały,

dół wielgachny, pełen czegoś jak śnieg białego. Było to czyściusienkie srebro, które trzej panowie worami całymi wybierali na swoje potrzeby, a mimo to bogactwa prawie wcale nie ubywało. Dołu ze srebrem diabły dniem i nocą pilnowały, bo już i wtedy nie brakowało złodziei, którzy nie bacząc, że można utonąć w moczarach dół otaczających, ciągle srebro kradli, a czarci w żaden sposób skarbów swoich nie mogli ustrzec przed nimi.

Bóg Ojciec przyglądał się temu wszystkiemu z tronu niebieskiego. A że grzech wszelaki bez kary ostać się nie może, więc za zgodą boską diabły strasznie męczyły tych złodziei, których na gorącym uczynku przy srebrze złapały. Po jakimś czasie wdała się w sprawę Najświętsza Panienska. Widząc męki tych grzeszników w swoim miłosierdziu wielkim uprosiła Boga Ojca przez śmierć Syna Bożego na krzyżu, aby tylko niechrzty i heretycy w moc czartowską popadały i aby katolików bez Sądu Najwyższego tykać nie było wolno.

Jednego razu po nocy, o miesiączku jakiś mizerny szlachetka przebrnął szczęśliwie przez moczary i z workiem pełnym srebra jął uciekać na przełaj. Zoczyły go diabły i w siarczysty puściły się pościg. Ale szlachciura miał nogi zdrowe i umykał chyżej zająca. Sam starszy czart aż się wściekł, kiedy zobaczył, że młodsze diabły nie mogą sobie dać rady z tym frantem. Za późno już było na gonitwę, więc uchwycił w obie ręce głaz bez mała wielkości komornickiej chałupy i cisnął go za uciekającym ze straszną siłą. Złom rzucony zafurczał, zaświstał, zazgrzytał i wbił się aż do połowy w ziemię. Czart dobrze wymierzył. Pod ciężarem głazu legł przywalony i szlachcic i worek ze srebrem.

Ojciec Niebieski patrząc na to, co się działo, nie zapomniał o przyrzeczeniu złożonemu Najświętszej Paniencie. Szlachetka, choć zgrzeszył chciwością na diabelskie dobro, był prawowitym katolikiem, do Różańca Świętego nawet wpisany. Bóg Ojciec rozkazał tedy diabłom powędrować na samo dno piekła, a starszy czart musiał siedzieć wciąż na tym kamieniu i nie czyniąc już ludziom żadnej krzywdy, pilnować, aby nikt nie tknął ciała grzesznika, co pod kamieniem leżał, aż do Sądu Ostatecznego.

Razem z diabłami przepadł także z kretesem i dół pełen srebra. Kiedy naza jutrz panowie: Waligóra, Śmieszek i Życ dopadli jak zwykle tego miejsca, to zamiast białego, czyścutkiego srebra znaleźli rozpadlinę wypełnioną po brzegi śmierdzącym, czarnym diabelskim gównem. A że ludzie na bogactwo są zawsze najchciwsi i jeden dru-

giemu nie ufa, więc i ci panowie zaczęli się najpierw kłócić, a potem wzięli się do bitki. Jeden drugiemu dogadywał, jeden na drugiego krzyczał, że na pewno ukradł srebro. Najbardziej doskwierał tamtym pan Życ, bo miał przed sobą długie życie. Jakże nie złapie Waligórę za ożydle, jak go nie pociągnie ku sobie, to obaj padli na ziemię. Zobaczywszy to pan Śmieszek nie czekał, aż Waligóra się podniesie i jednym uderzeniem łby im porozbija, lecz zepchnął obu do dołu z cuchnącym łajnem diabelskim. Nijak się już stamtąd dwaj panowie wygrzebać nie mogli. Śmieszek patrząc na to śmiał się i śmiał..., aż z wielkiego śmiechu kaldun pękł mu na połowę...

Opowiadali jeszcze starszy ludzie, że wieś właśnie dlatego nazywa się teraz Wielogóra, a nie Waligóra, bo kiedy czart wyrwał głaz z samego środka, to się zrobiło z jednej góry wiele gór. Śmiechowice znowu nazywają się tak od pana Śmieszka, który tam mieszkał. Życ wreszcie od trzeciego pana, co miał żyć tak długo, jak nieboszczyk Matuzal, ale go Śmieszek przed czasem utopił w diabelskim łajnie...



SABAŁOWA ŚPIEWKA

Jakoś to było w listopadzie, przed Zaduszkami czy po nich, tego już dzisiaj nie baczę. Siedzieliśmy wszyscy w izbie z wieczora, ja, żona i dzieciśka. Na polu bił silnie deszcz i wiatr jesienny duł jak to zwyczajnie o tym czasie. Markociło się nam, bo wtedy roboty nijakiej nie masz, spać jeszcze nie czas, na pogwarke do sąsiadów nie pójdziesz, bo któż by chodził po takiej psocie. Siedz więc sobie w domu, kiedy na drodze i psa nie widać.

Wtem gada do mnie żona:

— Słyszysz, stary, ktoś ciapka kierpcami po błocie.

Czekam, kogo Pan Bóg prowadzi? Zakołatał ktoś po drzwiach, patrzmy, wchodzi Sabała do izby.

— E, witajcież, witajcież — gwarzymy do niego — a toć chyba z miesiąć nie widzieliśmy się! Mój już gadał, żeście chyba pomarli czy jako?

— Na małym już jestem schyłku — odpowiedział Sabała Jasiak, a jakożę zawsze rad prześmiechy stroił mówi dalej: — Hej Jędrku, już mnie stamtąd zawiadamiali, że to niby staremu czas. Bardzo mi się to pięknie widziało, ale powiedziałem ich posłańcowi, że jeszcze tutaj do ciebie zajrzę, a potem chyba do nieba.

Był tedy Sabała trochę podpity, zalał sobie gdzieś czuba w karczynie czy też u gości, bo go wszyscy do siebie radzi prosili, toteż broił wtedy co raty. Dziwny to był i całkiem niezwykajny człowiek. Śpiewkę to wam wymyślił z siebie w okamgnieniu, ile tylko chciał, a bajkę to codziennie inną umiał opowiedzieć. Tak mu to szło jak innemu nieprzykładając jedzenie. Wiecie, ile tych bajek sabałowych Stopka pospisywał. A co ja sam drukowałem po gazetach,

to wszystko były opowiadki zasłyszane od Sabały, kiedyśmy się nierozzerwalnie przez tyle czasów towarzyszyli, bo byłem mu przyjacielem. Ale były to tylko powybierane kawałki, bo powiem wam, że gdybym miał tylko czas po temu, to bym potrafił o Jąsku Sabale furę papieru zapisać. Ale cóż, kiedy człowiek przez te stare oczy nie ma już zdatności do pisaniny.

Tak to było i w ten wieczór, jak wam gadam. Sabała był wesół, śpiewał, bajki coraz inne opowiadał, to zaś na gęśliczkach, co je w rękawach chuchy nosił, grał staroświeckie nuty. Śmieliśmy się z nim razem, bośmy wszyscy radzi widzieli, kiedy nas rozweselał. Aż wziął gęśliczki i niby wyśmiewając mnie wymyślił taką nutę:

*„Nieboraczek Tylka
Miał owieczek kilka,
Przyszła na nie szkoda,
Zabrała je woda.“*

Ej, było śmiechu. Widziała nam się ta nuta, toteż ją Sabała co i raz wygrywał na swoich złupczakach.

A było to ostatni raz, jak do mnie zaszedł. W grudniu, jakoś na początku miesiąca zawieźliśmy Sabałę, już nieboszczyka, na cmentarny pagórek. Żal był po nim okrutny i płacz. Przybaczyłem sobie wtedy, kiedy do domu z pogrzebu zaszedłem, ten ostatni wieczór i tę ostatnią Sabałową nutę.

Ale wiecie on mi jeszcze raz zaśpiewał. To było tak.

Było to w zaduszne święto. Wróciliśmy późno do domu z Pękowego pagórka, *) gdzieśmy się modlili za dusze rodziców i krewnych i przyjaciół. Okropna wtedy była powichrzyca, noc ciemniutka bez gwiazd. Wiatr strasznie duł i gwizdał wokoło. Łamało drzewa i łupało drzwiami co cud, a gonty tak trzeszczały na dachu, aż się zdawało, że czysto, pięknie cały dach pozrywa. Czasem zaś ściszyło się na chwilę, a potem odnowa to samiutko. Nagle zawył wiatr, łupło dźwierkami od obory i w dachu zatrzeszczało, a z drogi doleciało ku nam jakieś śpiewanie. Kiż diabli ze śpiewkami o takim czasie? — myślałem sobie i czytałem dalej jakąś książkę. Ale tu śpiew słychać ciągle, nie przestaje, ba wraz bliżej ku nam. Podniosłem tedy głowę od książki i wsłuchując się za tym głosem, rozróżniam już znaną nu-

*) Cmentarz w Zakopanem.

tę, potem niektóre słowo, aż zaraz na drodze, przy samym domu...
rozlega się:

*„Nieboraczek Tylka
Miał owieczek kilka,
Przyszła na nie szkoda,
Zabrała je woda.“*

Ej naprawdę! Żona krzyknęła:

— Jasiak śpiewa!

No i prawda! Przecież to był Sabały głos i Sabałowa śpiewka.

Cisnąłem książkę, wyleciałem z izby przez ogród na drogę, a żona za mną biegła. Ale cóż! nie widać nikogo ani nic nigdzie nie sły-
chać, tylko ćma wielka i wiatr hula. Przepatrzyliśmy czysto, pięknie
drogę, spojrzeliśmy i na prawo i na lewo, szukaj Boże, nie ma i nie
ma, a przecież to był jego własniutki głos, trochę zachrypnięty
i drżący od starości.

Stałem tak dobrą chwilę pośród wiatru i patrzę. Żona wróciła
do izby, a ja próbowałem coś wypatrzeć i świdrowałem oczyma po
ćmie, żeby jakoś przyjaciela uwidzieć. Ale wszystko było po próż-
nicy. Zabrałem się tedy iść ku chałupie. Przyszedłem przed drzwi
i wicie, kiedym już łapał zaworkę i chciał wejść, naraz het na dro-
dze, gdzieś popod samymi regłami, hań popod ten las smrekowy
ozwał się jeszcze raz Sabały Jaśka głos śpiewający:

*„Nieboraczek Tylka
Miał owieczek kilka...“*



ANIOL I KSIĄDZ

Był jeden proboszcz bardzo pobożny, któremu się zawsze zdawało, że nie ma dla niego żadnych tajemnic ani na ziemi, ani w niebiosach. Całymi dniami modlił się i rozmyślał nad różnymi sprawami, które rozsądzał wedle swojego sumienia i rozumu.

Pewnego razu porzucił u niego służbę parobek, więc ksiądz chciał znaleźć kogoś na jego miejsce. Chodził właśnie koło plebanii i czytał brewiarz, kiedy na drodze ukazał się jakiś nieznaną wędrowiec. Był tak pięknego oblicza i powabnej postaci, że proboszcz mimowoli zagadnął go:

— Czegóż szukasz w naszych stronach, młody człowieku?

— Służby szukam — odpowiedział tamten — głodny jestem i utrudzony.

Ksiądz zaprowadził go do kuchni i kazał nakarmić, a potem ugodzili się między sobą.

Nowy parobek okazał się bardzo pracowity. Jeszcze świtać nie zaczęło, a on już wstawał i sypał koniom obrok. Aż do wieczora pełne miał ręce roboty. Uwijał się to na podwórku, to w polu, to przy koniach, które nigdy tak dobrze nie wyglądały.

Jednego dnia ksiądz zawołał nowego parobka i powiedział mu, że ma z nim razem jechać na odpust do miasta. Nie upłynęło nawet pięciu minut, a już stała przed plebanią bryczka zaprzężona we dwa konie. Wsiedli, jechali tak szybko i dobrze, że aż zdziwił się proboszcz i przerwawszy pacierze przyglądał się swojemu parobkowi.

Jechali coraz dalej i oto na drodze zaczęły się dziać dziwne rzeczy.

Była tam niedaleko stara figura, przed którą ksiądz uchylił czapki i przeżegnał się pobożnie, a parobek nawet palcem nie ruszył. Potem wypadło im jechać przez wieś koło karczmy, na którą proboszcz żadnej nie zwrócił uwagi, a natomiast parobek odkrył głowę i znak krzyża na piersiach położył.

Bliżej miasta spotkali pogrzeb wspaniały. Prowadził go ksiądz i wielka ćma ludzi pobożnie śpiewała. Proboszcz zdjął czapkę, a parobek znowu wcale się nie poruszył.

Jadą dalej, a tu stara baba ciągnie w półwoziu trumnę na cmentarz. Ksiądz nie zwrócił na ten pochód nędzny żadnej uwagi, a parobek zdjął czapkę i począł się modlić żarliwie.

Proboszcz zdziwił się bardzo, ale nie przemówił ani słowa, tylko dziwnym tknięty przecuciem czekał, co będzie dalej.

Ujechali kawałek drogi, aż tu na pagórku ukazała się im szubienica. Przerażający był to widok. Człowiek na śmierć wydany dyndał na powrozie i obracał się za każdym uderzeniem wiatru, który jakby zawodził nad nim żałośnie.

Parobek nic nie mówiąc zatrzymał nagle konie, wyskoczył z bryki i poszedł się modlić pod szubienicą.

Ksiądz odwrócił głowę w drugą stronę i nie chciał nawet patrzeć na to.

Zajechali wreszcie do miasta. Ksiądz poszedł do kościoła mszę odprawiać, a parobek po pewnym czasie począł rzucać kamieniami w drzwi kościelne.

Wtedy proboszcz rozgniewał się bardzo i pomyślał, że przyjął na służbę jakiegoś bardzo przewrotnego człowieka.

Kiedy wrócili do domu, ksiądz, który po mszy wypił w mieście kilka kielichów wina, nabrał odwagi i kazał zawołać parobka na plebanię.

— Czemużes — zapytał — nie zdjął czapki przed świętą figurą, a pokłoniłeś się i zęgnałeś się, kiedyśmy przejeżdżali koło karczmy pełnej pijaków?

— Na tej figurze — odpowiedział parobek — diabeł siedział, a w tej karczmie było dwóch braci, którzy spotkali się po wielu latach, pili wprawdzie wódkę, ale cieszyli się sobą, jako że bardzo dawno jeden nie widział drugiego. Pan Bóg był w ich sercach, więc Panu Bogu się ukloniłem.

— A czemu na jeden pogrzeb nie zwróciłeś uwagi, a czapkowałeś przed drugim, gdzie nie było ani księdza, ani krzyża?



— Proboszczu, ten pogrzeb wspaniały, to był pogrzeb za pieniądze. Kmieć bogaty zapłacił, więc z wielką paradą wieźli grzeszne ciało do kościoła, choć duszę jego dawno już czart porwał. A z tym biednym pogrzebem i z tą starą babą szli święci, co śpiewali piękne pieśni, bo ten nieboszczyk dosyć się na świecie nacierpiał, żył w biedzie i niedostatku, ale został zbawiony.

— Modliłeś się pod szubienicą — zaczął znowu ksiądz — nie przeszkadzałem ci, ale nie rozumiem twojego postępu.

— Księżu, chcesz wiedzieć prawdę, więc poznaj ją. Modliłem się pod szubienicą, bo wisi na niej człowiek niewinny...

— Źle mówisz — zawołał ksiądz — bo przecież go osądzili i protokół z niego ściągnęli!

— Tak, księżu — odparł młodzieniec, uśmiechając się smutnie — sądzili go, przesłuchiwali, ale także łamali mu kości, szarpali i męczyli, a potem powiedzieli: przyznaj się, to cię puścimy wolno. On im uwierzył i przyznał się do tego, czego nie popełnił, a oni go za to powiesili.

Ksiądz nic na to nie odpowiedział, bo jako mądra osoba wiedział, że parobek prawdę mówi, ale korciła go jeszcze ostatnia sprawa i po chwili zapytał:

— A dlaczego rzucałeś kamieniami na dom boski?

— Proboszczu — odpowiedział parobek — ludzie pijani i nietrzeźwi drzemali podczas twojego kazania, więc uderzyłem we drzwi, aby się obudzili i słuchali słowa bożego.

Ksiądz zadumał się, coraz dziwniejszym wydawało mu się to, co usłyszał. Ogarnął go lęk i niepewność.

— Ktoś ty jest — zapytał nieśmiało — że wiesz o takich sprawach?

Wtem szaty zgrzebne parobka poczęły błyszczeć jak srebro i złoto, po czym stanął cały w bieli z wielkimi skrzydłami i jasność buchnęła od niego.

— Jam jest anioł — zawołał — posłany z nieba na ziemię...

Zniknął nagle, a ksiądz umarł z wielkiego przerażenia.



MĄDRY CHŁOP I GADATLIWA BABA

Bogaty szlachcic wydzielił gospodarzowi kawałek pola na odrodek. Jednego razu chłop z rozkazu dziedzica począł wywalać wielką przykopę *) w ogrodzie i właśnie w czasie tej roboty natrafił na jakiś zardzewiały kociołek. Zaciekawiony rozgarnął dobrze ziemię, oderwał pokrywę i oto przed jego zdumionymi oczyma błysnęło wiele pięknych, złotych dukatów.

Gospodarz srodze się ucieszył, kociołek z pieniędzmi schował tak, żeby go nikt nie zauważył i postanowił przyjść w nocy cichcem po niespodziewane bogactwo. Ale że kociołek był ciężki, nie wypadało inaczej jak brać go we dwoje na nosidlach, a więc trzeba było przypuścić kogoś do tajemnicy... najlepiej żonę i z nią razem zanieść dukaty do domu.

Na nieszczęście jednak babę miał bardzo głupią i gadatliwą. Nigdy ona języka za zębami utrzymać nie umiała i wszystko, co wiedziała, przed kumoszkami wypaplała. Różne już miał z nią korowody i dlatego od razu postanowił, aby ją przy tej okazji zażyć jakoś z mańki.

Pracował do śródmieczera, potem skoczył do miasteczka i nakuł tam dużo kielbas, bułek. Z tych kielbas zrobił niedaleko domu płot, bułkami obsadził pole, do więcierza włożył ptaka, który się złapał w sidła, a w sidłach zawiesił szczupaka, którego wyjął z więcierza. Potem wrócił do chałupy i jak zwykle baba zaczęła mu suszyć głowę, że żyją w takiej poniewierce.

*) ziemię wybierać około rowu.

— Ej — zawołał chłop — nie gadaj byle czego, chodźmy lepiej do więcierza i do sidel. Jeżeli tam coś znajdziemy, pójdziemy jutro do miasta i dobrze sprzedamy.

Poszli prosto dróżką ku lasowi, aż tu baba stanęła przed kielbasianym płotem i zaczęła się drzeć na całe gardło:

— Co za dziwo! Przecież to nie płot tylko kielbasy z czosnkiem.

— Chyba ci się zdaje... — odpowiedział gospodarz zadowolony, że mu się tak dobrze udało.

Baba obwąchiwała kielbasy, pochyliła się i trąciła nogą bulkę, która kamień udawała. Podniosła ją, omacała i woła znowu:

— Ej mężu, co za dziwo! Płot jest z kielbas, a zamiast kamieni bułki leżą.

— Jeżeli prawdę mówisz — rzekł chłop — zbieraj to wszystko do worka, będziemy mieli jedzenia na długi czas.

Zaczął jej pomagać i po chwili kazał babie zajrzeć do więcierza i do sidel.

Wróciła niebawem i zaczęła opowiadać:

— Jakiż to dziwny dzisiaj dzień! We więcierzu znalazłam ptaka, a w sidła złapał się szczupak.

Zaniesli to wszystko do chałupy i kiedy jedli wieszczę, chłop rzekł do baby:

— Wiesz powiedziałbym ci coś, ale żebyś nikomu o tym nie mówiła, bo byś wygadała nieszczęście...

Babie zapaliły się oczy z ciekawości i przysięgła mu na wszystkie świętości, że nawet jednym słówkiem sekretu nie zdradzi.

— A to wiesz żono — wyjawiał chłop — znalazłem w pańskim ogrodzie, przy robocie, kociołek z dukatami. Jest ich tak dużo, że musimy pojąć oboje i przynieść to na nosidlach.

Kazał jej ubrać się w najpiękniejsze chusty, sam wziął kropacz *) i zmaczał go dobrze we krwi zarżniętej gołębicy. Kiedy już był niedaleko tego miejsca, wziął ten kropacz i zaczął babę chlastać, a ona mówi:

— Taka piękna pogoda, gwiazdy świecą, a deszcz pada!

— To ty nie wiesz — odparł chłop — że jak pogoda, to deszcz czerwony idzie.

Poszli, wzięli kociołek na nosidła i wracali inną drogą do chałupy. Kiedy przechodzili koło dworskiej owczarni, słychać było stamtąd płaczliwe głosy owiec.

*) szmata na kiju, kropidło kowalskie do gaszenia węgla.

— Cóż to tak beczy? — zapytała baba wszystkiego ciekawa.

— Juźci — wytłómaczył jej chłop — pana diabli biorą i czeladka płacze.

Przyszli wreszcie do domu, zakopali kociołek z dukatami w stodole i poszli spać.

Gospodarz wstał rano w czas, wykopał swój skarb ze stodoły i na wszelki wypadek schował go dobrze w innym miejscu. Tymczasem baba obudziła się i zaczęła od razu domagać się od męża, żeby dał jej pieniądze na stroje, skoro są tacy bogaci.

Ale chłop pieniędzy dać nie chciał, jakiś czas sprzeciwiali się sobie, a potem rozeszli się w złości.

Kiedy przyszła kumoszka, nie mogła już baba wytrzymać i mówi do niej:

— Kumosiu, powiedziałabym ci coś pod sekretem, żebyś tylko przed nikim nie wygadała.

— O moja kumosiu, nie powiem nikomu.

I wyaplała jej wszystko. Tamta kumosią poszła do drugiej kumosi i opowiedziała jej to, co usłyszała. Po jakimś czasie wiedziała o wszystkim cała gromada i wnet dotrzęsło się to aż do samego szlachcica, który przyjechał zaraz ze swoimi sługami do ich chałupy i zaczął pomstować:

— Ty durniu, mnie wszystko zawdzięczasz, dałem ci pole do wyżycia, żebyś miał co jeść aż do samej śmierci, a ty dukaty na mojej ziemi wyorałeś i nic mi o tym nie powiedziałeś. Musisz mi oddać zaraz to, co znalazłeś!

I krzyczał coraz głośniej i walił batem po cholewach, aż się rozlegało.

Gospodarz zląkł się trochę, ale odpowiedział śmiało:

— Żadnych dukatów nie wyorałem, mam babę przeciwną, która różne bajki rozpowiada, ale któż by takiej głupiej wierzył.

Tymczasem baba wyleciała z zapiecka i bardzo zaperzona zaczęła wołać:

— Znalazłeś dukaty, znalazłeś w pańskim ogrodzie, sama z tobą kociołek na nosidłach do domu przyciągnęłam.

— A kiedy to było? — zapytał chłop - filut.

— O wiem dobrze, kiedy to było! — wrzeszczała baba. — Kiedy na dróźce pod lasem stał płot kielbasiany, a zamiast kamieni bułki w polu można było zbierać, kiedy w więcierzu ptaka znalazła, a w sidła szczupak się złapał.

Wszyscy zaczęli się śmiać z konceptów głupiej kobiety, a szlachcic zawołał:

— Oszalała baba!

— Może jeszcze coś więcej pamiętasz? — podjudzał chłop żonę, pewny już swego.

— Doskonale wszystko wiem — krzyczała zapamiętała — tej nocy gwiazdy świeciły, ale z nieba czerwony deszcz padał, a pana szlachcica diabli brali i czeladka płakała.

Wtedy dopiero pan się rozgniewał, że mu baba tak brzydko przygadała, kazał ją swoim sługom na ławce rozciągnąć i wypalili jej dużo kijów za to, że pana diabli brali.

Dla porządku ludzie dworscy stodołę gospodarza skopali, a kiedy tam nie znaleźli, wszyscy byli pewni, że baba zwariowała.

Wreszcie zostali tylko oboje w chałupie, a gospodarz rzekł do żony:

— Widzisz, mówilem ci: trzymaj język za zębami!

Od tego czasu baba milczała, jak zaklęta.



SKARBNIK

We wszystkich kopalniach polskich żyją duchy ziemne czyli podziemne zwane Skarbnikami. Są one przełożone nad wszelkimi skarbami i kruszcami, nie opuszczają prawie nigdy wnętrza ziemi i przychylnie do górników usposobione opiekują się nimi. Zjawiają się w różnej postaci. Czasami jako małe, nagie dzieci, to znowu do ludzi podobne. Często przesuwiają się po szybach, sztolniach, chodnikach jako sztygarzy albo żupnicy i podżupnicy. *) Nieraz przychodzą do ludzi w postaci chłopców piętnastoletnich niewielkiego wzrostu w kaftanach górniczych i pasach skórzanych, z lampą, a nawet z kilofem w ręku. To znowu widzi się światełko i osobę, ale nie można rozpoznać twarzy. Albo też z ciemności wylania się sama tylko ręka, a niekiedy światło niby ogień błędny przeleci koło człowieka i w szczelinie przepadnie, zimny wiatr owionie, strach do głębi przejmie i nic więcej nie widać. Wiadomo tylko, że to był duch kopalni.

Skarbnicy są właściwie dobrymi duchami, pomagają górnikom w pracy, wskazują gdzie najobfitsze pokłady rodzimego kruszcu, przestrzegają przed niebezpieczeństwem, zbłąkanych wyprowadzają na dobrą drogę. Nieraz Skarbnik przychodzi w górniczej kurcie do szybu, aby wyręczyć znużonego górnika. Dobrze przyjęty łupie za trzech i za trzech posuwa wózki, odkrywa najobfitsze żyły i najprostszą drogę z szybu do szybu wycina. Duch Ziemny wymaga jednak, aby człowiek zachowywał się przystojnie pod ziemią. Nie podobą mu się, kiedy ktoś tam gwizdże albo rzuca do szybu kamienia-

*) Urzędnicy górniczy w dawnej Polsce.

mi. Nieraz Skarbnik ukazuje się i grozi, a kiedy winowajca nie ukorzy się, cała sztolnia zawala się i grzebie go pod gruzami. Często Skarbnik przenosi za karę kruszec od jednego do drugiego górnik, a niesfornych chłopaków kijem łomocze. W kopalniach olkuskich opowiadano, że Duch Ziemny nie pozwala, aby pracowano w szybach w czasie południa, a także około północy. Nieposłusznych karze zasypywaniem się ziemi. Nie znosi również chodzenia z gołą głową. Dlatego nawet śleperki *) muszą nosić chustki na głowie, a górnicy to już wcale nie zdejmują czapek.

Wielka jest potęga i siła Skarbnika. Gdzie uderzy swoją siekierką na cieniutkiej laseczce, tam ziemia drży i zapada się. Nieraz slychać, jak te duchy kują kilofami pod ziemią, gdzieś w skale, jak zgrzytają łopatami i pracują w ukryciu niby górnicy, choć tam nie ma ani szybów ani chodników. Wówczas spodziewać się można odkrycia bogatych złóż kruszcu. Kiedy Skarbnik pojawia się, wita górników zwykłym „glück auf“, potem ogląda robotę i wtedy zazwyczaj gaśnie mu lampka. Zwraca się do pierwszego lepszego i prosi o ogień. Trzeba mu wówczas podać lampkę zawieszoną na kilofie, bo inaczej Skarbnik urwałby górnikowi rękę.

— Nie dlatego — tłumaczą — żeby chciał człowiekowi wyrządzić krzywdę, ale Ziemny Duch ma inną duszę i inną siłę niż my, a tej siły nie zawsze jest świadom.

Życie Skarbnika jest bardzo tajemnicze i właściwie mało znane. Górnicy opowiadają sobie o nim wiele dziwnych historii.

I tak we Wieliczce, gdzie są źródła i jeziora podziemne, sięgające aż do Gdańska, gdzie pojawiają się diabły i przepadają w kurytarzach zalanych wodą, gdzie spotyka się Białą Panią, a dusze pokutujące proszą o chleb i światło odkupienia, są także i Skarbnicy.

Pewnego razu pracującemu samotnie żeleźnikowi **) zgasł kaganek. Ponieważ jednak widział w oddaleniu kogoś ze światłem nadchodzącego, nie kłopotał się i nie trudził. Tymczasem niespodziewanie za pierwszym płomykiem zajaśniał w ciemności drugi, trzeci... dziesiąty... setny; dalej długim szeregiem drugie sto, trzecim trzecie. Światła płonęły wyraźnie, jak gdyby górnicy szli w ordynku paradnym dla uczczenia jakiejś uroczystości. Pochód zbliżał się coraz bardziej, jasność światła wzmagala się. Górnik zdjął czapkę i przypatrywał się korowodowi niemych, choć ruchliwych postaci. Mijały

*) Dziewczeta pracujące w kopalni jako pomocnice.

**) Robotnik wyrębujący sól żelaznymi narzędziami.

go jakby posągi z soli wykute, w czarnych strojach górniczych, bogato ozdobionych kryształami fioletowego lub żółtego koloru. Pośród nimi widniała postać króla w płaszczu przezroczystym, ukoronowanego mitrą złotą, zdobną w kwiaty solne.

Przed królem niesiono płomienistą chorągiew przymocowaną do oszczepu z kości słoniowej, a na tej chorągwi widniała srebrna kreska i trzy kółka. Każdy z pochodu niósł złoty kaganek na takimże łańcuszku, a ukoronowany podierał się srebrnym toporkiem, którym ku zdziwieniu żelźnika uderzał w ścianę solną, aż się szeroko przed nim rozwarła. Wówczas idący przodem zawrócili i tuż obok górnika zstąpili po stopniach do głębin. Tak przechodzili wszyscy. Pokorny górnik zapalił sobie kaganek, a jeden z przyjaznych duchów nalał mu oleju ze złotej lampy, poczem nakazawszy milczeniem zaciśnięciem dłoni, pomknął za drugimi. Niebawem znikł otwór we ścianie i jednocześnie wszystko przepadło. Górnik świecił otrzymanym olejem przez siedem lat i dopiero wtedy oleju zabrakło, kiedy żonie swojej dziwną historię opowiedział. Żelźnik nie dowiedział się też nigdy, co oznacza cyfra tysiąc. Czy epokę istnienia żup czy też była to jakaś przepowiednia na przyszłość.

W tej samej Wieliczce był podżupnik bardzo srogi dla górników, których często krzywdził zarówno przy wypłacie jak i przy rozdzielaniu soli. Raz nawet zaprzeczył pensję biednej wdowie po górniku, podając za przyczynę brak metryki ślubnej. Stawali nawet świadkowie wesela, ale nic to nie pomogło, a wdowę skrzywdzono w dwójnasób, na czci i na płacy. Właśnie tego dnia, kiedy jej odmówiono pensji, niesprawiedliwy podżupnik zjechał do szybu. Nie odczuwał wyrzutów sumienia i chodził po kopalni z lekkim sercem. Dopiero, kiedy mijał kaplicę św. Antoniego, ogarnęła go przemożna, niczym niewytłumaczona bojaźń. Dla dodania sobie odwagi począł gwizdać. Wtem i on i chłopiec niosący światło usłyszeli za sobą ciężkie stąpanie. Chłopiec obejrzał się i krzyknął przerażony, albowiem tuż obok drżącego urzędnika szła powolnym krokiem jakaś postać i groziła krzywdzicielowi. Strwożony chłopak umknął do kaplicy św. Antoniego i tam zaczął się modlić. W siedem dni po tym wydarzeniu ziemia zasypała podżupnika.

W kopalni wielickiej znajduje się głęboko ukryta komora, w której przechowują się kosztowności wyniesione podczas wielkich wojen z Krakowa, z kościoła Mariackiego i Dominikańskiego. Stoją tam beczki pełne złotych i srebrnych pieniędzy, a w szafach przy ścianie jarzą się monstrancje i kielichy, lśnią drogimi kamieniami wy-

sadzane ornaty. Skarbów tych pilnują Skarbnicy. Chodzą oni po kopalni w postaci ludzkiej, niosąc przed sobą wielkie, czerwone światło. Do komory ze skarbami dostać się nie podobna, bo kto się do niej tylko zbliży, zaraz gaśnie mu światło. Pewnego razu jednak Skarbnik obiecał dwóm górnikom, że ich tam zaprowadzi. Gdy szli za nim, jeden z górników strugał przez drogę kawałek drzewa, aby według porzuconych trzasek znaleźć potem drogę do skarbcza. Widzieli wprawdzie wszystkie drogocенności, ale kiedy wracali porzuconych strużyn już nie było. Wtedy drugi wyjął kredę i znaczył kreski na ścianie chodnika. I to nie wiele pomogło. Na drugi dzień poszli w tę stronę z kilkoma towarzyszami, błakali się długo i niczego nie znaleźli. Wszystkie ślady znikaly.

Podobna przygoda przytrafiła się innemu górnikowi wielickiemu.. Ukazał mu się Skarbnik w postaci sztygara, pozdrowił i kazał iść za sobą. Mijali jedne chodniki za drugimi, coraz to inne i coraz bardziej obce górnikowi, który przecież już od lat kilkunastu w Wielicze pracował i znał dobrze całą kopalnię.

Po pewnym czasie sztygar odwrócił się do towarzysza i zapytał:

— Masz kredę?

— Nie mam.

— No to weź tu kawałeczek i znac sobie drogę na ścianach, abys trafił z powrotem.

Po długiej wędrówce doszli do takiego miejsca, w którym znajdowały się ogromne skarby.

— Możesz stąd brać, ile ci się podoba — rzekł Skarbnik — nie wolno ci tylko nikomu zdradzić tajemnicy.

I znowu poprowadził go dalej, aż doszli do sztolni, w której wiodły w górę drabiny.

— Idź tędy! — rozkazał Duch Ziemi i zginął z oczu.

Górnik zdumiewał się coraz bardziej. Takich drabin i takiego wyjścia nigdy nie widział. Kiedy wydobył się na wierzch, wszystko co oglądał było mu zupełnie obce. I ludzie i sztolnie i cekhauz. Dopiero kiedy dozorczy zobaczyli obcego górnika, wydało się, że wyszedł na świat szybem w Bochni. Uniesiony dziwnością przygody wygadał wszystko, niepomyślnie przestrogi Skarbnika. Skutek był łatwy do przewidzenia. Drogi, którą przeszedł z Wieliczki od Bochni, wskazać nie umiał. Skarbu ukrytego także nie odnalazł. Szczęście, które się doń uśmiechnęło, na zawsze przepadło.

Skarbnicy dają się widzieć w wielu innych kopalniach polskich. W Sierszy, w Tęczynku, w Jaworznie i w Dąbrowie Górniczej, gdzie

wydobywają czarny węgiel i nawet w tych wioskach, gdzie dokonano się siarki, jako to we Sworzowicach i Wrząsowicach. Najwięcej ich się jednak spotyka w starożytnych kopalniach olkuskich. Każdy z nich ma tutaj wyznaczoną część ziemi i kopalnię, której pilnuje. Duchy Ziemne często pokazują się pracującym górnikom i często im pomagają.

Był na przykład górnik biedny, który do tego bardzo lubił napijać się. Roboty mało patrzył, zresztą nie darzyła mu się prawie nigdy. Wypychali go na najgorsze. Jednego razu tak mu ciężko szło, że aż westchnął głośno:

— Cóż ja tu biedny zarobię?

Zaturbował się, siadł na kamieniu, wyjął kawałek podpłomyka i zaczął przegryzać. Wtem zjawił się Skarbnik. Górnik przestraszył się, ale pozdrowili się i Duch Ziemny zapytał:

— Co ty jesz, podobiadek czy śniadanie?

— Śniadanie... — odpowiedział nieśmiało górnik.

— Tu będziesz robił?

— Tu, bo mi ludzie nic lepszego nie dali.

— No, to ja ci pomogę — rzekł Skarbnik. — Pokażę ci rudę na srebro, żebyś choć raz dużo zarobił.

Powiodł go zaraz w takie miejsce, gdzie tej rudy lśniącej od kruszcu było pod dostatkiem.

— Możesz kopać ile chcesz — rozkazał Duch Ziemny — bylebyś z odebraną zapłatą wrócił na kopalnię i podzielił się ze mną.

Powiedziawszy to znikł.

Górnik ucieszony pobiegł na górę do urzędników.

— Pozwólcie mi, panowie — zawołał — kopać rudę na srebro!

— Co ty bredzisz — odpowiedzieli — tu w Olkuzie jest przecież tylko galman i kruszec ołowiany. Czasy srebra dawno już minęły. Ale jak potrafisz, to kop srebro!

Myśleli, że się upił i plecie jakieś koszałki opalki.

Ale górnik zabrał się z wielką ochotą do pracy. Pod koniec miesiąca miał już tyle tej rudy, że na wypłacie wziął pieniądze tysiącami. Wedle woli Skarbnika zawiózł je na taczkach pod ziemię. Duch już na niego czekał. Wziął żytnią słomkę, przeciągnął ją przez szerokość szybiska, sam usiadł na jednym końcu, a górnik na drugim.

— Teraz będziemy się dzielić...

— Eh — powiada górnik — taka masa pieniędzy, jak my to zrachujemy?

— No — odrzekł Skarbnik — będziemy rozkładać na dwie kupki.

Na samym końcu został tylko jeden grosz.

— Kto weźmie ten grosz? — zapytał Duch.

— Ha — zawolał górnik — niechże go sobie pan zabierze!

— Twoje szczęście — odpowiedział Skarbnik — żeś na pieniądze nie łapczywy. Weź sobie to wszystko, ale więcej już na dół nie schodź, bo twoja śmierć będzie. No, glück auf!

I znikł bez śladu.

Od tego czasu górnikowi powodziło się aż do samej śmierci. Pewnie dlatego, że go w kopalni nikt więcej nie ujrzał...

Jeszcze dziwniejsza przygoda wydarzyła się innemu olkuskiemu górnikowi. Miał on zwyczaj zawsze samotnie pracować w kopalni. Pewnego razu przyszedł do niego Skarbnik w postaci małego górnika.

— Glück auf!

— Glück auf — odpowiedział górnik i przerwał robotę.

— Dlaczego ty sam pracujesz? — zapytał Duch.

— Bo mi się tak najlepiej robi...

— A ze mną chciałbyś zawiązać spółkę?

— Dlaczego nie, tylko, że tutaj dla jednego ledwo starczy roboty...

— Nie zważaj na to — odpowiedział Skarbnik — że jestem mały. Pokażę ci swoje sztuki, aż się zadziwisz.

Obejrzał wszystko, kazał mu zostawić narzędzia, wziąć ze sobą chleba, a potem zaprowadził go w takie miejsce, gdzie było wiele kruszcu. Tu się znowu pozdrowili i górnik zabrał się ochotnie do pracy. Po niedługim czasie jednak Skarbnik kazał mu zostawić robotę i prowadził go różnymi drogami. Zdawało się, że dojść nie mogą do żadnego kresu. Posuwali się prawie po omacku, to w górę to w dół. Zaszli w jakiś daleki, tajemniczy, choć niewidzialny świat. Zewsząd dochodziły dziwne odgłosy, ale poza krótkimi rozbłyskami nie było nic widać. Wreszcie górnik zmęczył się tak bardzo, że poprosił o odpoczynek. Zjadł swój chleb, za zgodą towarzysza położył się i zasnął. Kiedy wreszcie przebudził się, Skarbnik zapytał go:

— A wiesz ty jak długo spałeś?

— Chyba ze trzy godziny...

Skarbnik kiwnął tylko na to głową i znowu poszli dalej. Tym razem doszli niebawem do takiego miejsca, gdzie był szyb i wyjście

z kopalni. Skarbnik dał mu trzy złote pieniądze i kazał iść do miasta po chleb.

Zaledwie jednak górnik ukazał się na wierzchu, śleperzy, którzy wał obracali, strasznie się jego widoku przestraszyli, rzucili wszystko i zaczęli uciekać.

— Chyba zwariowali... — pomyślał górnik i poszedł do miasta.

Ale i tutaj wszyscy gapili się na niego jak na jakieś dziwowisko. Miasto było nie to samo, co dawniej. Inni ludzie, inne ulice. Domu rodziców, którzy tutaj mieszkali, w żaden sposób odnaleźć nie mógł. Wreszcie podszedł do straganu i chciał kupić chleb. Ale nie mógł się ze straganiarką dogadać, a kiedy pokazał jej pieniądze, okazało się, że to były pieniądze nieznane. Nawet nie słyszano o takim królu, którego portret się na nich znajdował. Nie wiedząc co to wszystko właściwie znaczy, kupcowa zawołała policjantów, a ci zaarrestowali go jako oszusta. Podczas przesłuchania niepodobna się było dogadać. Dopiero sprowadzili jakiegoś mądrałę, który mu wytłumaczył, że mówi tak jak ludzie przed stu pięćdziesięciu laty. Kiedy dali mu się przejrzeć w lustrze, przerażony zobaczył jak bardzo się zmienił. Urosła mu wielka siwa broda, twarz pomarszczyła się zupełnie, cała postać zmieniła się do niepoznania. Widać naprawdę przespał pod ziemią wiele lat.

Teraz go już nikt nie zatrzymywał. Wrócił do kopalni, gdzie czekał Skarbnik.

— Cóż tam widział? — zapytał go.

— Oh, nie wiedziałem co się ze mną stało, gdzie jestem właściwie, dopiero w mieście wytłumaczyli mi, że od tego czasu kiedy położyłem się spać, minęło wiele lat. Cóż teraz ze mną będzie?

— Nic to — odpowiedział Skarbnik. — Wracaj do swojego domu. Będziesz szedł tam bardzo długo, co najmniej dwa lata. Pamiętaj, że w pierwszym tygodniu trzeciego roku masz być znowu w kopalni. To się ze mną zobaczysz...

Dał mu na drogę dużo pieniędzy i złota. Droga trwała rzeczywiście dwa lata. W domu nie znalazł już ani żony ani dzieci. W mieście nie było znajomych. W to, co opowiadał, nikt wierzyć nie chciał. Dopiero w starych książkach wyczytali urzędnicy, że przed stu pięćdziesięciu laty był rzeczywiście taki górnik, który poszedł pod ziemię i nigdy stamtąd nie wrócił.

Świat był obcy i nieprzyjemny, ani on ludzi, ani ludzie jego nie rozumieli. Z utęsknieniem czekał na powrót do kopalni w oznaczonym terminie. Niepokoił się bardzo, kiedy Skarbnik nie zjawił się

od razu. Po pewnym czasie jednak wyłoniła się ta sama mała postać z lampką w ręku, postać, z którą rozstał się dwa lata temu.

— Glück auf! — zawołał Skarbnik.

— Glück auf! — odpowiedział górnik i niepytany opowiadał wszystko, co widział i przeżył.

— Nic to — rzekł Duch Ziemny — teraz znowu ruszymy na wędrówkę, ale nie będziemy już brodzić w ciemnościach. Pokażę ci teraz skarby, które są pod ziemią.

Przeprowadził go najpierw przez stare szybska, przez martwe sztolnie i grotty, do których człowiek dociera z trudem na czworakach. Oni natomiast przesuwali się wszędzie tutaj swobodnie i zstępowali coraz niżej. Tam właśnie ukazały się zdumionym oczom górnika olbrzymie filary kruszcu, ukazał się wspaniały, złoty stół, który jakby wymierzył, pod samym znajduje się Olkuszem. Dalej ciągnęły się nieskończone pokłady srebra, a gdzieś tam nawet czyste złoto strumieniem się lało.

— Dawniej — objaśnił Skarbnik — to wszystko dostępne było olkuskim górnikom, którzy też doszli do wielkiego bogactwa. Były czasy, kiedy nosili srebrne podkówki i mieli srebrne klamki u drzwi. Ten dostatek tak ich jednak zepsuł i rozzuchwalił, że za karę wszystkie kruszce tej ziemi zapadł się głęboko.

Wędrowali jeszcze długo i wciąż nowe oglądali skarby. Wreszcie Skarbnik hojnie obdarzył górnika i kazał mu wracać na ziemię, aby tam reszty dni swoich dokonał.

— Czy mogę opowiadać o tym, co widziałem?

— Możesz — odparł Duch Ziemny — możesz nawet namawiać ludzi, aby szukali skarbów, które czekają kilofa...

Na próżno jednak górnik przekonywał ludzi, że należy ruszyć na podbój ziemi. Nikt go słuchać nie chciał. Jedni brali go za wariata, drudzy za oszusta. Po niedługim czasie rozum mu się pomieszał, a do kruszców głęboko ukrytych nikt dotychczas nie dotarł...



ZAHANDLOWALI.

Stary Badura z Bystrego nie poszedł do kościoła, bo był przeszłej niedzieli na Istebnem, i został w domu. Jego baba płatała się po izbie, a on siedział na lawie, nad czymś rozmyślał i nic nie mówił. Naraz jakby mu się coś przypomniało, powiada do baby:

— Maryna, a uwarz mi co, bo trzeba mi kajsik jechać.

— A kajśbyś jechał?

— Kany? Ano do Cieszyna na koński jarmark. Jutro jest poniedziałek po pierwszym, tobym sprzedał nasze kobyłątko i kupiłbym jakiegoś większego konia.

— No, jak tam już rozumiesz — powiedziała baba — bylebyś tylko diabła nie sprzedał, a czarta nie kupił. To ci zagrzeję kawałek świńskiej nogi i jedź.

Chłop się wziął, wyrychtował wóz, zaprzął konia, a baba pitrasi, to znowu magluje wypraną koszulę. A on tymczasem obrządził wóz, wziął na drogę siana i siczki, umył się trochę, przycesał włosy, zmienił koszulę i siadł do stołu, żeby coś przegryźć. Baba mu postawiła miskę z polewką, drugą z ziemniakami, a trzecią z kapustą i rzecze:

— Jedz, a kąsek mięsa zawinę ci do siatki, na drogę.

Nareszcie siadł na wózek, pożegnał się z babą i wio do dołu.

Niech Pan Bóg strzeże przed taką drogą, jaka jest z Bystrego pod Kępę. Badura z wózka jednak nie zląził, hamulec miał dobry i jakoś jechał. Jak się już wystrząsł po tych wybojach, korzeniach i pniach, to nareszcie wyjechał na równą drogę, uspokoił się i pomyślał, że czasu jest dosyć i warto wstąpić na ćwiartkę do karczmy,

co siedziała przy drodze. Zajechał, przywiązał konia do sztachet i wszedł do środka.

— Nalejcie ćwiartkę! — rozkazał karczmarzowi.

Siedział, popijał i nad czymś tak rozmyślał, aż tu naraz nadjechał stary Korbas z Hyrcawego. Zobaczył konia obróconego w stronę Jabłonkowa i poznał, że ktoś tak jak on jedzie na targ. Zlął tedy z wozu, wszedł do izby, pozdrowił i zobaczywszy Badurę, zaraz go spytał:

— A kajś jedziesz?

— Na targ do Cieszyna, chcę jakiegoś większego koniczka kupić, a tę swoją kobyliczkę sprzedać.

— To jakby cię Pan Bóg zesłał, ja też po to samo. Dyć mam dobrą szkapinę, ale trochę przymała.

— No to siadaj, mamy czas, wytchnij! No nalejcie nam czystej do tej samej ćwiartki.

I rozwiązały im się gęby. Gwarzyli o koniach, o pogodzie, o babach, o gospodarce. A jak wypili ćwiartkę, kazali sobie dać jeszcze jedną i drugą, bo mieli czas, a potem jeden z nich mówi:

— No! ale trzeba się nam ruszać!

— Już, już — powiada drugi — pojedziemy, tylko wypijemy jeszcze jedną ćwiartkę po połowie. Nalejcie tam!

Karczmarzowi nie trzeba było dwa razy powtarzać, zaraz napełniła się ćwiartka. Chłopi siedzieli i pili, a kiedy już sięgnęli dna, powiada drugi:

— Teraz na mnie kolej! Nalejcież tam jeszcze jedną!

I znowu napełniła się ćwiartka. I kiedy tak pili, przemówił Korbas:

— Po kiego diabła nam jechać do miasta. Konie nasze są dobre, to pocóż się ich wyzbywać? Posiedźmy raczej z godzinkę tutaj, wypijmy coś jeszcze i jedźmy z powrotem do domu.

A Badura mówi na to:

— Dyć dobrze mówisz kamracie, ale cóż baby na to powiedzą?

— Baby? Do licha z babami! Ty masz dobrą kobyłę i ja mam dobrą kobyłę, to się na nie zahandlujmy, a babom powiemy, że się nam w drodze trafiły dobre konie, tośmy nasze sprzedali, a lepsze kupili.

Badura zgodził się od razu:



— Chodźmy! przegrzgniemy kobyły, potem sobie wypijemy hałdamasz*).

I tak zrobili i pili, aż nastąpiła éma na polu i we łbach. Karczmarz widząc, że mają już dosyć, począł ich wypychać do domu. Pomógł wsiąść na wózek, bo przecie od południa tych éwiartek było dużo. Wetknął im lejce do rąk i pojechali..

Ale nie trwało długo, a obaj zwałili się w półkoszki. Konie szły same. Kobyła z Hyrcawego wiozła Badurę na Hyrcawe, a kobyła Badury wiozła Korbasa w górę ku Bystremu. Chłopi spali i jeszcze spali, kiedy ukołysały ich i wytrzęsły wyboje. Konie szły pięknie do domu, każdy do swojego i zatrzymały się naprzeciwko sieni. W tych stronach chałupska są wszystkie jednakowe, a łóżka stoją w nich zawsze naprzeciwko drzwi. Chłopi obudzili się, kiedy wozy przestały kiwać się z nimi. W głowach jeszcze szumiało, więc na nic nie patrzyli. Każdy wiedział, że jest w chałupie. Zlazł tedy z wózka i wali do izby, prosto do łóżnicy ku babie, a żaden się nie zmylił, bo jaka chałupa Korbasowa, to także Badurowa. A baby też po ciemku nie poznały, że to nie ich chłopi, tylko sobie myślały: „Dziś ci nic nie

*) Zwyczajem uświęcony poczęstunek po skończonej robocie lub po dobieciu targu.

powiem, bo masz pałę zalaną, ale za to jutro, jak ci z głowy trochę wyszumi . . .“

Jeszcze im kerpce i nogawice pościagały i spały, a chłopci przy nich.

Aż tu rano, jak się zaczęło rozwidniać, patrzy baba, czy już chłop się budzi, bo już język zaczął ją swędzić. Patrzy, dziwi się i nie może swojego chłopca poznać. A on śpi smacznie. Wzięła baba szczepkę, podpałała, świeci i widzi, że to nie jej chłop.

— Na diabłaście tu przyszli!

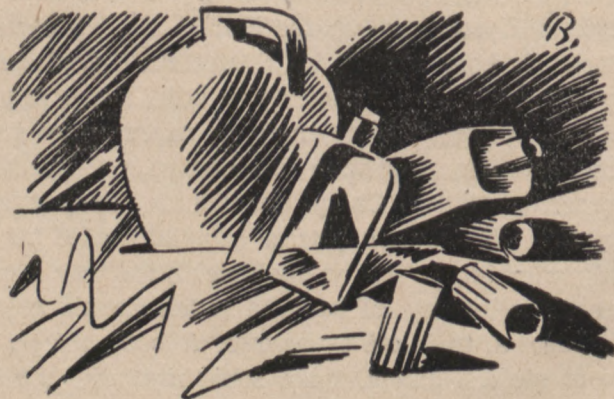
Chłop otwiera oczy, dziwi się i widząc nieswoją babę, powiada:

— Cóż to za baba pcha się do mojej łóżnicy?

I przez dobrą chwilę wydziwiają się jedno na drugie i dogadują sobie, aż chłop wstał, wyrzał przez okno i dopiero teraz się opamiętał. Dopiero wypytuje babę i zbiera się do odjazdu. Baba zaś usmażyła szperek i dała chłopcu śniadanie. On podjadł sobie, podziękował, siadł na wóz i pojechał.

Tak było na Hyrcawem i tak na Bystrem.

Jak zjechał Badura z Hyrcawego pod Kępę, to zobaczył, że Korbas jedzie w jego kobyłę od Bystrego. Przywitali się pięknie i poszli do karczmy. Siedli za stołem, kazali sobie nalać éwiartkę i zaczęli gwarzyć o tym, jak się który wyspał i co jadł na śniadanie. Najbardziej śmieli się z tego, że chcieli zahandlować kobyły, a zahandlowali baby . . .



NIEMIEC KAMIEŃSKI

Do Kamienia, niedaleko Sokołowa, przyszedł jakiś Niemiec i tam zamieszkał. Kupił sobie piękny dom, ogród, sad i cztery stajania gruntu. Przy sobie nie miał nikogo, ani córki, ani syna, ani stryjka, wujka, swata, ani żadnej służki, choć trzymał dwie krowy, jednego konia i psa. W domu, w polu i na obejściu wszystko sam robił. Sprawił pole, orał, siał, żął, pokładał, krowy i konia pasał, nawet sam sobie warzył.

Do żadnego z Polaków nawet słowem jednym nie zagadał. Mówili ludzie, że po polsku, po naszemu nic nie rozumie. Czasami tylko z Niemcami gwarzył, ale i oni od niego stronili, jakby się czegoś bali. Pomiędzy sobą Niemcy o Niemcu Kamieńskim dużo szwargotali, naszym jednak nic prawdy powiedzieć nie chcieli. Ludziska z nich przecież skryte. Byleby się im dobrze działo, o nas nigdy nie dbali.

Zachodzili nasi na najrozmaitsze sposoby, żeby się co nieco o tym dziwnym człowieku dowiedzieć. Ale cóż, kiedy w dzień on sam siebie zamykał, a w nocy zły pies ujadał i nikogo nie dopuszczał. Ludzie namawiali piękne dziewczyny, a one przypodchlebiały się Niemcowi, który musiał mieć bardzo dużo gotowych pieniędzy. Ale on się do nich nawet odezwać nie chciał. Wybrał się do niego z namowy ludzkiej Żyd dla handlu dobrego, a on i jego nie puścił.

Kiedy już żadnego nie było sposobu, dwóch urlopników, walnych chłopaków, kupiło w mieście trucizny i zmieszało ją z mięsem. W nocy zakradli się do Niemca, cisnęli gałki psu, a ten zjadł i wnet zdechł. Chłopacy ruszyli śmiało do chałupy z kijami, a tu drzwi niezamknięte. Zaczęli szukać Niemca, lecz nigdzie nie było widać czło-

wieka. Tylko chmara kruków krakała na stole, na ławach i na przy-
piecku. Ponad nimi wysoko na piecu siedział jakiś olbrzymi, żółty
ptak z krzywym dziobem i długimi, ostrymi pazurami. Wszystko
cisnęło się na wojaków z wrzaskiem okrutnym. Wtedy starszy pa-
robek wystrzelił z puszczela i zabił dużo kruków, a resztę drugi po-
wybijał palicą. Najcięższa była robota z wielkim, żółtym ptakiem.
Wojowali z nim nasiekami i żelaznymi widłami, aż go wreszcie za-
tłukli.

W chałupie znalazły się srogie skarby. Chłopaki zabrali tyle, ile
unieść mogli i uciekali z nimi za lasy i rzeki. Ale kiedy niedaleko
Leżajska trafił ich północek na Sanie, potopili ich tam diabli ze-
wszystkimi bogactwami.



TRZY OSŁY

Do starca idącego drogą podeszło trzech młodych ludzi i tak kolejno do niego przemawiać zaczęli:

- Witajcie panie Abrahamie!
- Co tam słychać panie Izaaku?
- Jak się macie panie Jakubie?

Przywitawszy go w ten sposób stanęli sobie na boku i śmieli się do siebie bardzo zadowoleni.

Wówczas starzec w te słowa się do nich odezwał:

— Ja nie jestem ani Abraham, ani Izaak, ani Jakub. Ja jestem synem starego Kosmy, a mojemu ojcu zginęły trzy osły. O, jakie wielkie szczęście, że udało mi się nareszcie je znaleźć...

ZŁA BABA

Stary Kocim opowiadał, że kiedy jeszcze Katowic nie było i kiedyśmy chodzili do kościoła w Mikułowie, zdarzył się taki wypadek:

Jednemu z naszych umarła żona. A było to już na jesieni. Na drogach przeszkadzały wyboje i błoto. Mój syn wioził tę kobietę na cmentarz. Jechał lasem. Nad „Grycowym dołem“ wóz się majtnął i uderzył o pniak. Trumna z nieboszczką spadła z wozu do wody, wieko otworzyło się, a baba ożyła. Chodziła potem jeszcze kilka lat po świecie i była zawsze taka zła, że diabeł by jej chyba nie strawił. Wreszcie po raz drugi umarła. I znowu mój syn miał ją zawieść na cmentarz, do Mikułowa. Kiedy ruszał w drogę, mąż nieboszczki tak powiedział do niego:

- Tylko pamiętaj, żebyś mi jej po raz drugi nie wskrzesił...

K R Ó L E W N A - S T R A C H

Pewien król nie miał, widać, łaski ani u Boga ani u ludzi, bo nie mógł się doczekać żadnego potomstwa. Poddani jego zaczęli wreszcie szemrać, niezadowoleni, że po śmierci króla nie będzie miał kto rządów sprawować. Podejrzewano nawet królowę o niewierność małżeńską, bo jak to powiadają, tylko na wydeptanej ścieżce trawa nie urośnie.

Wreszcie po wielu latach małżonka królewska zaszła w ciążę, ale tak długo chodziła brzemienna i dziecka urodzić nie mogła, że król zrozpaczony począł domagać się wbrew woli boskiej:

— Niechby się jakieś dziwo urodziło, byleby tylko było!

Przyszła wreszcie na świat córka królewska, ale już w żywocie matki była przeklęta i urodziła się czarna jak murzyn. Król zafra-sował się bardzo i patrząc na niesamowitą postać dziecka rzekł do żony:

— Ano trudno! co Bóg dał chować musimy . . .

Kazał ją samą jedną w osobnej zamknąć wieży, aby nikt nie oglądał jej czarnego oblicza. Zwolywał tylko wszystkich doktorów, ludzi mądrych i filozofów, aby mu córkę wyleczyli. Wszyscy razem dużo rozprawiali o zapatrzeniu się jakimś matki czy na planetę, czy na stworzenie nieczyste, ale nic poradzić nie umieli.

Znalazła się tylko jedna prosta, stara kobieta, która przepowiedziała królowi, że jego córka umrze w osiemnastym roku, ale być może odmieni się jeszcze jej zły los, wróci do życia i stanie się najpiękniejszą dziewczyną na świecie.

Jak baba gadała, tak się i stało.

Córka królewska umarła w osiemnastym roku życia, a zanim umarła prosiła ojca, aby ją pochował w grobowcu kościelnym i aby co noc żołnierz pełnił wartę na jej grobie.

Król wyprawił jej pogrzeb okazały. Zawieźli ją do kaplicy królewskiej w trumnie wspaniałej wśród bicia dzwonów, łopotu chorągwi żałobnych i modłów liczного duchowieństwa.

Zaraz pierwszej nocy stanęła u jej grobu warta oficerska. Król postarał się jeszcze lepiej, niż tego przed śmiercią królowna zażądała. Kiedy jednak wybiła godzina dwunasta, otworzyła się trumna i wypadła z niej córka królewska o czarnej twarzy. Od razu udusiła młodego oficera i krew jego wypila, a potem zaczęła broić po kościele. Łamała świece u ołtarzy, poprzewracała krzyże i ławki, druzgotała obrazy i święte figury, gruchotała i rwała chorągwie. Skakała i tańczyła pośród kościoła niby upiór straszliwy i dopiero, kiedy kur zapiał, położyła się z powrotem do trumny.

Przestraszył się bardzo król i dworzanie jego, kiedy rankiem dnia następnego poznali co się działo w kościele. Jeszcze raz wystawili wartę oficerską i jeszcze jeden młodzieniec zginął marną śmiercią.

Struchlały wówczas wszystkie serca. Nikt z oficerów ani żołnierzy nie chciał iść do kościoła na zgubę niechybną. Mówili niektórzy, że córka królewska jest chyba strzygą albo nocnicą, że najlepiej będzie głowę jej odciąć, pod pazuchę włożyć i ciało odwrócone na cmentarzu pochować. Wtedy na pewno straszyc przestanie. Ale król pragnął dotrzymać tego, co córce przed śmiercią przyrzekł, kazał zwołać całe swoje wojsko i uroczyście zapowiedział, że kto czarną królową wybawi, temu niczego nie odmówi, choćby prośba najśmielsza była.

Nie było jednak nikogo tak odważnego, co by chciał pożegać się z tym światem i iść na wartę do kościoła.

Wreszcie znalazł się jeden wiarus, który już siedem lat w wojsku służył i wszyscy go za ladaco mieli. Nigdy on nie był u spowiedzi, żył bez wiary i czci, gorzałę nad wszystko ukochał, a co miał, to przepił. Wiedział on, że kiedy służbę skończy, nic go dobrego nie czeka. Za żołnierską wysługę dadzą mu kilka groszy, mundur polatany i kostur na drogę. Będzie po świecie wędrował i z głodu przymierzał. Nie mając tedy wiele do stracenia, wystąpił z szeregu i powiedział, że pójdzie na stracony posterunek, jeżeli mu na tę straszna noc ofiarują dobry poczęstunek i dużo gorzały. Chcieli mu dać

kwartę brambuli *), ale on zauważył, że gardło ma wypalone i trzy kwarty nie będzie za wiele.

Kiedy dostał wszystkiego, jak się patrzy, wyruszył śmiało. Starszyzna odprowadziła go z honorami, bo go mieli za straconego. Otworzył drzwi od kruchty, wszedł do kaplicy i od razu wziął się do gorzały. Pociągnął raz i drugi, ale odwagi nie nabrał. Ciemno tu było i straszno. Tylko przez jedno okno padało światło księżyca i skroś całej kaplicy drżały błyski niespokojne. Cicho było tak, że aż w uszach dzwoniło, ale zdawało się, że lada chwila zacznie się rozruch piekielny i upiór z trzaskiem podniesie wieko od trumny.

Stary wiarus przycupnął w ławce i rozmyślał nad swoją dolą nieszczęsną.

Jeżeli z kościoła ucieknie, kula na pewno go nie ominie. Jeżeli zostanie, to z ciałem będzie jak będzie, ale dusza zostanie potępiona. Rad byłby bardzo się wyspowiadać, ale tu przecież księdza nie było, a gdyby chciał księdza szukać, to by go tchórzem nazwali. I nie wiedział co ma ze sobą zrobić! Przypominał sobie najgorsze wojenne przygody i duch zawadiacki go przejmował, a po chwili znowu truchlał o swoją grzeszną duszę.

Wtem zegar wybił powoli i uroczyście godzinę dziesiątą. Głos jego wśród ciszy wydał się tak przejmujący, że stary żołnierz nie dotrzymał placu i uciekł z kaplicy.

Było mu już wszystko jedno, biegł przed siebie, byle dalej od tego miejsca, gdzie przez dwie noce z rzędu panoszył się upiór krwi chciwy.

Uciekał, uciekał, nie wiedząc dokąd tak pospiesza, aż wreszcie wpadł na cmentarz, pomiędzy groby i tu dopiero usłyszał niespodziewanie głos jakiś:

— Żołnierzu, czemuż to biegniesz tak przestraszony?

Spojrzał i zobaczył przed sobą dziadka siwiuteńkiego z długą brodą. Twarz miał jasną i dobrą. Stary żołnierz uspokoił się od razu i opowiedział mu wszystko, tak prawie, jakby się spowiadał.

— Nie uciekaj, wojaku, — przykazał dziadek — wróć do kaplicy, bo ci się tam nic złego nie stanie. Rozbierz się tylko, nałóż bagnet na karabin, wbij go przy ławce, włóż nań płaszcz i czapkę, sam zaś schowaj się za wielkim ołtarzem i siedź tam spokojnie, choćby nie wiem co się działo.

*) Gorzałka, zwana także brandebulą, bradziacką albo brantuchą.

Żołnierz ośmielił się, wrócił do kaplicy i zrobił wszystko tak jak mu dziadek radził.

Kiedy północ wybiła, trumna otworzyła się z wielkim łoskotem. Czarna królowna wyskoczyła na środek kaplicy i zobaczywszy karabin płaszczem owinięty zawołała:

— A to mam dzisiaj dobrego, młodziutkiego żołnierzyka.

Chwyliła karabin, zgrzytnęła zębami i od jednego zamachu przecięła stal. Kiedy jednak poznała, że to nie człowiek, zawołała głosem straszliwym:

— Ojciec mnie żywcem pogrzebał i nie dał mi nic do jedzenia. Chyba, że ten prawdziwy żołnierz schował się tu gdzieś przede mną!

Zaczęła uwijać się po kościele i szukać wszędzie, ale go znaleźć nie mogła.

— Ach wiem, gdzie ty jesteś! — krzyczała.

Ale żołnierz nie odzywał się i nie pokazywał, tak jak mu dziadek nakazał. A ona tak była zajęta szukaniem, że już nie stało czasu na dziękę po kościele hulankę. Ani świec przy ołtarzu nie łamała, ani obrazów i świętych figur nie druzgotała, ani chorągwi nie rwała.

Żołnierz spoglądał ku niej z lękiem śmiertelnym i widział jej oczy gorejące, do błędnych ogników podobne.

Wreszcie przyszedł na nią czas, wybiła druga godzina i zaklęta królowna musiała położyć się do grobowej trumny. I znowu z wielkim trzaskiem zapadło za nią śmiertelne wieko.

Po jakimś czasie żołnierz wyszedł z za wielkiego ołtarza, ubrał się i usiadł zmęczony straszliwie.

Nad ranem przyszli jego kamraci z marami, bo wszystkim się wydawało, że taki zatracony pijak nie dokona przecież tego, co się nie udało chwackim oficerom.

Weszli do kaplicy i zdziwili się bardzo widząc, że stary wiarus żyje. Zaraz dali znać o wszystkim królowi, który dopytywał go się, w jaki sposób uszedł śmierci. Żołnierz jednak nie chciał nic powiedzieć, bo mu dziadek zakazał.

Wtedy król postanowił, aby na drugą noc ten sam wiarus wartę w kaplicy zaciągnął. Żołnierzowi zrobiło się trochę markotno. Jedną noc przebył w takim wielkim strachu, a tu mu znowu każą szczęścia próbować.

I znowu późnym wieczorem zaprowadzili go do kaplicy, znowu począł się trapić o swoją duszę i znowu uciekł na cmentarz, aby i tym razem szukać rady u dobrotliwego dziadka.

— Wracaj i na tę noc do kaplicy! — rozkazał staruszek. — Będziesz bezpieczny. Dziś wejdiesz na chór, na każdym schodku położysz albo koronkę, albo różaniec, albo książkę do nabożeństwa. A gdyby ona inną drogą chciała dostać się do ciebie, będziesz śpiewał: „Kto się w opiekę odda Panu swemu...”

I znowu stary wojak usłuchał dziadkowego rozkazu. Kiedy o godzinie dwunastej królowna wypadła na środek kaplicy, widać było od razu, że jest strasznie głodna. Uwijała się wszędzie tak szybko, że staremu żołnierzowi aż pociemniało w oczach z okropnej trwogi. Wpadła za główny ołtarz, wdrapała się na kazalnicę i dopiero ujrzała go na chórze.

— Ach jesteś! — zawołała straszliwym głosem i rzuciła się ku schodom.

Ale co stanęła, to spadła, bo na schody nie dopuszczały jej koronki, różańce i książki pobożne.

Kiedy nie wiedziała już, jak się na chór dostać, pobiegła do grobów i wydobywszy stamtąd trumny, poczęła je wynosić do kościoła i jedną na drugiej ustawiać. Wzniósł się olbrzymi, mroczny stos i sięgał blisko chóru. Wówczas żołnierz począł śpiewać drżącym głosem: „Kto się w opiekę...”

Włosy ze strachu dęba mu stanęły, śpiewał dalej, ledwo głosu z piersi dobywając, bo czarna królowna zaczęła już do niego po trumnach wchodzić.

Dopiero kiedy zaśpiewał: „Po wielkich smokach jeździć będziesz”, wszystkie siedem trumien przewróciło się i jakoś łżej zrobiło mu się na sercu.

I tak on śpiewał, a ona budowała po trzykroć stos trumien, spośród których wyglądały czaszki i piszczele nieboszczyków. Aż wreszcie świtać zaczęło. Królowna, jakby dbając o porządek w grobowcu, pozносиła wszystkie trumny z powrotem, a sama ułożyła się na swoim śmiertelnym łożu.

Wypuścili go rankiem i dali znać królowi, że stary wojak znowu ocalał. Nie chciał nic opowiadać o tym, co się działo w kaplicy i zgodził się wartować jeszcze jedną, trzecią noc.

— Nic się nie bój — doradzał dziadek znowu — to będzie już ostatnia noc. Tym razem masz się rozebrać do naga i schować się pode drzwi grobowca, tak żeby cię drzwi przykryły, kiedy ona wyłeci do kaplicy. A potem położysz się w jej trumnie, położysz się tak, jak ona leżała i będziesz sprawował się cicho, choćby cię straszyla.

krzyczała, prosiła i targała. Nie lękaj się, bo ci się nic złego stać nie może.

Żołnierz posłuchał dobrej rady i wypełnił dokładnie wszystko, co mu dziadek nakazał.

Kiedy królowna wyskoczyła do kaplicy, szukała go wszędzie — i za ołtarzem, i na kazalnicy, i na chórze. Szukała go długo i znalazła dopiero we własnej łóżnicy.

— A tuś mi ptaszku! — zawołała głosem straszliwym. — Wychodź z mego posłania, wychodź mi zaraz!

Ale on nie drgnął nawet, tylko spojrzął ostrożnie spod uchyłonego wieka i z zadowoleniem zobaczył, że jest już po szyję biała. Leżał i leżał, a ona cudowała się nad nim i krzyczała:

— Wychodź, bo cię rozedrę!

Wykręcił się tylko trochę i jednym okiem zerknął na nią — była po pas biała. Leżał dalej, poprawił się trochę, ona go znowu szarpie i dźwiga, żeby się stamtąd usunął. Żołnierz jednak leżał dalej, podniósł głowę, wkręcił oczy na nią — królowna była już pod ramięmi biała. Wołała zaś coraz słabiej i niebawem poznał, że głos jej zatracił dawną dzikość i jakby słodycz jakaś zaczęła zeń przebić. Obrócił się całą głową, spojrzął na nią pełnymi oczyma — ona zupełnie już zbieła.

Naraz królowna objęła go swoimi delikatnymi rączkami i wraz z trumną dźwignęła w górę. Nie krzyczała już, tylko grzecznie i miło prosić zaczęła:

— Ach, mój słodki żołnierzyku, wstań teraz, boś mnie od mojej męki wybawił.

Podniosła go i wyprowadziła do kaplicy. Żołnierz ubierał się szybko. Na dworze już świtało.

Stary wojak wstrząsnął się, poczuł chłód w kościach i gragnienie w gardle. Spojrzął na piękną pannę i zapytał śmiało:

— Napijesz się ze mną brambuli?

— Mój drogi — odpowiedziała pokornie — kiedy ty pijesz, to i ja będę piła z tobą...

Napili się raz i drugi, zakąsili, a potem objęli się rękoma za szyję i tak się razem trzymali.

A kiedy przyszli żołnierze i zobaczyli ich, myśleli, że królowna-strach udusiła tego wiarusa. Przybiegli do nich wszyscy, pragnąc odbronić wojaka, który, jak się zdawało, dwie noce w kaplicy wytrzymał, a trzeciej marnie zginął.

Ale kiedy stanęli blisko nich, roześmiał się stary żołnierz, roześmiała się wybawiona królowna i oboje zaczęli wołać:

— Branbuli więcej dawajcie, bo nam przybrakło!

Pobiegli tedy do króla i zameldowali: córka żyje, żołnierz żyje, tylko chcą jeszcze więcej branbuli.

Wtedy król kazał zaprząć do pozłocistej karety sześć najpiękniejszych ogierów ze swej stajni. I kazał wziąć dla córki strój weselny i pojechali po nich. Król zaprosił najprzedniejszych gości, a starego żołnierza i córkę posadził po środku za stołem.

— Na co zasłużył sobie taki człowiek — zapytał gości — który córkę moją po śmierci jeszcze raz od śmierci wybawił?

Jedni powiedzieli, że tę córkę powinien pojąć za żonę, drudzy, którzy mu zawiścili, wspomnieli półgębkiem, że nie może ożenić się z córką królewską pijak i prosty żołnierz.

Ale sprawę całą najlepiej wytłumaczyła sama królowna. Objęła wojaka ramionami za szyję i zawołała:

— Kto mnie wybawił tego będę żoną!

Nic dziwnego, lepszy był przecież dla niej żywy, choć prosty żołnierz, niż zimny, królewski grób.



ŻMIJA, KOMAR I JASKÓŁKA

Na początku świata diabeł był bardziej niż teraz zawzięty na ród ludzki. Większa wtedy była jego moc i większa złość. Pamiętał jeszcze za świeża strącenie swoje z niebios i wywyższenie człowieka przez Pana Boga. Mściwość paliła go i szukała okazji, a okazji nie brakowało. Diabelskimi namowami uwiedzeni ludzie zaczęli źle żyć i grzeszyć bez miary. Jeden tylko Noe został sprawiedliwie żyjącym i dlatego Pan Bóg postanowił wszystkich ludzi ukarać potopem, a tylko Noego ocalić wraz z wybranymi przez niego zwierzętami. Najpierw więc rozkazał Pan Bóg Noemu, aby przez siedem lat budował arkę. Chodził Noe z siekierką na robotę i pracowało mu się doskonale. Jeżeli drzewo było za krótkie, to jak ciął siekierką, jak nią pociągnął, przedłużało mu się wedle woli. A co było zbyt długie, tego wcale nie trzeba było przycinać.

Diabeł na próżno starał się dowiedzieć co właściwie Noe robi i dlaczego sporządza tak wielką skrzynię. Nadaremnie kusił Noego, kusił i jego żonę, która nie mogła się niczego dowiedzieć od męża. Wreszcie diabeł przyniósł wódki i kazał żonie Noego, aby dała napić się mężowi, skoro po robocie wróci do domu. No i stało się tak, jak diabeł sobie umyślił. Noe upił się i wszystko żonie wygadał. Kiedy drugiego dnia diabeł do niej przystąpił, wyjawiała mu wszystką tajemnicę. Szatan zadowolony, że wiedział już o tym, co nastąpić miało, nakazał tylko niewieście, aby tak długo ociągała się z wejściem do arki, aż Noe zniecierpliwiony wspomni imię diabelskie.

Nadszedł wreszcie czas potopu. Przez wiele dni deszcz lał bez przerwy. Nad ziemią poczęły unosić się wielkie wody. Noe wprowadził już do arki wszystkie zwierzęta po parze. Tylko żona jakoś wchodzić nie chciała.

— Na Boga wchodźże! — zawołał Noe.

Ale ona ociągała się jeszcze.

Wówczas Noe zniecierpliwił się i krzyknął:

— Chodźże do diabła!

Żona Noego wstąpiła do arki, ale wraz z nią mógł się już dostać i diabeł, który tak wszystkich omanił, że nikt go nie poznał, skoro się w małą myszkę zamienił. Będąc już w środku postanowił załag ludzki zupełnie zniszczyć i w tym celu wygryzł dziurę w podłodze arki, aby woda, wyrrywając się do środka, ciężarem swoim pociągnęła wszystko na dno.

Na szczęście jeden z wielu czołgających się płazów, a mianowicie żmija spostrzegła diabelską sztukę. Szybko i zgrabnie wsunęła ogon w szczelinę, zatamowała bijącą wodę i ocaliła od niechybnej zagłady stworzenia, które znajdowały się w arce.

Pan Bóg zadowolony, że żmija spisła się dobrze i po jego myśli, postanowił zadowolić jakiegokolwiek jej życzenie. Na pytanie Stwórcy żmija odrzekła, że chciałyby wypijać z istoty żyjącej krew, która jest najsmaczniejsza.

— Niech się stanie według twego życzenia — rzekł Pan Bóg.

Skoro jednak żmija tylko pełzać i pływać umie, wiele czasu upłynąć by musiało, zanim by się dorozumiała w czyich żyłach płynie krew najsmaczniejsza. Prosiła tedy komara, żeby ją wyręczył w tej ważnej sprawie. Komar chętnie się zgodził, bo przecież sam lubił krew nade wszystko. Zaraz się też zabrał do roboty. Z jednego stworzenia na drugie przelatywał. Każdemu ostre żądło zapuszczał i próbował smaku. Po wielu próbach wiedział już dobrze, że nie ma nic lepszego nad krew ludzką. Z tą wiadomością leciał do żmiji. Po drodze spotkał się z jaskółką. Kiedy zaczęli gwarzyć ze sobą o tym i o tamtym, komar wypaplał swój sekret. Jaskółka zawsze ludziom przyjazna rzuciła się na komara lotem błyskawicy i wyrwała mu język z gardzieli. Potem lecieli razem i razem znaleźli żmiję. Komar starał się powiedzieć, co miał do powiedzenia, ale bez języka stać go było tylko na brzęczenie. Brzęczał i brzęczał, ale nikt go nie rozumiał. Ani żmija, ani Pan Bóg. Wtedy jaskółka, niby mowy komara świadoma, zaczęła opowiadać, że wedle niego najsmaczniejszą krew mają żaby. Pan Bóg tedy nakazał, aby żmija odtąd przede wszystkim pijała krew żabią.

Nie podobało się to wszystko gadzinie.

„Tu musi być jakieś oszukaństwo“ — pomyślała.

W zapalczywości naglej syknęła jadowicie i z błyszczącymi ślepiami rzuciła się na jaskółkę, która właśnie zabierała się do odlotu. Chybka ptaszyna umknęła jadowitej paszczęki. Żmija zdołała tylko wyrwać jej kilka piórek z ogona.

Na rozkaz Boga, na wieczną rzeczy pamiątkę, u jaskółki został rozdwojony ogon. Człowiek miłuje ją wielce, a komar bez języka brzęczy wciąż i brzęczy, zapijając przy każdej okazji krew ludzką — krew najsmaczniejszą.



CHŁOPSKA SUPLIKACJA

We wiosce, niedaleko dworu, mieszkał góral w mizernej chałupce. Był to człowiek ubogi i w całym swoim dobytku miał tylko jedną krowinę. Kiedy pewnego razu ta krowina wlaźła do pańskiej koniczyny i kiedy dziedzic to zobaczył, porwał wielki nóż i sam własnymi rękoma zarznął chłopskie bydłatko.

Skoro się o tym baba tego chłopa dowiedziała, kazała mu iść do dworu, aby tam wynagrodzili wyrządzoną krzywdę. Ale nic dobrego z tego nie wyszło. Dziedzic rozgniewał się jeszcze lepiej i kazał dworskim hajdukom chłopa na ławie rozłożyć i wypalić mu dziesięć batogów.

Wrócił góral zboląły do domu i opowiedział żonie o wszystkim.

— Jeżeli tak — powiedziała baba — to napiszemy skargę do króla, a ten nas sprawiedliwie osądzi.

Wzięli dość dużą deskę, ostrugali ją ośnikiem i wykrajali na niej całe położenie swej chałupy i pańskiej ziemi. Widać tam było, gdzie stał dwór i jak krowa poszła do pańskiej koniczyny i jak ją pan zabił. A potem jeszcze chłop wykrajał ławkę, a na niej siebie samego i dziesięć kresiek.

Tę deskę kazała baba chłopu przywiązać sobie na plecach i iść prosto do króla.

Szedł tedy chłop, a droga wypadła mu przez wielki las. W środku tego lasu zobaczył jakiegoś myśliwca pięknie ubranego i przemówił do niego:

— Pochwalony Jezus Chrystuc.

— Na wieki wieków, amen — odpowiedział pan i zapytał: — A dokąd to idziecie człowiecze?

— A po cóż?

— Ze skargą na swojego dziedzica.

— A co to za skarga?

Chłop zdjął deskę z pleców i zaczął pokazywać:

— Tu jest moja chałupa, tutaj dwór i pole koniczyny, a tu moja krowa wlaźła do tej koniczyny i pan mi ją zabił. A tutaj ławka i dziesięć kresek, które oznaczają dziesięć batów, co mi dworscy na rozkaz pana wlepili.

I opowiedział panu całą sprawę.

— No -- rzekł pan -- idź do króla, a on ci wyda sprawiedliwy wyrok.

Pan odjechał, a chłop szedł dalej i wcale nie wiedział, że był to sam król, który w tym lesie polował i nazywał się Jan.

Na drugi dzień góral zameldował się w siedzibie królewskiej i zaraz go wpuścili do wielkiej, wspaniałej sali, gdzie król siedział na złocistym tronie w otoczeniu dwunastu ministrów. Chłop króla nie poznał, bo był on teraz zupełnie inaczej ubrany. Na głowie miał złotą koronę, siedział na złocistym krześle, okryty był czerwonym płaszczem, a przed siebie wystawił żółte buty z ostrogami.

Chłop podał swoją deskę jednemu z ministrów i powiedział:

— Przeczytajcie sobie moje strapienie, którego mi dziedzic narobił.

Pierwszy minister nic nie zrozumiał z tej deski, nie rozumieli nic i inni ministrowie. Chcieli tedy chłopą wypędzić, ale król kazał sobie skargę podać. Tedy pierwszy minister podał deskę drugiemu, drugi trzeciemu, trzeci czwartemu i tak dalej, aż dopiero dwunasty wręczył deskę królowi, który przywołał do swojego boku górala i zaczął czytać:

— Tu jest twoje chałupa?

— Ano tu, panoczku!

— Tutaj dwór?

— Tutaj.

— Twoja krowa poszła do pańskiej koniczyny?

— Ano tak.

— A tu ci ją pan zabił?

— Tak, najjaśniejszy panoczku!

— Tyś poszedł do dziedzica i dostałeś dziesięć batogów?

Góral poklepał króla ręką po głowie i zawołał:

— To jest głowiczka, a wy toście głupty... .

I pokazał na dwunastu ministrów.

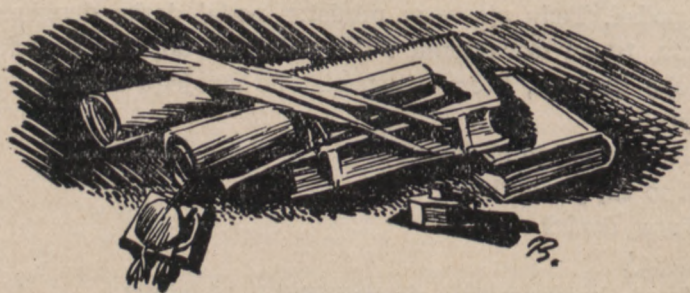
Dużo było śmiechu w królewskiej siedzibie z tego rozumu góral-
skiego. Potem król Jan tak do chłopca przemówił:

— Idź teraz do domu, a ja już tak rozporządzę, żeby było dobrze,
żebyś krzywdy nie miał...

Kiedy góral wrócił do domu, niedługo przyszło pismo od króla,
w którym nakazane było, aby pan go przeprosił, aby wystawił mu
nowy dom, stajnię, chlewy, stodołę i dodał jeszcze do tego trzydzie-
ści morgów gruntu ze swych pól.

Chłop z babą nieraz się z pana naśmiewali, że w końcu za krzyw-
dę musiał dobrze zapłacić. Często też góral żonie powtarzał:

— Król Jan to jest mądry król. Skargę moją umiał przeczytać,
ale ci ministrowie to tylko gęby porozdziawiali i nic nie rozumieli.
Nie wiedzieć po co król ich koło siebie żywi, kiedy oni czytać nawet
nie umieją...



M A D E J O W E Ł O Ż E

Dawnymi laty jechał krakowski kupiec przez wielki bór, z dalekiej wracając drogi. Noc była ciemna, wiatr hulał po lesie i raz po raz zalewał oczy falą rześistego deszczu. Było chłodno i głodno, a jeszcze daleko do domu, gdzie czekała miła żona i ulubione dzieci. Kupiec żałował teraz, że nie zanocował w wiosce, przez którą niedawno przejeżdżał, bo droga stawała się coraz bardziej ciężka i przepaścista, a zmęczone koniska ledwo ciągnęły przeładowaną brykę.

Naraz zgrzytnęło coś przeraźliwie, przestraszone konie wspięły się w górę i na bok skoczyły, a bryka zapadła się aż po osie w bezdennym topielisku. Zagrzęźli tak, że nie było sposobu, aby ruszyć z miejsca, czy w przód czy w tył. Kupiec zamierzał już konie wyprząc i obładowawszy je, ile by się tylko dało towarem, resztę zostawić na rozmięklej drodze i uciekać do domu. Tak myśląc, westchnął żałośnie i zawołał:

— Ach, oddałbym chętnie wszystko temu, kto by mnie wyzwolił z tej biedy!

Wtem jeszcze większy szum powstał wśród boru. Wielkie stada kruków i kawek, krzyżąc przeraźliwie, wzbily się ponad drzewami. Z pod rozdartej zasłony ociążałych chmur błysnęło światło księżyca. Kupiec zobaczył wtedy tuż obok siebie jakąś postać, która wynurzyła się nagle spośród ciemności. Niski, był kusy, w błękitnych spodeńkach, w czerwonym, niemieckim fraczku i kapeluszu śpiczastym na trzy rogi. Twarz miał płomienistą, oczy jarzyły się jak u kocura, a z butów wyzierały zakrzywione pazury. Poznał ze strachem z kim ma do czynienia. Diabeł to był, diabeł we własnej osobie! Zaraz się do niego bliżej podsunął i przemówił chrapliwym głosem:

— Pomogę ci i wyprowadzę na dobrą drogę, jeżeli dasz mi to, co masz w domu, a o czym nie wiesz!

Kupiec namyślał się długo. Skoro jednak wydało mu się, że zna na palcach wszystko, co należy do jego majątku, miał nadzieję, że w końcu zbędzie głupiego diabła jakąś małą rzeczą.

— Dobrze — zawołał — zgadzam się na ten warunek!

W mgnieniu oka wydobył diabeł z zanadru kawał byczej skóry, zaraz spisał ugocę, uklął kupca w serdeczny palec, umaczał we krwi gęsie pióro i dał mu cyrograf do podpisania. Potem zagwizdał przeraźliwie i oto przyleciało dwudziestu takich jak on. Złapali brykę i konie, wszystko w powietrzu przenieśli na suchą drogę i przepadli bez śladu. Okropny wicher huczał po lesie, w gęstwinie mignęły błędne światła, a gdzieś daleko rozległ się świst i śmiech piekielny. Uciekali przerażeni zarówno: konie i ludzie. Dopiero, kiedy wydobyli się z ciemnego boru na szczerze pole, odetchnęli i odpoczywali tak długo, aż świt nastał.

Rażniej zrobiło się na duszy, kiedy pogodnym rankiem kupiec ruszył w dalszą drogę. Od tej pory odbywał resztę podróży bez żadnej złej przygody. Po kilku dniach ukazały się wreszcie wieże i mury Krakowa, a kiedy przed dom swój zajechał, wybiegła na powitanie uradowana żona, niosąc na ręku maleńkiego synka, który urodził się podczas jego nieobecności.

Kupiec ucieszył się zrazu bardzo, ale potem przypomniał sobie lekkomyślną ugodę.

— Na Boga — zawołał z płaczem — cóżem uczynił? Toć sam z własnej woli zaprzedałem diabłu niewinną istotę!

Kiedy opowiedział żonie o wszystkim, co się stało, postanowili oboje dziecko poświęcić służbie boskiej, by je w ten sposób od złego losu uchronić.

Tymczasem trzeba było dziecko ochrzcić. Ale ile razy zaprzęgali konie, żeby je zawieźć do kościoła, zrywał się taki straszny wicher, były takie przeraźliwe pioruny, że musieli wszystkiego poniechać. A kiedy posyłali po księdza, nie mógł on dojechać do domu kupca, bo wśród szalejącej burzy powóz przewracał się pod nim. Wreszcie po pięciu miesiącach takiej mitręgi, kupiec wziął dziecko na ręce i na nic nie zważając niósł je sam do kościoła. Przed nim zaś szedł organista i kropił dokoła święconą wodą. Mimo wiatru i gromów doszli cało, dziecko zaś otrzymało na chrzcie imię: Stanisław.

Od tego czasu chował się syn kupca zdrowo, a potem zaczął chodzić do szkół i, jak to rodzice postanowili, miał zostać księdzem.

Głowę miał do nauki bardzo dobrą, a przy tym lubili go wszyscy, bo był bardzo przyjemny dla każdego.

Kiedy już został klerykiem, przyszedł pewnego razu do ojca i tak przemówił do niego:

— Kochany ojcze, tyle lat już patrzę na ciebie i widzę, że nosisz w sercu jakiś wielki smutek, bo choć ci się dobrze wiedzie i choć ja mam zostać niedługo księdzem, nigdy się nawet nie uśmiechniesz.

Z początku ojciec nie chciał mu nic wyjaśnić, aż on znowu zaczyna:

— Muszę ci jeszcze powiedzieć, że mnie już nieraz jedna rzecz bardzo zastanawiała. Ile razy wyjdę na przechadzkę za miasto, zawsze jakieś lichy woła do mnie z za drzewa: „Nie ucz się Stasiu, nie ucz, tyś mój, tyś mój!” Mimo woli myślałem, że twój smutek i to wołanie mają coś ze sobą wspólnego.

— Tak synu — zawołał kupiec zalewając się łzami — dobrze sobie wyrozumiałeś wszystko, bo ja cię zaprzedałem diabłu.

I opowiedział mu całą sprawę, jak uwiązał wśród nocy ciemnej, jak zły się zjawił i jak podpisał cyrograf krwią z serdecznego palca.

— Nie obawiaj się ojcze — odparł na to kleryk — nie stanie mi się nic złego. Nie lękam się diabelskiej przemocy, pójdę do samego piekła i odbiorę zapis!

Co rzekł, to uczynił. A kiedy ruszył w drogę i znalazł się za miastem, przyszło mu dopiero na myśl, że nie wie przecież, gdzie się to piekło znajduje. Zamyślił się srodze. Wtem spostrzegł przed sobą siwiuteńkiego jak gołąb dziadka.

— Dokądże to wędrujesz paniczku? — zapytał staruszek.

— Do piekła! — odpowiedział. — Odebrać od diabłów zapis mojej duszy.

— A znasz ty drogę?

— Właśnie, że nie wiem, którądy mam iść?

— Musisz jeszcze się wrócić. Idź do kościoła Panny Marii i tam leż krzyżem przez całe nabożeństwo, potem weź ze sobą szkaplerz, kropidło, wody święconej i kredy na Trzech Króli poświęconej, a dopiero potem możesz udać się śmiało w drogę.

Tak powiedział siwiuteński dziadek i znikł gdzieś bez śladu, a kleryk Stanisław posłuchał jego rady i zrobił wszystko, jak mu przykazał.

Skoro znowu minął bramy Krakowa, ukazała się przed nim na gościńcu taka mała, szara myszka, która od tej chwili prowadziła go aż do samych piekieł. Szedł za nią śmiało. Minął wesołe krakowskie

strony, aż wreszcie zaszedł w daleką górską krainę. Inni tu byli ludzie. Mówili jakoś twardo, śpiewali na wysoką nutę, a wieczorami tańczyli przy ogniskach dzikie tańce. Krzepcy a śmigli, o twarzach suchych i orlich nosach, długie, lśniące mieli włosy. Obuwali się w skórzane kerpce, nosili serdaki włosom na wierzch obrócone, na barkach gunie, do skrzydeł drapieżnego ptaka podobne, chodzili w obcisłych, cyfrowanych portkach, mieli kapelusze z orlimi skrzydłami i ostre ciupagi.

Nigdzie nie było widać urodzajnej ziemi. Chleb został na równinach, a tu zaczynały się skały i woda. Wśród wąskich dolin na kamienistym gruncie rosło żytko i marny owies. Dokoła nagie turnie strzelały wysoko spod świerkowych lasów.

Na zboczach górskich szumiały wartkie potoki, a od szerokich hał słychać było turlikanie pasących się owiec.

Jednego dnia zaszedł w nieprzebytą, dziką puszcze. Droga się pięła w górę, a gdzie okiem rzucić, rosły olbrzymie świerki i jodły, czasami tylko przy drodze wiły się krzaki jałowca. Głucho i strasznie było w ponurym lesie. Przestrzegali go ludzie, że się tu właśnie ukrywa srogi zbójca, zwany Madejem, który nad żadnym stworzeniem boskim czy ludzkim nie ma wcale litości. Ale cóż, musiał iść przecież tędy, którą prowadziła go mała, szara myszka.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, a jeszcze śladu człowieka nie dostrzegł. Okolice stawała się coraz dziksza i posepniejsza. Nieprzenikniona ciemność zapadła, on zaś nie wiedział, dokąd się obrócić i gdzie skłonić głowę na nocny spoczynek. Wtem wśród gęstwiny leśnej dojrzał małe, drżące światełko. Uradowany przyspieszył kroku i po chwili stanął przed nędzną chałupinką. Długo kołatał, zanim jakaś zgrzybiała staruszka otworzyła mu drzwi. A kiedy wszedł do izby, oświetlonej lucywem, starowina poczęła go namawiać, żeby tu dłużej nie zostawał:

— Matką jestem — mówiła — straszego zbrojcy Madeja. Lada chwila on tu nadejdzie ze swoją zakrwawioną pałką. Nikomu jeszcze życia nie darował. a tyś, paniczku, młodziutki i szatki, widzę, masz kapłańskie — szkoda ciebie. Uciekaj póki czas!

Ale syn kupca tak był znużony długą i ciężką drogą, że nie chciał posłuchać jej rady.

— Zostanę, staruszko — powiada — niech się dzieje co chce... w Bogu nadzieja!

Zaraz jej też opowiedział, jak to wędruje do piekła, aby diabłom zapis swój odebrać. Ulitowała się nad nim, dała mu trochę ciepłej

strawy, a potem go za piec schowała, przykrywszy gałęziami i drzewem.

Dobrze już było po północy, kiedy wpadł do chaty zbójca Madej i oboje pobudził. Węsząc po izbie, zawołał nagle straszonym głosem:

— Starucho, świeże mięso czuć, dajno je tu!

Napróżno się wypierała. Madej zaczął szukać po wszystkich kątach. Stara, widząc wreszcie, że to nie przelewki, opowiedziała mu historię młodego kleryka i prosić zaczęła:

— Nie róbże mu nic złego!

Madej wyciągnął chłopczynę z zapiecka i kazał drżącemu ze strachu opowiedzieć jeszcze raz wszystko. Pilnie wysłuchał całego opowiadania, a kiedy tamten skończył, tak rzekł:

— Daruję ci życie, ale musisz mi przyrzec, że dowiesz się w piekle, co mnie tam czeka, a kiedy wracać będziesz, wstąpisz tu do mnie i powiesz, coś widział.

Stanisław zaprzysiągł uroczyście i na drugi dzień ruszył w dalszą drogę, wciąż postępując za małą, szarą myszką.

Droga stawała się coraz cięższa. Piął się wąskimi ścieżkami ponad zięjące przepaście, gdzie czychały na niego zdradzieckie mgły i śnieżyce. Okrążał wielkie siklawy i lodowate jeziora, przedzierał się poprzez osypiska i gładkie źleby, aż na wirchy chmurami zakryte. Wreszcie zeszedł w doliny, do cudzoziemskich krajów, pomiędzy urodzajne pola i zielone winnice. Podróżował długo, aż wreszcie dostał się w gorące strony, gdzie napatrzył się dziwów, których oko ludzkie nie widziało, ucho nie słyszało. Wędrował tamtędy, gdzie pod palącym słońcem nad wiecznie wrzącymi wodami zimuje ptactwo z całego świata. Potem wszedł pomiędzy strasznych ludożerców, którzy nie mówią, lecz kwiczą, mają po jednym oku na wylot głowy i stopy jak łopaty szerokie. Łaska boska była widać nad nim, skoro mu się nigdzie nie stało nic złego. A w coraz straszniejsze wstępował krainy. Rychło poznał po dymach smrodliwych, że jest już na samym przedpieklu. Zaczęły się okropne moczary błotne, porośnięte lasami, które ciągną się na mil kilkanaście, a skąd diabli duszami potępionych wożą drzewo i palą nim w kotłach. W tych lasach siedzą najstraszliwsze gady: węże o stu głowach, smoki zgrzytające zębami, które mogą jednym uderzeniem ogona zabić człowieka. Były tam również dziwne zwierzęta z oczyma, jak błyskawice i ogromne ptaki z długimi dziobami, które dają znać o sobie wielkim krzykiem w dzień i w nocy. Ujrzał wreszcie kominy piekielne do wielkich, czarnych gór podobne. Od czasu do czasu widać było ogień buchający spod ziemi.

Droga, która prowadziła prosto do piekła, była szeroka, wygodna, miękkim aksamitem i kosztownościami wyłożona. Uwijali się po niej diabli i prowadzili dusze potępione. Jedni szli pieszo, drudzy przełatywali w złocistych karetach — szumnie i dworsko. Często wołali na niego:

— Uciekaj, bo cię stratujemy!

Ale on nic na to nie zważał, szedł prosto drogą, nie obracał się, lecz modlił się bez ustanku. Przyszedł nareszcie do bramy wielkiej, okopciałej czarnymi sadzami. Pokropił ją święconą wodą i dotknął szkaplerza. Otworzyła się z wielkim hukiem, a kiedy wszedł do straszliwych lochów, zatrasnęła się z takim łoskotem, że aż całe piekło zadrgało w posadach. Wtedy pokreślił sobie na czole i po całym ciele krzyże trzykrólową kredą, aby go nigdzie diabli dotknąć nie mogli i śmiało ruszył naprzód. Ogarnęła go gorącość nie do wytrzymania, bo w kotłach ze smołą warzyły się grzeszne dusze. Bez ustanku słychać było ich jęk, płacz i lament nieutulony. A wszędzie uwijali się diabli. Tu kłuli widłami wisielców i samobójców, czemu się przyglądał Judasz, przyczajony za drzwiami, tam znowu rozdziawiali nienasycone gęby pijackie i leli w nie rozpaloną smołę. Obżartuchom pakowali widły czerwone od ognia do gąb nienasyconych. Kłamcom i oszczercom wyrosły na ustach żaby, które ich gryzły i dręczyły. Karczmarki, co oszukiwały ludzi, nalewały teraz gorącą smołę, która ciekła im po rękach i parzyła okropnie. Młynarze, którzy za życia mąki nie doważali, teraz mierzyli a mierzyli rozpalone węgle. Łakomcy i chciwcy dźwigali wory z pieniędzmi, lecz unieść ich nie mogli, bo diabli ciągle dosypywali złotych dukatów.

Kiedy czarci zobaczyli kupieckiego syna, zaraz zaczęli wołać:

— Dobrze, żeś przyszedł, nie będziemy po ciebie chodzić.

I dalejże do niego! Ale on pokropił dokoła święconą wodą i wtedy wszyscy uciekli z piskiem straszliwym. Został tylko najstarszy, który nazywa się Lucyper i jest uwiązany na łańcuchu do swojego tronu. Kleryk śmiało zbliżył się do niego, niewiele myśląc, począł go kropić święconą wodą i bić szkaplerzem.

Lucyper ryczał z bólu i miotał się tak strasznie, że o mało nie zawałiło się całe piekło.

— Czego chcesz ode mnie? — zapytał wreszcie.

— Przyszedłem po cyrograf, w którym ojciec zapisał wam moją duszę!

I znowu prysnął na niego święconą wodą. Lucyfer zawył, jeszcze raz straszliwie zatrzęsło się piekło. Wreszcie chwycił za trąbę, a kie-

dy zatrafił w cztery strony świata, w okamgnieniu niezliczona ilość diabłów zbiegła się na jego rozkazy.

Kazał im oddać cyrograf, ale oni mówią, że żaden z nich nie posiada takiego. Zatrafił znowu i jeszcze więcej diabłów przyleciało, ale i ci też nie mieli zapisu.

— Czy są już wszyscy? — zapytał Lucyper.

Okazało się, że brakuje jeszcze jednego starego, kulawego diabła. Zatrafił znowu, aż tu kuszytek, kuszytek i czart - kuternoga wtarabanił się do piekła.

— Oddaj cyrograf! — wołają wszyscy.

A on powiada:

— Nie oddam, to jest moja dusza, nie oddam za nic.

Nasz kleryk jak nie zacznie kropić święconą wodą, bić szkaplerzem, aż Lucyper woła z rozpaczą do diabłów:

— Bierzcie tego kulasa na Madejowe łoże, gdzie są same brzytwy i noże!

Stary diabeł wzdrygnął się i już nic nie mówiąc oddał zapis kupieckiemu synowi. A ten znowu dokucza im święconą wodą i szkaplerzem.

— Czego ty jeszcze chcesz, przeklęty człowieku?

— Pokażcie mi to łoże, które czeka w piekle na zbójcę Madeja?

Prowadzą go diabli i oto zobaczył tapczan najeżony gwoździami, kłocami, nożami, brzytwami i węzami, pod spodem gotowały się kotły ze smołą, a obok kowadło i inne straszliwe przyrządy do męczenia rozbójnika.

Zobaczywszy wszystko, wyszedł kleryk z piekła i z radością wielką wyruszył w powrotną drogę. I znów prowadziła go mała, szara myszka. Po wielu, wielu dniach przechodził znowu przez ten las, w którym się spotkał z Madejem. Przypomniał sobie wtedy o obietnicy i wstąpił do chaty zbójcy, który go przyjął bardzo gościnnie. Opowiedział mu znowu wszystko i dokładnie opisał straszliwe męki, które na niego czekają.

Madej zląkł się bardzo i sumienie zaczęło go trapić.

— Wypowiadaj mnie, młody panie! — zawołał.

I wypowiadał go.

— Ale — mówi mu — rozgrzeszenia ci nie dam, bo ani władzy jeszcze na to nie mam, aniś jeszcze nie odprawił pokuty.

— Więc zadaj mi pokutę! — prosił Madej płacząc jak bóbr.

Kazał mu wtedy przynieść tę pałkę, którą najwięcej ludzi pozabijał. Kiedy przyniósł mordercze narzędzie wystrugane z jabłoni, kleryk tak rzekł do niego:

— Weźmiesz ją i zasadzisz w ziemię, na kolanach będziesz chodzić do źródła, tak długo nosić ustami wodę i podlewać, aż zbójcka pałka liście wypuści, zakwitnie i pokryje się owocem.

I Madej zrobił tak, jak mu powiedziano.

Od tego czasu minęło wiele, bardzo wiele lat. Młody kleryk został księdzem, a potem biskupem. Jednego razu wybrał się na wizytację odległych parafii i zdarzyło się, że jechał przez tę samą górską puszczy, którą jeszcze jako młody kleryk wędrował. A była to piękna, pogodna, polska jesień. Bór szumiał i wciąż na skrzydłach swoich przynosił cudowny zapach jabłek.

— Hej, stań no! — zawołał biskup na woźnicę. — Idź i zobacz, co to za jabłuszka tak pięknie pachną, a kiedy znajdziesz, przynieś mi ich kilka.

Chodził woźnica po boru i znalazł jabłoń rozłożystą, na niej zaś pełno wonnych, czerwonych jabłek.

Woźnica chciał urwać jedno jabłko, aż tu rozległ się głos:

— Nie rwij, boś nie sadził!

Przestraszony pobiegł do swego pana i opowiedział o tym, co się stało.

Zdziwił się biskup z początku, a potem przypomniał sobie wszystko. Zsiadł więc, szedł prosto ku jabłoni, zbliżył się i o dziwo! Pod jabłonią klęczał Madej siwiuteńki jak gołabek, z białą brodą, a cały był już mchem obrosły.

I rzekł do biskupa:

— Witaj, panie! już tak dawno czekam na ciebie.

Siadł biskup koło Madeja i jeszcze raz słuchał jego spowiedzi. A co jeden grzech powiedział, to jedno jabłko spadało na ziemię, tak długo, aż na samym wierzchołeczku jeszcze dwa owoce zostały. Madej zaś nie mógł już sobie nic więcej przypomnieć.

Biskup spojrział w górę i rzekł:

— Jeszcze musisz dwa grzechy wyznać!

Wtedy on sobie przypomniał i powiedział:

— Ach, przecież ja ojca i matkę zabiłem.

I oto po tych słowach spadły ostatnie dwa jabłka.

Biskup odmówił pacierze, dał pokutnikowi rozgrzeszenie, lecz gdy go palcem dotknął, ciało Madeja w proch się rozsypało. Z tego prochu biały gołąb wyleciał i lecąc do nieba podziękował:

— Zostań z Bogiem, panie, jam już zbawiony!



ASTROLOG I DOKTOR NA KASZUBACH

Z dawnych czasów żyli sobie w Gdańsku niemiecki lekarz i niemiecki astrolog. Obaj niewiele mieli do roboty, skoro ludzie tamtejsi dobrego zażywali zdrowia i nie potrzebowali się troszczyć o pogodę.

Pewnego razu rzekł lekarz do astrologa:

— Kochany przyjacielu, chodźmy na wieś na Kaszuby. Może tam uda nam się trochę grosza zarobić. Ludzie na wsi są zależni od pogody, a ponieważ ciężko pracują, muszą ód czasu do czasu chorować.

Astrolog przystał na ten pomysł. Obaj opuścili miasto i wędrowali przez cały gorący dzień letni. Zmęczeni i głodni zaszli do kaszubskiego gburą, którego chata znajdowała się na skraju lasu. Dobroduszny gospodarz zaprosił ich na nocleg i na wieczerzę, nie żądając żadnej zapłaty.

Kiedy bydło wróciło z pastwiska, gospodyni podała wieczerzę. Wówczas lekarz naumyślnie zapytał astrologa:

— Jaka pogoda będzie jutro?

— Jutro będzie deszcz — odpowiedział astrolog.

— Ach nie — wtrącił się gospodarz — jutro będzie na pewno piękna pogoda.

— Moje wiadomości są lepsze niż twoje — rzekł astrolog — gdyż ja przepowiadam pogodę zawodowo.

Mimo to gbur upierał się:

— Jutro będzie piękny dzień, a słońce będzie świecić bez przerwy.

— Skądże ty wiesz o tym? — zapytał astrolog.

— Spójrzj przez okno! — odpowiedział gospodarz. — Kiedy mój buhaj skacze wesoło przed wejściem do stajni, zawsze drugiego dnia piękna panuje pogoda.

Astrolog zamilkł, bo nie wypadało mu się spierać z nieuczonym chłopem.

Kiedy wszyscy najedli się do syta i zamierzali udać się na spoczynek, gospodarz zapytał niespodziewanie:

— Matko, zjadłbym jeszcze jakąś drobnostkę. Może masz tam coś?

— Z obiadu został półmisek grochu. Czy mam ci go zagrzać?

— Ach, nie rób sobie kłopotu! Dzisiaj jest bardzo gorąco, mogę zjeść ten groch na zimno.

I ku zdumieniu gości Kaszuba wsunął sobie wielki półmisek zimnego grochu, po czym oświadczył, że nareszcie się najadł.

Kiedy Niemcy gdańscy ułożyli się na słomie, rzekł lekarz do astrologa:

— Jutro będzie dla mnie robota! Po takiej wieszce nie tylko człowiek, ale i koń by zachorował.

Zasnęli, ale wczesnym rankiem obudziło ich jakieś gwałtowne stukanie. Astrolog wyrzwał przez okno i zobaczył, że gospodarz na wół ubrany rąbie drzewo. Zdziwiony zawołał doń:

— Co ty robisz tak wcześnie? Dlaczego sam odwalasz robotę, którą powinien wykonać twój parobek? Ty się mozolisz, a ten nicpoń śpi...

— Kochany przyjacielu — odpowiedział gospodarz — zwykle drzewo rąbie u nas parobek, ale wczoraj wieczorem zjadłem trochę za wiele i zepsułem sobie żołądek. Dlatego właśnie rąbię drzewo, bo to jest najlepsze lekarstwo na zapchane kiszki.

Lekarz i astrolog zatrzymali się jeszcze u gościnnego gburą cały dzień i następną noc. Kiedy chłop nie zachorował, a słońce wciąż pięknie świeciło, astrolog tak przemówił do lekarza:

— Wracajmy do miasta! Tu na Kaszubah, gdzie buhaj przepowiada pogodę, a siekiera leczy ludzi, umarlibyśmy z głodu...

Podziękowali tedy pięknie gospodarzowi za gościnę i wyruszyli z powrotem do Gdańska.

KORONA KRÓLA WĘŻÓW

W małej chatce pod lasem, daleko na północy i daleko od ludzi żyła sobie staruszka wraz z synem, jedynakiem, któremu Janek było na imię. Biedni byli bardzo, jadałi tylko mleko, grzyby i jagody leśne, czasami udało się Jankowi złowić jakąś zwierzynę, najczęściej dziką kaczkę i tak się im jakoś żyło. Ziemi mieli wprawdzie dosyć, ale matka za słaba już była, a Janek jeszcze za młody, żeby ją należycie uprawić i dojść do jakiegoś pożytku. Pomimo niedostatku oboje byli bardzo gościnni, każdego podróżnego radzi w domu widzieli i dzielili się z nim nawet ostatnim kęsem.

Jednego razu Janek wyszedł na drogę i usłyszał z daleka dziwnie żałosne skomlenie. Podszedł bliżej i zobaczył, że jakiś człowiek prowadzi pieska, który strasznie lamentuje.

— Co chcecie z tym stworzeniem zrobić? — zapytał chłopiec.

— Ano utopię go — odpowiedział nieznajomy — bo nie wart, żeby go żywić.

Targ w targ kupił Janek pieska za grosz i przyniósł go do domu. Matka była bardzo z tego niezadowolona.

— Sami nie mamy co na ząb położyć — biadała — a ty mi sprowadzasz takiego darmozjada.

Janek obiecał jednak dzielić się z pieskiem swoim jedzeniem i tak zostało. Kiedy wyrósł z niego duży pies, okazał się bardzo przydatny do polowania. Pomagał Jankowi chwycić zające i kaczki, pilnował swego pana i był mu posłuszny na każde zawołanie.

Innym razem w podobnej okazji kupił Janek małego kotka i również przyniósł go do domu. Matka znowu biadała, ale wreszcie pozwoliła trzymać i to stworzenie w chacie. Niebawem pokazało się, że

i kot przyniósł im wiele pożytku, jako że łapał myszy, które wyjadały zboże ze spichlerza.

Ale na tym jeszcze nie koniec.

Wybrał się Janek w dalszą drogę i zaszedł na łąkę, gdzie ludzie siekli trawę po krańcach tylko, a środka całego poniechali. A kiedy zapytał ich dlaczego tak się dzieje, objaśnili go, że nie śmia się zapuszczać głębiej, bo tam ukrywa się wielki gad i gdyby doń bliżej podeszli, łatwo by mogli doznać jakiegoś nieszczęścia. Ale Janek znał się dobrze z węzami i nie bał się żadnego z nich.

— Jeżeli chcecie — rzekł — wybawię was z tego kłopotu i jeszcze dam wam kilka groszy na poczęstunek i chleb.

Kiedy ludzie chętnie się na to zgodzili, chłopiec stanął pośrodku łąki i zawołał śmiało:

— Wychodź wężu, boś jest mój!

I oto z trawy gęstej i wysokiej śmignął w górę biały gad i określił się Jankowi koło szyji. I tak wrócili razem do domu.

Matka jednak bardzo się rozgniewała:

— Tego już za wiele! Psa i kota trzeba karmić, a teraz jeszcze lichy nadało węża, który nic innego do pyska nie bierze jak czyste mleko. Skądże ja na to wszystko nastarczę.

— Już ja się z nim — odpowiedział Janek — swoim śniadaniem podzielę. On taki miły, ładny i pieszczotliwy, że za nic na świecie nie chciałbym go się z domu pozbyć.

Został więc wąż w Jankowej chacie i zżył się z nimi wszystkimi. W dzień wylegiwał się zwinięty w kłębek na przyźbie i grzał się do słońca, a w nocy sypiał razem z chłopcem w łóżku. Mleko wysysał krowom z wymienia, a one tak do tego przywykły, że wracając z paszki przyzywały go do siebie tęsknym porykiem. Strata z tego w gospodarce nie wynikła, bo nigdy nie było tak dużo i tak dobrego nabiału, a żadna czarownica odebrać mleka krowom nie śmiała. Raz zaś, kiedy złodzieje podkradli się do chaty, wąż narobił takiego krzyku i syku, że pies z kotem wybiegli z chaty, a złodzieje przestraszeni czym prędzej uciekli. Stał się tedy wąż prawdziwym przyjacielem domowym.

Był jednak zawsze bardzo smutny.

— Czegóż ty tak żałośnie na świat spoglądasz, kochasiu? — zapytał go raz pewnego Janek.

— Mój drogi — odpowiedział wąż — wiem, że mi dobrze życzysz, więc ci powiem, kim jestem. — Wyprostował się dumnie i unosząc łeb swój w górę, wyznał uroczyście: — Jam jest syn królewski. Jedyna-

kiem byłem i dobrze mi się działo u ojca, który ma skórę grającą wszystkimi barwami tęczy, a na głowie drogocenną koronę diamentową, co jaśniej świeci niż słońce. Już z daleka go poznać można, a jest mu przydana władza nad wszystkimi wężami z całej Polski i Rusi. Kto jego koronę posiędzie, ten może otrzymać, czego dusza zapagnie. Ojciec mój mieszka pośród wielkich lasów i bagien na Pińczysku i trudno trafić do niego. Wprawdzie wiem, którą drogą w tamtą stronę prowadzi, ale za słaby jestem, abym mógł przedostać się tak daleko.

— A jakim sposobem — zapytał Janek — zawędrowałeś w nasze strony?

— Ot raz — opowiadał wąż — bawiłem się na łące z moimi przyjaciółmi, aż tu nadleciał bocian. Wszyscy moi towarzysze pochowali się gdzie mogli, a ten straszny ptak porwał mnie i zaniósł daleko na południe. Na szczęście udało mi się wyślizgnąć z jego dzioba. Wpadłem pomiędzy trzciny i na próżno bocian szukał mnie aż do wieczora. Rankiem powędrowałem dalej i ukryłem się w łące, gdzie byłbym pewnie marnie zginął, gdyby nie ty. A teraz proszę cię, Janku, abyś zaniósł mnie do ojca. Możesz żądać od niego za wybawienie syna czarodziejskiej korony, którą on nosi na głowie, a wówczas skończy się twoja bieda i będziesz szczęśliwy aż do ostatka dni twoich.

Nie namyślając się długo wybrał się Janek w drogę i szedł przez kilka dni, ciągle na północ.

Minął niebawem kraje ludne i dostał się na bezdroża, gdzie tylko od czasu do czasu napotykał wsie ubogie i kurenie oblane dokoła wodą. Ziemi coraz bardziej ubywało, nastąpiły bagna, trzęsawiska i lasy ciemne, ponure, pogrążone w zatęchłych topieliskach. Tu i ówdzie płynęły rzeki, których ciemny nurt gubił się w bezkresnej, zielonej puszczy.

Janek przedzierał się tamtędy z największym trudem, zapadając się po pas albo płynąc na duszogubkach pomiędzy gęstwą krzewów i roślinności, ogarniającej coraz zachłanniej opuszczone koryta rzeki. Dokoła krążyły nieprzeliczone stada błotnego ptactwa, wysoko w błękitie kołysały się wielkie jastrzębie, wypatrujące zdobyczy, z kęp porośniętych czerwonymi bruśnicami i czarnymi pijanicami wrywały się przeraźliwym turkotaniem polotne ciecieruki. Na mszarach ukazywały się powolnym lotem płynące głuchonie. Na wszystkich dostępnych szlakach krzyżowały się ścieżki wydeptane przez wilki. W niedostępnych gęstwinach przewijało się od czasu do

czasu płowe cielsko rysia, to znowu trafiało się opuszczone legowisko niedźwiedzia.

Janek szedł, jakby prosto, nie zważając na żadne przeszkody, obierając bez namysłu kierunek taki, jaki mu ukazywał łeb węży niesionego za pazuchą.

Wreszcie rozwarło się przed nimi wielkie, cuchnące trzęsawisko, porośnięte z rzadka karłowatą sosenką. Drogę znaczyły tutaj kłody na wpół spróchniałych drzew rzuconych snąć przed wielu laty. Posuwając się z trudem po pniach oślizgłych i wyszczerbionych zębem czasu, poznał niebawem chłopiec, że znalazł się w samym rojowisku węży. Otaczały go nieprzebraną plątaniną skrętów, drgających od niepoohamowanej wściekłości. Zdawało się, że są gotowe lada chwila rzucić się i rozerwać na sztuki śmiałka, który odważył się przestąpić granice ich królestwa. Były tam gady najpospolitsze i najmniej szkodliwe, były żmijsy wielkie i małe o miedzianym połysku, najbardziej ze wszystkich jadowite. Były żmijsy największe, białe, które leżały nieruchomo i wpijając swoje ślepie w jasną tarczę słońca, pily jego siłę. Ukazywały się olbrzymie cielska położów, które mają taką siłę spojrzenia, że są w stanie omamić i unieruchomić każdą ludzką istotę. Pojawiły się wreszcie węże już bardziej do smoków podobne, na wpół uskrzydłone, które w ciągu lat siedmiu dzwonoń kościelnych nie słyszały.

Janek zmartwiał ze strachu, ale syn króla węzowego wystawił znowu swój łeb i jakby syknął do gadów osobliwym rozkazem. Wówczas wszystkie węże rozstały się i ukazały wolną drogę, wiodącą do ostrowia, gdzie widać było z daleka olbrzymie rosochate sosny, opasane dokoła bujną krzewiną.

— Jesteśmy na miejscu! — oznajmił Jankowi młody wąż.

Jakoż za kępą leszczyny, na której chwiała się wielka, zielona jemiola, widać było wspaniałą, błyszczącą pałac króla węży. On sam leżał na ganku i wygrzewał w promieniach południowego słońca swoje światło, wielkie cielsko. Poznać go było łatwo, bowiem jego czarodziejska, brylantowa korona lśniła na łbie blaskiem oślepiającym.

Król zdziwiony widokiem nieznanego, który zdołał się przedostać do jego pałacu, zapytał:

— Czegóż tutaj szukasz, nieszczęsny człowieku?

— Przyniosłem ci twego syna — odpowiedział Janek śmiało — którego uratowałem od niechybnej zguby.

Król ucieszył się bardzo, widząc swego jedynaka za pazuchą chłopca, i znowu zapytał:

— Czego żądasz za to?

— Niczego innego nie chcę, jak tylko korony króla węzów.

— Żądaj czego chcesz, złota, skarbów, ale nie żądaj korony.

— Nie — domagał się Janek — ja chcę tylko korony, inaczej zabieram twojego syna i wracam do domu.

— Widzę — rzekł król węzów — że ci ten młokos głowę koroną zawrócił. Skoro tak bardzo pragniesz, dam ci ją, ale pamiętaj, że ci ona ani pożytku ani szczęścia nie przyniesie. Będziesz miał to wszystko, czego zażądasz, ale zadowolenia zupełnego nie zaznasz. Prędej czy później przyniesiesz mi ją z powrotem.

Potrząsną głową, korona spadła i potoczyła się do stóp Janka, który chwycił ją z zadowoleniem i schował w zanadrze. Spostrzegł przy tym, że kiedy na głowie króla węzów wydała się wielka i wspinała, teraz stała się mała, jakby mizerna i straciła swój świetny blask.

Pożegnawszy się z synem króla węzów, Janek natychmiast wyruszył z powrotem do domu. Ze zdziwieniem zauważył, że droga sama się przed nim ściele. Bagna i lasy rozstępowały się, aby mógł iść pewnie i śmiało, suchą nogą. Szybko tedy wrócił do domu. Zaraz od proga wyszczerzyła na niego zęby bieda. Matka wynędziała zupełnie z głodu, a na psie i kocie skóra tylko i kości zostały. Wnęć się jednak na to znalazła rada. Janek wziął koronę do ręki i rzekł głośno:

— Chciałbym coś dobrego zjeść!

I oto zaraz, ni stąd ni zowąd, zjawił się stół zastawiony najlepszymi potrawami.

Odtąd działa im się jak najlepiej. Mieli co jeść i pić, ubierali się i mieszkali po pańsku. Matka sił znowu nabrała, a pies i kot teraz dopiero poznały jak to dobrze służyć Jankowi.

Wszystkim się zdawało, że większego szczęścia na ziemi być nie może, tylko Janek tego nie czuł. Pomimo wielkiego dostatku wciąż był niezadowolony. Wciąż mu czegoś brakowało, za czymś nieznanym tęsknił i sam nie wiedział, czego pożywał.

Nie był już dzieckiem. Wąs mu się sypał, rozrósł się i wybujał jak młody dąb. Dziewczęta oglądały się za nim z wesołym uśmiechem i nawet niejedna z najbogatszych chętnie by widziała, gdyby przyjechał do niej w zaloty. Ale Janek najmniejszej nie zwracał uwagi na wiejskie panny, nie myślał nawet o szlachciankach ze dwora, tylko sięgnąć postanowił do królewskiego pałacu.

Jednego dnia zaczął się przygotowywać do przyszłych konkurów z pomocą korony króla węzów. Ubrany wspaniale, ze skrzyniami wyładowanymi najkosztowniejszymi podarunkami stanął na królewskim dworze. Od razu wzbudził tam podziw powszechny, wszyscy patrzyli na niego jak na jakieś dziwo. Takiego cudnego konia, na jakim przyjechał, nikt jeszcze nie widział. Takich pierścieni, guzów, zapinek, takich pasów tureckich i słuckich, takich maneli, zausznic, tabakierek, zegarków i sakiewek, takich diamentów, pereł i najkosztowniejszych kamieni najwięksi nawet bywalcy jeszcze nie oglądali.

Król widząc swego poddanego tak bogatym, wprowadził go na pokoje i przedstawił córce, której Jaś zaraz najpiękniejsze wręczył prezenty. Ona jednak pierwsza poznała, że ten strojny kawaler prostym był chłopem, bo jej delikatny noski poczuł zapach dziegciu, którym on swoje piękne, żółte buty dla lepszego szyku wysmarował.

I od razu wszyscy zaczęli mówić, że ten kawaler pomimo całego dostatku na żurze jest wychowany i choćby go miodem smarować, zawsze dziegciem śmierdzić będzie.

Był jednak tak bogaty i hojny, że się wszyscy do niego garnęli i o jego łaski zabiegali. Po miesiącu, kiedy już nabrał większej śmiałości, poprosił króla o rękę jego córki.

Król usłyszawszy tak dziwne żądanie odrzekł:

— Moja córka jest zaręczona z księciem, ona kocha jego, a on ją, ja zaś słowa danego dotrzymać muszę.

Lecz gdy Jaś nalegał, odrzekł król, żartując sobie z niego:

— Patrz, stąd o trzy mile jest wysoka góra, a jak daleko okiem zasięgnąć same bagna. Otóż znieś tę górę do połowy, ziemią zasyp bagna, aby tu ludzie mieszkać mogli, zaś na górze wystaw potężny gród i zamek tak silny, by go żaden nieprzyjaciel zdobyć nie mógł. W zamku niech będą pokoje złotem i srebrem wybijane, a dokoła w ogrodzie niech rosną złote drzewa.

Te słowa królewskie miały znaczyć, że jak nie podobna takiej roboty dokonać, tak nie podobna, aby prosty chłop mógł sięgnąć po królewską córkę.

Tymczasem Janek odszedł tak daleko, aby go nikt nie widział, wyjął koronę króla węzów z kieszeni i zaczął wypowiadać swoje życzenia.

I oto góra zaczęła się usuwać, ziemia spadała na bagna i zasypywała je, na górze zaczęły rosnąć mury, zamek i gmach królewski tak wspaniały i obronny, jakiego w całym kraju zobaczyć nie było można. W ogrodzie zaś zabłysły złote drzewa.

Wszystko to stało się w przeciągu jednej nocy. Kiedy król wstał rano, zobaczył przez okno zamek tak wspaniały, jakiego nawet książę nie posiadał. Wieść o tym nadzwyczajnym wydarzeniu rozeszła się już szeroko i mnóstwo ludu przybyło do króla prosić o ziemię, a król dawał każdemu, ile tylko starczyło.

Przyszedł znów Janek prosić króla o rękę królowny. Trudno mu było teraz odmówić. Sama królowna zgodziła się zostać żoną jego. Bała go się, choć nie kochała i z głębi strapionego serca tak sobie z ruska śpiewała:

*„Oj znaju, znaju koho kochaju,
Tilko ne znaju, z kim żyty maju“.*

Odbyło się wesele tak wspaniałe, że nikt chyba czegoś podobnego nie widział, o czymś podobnym nie słyszał. Sam książę był starostą i ani na krok nie odstępował panny młodej. Ciągłe sobie coś do ucha szeptali, on jej, a ona jemu. Janek widział to wszystko, ale nic nie mówił, bo mu się zdawało, że właśnie tak nakazuje królewski obyczaj.

Po weselu król kazał córce z mężem mieszkać, a księcia poprosił, aby wyjechał. Smutne to było pożegnanie. Płakała królowna, płakał książę, a Janek również czuł się bardzo głupio.

Pożycie królowny i Janka niezbyt było szczęśliwe. Dumnej córce królewskiego rodu nie wystarczało to, że mąż jej był dobry i uczciwy. Zarzucała mu po cichu, że brak mu poloru i dobrych manier. Więcej zawsze prosił niż rozkazywał, nie umiał ani poruszać się z godnością wrodzoną, ani zgrabnie tańczyć, w rozmowie brakowało mu zawsze wykształcenia i dowcipu, a kiedy wziął szablę do ręki, to machał nią jak cepem. Pomału, bardzo pomału wkładał się do wszystkiego.

Królowna nie była wobec niego szczerą, udawała życzliwą, często mu pochlebiała, a wreszcie chcąc go dla siebie zupełnie pozyskać, zaczęła go całować i pieścić. Janek zgłupiał do reszty i zdawało mu się, że jest bardzo szczęśliwy.

Po jakimś czasie, kiedy zdobyła jego zupełne zaufanie, poczęła go wypytywać, jakim sposobem tak wspaniały zamek wybudował? Wówczas dobroduszny Janek przyznał się do wszystkiego, opowiedział jej o koronie króla węzów i nawet ją pokazał. Tego tylko trzeba było królownie. Zaraz powzięła chytry plan i jeszcze tego samego wieczora pospraszala gości na sute przyjęcie. Częstowano wszystkich smacznymi potrawami, tak jak Janek lubił, a wino to już wszystkim po brodzie kapalo. Królowna ciągle mężowi dolewała. Janek upił się

po raz pierwszy w życiu i leżał w łóżku jak nieżywy. Tymczasem królowna, która trzeźwą zachowała głowę, poczęła mu przetrząsać kieszenie i bez trudu znalazła koronę króla węzów. Spojrzała na pijanego męża, którego narzucono jej wbrew woli i zawołała:

— Och, gdybym się pozbyć mogła tego spanoszonego chama i zamiast niego mieć przy sobie lubego księcia!

Zaledwie wyrzekła te słowa, zniknął Janek, a obok niej na łożu leżał wytworny książę, dawny jej kochanek. Przywitali się ze sobą spragnionymi usty, upojenie miłosne ogarnęło ich jak płomień. Uściskom i pieszczotom nie było końca.

Rankiem królowna schowała koronę króla węzów w najtajniejszą kryjówkę, a kiedy szła spać, brała ją do ust i trzymała pod językiem.

Tymczasem Janek trzeźwiał powoli, a kiedy się wreszcie obudził, zobaczył, że znowu znajduje się w swojej ubogiej chacie, a koło niego łaszą się pies i kot. Matki tylko nie było, bo już dawno pomarła. Zrazu nie wiedział, co ma znaczyć taka niespodziewana przemiana, kiedy jednak przeszukał kieszenie i nie znalazł korony króla węzów, zrozumiał, że go królowna haniebnie oszukała. Wydało mu się, że wszystko zostało bezpowrotnie stracone, wszystko, ach wszystko: szczęście, bogactwo i miłość. Płakał tak bardzo, że pies i kot, litując się nad swoim dobrym panem, poczęły go wypytywać, co mu się tak bardzo złego przydarzyło. Janek opowiedział im wówczas o swoich przygodach.

— Powędrujemy w świat — zawołały poczciwe zwierzęta — będziemy szukać korony króla węzów i przyniesiemy ci ją.

Wyruszyli tedy wszyscy razem w drogę. Po wielu przygodach dotarli wreszcie do wspaniałego zamku, który stanął niegdyś na Janka zakłęcie, przez moc korony króla węzów.

Po naradzie postanowili, że Janek zostanie w lesie, a kot i pies pójdą na przeszpiegi do zamku. Aby się tam dostać, trzeba było przepłynąć rzekę, która otaczała rezydencję królowny. Kot wylazł na psa, który umiał doskonale pływać i w ten sposób stanęli po drugiej stronie pod murem wysokim i tak gładkim, że nawet ostre pazury kota na nic się nie przydały. Zadumały się tedy zwierzęta jak sobie poradzić i kiedy tak dumaly, gdzieś w głębinie muru ozwało się ciche i delikatne brzęczenie jakiejś wesołej muzyki. Nadstawiły uszu, grano marsza weselnego.

— Co to takiego? — zawołał pies i schował się za krzakiem, a tuż przy nim zaczął się kot.

Tymczasem z maleńkiej dziury poczęło wychodzić mysie wesele. Przodem maszerowali muzycanci z basem, potem swatowie i swatki, dalej druźbowie z druźnikami, a za nimi para młoda. Pan młody pięknie był wystrojony, a panna młoda wyglądała na najpiękniejszą ze wszystkich myszek. Na samym końcu tłoczyli się starostowie i goście weselni.

Kiedy ta cała gromada strojna i wesola ciągnęła do ślubu, kotowi zaiskrzyły się oczy. Cóż to była za okazja! Rozbawione myszy nie poczuły zdradzieckiego zapachu swojego wroga i lazły mu prosto w zgłodniałe gardło. Kot wyciągnął przed siebie pazury i już się gotował do skoku, ale pies, który uważał na wszystko, szepnął mu do ucha:

— Z ostrożna, pohamuj się panie kocie, bo mógłbyś wierutnie strzelić głupstwo i najlepszą zmarnować sposobność. Chwyć tylko pannę młodą, ale jej broń Boże nie zaduś i ze wszystkim zdaj się na mnie.

Kot skoczył natychmiast w sam środek gromady i chwycił pannę młodą. Orszak ślubny zniknął od razu, jakby weń piorun strzelił. Ucichły dźwięki wesołego marsza, muzycanci i weselnicy uciekli do mysiej dziury, skąd tylko rozlegały się żalosne piski.

Wreszcie wszystko ucichło i dopiero po długiej chwili rozległo się niesmiałe chrobotanie. Odważny pan młody wystawił głowę z dziury, aby zobaczyć co się stało z jego narzeczoną.

— Słuchaj — przemówił do niego pies — my ci oddamy twoją pannę, ale ty musisz zakraść się do królowny i przynieść nam koronę króla węzów. Wiesz chyba, że ona ją ukradła i schowała.

— Znam całą królewską rodzinę — odpowiedział mysior — matka wychowała mnie w pończosze królowny, a kiedy nocą wyruszam na przeglądy, dowiaduję się o wszystkim. Wiem, że królowna nosi koronę przy sobie, a gdy zasypia chowa ją w usta. Trudno będzie ją stamtąd wydobyć.

— A rób sobie co chcesz — zawołał pies rozgniewany — jeżeli nie przyniesiesz korony króla węzów, możesz się pożegnać na zawsze z twoją narzeczoną. Kot ją schrupie od jednego zamachu.

Pan młody widząc, że to nie przelewki, pobiegł szybko do królewskiej sypialni. Na szerokim łożu królowna i księżę przytuleni do siebie spali jak zabici. Mysior zajrzał do ust, ale zacisnęła je tak mocno, że o wydobyciu korony mowy nie było. Poszedł jednak pan młody po rozum do głowy i niewiele myśląc począł ogonkiem laskać wargi królowny tak chytrze, że ona poczuwszy coś oślizgłego

i obmierzłego odwróciła się z otwartymi usty, a korona króla węzów potoczyła się na ziemię.

Zerwała się wprawdzie szybko, ale nim zapaliła świecę, mysior już uciekł z koroną i oddał ją kotu, który wypuścił za to ze swoich pazurów biedną, przerażoną śmiertelnie pannę młodą.

Od razu całe mysie stado nabrało rezonu. Wybiegły śmiało wszystkie myszy z dziury, a orkiestra jak utnie siarczystego marsza. Oj, co to była za radość, co za tańce i wesele, jakby kota nie było w pobliżu. Zwierzętom przyniesiono zresztą sera, kielbasy i miodu, żeby sobie dobrze podjadły i nie ostrzyły zębów na biedne myszki.

Najadłszy się do syta poszli znowu ku rzece.

— Siadaj na mnie jak pierwej — rozkazał pies — koronę trzymaj w zębach i pamiętaj, żebyś jej ani na chwilę nie popuścił.

Kiedy byli na środku rzeki, pies nie mógł wytrzymać i zapytał kota:

— Masz koronę?

Kot otworzył pysk i odpowiedział:

— Mam.

A tymczasem korona wpadła do wody. Kot jednak nie zdradził tego, co się stało, bo się bał psa. Skoro jednak wydobyli się na brzeg, pies znów zapytał:

— Masz koronę?

— Nie mam.

— A gdzie ją podziałeś?

— Niepotrzebnie pytales, kiedyśmy byli na rzece, bo właśnie wtedy, kiedym ci odpowiedział, korona wpadła do wody.

Zafrasował się pies, trudna rada, trzeba było znowu coś wymyślić, aby odzyskać koronę króla węzów.

— Słuchaj kocie — rzekł po chwili — ja wejdę do wody, bo dla mnie jeszcze raz ogon zamaczać to fraszka, będę chwycił ryby i będę je wyrzucał na brzeg. Tyś stworzenie drapieżne, ostrzejsze ode mnie masz zęby i pazury, więc będziesz je rozgryzał i patrzył, czy w którejś rybce nie ma korony? . . .

Jak powiedzieli, tak zrobili. Po jakimś czasie na brzegu rzeki wzniosła się cała sarta ryb z rozdartymi brzuchami. Niespodziewanie podpłynął do nich rybi król we własnej osobie i zapytał:

— Czemuż wy nas tak marnie gubicie, cośmy wam zawinili?

— Korona króla węzów zginęła nam na środku rzeki — odpowiedział pies — dopóki nam jej nie oddacie, ja będę ryby chwycił, kot im będzie plątał brzuchy.

Rybi król zwołał wówczas wszystkich swoich poddanych i zaczął się dopytywać, kto połknął koronę.

Pytał raz i drugi, żadna z ryb nic o tym nie wiedziała. Dopiero na samym ostatku zjawiała się taka jedna najmarniejsza ze wszystkich i oddała koronę króla węzów. Połknęła ją przed innymi rybami, myśląc, że to coś bardzo smacznego.

Pies już więcej korony kotu nie oddał, bo kot był wprawdzie bardzo poczciwy, ale i bardzo głupi.

Bez żadnych już przygód wrócili do Janka i oddali mu koronę króla węzów. Janek podziękował poczciwym zwierzętom i natychmiast wyruszył do króla, który jak się okazało o niczym jeszcze nie wiedział. Widać królowa nie uznała za stosowne zawiadomić ojca o swoich postępkach. Nawet dworskie bajolapy, chciwe na wszystkie nieprzystojne nowinki, nie wiedzieli o tym, co się stało.

Zdziwił się więc król, kiedy Janek zaczął skargi na królowę wywodzić.

— Nie mogę uwierzyć w to, co mówisz — odparł król — widać, żeś prostak i nie zdołałeś uszanować panny z wysokiego rodu.

— Twoja córka — rzekł Janek — złamała wiarę, którą mi przed ołtarzem ślubowała. A jeśli mi królu nie wierzysz, to cię zaraz przekonam...

Wziął koronę do ręki i rozkazał, aby królowa wraz ze swoim kochankiem natychmiast się tutaj zjawiała.

Zaledwie wyrzekł te słowa, aż tu rozwarły się drzwi i oto woczyło się łóże, na którym królowa z księciem w miłosnym spoczywali uścisku. Nie wiedząc o niczym zachowywali się tak, jakby nikt na nich nie patrzył. Stary król zapłonął gniewem i porwawszy karbowanica zaczął okładać oboje tak zawzięcie, że jęcząc poczęli z bólu i wstydu.

Dopiero Janek pohamował króla, wyrwał mu kij i wszystkich uciścił. Dziwna się w jego duszy dokonała przemiana. Zrozumiał, że chociaż miał prawo do jej miłości, miłości tej nigdy ani narzucić ani nakazać nie zdoła. On nigdy takich słów słodkich nie słyszał, takich pieszczot nie zaznał, na jakie patrzyły przed chwilą jego zdumione oczy. Dzięki koronie króla węzów mógł posiadać wszelkie bogactwa, mógł góry znosić, zamki wspaniałe budować i drzewa złote stwarzać, ale tego jednego kobiecego serca własną siłą zdobyć nie umiał.

— Mogłbym was zniszczyć i zgubić — rzekł do nich — ale cóż by mi z tego przyszło? Żyjecie ze sobą w szczęściu, a ja pójdę w świat, za oczy.



Wyszedł, aby już nigdy tutaj nie wrócić. Powędrował znowu na północ i trafił wreszcie do pałacu króla węzów. Oddał mu koronę i opowiedział o całej swej niedoli.

— Mówiłem ci — rzekł król węzów — że moja korona szczęścia prawdziwego nie przynosi, bo szczęścia prawdziwego nie ma na świecie. Nie daje go ani sława, ani majątek, choć ludzie tego wszystkiego zazdroszczą. Nie daje go miłość, bo prędzej czy później ulata . . .

Żył sobie Janek w pałacu u króla węzowego, żył spokojnie wraz z psem i kotem aż do śmierci.



TRZY RADY

Staremu człowiekowi śmierć już w oczy zaglądała. Z pościeli wstawać nie mógł, całymi dniami trwał w zapamiętaniu, jakby dusza zeń uchodziła. Nic go na świecie nie ciekawiło i nawet nie wypytywał jedyne go syna o sprawy gospodarskie.

Dopiero pewnego dnia jakby z powrotem przytomność odzyskał, zawołał jedynaka i tak do niego przemówił:

— Słuchaj synaczku, niedługo już śmierć mi oczy zamknie, a więc idź i zawołaj dwóch sąsiadów, bo chcę moją ostatnią wolę wypowiedzieć, abyś wiedział jak masz się rządzić w dalszym twoim życiu.

Te słowa zdziwiły bardzo syna.

— Jakież, ojciec — spytał — chcesz czynić rozporządzenia? Przecież tylko mnie jednego masz na świecie. Majątek, który posiadasz, mnie przypaść musi, więc po cóż wzywać świadków?

Ale ojciec obstawał przy swoim:

— Żądam dwóch świadków, a ty się mojej woli nie sprzeciwiaj!

Młodzieniec zdjęty ciekawością przyproceedził czym rychlej dwóch sąsiadów, których starzec uprzejmie powitał i kazał im usiąść przy sobie. Po chwilowej pogwarce zaczął mówić zwolna, jakby po długim namyśle:

— Majątek, który mi Pan Bóg zebrać dozwolił, po śmierci mojej do ciebie należy. Teraz udzielam ci tylko ostatniego napomnienia, do którego masz się rzetelnie stosować. Zapamiętaj sobie dobrze: po pierwsze przyjaciół za często nie odwiedzaj, po drugie żywny nikomu nie pożyczaj, po trzecie żony w cudzej wsi nie szukaj. I to jest wszystko, co ci mam do powiedzenia na śmiertelnym łożu.

W kilka dni potem, kiedy koło południa mgła gęsto świat przesłoniła, a wieczorem sowa wolać zaczęła, zmarło się stárcowi. Syn wyprawił mu pogrzeb okazały, bo pieniędzy i majątku zostało co niemiara.

Ostatnie słowa ojca utwiły mocno w pamięci młodego gospodarza i ciągle nad tym rozmyślał, czy prawdą jest to, co stary gadał.

Niebawem zdarzyło się, że sąsiad najbliższy poprosił go o pożyczenie kobyły, aby mógł sobie zaorać kawalek pola. A kobyła ta była żrebna. Wyszedłszy w pole, zobaczył, że sąsiad przy orce okładał kobyłę niemilosiernie batem. Podszedł bliżej za krzakami i ujrzał w końcu, że kobyła zmordowana nad miarę padła na ziemię i ożrebiła się. Sąsiad schwycił żrebię i rzucił je w ciernie, a kobyłę kazał dalej pług ciągnąć.

— Ojciec dobrze mi radził — pomyślał gospodarz i wrócił do domu.

Na drugi dzień wybrał się do przyjaciół, których miał zamiar po raz trzeci odwiedzić. Dotychczas byli mu zawsze radzi, tym razem jednak nie zastał ich w domu. Przyjaciele poszli do kościoła, a w izbie bawiły się małe dzieci, które zobaczywszy go poczęły się chwalić, że matka przygotowała dużo dobrych rzeczy: kołaczki, kluski, kielbasę i dzban piwa. Na razie jednak wszystko schowane jest na piecu i pod ławą. Kiedy przyjaciele wrócili do domu, zaczęli się skarżyć, że w ostatnich czasach bardzo zbiednieli, tak zbiednieli, że nie mogli sobie nawet nic na święta przygotować.

I znowu przypomniła mu się przestroga ojca, aby przyjaciół za często nie odwiedzać. Pożegnał się z nimi, ale przed tym zaprosił ich na wesele, które miało się odbyć już za kilka dni.

Wbrew przestrogom ojca znalazł sobie żonę w drugiej wsi. Na dzień przed ślubem postanowił zajść do niej jeszcze raz, żeby zobaczyć, czy wszystko zostało należycie przygotowane. U narzeczonej zastał młodego parobka Piotra, który miał być pierwszym drużbą. Zabawili się długo, a że droga do domu była daleka, spytał narzeczoną, czy nie mógłby u niej zostać na noc. Bez wielkiej ochoty pościeliła mu na ławie, a sama poszła spać do komory. Parobek gdzieś się stracił, ale kiedy już głucha noc nastała, skrzypnęły drzwi i dało się słyszeć ostrożne człapanie bosych nóg.

Młody gospodarz, który oka jeszcze nie zmrużył, domyślił się od razu, co w trawie piszczy.

Po chwili dał się słyszeć namiętny głos dziewczyny:

— Dziś, Piotrze, weselmy się za wszystkie czasy, bo to nasza ostatnia noc...

Kiedy zmęczeni usnęli, gospodarz wstał, podszedł cicho i wyciął kawałek sukna na skos z parobczyńskich spodni, a potem poszedł do domu.

Na drugi dzień zebrało się u niego dużo zaproszonych gości. Był i sąsiad, któremu pożyczył kobyłę, byli i jego przyjaciele, był i parobek Piotr. Mieli niebawem wszyscy wyruszyć do kościoła, a muzycanci gotowali się już, aby zagrać weselnego marsza.

Ale pan młody zatrzymał rozochoczoną gromadę, skoro miał im jeszcze coś bardzo ważnego do powiedzenia. Wszyscy mocno rozciekawieni słuchali z wielką uwagą słów jego.

— Stary mój ojciec — mówił — zostawił mi na łożu śmiertelnym trzy rady. Po pierwsze, abym żywizny w cudze nie oddawał ręce. Tyś miły sąsiedzie pożyczył ode mnie żrebną kobyłę i biłeś ją przy orce tak mocno, że się ożrebiła na polu, a żrebię rzuciłeś w cieranie. W ten sposób wypełniła się pierwsza przestroga. Potem radził ojciec, abym za często nie odwiedzał przyjaciół. Kiedym przyszedł do was, mili przyjaciele, schowaliście przede mną kie'basę, kołacze i piwo, a sami udaliście wielkich biedaków. Po raz drugi prawdę powiedział ojciec. Wreszcie przestrzegał mnie, abym żony w cudzej wsi nie szukał. I oto skorom wczoraj u ciebie, miła panno, nocowałem, leżałem w łóżku z družbą i chyba nie może być inaczej, tylko z nim musisz pójść do ołtarza.

A kiedy dziewczyna gorąco przeczyć zaczęła, młody gospodarz pokazał kawałek sukna wyciętego w nocy z parobczyńskich portek. Przystawały tak doskonale, że trudno było nie wierzyć.

— Jeżeli macie ochotę — rzekł jeszcze — to proszę, pijcie i jedzcie, a potem idźcie sobie stąd i zostawcie mnie samego, bo wesele się nie odbędzie.

Nikt jednak nie miał ochoty ani na zabawę, ani na poczęstunek. Wymykali się chyłkiem jedni za drugimi. W pustej chacie został sam jeden, młody i tak już doświadczony gospodarz...

R A K

Zwierzęta przeważnie pogardzają rakiem, bo gdy Pan Bóg rozdzielał dary pomiędzy wszystkie stworzenia, rak tylko jeden nie przedłożył swojemu Stwórcy żadnego życzenia. Pan Bóg sam go wreszcie do siebie wezwał i zapytał:

— Raku, a gdzie ci dać oczy?

A rak odpowiedział pogardliwie:

— A daj mi gdzie chcesz, choćby w zadku...

— Niech się stanie wedle twojej woli — odpowiedział Stwórca — odtąd tyłem chodzić i patrzeć będziesz!

Rak jest bardzo powolny.

Pewnego razu wysłali go po drożdże, które były potrzebne na Boże Narodzenie do kołaczów. Ale raczysko jak poszło, tak nie wracało. Nim się zawlókł, upłynęło wiele czasu. Wreszcie nabrał u żyda młodzi i przyniósł je akurat we Wielką Sobotę. Kiedy gospodyni go zobaczyła, zaczęła urągać:

— A ty drabie, coś miał przynieść na Boże Narodzenie, to na Wielkanoc przynosisz!

Rak właśnie przechodził przez próg i obaliwszy się, stłukł naczynie i wylał drożdże.

— Widzicie sami — zawołał rozgniewany — że co nagle, to po diable...

BIEDNY I BOGATY W NIEBIE

Ubogi chłop szedł po śmierci prosto do raju. Wędrował najpierw drogą ciernistą, pełną skał stromych, potem minął po lewej stronie czyściec i dolinę Józefata, aż wreszcie ujrzał przed sobą miasto otwarte w jasnych obłokach, gorejące światłem oślepiającym, od którego zapala się słońce i gwiazdy. Płynęły stamtąd dźwięki cudowne, wróżące już z daleka niewysłowione rozkosze rajskie.

Kiedy ubogi ten i sprawiedliwy człowiek począł się już zbliżać do jednej z siedmiu bram niebieskich, nagle ujrzał zdziwiony, że wyminał go szybko jakiś bogaty pan. Skoro święty Piotr zobaczył tego bogatego pana, natychmiast otworzył rajskie podwoje i wpuścił go do środka. Brama zamknęła się z hałasem przed nosem biednego chłopca. Zastukał, ale nikt mu nie otworzył. Widać święty Piotr nie słyszał, bo jak tylko bogaty pan wszedł do nieba, rozległo się tam tak głośnie granie i śpiewanie, że nikt nie zwrócił uwagi na dobijanie się chłopskiej duszy. Czekał długo i stojąc za furką niebieską przysłuchiwał się radosnym dźwiękom. Dopiero kiedy wszystko ucichło, zapukał znowu. Tym razem święty Piotr usłyszał i otworzył bramę.

Chłop wszedł do nieba i począł się rozglądać dokoła. Wydało mu się, jakby tu się co dopiero skończyła jakaś wielka uroczystość. Bóg Ojciec z Panem Jezusem i Najświętszą Panią wracali do swojego pałacu, który gorzał w oddali zbudowany z samych pereł, diamentów, rubinów i wszelakich kosztowności. Ponad nimi polatywał Duch święty w postaci bieluchnego gołąbka. Z siedmiu gradusów niebieskich schodzili już czterej ewangelistów, apostołowie, święci pańscy, męczennicy, młodziankowie, czyste panny i pobożni zakonnicy. Wśród

rajskich ogrodów po gościńcach i ścieżkach, pomiędzy kwiatami wonnymi i bijącymi wodami przechadzali się aniołowie ze zbawionymi duszyczkami.

Ale na ubogiego chłopca nikt najmniejszej nie zwracał uwagi. Nikt się nie cieszył z przybycia do nieba biednej uświęconej duszy. Nikt jej nie witał graniem i śpiewaniem, tak jak się można było spodziewać.

Kiedy więc zobaczył świętego Piotra ze złotymi kluczami, podszedł do niego i śmiało przemówił do najstarszego apostoła:

— Widzę, że w niebie dzieje się tak samo jak na ziemi. I tu i tam wiedzie się bogatym lepiej niż nam ubogim ludziom. Kiedy niedawno wszedł tutaj bogaty pan, grano i śpiewano na jego cześć, a wszyscy powitali go uroczyście, ale kiedy zjawił się taki marny chłopina jak ja, nikt nawet nie spojrzał na niego.

Święty Piotr uśmiechnął się dobrotliwie i tak na skargę chłopką odpowiedział:

— Nie jest tak, jak myślisz, duszo zbawiona. W niebie wszyscy są równi. Będziesz tu trwał pospołu ze wszystkimi w rozkoszy, spokoju i zgodzie po wieczne czasy. Ale widzisz tacy biedni ludzie, jak ty, przychodzą do nas codziennie. Jest to rzecz zwyczajna w niebie. Taki zaś bogaty pan zjawia się u nas raz na sto lat i dlatego jest wówczas wielkie, niezwykłe święto i dlatego cieszymy się wszyscy, raz na sto lat!



TRZEJ SIŁACZE

Było raz dwoje biednych ludzi na małej gospodarce. Musieli oni pracować na kawałek chleba od świtu do wieczora, najwięcej jednak tym się martwili, że ich Pan Bóg nie obdarzył dzieckiem. Człowiekowi temu wydawało się, że winę ponosiła żona, więc bił ją niemiłosiernie. Razu pewnego kobieta uciekła od niego i zaszła do lasu głębokiego. Tutaj zastała ją noc, którą przeżyła w wielkim strachu, nie wiedząc dokąd się obrócić. Na drugi dzień przyszedł do niej olbrzymi niedźwiedź. Z początku złąkla się go bardzo, a potem skamarciła się z nim i żyli razem w niedźwiedziej jamie. Po trzech kwartałach zległa i urodziła syna, którego nazwała Niedźwiedzim Uszkiem. Chowala go sama i dawała mu ssać pierś przez siedem lat. Chłopak rósł coraz większy i silniejszy. Dowiedziawszy się wreszcie o wszystkim, postanowił razem z matką wrócić do ludzi. Odrzucił kamień, którym jama była przywalona i poszli w las. Tutaj zobaczyli wielkiego niedźwiedzia.

— Co to za zwierzę? — zapytał chłopiec.

— To jest twój tatko! — odpowiedziała kobieta.

Kiedy niedźwiedź zastąpił drogę i nie chciał ich wypuścić z lasu, młody siłacz dopadł go, chwycił za przednie nogi i rozerwał na pół.

Potem przyszli do domu, który ta kobieta opuściła przed ośmiu laty. Jej mąż bardzo się ucieszył, skoro mu przyprowadziła takiego chwackiego syna. Niczemu się nie dziwił, o nic nie pytał.

Niedźwiedzie Ucho był bardziej krzepki od najsilniejszego człowieka we wsi. Wreszcie wyrósł na wielkiego mocarza. Kiedy porwał woła, to mógł go sobie na plecy zarzucić, a każde drzewo wyrwał

*skles'he
inodan'ke*

*uzasadnie
me*

op'care

z korzeniami. Ludzie nic jeszcze nie wiedzieli o jego sile, aż jednej niedzieli powiada on do rodziców:

— Wszyscy chodzą do karczmy, weselą się, hulają, wywijają z dziewczynami, a ja ciągle siedzę w domu. Pójdę się także zabawić

opisy

Kiedy przyszedł do karczmy, było tam wielu ludzi. Jedni tańczyli, drudzy gwarzyli sobie przy kwaterce gorzałki. Siłaczowi podobały się dziewczęta. Młode były, wesole i skore do tańca. Uśmiechnął się do nich, a one uśmiechnęły się do niego. Parobcy zaś jak parobcy, zaczęli z niego kpinkować, a jeden nawet ściągnął mu czapkę z głowy i cisnął o ziemię. Niedźwiedzie Ucho aż poczerwieniał na twarzy ze złości i krzyknął tak strasznie, że się cała karczma zatrzęsała, jakby wichur w nią uderzył. Złękli się parobcy i nie śmieli nic powiedzieć, kiedy im wszystkim kapelusze ze łbów pościągał. Zmiał je w swoich potężnych rękach, dzwignął w górę węgiel karczmy i tam je wsadził. Dopiero musieli go udobruchać i pokornie prosić, żeby podniósł róg karczmy, bo choć się wszyscy wzięli do tego, nie mogli uradzić. (Potem już nikt nie śmiał go oszydzać.) Wszedł do izby, gdzie grali muzykanci i, kiedy zobaczył jak inni wytańcowują, wzięła i jego ochota. Najbardziej podobało mu się przytupywanie i krzesanie ognia podkówkami. Jak chwycił dziewczynę w pól, to choć ją leciutko trzymał, o mało co jej żeber nie połamał. A jak zatoczył młyńca, jak podskoczył i tupnął raz, drugi, to wszystkie deski w podłodze połamał i całą zabawę popsuł.

też się do niego nie wzięli

Potem znowu widział, że kiedy się ludzie popiją, to biją rękami po ścianach. Upił się więc i tak samo próbował, ale zaraz całą ścianę rozwalil. (Zrobił się wielki gwałt i wszyscy uciekli z karczmy.)

robotę
przez dzień
dużego sam
i wiele innych

Od tego czasu każdy się go lękał i omijał z daleka. Trudno mu było pokazać się między ludźmi. Wreszcie zgodził się do takiej roboty, co to trzeba duże kamienie na drobne łamać. Kiedy inni chłopci tłukli kamienie młotkami, on kruszył je w rękach. Zobaczywszy go tak pracującego bogaty pan, który przejeżdżał drogą, rzekł do swojego sługi:

— Ej, wiesz ty co, przydałby się nam taki mocny parobek!

Podjechali do niego i pytają czyby się nie zgodził na służbę, a on powiada:

— Czemu nie, bylebym miał zawsze tęą robotę.

— No to siadaj, pojedziesz z nami! — mówi pan.

Ale on nie chciał.

— Nogi nam zdrowe, wolę iść niż jechać!



Szedł za powozem i trzymał się żelaznych prętów z tyłu. Kiedy konie ciągnęły pod górę, to popychał tak, że wcale ciężaru nie czuły, a kiedy pędziły z góry na dół trzymał mocno i musieli jechać tak jak on chciał. Skoro przybyli do pańskiego dworu, powiedzieli mu, żeby wziął drzewo z lasu. Wtedy on kazał sobie zrobić żelazny wóz i zaprzął do niego cztery woły. Czterem koniom obciął grzywy i ogony, ukreślił sobie z nich bicz, a kiedy jechał i strzelał z niego, to wszędzie okna aż brzęczały. W lesie zostawił wóz, a sam poszedł i szukał największego dębu — wyrwał go z korzeniami, a kiedy przyciągnął drzewo do wozu, zobaczył, że mu wilki i niedźwiedzie pozjadały woły.

— Kiedyście takie — powiedział — będziecie same ciągnęły.

Skoczył w las, schwytał dwa niedźwiedzie i dwa wilki, przywiódł je i założył do wozu.

Kiedy przyjechał do domu wszyscy się ogromnie wylękli, zobaczywszy taki zaprzęg. I tak go się bali, że nikt z nim ani gadać nie chciał, ani dać mu jakąś robotę. Więc Niedźwiedzie Ucho wrócił do domu i rzekł do matki:

— Teraz pójdę wędrować po świecie, ale wpierw muszę zobaczyć czy jestem dość silny?

Poszedł do kowala i kazał sobie zrobić kij z sześciu fur żelaza. Przyniósł ten kij do domu, stanął przed chałupą, rozmachał się i cisnął go w górę tak, że leciał aż popod chmury, popod niebiosa. Sam zaś położył się do łóżka i powiedział do matki:

— Kiedy słyhać będzie wielki szum, obudźcie mnie, bo to mój kij będzie spadać.

Minęło dobre dwie godziny, aż tu powstał wielki wiatr i matka obudziła siłacza, który wyskoczył przed chałupę i wystawił rękę naprzód. Żelazny kij padł i stanął prosto na dłoni, która nawet nie drgnęła. Wtedy poszedł jeszcze raz do kowala i kazał sobie zrobić żelazny kapelusz, żelazny kaftan, żelazny pas, żelazne buty i żelazne portki. Każda rzecz ważyła siedem cetnarów. Włożył to wszystko na siebie i skoczył w górę. Rozległ się chrzęst żelaza i ziemia jęknęła głucho, a on zawołał:

— Zuch jestem!

I poszedł w świat.

Szedł długo, aż zaszedł w olbrzymi bór. Tam ujrzął wielkiego chłopca, który wyrwał drzewa z korzeniami i składał je na jedną kupę.

— Jestem Wyrwidąb, — odpowiedział tamten — rwę marchew. Chodź, wyrwij sobie jedną.

— Mógłbym to zrobić, ale mi się nie chce. Chodź ty lepiej i pokaż jak wysoko potrafisz rzucić w górę moim żelaznym kijem.

— Nie mam na to wcale ochoty — odpowiedział Wyrwidąb — ale jeżeli jesteś taki mocny, to możemy się spróbować.

Wzięli się ze sobą za bary i wodzili tak zapamiętale, że aż po kolana zapadli się w ziemię. Wreszcie zwyciężył Niedźwiedzie Ucho i powalił Wyrwidęba na ziemię.

— Jestem silniejszy od ciebie — rzekł — ale żądam tylko, żebyś szedł razem ze mną na wędrówkę.

Szli, szli, aż wyszli z lasu na pole. Tam zobaczyli trzeciego ślaczka, który podniósł całą górę i ruszał nią na wszystkie strony.

— Kto jesteś i co robisz? — zapytali.

— Jestem Waligóra — odpowiedział tamten — i równam pole, bo mam taką siłę, że mogę każdą górę rozerwać na pół. Chodźcie i róbcie to samo, jeśli potraficie.

A kiedy nie chcieli, rzekł znowu:

— Niech więc jeden z was spróbuje się ze mną!

Niedźwiedzie Ucho zaraz odłożył swój kij żelazny i skoczył do niego. Brali się tak mocno ze sobą, że aż ziemia jęczała i wbił się pod niebo ogromny obłok kurzu. W końcu zwyciężył Niedźwiedzie Ucho i Waligóra musiał także pójść z nimi.

Wędrowali długo wszyscy trzej, aż zaszli znowu w ogromny bór i natrafili na małą chałupkę. Weszli do niej i zobaczyli, że była pusta. Nie było widać nikogo, coby tutaj gospodarzył, a jednak nie brakowało żadnego z potrzebnych statków. Było też co jeść i pić, ale wszystko w surowym stanie. Skoro im się bardzo jeść zachciało, uradzili, że Wyrwidąb zostanie w chałupie i będzie obiad gotować, a Niedźwiedzie Ucho i Waligóra pójdą tymczasem do lasu na polowanie. Odchodząc przykazali mu, aby huknął na nich, kiedy strawa będzie gotowa.

Wyrwidąb został w chałupie, zapalił ogień na kominku, rozstawił garnki i zaczął gotować. A że mu dobrze szło, więc sobie podśpiewywał i rażno się uwijał. Wtem usłyszał pukanie do drzwi i widział przez sobą dziadka, co miał siedem łokci brody, a jego samego łokieć było. Wydawał się chuderlawy, jakiś mizerota, ledwo nogami włóczył, a tak był zmarznięty, że się trząsł jak osika.

— Dobre południe! — mówi aziaćek.

— Dobre południe, dziadku... — odpowiedział Wyrwidąb.

— Nie mógłbym się też trochę ogrzać przy ogniu? — pyta dziadek. — Pozwól mi, żebym wlaź na kominek.

— A dobrze — rzekł Wyrwidąb — ja cię nawet podsadzę.

Pomógł mu wleźć na górę i dziadzisko usadowiło się za garnuszkami. Wyrwidąb dorzucił jeszcze drzewa tak, że płomienie buchały aż pod powalę.

Zmarźnięty starowina dmuchał na ogień i grzał się ciągle.

Kiedy obiad był już gotów, Wyrwidąb nalał sobie zupy na miskę i zaczął jeść, a dziad prosi, żeby mu dał także coś na ząb położyć. Wyrwidąb podał mu pełną miskę, dziad chwycił za łyżkę, ale ręka tak mu się trzęsła, że łyżka upadła na ziemię. Prosi więc:

— Podnieś mi, bo jestem taki stary, taki słaby...

A kiedy Wyrwidąb schylił się, w okamgnieniu dziad skoczył na niego jak żbik. chwycił za kark i począł dusić z całej siły. Wyrwidąb od razu zesłabł, a wtedy dziad wyrzwał mu z pleców pas skóry, a jego samego powiesił w kominie nogami do góry. Powyjadał prawie wszystko z garnków, a resztę powylewał, porozrzucał na ziemi i poszedł sobie.

Tymczasem dwaj inni siłacze czekali w lesie, aż ich Wyrwidąb na obiad zawoła. Jakże się zdziwili, kiedy znaleźli garnki puste, a towarzysza powieszono w kominie do góry nogami. Szybko go stamtąd wyciągnęli, ale kiedy Wyrwidąb oprzytomniał, nie chciał żadną miarą opowiedzieć im, co się właściwie wydarzyło w chalupie. Uradzili potem, żeby na drugi dzień został Waligóra i gotował obiad, a tamci znowu pójdą do lasu.

Tak się też stało.

Waligóra został w domu i nastawił cały kociół mięsa. Nie trwało długo, aż tu znowu zjawia się to samo zmarźnięte dziadzisko. Trząsał się tak, że aż żal było patrzeć. I znowu prosił Waligórę, żeby mu pozwolił ogrzać się na kominku za garnkami, a siłacz mu odpowiedział:

— Grzej się, toć drzewa jest dosyć...

Kiedy jadło było już gotowe, dziad prosił znowu, żeby mu dał choć ździebełko. Potem tak samo wypuścił łyżkę i mówi jęczącym głosem do Waligóry:

— Podnieś mi, bo jestem taki stary, taki słabowity...

Waligóra schylił się i znowu dziad skoczył na niego z kamina. Huknął go w kark, złapał pazurami za szyję i o mało co nie udusił. Potem wyciął mu pas skóry z grzbietu i powiesił jak Wyrwidęba do góry nogami w kominie.

Dwaj towarzysze znowu na próżno czekali. Nikt ich na obiad nie wołał.

Kiedy się im sprzykrzyło czekać, wrócili do chałupy i zobaczyli to samo, co wczoraj. Nikogo w izbie nie było, puste ganki poprzewracane, ogień zalany, a Waligóra w kominie. Kiedy go stamtąd wyciągnęli, nie chciał im nic powiedzieć.

Teraz postanowili, że następnego dnia Niedźwiedzie Ucho weźmie się do gotowania. Nazajutrz tamci poszli do lasu, a Niedźwiedzie Ucho został i rozniecił ogień. Wnet zjawił się dziad i chce się grzać na kominie. A Niedźwiedzie Ucho mówi:

— Grzej się ile chcesz, zrobię taki ogień, że się spocisz jak ruda mysz. Uważaj tylko, żebyś sobie brody nie osmalił.

Kiedy tamten się grzał, Niedźwiedzie Ucho ugotował obiad i zaczął jeść, a dziadyga prosi:

— Daj i mnie ociupinkę, taki jestem stary, taki słabiusieńki...

Potem dziad znowu opuścił łyżkę, a kiedy Niedźwiedzie Ucho schylił się po nią, skoczył mu na kark jednym susem. Ale Niedźwiedzie Ucho był bardziej chwacki od swoich towarzyszy, odwinął się wartko i capnął dziada także za grdykę. Długo wodzili się po izbie, aż Niedźwiedzie Ucho chlasnął nim o ziemię, złapał kij żelazny i zbił dziada na kwaśne jabłko. Potem chwycił go za siedmiolokciową brodę i wywlókł przez podwórze za chałupę, gdzie rosła wielka brzoza. Ciął Niedźwiedzie Ucho żelaznym kijem, a kiedy pień się rozszczepił, przygiął łeb dziada, wsadził brodę do środka i przybił jeszcze klinem, żeby się nie mógł stamtąd wydostać. A potem tak rzekł do niego:

— A więc to tyś bratku wieształ moich towarzyszy w kominie, ale widzisz trafiła kosa na kamień. Teraz siedź tutaj, a ja ich zwołam, abyśmy uradzili, co zrobić z tobą.

I poszedł do lasu szukać Wyrwidęba i Waligóry.

A kiedy ich znalazł, ruszyli razem do chałupy. Dziwili się tamci, że towarzyszowi nic się nie stało, ale jeszcze bardziej zdziwili się, skoro zobaczyli garnki pełne jadła.

— To chyba dziada nie było — mówią — kiedyś ty obiad zgotowałeś.

— Oho — odpowiedział Niedźwiedzie Ucho — nic nie pytajcie, tylko siadajcie i jedzcie, a potem go wam pokażę.

Skoro już podjedli niezgorzej, mówi do nich znowu Niedźwiedzie Ucho:

— Chodźcie za mną!

Wstali i poszli. Przychodzą tam, gdzie dziad pokutował, a tu nie ma nikogo, tylko wielka broda wisi na drzewie. Wyrwał się widać i uciekł.

— Ano, chodźmy jego śladem — woła Niedźwiedzie Ucho.

Tamci dwaj nie mieli ochoty, bo na własnej skórze poznali, że dziad mocny, ale Niedźwiedzie Ucho uparł się. Szli więc radzi, nieradzi. O ślad nie było trudno, bo dziadowi widać krew po brodzie ciekła i nabroczył czerwoną ścieżkę. Szli tym szlakiem, aż doszli do wielkiej góry, a w tej górze zobaczyli wielką, mroczną czeluść. Tu już krwawy trop się kończył. A było to miejsce zakłete, na którym dawniej stał zamek wspaniały, lecz potem zapadł się pod ziemię.

Niedźwiedzie Ucho wszystko to wymiarkował i mówi do swoich towarzyszy:

— Ty Wyrwidębie musisz zrobić z korzeni duży kosz i ukrećić z lipowego łyka długi a mocny powróż. Ty zaś Waligóro rozwalaj tę górę, abyśmy się łatwiej do niego dostali.

Kiedy to wszystko się stało, mówią tamci do Niedźwiedziego Ucha:

— Tyś był najmocniejszy na ziemi, to idź próbować szczęścia i pod ziemią!

Wsiadł więc Niedźwiedzie Ucho w kosz, a oni spuścili go na powrozie w jamę i obiecali, że będą czekać na niego. Długo zjeżdżał na dół, myślał już nawet, że powroza nie starczy, aż wreszcie stanął we wspaniałej świetlicy, która gorzała od złota, srebra i drogich kamieni. W drogocennych świecznikach płonęły woskowe świece, a pośrodku siedziała prześliczna panna. Spojrzał na nią Niedźwiedzie Ucho i strasznie mu przypadła do serca. Młoda była jak jagoda, liczka miała gładkie, oczy świejące. Widać, że wiatr ją pieścił i słońce całowało. Suknia na niej jak na pani. Staniczek jedwabiem sznurowany, perłami naszywany, czepiec koronkowy, okolisty, spódnica bryzowana złotem, buciki czerwone. Kiedy go zobaczyła, uśmiechnęła się żałośnie i mówi:

— Człowieku nieszczęsny pociąg przyszedł? Tu jest przecież taki straszny dziad, który nas i nasz zamek już od ośmiuset lat trzyma w zakłeciu. Wielka jest jego moc i pewnie ciebie zabije młody rycerzu!

Lecz Niedźwiedzie Ucho roześmiał się, potrząsnął kijem żelaznym i zawołał:

— Piękna panno, nie jestem żadnym rycerzem, tylko jestem synem chłopskim, ale nie taki diabeł straszny, jak go malują. Już ja

waszego dziada widziałem, jużem się z nim brał za bary i zmożłem go i za brodę przyczepiłem do drzewa.

Zajrzał w jej oczy duże, błękitne i zapytał jeszcze:

— Powiedz mi królowno, czy będziesz moją, jeśli tego dziada znowu zwyciężę?

Panna zapłonila się jak róża szkarłatna i cichuteńko odrzekła:

— Twoją będę aż do samej śmierci...

Skoczył Niedźwiedzie Ucho z radości aż pod powałę, jeszcze większy duch w nim wzmógł się i zawołał strasliwym głosem:

— Pokaż mi tylko, gdzie jest ten stary czarownik?

— Musisz przejść jeszcze dwa pokoje — odpowiedziała panna — znajdziesz w nich dwie moje starsze siostry, który razem ze mną pod jego władzą zostają. Dopiero w trzecim pokoju siedzi straszne dziadzisko.

Zanim poszedł dalej, dała mu panna jeszcze jakiejś wody do wypicia i rzekła:

— Napij się, bo to jest woda siły, będziesz jeszcze mocniejszy.

Niedźwiedzie Ucho ruszył śmiało naprzód, przywitał się grzecznie z dwiema starszymi siostrami i wszedł wreszcie do trzeciego pokoju. Otworzył drzwi i woła:

— Dobry wieczór dziadku!

Dziadzisko zerwał się na jego widok z wielkim strachem i krzyczy:

— A tyś się skąd tu wziął?

— Gdzież podziałeś swoją piękną brodę? — zapytał Niedźwiedzie Ucho.

— Jakeś mnie wystroił, tak mnie i oglądasz.

Zaraz też uciekł dziad do trzeciej izby, ale Niedźwiedzie Ucho uderzył żelaznym kijem po drzwiach i wywalił je. Dziad nie miał już gdzie uciekać, więc rad nierad musiał stanąć do walki.

Chwycili się za bary i dalejże bić się. Po chwili dziad woła z całej siły na panny.

Przybiegły, a on krzyczy:

— Pokropcie mnie wodą siły, bo inaczej ulegnę.

Ale panny zamiast wodą siły pokropiły go słabą wodą i mówią:

— A niechże już raz będzie z tobą koniec, przekłety czarownik! Dziad stracił zupełnie siły i Niedźwiedzie Ucho wreszcie go zabił.

Potem cieszyli się wszyscy, a Niedźwiedzie Ucho powiada do tych panien:

— My tu nie zostaniemy, trzeba się wydostać w górę, na biały świat!

Wsadził jedną pannę w kosz i zakręcił powrozem, żeby tamci ciągnęli. A kiedy zobaczyli pierwszą królową, podobała im się bardzo. Zobaczyli też zaraz, że na skale ukazała się jedna baszta zakłętego zamku. Panna powiedziała Wyrwidębowi i Waligórze, że w podziemiach zostały jeszcze dwie jej siostry, więc spuścili dwa razy kosz i wyciągnęli obie panny na górę. A wraz z nimi ukazał się cały wspinały zamek z wysokimi basztami. Na wałach widać było żołnierzy w pięknych mundurach. Zachrzęściły łańcuchy, most zwodzony opuścił się na ich powitanie, a trębacze na wieżach zagrali uroczyście.

Ale panny nie chciały stąd odejść, tylko prosiły, aby spuścić kosz po trzeciego towarzysza. Nie chcieli tego silacze uczynić. Wreszcie tak zrobili, jakby się dali ubłagać. Niedźwiedzie Ucho nie w ciemności bity przeczuwał zdradę, włożył do kosza swój kij żelazny i dał znak, żeby ciągnęli w górę. Kiedy kosz doszedł do połowy drogi, tamci przecięli powróż i żelazna pałka zleciała z wielkim hałasem na dół.

Zasmucił się bardzo Niedźwiedzie Ucho i zaczął dumać:

— Dziada czarownika zabiłem, panny i zamek wybawiłem, a oni mnie za to wszystko życia chcieli pozbawić. Zostałem tutaj i chyba już nigdy stąd nie wyjdę.

Zaczął się rozglądać po podziemnym świecie, ale nie dostrzegł nawet śladu człowieka. Było tam straszno i ponuro. Dokoła ciągnęły się mroczne puszcze i nieprzybyte trzęsawiska, a wśród nich szumiały czarne rzeki. Od czasu do czasu spotykał dziwne zwierzęta, których jeszcze nigdy nie widział.

Długo błądził, aż wreszcie usiadł pod wielkim dębem i zaczął znowu myśleć: „W jaki sposób znaleźć drogę na świat, gdzie ludzie żyją?”

A na tym dębie było gniazdo orłów. Właśnie zbierała się burza na niebie i szły żółte, gradowe chmury. Młode orły krzyczały bardzo, bojąc się, że grad je zabije, a tymczasem starego orła nie było. Silaczowi zrobiło się ich żal, wylaź na dąb, zdjął żelazny kaftan i z nim grad zaczął uderzać, okrył pisklęta.

Kiedy burza już przeszła, przyleciał stary orzeł. Widząc, że dzieciom jego nic się nie stało, zapytał:

— Któż was zakrył od gradu?

A młode orły odrzekły:

— Zrobił to człowiek, który siedzi pod dębem.

Orzeł zleciał do młodego mocarza i zapytał:

— Cóż ja ci, człowieku, dobrego zrobiłem, żeś moje dzieci od śmierci uratował?

— Nic — odrzekł Niedźwiedzie Ucho — tylko żal mi ich było...

— Kiedy tak — mówi orzeł — powiedz, w jaki sposób mogę ci się odwdziżyć?

— Jeśli chcesz coś dla mnie zrobić, to weź mnie na swoje skrzydła, bo jesteś duży i mocny i zanieś mnie w świat do ludzi. Tam jest zamek, który uwolniłem od zaklęcia. Żli towarzysze w nim gospodarzą, mnie zaś tutaj samego zostawili.

— To bardzo daleko stąd — odpowiedział orzeł — ale można spróbować. Musisz jednak zabrać dużo mięsa, abym miał co jeść w drodze.

Niedźwiedzie Ucho zaczął polować, znosił zwierzynę i ćwiartował ją. Wreszcie włożył wszystko na orła, sam także wsiadł na niego i poleciał.

Lecieli bardzo długo, przez wiele dni i nocy. Kiedy orzeł obracał do niego głowę, Niedźwiedzie Ucho wkładał mu za każdym razem kawał mięsa. Wreszcie orzeł zjadł wszystko i kiedy odwrócił się nie było mu co dać.

— Rób co chcesz, — powiedział orzeł — a włóż mi coś w dziób, bo inaczej nie dolecę, a już nie tak daleko.

Niedźwiedzie Ucho nie wiele myśląc, chlasnął sobie kawałek łydki i podał ptakowi.

On zaś machnął olbrzymimi skrzydłami i wkrótce zobaczyli zaklęty zamek na skale. Opuścili się zaraz na ziemię, a orzeł rzekł:

— Dobrześ mnie karmił, ale najlepszy kąsek zostawiłeś na ostatek!

Potem pożegnał go i poleciał z powrotem.

Niedźwiedzie Ucho zaś szedł ku zamkowi i kazał sobie bramy otworzyć.

Żołnierze pobiegli do swoich panów i mówią, że jakiś obdartus chce koniecznie wejść do zamku.

— Nie puszczaj go! — zawołali Wyrwidąb i Waligóra.

Kiedy Niedźwiedzie Ucho to usłyszał, rozgniewał się bardzo i z taką siłą uderzył swoją żelazną pałką o ziemię, że aż mury zachybotały się i cały zamek zadrżał w posadach.

Przełękł się Wyrwidąb, przełękł się Waligóra, przełękły się dwie starsze siostry, przełękli się żołnierze na murach i służba w zamku, tylko młodsza siostra, którą tamci prostą uczynili służącą, pocieszyła swoje strapione serce i zaraz pomyślała:

— To nie może być kto inny, jak tylko mój siłacz, któremu ślubowałam wieczną miłość.

— Czyżby to był Niedźwiedzie Ucho? — zapytali tamci.

I wyszli, żeby zobaczyć i poznali go z daleka po olbrzymiej postaci i po palce żelaznej, a on wówczas zawołał:

— Zdawało wam się, żeście się mnie zdradą pozbyli, alem wydobył się z matni i oto stoję przed wami. A teraz pytam się was po dobroci: Czy chcecie poddać się wraz z zamkiem, który wybawiłem od zaklęcia?

— Chcemy! — odpowiedzieli, bo się go bardzo bali.

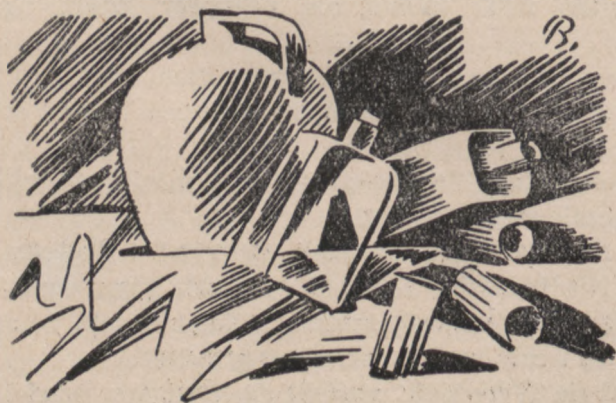
A on rzekł znowu:

— Jeśli chcecie być moimi sługami i pracować dla mnie, możecie tu zostać, inaczej wygnam was na cztery wiatry.

Oni zgodzili się i przysięgli, że od tej pory będą mu służyli wiernie.

Wtedy Niedźwiedzie Ucho ożenił się z młodszą siostrą i został panem zamku, a dawni towarzysze musieli u niego jeszcze długo i ciężko pracować.

I tak żyli, żyli, aż pomarli i pognili.



NA KRUCHYM LODZIE

We Wdzydzach śmiertelna niemoc złożyła pewnego człowieka tak, że nie było już innej rady, jak posłać po księdza. A było to wśród zimy i jezioro było wówczas zamrożone. Kiedy wysłali konie po księdza tamtejszego, pobożny kapłan natychmiast wyruszył w drogę. Ale kiedy przyjechali do Zabrodów, woźnica zatrzymał konie i tak przemówił do księdza:

— Jegomość, trudno chyba będzie, abyśmy bezpiecznie środkiem przez lód przejechali. Kiedym jechał w tę stronę, lód już gdzieś gdzie kruszał, miejscami nawet puszczać zaczynał. Musiałem dobrze uważać, aby się w jakąś dziurę nie wwalić, a to było przecież na białym dniu. Teraz zaś jest tak ciemno, że nie mogę wcale dostrzec którędy się nam przebierać trzeba.

Woźnica mówił prawdę. Świat cały mgłą zasnęła, a niebo było tak chmurami zakryte, że księżyc znikł zupełnie.

— Jeżeli pojedziemy dokoła jeziora — rzekł ksiądz — będziemy musieli zawadzić o Kluszyń i Golumin, to wyniesie razem półtorej mili drogi. Jeżeli zaś obierzemy drogę wprost przez jezioro, będziemy we Wdzydzach za ćwierć godziny. A teraz poczekaj no chwilę dobrego człowieka.

W tym miejscu, gdzie rozmawiali, stała przy drodze Boża Męka. Ksiądz wyszedł z sani, ukląkł na śniegu przy figurze i począł się modlić żarliwie. Potem wsiadł do sanek z powrotem i rzekł do woźnicy:

— Pojedziemy wprost przez jezioro, ten chory czeka na mnie, a ja mu długo czekać nie pozwolę. Jedźcie śmiało, nic się nam złego stać nie może.

Wiadomo było, że ten ksiądz był bardzo pobożny i dlatego woźnica ufał mu święcie.

I oto już bez namysłu ruszyli w kierunku jeziora. Kiedy dotarli do brzegu i wjechali na łód, nagle stało się tak jasno, że woźnica mógł dobrze rozeznaczyć, gdzie łód skruszała, a gdzie się jeszcze mocno trzymała. A kiedy posuwali się naprzód, zdawało się, że przed koźmi kroczy jakaś biała postać i wskazuje im drogę.

Przebyli jezioro bez żadnego szwanku, a ksiądz przybył na czas do chorego i zdążył go wyspowiadać. Po upływie pół godziny biedak złożony śmiertelną niemocą ducha wyzionął. Gdyby jechali dokoła jeziora, niechybnie przyjechaliby za późno.



KARCZMARECZKA TŁUSTA

Była na Orawicach karczma wielka, a w niej szynkowała grubaśna karczmarka, przystojna i czerwona na gębie, tylko, że chłopa miała do niczego. Siedział przy niej, bo siedział, ale radzi się nie widzieli. Za to karczmarz, wereda, czujny był jak ten pies, Dutki miał w komorze i strasznie ich strzegł. Nie było po co do karczmy chodzić, choćby najlepszemu złodziejowi.

Ale cóż się nie robił! Zwiedził się o wszystkim Wojtek Mateja i zaczął koło karczmy i koło komory zachodzić i tędy i owędy. Ale ani oni, ani towarzysze nie mogli zmylić karczmarza. Nie porada było przestąpić, bo się zwiedził od razu.

Aż się Małteja rozeźlił i powiada do towarzyszy:

— Cóżbyśmy to byli, aj byli warci, siedem diasków chyba by się zjadło, żebyśmy tam pieniążków nie wzięli, kiedy wiemy, że są i gdzie są. Pójdźcie chłopcy! Ja będę obskakiwał karczmarkę, karczmarz będzie szynkował, a wy się tymczasem zawińcie koło dutków, których do licha stary kutwa w komorze nachował.

I poszli. Muzyka prawie zagrała, kiedy Mateja wszedł sam do izby, a towarzysze pokryli się, gdzie który mógł, za karczmą. Mateja przyniósł oszczypek, uraczył nimi karczmarkę, karczmarza i muzykantów, potem kazał dać wszystkim wódki i wziął się ku karczmarce.

Karczmarz choć był do niczego, to przecież mu się nie widziało, żeby Mateja kobietę jego całował i to jeszcze między ludźmi. Jak mógł tak ich pilnować, a było czego, bo Mateja był chłop piękny, dobrze uchowany, a baba, jak baba — od razu się jej spodobał.

Muzyka zaczęła grać znowu. Mateja hipnął do tańca, przyzywając karczmarke, żeby mu boczowała. *) Tańczyli, tańczyli, a tymczasem towarzysze zaczęli podkopywać się do komory, aż się i podkopali. Uwidział ich Mateja, bo mech ze ściany od komory opadać zaczął, zaraz też zaśpiewał:

*Tańcuj że se tańcuj, karczmareczko tłusta!
O bo jutro będzie komóreczka pusta.*

A potem znowu:

*Uważaj Florku,
Kielbasa na kolku,
Są pono i sery
Cosik dwaścia cztery!*

Kiedy zaś Józka Mateji kapelusz przez szparę zobaczył, to mu tak dośpiewał:

*Ej schylaj że się Józiek, bo ci kłobuk widno,
Ej jak karczmarz увидzi, będzie z nami biedno.
Pieniążki brzękają, niechże nie brzękają,
Bo jak to usłyszą, to nas pochwytają!*

Zabrali już, co mieli zabrać, więc im nakazał śmiało:

*Hej, zbijajcie, zbierajcie,
Chłopczy uciekajcie
Ej, na mnie we wąwozie
W Kirach poczekajcie!*

Zapłacił pięknie za muzykę i za gorzałkę, a odchodząc jeszcze zaśpiewał:

*Oj karczmareczka rada, że się wytańczyła,
Ej, ale karczmarz nie rad, bo nic nie będzie jadł!*

I poszedł za nimi.

Tak Mateja w Orawicach karczmarke wytańczył, karczmarza wyonaczył i razem z towarzyszami swojego dokonał. Mateja był zawsze strasznie śmiały... Haj!

*) Tańczyła bokiem do mężczyzny zwrócona.





TAK ŚWIAT PŁACI

Jednej nocy wielka burza zwała się na świat. Pioruny były raz koło razu, a wicher okropny wrywał drzewa z takim łoskotem, że aż na sto mil było słyhać. Dopiero nad ranem jakoś się uspokoiło. Deszcz jeszcze siał, ale już się robiła pogoda i słońko zaczynało świecić. Chłop, który mieszkał na końcu wsi niedaleko lasu, wyszedł po śniadaniu z chałupy, popatrzył na świat i myśli sobie, że trzeba iść na patyki, bo jak taka psota na dworze, to zawsze niemało drzew naprzewraca. Zebrał się, wziął toporek i poszedł w górę kamienistą śnieżkę tam, gdzie rosną najtęższe sosny. Przystanął koło jednej, która leżała złamana przy wielkiej skale i zaczął okrzesywać sęczki. Aż tu zaczyna coś strasznie jęczeć pod tą skałą. Chłop się zrzęsna *); o mało co ze skóry nie wyskoczył i chciał uciekać, ale zastanowił się znowu po trochu i przypatruje się, co to tak stęka. Wreszcie zapytał:

— A kto tam taki?

— O mój dobry przyjacielu — odzywa się głos żaloszny spod skały — żebyś ty mnie stąd wybawił, to bym ci już za to dobrze zapłacił...

— A cóż ty mi dasz za to?

— Tak ci zapłacę, jak świat płaci.

Chłop podrapał się w głowę i mówi znowu:

— Jakże cię wybawić? Skała taka wielka, przecież ja ci jej nie ruszę.

— Żebyś dostał skąd drąga i podbił ten drąg pod skałę, abyś tylko trochę ulżył, to ja już wyjdę.

*) Najwyższy stopień strachu.

Chłop wziął drąga, podbił ten drąg pod skałę, wtedy zrobiła się dziura, jakies olbrzymie cielsko zaczęło się odwracać i nareszcie wylazł smok o siedmiu łbach, straszna bestia.

A skoro tylko wyszedł, zaraz powiedział:

— Teraz ciebie zjem!

— Ale bój się Boga, wyzwoliłem ciebie z takiej niewoli, a ty mnie teraz chcesz zjeść? Jakże to może być?

— Zjem ciebie!

— Przecież mówiłeś, że tak zapłacisz, jak świat płaci.

A smok na to:

— Bo świat tak płaci.

Chłop widzi, że nie ma żadnej rady, więc chciał uciekać, ale tamten mu nie daje, tylko trzyma za skrzydła i co chwila powiada, że go zje.

— Ale ty nie możesz mnie zjeść bez sądu. Przysądzą mi zjeść, to mnie zjesz!

— A dobrze — powiada smok — możemy się sądzić.

Poszli, aż wyszli na dużą polanę, na której pasł się jakiś koń.

Smok pokazał na niego:

— To będzie nasz sędzia!

— A niech będzie, przecież nikt tego nie przysądzi, żebyś ty mnie miał zeżreć za taką sztukę.

Przychodzą do konia i mówią:

— Ty będziesz naszym sędzią!

Koń zaś, chudzina, co na nim skóra i kości ledwo się trzymały, pyta:

— A o co rzecz idzie?

— Okrzesywałem sęczki na sośnie — mówi chłop — a on jęczy pod wielką skałą. Pytam się: „Kto tam“, a on powiada: „Wyratuj mnie stąd, to ci zapłacę, jak świat płaci.“ Wyratowałem go, a on dopiero powiada, że mnie zje, bo świat tak płaci.

Koń zaś na to:

— Tak świat płaci, tak. Póki byłem młody, to mnie mosiądzem, srebrem stroili. Do sześciokonnej karety mnie zaprzęgali albo puszczali cwałem za zającami. Dobrze mi było, nic innego nie jadłem, tylko czysty owies. A teraz, żem już osłabł i biegać nie mogę, uradzili, aby mnie wygnać do lasu, bo „go tu pewno wilki zjedzą.“ Tak też tłukę stare kości. — I jeszcze raz powiada: — Za dobre to się zawsze złem płaci. Smok dobrze mówi. Tak świat płaci, tak.

Ano nie przystał chłop na ten sąd i mówi:

— Ja jeszcze udam się do wyższego sądu, chodźmy dalej!

Wyszli już z lasu i spotkali psa. Był bardzo wymizerowany, siedział na gnoju i ogryzał kości.

— No, panie sędzio — powiada chłop — przyszedliśmy tu na sprawę. Opowiedział mu całą rzecz, pies wysłuchał i mówi:

— O, tak świat płaci, tak. Ja, kiedy byłem psem pokojowym, spałem na kanapach i fotelach, jadłem to, co i pan. Potem strzegłem domu w nocy i jeszcze mi się niezgorzej powodziło. Ale kiedy już łap za sobą wlec nie mogę, to mnie wygnali i muszę pożywienia szukać w gnoju, na śmietniskach. Smok dobrze mówi, a ty niebożę musisz przegrać sprawę.

— No widzisz — rzecze smok — teraz cię zjem, bo już dwóch sędziów na moje się zgodziło.

Ale chłop odprasza się jeszcze, aby innego sędziego szukać i smok zezwolił. Poszli dalej i spotkali barana. Chłop nie chciał go wziąć za sędziego, bo wiedział, że to stworzenie bojaźliwe, złęknie się smoka i powie jeszcze coś gorszego, niż tamci — i myśli sobie, żeby to spotkać liszkę, bo mówią, że ona ma siedem sposobów, a ósmy wykręt. Może by lepszy wydała wyrok.

Aż tu i liszka, co do wsi po kurę choć-iała, do lasu leci.

— Hej, hej — woła chłop — zaczekaj no trochę!

Ale liszka boi się i dalej ucieka.

A chłop woła jeszcze:

— Nie bój się, zaczekaj, będziesz naszym sędzią.

Liszka zawróciła do nich i pyta:

— O co rzecz idzie?

— Leżał smok pod skałą przywalony — opowiada chłop — i jęczał, prosił, żeby go wydobyć, obiecał mi zapłacić tak, jak świat płaci. Wydobyłem go, a on mnie teraz chce zjeść. Powiada, że tak świat płaci.

A mądra liszka na to:

— Trzeba każdego z was na osobności przesłuchać.

Zawołała najpierw chłopca i powiada do niego:

— Wiesz ty co, ja cię wybawię z tej biedy, ale co ty mi dasz za to?

Chłop się bardzo ucieszył i mówi:

— Dam ci co zechcesz, tylko musisz nas dobrze osądzić!

— Dasz kurę co niedziela?

— Dam z wielką ochotą!

— No dobrze, pamiętaj!

Potem zawołała smoka na osobność, dopiero powiada do nich obu:
— Ja tak sprawy prowadzić nie mogę. Żaden z was świadków nie ma, więc mogłabym osądzić was niesprawiedliwie. Musimy, moi kochani, pójść w to miejsce, gdzie jest skała. Kiedy się przekonam, jak to było, to was sprawiedliwie osądzę.

Wrócili się w to samo miejsce.

— Jakże to było? — pyta liszka.

— Smok leżał pod skałą — mówi chłop,

— A jakżeś go wydobył?

— Ulżyłem drągiem, a on wyszedł.

— No — powiada liszka — ulżyj teraz też, ulżyjcie obaj!

Jak się wzięli, to i podnieśli skałę.

Chłop przytrzymał ją drągiem, a liszka mówi do smoka:

— Wleż tam, żebyś wiedziała, jakieś tam leżał i czy to była wielka praca, żeby cię stamtąd wydobyć.

Smok wlaź, położył się na łapach do góry plecami, a liszka powiada znowuż:

— Nie, tak się połóż, jakieś leżał.

To się ten smok położył w znaczki.

A liszka mrugnęła na chłopca, żeby opuścił kamień, zaśmiała się i mówi:

— Siedz sobie tam teraz, choćby do sądnego dnia.

Wtedy chłop jeszcze bardziej się ucieszył i powiada do niej:

— Chodźże ty moja kochana ze mną, pokażę ci moją chałupę, żebyś wiedziała, dokąd masz po kury chodzić.

Zaszli do wsi, a chłop pokazał jej płot koło swojej chałupy:

— Tu pod ten płot przyjdiesz, a ja ci co niedziela kurę na nim powieszę!

— No dobrze.

I rozeszli się.

Co niedziela chłop nosił kury, nosił i nosił, aż mu się do cna uprzykrzyło i kur też nie stało. Zaczął kraść już sąsiadom, ale nie zawsze ukraść można było, bo sąsiedzi coraz bardziej zaczęli się pilnować. Więc jednej niedzieli cóż on robi: pożyczył strzelby, dobrze prochu podsypał i nabił samymi grankulkami. Z cicha podszedł pod płot i zasadził się tak, żeby go widać nie było. Liszka przyleciała po jakimś czasie i szuka kury, a chłop jak do niej wygarnął, tak ją trafił w samo serce. Obaliła się na ziemię, posoką się oblala, a kiedy śmierć przestoniła oczy bielmem — zawołała tylko:

— O, tak świat płaci, tak!

DIABLI — TANECZNICY

Ożenił się wdowiec z wdową — on miał swoją córkę, a ona swoją. I była ta kobieta bardzo dobrą matką, ale złą macochą. Swojemu dziecku nie kazała nic robić, same jej puchy podścielała, długo leżeć w łóżku pozwalała, na pięknych półmiskach najlepsze przysmaki pod nos podtykała i włosy w strusie pióra stroiła. A tamta niebożę na twardej ławce spać musiała, byle co zjadła i od świtu do późnej nocy pracowała. Zła macocha zaś nieraz jej skórę bez żadnej przyczyny wyłomotała. Najwięcej ją gniewało, że pasierbica coraz była ładniejsza i wszyscy parobcy za nią wodzili oczyma, a na córkę jej nikt nawet nie spojrział. Wciąż tylko medytowała, jakby się jej pozbyć, cały majątek dla swojej córki zagarnąć i tym sposobem przyciągnąć zalotników. Aż i wymedytowała.

Daleko od ich zagrody stała tuż za wsią nad samą rzeką pusta chałupa, w której nikt nie mieszkał. Podobno się w niej przed laty ktoś obwiesił i od tego czasu nawet najmarniejszemu żebrakowi nie stało odwagi szukać tam przytuliska, choćby w najgorszą zawieruchę. Mało wydeptana ścieżka z poza młyna prowadziła tam pomiędzy kołącymi ostami i pokrzywami. Wiadomo było we wsi, że w tej chałupie straszy. Nieraz z daleka ktoś widział, że się tam jakieś światła zapalą, to znowu zgasną, a nawet byli tacy, którzy mówili, że coś tam o północy puka, burzy, szumi i jakby jakaś brzęczy muzyka. Widać diabli mieli w tym miejscu swoje osiedlenie.

Jednego wieczoru zawołała macocha pasierbicę. kazała jej iść do pustej chaty, dała jej kądziel, motowidło i powiedziała, żeby jej tyle i tyle uprzedła. Myślała, że jak jej tam zły głowę urwie, to się pozbędzie na zawsze dziewczyny.

Płakała bardzo biedna sierotka, ale nie śmiała sprzeciwić się macosze. W noc ciemną poszła do straszego miejsca, a serce biło tak mocno, jakby chciało z piersi wyskoczyć. Okropnie szumiały drzewa i woda w rzece. Drzwi skrzypnęły przeraźliwie. Weszła i rozdygotanymi rękoma skrzesła światło — nie było nikogo. Zaraz zmówiła pacierz, zabrała się do roboty i czekała, co będzie dalej. Dopiero około północy dał się słyszeć huk straszny, potem wicher zajączał i znowuż rozległ się jakby turkot zajeżdżającej karety. Dziewczyna przytuliła się do ściany i nie wiedziała co robić: uciekać czy zostać, ale uciekać bała się, żeby jej coś nie porwało. Naraz przez szparę w drzwiach wpadło do izby dwóch paniczów. Ubrani byli z niemiec-ka. Czarne mieli kaszkiety, kuse fraczki i kolorowe pluderki, a oczy im się paliły jak dwa żarzące węgle. Zaraz jakaś muzyka zagrała diabelskiego młynca, a oni wzięli się za ręce, zaczęli tańczyć ze sobą i zaśpiewali:

— *Jedna portka czerwona,
Druga portka zielona,
Tańczymy se szwagrowie!*

A kiedy przetańczyli raz w koło, podeszli do niej i śpiewają znowuż:

— *Jedna portka zielona,
Druga portka czerwona,
Kosmyk dziewczeczka
Pójdźże do taneczka!*

A ona powiada:

— Ej, lepiej byście nie kosmali, ale pomogli mnie! Jakże mam z wami tańcować, kiedy macocha tyle mi wyznaczyła roboty do rana.

Oni dawajże prząść z nią razem, aż uprzedli wszystko.

— Teraz trzeba zmotać!

Wzięli, zmotali i znowuż swoje:

— *Kosmyk dziewczeczka
Pójdźże do taneczka!*

— Tańcowałam z wami — odpowiedziała dziewczyna — ale nie mam w czym, bo mnie pani matka nijako z domu wyprawiała.

— A co ci trzeba?

— Nie widzisz, to boso będę z wami tańcowała? Przynieście mi buciki, czerwone buciki do tańca!

Polecieli i zaraz przynieśli, a ona ich znowuż posłała po pończochy, potem po haftowaną koszulę, potem po pięć spódnic, po każdą osobno, potem po zapaskę jedną i drugą, potem po paciorki na szy-



ję, potem po rękawiczki, potem po jedwabną chusteczkę, po wstążki do warkocza, po wachlarz, znowuż po zwierciadelko, żeby się przejrziała — po wszystko, co było potrzeba. Na ostatku kazała sobie przynieść pieniędzy, bo powiada:

— Cóż to darmo będę z wami tańcowała?

Zaraz polecili i przywlekli cały kocioł złotych dukatów. Co tchu się uwijali, wszystko, co chciała przynosili i tylko ciągle powtarzali:

— *Jedna portka zielona,
Druga portka czerwona,
Kosmyk dziewczeczka,
Pójdźże do taneczka!*

A ona wciąż coś nowego wynajdywała.

Wreszcie diabli mieli dość tej lataniny i mówią:

— Teraz już będzie koniec, teraz pójdiesz tańczyć?

I dalejże ją pod boki.

Ale dziewczyna zawołała:

— Przecież taka brudna nie będę tańcować, muszę się umyć, przynieście mi jeszcze wody!

Dała im stare rzeszoto i powiada:

— W tym będziecie nosić!

Jak zaczęli wodę nosić, dziewięćdziesiąt dziewięć razy obrócili, a jeszcze nie miała się w czym umyć. Co zaczerpnęli, to im się wszyst-

ko powylewało. Tak latali, tak się śpieszyli, a przecież tak im nie-
sporo szło, że aż kogut zapiał. Skończyła się ich godzina, do piekła
musieli wracać szwagrowie, a nie o tańcu myśleć. Zeziościli się na
ostatku, cisnęli tymi rzeszotami o ziemię i tak jej powiedzieli:

— Czekaj ty chytra palko, tylko ty tu przyjdź jeszcze raz!

I obaj rozlali się w maź śmierdzącą.

Ona biedaczka nareszcie odetchnęła. Tyle się strachu najadła,
tak się zmęczyła, że zaraz położyła się spać i zasnęła mocno jak
kamień.

Tymczasem nad ranem macocha bardzo zadowolona, że się jej
pewno pozbyła, poszła do chałupy po swoją kądziel i po motowidło.
Przyszła, spojrziała i zobaczyła, że ona taka wystrojona, jeszcze ład-
niejsza, niż wczoraj. Koło niej było tyle bogactwa wszelkiego, a jej
samej nic się złego nie wydarzyło. Kiedy dziewczyna się obudziła,
wzięła ją macocha na spytki i nie mogła się nadziwić, kiedy dowie-
działa się o wszystkim. Bardzo była zadrosna, że to nie jej córka tak-
kie piękne rzeczy dostała, więc kiedy wróciła do domu, opowiedziała
jej wszystko i tak mówi:

— Dziś wieczorem ty pójdziesz do pustej chałupy, to także bę-
dziesz wystrojona i bogata.

Ale nie dała jej tyle kądzieli co tamtej, żeby się mniej napraco-
wała.

Poszła córka w to samo miejsce i wszystko się podobnie stało.
Przylecieli diabli w zielonych i czerwonych portkach, muzyka im
zagrała, obrócili się raz w koło i nuże ją zapraszać:

Kosmyk dziewczeczka,

Pójdźże do taneczka!

Ale ona głupia była, bo tak jej Pan Bóg dał, więc kazała im przy-
nieść trzewiki, pończochy, koszulę, spódnicę, paciorki, chusteczki,
wstążki, wachlarz, zwierciadło, no i pieniądze — wszystko na jeden
raz.

Potem powiedziała:

— Przynieście mi wody do mycia!

Dała im skopki dziurawe, ale diabli dziury palcami pozatykali,
prędko wody nanieśli i mówią:

— Ej, kosmyk dziewczeczka, umyj się zaraz i ubierz, bo nie mamy
czasu!

Ona umyła się, wystroiła, przejrzała w zwierciadélku i dalejże
z nimi tańcować.

Jakże ją pochwycili w diabelskie pazury, to z nią do siódmego potu wywijali. Raz, drugi i trzeci dokoła. Powykręcali jej ręce i nogi, tak ją zmordowali, że zaczęła wołać:

— Dosyć już dosyć! dajcie tchu złapać!

Ale diabli już jej nie puścili, coraz mocniej przyciskali, coraz bardziej hulali, wykręcili. A kiedy się już kończyła ich godzina, kiedy kur zapiał, wykręcił się jeden, urwał dziewczynie głowę i zatkał nią okno, a drugi kadłub do potoku wyrzucił. Wszystkie dary zabrali, duszę porwali i z wielką uciechą lecieli do piekła, aż bory i lasy trzeszczały.

Skoro świt wstała macocha i poszła zobaczyć swoją córeczkę, która na pewno ma dwa razy tyle strojów i pieniędzy, co tamta. Już z daleka ujrzała w oknie jej głowę z wyszczerzonymi zębami.

— O moja córusiu kochana — zawołała ucieszona — już na mnie wyglądasz okieneczkiem, paciorki masz na szyi i tak ładnie się śmiejesz!

Ale ptaszek, który siedział koło chałupy na drzewie tak jej zaśpiewał:

— *Głowinka w oknie.*

A tułowiczek w potoku moknie!

Dopiero wtedy zrozumiała, co się stało! Chciała się pozbyć pa-sierbicy, a tymczasem sama swoje dziecko na zatrąę posłała.

Taki był koniec macoszynej zawiści.



JUHAS BOGOBOJNY

Między Małą Łąką a upłazem Czerwonego Wierchu rozciąga się hala, którą nazywają halą Miętusią. Dawniej pasalo się tutaj do pięciuset owiec. Już za naszych dziadów i ojców stał w dolinie szałas, a pod tym szałasem strzelały w górę turnie i jeden olbrzymi wierch. Nie łatwo było paść owce w tych uroczyskach. Nie do każdej trawy można było dojść po urwiskach, graniach, wśród przepaści.

Juhasów pasących tutaj owce było zawsze ośmiu, a rządził nimi bacą, który ser robi i sprawuje się w szałasie tak jak gazda w domu, a między juhasami chodzi niby ojciec wśród dzieci. Juhasom nie wolno wziąć ani kawałka sera więcej niż im bacą wyznacza. Tylko żentycy mogą pić ile zechcą. Ser zaś dzieli pomiędzy nimi gazda wedle ilości owiec, które pasterze zganiają z pięciu albo i sześciu wsi. Każdy juhas musi pamiętać o owcach oddanych mu przez gazdę w opiekę.

Pomiędzy tymi ośmiu juhasami był jeden, który był z Boga juhasem. Wstawał raniutko, a kiedy umył się, klękał i odmawiał pacierz godnie, chociaż to było w lesie, pomiędzy turniami. Towarzy-sze wyśmiewali się i nazywali bogobojnego juhasa Jezuskiem. Ale on na nic nie zważał i kiedy nastawało południe, myśli swoje znowu do Boga wznosił, chociaż dzwonów kościelnych tutaj prawie nigdy nie słyszał. Siedmiu juhasów i bacą nie modlili się wcale. Zamiast pacierzy toczyły się jadownicze prześmiejki, brzydkie rady i plugawe bluźnierstwa.

Czasami wśród nocy schodzili do nich sobie tylko znanymi chodnikami dobrzy chłopcy. *) Bacą rad ich widział, bo kto wie, czy za

*) Zbójnicy.

młodu tak, jak oni nie wyskakiwał zza buczka*) Zbójnicy przychodzili ze swoimi nadobnymi, roześmianymi frajerkami, przynosili wódkę i wino, i zaraz rozpoczynała się hulanka. Zarzynano kilka baranów, płonęły ogniska, rozchodził się lechzący podniebienie zapach pieczonego mięsa, odzywała się muzyka i oto dobrzy chłopcy szli w taniec, a tańczyli dziko — do zdechu. Juhasi spoglądali z podziwem na ich ubiór bogaty, na włosy długie, przeplatane wstążkami, na noże, strzelby i pistolety.

Dobry juhas trzymał się z dala od tych zabaw, w ogólności trudno było z nimi wszystkimi wytrzymać. Innych gości tamci nie witali tak chętnie. Skoro tylko do szalasu zajrzał jakiś ubogi staruszek, to tylko on najpierwszy ze wszystkich przybiegał i podawał biedakowi czerpak z żentycą.

Baca z drugimi juhasami natrzęsali się z niego i mawiali:

— To chyba twój ojciec, bo jesteś do niego bardzo podobny. Mógłbyś z nim razem chodzić po żebrach! Świadczyło by wam obu.

Ale bogobojny juhas nie zważał na to — nic a nic. — Patrzył zawsze swojej roboty i patrzył wszystkiego, co tyczy Boga. Nosił Go w sercu.

Jednego razu cóż się dzieje? — przyszedł do szalasu siwy, stary dziadek. Bogobojny juhas zerwał się zaraz, powitał go grzecznie, dał mu ciepłej żentycy, którą miał sam wypić, dał mu też i kasek sera, który dostał od bacy i prosił staruszka, aby usiadł na jego miejscu przy wiatrze i ogrzał się godnie.

Trudno było bacy i towarzyszom sprzeciwiać się temu, skoro bogobojny juhas był właścicielem części hali Miętusiej. Musiało im wystarczyć, że się z obu naśmiewali bluźnierskimi słowami.

Dziadek posiedział trochę przy ogniu i odchodząc nie pożegnał się z juhasami, bo na to nie zasłużyli. Kiedy uszedł już kilkadziesiąt kroków od szalasu, zawołał pobożnego juhasa. Ten skoczył szybko ku siwemu dziadkowi, który tak do niego przemówił:

— Zachowaj moje słowa i pamiętaj, co ci teraz powiem. Widzisz ten wierch? — Nad samym szalasem widać było wierch wysoki i tak ostry, że wyjść na niego nie zdołał żaden człowiek ani nawet dzika koza. — Patrz ciągle na ten wierch i pamiętaj: jutro w samo południe wejdzie nań mała chmurka. Wtedy ty pozbieraj wszystkie swoje rzeczy i pochowaj je tak, jakbyś miał stąd odejść na zawsze. I wciąż spoglądaj na niebo i na ten wierch ostry. Chmurka, która

*) Zbójował.

się ukaże, nie będzie z początku większa od twojej torby, ty jednak zarzuć wartko cały twój dobytek na plecy, nie zważając ani na śmiechy, ani na bluźnierstwa, bierz ciupagę do ręki, zejdź poniżej koszara *), gdzie owce stoją, gwizdnij na nie i nie oglądając się za siebie schodź w dół.

Jak dziadek nakazał, tak się też stało. W samo południe zabrał juhas bogobojny swoje rzeczy, a rzeczy juhaskie zwały się wtedy takie: formy na rozmaite oszczypki: baranek, kaczka, serce, parzenie — potem gielety czyli naczynia, do których owce się doją — sata czyli płachta, w której ser wisi — czerpak, z którego owczarz pije żentycę — kapalka, do której kapie żentyca z saty z serem — ferula czyli łyżka do mieszania uwarzonej żentycy.

Wszystko to bogobojny juhas zebrał i co tylko mógł włożył do sukiennej torby z długimi frędzlami. Kiedy nad ostrym wierchem ukazała się malutka chmurka zeszedł poniżej koszara, włożył dwa palce w usta i gwizdnął przeraźliwie. Wszystkich owiec było wówczas sześćset, a jego powyżej stu. Jakimś cudem bożym owce pobożnego juhasa wyłączyły się od razu i szły za swoim pasterzem w dół. A przecież działo się to wśród pełnego lata, czas jeszcze był na osad **) — a zresztą i wtedy trzeba było wielu ludzi, aby owce różnych juhasów odłączyć. Owce to przecież głupie stworzenia, nie wiedzą do kogo należą. A tymczasem te odłączyły się od razu jakimś niepojętym, cudownym sposobem.

Kiedy bogobojny juhas poszedł do domu z owcami, ze swymi, nad wierchem rozciągnęła się wielka, olbrzymia chmura. Piękna pogoda dawno już zginęła. Najpierw zaczął lać deszcz, potem zahuczały grzmoty i poczęły przelatywać po niebie straszliwe błyskawice. Pioruny biły w wierch tak okrutnie, że nigdy przedtem ani potem ucho ludzkie czegoś podobnego nie słyszało, ani oko ludzkie nie widziało. Wreszcie gromy przerażające rozbiły olbrzymi wierch, który zwał się straszliwym ciężarem na szalas, tak, że nawet śladu, znaku po nim nie zostało. W rumowisku skalnych odłamów zginęło siedmiu nieszczęsnych juhasów. Zakończyło się ich głupie życie. Były to chłopcy mocne, silne i urodziwe. Chodzili ustrojeni w pasy szerokie, nabijane guzikami i łańcuszkami, a na kapeluszach nosili mnóstwo mosiężnych centków, tak, że od tego mosiądzu mało ich było widać. Ale były toteż chłopcy pyszne i głupie. Żaden z nich nie rozmówił się porządnie z nikim, zawsze wszystkich wyśmiewali, zawsze

*) Zagroda dla owiec.

**) Podział owiec przy spędzaniu z pastwiska letniego.



na drugich wygadywali i sprośne wiedli gawędy. Toteż i śmierć ich spotkała nieszczęsna. Jaka praca taka płaca!

Bogobojny juhas zaś miernej był postaci, nie kochał się w żadnych zbrojach i nosił tylko to, czego naprawdę potrzebował. Na sobie miał pasik z kilkoma guzikami, u pasika łańcuszek, na którym przypinał nóż, aby mu się nie stracił. Z każdym rozmówił się porządnie, czy to z biednym, czy to z bogatym. Jeśli go ktoś pytał, odpowiadał grzecznie. Pewno dlatego cud boży uratował go od niechybnej śmierci. Poszedł ze swoim kierdelem do domu, a kiedy się wieść rozeszła o dziwnym wydarzeniu, wielu ludzi nawróciło się i poprawiło.

Skoro po zimie wiosna nastąpiła, zeszli się juhasi, aby znowu założyć szałas i poprowadzić owce na hale. W tym samym miejscu jednak nie dało się szałasu pobudować. Zrobiła się tam pustać, ruina, zawalona kamieniami. Dopiero na tej samej hali Miętusiej znaleźli równinę zwaną Przysłup, założyli szałas, zgonili owce, ale o połowę mniej, niż łośńskiego roku.

I oto pierwszego dnia weszli juhasi do hali ze swymi owcami. Napasili je, na wieczór podoili i poszli z mlekiem do szałasu. Cóż się jednak zrobiło: owce jakoś się zestrachaly i uciekły wśród nocy w wielkie turnie i pasły się po najbardziej niedostępnych miejscach.

Wystraszeni juhasi pogonili za nimi i starali się zawrócić owce w stronę szałas. Ale niewiele można było dokonać. Nie podobna było przecież w żaden sposób chodzić w nocy po takich pustaciach, przepaściach i ostrych turniach. Każdy to chyba rozumie, że w ǳmie trudno jest iść równą drogą, a cóż dopiero wśród górskich otchłani. Kiedy jednak dzień nastał, owce przysły same do szałas. Żadna się nie straciła i wszystkie beczaly do swoich juhasów, aby szli je doić. Żaden pasterz nie potrafił napaść je tak dobrze, jak się napasły w nocy. Podoili rankiem i chcieli paść je znowu, ale one ani ruszaly się z miejsca, tylko legły na ziemi i żuły. Popasły się trochę w południe i na odwieczerz. Juhasi wydoili je znowu i poszli z mlekiem do szałas, kilku jednak zostało i gwarzyło do owiec myśląc, że wczoraj zestrachaly się czegoś. Owce stały, przerabialy bystro uszami. jakby zwidywało im się coś przerażającego.

— Prrrujka! nie bójcie się! — mówili do nich juhasi.

Ale czym więcej je zagadywali, tym bardziej się ruszaly, strachaly, aż wreszcie poszły w lasy, w ostre turnie...

Juhasi rzucili mleko, ser, oszczyпки i wszystkie swoje rzeczy, chcąc łapać owce i zawrócić je do domu. Ale nie udało się. I tak się mordowali przez kilka nocy, bo każdego wieczoru powtarzało się z owcami to samo. Gdyby juhasi próbowali paść owce w dzień po tych przepaściach, to na pewno zginęłaby ich połowa, a tymczasem w nocy nie przepadła ani jedna i doily się tak dobrze, jak nigdy.

Dopiero jednej nocy któryś z juhasów nie mógł wytrzymać i pociągnął za kierdelem, choć wiedział, że go owce nie usłuchają. I dobrze nie bardzo usłyszał przy nich śpiew człowieka. Chociaż noc była widna, nikogo dostrzec nie mógł. Tylko wśród ciszy niosła się śpiewka i pięknie w turniach odbijała. A śpiewało to tak:

*„Ani ja porteczek ani ja cuzecki,
Jakoż ja bedem paść te ludzkie owieczki”*

I ciągle śpiewało to samo. Juhas zachował ten śpiew w głowie, wrócił do szałas i opowiedział o wszystkim towarzyssom. No i dobrze nie bardzo juhasi tak uradzili: ilu tamtego roku zginęło pasterzy, co ich wierch przywalił, tyle trzeba zrobić portek i cuzek, żeby wystarczyło dla każdego. Kiedy wieczorem podoili owce, zawiesili to odzienie na strądze i poszli z mlekiem do szałas. Poszli, ale wciąż oglądali się na koszar. Owce cicho legły i zaczęły żuć. Wtem coś przyszło, wzięło to odzienie i żałośliwym głosem zapłakało:

— Jużeście nas teraz wyplacili...

Owce leżały bez ruchu, nigdzie w nocy nie szły się paść, a dla juhasów nastał pokój i trwa do dziś dnia...

K A R A N A W I L K A

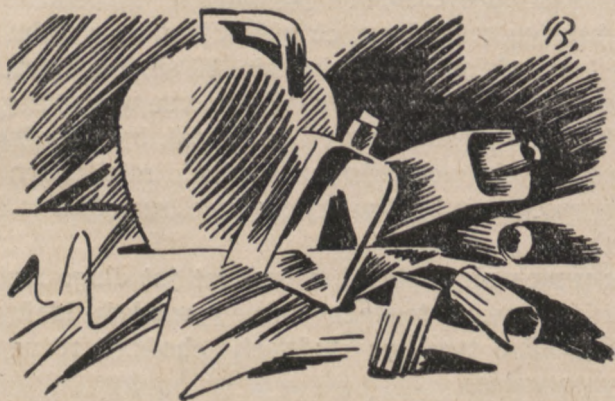
Młody gospodarz żenić się nie chciał, bo mu się wydawało, że za wczesny ożenek często bokiem wyłazi. Innego natomiast mniemania był jego ojciec. Ciągłe synowi przekładał, że gospodarz nieżonaty wart niewiele, że gospodyni trzyma trzy węgly, a gospodarz dopiero czwarty, że trzeba żony szukać za młodu, bo potem człowieka diabeł żenić będzie. Tak długo go namawiał, aż wreszcie młody znalazł sobie niewiastę. Nieborak trafił jednak jak najgorzej. Kobieta była zła, z piekła rodem, kłótniwa i we wszystkim przeciwna. Choć niegospodarna przewodzić chciała nad mężem: Co on do domu wozem przywiózł, to ona potrafiła wynieść pod fartuchem. Od ranka do wieczora swarzyli się o byle głupstwo. Prawdziwe piekło zapanowało w domu niegdyś spokojnym. Gospodarz uciekał z chałupy przy lada okazji i wracał niechętnie późnym wieczorem.

Jednego razu miało się właśnie ku wiośnie, kiedy ojciec z synem poszli orać kawałek pola, co go mieli pośród lasu. Każdy z nich miał jednego wołu, sprzęgli je więc razem, aby robota lepiej szła. W południe obaj wybrali się do domu na obiad, a woły zostawili w lesie, uwiązawszy je przy świerkach, podrzucając każdemu z nich po garstce siana. Niestety chciało, że lasem ciągnął wilk, który zwietrzywszy świeże mięso, chwycił jednego wołoszka za gardło, zarznął go i zjadł, co się tylko dało.

Kiedy wrócili po obiedzie, patrzą, a tu nie ma żadnego bydłęcia. Zaczęli szukać a szukać, aż znaleźli najpierw kawałek ogona, potem porzucony łeb, znowuż kopyta, a na ostatku kupę flaków. Zaraz domyślili się, że to musiała być wilcza sprawa. Dalejże więc tropić rozbójnika, aż go napotkali w gąszczu, gdzie leżał tak mocno obzar-

ty, iż się ledwo ruszał. Schwytali go bez wielkiego trudu i zaczęli radzić jakim by tu sposobem najsroźszą wziąć na nim pomstę. Ojcu wydawało się, że najlepiej chyba będzie wklinować wilczy ogon w ciężki kawał rozszczepionego drzewa albo też zamorzyć go głodem. Synowi jednak tego wszystkiego było za mało.

— Tatulku — zawołał — nic innego z wilkiem nie róbmy, tylko go ożeńmy! To będzie najsroźsza kara!



CZARNY KOT

Zochna, najpiękniejsza dziewczucha na okolice Pniowa zawracała głowy wszystkim parobczakom i po długich kłopotach wyszła za bogacza i lebskiego gospodarza, co był wójtem za trzecim nawrotem.

Niczego tym ludziom nie brakowało. W stodole chlebusia zawsze na dwa albo i więcej lat zostawało. W komorze wszystkiego było pełno, a w chlewkach piękne krowy i ciołki tak były spaśne, że ledwo dyszały. Roślejszych, piękniejszych koni nie miał żaden gospodarz. Tylko jednej rzeczy nie było w tej chałupie: szczęścia to stadło małżeńskie nigdy nie zaznało.

Dzieciak u nich nie zapłakał, a przecież już długo razem ze sobą żyli i to żyli kiepsko, jak to starzy ludzie powiadają: kiejby pies z kotem. Różne gadki o tym po ludziach chodziły, różne bajki wiły o nich baby po wsiach.

Jedni rozprawiali, że w tej chałupie jest już takie założenie, a drudzy na przeróżne sposoby gadali o wójcinie, że się w chłopcach kocha, że w nocy oknem zachodzi do żonatego pana, po jarmarkach, w miastach z hulakami napija i zna się z każdym, co tylko bliżej przy niej stanie. Marniał powolutku duży majątek, nie interesowała się gosposia mężem, bo go nie lubiła, a on też za innemi patrzył. Dziewczyny okradały gospodarza, bo dopatrzyć nie było komu. Każdy co chciał, to robił.

Może by to wszystko inaczej się jeszcze obróciło, gdyby nie taki przytrafunek, że do dworu przyjechał piękny, nie stary jeszcze rządcą. Chwacki, walny był z niego panoczek, dobry i ludzki, ale lubił praktykować z dziewczycami. Ludzie powiadali, że za Wisłą odleciał od żony. Wnet też nastąpiło zapoznanie się jego z wójciną, która tyl-

Ko szukała jakiejś dobrej okazji. Chodziła do dworu niby na zarobek, a właściwie chodziła do rządcy i psy z nim pasła *). A jak było nieporęcznie, wysyłała wójta na jarmarki albo do powiatu, a rządcą tymczasem do chałupy przyjeżdżał.

Pewnego razu, kiedy mąż wrócił i dowiedział się o wszystkim, było tam też obrazy Pana Boga, było... Kiedy już gratów nie stało, okna powybijał, prawdziwe piekło zaczęło się u tych ludzi.

W parę niedziel po tym wszystkim, jednej nocy, kiedy żony znowu nie było w domu, zasnął wójt, a nad ranem dziewczucha zdybała go nieżywego w stodole.

Tego tylko chciała niewierna żona. Tego samego dnia po pogrzebie przyszedł do chaty ów pan i zamieszkał od razu z nią jak z żoną. A kiedy przysądziła jej cały majątek, żył z nią na wiarę.

Pod zimę przybłąkała się do wdowy chuda, czarna kocina. Lubiła ją, jako, że dzieciaków nie miała i pozwalała mu sypiać w chałupie. Czarny kot ze świecącymi ślepiami przypodchlebiał się pani, tylko od pana stronił. Kiedy na Godne Święta oboje gospodarze dobrze sobie podjedli, a jeszcze lepiej podbili i położyli się razem spać, kot zakradł się do łóżka i najpierw pana, a potem panią w straszliwy sposób zagryzł, a sam się skrył do stodoły.

Komisja przyjechała, obejrzała nieboszczyków i kazała ich pogrzebać, bo przecież nikt ich ze świata nie zgładził, tylko kot ich zagryzł.

Aż tu jednego dnia zjawił się wójt — nieboszczyk z tamtego świata i objął cały swój majątek. Dobrze zaczął gospodarzyć, nigdy nie pił, ożenił się, jak trzeba, miał dużo dzieci i rozpowiadał ludziom, że to on właśnie pokutował w postaci czarnego kota, a wdowę razem z panem diabli na śmierć zamęczyli.



*) cudzołożyla.

BIEDNY I BOGATY BRAT

Było dwóch braci, jeden z nich był biedny, a drugi bogaty. Ten bogaty miał wszystkiego pod dostatkiem, a biedny chociaż przez dzień cały w pocie czoła pracował ledwo się mógł wyżywić ze swoją rodziną. Męczyli się tedy z żoną i dziećmi przez całe życie, aż przyszedł najgorszy rok. Na całym świecie nastał taki głód, że ludzie puchli i marli nędznie jak muchy.

Bogatemu nic złego stać się nie mogło, bo miał dobre zapasy i było czym biedę przetrzymać, ale na mizeraków przyszła ostatnia godzina.

Biedny brat nie widział już od kilku dni ani kęska chleba, a dzieci tak z głodu zesłabły, że nawet płakać nie miały siły. Więc umyślił on sobie pójść do brata bogatego z prośbą o wspomnienie, choć tego jeszcze nigdy nie robił, bo wiedział, że tamten jest serca twardego. Ale innej rady nie było. Przyszedł więc biedny brat do bogatego i mówi:

— Kochany bracie! zmiłuj się i pożycz choć kawałek chleba, bo mi dzieciaki i kobieta z głodu pomrą.

A tamten zapytał:

— Pieniądze masz?

— Nie mam, bracie, żadnych pieniędzy...

— To cóż ty mi dasz za chleb?

— Weź co chcesz, bylebym tylko mógł swoich poratować!

A wtedy bogaty brat mówi tak:

— Dobrze, dam ci bochenek chleba, a ty mi daj za to wyłupić sobie jedno oko.

Biedny brat wspomniał na swoją nędzę i powiada:

— Dobrze bierz okó, kiedy masz takie wymaganie.

Bogaty wydłubał mu jedno oko i dał bochenek chleba. Biedny zaniósł go zaraz swoim dzieciom, a dzieci zjadły i płaczą, bo im się jeszcze więcej jeść zachciało.

Poczekał biedny do drugiego dnia i nazajutrz idzie znowu z samego rana do bogatego brata i powiada:

— Bracie zmiłuj się i pożycz mi jeszcze chleba!

— Dam ci jeszcze chleba, ale pozwól mi wyjąć sobie drugie oko!

— No, kiedy tak chcesz koniecznie, to weź sobie i drugie oko, może ci to serce zaspokoi. O jedno cię tylko proszę, abyś ten chleb zaniósł moim dzieciom, a mnie samego zaprowadził, straszliwy bracie, na rozstajne drogi pod figurę. Tam sobie dołek wygrzebię, będę się modlił do Pana Boga, a ludzie, którzy będą jechali i szli drogą, dadzą mi po groszu, po dwa, jak kogo na to stać...

Bogaty się zgodził, zaraz wyłupił drugie oko, chleb zaniósł dzieciom, wrócił i począł prowadzić biednego. Prowadził go długo, bardzo długo, aż wreszcie zatrzymali się, a on powiada:

— Tu jest, ślepaku, w sam raz dobre miejsce dla ciebie.

A nie były to żadne rozstajne drogi, ani Boża Męka, tylko na polu pod lasem wielka szubienica. Tam go okrutny brat zostawił i wracając do domu, jeszcze naśmiewał się z niego. Biedny ślepiec wygrzebał sobie dół aż pod samą szyję i wlaźł do środka, aby w dzień prosić przechodzących o chleb, a w nocy schować się przed zimnem i dzikim zwierzem. Ale na próżno nadśluchiwał, nie dochodziły go ani głosy ludzkie ani turkot przejeżdżających wozów. Nikt mu nic nie dał, bo tamtędy żadna nie prowadziła droga. Nie wiedział nawet dobrze, gdzie się znajduje. Domyślał się tylko, że jest blisko jakiegoś miasta, bo słychać było raz po raz bicie wieżowego zegara.

A kiedy noc nadeszła, wlaźł jeszcze głębiej w dół, nakrył się liśćmi i tak siedział zrozpaczony i zbolały, na próżno snu przyzywając.

Wtem, kiedy zegar dwunastą godzinę wydzwonił, usłyszał straszny szum i trzepotanie wielkich skrzydeł. To przyleciały trzy czarne kruki, usiadły na szubienicy, jeden zaś z nich tak się odezwał:

— Opowiadajcież bracia po kolei, coście widzieli, o czymście słyszeli na szerokim świecie!

— Dobrze — mówi drugi — ale trzeba zobaczyć, czy nas kto na dole nie podsłuchuje?

Zleciał z góry, obejrzał się dokoła po ziemi, a w biednym bracie aż serce co zamarło ze strachu. Widać jednak nie zobaczył go, bo po chwili usłyszał głos ponad sobą:

— Nie ma nikogo!

Wtedy pierwszy kruk tak zaczął mówić:

— Ja, bracia, lecę od jednego króla, którego córka już od lat sześciu bardzo ciężko choruje i nikt nie zna sposobu, żeby jej zdrowie przywrócić, a to przecież niewielka rzecz. Trzeba tylko wiedzieć, że w tej samej izbie, w której leży chora królowna, siedzi pod podłogą wielka ropucha i patrzy złymi ślepiami na nią i na te potrawy, które przynoszą królownie. Dlatego ropucha ciągle rośnie i tłuścieje, a królowna schnie i choruje. Moi bracia, gdyby kto wiedział o tym, to by wyciągnął ropuchę, spalił ją na popiół, ten popiół zmieszał z trzema szklankami wody i dał wszystko wypić królownie, a ona by zaraz wyzdrowiała.

Zapytali potem drugiego:

— A ty o czym słyszałeś?

— Ja, bracia, lecę z miasta dużego, a w tym mieście wielka jest bieda, bo nie ma wcale wody i ludziska muszą ją wozić aż siedem mil drogi. Ale możnaby temu zaradzić, gdyby wiedzieli, że to morski kret wwalił kamień do źródła największego. Trzeba tylko na samym środku rynku wykopać dół przynajmniej na trzydzieści łokci głęboki, a wtedy łatwo będzie wydobyć ten kamień i woda zacznie tryskać tak, jak dotąd tryskała.

A kiedy tam ci dwaj skończyli opowiadać, zaczął trzeci:

— A ja wam mówię, że wasze nowiny niewiele są warte. Opowiem wam coś tak strasznego, że chyba nikt jeszcze o tym na świecie nie słyszał. Oto biedny brat prosił bogatego o chleb dla głodnych dzieci, ten dał wprawdzie chleba, ale za zapłatę wyłupił mu oba oczy. Straszna mu się krzywda stała, ale gdyby go ktoś pod naszą szubienicę przyprowadził, byłoby to dla niego prawdziwe szczęście. Jutro rano upadnie tu taka rosa, że gdyby nią potarł swoje rany, zaraz by mu nowe wyrosły oczy.

Kiedy kruki te nowiny już sobie opowiedziały, załopotały znowu skrzydłami i poleciały w różne strony świata.

Ślepy, który się skrył w dole pod szubienicą, wysłuchał dobrze wszystkiego i otucha wstąpiła w jego smutne serce. Z wielką niecierpliwością czekał ranka. Wreszcie, kiedy bicie zegara oznajmiło mu, że zbliża się świt, wygramolił się z dołu i po omacku wszedł w łąkę, gdzie rosła wielka trawa. Drżącymi rękoma zgarniał chłodną rosę, położył dłonie na zakrwawionych jamach i — o dziwo — poczuł, że ma znowu jasne, zdrowe oczy. Podniósł powieki i na świat miły spojrział. Uśmiechnęło się do niego słońce wstające spośród

mgieł porannych, zobaczył znowu lasy szumiące, łąki zielone i burzynowe lany dojrzewającego zboża. Uszczęśliwiony padł na kolana i Bogu serdecznie za Jego wielką łaskę dziękował.

Potem urządził sobie w lesie kij wędrowny i poszedł zaraz do tego królestwa, w którym już od lat sześciu chorowała nieszczęśliwa królowna. Po tygodniu stanął w stolicy, wstąpił do karczmy i pyta się żyda:

— A cóż tu u was nowego słyhać?

— Nic nowego nie słyhać — mówi żyd — tak jak dawniej choruje nasza królowna. Minęło już sześć lat od początku choroby i ciągle zwożą do niej rozmaitych doktorów, ale żaden jej pomóc nie umie.

— A ja mógłbym ją wyleczyć! — oświadczył chłop.

Karczmarz dał zaraz znać do pałacu królewskiego, że przyszedł do niego taki człowiek, który mówi, że przywróci zdrowie królownie. Nie minęła godzina, aż tu przed karczmę zajeżdża złocista kareta, a cztery siwe konie krzeszą iskry kopytami. Zawieźli biednego chłopca do pałacu i zaprowadzili do królowny, co słabiutka, biedziutka w łóżku leżała.

Obejrzał ją dobrze, jakby był prawdziwym doktorem i kazał się do króla zaprowadzić, a król pyta się go, czy ma na tę chorobę leki.

— Mam — odpowiada chłop — ale niech mi król da czterech mocnych pachółków.

Zaraz stawili się tacy, jakich potrzebował, a on kazał im wziąć drągi i wszyscy poszli znowu do królowny. Tam unieśli w górę całą podłogę i tak, jak to mówił kruk na szubienicy, zobaczyli opasłą, strasznie wielką ropuchę z brzydkimi, zielonymi oczyma. Wystraszyli się królewscy pachółkowie, ale chłop śmiało schwycił to plugawe stworzenie i wsadził do worka. Potem pokazał królowi, król się bardzo zdziwił, bo jeszcze nigdy w życiu takiego potwora nie oglądał.

Chłop tymczasem napalił w żelaznym piecu i wsadził ropuchę do środka. A kiedy się spaliła, zgarnął popiół, nasypał go do trzech szklanek wody i zaniósł królownie do wypicia. Zaraz potem zasnęła ona twardo i obudziła się na drugi dzień zdrowa, wesola i rumiana.

Wielka była radość na królewskim dworze, wszyscy chwalili i wysławiali biednego brata, a król chciał mu dać za to wielkie posiadłości, na których mógłby gospodarzyć do samej śmierci. Ale on nie chciał takiej nagrody, tylko wziął pełną brykę złotych pieniędzy i zaraz wyruszył w dalszą drogę do owego miasta, gdzie już od lat wielu brakowało wody. Nie szedł już piechotą, lecz jechał szumnie i dworsko, bo miał koni i wozów pod dostatkiem. Kiedy zaś przybył

do miasta bez wody udał się prosto na ratusz i o wszystko wypytywał się burmistrza, który obiecał mu bardzo hojną zapłatę, gdyby pomógł im w biedzie.

Zaraz zabrał się do roboty. Wziął sobie ludzi do pomocy i kazał na samym środku rynku kopać wielki dół. Kiedy ukopali już więcej niż trzydzieści łokci, natknęli się na olbrzymi kamień. Skoro tylko drągami go podparli i na bok odwalili, woda uderzyła stamtąd. I było od tej chwili więcej wody w mieście niż kiedykolwiek.

Uradowani mieszczanie obdarowali biednego brata wszelakim dobrem i pieniędzmi, i klejnotami, i drogimi szatami. Chcieli go też koniecznie w mieście zatrzymać i z najbogatszą panną wyswatać, ale on nie chciał słuchać o niczym, bo bardzo tęsknił za swoimi.

Dopiero na drugi dzień późnym wieczorem przyjechał do swojej chałupy. Wielka była z jego powrotu uciecha, nie spodziewali się wcale, że go jeszcze żywego zobaczą, a on tymczasem zjawił się ubrany pięknie z pełnymi workami złota.

Zaraz sobie wszyscy podjedli smacznie i położyli się spać z dobrą myślą o jutrze.

Rano posłał swoją kobietę do bogatego brata, żeby mu pożyczyl ćwierci.

Bogaty się roześmiał i powiada:

— Cóż ten ślepy lajdak będzie ćwiercią mierzył, chyba piasek...

Ale nareszcie pożyczyl. Ten, który był dawniej biedny, przemierzył ćwiercią wszystkie swoje pieniądze, wsadził za obręcz złotego dukata i kazał dziewczynie odnieść ćwierć bratu.

Ten zaś myślał i myślał:

— Cóż ten ślepy mógł mierzyć? Może tu coś przyłgnęło?

Przewrócił ćwierć do góry dnem, uderzył o ziemię, a spod obręczy wyleciał złoty dukat.

Bogaty aż zatrząsl się z wielkiego zdziwienia i powiada do siebie:

— Skąd on wziął tyle pieniędzy, że je aż ćwiercią mierzy.

Poleciał zaraz do niego i woła:

— Skąd ty, bracie, nabralesz tyle bogactwa?

Tamten uśmiechnął się i opowiedział wszystko, jak się stało. Potem zaprowadził go do komory i pokazał wielkie swoje dostatki. Zabłysło złoto, drogie kamienie zapaliły się wspaniałym blaskiem i migotały piękne szaty. Kiedy patrzył na to chciwy brat, dygotał jak w febrze. I nie zaznał od tej chwili spokoju. Jeszcze tego samego dnia poleciał pod szubienicę i tam sobie własnymi rękoma oczy wylupił. Usiadł potem i czekał z wielką niecierpliwością.

Skoro zegar na wieży północ wydzwonił, przyleciały z wielkim szumem te same czarne kruki. Siadły na szubienicy i zaczęły rozmawiać:

— Wiecie wy bracia, że w tym królestwie, gdzie królowa od lat sześciu chorowała, znalazł się taki człowiek, co ją wyleczył.

— A w tym mieście bez wody — mówi drugi — ktoś kamień odwalił i wodę wyszukał.

— Ja słyszałem — zawołał trzeci kruk — że ten biedny brat, któremu bogaty wylupił oczy, teraz znowu dobrze widzi.

— Nie może być inaczej, tylko ktoś nas tutaj podsłuchał! — krzyknęli tamci.

Zaraz jeden zleciał na ziemię i kiedy zobaczył człowieka, wrzasnął przeraźliwie. Rzuciły się na niego kruki i tak go okrutnie poczęły szarpać pazurami, że aż na milę słychać było jego głos, pełen straszliwej boleści. Potem mu łeb urwały i czarną duszę poniosły do piekła. Bo to nie były żadne ptaki, tylko diabły, które się umyślnie w czarne kruki pozamieniały i dlatego miały tak wielką siłę.



DLACZEGO ZAJĄC NIE JE MIĘSA?

Dawniej nie tylko zając, ale i lis nie jadał żadnego mięsa. Kiedy więc jednego dnia lis obierał pączki z krzaków, przyszedł do niego wilk i mówi:

— Jaki ty nędzny wieszysz żywot. Wiecznie tylko pączki ogryzać. Chodź do mnie na służbę, a ja ciebie wyuczę, że zostaniesz rzeźnikiem, który codziennie pieczeń zajada.

— A co mam robić? — zapytał lis.

— Najpierw nic nie będziesz robić, tylko będziesz mi przyświadczać, a potem to już zobaczysz.

Lis chętnie się na to zgodził i poszedł razem z wilkiem. Szli, szli, aż przyszli na jedną łąkę, na której pasł się koń. Wilk kazał lisowi wleźć z nim razem w krze i mowi do niego:

— Zajdź od przodu i zobacz, czy mi się ślepia palą?

Lis zaszedł, wejrzał i mówi:

— Palą się jak węgle.

A wilk pyta się dalej:

— Zobacz, czy moja skóra burczy?

— Burczy tak, że aż strach — odparł lis.

A wilk pyta po raz trzeci:

— Zobacz też, czy mi się ogon rusza?

Lis zobaczył i mówi:

— Rusza się tak, że aż wiatr idzie.

— No to jestem już gotów! — zawołał wilk, rzucił się jednym skokiem spod krzaków na konia i rozerwał mu brzuch.

Potem we dwójkę zarznąli konia i zjedli.



Po niedługim czasie zrobili to samo z baranem, a potem z krową. Wtedy lis pomyślał, że się już dosyć wyuczył rzeźnictwa i da sobie sam rady, więc odszedł od wilka.

Idzie i spotyka zajączka, który właśnie zajadał pączki i listki.

— Jakiś ty głupi zajączku — mówi lis do niego — że się żywisz tą zieleniną. Przecież mięso nie tylko smakuje, ale daje każdemu większą siłę. Gdybyś jadł mięso, wnet urósłbyś i byłbyś mocniejszy od każdego psa. Zgódź się do mnie na służbę, a ja także z ciebie zrobię rzeźnika.

— A co nam robić? — zapytał zając.

— Z początku będziesz mi tylko przyświadczać.

Podobało się to zajączkowi i poszedł z lisem. Niedługo i oni wyszli na łąkę, gdzie pał się koń. Lis wlaź w krzaki i mówi do zająca:

— Zobacz no, czy mi się oczy palą?

— Palą się jak płomień! — powiada zając.

— A zobacz, czy skóra na mnie burczy?

— Burczy jak bęben, a włosy na niej okropnie najeżone.

— Popatrz też, czy mój ogon się rusza?

— Oj rusza się, rusza — zawołał zając — jak krze, kiedy nimi wiatr szamoce.

— A to nadszedł mój czas! — zawołał lis i rzucił się ku koniowi. Koń jednak dojrzał go prędzej, niż lis zdołał dobiec i jak nie utnie kopytem w łeb lisa, tak go zabił od jednego zamachu.

Widząc to zając złąkł się bardzo i tak rzekł do siebie:

— Rzeźnictwo to jednak bardzo niebezpieczne rzemiosło. Wolę jeść tylko pączki, liście i trawę, niż dostać kopytem w łeb.

Od tego czasu zając za żadne skarby nie chce dotknąć mięsa.



DIABELSKA GRA

Był raz jeden parobek, który bardzo lubił grać w karty, a na imię było mu Kuba. Kiedy jechał wozem na pole, to sobie lejce na szyję zarzucał i na deskach grał sam ze sobą. Taki to był z niego zawzięty kartolupa.

Zdarzyło się raz, że kiedy jechał do roboty spotkał jakiegoś pana, który zastąpił mu drogę i tak się do niego odezwał:

— Wiem, że bardzo chętnie grasz w karty, więc myślę, że moglibyśmy zarżnąć ze sobą choć jedną partyjkę.

— Aa dobrze! — rzekł na to parobek. — Możemy grać, ale powiedz mi, co ty postawisz?

— Ja postawię jedną duszę — odrzekł nieznamy pan — a ty musisz swoją duszę postawić.

Bo ten pan nie był wcale człowiekiem, tylko diabłem z piekła, którego nazywają Rokitą.

Ale parobkowi, skoro tylko mógł grać, było wszystko jedno. Zgodził się więc, aby gra poszła o tak wysoką stawkę.

Diabeł Rokita poleciał do piekła po jedną duszę, a kiedy z nią wrócił, posadził ją na gałęzi i zaczęli grać.

Grali, grali aż nareszcie Kuba wygrał. Rokita musiał wypuścić duszę na wolność.

Ale to mu nie wystarczyło, więc rzekł:

— Grajmy dalej, muszę od ciebie tę duszę odegrać.

— Dobrze — odparł parobek — ale musisz znowu jedną duszę postawić, bo ja na gębę grać nie będę.

I diabeł poleciał do piekła po drugą duszę. Nie trwało dłużej jak mówienie pacierza, a już wrócił. Gra rozpoczęła się na nowo.

Grali, grali, Rokita spocił się jak ruda mysz, wreszcie Kuba wziął górę i wygrał duszę od diabła. Strasznie się zgniewał i zawział się jeszcze bardziej.

— Musisz jeszcze raz zagrać ze mną, inaczej nie zostawię ciebie w spokoju ani w dnie, ani w nocy.

A Kuba mówi:

— Możesz grać ile chcesz, bylebyś miał co stawiać.

— Postawię jeszcze jedną duszę, a jeżeli ją przegram, to już więcej grać z tobą nie będę.

I poleciał znowu do piekła tak prędko, że aż się zakurzyło za nim.

Ale tym razem bardzo długo nie wracał, bo mu już w piekle żadnej duszy dać nie chcieli, a najstarszy diabeł okropnie na niego krzyczał:

— Ty głupi Rokito, co ty robisz najlepszego, po co ty grasz w karty z Kubą? Przecież to jest gracz nad gracze, on wygra od ciebie całe piekło.

Rokita jak mógł, tak się im tłumaczył, wreszcie powiada:

— Nie martwcie się! Jeżeli przegram te trzy dusze, przyniosę wam za nie trzy inne.

Kiedy wrócił do Kubie na pole, gra się znowu rozpoczęła, ale Kuba tak umiał grać, że Rokita i tę trzecią duszę przegrał.

I znowu musiał ją wypuścić na wolność.

Teraz już Rokita nie chciał grać więcej, bo wiedział, że nie da rady Kubie. Pomyślał i mówi do niego:

— Ano trudno, przegrało się. Nie wiedziałem co prawda, żeś ty taki chwat. Nawet samego czarta ograć potrafisz. Ale, abyś nie mówił, żeś nic wart, to cię jeszcze za to ożenię z piękną dziewczyną! Chciałbyś?

— Czemu nie? — odrzekł Kuba. — Jeżeli tylko masz dla mnie narzeczoną piękną i bogatą, dawaj ją, chętnie się zaraz ożenię.

— Tak prędko to się nie da zrobić — odrzekł czart — ja ciebie ożenię, ale przed tym nie możesz przez siedem miesięcy ani strzyć się, ani czesać, ani golić, ani myć, ani paznokci obcinać. Wtedy dopiero przyjadę do ciebie i pojedziemy do narzeczonej.

Kiedy Kuba zgodził się, Rokita dał mu dużo pieniędzy i kazał iść do karczmy, gdzie miał zamieszkać w osobnym pokoiku. Wolno mu było dobrze jeść i pić i zabawiać się, ale ani golić się, ani strzyć, ani czesać, ani myć się, ani obcinać paznokci i czekać, aż diabeł po niego przyjdzie. Kuba zrobił tak, jak mu Rokita przykazał. Po kilku miesiącach wyglądał jak nieboskie stworzenie. Łeb nastroszony niby



E.B.

u jeża, gęba czarna, zarośnięta, pazury do szponów diabelskich podobne, a brud to aż kapał z niego. Gdzie tylko się ruszył, wszyscy przed nim uciekali i każdy wołał:

— Diabeł idzie!

Więc prawie ze swojej izby nie wychodził i nie mógł się już doczekać, kiedy prawdziwy diabeł się zjawi. Ukazał się nareszcie po siedmiu miesiącach w bogatego pana postaci. Zajechał przed karczmę pozłocistą karetą, zaprzężoną w cztery czarne konie i woła do Kuby:

— Teraz już czas, zbieraj się, pojedziemy w zaloty!

Wsiedli i pojechali daleko do jednego pięknego miasta, które było stolicą wielkiego królestwa. W tym mieście panował król, który miał z drugim królem wojnę prowadzić, więc były mu bardzo potrzebne pieniądze. Na każdym rogu ulicy ogłoszono, że kto by temu królowi dał trzy cetnary złota, to choćby to był ostatni dziad albo żyd, odda mu swoją córkę i połowę królestwa.

Zaraz pojechali na zamek królewski i diabeł oznajmił, że są tacy, którzy przywieźli trzy cetnary złota. Król bardzo się ucieszył, kazał wartom przepuścić ich i zaprowadzić do najglówniejszej sali. Ugodzili się z Rokitą i pacholicy królewscy zaczęli znosić to złoto z diabelskiej karety. Kiedy wszystko znieśli, przeważyli i do skarbcza oddali, mówi diabeł:

— A teraz musisz królowi oddać jedną ze swoich córek temu to!

I pokazał Kubę, który dotychczas chował się ciągle ze wstydu.

Król spojrział na niego i bardzo się zasmucił, że musi wydać jedną ze swoich córek za takiego brudnego, zarośniętego lapserdaka, ale powiada:

— Trudno, słowo się dało, kobyłka u płotu.

Zaraz też kazał zawołać wszystkie swoje cztery córki i okazało się, że jedna była piękniejsza od drugiej. Król pokazał im Kubę i tak do nich mówi:

— Teraz powiedzcie mi, która z was będzie chciała tego człowieka, bo jedna z was musi wyjść za niego za męża! Inaczej musiałbym oddać z powrotem trzy cetnary złota i nie miałbym za co prowadzić wojny.

Pierwsza rzekła:

— Nie, ja takiego nie chcę. Gdybym miała takiego brać, to wolałabym się powiesić!

A druga mówi:

— Wolę się utopić, niż mieć takiego męża!

Trzecia zaś powiedziała:

Lepiej się przebić, niż z takim dzikim chłopem iść do ślubu!

A była jeszcze czwarta córka, najmłodsza i najpiękniejsza. Tej zrobiło się żal ojca i rzekła:

— Pójdę za niego, bo łatwiej mnie jednej zginąć, niż zginąć ojcu z żołnierzami.

A kiedy tak powiedziała, zaraz wyprawili zrzękowiny.

Kuba pojechał potem do domu, tam się ogolił, umył, uczesał, pobocinał paznokcie i zrobił się z niego znowu ładny, udany chłopak. Rokita przyjechał po niego w sześć koni i z wielką paradą jechali do narzeczonej. Kiedy trzy starsze córki zobaczyły, że Kuba jest taki piękny młodzieniec, zrobiło im się bardzo żal, że go ta najmłodsza dostała. Z wielkiej zazdrości jedna powiesiła się, druga utopiła, a trzecia nożem się przebiła.

Rokita porwał ich dusze i kiedy leciał już do piekła, tak powiedział Kubie:

— Ty masz jedną pannę, a ja trzy, te trzy dusze mam, którem do ciebie w karty przegrał! Kwita, panie Kuba!



WILK W GROCHU

Było to jeszcze parę lat przed francuską wojną, kiedy raz latem jak już groch zaczął kwitnąć, przyleciał do wsi Telesfor, przyleciał bez tchu i zaczął krzyczeć:

— Wilk, wilk!

Chłopi w kuźni myśleli, że mu się coś w głowie popsulo i przybiegli do niego, a on im zaczął opowiadać:

— Myślicie pewno, że zmyślam, ale naprawdę widziałem wilka, kiedy szedł z błota przez góry. Skoro tylko mnie zobaczył, puścił się za mną, a ja w nogi. Obejrzałem się dopiero koło tych krzów na górze i wtedy nie było go już widać.

— Ale, ale — odezwał się stary Maślanka — to on na pewno moje cielę zeżarł.

A Maślankowa zaczęła także lamentować:

— O Boże, to on nam jeszcze pożre i nasze dzieciaki, które tam na Błynowie przy smudze gęsi pasą.

Wobec tego wszystkiego sołtys Utek nie czekał, tylko nakazał stróżowi, aby obszedł całą wieś i ogłosił: wszyscy chłopi niech przyjdą zaraz w cepami albo widłami, a Kaja Józek ma nabić flintę kulą, bo będzie polowanie na wilka.

Chłopi zaczęli się wnet schodzić i wypytywać Telesfora, gdzie on tego wilka widział, co ten wilk robił i czy był duży? Telesfor zaś bez ustanku gadał i gadał.

Kiedy wszyscy się już zeszli, sołtys tak do nich przemówił:

— No chłopi ja wam coś powiem. Najlepiej będzie, jeśli my się podzielimy na trzy gromady. Jedni pójdą Brzostową Górą, żeby wilk nie uciekł nam do Zabijatej, drudzy pójdą z lewej strony parowem,

kilku chłopaków obejdzie z tyłu na góry, a my go zajmiemy z flintą od przodu. Ty Józku pójdiesz z Telesforem kawał naprzód, a jeżeli on wyskoczy na ciebie, to my go okrążymy i weźmiemy się do roboty.

No i dobrze, chłopci podzielili się i poszli.

Kiedy ci pośrodku byli już koło Kazuba, zatrzymali się, aż drudzy obeszlili naokoło i dopiero wtedy ruszyli dalej. Idąc po kartoflach docierali pomalutku do tego miejsca, gdzie wilk miał być w grochu.

Wtedy Utek jeszcze raz się do nich odezwał:

— A tylko dobrze mu dajcie, jeżeli Józek od razu go nie zabije! Naraz podniósł się wielki wrzask:

— Wyłazi — krzyczeli — wyłazi, patrzcie go, tutaj jest!

Jakiś czerwony łeb ukazał się z grochu. Wszyscy chłopci nastawili widły i cepy, a Kaja zaczął celować i chciał strzelić, ale kapzła jakoś nie wypaliła. Wtem coś zabeczalo, a Maślanka poleciał do Kaji i zaczął krzyżeć:

— Nie strzelaj! Toć to moje ciele, co mi od wczoraj zginęło. Bogu dzięki, że się znalazło. Chłopacy pomóżcie mi je złapać!

Dopiero wszyscy w śmiech z Telesfora, że on to tak przed cielakiem na łeb na szyję wrywał.

— No — odezwał się do Maślanki chłop nazwiskiem Duda — zapłacisz ty przynajmniej litkup za tego cielaka, co ci go wilk nie zężari?

— Czemu nie — odpowiedział Maślanka — jeżeli ty nas także poczęstujesz...

I tak poszli wszyscy do karczmy, tylko Telesfora nikt tam nie zobaczył.

Od tego czasu, kiedy mu ktoś o wilku wspomniał, to tylko machał rękoma i wołał:

— Ady chłopie cicho, już cicho!



OSTATNI FIGIEL BORUTY

O diable Borucie różne bajędy prawią. Niektórzy starzy gawędziarze ukazują go nam w postaci szlacheckiego czarta — w karmazynowym żupanie, pasie złotolitym i czapce - rogatywce z siwym barankiem, spod której małe, czarne rogi wyglądają. Miał on pilnować od wieków skarbów w zamku łęczyckim. Kiedy mu się pewnego razu to pilnowanie uprzykrzyło, wybrał się na wesele łęczyckiego szlachcica. Tutaj jednak, kiedy się za bardzo rozhulał, w pojedynku z panem młodym potężnie po pażurach oberwał. Potem nie chciał już więcej z lochów zamku łęczyckiego wychodzić.

Najwięcej opowiadań krąży rzeczywiście o Borucie jako o diable ziemi łęczyckiej. Tutaj najczęściej miał psocić na gościńcu wśród ogromnych błot, co rozdzielają dawny Tum od samej Łęczycy. W igraszkach szczególnie sobie upodobał szlachetkę łęczycką czyli tak zwanych piskorzy. Ale i zwykłych chłopków wprowadzał w błota i topieliska, przy czym śmiał się całą gębą i klaskał radośnie w ogromne łapy.

Kiedyś przed wiekami budowano w Łęczycy dawną kolegiatę, dzisiejszy kościół parafialny. Przede wszystkim wznoszono dwie wieże z głazów granitowych. Drażniło to Borutę, że pod jego bokiem stał dom Boży w całej chwale swojej. Więc też jak tylko mógł przeszkadzał robocie, straszył ludzi, podkopywał rusztowania, obalał świeżo wzniesione wiązania i mury. Nic to jednak nie pomogło, wytrzymałość ludu bożego przetrzymała siłę czartowską i po kilkunastu latach budowy stanęła okazała świątynia Pańska. Wtedy Boruta podczas ciemnej i dżdżystej nocy wylazł z błota, wsunął się ukradkiem do miasta i podszedłszy do narożnej wieży, w uniesieniu wście-

kłym, objął ją potężnymi łapami i próbować zaczął, czy mu się nie uda wieży obalić? Ale wieża oparła się niewzruszoną. Na granicy narożnym, o kilka łokci od fundamentu, pozostał tylko ślad pięciu diabelskich palców, co do dziś dnia jeszcze oglądać można.

Jednakowoż Boruta nie dał za wygraną i ukryty w lochach czekał tylko chwili sposobnej do zemsty, jeżeli nie nad świątynią, to przynajmniej nad tymi, co ją obsługiwali. I zdarzyło się, że jeden z kanoników kolegiaty, zaproszony na imieniny do sąsiada, nie chcąc dla zabawy zaniedbywać służby bożej, rano przed wyjazdem odmówił razem południowe i nieszporne modlitwy. A kiedy rano wyjeżdżał z miasta, na grobli spotkał jakiegoś szlachcica z czupurną a buńczuczną miną, z zawieszonym wąsem i z karabelą u boku, który zdjawszy czapkę i odsłoniwszy czuprynę, kłaniał mu się z daleka.

Był to Boruta.

— Dobry wieczór księźdu dobrodziejowi, dobry wieczór! — wołał, machając na prawo i na lewo czapką, kiedy bryczka księdza tuż koło niego przejeżdżała.

— Mylisz się waszmość — odpowiedział zdziwiony kanonik — toć jeszcze nie wieczór, wszak niedawno słońce weszło.

— A ja myślę że to wieczór — odpowiedział szyderskim głosem Boruta — kiedy już po nieszpórach.

I zaśmiawszy się szatańsko dał nurka w błoto.

Wedle ludu miejscowego, który tę samą historię po swojemu opowiadał, Boruta miał się ukazać kanonikowi w postaci wieśniaka. Po prawdzie wiele za tym przemawia, że ów diabeł łączycki był chłopskim diabłem leśnym, na co samo jego nazwisko wskazuje.

Ostatni figel miał Boruta wyprawić za rządu pruskiego. Łęczycę wówczas fortyfikowano. Tysiące chłopów pędzono do kopania szańców i sypania wałów. Praca była nad wyraz ciężka. Sprzężają się niszczyli, siły zawodziły. Zrozpaczeni chłopci wzywali tutejszego diabła Boruty, żeby się z Niemcami choć trochę popieścił. Ale Boruta, jakby w spółce z Niemcami będąc, straszyl wieczorami ludzi powracających do wiosek.

Pomiędzy chłopami parającymi się tą niewdzięczną robotą był jeden parobek z Topoli, któremu dotychczas nie przygodziło się żadne z Borutą spotkanie, jakkolwiek co wieczór wracał do swojej wioski od Łęczycy pół mili położonej. Pewnego wieczoru parobek ten, któremu na imię było Stach, wracał później niż zwykle. Odjechał już dość daleko, kiedy koło przepaścistej bajory, konie nagle chrapnawszy uskoczyły w bok. W oka mgnieniu Stach wywinął potężnego

kozła i padł na drogę, a konie grzęzły i szarpały się w ubocznym bagienku. Parobek zerwał się i począł szukać lejców, a wtem tuż obok niego rozległo się jakieś przeciągłe: he, he, he.

Nic innego być nie mogło, jeno Boruta zjawił mu się we własnej postaci. Przy jasnym świetle księżyca, obok kępy trzcinowej, tuż przy drodze ukazał się czarny od stóp do głów potwór, z wywiedłą, żółtawą twarzą; w szerokich ustach, z których wystawało kilka dwucalowych zębów, trzymał krótką fajeczkę. Na głowie zamiast czapki chwiał się duży nietoperz. Potwór był ubrany w aksamitny kaftan z wielkimi, białymi guzami, w także majtki u kolan białymi sprzączkami spięte. Cieniutkie jak u komara nożki odziane miały w czarne, jedwabne pończochy i pantofle także z białymi sprzączkami. Na koniec już nie jeden, jak zwykle u biesów, ale dwa wyglądały ogony. Jeden wisiał spod kaftana, drugi na plecach się majtał.

Parobek przeżegnał się i zawołał:

— W imię Ojca i Syna, czy to bies Boruta?

— Ja, ja... — usłyszał w odpowiedzi.

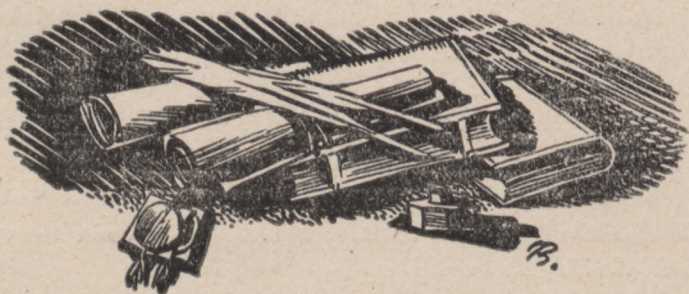
Stach nie namyślając się wiele, chwycił za kłonicę i rznął z całej siły mniemanego diabła. Rozległ się łoskot padającego ciała i jakby stado nietoperzy większych i mniejszych uleciało w górę. Parobek nie przyglądając się niczemu, czym prędzej sprawił wóz, zaprzągnął konie i podążył do Topoli. We wsi zaczął opowiadać wszystkim o swojej zwycięskiej przygodzie. Na drugi dzień połowa wsi wyruszyła prowadzona przez parobka, aby znaleźć pokonanego biesa. Jakoż odszukali go utopionego w błocie. Tylko diabie rogi i ptasi ogon wyglądały z bagna.

Gdy się wieść o tym wydarzeniu w całej łączyckiej ziemi rozeszła, jednocześnie dozorczy niemieccy poczęli wypytywać się chłopów, czy czasem nie widzieli gdzie pana Regierungsratha, który wyszedł wczoraj po południu celem rozpoznania okolicy i dotychczas nie wrócił. Śledztwo i porównanie wszystkich okoliczności doprowadziły do aresztowania Stacha pod zarzutem morderstwa politycznego. Nie wiele brakowało, a zastosowano by wobec niego surowe prawo wojenne. Legendę o Borucie poczytano za umyślny wymysł. Po pewnym czasie jednak łączycki Kriminalgericht doszedł do przekonania, że wiara w Borutę jest istotnie powszechna i przy zastosowaniu wszelkich okoliczności łagodzących skazano Stacha na karę kilkotygodniowego aresztu.

Następnie wskutek tego wyroku, aby na przyszłość nikt się nie-świadomością zasłaniać nie mógł, przez cyrkularze wójtów i burmi-

strzów, oraz po kościołach z ambon i przez rozlepione ogłoszenia, cały lud polski został powiadomiony, że osoby w stroju czarnym, niekrajowym, w aksamitnych kaftanach w metalowymi guzami, również w aksamitnych do kolan majtkach, czarnych, jedwabnych pończochach i pantoflach ze sprzączkami nie są bynajmniej diabłami, Borutami, biesami lub innego rodzaju złymi duchami, lecz urzędnikami. Osoby te nie noszą na głowach nietoperzy, ale stosowane, trzyrożne, spłaszczone kapelusze, co zaś za diabelskie ogony poczytywano, są to poły od kaftana, oraz narodowy niemiecki harcap. Zaleca się dla tych osób szacunek i poważanie.

Nikt jednak z ludzi miejscowych w to wszystko nie uwierzył. Skoro jednak błota rowami i groblami osuszono, Boruta przestał się już kiedykolwiek w tych stronach ukazywać.



LENIWA DZIEWCZYNA

Miała matka córkę Kasię. Ładna była i zdrowa, ale straszne próżniaczysko. Do dwudziestu lat siedziała na piecu i nic robić nie chciała, tylko albo spała, albo jadła. Nie umyła się nigdy, nie uczesała, łeb miała zawsze rozkułany, rozczochrany, więc ją wszyscy leniwą Kudłą nazywali. Matka musiała całe gospodarstwo sama obrządzać, bo gdyby na Kudłę czekała, to by garnki były zawsze okopciałe i brudne, izba niezamieciona, krowa niewydojona. Nieraz ją do roboty naganiała i tak jej mówiła:

— Ej, Kudła naucz ty się robić, bo ciebie żaden wojewodziec nie pojmie za żonę. tylko kmiący syn na roli. Każe ci się dobrze nauwić i nie będzie chciał szukać, jak ty mu powiesz, że cię rączki bołą.

Ale Kudła nic nie odpowiadała, tylko przewracała się na drugi bok i spała dalej.

Wszystkie dziewczuchy w równych z nią latach dawno już za mąż powychodziły, ale na Kudłę nikt spojrzeć nie chciał, bo cóż komu po takiej kobiecie, która ani wyprać ani ugotować nie umie. Tymczasem jej się uwidział bardzo młody leśny, który mieszkał niedaleko od ich chałupy i czasem do matki Kudły zachodził.

Jednej nocy wstała po cichu, ubrała się w prześcieradło, zrobiła się podobna od śmierci, poszła tam, gdzie mieszkał leśny, stanęła koło okna i woła na niego:

— Spisz ty?

— Nie.

— Kazał Pan Jezus i święta Anna, żebyś se pojął Kudłę za żonę. Ażebyś pojął, ażebyś pojął!

I zaraz się straciła.

Chłop do rana nie mógł zmrużyć oka ze strachu. O świcie wstał i poszedł do mieszkania Kudły, a tu ona leży na piecu umyta, liczka ma gładkie, nic nie mówi, tylko patrzy na niego, jakby go chciała przewiercić oczyma. Spodobała mu się jakoś, ale nic nie powiedział, tylko poszedł dalej.

Na drugą noc o tej samej godzinie pokazała się biała, wysoka kobieta i woła:

— Śpisz ty?

— Nie.

— Kazał Pan Jezus i święta Anna, żebyś se pojął Kudłę za żonę. Ażebyś pojął, ażebyś pojął, bo inaczej to ci leć urwę!

Leśny jeszcze się więcej przestraszył i pomyślał sobie, że chyba trzeba się ożenić z tym walkoniem, co cały dzień na piecu leży. Poszedł do ich chałupy na śródmiecz, aż tu widzi Kudłę na piecu jeszcze lepiej umytą i piękniej uczeszaną. Podobała mu się jeszcze bardziej, ale że tam zeszło się gości huk, nie miał sposobności z nią gadać i poszedł dalej.

Na trzecią noc znów biała kobieta kołacze do okna i mówi:

— Śpisz ty?

— Nie.

— Kazał Pan Jezus i święta Anna, żebyś se pojął Kudłę za żonę. Ażebyś pojął, ażebyś pojął, bo ostatni raz mówię, inaczej leć ci urwę!

Chłop zerwał się z pościeli, wyleciał przed chałupę — ale tu już nikogusienko nie było.

Tak się zstraszył, że z samego rana poleciał do sąsiadów i coś widzi: w progu spotyka Kudłę pięknie ubraną. Ledwo ją poznał, tak wyladniała. Już się więcej nie namyślał, tylko uderzył do matki o córkę. Matczysko się z chęcią zgodziło, prosiła tylko, żeby nigdy Kudły nie bił. Leśny przyrzekł i tak najpierw były zwiady, a potem wesele.

Zaczął się gospodarstwo we dwoje. A musiał on chodzić z samego rana do lasu i dopiero potem wracał na śniadanie. Kiedy pierwszego dnia wstał, żona jeszcze spała, a tu dwie krowy ryczały w oborze, bo nie miały nic do żarcia. Leśny obrządził bydło i poszedł do swojej roboty. a skoro wrócił nie było ani śniadania, ani porządku w chałupie. Patrzy, a Kudła znowu się rozkudłała, wlaźła na piec i śpi.

Z początku nic nie mówił, tylko biedował, jak mógł. Sam sobie garnki mył, sam prał, sam gotował, aż mu się to uprzykrzyło. Wystarał się więc o służbę w innym miejscu, z pięć mil od tej wsi i wziął

Kudłę ze sobą. Ona zaś i na nowym miejscu po staremu nic nie robiła, tylko wylegiwała się na piecu. Ale leśny wziął się na sposób.

Miał on starą torbę strzelecką, która wisiała nad łóżkiem. Jednego dnia, kiedy szedł do lasu zaczął do tej torby gadać, że ma ugotować śniadanie, potem posprzątać i zrobić wszystko, co potrzeba.

— Bo inaczej, — powiada — jak z lasu wrócę, to cię okropnie skatuję.

Kudła słucha, nic nie mówi, tylko z pod oka ciągle zerka, rychło torba zejdzie z kołka i weźmie się do roboty. Ale torba jak wisiała, tak wisi, a Kudła śmieje się i mówi do niej:

— Czekaj no, będziesz ty się miała, jak on wróci z lasu.

Leśny wrócił do domu i widzi, że torba nic nie zrobiła, więc zaczyna jej wygrażać:

— Popamiętasz ty sobie teraz! Zaraz my sąd zrobimy! Tu dębowy świadek będzie!

I mówi do Kudły:

— Weź no torbę i potrzyмай na swoich plecach, a ja ją dobrze wyłomocę, to ona mnie na drugi raz usłucha.

Kudła się śmieje i myśli co z tego będzie? Tymczasem leśny przyniósł tęgą pałę i nuże bić torbę na kudlinych plecach. Kudła w gwałt, a leśny bije i bije. Zbił, ale nie Kudłę, tylko torbę.

Na drugi dzień idzie do lasu znowu i znowu mówi do torby:

— Żebyś mi ugotowała, żebyś wszystko w chałupie obrobiła, bo inaczej to bym ci znowu nasypał!

Ledwo tylko wyszedł z chałupy, Kudła wyskoczyła z wyrka i dalej do roboty. Kiedy leśny przyszedł do domu, zobaczył, że wszystko jest w porządku, więc pyta:

— Dziś chyba nie będziemy uczyć torby rozumu?

A Kudła odpowiada:

— O dziś nie trzeba!

— Tak rób — mówi leśny znowu do torby — to nigdy nie dostaniesz lania.

I tak już dalej było. Kudła codziennie rano wstawiała, a kiedy leśny przychodził do domu wszystko było oporządzone, jak się należy. O torbie nawet zapomnieli i o tym także, że na gospodynię kiedyś leniwa Kudła wołali. Kasia, Kasiénka — było teraz jej imię.

Po długim czasie matka chciała zobaczyć jak się jej córce powodzi, więc pojechała do niej w gościnę.

Jakże się zdziwiła, kiedy zobaczyła u niej takie porządki w izbie i w oborze. Aż się jej serce zaśmiało, że z leniwej Kudły zrobiła się taka dobra gospodyni. I pyta jej:

— Jakże to być może, że u ciebie tak czysto, chędogo, żeś tak pracowita, kiedy w domu nic robić nie chciałaś? On cię pewno bił bardzo, nim cię pracy nauczył?

— Ach nie — odpowiedziała córka — tylko raz wybiliśmy torbę, ale potem już nie było trzeba.

Matka cieszyła się bardzo, a Kasia jakoś na nią patrzy dziwnie raz i drugi, trochę zakłopotana, trochę zmieszana — nareszcie powiada:

— Wiecie matusiu co, idźcie na podwórze i przynieście choć kilka drewek, bo w tym domu darmo jeść nie dają...



CZTERECH MISTRZÓW

Daleko wśród lasów mieszkał pewien leśnik, który miał czterech synów. Kiedy wszyscy już dorośli, rzekł najstarszy do ojca:

— Tu w tym ciemnym boru nie mamy już nic do roboty. Trzeba nam iść w świat.

— Dobrze — zgodził się leśnik — idźcie w świat! Niech tam każdy nauczy się jakiegoś rzemiosła. Musicie jednak wrócić do mnie za trzy lata i wtedy pokażecie mi, czyście zostali dobrymi majstrami, czy też tylko lichymi partaczami.

I poszli czterej synowie w świat. Kiedy stanęli na skrzyżowaniu dróg, wówczas najstarszy z nich powiedział:

— Tu musimy się rozejść w cztery strony, za trzy lata spotkamy się w tym samym miejscu i wrócimy razem do ojca.

Jak się powiedziało, tak się stało. Po trzech latach stanęli bracia w domu rodzinnym.

Stary leśnik ucieszył się bardzo z ich powrotu i zaraz począł wypytywać, jakiego każdy nauczył się rzemiosła?

— Nauczyłem się rzemiosła złodziejskiego — rzekł najstarszy syn — ale nie jestem jakimś marnym złodziejaszkiem. Mogę ukraść wszystko, co dusza zapragnie i nikt mnie nigdy za rękę nie schwyta.

— Złodziejstwo — odparł ojciec — nie jest najlepszym rzemiosłem, ale jeśli ci poszczęści, to i ty nawet możesz wyjść na ludzi.

— Ja zaś — rzekł drugi syn — nauczyłem się w gwiazdy patrzeć i jestem tak dobrym gwiazdarczem, że zawsze zobaczyć mogę, co dzieje się na zicmi i w niebie.

— Strzelcem zostałem — odpowiedział z kolei syn trzeci — strzelcem najlepszym chyba na świecie, bo nie pudłuję nigdy, a co na cel wezmę, trafiam bez zawodu.

— To jest ładne i mnie dobrze znane rzemiosło — ucieszył się ojciec.

— Krawieckim zostałem mistrzem — rzekł czwarty syn — potrafię zeszyć wszystko, czy ze sztywnego czy z miękkiego materiału, a ścięgu mojego nie dostrzeże najwprawniejsze nawet oko.

Tak rozmawiali czterej bracia z ojcem, stojąc przed chatą pod wielkim starym dębem.

— Zaraz zobaczymy — przemówił wreszcie stary leśnik — co wy naprawdę potraficie. Na tym dębie jest gniazdo ptaków. Niechże wpierw powie któryś z was, ile jest w tym gnieździe jaj?

Natychmiast spojrział gwiazdarz przez swoje szkielko i zawołał:

— W tym gnieździe jest pięć jajek, a pisklęta są już tak wielkie, że na pewno jutro się wylęgną.

— Przynies te jaja, — rozkazał leśnik złodziejowi — ale weź je tak, aby ptak, który siedzi na nich, nic nie zmiarkował.

Złodziej wlaź szybko na drzewo, zabrał pięć jajek, a ptak wcale tego nie zauważył.

Wtedy stary leśnik położył te jajka na stole, na każdym rogu jedno, a piąte po środku i rzekł do strzelca:

— Rozbij te wszystkie jajka jednym tylko strzałem.

Strzelec podniósł swoją flintę, zmierzył się, strzelił i trafił wszystkie jajka.

Wówczas stary zwrócił się do krawca:

— Zeszyj to wszystko razem tak, aby i jajka i młode pisklęta żadnej nie doznały szkody.

Krawiec chwycił za igłę, zeszył co było trzeba, a złodziej musiał te jajka z powrotem zanieść do gniazda. Na drugi dzień wylęgło się z tych jajek pięć piskląt. Każde z nich miało cieniutką pręgę dookoła szyi, albowiem krawiec zeszył wszystko czerwonym jedwabiem.

Dopiero wtedy pochwalił ich stary leśnik:

— Dobrzeście się wyuczylili! To, coście na próbę zrobili, był już prawdziwy majstersztyk... — a po chwili zapytał: — A cóż teraz zamierzacie robić?

— Kiedy wracałem ku rozstajnym drogom — odpowiedział gwiazdarz — dowiedziałem się, że w jednym królestwie zginęła bez wieści młoda i piękna królewna.

— To jest dobra dla nas robota — zawołał najstarszy syn, który się złodziejskiego wyuczył rzemiosła — to jest robota dla nas wszystkich czterech.

— Możecie popробować — zgodził się ojciec — radzę wam jednak, abyście się zawsze w jedności trzymali. Jeśli nie będziecie kłócić się między sobą, będzie się wam zawsze dobrze wiodło.

Zaraz też wyruszyli w drogę. Kiedy przybyli do króla, który nie wiadomo w jaki sposób postradał córkę, powitani zostali z wielką radością. Strapiony ojciec przyrzekł oddać królownę za żonę temu, co ją odnajdzie i do domu przywiedzie.

Najpierw gwiazdarz począł rozglądać się po świecie przy pomocy swojego szkiełka.

— Królownę porwał straszliwy smok — zawołał — i trzyma ją na nagiej skale pośród czerwonego morza.

Wówczas czterej bracia wzięli od króla okręt i popłynęli w daleką drogę. Wreszcie przybyli do tej skały, na której siedziała królowna i trzymać musiała na kolanach łeb potwornego smoka, który chrapał przeraźliwie. Niewiele czasu trzeba było złodziejowi, aby ukraść królownę. Smok spał dalej i obudził się dopiero wówczas, kiedy czterej bracia daleko już ujechali. Z przeraźliwym łoskotem ruszył za nimi w pogoń, ale kiedy się zjawił już blisko nich, strzelec zmierzył się, wypalił i od razu go trupem położył. Smok zginął wprawdzie, ale kiedy jego olbrzymie cielsko zważyło się na okręt, zaraz wszystko się rozleciało, a czterej bracia i królowna wpadli do morza. Wtedy krawiec zabrał się do roboty. Zaszyl wszystko tak doskonale, że okręt trzymał się jeszcze lepiej niż przed tym i wszyscy mogli bezpiecznie jechać dalej.

Kiedy król zobaczył swoją córkę zdrową i całą, ucieszył się bardzo i rzekł do czterech braci:

— Jednemu z was należy się ona za żonę, ale któremu mam ją oddać?

— Gdybym jej przez szkiełko nie zobaczył — odpowiedział gwiazdarz — nikt by jej nie zdołał przywieźć do domu. Ja ją muszę dostać.

— Cóż by to pomogło — rzekł złodziej — gdybym jej nie ukradł. Ona do mnie należy!

— Gdybym nie zastrzelił smoka — przemówił strzelec — królowna zginęłaby, a z nią my wszyscy. Moją być musi!

Na koniec odezwał się krawiec:



— Wszyscy by się potopili, gdybym nie zeszył okrętu, dlatego ona ze mną powinna wziąć ślub.

— Każdy z was powiedział prawdę — rzekł król — będę chyba musiał córkę na cztery części podzielić i każdemu z was dać po kawałku...

Ale bracia nie życzyli sobie takiego załatwienia sprawy i wszyscy razem zawołali:

— Niechże królowna sama powie, którego z nas chce za męża!

Wtedy ona przyjrzała im się jeszcze raz dobrze i tak przemówiła:

— Złodzieja nie chcę za męża, bo on w nocy kradnie, w nocy nie ma go w domu, a w dzień śpi. Za gwiazdarsza także nie pójdę, bo on wie co się dzieje na niebie, ale mało wie, co się dzieje na ziemi. Krawiec również mi nie odpowiada, bo krawiec ciągle siedzi w domu, szyje i nie będzie chciał pójść ze mną na przechadzkę. Moim mężem niechaj strzelec zostanie, bo mieszka wśród pięknego lasu. Na noc zawsze do domu powraca obładowany ubitą zwierzyną i wesoło śpiewający. W dzień zaś weźmie mnie ze sobą do zielonego boru, gdzie zna wszystkie zwierzęta i wie, o czym ptacy śpiewają.

I poślubił strzelec piękną królownę, a trzech bracia służyli u niego i trzymając się zawsze razem, dokonali we czterech niejednej jeszcze doskonałej roboty.



LIS SZYJE WILKOWI BUTY

Spotkał się wilk z lisem. Wilk jakoś utykał na nogę i bardzo był smutny, więc lis go pyta, czemu ma taką markotną minę?

— O — mówi wilk — mnie się bardzo źle powodzi na świecie. Dawniej byłem taki gibki i silny, że mogłem unieść naraz cztery konie, a teraz ledwo jednemu dam rady.

— Cóż ci się stało? — pyta lis.

— Ano tak mnie urządził święty Mikołaj, nas wilków opiekun. Zawołał mnie jednego razu do siebie i tak mi powiedział: „Ty mój wilczku za wiele broisz! Gdyby ci na to pozwolić, to byś niedługo cały świat zawojował, ale tak dalej być nie może, bo przecież ziemia została stworzona dla wszystkich. Musisz tedy wybrać: albo będziesz miał ogon na pół mili długi, albo będziesz nosił na szyji dzwonek, który każde stworzenie będzie słyszało na milę, albo musisz mieć sztywny kark i zostać kuternogą.“ Ano co miałem robić, wybrałem to ostatnie, bo tak przynajmniej z głodu nie zdechnę i zawsze to jeszcze lepsze niż dzwonek, który słyhać na milę, albo taki długi ogon co go za sobą pół mili wlec trzeba.

Lis pomedytował sobie nad tym wszystkim i mówi:

— Nie dzieje ci się znowuż tak bardzo źle, boć i tak jeszcze masz dosyć siły na swoją potrzebę, ale to gorzej, że musisz boso chodzić, jakbyś był żebrakiem. A przy tym nie trzeba zapominać, że zostałeś kuternogą.

— Prawdę mówisz — odpowiedział wilk — ale któż by mi potrafił uszyć buty?

— Ja ci uszyję śliczne butki — mówi lis — boć ja przecież bardzo długo uczyłem się szewstwa.

— Jeżeli tak, to uszyj mi buty, ale prędko, bo teraz widzę, że mi są bardzo potrzebne.

A lis na to:

— Uszyję ci, ale przecież nie mogę ich zrobić ani z piasku, ani z liści. Jeżeli przyniesiesz mi wszystko, co będzie potrzebne do roboty, buty wnet będą gotowe.

A kiedy wilk zgodził się na to, lis powiada:

— Najpierw potrzebuję barana, żeby z niego zrobić dużo dratwy!

Wilk poszedł do wsi, porwał barana i przyniósł go. Lis miał teraz dobre jadlo, więc jadł, aż zjadł całego barana. Za kilka dni przyszedł wilk i pyta:

— No cóż buty gotowe?

Ale lis mówi:

— Hoho to się nie da tak prędko zrobić. Teraz mam dopiero dość dratwy, a jeszcze potrzebuję konia, żeby z niego zdjąć skórę na buty.

— Zaczekaj trochę, a kiedy konie wypuszczą do wody, to ci udużę najlepszego i przyniosę, a ty ściągniesz z niego skórę i zrobisz mi buty.

Za kilka dni wilk przywłókł pięknego konia. Lis jadł znowu i upadł się niby glista. Wreszcie przyszedł wilk i pyta co słychać z butami, a lis mówi:

— Teraz potrzebuję jeszcze jednego wieprza, bo nie mam szczeciny.

Poszedł wilk do wsi, zadusił wieprza i przyniósł go lisowi, który tuczył się znowu przez kilka dni, aż zjawił się wilk. Był bardzo zaniepokojony, że ciągle musiał upominać się o swoje buty, więc wołał:

— Dawaj lisie buty, bo jeżeli nie, to ciebie zjem.

— Twoje buty są gotowusieńkie! — odpowiedział szybko lis. — Wleź do tego dołka, a one ci same wejdą na nogi.

Wilk wlaź w dołek, w którym była jucha bydłęca i ta jucha oblepiała mu się dokoła nóg. Miał tedy ładajakie buty z krwi, a lis zaczął się chwalić:

— Widzisz jak te nowe buty są doskonale dopasowane do twoich nóg. Żaden szewc nie potrafiłby zrobić ich tak akuratnie jak ja.

Wilk był bardzo zadowolony, zwłaszcza, że buty tak pięknie błyszcząły i poszedł swoją drogą. I wciąż się cieszył, że nie potrzebuje już boso chodzić. Ale wtem spotkali go na polu rataje. Ledwo go zobaczyli, zaczęli zaraz gonić za nim z kijami i widłami. Wilk uciekał, ale oni tak go obstąpili, że musiał się rzucić w pław do jeziora, aby uratować życie. Ale we wodzie rozpuściły mu się buty i kiedy wyszedł na brzeg, musiał znowu chodzić boso.

Z Ł O T E S T R Z E M I Ę

O świętym Jerzym, który śmierć męczeńską za wiarę poniósł i czarta pokonał, szerzą się u nas różne opowieści.

Jedni prawią o tym, jak zabił smoka i młodzieńką dziewczynę od haniebnej śmierci wybawił, a Najświętsza Panienska pozwoliła mu za to jeździć po niebie w gwiazdzystym wozie i jeszcze mu swój miesięczek odstąpiła na mieszkanie. Podczas pełni widać jak na księżycu siedzi i przygrywa na lutni.

Drudzy widzą, że w księżycu na pagórku siedzi święty Jerzy i gra na skrzypkach, gdy drugi święty, mający nogi tylko do kolan, tańczy. Opowiadają dalej, że święty Jerzy był za życia wielkim muzykantem i grywał zawsze swojemu przyjacielowi, który zapalenie tańcząc, nogi sobie po kolana uhulał. Skoro zaś życie obu przyjaciół było cnotliwe i bogobojne, Pan Bóg kazał im mieszkać na księżycu, gdzie mogą oddawać się ulubionym za życia rozrywkom, aż do końca świata.

Inni znowuż podają za pewne, że święty Jerzy zanim na księżycu spoczął, odbywał służbę wojskową w polskiej husarii. Zdarzyło się wówczas nieraz, że święty, będąc na ordynansie boskim, jeździł konno do nieba po rozkazy i znowu na ziemię powracał. Właśnie w takiej okazji wydarzyła się historia bardzo cudna i śmieszna, którą warto opowiedzieć dokumentnie ku uciechu wszystkich.

W jednej wsi mieszkał chłop bardzo ubogi, który w żaden sposób nie mógł wyżywić ani swojej żony, ani kilkorga drobnych dzieci. Chociaż okropnie pracował, na pańskie chodził i po chłopach robił, bieda mu doskwierała bez ustanku. Jednego dnia życie tak biedakowi obmierzło, że nic nikomu nie mówiąc, poszedł do lasu, aby się

obwiesić. Chodził między drzewami i szukał najzdatniejszego miejsca do zaciągnięcia śmiertelnego powroza. Wtem niespodziewanie rozległ się pośród boru gromki tętent nadjeżdżającego konia. Chłop obejrzał się i zobaczył jakiegoś świetnego rycerza, który zbliżał się ku niemu szybko strzelistym duktem. Zdziwił się bardzo, kiedy z pobliza ukazała się postać pancernego towarzysza. Takich wojowników dawno już nikt na tym świecie nia oglądał. Zdawało się, że rycerze w skrzydlate zbroje zakuci dawno już pomarli. A tu się dał widzieć prawdziwy husarz z szablą krzywą, koncerzem, obuchem i długą kopią. Na dzielnym koniu rządził był wspaniały i kosztowny, głowa husarza pokryta była szyszakiem, u barków wyrastały dwa skrzydła sępie, a z pleców spływała skóra lamparcia spięta złotymi szponami.

Biła od niego jasność przedziwna i słychać było poszum wielkich skrzydeł. Wreszcie osadził przed nim konia, spojrzął na wymizerowanego chłopinę i na powrót w ręku.

— Człowieku — zapytał — co ty tu właściwie robisz?

— Panie — odpowiedział chudziak — szukam sobie drzewa, będę się wieszał.

— A to dlaczego?

— Panie! wielka mnie trapi nędza, nie mogę żony i dzieci wychować, powiesz się, bo cóż mam lepszego do roboty.

— Słuchaj no człowieku — zawołał rycerz — nie wieszaj się jeszcze. Jam jest święty Jerzy, jadę do Pana Boga z różnymi sprawami, spytam go też o twój los, spytam, czy nie możesz doli swojej odmienne? Kto wie, może się życie twoje poprawi stosownie do rady boskiej? Niepotrzebnie, byś w takim razie życie sobie odbierał. Siadaj tedy tutaj i czekaj na mnie, a kiedy będę wracał, to ci słowa Stworzyciela jak najwierniej powtórzę.

Chłop spojrzął na świętego z niedowierzaniem i odrzekł:

— Panie, życie mi zbrzydło, głodny jestem, a któż wie kiedy ty wrócisz? Może inną pojedziesz drogą, a ja będę tu na darmo czas mi tręzył. Hej panie, to nie żarty dla mnie.

— Jakiś ty głupi — zawołał rycerz — przecież jam święty Jerzy, słowa mego nie odmienię, a jeśli coś przyrzeknę, to tak pewne jak amen w pacierzu.

— Daj, panie, jakiś zastaw — domagał się chłop — to będę wiedział, że mnie nie ominiesz.

— Kiedy z ciebie taki niedowiarek — zgodził się święty — za-trzymaj sobie moje złote strzenie.

Ruszył koniem i zniknął niebawem w lesie.

W niebie święty Jerzy miał tyle spraw z Panem Bogiem do załatwienia, że nie przyszło mu na myśl poprosić o radę dla biedaka.

Dopiero kiedy już wracał tą samą drogą i chłop z daleka zobaczył, poczuł wyrzuty sumienia.

„Cóżem ja najlepszego zrobił? — pomyślał — Na śmierć zapomniałem, ale jakoś muszę sobie poradzić!“

Kiedy nadjechał już blisko, chłop się bardzo ucieszył i zaraz spytał:

— Panie, jakież los masz dla mnie?

— Bardzo dobry będzie twój los — odpowiedział święty — rozmawiałem o tobie z Panem Bogiem i Pan Bóg mi powiedział, że chociaż jesteś poczciwy i pracowity nie masz nic, bo nie przykręcasz.

— Co to znaczy?

— Ano, nie oszukujesz ludzi, niczyjej własności nie zabierasz, jak pożyczysz, oddajesz i niczego sobie nie przywłaszczasz, a przecież tylko takimi sposobami wielkie bogactwa i dostatki powstają.

To wszystko tak się jakoś gładko świętemu Jerzemu powiedziało, ale kiedy już wygarnął całą tę naukę, zrobiło mu się niewyraźnie, bo przecież nie wypadało świętobliwej osobie wygłaszać takie przewrotne i grzeszne słowa. Chciał jak najprędzej odjechać, więc rzekł:

— Teraz już wiesz, jak masz postępować, idź z Bogiem, a mnie oddaj czym prędzej złote strzemię, abym mógł w dalszą wyruszyć drogę.

Ale chłop był nie w ciemną bitą i niewiele myśląc począł wołać:

— Jakie strzemię? Jakie ja strzemię od ciebie brał, panie? Ach, żebym tak oślepl, żebym skamieniał, żebym żony i dzieci nie oglądał, żebym wieczora nie doczekał, jeśli mam u siebie choćby jakąś najdrobniejszą rzecz cudzą. A cóż dopiero strzemię i to złote strzemię!

— Ha, nauczyłem go na swoją biedę — pomyślał święty Jerzy — przepadł!“

Pojechał dalej, a chłop podziękowawszy Bogu za dobrą naukę, postanowił wrócić do domu. Po drodze jednak wstąpił do karczmy.

— Panie Moszku! — zawołał na żyda — dajcie no mi półkwaterek.

Karczmarz uśmiechnął się pogardliwie i nawet nie ruszył się z miejsca.

— Głupi ty, Bartłomieju, głupi, a czym byś ty mi zapłacił, przecie ty z biedą ledwo łazisz.

— Chodźcie ze mną do drugiej izby — odparł chłop — to wam coś ciekawego pokażę.

Kiedy wydobył złote strzemię i pokazał żydowi, ten nie mógł się nadziwić.

— Ej, Bartłomieju, a gdzieście to dostali?

— Gdziem dostał, tom dostał. Mógę wam nawet takie cacko sprzedać, ale później.

Żydowi oczy zaiskrzyły się od chciwości.

— No dobrze, dobrze, a możebyście się coś napili?

— Toć prosiłem was o półkwaterek, skorom tylko przyszedł, a wyście się ze mnie naśmiewali.

— Tylko sobie tak żartowałem...

Przyniósł żydzisko flaszkę, nalał mu cztery razy, a potem zapytał:

— Bartłomieju, wyście pewno i głodni?

— Toć syty nie jestem!

— No, to czemu nie mówicie? Ja chleb mam, ja chlebem handluję, to wam dam.

Przyniósł chleba za cztery dydki, chłop sobie podjadł i zabierał się już do domu.

— Ej, słuchajcie Bartłomieju — zaczął znowu żyd — może sobie do domu weźmiecie chleba dla żony, dla dzieci?

— Przydałoby się, ale nie mam worka ani nic...

— To ja wam dam i wora, wyście dobry człowiek, ja was znam.

Dał mu pełny worek chleba, jeszcze go jedną kieliszczyną na drogę poczęstował i tylko ciągle prosił, żeby strzemienia nikomu innemu nie sprzedawał.

— Wyście pierwsi — zapewniał go chłop — ale mamy jeszcze czas.

Przydał się chleb w domu, bo dzieci i żona prawie już z głodu ginęły. Od tego czasu zaczęło się lepiej powodzić Bartłomiejowi. Codziennie popijał wódkę w karczmie i chleba ogromnie dużo zabierał, a wszystko na to strzemię. Ludzie bardzo się dziwili i gadali między sobą o tym, co za szczęście ma Bartek u żyda, który mu tyle chleba i wódki borguje.

Aż tu jednego razu, kiedy Bartłomiej przyszedł do karczmy, zawołał go żyd do drugiej izby, dał mu wypić dwa wielkie kielichy i rzekł do niego:

— Ej, Bartłomieju, przynieście to strzemię, zrobimy nareszcie zgodę.

A chłop jak nie krzyknie na żyda:

— Jakie strzemię? O czym wy gadacie?

Żyd zaperzył się ogromnie i zaczął charkotać:

— Nie wiecie jakie? Naborgowaliście prawie stówkę, mieliście mi złote strzemię sprzedać, a teraz się zapieracie?

— O żadnym strzemieniu nic nie wiem — upierał się chłop.

— Wy żartujecie, Bartłomieju — prosi żyd — wy dobry człowiek, ja was znam, wy przyniesiecie to, co wiecie, to coście mnie pokazywali.

Ale chłop wciąż się przy swoim upierał.

Żyd widząc, że innej rady nie ma, postanowił Bartłomieja zaskarżyć do sądu.

Tego dnia, kiedy trzeba było iść już na sprawę, chłop przyszedł wczesnym rankiem do karczmy i siadł sobie koło szynkwasu.

— Musimy zaraz pójść — rzekł żyd — dziś właśnie jest termin.

— Mogę iść — odpowiedział Bartłomiej — ale nie głupim stać przed panem sędzią w moich nędznych łachmanach. Daj mi jakąś przyodziewę, bo inaczej nie ruszę się stąd ani krokiem.

Żyd był pewien, że sprawę w sądzie wygra i dostanie złote strzemię, na które sobie wciąż zęby ostrzył. Poszedł tedy z chłopem do komory, gdzie miał na kupie ułożone różne kozuchy, płótnianki, kapełusze, czapki, koszule, buty i dużo innych rzeczy. Tu przybrał Bartłomieja od stóp do głowy, nasmarował mu włosy masłem, dał mu grzebień do przyczesania i wołał nań, żeby szli prędzej.

— Daj mi jeszcze jednego na drogę! — domagał się chłop.

Żyd myśląc, że lepiej będzie, aby chłop się upił i w sądzie krzyczał, nalał mu cztery kielichy, jeden po drugim. Ale Bartłomiej miał mocną głowę i chociaż gołnął wódki na czczo, nic nawet nie poczuł.

Kiedy stanęli przed panem sędzią, żyd zaczął zaraz swoją sprawę wywodzić i opowiedział wszystko od początku do końca.

— Prawda to Bartłomieju — zapytał sędzia — żeście mieli złote strzemię i żeście na nie właśnie brali to i owo od Moszka?

— Panie sędzio! — przemówił chłop — a skądże bym ja wziął złote strzemię? Nie ma chyba podobnej rzeczy nigdzie na świecie, nawet w królewskim pałacu. Strzemię zawsze jest żelazne, największy pan może je mieć tylko posrebrzane albo pozłacane, a skąd ja do tego? Żebym miał coś u Moszka borgować, to już czysta napaść. Nie mam nic, więc i wódki do ust nie biorę, skoro mi się kiszki z głodu skręcają. Żyd jest zawsze chytry i na biedę ludzką kamienne ma serce. On by z człowieka ostatnią koszulę zdjął. On gotów nawet powiedzieć, że wszystko, co mam na grzbiecie, do niego należy.

— A może nie? — zaperzył się żyd. — Wszystko, co on ma, jest moje, nawet to masło, którym sobie włosy wysmarował.

— Czekaj żydzie — przerwał mu chłop. — Powiedzieliśmy obaj swoje, teraz niech pan sędzia sprawę rozpatrzy i wyda sprawiedliwy wyrok.

Pan sędzia począł myśleć i myśleć. O złotym strzemieniu nigdy nie słyszał. Pewien był, że żyd zmyśla i biednego chłopca chce ze wszystkiego obedrzeć. Zawołał więc pacholków, kazał żyda wtrącić do więzienia i jeszcze chłopu zapłacić za mitręgę.

Mimo wszystko jednak myślał sędzia, że coś tam musi być między chłopem a żydem. Zawołał Bartłomieja i zaczął go ciągnąć za język.

— Nic ci nie zrobię — zaręczył — ale powiedz mi rzetelną prawdę.

Chłop się wykręcał jak mógł, ale sędzia koniecznie napierał, żeby mu to strzemie przyniósł, że mu za nie dobrze zapłaci i zaprzysiągł uroczyście, że jeśli nawet nieprawdę mówił, ujdzie mu to na sucho.

— Kiedyś ty przysiągł — pomyślał chłop — to ty mi już nic nie zrobisz, ale poczekaj, dam ci ja rady.

Poszedł do domu i przyniósł złote strzemie sędziemu, który obejrzał je z wielkim zdziwieniem i począł dopytywać się chłopca, skąd on je wziął.

— Dobrze nawet nie wiem — odpowiedział Partek — bo my jesteśmy do tej sprawy spółnikami z Wojciechem, który właśnie wybrał się po woły. Kiedy on wróci, to najlepiej wszystko rozpowie.

— A kiedyż on przyjedzie?

— Miał być tu już dzisiaj, pewno nocą nadciągnie.

— No dobrze — rzekł sędzia — a nie sprzedalibyście mi tego strzemienia?

— Czemu nie, i tak go sprzedać musimy, prędzej czy później.

— Kiedy przyjedzie Wojciech, to wy, kochani Bartłomieju, przyjdźcie razem z nim do mnie. Na pewno się zgodzimy, a teraz macie zadatek, żebyście się czasem z kim innym nie pohandlowali.

I dał kieskę pełną srebrnych talarów. Chłop zabrał strzemie, którego nie popuszczał z ręki, zabrał pieniądze jak swoje i poszedł do domu.

Po kilku dniach sędzia zawołał do siebie Bartłomieja i pyta:

— No cóż, Wojciech nadjechał?

— Jaki Wojciech? — zdziwił się chłop.

— No ten, co z nim macie do spółki złote strzemie.

— Jakie strzemie? Broń Boże o żadnym strzemieniu nie słyszałem i spółki nie mam z nikim.

Dopiero teraz zrozumiał sędzia, że wpadł w matnię. Przysiągł uroczyście, że dotrzyma sekretu, a chłop wyparł się wszystkiego. Wreszcie zaczął go prosić, żeby przynajmniej pieniądze oddał. Ale Bartłomiej udawał głupiego i tak bardzo sędziego rozgniewał, że go za drzwi wyrzucił. Chłop poszedł do domu i przez całą drogę cieszył się, że mu się udało dwóch chciwców wywieść w pole.

Tymczasem świętemu Jerzemu źle było jeździć po świecie na jednym strzemieniu. Nie mogąc znaleźć w żaden sposób drugiej podobnej sztuki, postanowił pójść do chytrego chłopca i jakoś się z nim ugodzić.

Przebrał się za podróżnego i jednego dnia zaszedł do chaty Bartłomieja. Kiedy zaczęli rozmawiać, chłop zadowolony, że tyłu już ludzi oszukał i od samego sędziego wycyganił pieniądze, przyznał się do wszystkiego.

Wtedy święty Jerzy obiecał mu za strzemień tyle pieniędzy, że będzie mógł sobie kilka wsi kupić.

Chłop zgodził się chętnie, tym bardziej, że właśnie ostatniej niedzieli słuchał kazania, w którym powiedziane było, że wielkim jest grzechem oszukiwać ludzi.

Wówczas święty Jerzy objawił mu się w prawdziwej postaci polskiego rycerza. Chłop przerażony padł na kolana, a potem przyniósł złote strzemień i oddał je świętemu, który dał mu za to szkatułkę z dukatami i tak do niego przemówił:

— Masz tu czarodziejską szkatułkę, są w niej dukaty. Dopóki będziesz żył nic z niej nie ubędzie. Rządź się dobrze, kup sobie dużo ziemi, abyś dzieci twoje w lepszym zostawił stanie niż ciebie twój ojciec. Pamiętaj przy tym zawsze, że samo bogactwo szczęścia nie daje.

Wziął święty Jerzy złote strzemień i poszedł daleko.

Chłop się ucieszył, zakupił zaraz dużo ziemi, gospodarował dobrze, pieniędzy nie tracił, nie hulał i nie zbytkował, bo wiedział dobrze jak bieda smakuje. Kiedy umarł, zostawił dzieciom wielki majątek, a po jego śmierci zaczarowana szkatulka zaraz w proch się rozsypała.



NIESZCZĘSLIWA MIŁOŚĆ

Kochało się raz dwoje młodych ludzi. Nie mogli się jednak pobrać, gdyż rodzice odmówili im swojego przyzwolenia. Dziewczynę zmuszono niebawem, aby poślubiła innego. Kiedy już wracała z kościoła zobaczyła, że na drodze stoi ten, którego kochała. Nie zważając już na nic rzuciła się ku niemu, objęli się ramionami z całej siły i ucałowali serdecznie. Z wielkim zgorzeniem rozłączono dwoje kochanków. Przez długi czas snuły się za nimi wyzwiska i jadowite gadaniny.

Niebawem młoda dziewczyna zamartwiła się umarła. Pochowano ją wówczas po jednej stronie kościoła. Młodemu chłopakowi ciężko było żyć, turbował się, turbował, aż się zaturbował na śmierć. Pochowano go po drugiej stronie kościoła.

Niespodziewanie w kościele wyrosły dwa pędy chmielu, które pięły się wysoko w górę aż ponad dach. Tutaj splotły się i złączyły razem w jedną nierozzerwalną całość.

Ludzie dziwili się bardzo i chcąc dociec, co by to miało znaczyć, zaczęli kopać w kościele. Kopiając dotarli aż do trumien kochanków i zobaczyli, że pędy chmielu wyrastały z ich serc. Teraz już nikt nie wątpił, że to była wielka, prawdziwa miłość, że tych dwoje było przeznaczonych dla siebie.

Na pamiątkę dziwnego zdarzenia wieś ta nazywa się do dziś dnia Chmielnem.

BIJ ŻYDA!

Najechali żyda konfederaci z krzykiem:

— Żydku! — z kim trzymasz?

Żyd śmiało odpowiedział, że z królem trzyma.

— A ty parchu! to ty z nami nie trzymasz! Bij Żyda!

Drugim razem przyjechali królewscy i wołają:

— Żydku! — z kim trzymasz?

Żyd powiedział, że z konfederatami trzyma.

— Ty hultaju! buntowniku! Ty przeciw królowi jesteś! Bij Żyda!

Trzeci raz znowu jacyś najechali Żyda, pytając:

— Żydku! — z kim trzymasz?

Żyd nie wiedząc, co odpowiedzieć, zawołał:

— Nie pytaj pan tylko bij...



MOCNY BRAT I ZŁA SIOSTRA

Dwoje ich było we dworze, przy starym szlachcicu — brat i siostra. Chłopakowi było na imię Jan, a dziewczynie Anusia. Kiedy ojciec zaniemógł i na śmiertelnym leżał łożu, zawołał do siebie syna i tak doń powiedział:

— Już się niedługo zawrą na zawsze moje zmęczone powieki. Będziecie plakali nad moim grobem, ale potem świat na was zawoła i zapomnicie o starym ojcu. Ale, żebyś ty synu chociaż czasami mnie sobie przypomniał, dam ci coś na pamiątkę i ku pożytkowi.

Podniósł się z trudem i sięgnął wychudłą ręką po szablę, która wisiała nad łóżkiem.

— Ta szabla — powiedział — nie tak, jak inne wspaniała, nie ma na niej złota i drogich kamieni, w czarny jaszczur tylko oprawna, ale to jest szabla cudowna. Dopóki ją będziesz miał u boku czy w gaści, nikt cię nie zwycięży, nikt nad ciebie silniejszy nie będzie. Czy w bitwie, czy w zwadzie, czy z konia, czy pieszo, zawsze zwyciężysz! Zwałeś się dotąd Janem, teraz mocnym Janem będziesz. Niech ci ta szabla służy w każdej potrzebie tak, jak mnie służyła. Pamiętaj tylko, abyś przed nikim nie zdradził tajemnicy.

— I przed siostrą także? — zapytał syn.

— Nawet siostrze nic nie mów! — odpowiedział ojciec.

W niedługi czas potem zmarło się staremu szlachcicowi.

Kiedy minęła żałoba, zaczęły dzieci rozmyślać, co robić? Zostało im piękne gospodarstwo i niczego by im nie zbrakło, gdyby siedzieli na ojcowiznie. Ale Jan nie chciał jak kamień mchem na miejscu obrastać i powiedział do siostry:

— Zostań siostrzyczko w domu, oddaję ci wszystkie moje dobra, a sam pójdę w szeroki świat coś zobaczyć, czegoś się nauczyć.

A Anusia na to:

— Ja także nie chcę tu siedzieć, pójdziemy razem.

Żal im było ojcowiznę sprzedawać, ale nareszcie na to przyszło. Znaleźli się tacy, co wszystko kupili, a oni podzielili pomiędzy siebie pieniądze na równe części. Jan przypasał szablę ostrą i na ramię strzelbę zarzucił

Szli przez cały dzień, aż ich spotkała noc w bardzo ciemnym i wielkim lesie. Słońce zgasło i taki nieprzebity mrok nastał, że stracili drogę i nie wiedzieli w którą obrócić się stronę. Wtedy Jan powiedział do siostry:

— Ano zabłądziliśmy, nie ma innej rady, jak tylko wleźć na ten wysoki dąb i zobaczyć czy nie widać gdzie światła? W tę stronę, gdzie światło ujrzę, tam rzucę czapkę. Ty uważaj dobrze i stań zaraz w tym miejscu, żebyśmy wiedzieli, dokąd się kierować.

Wlazł zaraz na sam czubek najwyższego dębu, który wznosił się ponad wszystkie drzewa, ale choć było widać stamtąd bardzo daleko, nie mógł zrazu dostrzec żadnego światła. Dopiero po długim czasie zobaczył, że gdzieś hen, w oddali migoce coś, jak świętojański robaczek. Zerwał czapkę z głowy i cisnął w tę stronę, a sam opuścił się na dół. Anusia stała przy czapce.

Długo jeszcze wędrowali po lesie. Nieraz potykali się o wystające korzenie i z niemalym trudem torowali sobie drogę przez gęste krze, aż wreszcie zobaczyli z góry wspaniałą, olbrzymi pałac, rzeźbiście oświetlony. A mieszkali tam zbójcy i to zbójcy ze wszystkich najgorsi.

Oni zaś nic o tym nie wiedzieli i śmiało weszli do pałacu. Zobaczyli tam bardzo pięknie pokoje. Aż się śniło dokoła od złota, srebra i diamentów. W środku nie było widać nikogo oprócz jednej starej kobiety. Była to matka zbójcka, która gotowała właśnie wieszczkę dla swoich dwunastu, krwawych synalków. Tak jak każdego dnia poszli kraść, mordować, podpalać i mieli wrócić niedługo.

Jan zapytał staruchę:

— Czybyście nie chcieli nas na noc przyjąć? Wędrujemy już cały dzień i jesteśmy bardzo zmęczeni.

Stara baba odrzekła, że przyjmie ich bardzo chętnie i że im zaraz da jeść. Widziała przecież, że Jan i Anusia piękne szatki mają na sobie, więc się jej wydało, że i pieniędzy im nie brak. Będzie tedy dobra gratka dla nienasyconych nigdy rabusiów.

Postawiła im jadło na stole, a sama zaczęła rozstawiać talerze i miski. Widząc to Jan zapytał:

— Cóż to matko na tyle osób nakrywacie?

— To dla moich synów — odpowiedziała — jest ich dwunastu, pracują w lesie przy drzewie, a skoro przyjdą będzie się im chciało jeść.

Jan domyślił się zaraz, że stara nie mówi prawdy, bo przecież prości drwale nie mogli mieszkać w takich pałacach i takich pokojach, ale nie obawiał się niczego.

Nie trwało długo, a oto rozwarły się drzwi i weszło dwunastu chłopów ze strasznymi, czarnymi gębami, jeden większy od drugiego.

Nic nie mówiąc zasiedli przy stole i z początku udawali, jak gdyby nie chcieli im nic złego zrobić. Pytali się tylko, skąd przyszli?

Jan zaś odrzekł:

— Nasza droga jest bardzo daleka.

— A dokąd idziecie?

— Gdzie oczy poniosą — w świat!

— Czego szukacie? Służby, roboty?

— Nie wiadomo jeszcze co się nam zdarzy.

— A możebyś się z nami stowarzyszył?

— Czemu nie — rzekł Jan — takim dobry jak i wy.

Oni zaśmieli się wszyscy i powiadają:

— My byle ciaracha nie przyjmujemy, ale jeśliś chwał to możesz z nami na zbój chodzić.

— A jakaż to jest ta chwacka próba? — zapytał Jan.

Wtedy wystąpił starszy zbójca, roześmiał się okrutnie, dźwignął w górę swój zakrwawiony miecz i zawołał:

— Ze mną trzeba paniczku w taniec!

Mocny Jan zerwał się od razu i jak zatoczył ojcowską szabelką, jak ją odwinął, tak zaraz ściął plugawy łeb najstarszego zbrojcy.

Wtedy oni rzucili się na niego wszyscy, ale on tak rąbał, tak ciął, że ich wszystkich zasiekł i tylko głowy potoczyły się na ziemię.

Kiedy zbójcka matka to zobaczyła, obłapiła Janka za kolana i z płaczem prosić zaczęła:

— Daruj przynajmniej mnie życie, jasny paniczu, bom nic nie winna. Co kazali tom robiła.

— Dawaj klucze od piwnicy, bo ci łeb zetnę jak twoim synom.

Dała mu klucz i zaprowadziła w to miejsce, gdzie zbrojcy rzucałi do ciemnego lochu pomordowanych ludzi.

Wziął tedy najstarszego i powiedział:

— Tyś najpierw zginął, chodź najpierwszy!

I rzucił go do gróbalni, a potem wszystkich po kolei. Spuścił też i starą do środka, zatrzasnął żelazne wrota, zamknął je na klucz, a klucz schował. Wyporzędzili pałac z siostrą, wymyli z krwi podłogę i położyli się spać. Dopiero nazajutrz zaczęli oglądać te wielkie dobra i majątki, które zostały po zbójcach w pałacu i na tym zeszło im kilka dni.

Jednego ranka powiedział mocny Jan do Anusi:

— Teraz tu zostaniemy już na zawsze.

— Nie powędrujemy dalej? — zapytała Anusia.

— Tymczasem nie, piękniejszego pałacu nie znajdziemy chyba na całym świecie. Grzech byłoby go rzucać! Teraz pójdę do lasu, bo trzeba przynieść świeżego mięsa, a ty tymczasem ugotuj mi obiad.

Chodził po lesie i zastrzelił kilka ptaków, a las był wielki i ciągnął się na siedem mil we wszystkie strony świata.

Tymczasem Anusia krzątała się przy swojej robocie, to tu, to tam. Kiedy zaś przechodziła koło piwnicy usłyszała jakieś szept, jakieś ciche rozmowy. Słucha jeszcze lepiej i wierzyć jej się nie chce: zbójcy z matką rozmawiają. Złękła się, ale pomyślała: przecież wrota zawarte, nic mi się złego stać nie może. I, jak to zawsze kobieta ciekawa, nie mogła wytrzymać i pyta:

— A toście żywi?

— Ano żywiśmy — odpowiedział najstarszy zbójca z dołu — matka cudownym zieleń posmarowała nasze przerażane ciała, przyłożyła głowy i otośmy wskrzeszeni do życia.

— Poczekajcie no tylko, kiedy mój brat wróci zaraz mu wszystko opowiem.

—Ej, Anusiu — odezwał się najmłodszy zbójca — nie bądź dla nas taka sroga.

I tak pięknie, tak słodko zaczął do niej przemawiać, że go już słuchać musiała.

— Cóż ty będziesz robić w tym ciemnym lesie — mówił — tu tylko same dzikie zwierzęta. Szkoda ciebie, szkoda. Szkoda, żeby marnie zginęła twoja młodość i uroda. Tobie trzeba do świata, do ludzi, a nie w wianeczku umierać.

— Pomóż nam — mówi znowu zbójce matka — to cię mój syn najmłodszy pojmie za żonę. Nabierzecie wszelkiego bogactwa, pojedziecie do wielkiego miasta, gdzie żyć można wesoło i bujnie.

I tak długo jej dogadywał, aż się serce siostry odwróciło od brata i przeszła na ich stronę. Nawet już sobie z tego nic nie robiła, że oni chcieli go zabić.

— Jakże go zgubić — przemówiła wreszcie — chyba mu klucz ukradnę i wypuszczę was z tej piwnicy.

— To by niewiele pomogło — odpowiedzieli zbójcy — bo on nam znowu głowy skosi. Trzeba inaczej wziąć się do dzieła. Ty go nie zgubisz, tylko on sam musi zginąć. Zachoruj i powiedz, że ci się mleka zajęczego zachciało. Tu są straszne knieje, a w nich różne zwierzęta, ale zająca tu nie uświadczy. On jeśli cię lubi, będzie szukał daleko i na próżno, potem drogi do domu nie znajdzie i pewno go jakieś bestie w lesie rozszarpia.

— Ano dobrze — odpowiedziała Anusia.

Dała im jeść, bo oni już z głodu trupy zaczęli ogryzać i położyła się do łóżka.

Kiedy mocny Jan wrócił z polowania, zobaczył, że siostra jakoś niezdrowa i jęczy żałośnie.

— O moja siostrzyczko co ci to?

— A mój braciszku niewiadomo co mi się stało, ale tak mi się wydaje, że tylko mleko zajęcze mogłoby mi pomóc. Żeby choć kropelkę zajęczego mleka!

Poszedł, niedaleko wędrował i wbrew temu, co mówili zbójcy, zobaczył, że stara zajęczyca siedzi, a dwa zajączki ją cyckają.

Złapał strzelbę, przyłożył się, a wtem zajęczyca odzywa się ludzkim głosem:

— Jaśnie panie, nie psuj strzelby, nie strzelaj, a co chcesz to ode mnie dostaniesz!

Zdziwił się, że zajęca do niego ludzkim głosem przemawia i wie, że on szlachcic.

— Chciałbym twojego mleka — woła.

— Ano chodź, możesz dostać, a mnie życie daruj.

Ustrzyknął trochę mleka do flaszki, a zajęczyca powiada jeszcze:

— Weź sobie jednego z moich synów, on ci będzie ku pomocy jak we dnie tak i w nocy.

Posłuchał tej rady, wziął zająca ze sobą, zamknął go w stodole i co tchu pobiegnął do siostry.

— No cóż przyniosłeś? — pyta Anusia.

— A niosę moja siostro.

Dał jej, wypita i mówi:

— O mój braciszku, zdaje mi się, że już zupełnie wyzdrowiała.

Kiedy on poszedł na polowanie, Anusia zerwała się z łóżka i leci do zbójców.

— Przyniosł? — zapytali.

— Przynióś!

— A to dopiero szczęście — powiadają — my tu tyle lat siedzi-
my, jeszcześmy zająca nie widzieli.

— No i cóż będziemy robić?

— Jeszcze raz się rozchoruj i powiedz, że ci się chce wilczego
mleka. Jak on pójdzie między wilki, a tu wilków dużo, to choć jed-
nego zastrzeli, inne go roztargają.

Tymczasem kiedy mocny Jan wracał do domu spotkał na środku
drogi lisa na strzał. Kiedy zaś złożył się do niego, ten przemówił jak
człowiek:

— Nie strzelaj do mnie jaśnie panie, tylko mnie zabierz ze sobą,
a będę ci pomocą jak we dnie tak i w nocy!

Zdziwił się znowu, ale zabrał go ze sobą i wróciwszy do domu
zamknął lisa w stodole wraz z zającem.

A siostra znowu choruje.

— Siostró miła, co ci to? — pyta mocny Jan.

— O mój braciszku, strasznie zasłabłam, ale wilcze mleko pach-
nie bardzo koło mnie i widzi mi się, że gdybym się go napiła, to bym
zaraz wyzdrowiała.

— O moja siostró, toć tu wilki są, dostałem jednego, to i drugiego
dostanę.

Poszedł i zaraz niedaleko spotkał wilczycę, którą ssaly młode.
Celuje do niej, a wilczyca mówi:

— Jaśnie panie nie psuj strzelby, co chcesz ode mnie dostaniesz,
a mnie życie daruj.

— Chcę mleka!

— Możesz sobie udoić, a weź też jednego mojego syna, bo on ci
będzie ku pomocy jak we dnie tak i w nocy!

Zabrał ze sobą wilka i zamknął go razem z tamtymi w stodole.

Siostra wypila mleko wilcze i powiada, że już wyzdrowiała. Jan
został w domu i dopiero na drugi dzień z samego rana poszedł na po-
lowanie. Chciał już do domu wrócić, kiedy zobaczył przed sobą
straszego smoka z sześcioma głowami. Strasznie się przeląkł i szyb-
ko wlaźł na wysoki dąb. Wtedy jednak tak sobie pomyślał:

„Niech się dzieje co chce, a ja ci smoku nie daruję. Może ty je-
steś jakimś czartem przeklętym, który wylaźł z piekła, więc nabije
flintę srebrnym, poświęcanym talarem i wygarnę do ciebie“.

Kiedy zmierzył się już do smoka, ten przemówił ludzkim głosem:

— Nie psuj strzelby, jaśnie panie, weź mnie ze sobą, a będziesz
mnie miał ku pomocy tak we dnie jak i w nocy.

Mocny Jan nabrał otuchy, zlął z dębu i przystąpił do smoka. Wtedy on dał mu jakąś piszczałkę i powiedział:

— Tę piszczałkę noś zawsze przy sobie, bo ci będzie niedługo potrzebna. Kiedy tylko na niej zagwizdasz, wtedy zając, wilk, lis i ja przybiegniemy ci z pomocą.

— To już wiesz o tamtych zwierzętach? — zapytał mocny Jan bardzo zdziwiony.

— A wiem... — odpowiedział smok.

I poszli do domu.

Tymczasem Anusia znowu naradzała się ze zbójami i ich matką, jak zgubić dobrego brata.

— Jeszcze mamy jeden sposób na niego. Jest tu w tym lesie młyn zaklęty i choć tam nikogo nie ma, ciągle się w nim miele. Kto tam wejdzie, to już z niego nie wyjdzie. Wielu z naszych poszło tam dla ciekawości, ale żaden nie wrócił. Połóż się więc raz jeszcze i udaj chorobę i powiedz mu, że w lesie jest młyn, a tobie się koniecznie stamtąd łakoci zachciało. Jeżeli do tego młyna pójdziesz, to już na pewno nie wróci.

Położyła się znowu do łóżka i jęczy strasznie.

Mocny Jan przyszedł i pyta:

— Cóż ci znowu siostrzyczko?

— Sama nie wiem, co się ze mną dzieje? Nie wiem, czy w gorączce, czy na jawie widziałam młyn w lesie, a ciasteczka z tego młyna ciągle koło mnie pachną i pachną.

— O, moja siostro kochana, prawda to jest, bo chociaż młyna nie widziałem, słyszałem w lesie huk jakiś straszny. Pójdę tam. Dostałem już jednego i drugiego, to ci łakotek przyniosę.

Poszedł tam i zobaczył młyn olbrzymi nad czarną strugą. Prędko obracało się zębate koło i mąka się męła, chociaż nigdzie nikogo nie było widać. Śmiało szedł do środka, do jednej i do drugiej izby, a tam stał stół nakryty, zastawiony dobrym jadłem i napitkiem. Usiadł, zjadł trochę, napił się wina i czeka, aby ktoś przyszedł, ale nikt się nie zjawił. Woła, ale nikt nie odpowiada. Posiedział jeszcze trochę i mówi:

— Cóż będę siedział, trzeba iść!

Włożył różnych przysmaków do torby, oszacował to wszystko i pieniądze położył na stole. Ale ledwo się ruszył ku drzwiom, wszystkie drzwi się zatrzasnęły i zrobiło się ciemno. Zlął się mocny Jan. Cóż teraz będzie? Kiedy się jednak opamiętał, przypomniał sobie

co piszczałce, wydobyl ją i zagwizdał. Skoro tylko zagrał na niej, zaczął, który jest najczujniejszy, obudził się i woła na tamte zwierzęta:

— Wstawajcie, bo nasz pan w niewoli!

— Prawda, że w niewoli — odpowiedział smok — i to w dużej

Polecili wszyscy i wpadli do tego mlyna. Jak smok, wilk i lis zaczęli tłuc drzwi, tak i potlukli, a on stamtąd wyszedł. Wrócił do domu i dał siostrze obiecane przysmaki z zaklętego mlyna.

Ona zjadła wszystko i powiada:

— O mój braciszku, teraz tom chyba na zawsze wyzdrowiała.

Potem kazała mu iść spać, wyciągnęła klucz od piwnicy, poleciała do zbójców i mówi:

— Przyniósł, ale chodźcie teraz, on śpi twardo, to go zabijecie.

— Ej, nie pójdziemy — odpowiedział najstarszy — skoro on takie miejsca obszedł i nie zginął, to my mu też nic nie zrobimy. Nie ma innej rady tylko musisz go prosić i molestować, żeby ci powiedział w czym jest jego siła.

— Czy on mi, aby powie?

— Byłoby bardzo dziwne, gdyby kobieta nie umiała wydobyc tajemnicy od mężczyzny, który ją lubi.

— A potem co?

— Potem postaraj się mu zabrać to, w czym ma siłę i do nas przybiegnij, a resztę już my zrobimy.

Poszła zła siostra do dobrego brata, obudziła go, zaczęła doń przymilać się i prosić:

— Powiedz, o mój braciszku, w czym jest twoja siła?

— Tego ci powiedzieć nie mogę, bo nic ci po tym!

— Widzisz, czasami tak się zaturbuje, w czym ty masz siłę, że aż mi się słabo robi.

Ale on nie chciał wyjawic tajemnicy. Ona prosi i prosi, tak go molestowała, że dla świętego spokoju rzekł:

— W tej szabli, którą mi ojciec dał przed śmiercią.

Wtedy ona powiada:

— Mój braciszku kochany takiś czarny, takiś brudny, wykap się!

I zrobiła mu kąpiel, bo chciała, żeby tylko szablę od siebie odłożył.

A kiedy ją odpiął, prędko szablę złapała, wyskoczyła z pokoju, zamknęła drzwi i poczęła krzyczeć na cały głos:

— Teraz on już nasz, hej zbójcy bywajcie!

Kiedy zbójcy wpadli z wielkim wrzaskiem, poznał Jan, że im nie poradzi. Teraz był tak słaby jak inni ludzie. A tamci pokpiwali sobie z niego i pokazywali mu szablę z daleka.

— Tu jest twoja siła, tą szerpentyną głowę ci zetniemy za naszą krzywdę. Już się pożegnaj ze światem.

— Nie dajcie mi umierać jak jakiemu bydłciu. Pozwólcie trochę czasu, abym się mógł pomodlić, grzechów pożałować.

— Módl się — odpowiedział najstarszy zbójca — i tak zginiesz.

Tylko siostra się sprzeciwiała:

— Róbcie co macie robić, nie rozprawiajcie z nim długo.

— Już się go nie boimy, niech się modli.

Pomodlił się i znowu tak mówi:

— Pozwólcie mi jeszcze przed śmiercią zagrać na mojej piszczałce psalm pokutny.

Podali mu piszczałkę.

A siostra znowuż swoje:

— Nie róbcie tego, czego on chce, bo nie wiadomo co z tego wyjdzie.

Zagrał Jan na piszczałce i znowuż obudził się zając i woła na tamte zwierzęta:

— Wstawajcie, bo nasz pan w biedzie!

— Prawda, że w biedzie — odpowiedział smok — i to w dużej. I wierne zwierzęta skoczyły mocnemu Janowi z pomocą.

Jakże się przestraszyli zbójcy, kiedy koło swego pana stanęli jak wojsko: zając, lis, wilk i smok olbrzymi. Teraz mocny Jan był znowuż nad zbójcami górą, a zwierzęta złożyły sąd nad nimi.

Ale kogóż tu zrobić sędzią?

Wnet zgodzili się wszyscy, że zając ma ogłosić wyrok w tej sprawie wedle swojego zajęczego sumienia.

A on tak powiedział:

— Wy zbójcy toście z piekła rodem, a wasza mać zaporą od piekła — to jedno i jednaka będzie wasza kara. Niechaj smok, który ma siłę największą, chwyci jednego zbójcę po drugim i niech ich nad lasem ciśnie tak mocno, żeby spadli siedem mil stąd. Tym sposobem zbójcy nim jeszcze na ziemię spadną w powietrzu ducha stracą i śmierć będą mieli lekką.

Smok wziął się zaraz do roboty i jeden zbójca leciał po drugim w górę, a na ostatku poleciała ich matka.

Potem zając przemówił do złej siostry:

— Tyś siostrze ze wszystkich najgorsza, tobie się srogie należą męki. Powieście ją do góry nogami i niech tak długo wisi aż umrze.

A kiedy mocny Jan zaczął za nią bardzo prosić zając dodał jeszcze:

— Postawcie pod nią kotlik, a skoro pełen kotlik lez napłacze, przyjdziemy i wyswobodzimy ją.

Potem opuścili pałac wspaniały i szli daleko, bardzo daleko, aż zaszli do jednego wielkiego miasta.

Dziwne im się wydało to miasto. Piękne było, wspaniałe, ale całe pokryte żałobą. Ulice wysłane czarnym sukniem, domy w żałobnych zasłonach. Pałac królewski jak katafalk z płonącymi gromnicami, a na wszystkich wieżach zatknięte czarne chorągwie.

Kiedy mocny Jan szedł przez miasto, wszyscy uciekali, bojąc się zwierząt, ale on mówił:

— Nie bójcie się, bo one zupełnie potulne. Powiedźcie lepiej dlaczego u was taka żałoba?

— Tu koło naszego miasta żyje smok wielki jak skała ze trzydziestu głowami, trzydziestu ogonami i dwoma skrzydłami. Ten smok musi dostać co roku jedną pannę na pożarcie, bo inaczej w całym kraju wyschnęłaby woda i ludzie pomarli z pragnienia. W tym roku właśnie padł los na ostatnią córkę królewską i dlatego taka wielka u nas żałoba. Król kazał wprawdzie zwołać najmądrzejszych doktorów, najbardziej uczonych mędrców i najdzielniejszych rycerzy, ale nikt nie umie nic poradzić, chociaż król obiecał, że kto smoka zabije i królownę wybawi, ten ją samą za żonę dostanie i w posagu otrzyma połowę królestwa.

Kiedy tak rozmawiali, rozległ się wielki płacz w całym mieście, bo już królownę wieźli smokowi na pożarcie. Z daleka widać było jak po czarnej drodze pędziła pozłocista karetka w sześć białych koni zaprzężona.

A mocny Jan mówi do swoich zwierząt:

— No cóż, poradzimy smokowi, który ma trzydzieści głów, trzydzieści ogonów i dwa skrzydła?

A one odpowiedziały:

— Poradzimy!

Od razu polecili prędko pod górę aż do smoczey jamy, koło której stała mała kapliczka.

W tej kapliczce modliła się królowna po raz ostatni przed śmiercią. Wyszła stamtąd bledziuchna, łzami zalana, ledwo trzymająca

się na nogach. Jakże się zdziwiła, kiedy zobaczyła młodzieńca o pięknej postaci, około niego zaś dzikie zwierzęta.

— Cóż ty tu robisz, młodzieniaszku? — zawołała królowna — Uciekaj jak najprędzej z tego nieszczęśliwego miejsca, bom ja tu na śmierć przysła i tybys mógł razem ze mną zginąć.

— Najjaśniejsza królowno — odpowiedział mocny Jan — jam jest ten, który ciebie od śmierci wybawi.

Nie mogła w to uwierzyć, ale oto już nadeszła godzina, w której smok się ukazywał.

Zadrżała ziemia i ukazało się trzydzieści głów straszliwych i trzydzieści ogonów ze wściekłością uderzało po ziemi.

A kiedy smok zobaczył młodego rycerza, zawołał:

— O mocny Janie! tyś jeszcze w matczynym żywocie był, kiedym wiedział, że z tobą walczyć będę. My się tu wnet spróbujemy!

Zaraz rzuciły się na siebie dwa smoki. I choć ten miał tylko sześć głów, a tamten trzydzieści, srodze się jednak ze sobą szamotały. Skoczył i mocny Jan. Co utnie szablą, to jedna odpada głowa. Ale od jadowitej posoki znowu się zrastały i jeszcze bardziej biją. Wtedy rzuciły się wszystkie zwierzęta i zaczęły na bok odnosić to, co odcięte zostało. Smok zaczął już słabnąć i woła:

— Pardon!

Ale zwierzęta dopowiedziały:

— Nie pardon, ino od razu.

I tak go wszyscy razem zabili. Mocny Jan wyciął z każdej głowy po języku, po jednej spodniej brwi i schował to wszystko do torby.

Teraz królowna była już wybawiona. Śmiała się, w rączki klaskała, a potem pyta:

— A czegoż żądać będziesz, rycerzu, za to, czego dokonałeś?

— Ty wiesz jaka jest obietnica twojego ojca. Czy chcesz mnie zaślubić?

— Nie raz, a dziesięć razy! — odpowiedziała królowna.

I zdjęła z palca pierścień złoty i dała mu go. Potem usiedli koło siebie i rozmawiali o swoim szczęściu.

Kiedy tak gwarzyli, usnęli oboje, on z wielkiego zmęczenia, ona, bo wiele strachu wycierpiała.

Czuwały koło nich zwierzęta: zając, lis, wilk i smok. Ale wreszcie lis powiada:

— Teraz nasz pan ma wszystko, czego mu potrzeba. Chodźmy poweselić się trochę do lasu, bo jemu nic złego stać się nie może.

Ale zając żadną miarą nie chciał się zgodzić.

— Niech chociaż jeden z nas zostanie na straży!

Został wilk. Pilnował ich jakiś czas, ale potem i jego sen zmorzył.

Tymczasem król, kiedy się wszystko uciszyło, wysłał swojego najmilszego sługę, żeby zobaczył co się stało. A ten sługa to był człowiek niegodziwy i zazdrosny. Przyjechał do smoczej jamy i bardzo zdziwiony zobaczył trzydzieści głów odrąbanych, a obok królownę i mocnego Jana śpiących koło siebie. Niewiele myśląc wyciągnął szablę i odciął mu głowę, królownę zaś obudził i tak jej powiedział:

— Teraz, królowno, musisz mi przysiąc, że mnie za męża weźmiesz i powiesz wszędzie, że smok z mojej zginął ręki, bo inaczej zaraz ci tu życie odbiorę.

Cóż miała zrobić biedaczka? Biedna, zestrachana, nie chciała z jednej śmierci do drugiej iść, więc przysięgła na honor królewski, że o tym, co się stało, nikomu nie powie. Sługa wziął ze sobą smocze głowy, wsiedli do kolasy i wrócili razem do królewskiego pałacu. Wielka tam była uciecha z wybawienia królowny, tylko ona jedną więcej płakała niż się śmiała. A kiedy ją pytali, dlaczego płacze, powiedziała, że z wielkiej radości, bo przysięgi złamać nie chciała. Był tam też taki uczony kos, któremu się od gwizdania i śpiewania dziób nigdy nie zamykał, ale od tej chwili ptak nie wydał z siebie żadnego głosu.

Sługa zaś opowiadał wszystkim o swojej walce ze smokiem i na dowód pokazywał trzydzieści łbów. Wszyscy je oglądali i dziwili się, skąd takiego chudopacholka stać było na tyle odwagi. Nie mogli tylko zrozumieć, dlaczego ten smok nie miał ani jednego języka.

Tymczasem zwierzęta wróciły z lasu i zobaczyły swojego pana z odrąbaną głową. Zaraz skrzyczały wilka, dlaczego tak źle wartował. Smok zaczął go bić, a lis powiada:

— Zamiast się klócić i bić, radźmy lepiej, co robić?

Radzili i nic nie mogli uradzić, aż wreszcie zając powiada:

— Tu nic innego nie pomoże tylko to ziele, którym zbójcecka matka wskrzesiła synów.

— Ale któż tam pójdzie — zapytał wilk — to jest bardzo daleko.

Niedaleko od nich płynęła szeroka rzeka. Zwierzęta uradziły, że kto tę rzekę przeskoczy, ten pójdzie do zbójckiego pałacu po cudowne ziele.

Najprzód spróbował smok, ale nie doskoczył brzegu i musiał się wrócić. I lis i wilk nie dosięgli także drugiej strony i przyplynieł z powrotem, tylko zając jednym dobrym susem hycnął na tamten brzeg i powiedział do nich:

— To ja z was najslabszy muszę iść w tak daleką drogę. Tam strzelcy będą mi chcieli życie odebrać, tam dzikie zwierzęta i drapieżne ptaki będą czyhać na mnie, ale zdam się na wolę boską i pójdę.

I poszedł. Po długiej wędrówce dostał się nareszcie do zbójckiego pałacu i znalazł ziele, którym zbójcka matka przywróciła życie synom. Znalazł też i Anusię, ale ona dawno już nie żyła i tylko pół kotlika łez napłakała. Wracał pędem przez wiele dni i tygodni, aż wreszcie doleciał do tego miejsca, gdzie leżał mocny Jan z odrąbaną głową. Wszystkie zwierzęta czuwały koło niego, ale najlepiej wartował wilk, tak wartował, że aż się trząsał. Wzięli zaraz cudowne ziele, smok pocierał, a wilk przykładał i tak przyłożył głowę, że ręce były na przodzie, a głowa w tyle. Mocny Jan wstał, przeciągnął się i tak gada:

— Tak mi się dobrze spało, że mi się na opak wszystko poobracało.

Smok wziął tedy szablę i uciął mu znowu głowę, potem wilk tylko trzymał, a smok pocierał i przykładał i dobrze przyłożył.

Zwierzęta opowiedziały mu wszystko co się stało. Potem poszli do miasta, a w mieście dudni muzyka, wszędzie białe chorągwie i zielone wieńce. Poszli do jednej gospody, a mocny Jan pyta karczmarza:

— Cóż to u was dzisiaj za święto?

— A to sześć miesięcy i sześć niedziel upłynęło od tego czasu, kiedy nasza królowna została wybawiona od smoka. Zabił go siuga królewski i dzisiaj właśnie będzie ich wesele. Ale są trzy sprawy, których nikt nie może zrozumieć. Po pierwsze, że ten smok nie miał języków i spodnich brwi, po drugie, że królowna nie była ani jednego dnia wesoła, tylko wciąż płacze i płacze, po trzecie, że uczony kos, który dotąd cały dwór swoim gwizdaniem bawił, od tego czasu ani dzioba nie otworzył. I nawet nie wiemy, kiedy się ślub odbędzie. Najpierw miał być o dziesiątej rano, potem go królowna do jedenastej godziny odłożyła, a o jedenastej do trzeciej po południu.

Mocny Jan usiadł za stołem i powiada do karczmarza:

— Kiedy u króla na zamku jest wesele, to muszą tam mieć wiele dobrego do jedzenia i picia. Żeby tak kogo do nich posłać, to by się nam coś dostało.

— Nie plećcie, człowieku, głupstw — odpowiedział karczmarz — skądżeby oni tam mieli coś z pałacu posyłać. My dla nich za małą ludzie, tam sami królowie i księżęta za stołem siadają.

— A ja mogę się o nie wiem co założyć — zawołał mocny Jan — że nam nie odmówią!

Zawołał zając i wsadził mu w pyszczek kartkę, na której napisał, że prosi o kapkę i kruszynkę z królewskiego stołu. A tę kartkę zapieczętował pieczęcią, która była na złotym pierścieniu.

Kiedy zając przyleciał do pałacu, wpadł do biesiadnego stołu i położył karteczkę koło królowny. Ona zobaczyła na pieczęci znak swego pierścienia i otworzyła pismo. Kiedy zaczęła je czytać zemdlała z wielkiej radości, a kos zaczął śpiewać:

— Na wszystkich zdrajców zły koniec przyjdzie.

Król dźwignął córkę i pyta co się jej stało, a ona mówi:

— Tak się cieszę z mojego wesela!

Tylko sługa królewski zbladł i ledwo siedział za stołem, a wszyscy patrzyli na niego.

Królowna kazała dać zającowi tyle jadła i napitku, ile tylko mógł udźwigać. I posłała także żołnierza, aby patrzył, dokąd zając poleciał. Ale zając tak szybko uciekał, tak przeskakiwał groble i płoty, że zaraz stracił mu się z oczu i przyleciał do karczmy. Wystawili na stół wszystko, co królowna dała i zaczęli popijać a zjadać smacznie. Karczmarz bardzo się dziwił, a Jan rzekł:

— Teraz poszlemy lisa, on jest mocniejszy i więcej przyniesie.

I lis pobiegł na zamek. I jego poznała królowna i dała mu tyle, ile uradził.

Trzeciego posłał wilka, a nareszcie i smoka. Kiedy ten zjawił się w pałacu, królowna prosiła ojca, żeby posłał za nim najszybszego biegacza. I dopiero ten biegacz trzymając się śladów smoka zobaczył nareszcie, do której wpadł on karczmy.

Teraz królowna kazała zaprząć do złotej karety sześć koni i jechała po swojego najmilszego. Ojcu zaś powiedziała, że przywiezie jeszcze jednego gościa, który godzien jest być na jej weselu.

Wnet złota kareta stanęła przed karczmą. Z wielką radością przywitali się i młody rycerz jechał razem z królowną do zamku. Zając wtarabanił się na dyszel, smok końmi powoził, wilk w karecie przy nich, a lis z tyłu tam gdzie lokaj siada. Konie leciały jak wicher, bo jeszcze takiego woźnicy nie miały, takich gości nie wiozły.

Zdumieli się wszyscy, kiedy królowna weszła razem z nieznanym nikomu młodzieńcem. On się skłonił wszystkim i śmiało przemówił do sługi, który miał zostać królewskim zięciem:

— Powiedz mi, co się ma stać z takim, który króla ołgiwa, a niewinnych ludzi potajemnie morduje?

— Trzeba go — odpowiedział sługa — rozszarpać żelaznymi bro-
nami na rozstajnych drogach.

— To twoja kara — zawołał mocny Jan — boś ty tak uczynił.
Smoka ja zabiłem, a tyś mi śpiącemu głowę odrąbał.

— Jakiż masz dowód na to — zawołał ze śmiechem szyderczym
przewrotny człowiek — ty, który z odrąbaną głową chodzisz po
świecie, bo ja mam łby smocze, co je moja straciła ręka.

— Jeśliś ty zabił smoka, to powiedz, gdzie są jego języki i spod-
nie brwi?

Na to nic odpowiedzieć nie umiał, a mocny Jan wyciągnął z tor-
by to, co smoczym łbom brakowało i wszyscy poznali, że mówi praw-
dę. Wówczas król wskazał na swojego sługę i rzekł:

— Weźcie go i oddajcie w ręce kata. Niech się stanie z nim tak,
jak on siebie sam osądził!

Niedługo potem odbyło się drugie jeszcze huczniejsze wesele.
Wszyscy się cieszyli i kos ciągle gwizdał.

A kiedy mocny Jan został królewskim zięciem i kiedy zaszedł już
tak wysoko, że wyżej nie można, kiedy był bezpieczny, mocny i bo-
gaty, przyszły do niego owe zwierzęta: smok, lis, wilk i zając i tak
powiedziały:

— Myśmy tobie pomagały przez długi czas w każdej trwodze,
w każdym nieszczęściu. Byłyśmy zawsze wierne i zawsze gotowe tak
w dzień jak i w nocy.

— To prawda — powiedział młodzieniec — i dlatego moje serce
i wszystko, co posiadam, jest dla was.

— A więc pomóż nam i zrób to, czego będziemy żądać.

— Jakżebym mógł wam czegoś odmówić?

A owe zwierzęta były ludźmi, którzy w takiej właśnie postaci
musieli pokutować tak długo, aż wysłużą sobie zbawienie.

I powiedziały do niego:

— Weź teraz swoją szablę ostrą i zetnij nam głowy!

— Tego ja żadnym sposobem uczynić nie mogę — odpowiedział
mocny Jan — wyście mi tyle razy ratowały życie i zdrowie, a jabym
miał was ściąć za to. Nie, tego zrobić nie mogę.

Ale zając odpowiedział:

— Jeśli chcesz nam dopomóc, to musisz ściąć nasze głowy, bo
inaczej nie możemy być zbawieni.

Kiedy mocny Jan z ciężkim sercem przyrzekł to uczynić, zając
powiedział jeszcze:

— Skoro nam głowy zetniesz, spal nasze ciała, a popiół zasiej w ziemi. Z tego popiołu wyrosną cztery kwitnące drzewa. Te spal znowu i znowu zasiej popiół w ziemi. A jeśli wyjdzie zeń gwiazd dwanaście, to będzie znak, że nasza pokuta się skończyła i żeśmy zostali zbawieni.

Mocny Jan zrobił tak, jak mu zwierzęta kazały. Pościął im głowy, spalił ich ciała, spalił drzewa kwitnące, które z ich prochów wyrosły i zasiał znowu popiół w ziemi. I zeszło dwanaście jasnych gwiazd. Jedna była zajęcza, dwie lisie, trzy wilcze, a sześć było smoczyczych. To był znak, że skończyła się pokuta zwierząt.

I bajka skończyła się także.



CUDOWNY KOGUT

Jednej kobiecie bardzo się źle na świecie wiodło. Jak się bieda uczepiła, to i kijem jej odegnać nie było można. Chodziła od chaty do chaty po proszonym chlebie, ale zwykle odprawiano ją z niczym, mówiąc:

— Niech Pan Bóg opatrzy . . .

Zdarzyło się jednak raz, że jakaś litościwa osoba sama niebogata dała babie ziarnko grochu, skoro na nic lepszego zdobyć się nie mogła.

Żebraczka tknięta dobrym przeczuciem zasadziła to ziarnko na wczesną wiosnę, skoro tylko śniegi stajały, bo kto sieje groch w marcu, będzie go warzył w garncu, a kto w maju, to w jajku. Zaraz na wiosnę z ziarnka wyrosły bujne strączki i wily się po tyczce w górę, wily się coraz wyżej i wyżej, aż nareszcie dosięgły samego nieba. Baba ciekawa jak też jest tam za chmurami w raju, chwyciła się latorośli i czepiając się rękoma gałązek poczęła się wspinać coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie dotarła do królestwa niebieskiego. Zaraz w przedśionku rajskim spotkała świętego Piotra i skłoniła mu się pokornie. Najstarszy apostoł nic nie powiedział, tylko uśmiechnął się do niej, jakby babinę dobrze znał, dał jej jajko i złoty kubek, przeżegnał i dopiero kazał jej na świat wrócić, mówiąc, że z kubka będzie miała zawsze tyle napoju, ile tylko zapragnie.

Gdy się napowrót po tyczce i gałązkach grochu na ziemię opuściła, spostrzegła, że z jajka, które pod ciepłą pachą trzymała, wyłaził się śliczny kogut. Zaraz babce powiedział dzień dobry, w chacie rażno się począł uwijać i chociaż nie miał zegara wiedział kiedy zapaść i ludzi budzić do roboty.

Kubek okazał się również darem cudownym. Ile razy babka zażądała, napełniał się aż po wierzch mlekiem, winem, wódką lub jakimkolwiek trunkiem. Bardzo była zadowolona, ale nigdy darów tych nie nadużywała.

Wkrótce o cudownym kubku dowiedziała się wieś cała, dowiedział się i sam pan dziedzic. Posłał więc swego pokojowca, ażeby babę razem z kubkiem do dworu zaprosić. Ostrożna kobiecina nie dała się jednak wywieść w pole i do pana pójść nie chciała.

Wówczas dziedzic nakazał pokojowcowi, aby kubek wykradł fortelem.

Przebiegły dworak wpadł pewnego rana do chałupy i zaczął wołać przerażonym głosem:

— Pali się we wsi, gore, gore!

Po czym niby to wybiegł na dwór, lecz naprawdę ukrył się za drzwiami.

Przerażona babułka również wypadła z izby, złudzona ognistą łuną zachodzącego słońca. Skoro jednak zobaczyła, że żadnego pożaru nie ma i do domu wróciła, nie było już ani kubka, ani pokojowca.

Dziedzic wypróbował niebawem obfitość cudownego naczynia, które starczyło za najteższy gąsiorek, ba — okazało się po prostu beczką bez dna. Zadowolony szlachcic pospraszal do siebie wszystkich sąsiadów i najrozmaitszych gości, dobierając przy tym najteższych biboszków i opojów. I tak rozpoczęły się nieustające biesiady, hulanki i bankiety, zaczęła się śmiertelna pijatyka.

Już przy śniadaniu nie gardzono gorzałeczką. Bul-bul i z cudownego kubka lały się różne piołunówki, anyżówki, goździkówki, ratafie, krambambule i wódki gdańskie, które zrazu skromnie przegryzano pierniczkiem. A potem pito na umór przy obiedzie. Bul-bul i z cudownego kubka tryskały wina klarowne i wystale: muszkatele, małmazje, burgundy, madery i alikanty, ale przede wszystkim płynął węgryzn, bo nie masz wina nad węgryzna.

Przestrzegano sumiennie wszystkich obrzędów pijaekich. Witano gości kielichem i pito na pożegnanie strzemiennego tak gorliwie, że ten kto miał już wyjechać, walił się z nóg. Przy obiedzie zaczynało się od toastów, które stawały się coraz bardziej osobliwe. Kiedy ochota wzmagała się, rzęsiście i coraz większe krążyły kielichy, wreszcie podawano półgarncówki. Trudno się było wymówić od picia. Wprawna służba czaiła się na każdym miejscu i nie podobna było uniknąć dolewki. Wprowadzano najwymyślniejsze sposoby pijatyki. Wśród biesiadników krążyły kulawki i naczynia najdziwniejszych

kształtów. Pito z trzewików panięskich i butów dygnitarskich. Niektórzy z gości rozjuszeni nadmiarem trunku zwadą i pojedynkiem kończyli zabawę. Już pośród nocy, a zwłaszcza nad ranem dwór cały wyglądał jak pobojowisko pijackie. Nie wielu tylko zdołała służba zanieść do stancji, reszta leżała pod stołem i koło stołu. Inni pijani do nieprzytomności rozciągnęli się w błocie i psy im gęby pilnowały.

Na drugi dzień po jakim takim wytrzeźwieniu zabawa rozpoczęła się na nowo. Mniej wytrzymali wymykali się z cicha, nieraz bez szabli, czapki i konia. Przybywali za to nowi goście, a zawzięci bibosze w dalszym ciągu bez zawodu dotrzymywali kompanii. I byłyby się te pijackie ochoty ciągnęły nie wiadomo dokąd, gdyby nie dzielny kogucik.

Jednego razu nastroszył piórka, dziób gniewnie nastawił i rzekł:

— Puść mnie babko, pójdę do pana odebrać cudowny kubek!

— A idź kochany kurasku — odpowiedziała babina.

Kiedy w najlepsze toczyła się zabawa, kogut frunął na płot, zatrzepotał skrzydłami i zawołał przed otwartymi oknami:

— Kukuryku, kukuryku! pijecie nie z pańskiego, ale ze skradzionego babce kubka!

Pan usłyszawszy zuchwałe pianie bardzo się rozgniewał, wysłał hajduków, żeby złapali koguta i wrzucili go do głębokiej na podwórzu studni. Niewiele to jednak pomogło; dzielny kogucik jak zaczął pić wodę, tak calutką wypił, aż w studni zrobiło się sucho, a potem znowu przyleciał pod okno i zaczął wołać:

— Kukuryku, kukuryku, ze skradzionego babce kubka!

Zdziwiony i rozgniewany dziedzic kazał znowu łapać koguta i wrzucić go do rozpalonego pieca, w którym ogniste buchały płomienie. Ale kogut się nie spalił, bo wodę w studni wypitą wypuścił z siebie i zalał ogień. Po niedługim czasie siedział znowu przed oknem i piał swoje.

Dziedzic doprowadzony do ostatniej wściekłości, spróbował nowego sposobu. Kazał zamknąć koguta do skrzyni, w której chował dukaty, spodziewając się, że przywalony ciężkim wiekiem i powietrza pozbawiony udusić się musi. Kiedy jednak po długim czasie podniesiono pokrywę, kogut rażno wyskoczył, a pieniędzy wcale nie było, bo wszystkie co do jednego połknął. Frunął na płot i zapał po staremu:

—Kukuryku, kukuryku, pijecie nie z pańskiego, ale ze skradzionego babce kubka!



Pan widząc, że na przeklętego zwierzaka żadnego nie ma sposobu kazał go jeszcze raz schwytać, gardło mu poderżnąć, oskubać, upiec na rożnie i podać na stół.

Sam osobiście zjadł go z wielkim smakiem, aż tu nagle w pańskim brzuchu odzywa się głos koguci:

— Kukuryku, ze skradzionego babce kubka!

I to pianie wciąż się powtarzało, nie było sposobu go zagłuszyć. A co pan zjadł, albo wypił musiał oddać z powrotem, bo kogut niczego do żołądka nie dopuszczał i ciągle swoje wrzeszczał.

Wezwany lekarz zapisał dziedzicowi środek na wymioty, aby koguta napowrót przez gardło wyrzucić. I oto niebawem wyskoczył żywy i zdrowy, ze lśniącymi piórkami i dziobem zuchwałym. Zaraz też panu zapowiedział, że tak długo nie da mu spokoju, dopóki nie zwróci babce skradzionego kubka.

Nie było innej rady, dziedzic musiał oddać z żalem cudowne naczynie. Kogut wrócił do babki wielce zadowolony, że postawił na swoim. Oddał jej kubek, a potem kazał białą płachtę na podłodze rozścielić. Stał wówczas po środku i zaczął sypać dukatami, aż wysypał wszystko, co połknął w pańskiej skrzyni.

Przez długie lata mieszkali ze sobą razem i używali wszystkiego dobrego, niby jacyś szlachcice.

P Y C I N A

Był we wsi jeden chłop, co się nazywał Pyta i miał żonę Pycinę, która mu się okropnie rozpiła. W żaden sposób nie mógł dać sobie z nią rady. Gdzie niebądź poszedł Pyta czy z siekierą do boru, czy z cepami na pańszczyznę, to Pycina zamiast siedzieć w domu i wziąć się do jakiejś roboty, zaraz leciała do karczmy i już przez cały dzień była pijana. Ciągłe mu się jednak zdawało, że prędzej, czy później ten paskudny nałóg skończy się i kobieta weźmie się do rzetelnej pracy. Miał Pyta kawał zasianego żyta. Kiedy przyszedł czas zbierania zboża, a chłop codziennie wychodził na pańszczyznę, nakazał swojej kobiecie:

— Moja kochana, to już ty dzisiaj zacznij koniecznie żąć to żyto.

— A dobrze — odpowiedziała Pycina.

Tylko co chłop wyszedł, a ona zaraz poleciała do karczmy, spiła się jak nieboskie stworzenie, położyła się pod miedzą i cały dzień przespała. Wieczorem dopiero trochę wytrzeźwiałszy, zawlokła się do domu.

Pyta przyszedł strudzony i zaraz zapytał:

— Żęłaś dzisiaj?

— Niewiele zostało do zagona — odpowiedziała pijaczka.

Na drugi dzień to samo i na trzeci znowu chłop się dowiadywał:

— Dużoś tam tego żyta użęła?

— Chyba już do końca wiele nie brakuje... — pochwalila się Pycina.

Gospodarz pokręcił głową i zauważył:

— To z ciebie chwacka żniwiarka, jeżeli tak prędko odwaliłaś dużą robotę!

Trochę jej jednak nie dowierzał i na drugi dzień posłał parobka, żeby zobaczył, ile tego żyta jeszcze zostało. Parobek poszedł i zobaczył, że wszystko żyto stoi nieruszone. Przyszedł do gospodarza i powiada, że tak i tak.

Na drugi dzień chłop wysłał parobka na pańszczyznę, sam został w domu, a kobiecie kazał by poszła żać. Pycina jak zwykle poleciała prosto do karczmy i kiedy się jej tylko dobrze zagrzał czubek, ułożyła się pod miedzą i zasnęła. Na wieczór chłop poszedł do żyta i patrzy: rzeczywiście zboże stoi nietknięte, kobieta gdzieś śpi i choć chrapała przeraźliwie, ledwo ją znalazł pod miedzą.

„Poczekaj no — myśli sobie Pyta — ty szelmo, kiedyś ty takie ladaco, pokażę ci, gdzie raki zimują“.

Poszedł do domu, wziął nożyce, stolarski klej i dużo pierza. Obciął jej włosy do goluteńskiej pałki, a potem oblepił głowę klejem stolarskim, po wierzchu zaś nie żałował pierza.

Niedługo zrobiło się ciemno, kobieta wytrzeźwiała, ale kiedy się obudziła zaczęła się macać po głowie. Co takiego? Włosów wcale nie ma, tylko na gołym łbie pierze rośnie. I pomyślała sobie:

„Czy ja Pycina, czy nie Pycina? Ej musi ja nie Pycina“.

Nie mogła w żaden sposób wymiarkować i myśli znowu:

„Pójdę ja do Pyty i spytam się czy Pycina w domu? Jeżeli jej nie ma, to ja jestem Pycina, a jeżeli jest to musi być ktoś inny“.

Pobiegła szybko, zaczęła pukać do okiennicy i woła:

— Pyta! Pyta! Słuchajcie no Pyta!

Pies zaczął w izbie szczekać i Pyta się odezwał:

— A niechże cię tam licho porwie! A kto tam? A czego?

— Pyta, jest twoja kobieta w domu?

— A gdzieżby miała po nocy chodzić, a toć leży i śpi. Dobra jest, grzeczna, nie pijaczka.

„O — pomyślała baba — to ja nie Pycina, to ja widzę kto inny“.

Odeszła więc spod okna i mocno strapiona ruszyła przed siebie, w świat.

Idzie, idzie, odeszła już kawał od domu, aż tu z boru wysunęli się złodzieje, co mieli kraść we wsi.

— Koledzy — zawołała do nich — jak się macie? Dokąd to panowie idziecie?

Przełękli się najpierw na widok takiego straszzydła, a potem pomyśleli sobie, że może przydałaby się im na co.

— Tak sobie idziemy w świat... — odpowiedzieli.

— To weźcie mnie panowie ze sobą, bo ja także idę w świat.

— A umiesz ty kraść?

— Chyba potrafię . . .

— Widzisz — rzekł najstarszy złodziej — kraść trzeba mądrze, bo kto z głupim kradnie, ten do sieci wpadnie.

Opowiedziała im całą swoją historię, że była Pycina, a teraz nie jest Pyciną, tylko nie wiadomo kim.

— A to wam trzeba będzie dużo wódki dawać — zatroszczyli się złodzieje.

— Nie trapię się o nic, zobaczycie, że sprawię się dobrze.

Okazało się jednak, że głupia Pycina i do złodziejskiego fachu wcale się nie nadawała.

Kiedy ją wpuścili do jednej komory, śmiało sobie poczyniała i brała, co tylko nawinęło się pod rękę. Wreszcie namacała chłopą, który tam spał i poczęła wołać na złodziei.

— Koledzy! Chcecie świńskich poćciów to tu są, a tłuste a wielkie!

— Dawaj, dawaj!

Kiedy jednak chłop poczuł, że go ktoś maca, zerwał się i począł uciekać z krzykiem. Zrobił się rwetes w całym obejściu. Pycina też dokazywała i wołała jak nieprzytomna. Złodziejaszki pomiarkowali, że źle, więc zawczasu uciekli. Kiedy się jednak obejrzeni, baba im znowu siedziała na karku.

— A cóż my z nią zrobimy? — mówił jeden do drugiego. — Trzeba się jakoś baby pozbyć! Ona się na nic nie zda, jest przygłupia i ma do złodziejstwa ciężką rękę.

Właśnie przechodzili koło trupiarni i przyszło im do głowy, żeby Pycinę tutaj zostawić. Głupią namówić to przecież fraszka. Zaprowadzili ją tedy bez trudu do kostnicy. Było tutaj tak strasznie, że nawet złodziejskie serca zadygotały. W ciemnej kostnicy leżały kości i trupie czaszki. Wiało stamtąd wilgocią i zaduchem śmierci.

— Teraz tutaj zostaniesz — rzekł do Pyciny najstarszy złodziej — i będziesz nam strugać brukiew, co jej tutaj tyle widzisz, a my ci przyniesiemy niebawem tłustego wieprza na okrasę.

Dali jej stary nóż i zostawili babę w ponurej ciemności. Ona zaś nieczuła na wszystko strugała, a strugała trupie kości i czaszki. Rumocząc czekała niecierpliwie na wieprza. Wreszcie pierwszy brzask już zajaśniał, a złodziei jak nie widać, tak nie widać.

Tymczasem o świcie przechodził koło kostnicy organista i ze zdziwieniem nadśluchować począł, co tak okropnie straszy w trupiarni. Wydało mu się, że tam chyba pokutuje jaakś dusza przeklęta i czym prędzej pobiegł do księdza. A na plebanii ksiądz był bardzo gruby



i tak ciężką złożony niemocą, że chodzić nie mógł, tylko go dwóch silnych ludzi nosić musiało.

— W kostnicy coś okropnie przeszkadza — oznajmił organista — trzeba, żeby dobrodziej kazał się tam zanieść i wyświęcił przekłętogo ducha!

Ksiądz ubrał się w komeżkę, kościelny wziął kropidło, święconą wodę i razem z organistą ponieśli proboszcza ku trupiarni. Gdy byli już niedaleko, Pycina spodziewając się, że złodzieje niosą wieprza na okrasę, wyleciała z kostnicy i poczęła wołać:

— Czy tłusty, czy chudy dawajcie go tu do budy!

Kiedy organista z kościelnym zobaczyli babę z pierzem na głowie i nożem z ręku, tak się przerazili, że cisnęli dobrodzieją na ziemię i dalejże w nogi. A biedny księżulo jak nie umiał chodzić, tak się prędko nauczył, ze strachu stanął na nogach i począł jak najlepiej umykać do domu. Od tego czasu wróciła mu władza w całym ciele i czuł się jak najlepiej. Pycina jak oparzona przybiegła na plebanię i tutaj dopiero wyjaśniła się cała sprawa. Ksiądz był jej niezmiernie wdzięczny za cudowne wyleczenie i wziął ją do siebie.

— Kiedyś przestała być żoną Pyty — postanowił — bądźże moja gospodynią.



SAMOTKA - ZAWITKA

Koło samego Studzieńca w chałupie pod lasem, od niejakiego już czasu siedziała samotnie zawitka. Ni dziewczyna to była ni, kobieta, po nieślubnym dziecku tak się została, a kochanek nie wiadomo gdzie odleciał. Znana była w tych stronach jako samotka-zawitka. Nie miała żadnego gruntu, żadnego majątku, na zarobek także nie chodziła, a jednak żyła dobrze i same najlepsze kąski zajadała. Scho-dzili się do niej ludzie zewsząd — od Rzeszowa, od Tarnowa i z da-lekiej Polski. Ona im zaś rała, co trzeba na przeróżne frasunki w życiu.

Zdarzyło się tak na Zielną Matkę Boską, że przyjechała do tej zawitki jakaś wielka pani od Lublina. Konie z karetą i furmanem zostały w karczmie, a pani zatrzymała się u zawitki.

Pani ta wysoka na chorowitą wyglądała, choć twarz miała bar-dzo piękną. Weszła do chałupy w czarne szaty przybrana, z obliczem białą chustką przysłoniętym. Skłoniła się uprzejmie zawitce i nuże gwarzyć, po co przyjechała z tak daleka.

— Miałam pięknego kawalera — opowiadała — com go nad ży-cie kochała. Znaliśmy się oboje od maleńkich dzieci. Nigdy jedno o drugim nie zapomniało. A kiedy nadszedł dobry dla nas czas, cośmy mieli się już pobrać ze sobą, mój najmilejszy musiał pójść na wojnę z Moskałami. Poszedł z wielką ochotą, ale już więcej do mnie nie wrócił. Kamraci, którzy po jakimś czasie z wojny wrócili, różne rzeczy o nim opowiadali. Jedni, że go Moskale zamordowali, drudzy, że go na Sybir wywieźli. A ja chudaczka czekam już dwa roki na niego i nie wiem co dalej począć nieszczęśliwa? Czy poczekać jeszcze dłużej na niego, czy wydać się za innego, co mi się trafia? Słysza-

łam wiele o was, żeście już niejednemu dobrze poradzili. Przyjechaliśmy do was, bo w moich stronach nie ma na lek bożych mądrych ludzi. Więc poratujcie mnie w tej nieszczęśliwej godzinie, a chętnie wam zapłacę dwie stówki srebrnych talarów.

Na to zawitka tak odpowiedziała:

— Na taką sprawę trzeba co najmniej dwie niedziele czasu. Przez ten czas musi pani siedzieć razem ze mną i wszystko robić, co ja każę. A ten kawaler się znajdzie, chociażby go sam najstarszy diabeł skrył w piekle. Toteż pani coś niecoś do tych dwóch stówek przyłożą, a wnet weźmiemy się obie do roboty. Czas jest właśnie najlepszy, bo na niebie mamy pełnię miesiączka.

Przystąpiła na wszystko pani, furmana odprawiła do domu, a sama została. Zaraz poszła zawitka z panią do lasu na grzyby i do nocki nazbierały wiele grzybów żółtych, czarnych, czerwonych i siwych. O samym północy kazała pani zwlec całe ubranie do naga, nakryła ją czarną, grubą chustą w białe smugi. Posadziła panią na stołeczku o trzech nogach i kazała jej spozierać na pełny miesiąc. Sama zaś mamrotała tak mamrotała do trzeciego razu, a potem dała się jej napić czegoś śmierzącego z zielonej fłaszczki. Pani wnet potem usnęła i tak spała do rana, do miesiączka.

Kiedy już próba dobrze wypadła, kąpała zawitka panią przez trzy noce w żółtych grzybach, przez trzy noce w czarnych grzybach, przez trzy noce w czerwonych grzybach, a w siwych grzybach przez pięć dni i nocy. Dopiero wtedy podczas nocy ostatniej w blasku księżyca ukazali się dwaj czarni żołnierze, którzy przyścigali jednego bielusińskiego. Zaraz potem ci dwaj czarni gdzieś się podzieli, a ten biały przyszedł do chałupy. Poznał panią, przywitani się ze sobą bardzo miło, poszanowali się, przespalili się razem w chałupie i już na drugi dzień mąż z żoną pojechali do Lublina.

Tak to ożył umrzyk za sprawą czarta przez czarownicę-zawitkę.



KOZA ROGATA

Jeden gospodarz poszedł na jarmark, kupił sobie kozę do chowu i tak pomyślał:

— Kozą to najlepsze bydłatko: pod progami się wyśpi, suchą miotłą zje i jeszcze da kwartę mleka.

Wrócił do domu, na drugi dzień woła chłopca, który u niego służył i powiada:

— Weź tę kozę i paś ją dobrze.

Ano chłopiec paś kozę, że mało co nie pękła, a pod wieczór przyjechał do domu. Gospodarz wyszedł i pyta kozy:

— Kozulu najadłaś się?

A koza odpowiada:

— Klonowy listek zjadłam, szkopek wody wypiałam, szelma chłopiec z dziewczynami w taniec!

Gospodarz rozgniewał się, złapał chłopca, wyłomotał mu skórę i wrzucił pod ławę.

Drugiego dnia wysłał swoją dziewczynę, aby pasła kozę. Dziewczyną pasła i pasła. Kozą tak się nażarła, że aż jej trawa pyskiem wylazła. Kiedy wieczorem przygnała ją do chałupy, chłop pyta znowu:

— Kozulu najadłaś się?

A koza odpowiada:

— Klonowy listek zjadłam, szkopek wody wypiałam, szelma dziewczyna z chłopakami w taniec!

Gospodarz strasznie się rozgniewał i zabił swoją córkę.

Na trzeci dzień poszedł paść kozę parobek. Starał się jak najlepiej można, prowadził kozę tam, gdzie najlepsza trawa rosła i wieczorem przypędził ją do domu.

Gospodarz zapytał jak zawsze:

— Kozulu najadłaś się?

A ona:

— Klonowy listek zjadłam, szkopek wody wypłam, szelma parobek z dziewczynami w taniec!

Wytlukł gospodarz parobka i na czwarty dzień posłał z kozą gospodynię. Koza tak się nażarła, że ledwo przyszła do chałupy.

Kiedy chłop ją zobaczył, pyta:

— Kozulu najadłaś się?

Ona zaś swoje:

— Klonowy listek zjadłam, szkopek wody wypłam, szelma gospodyni z chłopakami w taniec!

Chłop zeklął swoją kobietę, sprzął i rzucił na łożko. Ale piątego dnia sam przebrał się za pasterza, wziął kozę i zaprowadził na świeżą łączkę. Kiedy koza dobrze sobie podjadła, przypędził ją do domu, zamknął w chlewie, a sam przebrał się znowu po gospodarsku. Przyszedł do chlewa i pyta:

— Kozulu najadłaś się?

A koza powiada:

— He, klonowy listek zjadłam, szkopek wody wypłam, szelma chłop z kobietami w taniec!

Dopiero rozgniewał się gospodarz na kozę:

— Ach ty szelmo jedna, toć ja wszystkim nie wiadomo za co skórę zbębniłem. Dam ci teraz, dam!

Wziął ją, przywiązał do żerdzi na powrozie przy płocie i zaczął obdzierać żywcem ze skóry. Obdarł już kilka pasów i posolił, a wtem przyszedł na podwórze sąsiad. Pogadali trochę, a sąsiad pyta:

— Zażyjemy kumotrze tabaki?

Gospodarz wsadził nóż kozie w grzbiet i sięgnął po tabakę. Tymczasem koza zerwała się z powroza i poleciała prosto do lasu. Leci przez las, leci, wreszcie zobaczyła lisią chałupkę. Były tam dzieci liszki. Koza pobiła je, kazała im iść do kąta, sama zaś zamknęła się i siedzi.

Po jakimś czasie przyszła liszka i woła:

— Dzieci otwórzcie!

A młode liszki wołają:

— Nie możemy otworzyć, bo tu wlaź taki zwierz, który nas bije i nie puszcza do drzwi.

— Kto tam jest? — zapytała liszka.

A koza zawołała:

— *Ja koza rogata,
Do pół boku obdarta,
Mam w plecach knyp,
Kto do mnie przyjdzie
To go zaraz ryp!*

Poszła liszka na drogę i płacze, aż tu idzie zając.

— Czego ty lisczko płaczesz?

— Jakże nie mam płakać — odpowiedziała lisica — kiedy mi do chałupy wlaź jakiś zwierz, dzieci bije i nie chce drzwi otworzyć!

— Cicho — mówi zając — nie płacz, ja tego zwierzka wypędzę. Chodź!

Przyszli do chałupki i zając pyta:

— Kto tam wlaź?

A koza woła:

— *Ja koza rogata,
Do pół boku obdarta,
Mam w plecach knyp,
Kto do mnie przyjdzie
To go zaraz ryp!*

Zając przestraszył się i tak uciekał, że aż się zakurzyło. Nie lepiej powiodło się silnemu wilkowi. Wreszcie, kiedy zebrało się dużo zwierząt i wszyscy radzili co zrobić, niedźwiedź powiedział tak:

— Ja wam tę kozę wypędzę, ale trzeba zawołać jeża i raka, bo tacy mali byle ostrzy są zawsze najlepsi.

Zawołali jeża i raka, a niedźwiedź mówi:

— Ty wilku staniesz ze mną przy drzwiach. Zając pójdzie za górę, bo jest chybki. Gdyby nam koza uciekła, to ją dogoni. Lisy oba pójda na górę, a rak i jeż wlezą do środka i będą wyganiać kozę.

Wszystkie zwierzęta zrobiły tak, jak im niedźwiedź rozkazał.

Jeż z rakiem wleźli przez komin do chałupy.

Kiedy ich koza zobaczyła, tupnęła nóżkami, nastawiła rogi i zaczęła krzyczeć z całej siły:

— *Ja koza rogata,
Do pól boku obdarta,
Mam w plecach knyp,
Kto do mnie przyjdzie
To go zaraz ryp!*

A jeź na to:

— *Ja jestem jeź,
Ja kolę też!*

I zaczął kłuć kozę.

Rak też woła:

— *A ja rak
Kolę tak!*

I łaps kozę szczypcami za nogę.

Koza bardzo się zlekła i, jak skoczyła, tak od razu wyprysnęła z nory. Niedźwiedź chwycił ją za zadnią nogę i wyrwał goleń. A kiedy na trzech nogach przeleciała koło lisów, zając dogonił ją, wskoczył na kark i złapał za rogi. Z pomocą nadleciał wilk i zadusił kozę.

Potem powiesili ją na gałęzi i do reszty skórego obdarli. Liszka wdzięczna, że swoją chałupinę dostała z powrotem wyprawiła wielki bal. Wilk przyniósł pięczeń, niedźwiedź miodu, jeź jabłka na kolcach, zając sałatę, inne zaś zwierzęta jagody i owoce.

Ale najlepiej smakowała wszystkim koza rogata.



B A B S K A R O B O T A

Był raz jeden gospodarz, który ciągle wyrzekał, że się musi ciężko na polu narobić i z żony żadnej nie ma wyręki, bo ona tylko w chałupie siedzi i zajmuje się warzeniem stawy, a do tego jeszcze kiedy on do domu wraca, nieraz obiad nie jest na czas przygotowany.

Sprzyskrzyło się nareszcie tej kobiecie chłopskie gadanie i mówi do niego:

— Kiedy tak to zostań teraz w chałupie i zrób wszystko za mnie, a ja pojedę na pole. Tylko mi powiedz, co mam tam czynić!

— Ano dobrze... — zgodził się gospodarz i kazał jedno zebrać, drugie dohakować*), a trzecie zawlec.

Ona mu także robotę zadała w domu: obiad ugotować, masło zrobić, gęś z jajek na dwór spędzić, ale uważać, żeby jaja nie ochłody i gęś na czas zawołać, świnie wygnać do pastucha, ale nie dać im skopać kartofli, co były zagrodzone.

„Dobra moja — pomyślał chłop — tę lekką robotę za godzinę odwalę, a potem będę sobie odpoczywał“.

Skoro gospodyni wyruszyła na pole, gospodarz wziął się do bicia masła. Ledwo jednak zaczął, odezwała się trąbka gminnego pastucha. Trzeba było czym prędzej świnie wyganiać. Ale że kobieta, która w czary trochę wierzyła, ostro mu przykazywała, aby masielnicy nie zostawiał, wziął ją na plecy i pobiegł do chlewu, aby stamtąd świnie wypuścić. Zgłodniała trzódka ruszyła prosto do kartofli i nie dała się stamtąd krzykiem wystraszyć. Gospodarz schylił się po kijaszek i wówczas z masielnicy wylała się cała śmietana. To była pierwsza szkoda, a drugiej narobiły świnie w kartoflach.

*) Płużyną orać w obie strony.

Kiedy nareszcie je stamtąd wygnał i wrócił do chałupy okazało się, że gęś koniecznie chce iść na dwór. Niedaleko stamtąd był wielki staw, na którym pływały gąsiory z całej wsi. Gęś tak się zabawiała przy tych swoich kawalerach, że wcale nie chciała wracać, tym bardziej, że nie słyszała dobrze jej znanego głosu gospodyni. Wszystkie jaja wychłodyły i zupełnie się zmarnowały. I to już była trzecia szkoda.

Gospodarz tak się zafrasował, że o gotowaniu obiadu nawet już myśleć nie chciał.

A tymczasem kobieta odrobiła jak najlepiej na polu to wszystko, co jej mąż wyznaczył.

Jest to już rzecz doświadczona, że każda baba jest w stanie bez żadnej szkody dokonać wszystkich spraw chłopskich, ale natomiast chłop nie dokaże niczego w babskiej robocie.

Od tego czasu gospodarz ów przestał narzekać na pracę w polu i więcej już nie chciał słuchać o porządkach kobiecych. Wydarzenie to rozniosło się niebawem po świecie. Wyśmiewali się z niego nie tylko kamraci, ale i wszyscy ludzie z całej wsi.



DZWONY ZATOPIONE

W wielu miejscowościach Polski słyszy się opowiadania o zapadłych dzwonach — opowiadania sięgające nieraz odległych czasów, kiedy to po naszych ziemiach grasowały hordy litewskie albo tatarskie i kiedy później ogarnął kraj potop szwedzki. Prawdopodobnie zdarzyło się wówczas, że ludność chcąc uchronić dzwony poświęcane zatapiała je w jeziorach i rzekach. Stąd narodziło się najpierw wiele podań osobliwych i legend cudownych.

I tak w okolicach Krakowa opowiadają, że Norbertanki z klasztoru Zwierzynieckiego w czasie napadu Tatarów schroniły się do lasu koło wsi Wola Justowska. Gonione przez pohańców dopadły kapliczki wśród skał i ukłękły śpiewając hymny pobożne. Pogoń dopędzająca mniszki ujrzała jak kaplica z dziewicami zapadła się w ziemię. Skały te nazwano potem p a n i e ń s k i m i i dotąd lud słyszy niekiedy spod ziemi głos dzwonka i śpiew zakonnicek. Ciekawsi zaś o północy widzą przez szczeliny światło przed ołtarzem i czują wonności kadzideł.

Dzwon z klasztoru Zwierzynieckiego Panien Norbertanek, który Tatarzy wrzucili do Wisły, corocznie w noc Sobótki wypływa na powierzchnię wody i drżącym sercem o mokre boki uderza, wzywając pomocy, a głos jego smutny słychać daleko. O północy jednak rozwierają się tonie i dzwon znów na cały rok zapada. Raż rybak, zbliżając się na łodzi do głosu tajemniczego, o mało razem z łodzią nie utonął.

Codziennie wieczorem o 8-ej godzinie, a w zimie o 5-ej na Zwierzynieckiej wieży klasztoru uderza dzwon dziewięć razy za dusze utopionych na Wiśle, których ciała zwykle chowają u stóp góry

św. Bronisławy. Ludzie pracujący w polu porzucają wówczas na chwilę swoją pracę, a za każdym uderzeniem odmawiają Zdrowaś Maria...

Na ziemi kaszubskiej jest wieś Chmielno, która leży pomiędzy jeziorem Kłodnem a Białym. Poza wioską jeziora zwązają się i zostawiają wąski tylko przesmyk utworzony przez dwa półwyspy. W dawnych czasach, gdy w okolicy chmielńskiej nikt jeszcze nie mieszkał, zjawiała się tutaj córka pogańskiego króla tego kraju, który jej właśnie kazał między jeziorami zbudować potężny zamek. Nawrócona na wiarę chrześcijańską pod imieniem Zuzanny poczęła budować dom Boży z nawiezionego drzewa. Kiedy ojciec jej przyjechał i zamiast grodu kościół zobaczył, tak bardzo się rozgniewał, że kazał własną córkę na drzwiach kościelnych przybić i wrzucić do jeziora.

Cudownym sposobem dzwony kościelne opuściły się za nią, a idąc dzwoniły jej imię:

— Zuzanna! Zuzanna!

Zwłaszcza w pierwszy dzień Zielonych Świątek słychać było ich żalosne dźwięki. Wieść powszechna głosiła, że osoba bez skazy stanawszy wtedy nad brzegiem, może je wyciągnąć i napowrót do kościoła zaprowadzić.

Zdarzyło się rzeczywiście, iż pewna panna znalazła się w oznaczonym czasie przy jeziorze. Naraz dało się słyszeć dzwonienie i trzy dzwony wychyliły się z wody. Dwa były mniejsze, a na przodzie ukazał się największy, który dopraszał się, aby go wpierv uchwycić. Ale dziewczyna obawiając się zbyt wielkiego ciężaru, sięgnęła po najmniejszy. Wówczas dwa pozostałe zanurzyły się w jezioro ze słowami:

— Nieszczęsna, gdybyś chwyciła największy dzwon, wydobyla-byś nas wszystkie.

Dzwony bowiem były lekkie jak pióra i szły same z siebie. Tymczasem zamilkły i nikomu więcej już się nie pokazały. Dopiero, gdy okolica chmielńska znów opustoszeje i nastanie taka bieda, że gospodarze posiadać będą tylko po jednym koniu i po jednej krowie, wyjdą dzwony z jeziora, aby zwoływać z wieży kościoła wiernych na modlitwę.

W opactwie pelplińskim wznosi się góra Zamkowa przed laty pięknymi bukami zarośnięta, a koło niej o dwie staje jest małe błotniste jezioro Czartówkiem nazwane. Tutaj paręset lat temu stał zamek, który pod zakłębieniem schował się w ziemię. Pewien pasterz, który do okolicznego lasu codziennie przypędzał bydło, widział jak z tej

góry wychodziła piękna panna i szła do Czartówka prać chusty. Zaciekawiony przystąpił raz blisko i kiedy się jej pilnie przypatrywać zaczął usłyszał takie słowa:

— Dobry człowieku, gdybyś tylko chciał, mógłbyś wybawić mnie skoro jestem w tej górze zaklęta z całym dworem...

— Cóż mam uczynić?

Musisz wypełnić wiernie wszystko, co ci powiem i niczego nie zaniedbać. Przede wszystkim trzeba, abys pobudował trzy kościoły.

— To trudna sprawa — odpowiedział pasterz — tego nie mogę się podjąć żadną miarą.

— A dlaczego?

— Jakże mam budować kościoły, skoro nawet klina zaciosać nie umiem.

— Dam ci — zawołała panna — taki topór, że jak go weźmiesz do ręki wszystko potrafisz.

Zgodził się tedy, a ona bardzo go prosiła, aby wziął się rażno do pracy, bo chciałaby jak najprędzej wyswobodzić się od zaklęcia.

Pasterz wybudował kościół najpierw w Szczodrowie przy rzeczce, która graniczy z Górą Zamkową. Z kolei stanął drugi dom Boży w Wysinie, potem jednak pasterz nie wytrzymał i zaczął budować karczmę. Wówczas jednak cudowny topór tak się wyszczerbił, że nikt go naprawić nie umiał, a dalej budować nie było już sposobu. Panny więc nie wybawił.

Wówczas jeszcze kiedy dopiero co stanął kościół, potrzeba było do niego dzwonów. Ta sama panna powiedziała temu samemu pasterzowi, którego dnia ma iść do Czartówka, gdzie znajdują się cztery dzwony. Kazała mu schwycić największy, bo wówczas i te mniejsze pójda za nim. W oznaczonym czasie dzwony rzeczywiście czekały na niego przy brzegu. Gdy się do nich przybliżył zaczęły wszystkie głośno prosić:

— Weź mnie! Weź mnie!

Pasterz patrzył na każdy po kolei. Ten największy wydał mu się bardzo ciężki. Podeszedł do średniego i postanowił spróbować, czy mu poradzi. Ledwo pochwyił, wyciągnął go bez najmniejszego trudu na brzeg. Wówczas największy dzwon odszedł z płaczem na głębie jeziora, a on wzięwszy średni na ramiona niósł go do kościoła, za nim zaś posuwały się same: dzwon i dzwonek najmniejszy. Dlatego w Szczodrowie są teraz tylko dwa dzwony i sygnaturka.

Skoro oba powierzone mu zadania koniec końców niedbale wykonał, nie pozostało mu nic innego jak paść znowu bydło w okolicy

Czartówka. I jeszcze raz ukazała się piękna panna, która zaczęła mu z płaczem wyrzucać:

— Ty niewdzięczny, nielitościwy, serca pozbawiony człowiecze! Czemuż mnie tak niecznie zdradziłeś?

Pasterz przeproszał ją tak serdecznie i szczerze, że mimowoli wyjawiała jeszcze jeden, ostatni sposób, dzięki któremu mógłby ją ocalić. Przyrzekł wówczas uroczyście, że teraz cokolwiek mu poleci, wszystko wykona wiernie i bez uchybienia.

— Weźmiesz mnie na plecy — powiedziała panna — i zaniesiesz do szczodrowskiego kościoła, gdzie zostanie ochrzczona. Kładę ci jednak warunek, że dam ci chusteczkę jedwabną, przez którą będziesz musiał całować to wszystko, co spotkasz na drodze i co się będzie wspinać ku tobie, choćby to było najbrzydsze i najwstrętniejsze stworzenie. Gdybyś i tym razem zawiódł moją nadzieję, będę zgubiona na zawsze, a twój los również nigdy nie ulegnie poprawie.

W oznaczonym czasie pasterz dźwignął ją na swoje ramiona, wziął do ręki chustkę jedwabną i dalejże do kościoła. Teraz dopiero zaczęły mu zastępować drogę najplugawsze żmije, jaszczurki, padalce i węże. Całował je z obrzydzeniem, aż przyszedł do kruchty, gdzie z najciemniejszego kąta wypełzła ku niemu szkaradna ropucha. Wówczas pomyślał, że skoro jest już w kościele to przynajmniej tego gada całować nie trzeba i nie namyślając się wiele kopnął z wielkim rozmachem obrzydliwe żabsko. Wtem ozwał się pisk przeraźliwy, a jakaś siła niewidzialna porwała piękną pannę. Rozległ się tylko jej płacz żalorny, nabrzmiały skargą beznadziejną. Słysząc go było coraz dalej i dalej, aż wreszcie wszystko zniknęło i wszystko ucichło... na zawsze...

Jest jeszcze wiele innych podań o dzwonach, których głos rozlega się najczęściej około Wielkanocy z niezgruntowanej głębi lub w zapadniętych podziemiach. Niektóre z tych opowiadań zdają się świadczyć, że dzwony kościelne mają w sobie moc nadprzyrodzoną i nie zawsze zgadzają się z narzuconą im wolą ludzką.

Opowiadają na przykład, że we wsi Modlnicy uciekły dzwony pod ziemią do sąsiedniego Giebułtowa, lecz później wróciły na dawne miejsce. To samo stało się w ziemi opoczyńskiej, w Skrzynnie i Skrzyńsku.

W sandomierskim koło Waśniowa stał za dawnych czasów kościółek drewniany, któremu od starości ściany zupełnie popróchniały, a nie było komu go naprawiać, bo w tej okolicy wszyscy ludzie poszli na wojnę. Tak tedy marniał i zupełnie zapomniany niszczał

do szczytu. Nareszcie ludzie tamtejsi wrócili z wojny zwycięskiej, a dziedzic miejscowych włości, który walczył z pohańcami jako chorążym pancerny, przyprowadził ze sobą siłą jeńców. Zaraz też kazał im się wziąć do pracy i oto zaczęli stawiać nowy kościół w tym miejscu, gdzie teraz jest miasteczko Waśniów. Pan kazał także przenieść dzwony ze starego kościoła do nowego bardziej okazałego.

Skoro lud z wojny przygnany nie mógł się pogodzić z miejscowymi chłopami, kazano im budować chałupy koło nowego kościoła. Kiedy przyszła niedziela, to ta hałastrą taki rejwach podnosiła, że i dzwonów nie można było słyszeć. Tak było raz i drugi, aż w trzecią niedzielę, kiedy słudzy kościelni mieli dzwonić na mszę, patrzą a tu dzwonów nie ma na dzwonnicy, chociaż je było słyhać wyraźnie po powietrzu. Zaraz też chmara ludzi pobiegła za tym odgłosem. Niebawem doszli w to samusieńkie miejsce, gdzie dawniej stał starodawny kościółek, ale go już nie było. Widać zapadł się w ziemię, a na jego miejscu trysnęło źródło czystej wody, w której głośno i nieustannie dzwoniły dzwony. Nikt nawet nie próbował wydobyć ich z głębi straszliwej, ale jeszcze i teraz pastuchy często w niedzielę podczas sumy słyszą jak w tej wodzie huczą dzwony...

Tak było koło Waśniowa. Najdziwniejsza jednak historia wydarzyła się na Podkarpaciu we wsi Mikluszowicach, gdzie od tego czasu wszystkie dzwony nazywają zawsze Janami.

Kiedy tu po raz pierwszy kościół wystawili, kazał ksiądz ułać wielki dzwon i powiesić go we dzwonnicy. I tak się umówił, że skoro dzwon zacznie dzwonić, to właśnie wedle jego dźwięku nadadzą mu przezwisko. A dzwon dzwonił:

— Bam! Bam! Jan! Jan!

To imię nie podobało się jednak księdzu i nazwano dzwon Mikołajem. Tym czasem dzwon zaczął się opierać. Nie chciał dzwonić: „Mikołaj“ tylko wciąż powtarzał swoje:

— Bam! Bam! Jam jest święty Jan...

Kiedy woli dzwonu w dalszym ciągu nie chciano uszanować, skoczył on razu pewnego z wieży do Raby.

Ludzie zaczęli go szukać i szukali nawet z płaczem, spodziewając się, że jakieś nieszczęście spadnie na parafię. Nie dało go się jednak znaleźć w żaden sposób. Dopiero zdarzyło się w jakiś czas potem, że plebański parobek wjechał z koniami do Raby. Kiedy je już oplawił i wymył, chciał wyjechać z nimi na brzeg. Chociaż je jednak walił batem, nie mogły w żaden sposób ruszyć z miejsca. Parobek rozłościł się okrutnie i zaczął przeklinać do wszystkich biesów, bo mu się

zdawało, że to oni właśnie nie chcą go puścić z rzeki. Tym czasem nie sprzeciwiał mu się żaden ze złych duchów, tylko po prostu ogony końskie zaplątały się około zatopionego dzwonu i w żaden sposób nie mogły ruszyć z miejsca. Wreszcie dzwon drgnął, zakółsał się i począł płynąć do brzegu. Byłyby go koniska zupełnie z wody wyciągnęły, gdyby parobek zamiast przeklinać wezwał imienia Boskiego. Kiedy jednak klątwa za klątwą padała, dzwon urwał się i trzy razy żałośnie zaśpiewał:

— Bam! Bam! Jam jest święty Jan!

A potem popłynął z wodą, poszedł Rabą do Wisły, a Wisłą aż do Chełma i tam go dopiero ludzie wyłowili.

Nie jest to żadna bajka, tylko najprawdziwsza prawda, bo mikłuszewiccy flisacy oglądali nawet swój dzwon w tym mieście.

Kiedy tamtejszy ksiądz dowiedział się, że znaleziony dzwon pochodzi z innej parafii, zaraz napisał do mikłuszewickiego księdza, żeby przyjechał po swoją własność. Ksiądz ten jednak odmówił się tłumaczyć, że sprowadzenie dzwonu kosztowało by więcej niż ulanie nowego. Dzwon został tedy w Chełmie, a w Mikłuszewicach powiesili nowy. Nie dano mu już innego miana jak święty Jan, bo się obawiali wszyscy, aby się nie rozżalił i nie popłynął z wodą...

Zapadnięcie się miast, kościołów a wraz z nimi i dzwonów jest często karą Bożą za grzechy ludzkie, wielkie i ciężkie.

Tam gdzie są teraz skrzyszowskie pola — opowiada podanie z ziemi krakowskiej — było miasto, które się właśnie Skrzyszowem nazywało. W konarskiej włości zaś we wspaniałym zamku mieszkał dziedzic, który był człowiekiem bezbożnym, okrutnym, a przy tym zawołanym myśliwym. Łowy nad wszystko przekładał do tego nawet stopnia, że w największe święto, kiedy uroczyste odbywały się nabożeństwa, uganiał się po kniejach ze zgrają psów i oblawników, gwałtem zmuszonych do tej posługi.

Próżne były upomnienia miejscowego plebana, aby tak bezbożnej zaniechał uciechy.

Kiedy razu pewnego podczas święta Matki Boskiej księża wyszli z procesją, pan niecny podążał właśnie na łowy z ludźmi i ogarami. Ledwo jednak dzwon na procesję uderzył, wszystko się pod ziemię zapadło i zamek i ludzie i miasto.

Teraz nic tam już nie ma. Tylko czasami po błotach okolicznych słyhać tętent koni, krzyki oblawników, granie psów i huk wystrzałów. Gdy kur zapieje, nikną mary, a bór przyległy grobową przybiera posępność.

Każdej niedzieli zaś i w każde święto kiedy odprawia się suma, dzwonią na Skrzyszowie dzwony pod ziemią. W tym miejscu zaś, gdzie zapadł się kościół i gdzie stała chrzcielnica, bije cudowne źródło. Kto chory na oczy łatwo jednym przemyciem uzdrowić się może, ale tylko wówczas, jeśli jest godzin takiej łaski.

Niedaleko stąd koło wsi Stryszowy zapadł się przed laty kościół. Stało się to na skutek przekleństwa pewnej kobiety, która, śpiesząc się na nabożeństwo, potknęła się i upadła na drodze. Za dawnych czasów bowiem spełniała się klątwa ludzka.

Miejscowy gospodarz Jędrzej Szewczyk doznał tutaj dziwnego i tajemniczego zdarzenia. Szedł on w Wielką Sobotę przez las. Właśnie w gdowskim kościele odprawiała się rezurekcja i dzwony zaczęły dzwonić na procesję. Nagle zdumiony gospodarz usłyszał jakieś drugie dzwonicie i śpiewy. Usłyszał je gdzieś bardzo blisko. Spojrzał, a oto naprzeciwko niego idzie procesja, niosą chorągwie, ksiądz z krzyżem w ręce kroczy pod baldachimem złocistym w pięknej kapie, a dokoła niego mnóstwo ludzi. Wszystko razem zbliżało się doń coraz bardziej.

Przełękł się bardzo Szewczyk, nogi ugięły się pod nim, padł twarzą na ziemię, ale przytomności nie tracąc słyszał wszystko, tylko z przerażenia nie mógł ani słowa przemówić.

Gdy procesja zbliżyła się, wszyscy zatrzymali się, ksiądz przystąpił do niego, wziął go pod ramię, potrząsnął i zapytał:

— Śpisz?

Szewczyk nie odezwał się ani słowem, a ksiądz zapytał po raz drugi:

— Śpisz?

Kiedy i po raz trzeci na to samo pytanie nie było odpowiedzi, ksiądz westchnął głęboko i rzekł:

— Twoje szczęście człowieku, że śpisz...

I odeszła procesja, chłop słyszał coraz słabszy głos dzwonów, coraz cichszy śpiew, wreszcie wszystko umilkło...

Na drodze między Wieliczką a Gdowem znajduje się wieś Łazany. Według opowiadania starych ludzi na tym miejscu, gdzie dzisiaj stoi kościół, wznosił się przed wiekami olbrzymi dąb. W wydrążeniu tego drzewa znajdowała się kaplica, a obok miał mieszkanie pobożny pustelnik.

W tych czasach jakiś rycerz podczas polowania zablądził w tamtejszym borze. Długo laził po wzgórzach lasem porośniętych, aż wreszcie trafił na pustelnię. Tutaj wypoczął u pustelnika, posilił się, a od-

chodząc nazwał to wzgórze Łazami na pamiątkę długiej swojej w tym miejscu wędrówki. Z czasem jednak Łazy przemianowano na Łazany i dotąd ta wieś tak się nazywa.

W późniejszych czasach bogaty właściciel Łazan, Sławkowic i innych wsi okolicznych postanowił wybudować kościół na wzgórku znajdującym się w dzisiejszej gminie sławkowickiej. Atoli nagromadzone w dzień materiały jakaś siła niewidzialna przenosiła nocą do Łazan na to miejsce, gdzie stała niegdyś kapliczka pustelnika.

Poznano wolę Boską i kościół murowany stanął właśnie w tym miejscu. Ażeby jednak zostawić potomności ślad tych dawnych wydarzeń, wmurowano w ścianę kościoła kawałek pnia starego dębu z całym wydrążeniem, w którym znajdowała się niegdyś kapliczka pustelnicza. Dokoła wyryto rok 1583 i litery A. L.

W tym samym czasie budowano także kościół na wzgórzu sąsiednim w Biskupicach. Opowiadają, że przy budowie tych kościołów pracowali cieśle-wielkoludy. Posługiwali się oni tylko jedną siekierą i tę podawali sobie według potrzeby z jednej góry na drugą.

Kiedy oba kościoły już stanęły, zakupiono dla nich dzwony gdzieś na Węgrzech; do kościoła w Łazanach trzy większe, do kościoła w Biskupicach trzy mniejsze. Te ostatnie przewieziono szczęśliwie, dzwony natomiast przeznaczone do łazańskiego kościoła ugrzęzły z całym zaprzęgiem i zatopiły się w bagnach gdzieś za Rabą.

Po dziś dzień nie można znaleźć miejsca, gdzie się to stało i dlatego nawet we Wielką Sobotę nie można usłyszeć ich głosu...

I w górach także bają o dzwonach, które zapadły się razem z miastami bezbożnymi.

Tak właśnie miało być w Tatrach, gdzie drzewiej wznosiło się wielkie miasto, w którym ludzie poczęli się oddawać nieposkromionej rozpuście. Z rozkazu Bożego gród ten zapadł się pod ziemię. Zostały tylko mury, które z biegiem czasu zamieniły się na skały. I tak Czerwony Wierch miał być kościołem, a Giewont wieżą kościelną i dzwonnica zarazem.

Gadali nawet ludzie, że pewien juhas, który w niedzielę pasł owce na Czerwonym Wierchu i modlił się na książce, usłyszał koło południa śpiewy nabożne i dźwięki dzwonów. Idąc za tymi głosami zaszedł do turni, u stóp której widać było otwór półkolisty. Wydobywszy zza pasa koronkę wszedł tam i zobaczył wielki kościół zapełniony śpiewającymi ludźmi. Śpiewali jednak w jakimś obcym, niezrozumiałym dla niego języku.

Po skończonym nabożeństwie ksiądz pokropił wszystkich i odszedł. Wówczas zahuczało nagle i zagrzało. Juhas straciwszy przytomność nie wiedział, co się z nim dzieje i gdzie się właściwie znajduje. Skoro oprzytomniał, zobaczył, że jest znowu na Czerwonym Wierchu przy owcach, a koronkę trzyma w ręku...

W Starym Wiśniczu opowiadają, że miejscowe dzwony klasztorne i zamkowe chciały stamtąd uciekać. Jedne tedy ludzie przenieśli do Krakowa, a drugie lecąc w powietrzu wpadły do dworskiego stawu i utopiły się. Od tego czasu dzwony w Wiśniczu nie dzwonią już tak pięknie jak dawniej, skoro te, które utonęły, zabrały całą wspaniałość ich głosów.

Dzwony zatopione dzwonią dziwnie i tajemniczo, jakby czegoś się żaliły, jakby o coś prosiły — dzwonią tak przejmująco, że kto raz je usłyszał, nigdy już ich brzmienia zapomnieć nie może...



PIES STARY I WILK

Jeden gospodarz miał psa, który się wabił Zagraj i służył mu za pastucha. Był to pies bardzo mądry i czujny, a stada tak dobrze pilnował, że nigdy nie dał porwać wilkowi ani cielątka, ani jagniątko, ani kozłątka, ani prosiątka. Dopóki był młody i silny, gospodarze bardzo go lubili i tak mu dobrze jeść dawali, że Zagraj był piękny i gładki, a sierść się na nim aż świeciła. Ale przeszło kilka lat, pies się zestarzał i zguśniał, trochę ogłuchł, trochę zaniewidział i nie mógł tak prędko biegać jak dawniej. Wt dy gospodarze zaczęli mało dbać o niego i dawali mu byle jakie jedzenie. Wreszcie wyszukali sobie młodego pieska, a temu staremu tak powiedzieli:

— Jużeś się psiaparo zestarzał, służby nam czynić nie możesz, nie wartes życia co ci dajemy. Wynos się stąd!

I wygnali go w świat, jeszcze za nim kamieniami rzucali i krzyczeli:

— A do pola Zagraj, a pójdiesz ty precz!

Nie było co robić, uciekł biedaczysko ze wsi. Lezie przez pola, łapami ledwo przebiera i nie wie w którą się stronę obrócić. Wreszcie zaszedł do lasu i siadł sobie pod krzaczkiem. Aż tu wilk wychodzi z gęstwiny, zobaczył go i pyta:

— Co ty tu robisz?

— A widzisz — powiada pies — taka jest sprawa, że mnie właśnie ludzie wygnali w świat. Dopóki byłem zdrow i silny dogadzali mi i głaskali mnie, ale teraz wynalazł sobie gospodarz młodego psiaka, a mnie wygnał na cztery wiatry. Taki to jest koniec wiernej służby.

— Tak to tak, ludzie nigdy inaczej nie robią. Bardzo mi Ciebie żal, ale czemużeś był głupi? — Przyskoczył do niego, kłapnął paszczką i mówi ze złością: — A mnie nigdy nie dałeś porwać ani cielątka, ani jagniątko, ani kozłatka, ani prosiątka. Porachujemy się teraz ze sobą! Właśnie doskonale się składa, bo jestem ogromnie głodny.

Pies bardzo się przestraszył i zaczyna się tłumaczyć:

— Wiedziałem, żeś rabuś i krwiopijca, ale tego się po tobie nie spodziewałem. Nie zapominaj, że my jesteśmy z jednej rodziny, choć ja obrożę noszę, a ty w lesie na swobodzie żyjesz.

Wilk się na to tylko zaśmiał i wyszczerzył okrutne kły.

— A co mi tam rodzina! Kiedy mi się jeść chce, nie patrzę kogoś na ząb kładę.

— Ej, wilku, cóż ci ze mnie przyjdzie? Popatrz no tylko, jak ja wyglądam. Cóż byś ty za pociechę miał z takiego mizeraka, co na nim tylko skóra i kości zostały. Marny by to był obiad panie Wilczeski.

Wilk przyjrzał mu się i widzi, że pies prawdę mówi.

— Ano tłusty bardzo nie jesteś.

— Lepiej byś zrobił, gdybyś mi jakoś pomógł, żeby mnie gospodarze znowu do siebie przyjęli. A dopiero wtedy, kiedy na dobrym jedzeniu ciała nabiorę, będziesz mnie mógł schrupać, skoro inaczej być nie może.

— Dobrze — mówi wilk na to — zrobię tak, że będziesz znowu w łaskach u gospodarza, ale pamiętaj, że potem mi się już nie wykupisz.

— Zgoda bracie, ale jakże to zrobisz?

— Teraz przecież żniwa nadchodzą, to gospodarze pójdą żąć i wezmą ze sobą małego dzieciaka. A kiedy go położą na zagonie, będzie go pilnował młody piesek. Wtedy ja przylecę i porwę tego baka, a wezmę go lekko bez żadnego uszkodzenia, ty zaś goń mnie i strasznie szczekaj, to ja dzieciaka rzucę, a sam ucieknę. Oni będą ci za to wdzięczni i przyjmą cię z powrotem do służby. Potem zaś skoro ci już schaby narosną, przyjdiesz do mnie, a gdybyś nie przyszedł, to pamiętaj, że ja przyjdę po ciebie.

Nie bardzo to była dobra umowa, ale cóż miał robić stary pies. Przynajmniej się jakiś czas trochę lepiej pożyje, a potem może będzie umiał wywinąć się od wilczej paszczęki.

Jak się umówili, tak też i zrobili. Nazajutrz gospodyni wyszła w pole i żęła zboże, a uśpioną niemowlę położyła w powijkach na

zagonie i kazała pilnować go młodemu psu. Tymczasem przyszedł Zagraj i zaczął się skradać nieśmiało, pomalutku, ostrożnie, nareszcie przyczołgał się i ułożył niedaleko. Gospodyni odpędzała, krzyczała, ale wreszcie zostawiła go w spokoju. Tymczasem wyleciał wilk, chwycił dziecko i dalejże z nim uciekać do lasu. Młody psiak podwinął ogon pod siebie i czmychnął, gdzie pieprz rośnie.

Gospodyni załamała ręce i woła:

— Zagrajeńku kochany ratuj!

Zagraj jak nie skoczy, jak nie puści się za wilkiem, jak nie zacznie okrutnie ujadać, wreszcie dogonił go, a wilk cisnął dzieciaka wedle umowy. Gospodyni z radości sama nie wiedziała co robić.

— A ty dobry, a ty poczciwy mój Zagraju! To mnie Pan Bóg za to pokarał, żeśmy ciebie wiernego stróża wypędzili, ale ty już teraz do samej śmierci będziesz miał u mnie życie i kąt wygodny. Nigdy ci tego nie zapomnę, żeś mi uratował dziecko.

Ugłaskała go, upieściła, wzięła garnuszek kaszy z mlekiem co go tam miała i dała mu zjeść, a potem zabrała do domu ze sobą. I teraz znowu stary pies do łask powrócił; szanowali go i gospodarz i gospodyni. Jadł tylko i spał i nic nie robił, ale nikt mu nie śmiał złego słowa powiedzieć. Byłoby wszystko jak najlepiej, gdyby nie wilk. Ze strachem wciąż myślał o nim. Strzegł się bardzo, żeby się z nim gdzie nie spotkać i od chałupy prawie wcale nie odchodził.

Aż pewnego dnia wyprawił gospodarz swojej córce weselisko. Naschodziło się wiele gości. Pili, jedli i tańcowali prze całą noc. Pies sobie już podjadł dobrze wszystkiego i wyszedł przed chałupę na przeglądy. Obszedł całe podwórze, zajrzał wszędzie i wraca, aż tu naprzeciwko niego goreją ogniste ślepie. Chciał skoczyć do sieni, ale wilk był już przy nim, więc stanął jak wryty i serce łomotało w nim ze strachu.

— Dobry wieczór! — powiada wilk. — Jakoś pan dobrodziej zapomniiał o czym, to myśmy gwarzyli sobie kiedyś w lesie.

— Nie przychodziłem panie Wilczeski, bom jeszcze bardzo chudy!

— Ja tam nie jestem znowu taki gardy, pożywię się byle czym. Widzę nawet, że się już trochę sadelka nabierało i mięska także dosyć jak dla mnie. A że jestem dzisiaj okrutnie głodny, to już chyba nie będziemy dłużej czekać.

I rozwarł okrutną paszczkę, pochylił się jakby do skoku, a ślepie niesamowite rozgorzały niby ognie piekielne.

— Poczekaj wilku — zawołał pies — jeśli chcesz, zjesz mnie później, ale dzisiaj mam coś lepszego dla ciebie niż psią pieczeń. Dziś u nas wesele, jest wszystkiego w bród i jadła i napitku. Chodź, zaprowadzę się!

Wilk spojrział na niego spode łba i mówi:

— Cóż to? Do chałupy wleżę, żeby mnie ludzie zobaczyli i jeszcze na śmierć zatłukli, nie głupim!

— Ktoby nas tam miał zobaczyć. Pójdziemy do komory, tam nie ma nikogo, tam nas nikt nie zobaczy, ani nie usłyszy.

I dał się namówić wilk. Zakradli się cichuteńko i wleźli do komory. Najadł się wilk studzieniny, kielbasy, zeżarł cały poleć słoniny, a potem wziął się do piwa, a po piwie do wódki. Kiedy sobie już dobrze podpił, mówi do psa:

— Ej ty kundlu dobrześ mnie ugościł, wszystko mi smakowało, ale kiedy wesele, chciałbym sobie także zaśpiewać i zatańczyć.

— A to sobie zaśpiewaj i zatańcz! — mówi pies.

— Cóż na to ludzie powiedzą, może im się to nie będzie podobało?

— Gdzieżby tam, przecież ty panie Wilczeski jesteś śpiewak i tancerz zawołany. Wszyscy będą się dziwowali i nikt ci marnego słowa nie powie. Wiadomo przecież, że na weselu każdy może tańczyć i śpiewać.

Kiedy muzyka urzęnęła od ucha, nie mógł już wytrzymać pijany wilk, wyskoczył z komory do izby pomiędzy ludzi i zaczął hulać, a wyc przeraźliwie.

Ludzie ze strachu pospadali z ławek, a on kręci się po izbie i zawodzi na cały głos:

— Uuuu, uuuu!

Skoczył wreszcie i Zagraj i szczeka okropnie, zajadle i woła:

— Wilk, wilk!

Rzucili się wszyscy na niego i bił każdy, czym tylko mógł. Wreszcie zabili wilka.

Od tego czasu stary pies żył już spokojnie i chował się u tych gospodarzy aż do śmierci.



PROŚCIE A BĘDZIE WAM DANE

Był raz stary chłop, który miał już lat 'osiemdziesiąt. Biedny był, po proszonym chlebie chodził i żył z tego, co mu ludzie dali. Jednego razu dostał zamiast jedzenia książkę. Wrócił do chaty i pomyślał sobie, że mu się dzisiaj nie poszczęściło, bo przecież książki ani usmażyć, ani ugotować nie można. Ale potem wziął ją do ręki, otworzył i zaczął czytać. I właśnie trafił na to miejsce, gdzie było napisane: „Kto prosi temu będzie dane, kto szuka ten znajdzie, a kto kołacze temu otworzą“.

„Hej — pomyślał sobie stary dziad — czyżby to mogła być prawda? Gdybym na przykład ja poprosił o królewską córkę, czyżby mi ją dali, mnie biednemu dziadowi?“

I długo myślał nad tym, aż nareszcie postanowił sprawdzić, czy spełnią się słowa napisane w książce?

Zebrał się i szedł prosto do królewskiego zamku. A w tym zamku mieszkał król, co miał bardzo piękną córkę, o którą ubiegali się królewicze z najdalszych krańców świata. Stał dziad pod drzwiami i zaczął kołatać. Kołatał tak długo, aż mu otworzyli i wtedy pomyślał sobie:

„Jedno się już sprawdziło: Kto kołacze temu otworzą“.

Kiedy poprosił, żeby go puścili do króla, nie powiedzieli mu złego słowa, tylko go zaprowadzili do pięknej komnaty, gdzie na złotym tronie siedział król, a obok niego piękna córka.

— Czego chcesz stary dziadu? — zapytał król.

— A to przyszedłem prosić, abyś mi panie dał swoją córkę za żonę!

Zdziwił się król, zdziwiła się królewska córka, zdziwili się wszyscy dworzanie i goście, że taki lachudra śmie prosić o młodą, piękną królewnę. I tak się bardzo zdziwili, że się zapomnieli roześmiać. A król powiada do niego:

— Dobrze, dostaniesz moją córkę za żonę, ale musisz mi przynieść taki kawał bursztynu jak twoja głowa.

A w tych czasach bursztyn był droższy od złota.

Dziad zaś pomyślał:

„Kto szuka ten znajdzie. Zobaczę, czy się te słowa sprawdzają?”

I powiada do króla:

— Dobrze królu przyniosę taki bursztyn, jakiego chcesz.

Poszedł i zaraz zaczął szukać. Szukał długo, ale nie mógł nic znaleźć. Wreszcie zaszedł w wielki las. Kiedy przechodził koło jednej osiny, usłyszał nagle głos:

— Wypuść mnie!

Skoro się jednak obejrzał, nie zobaczył nikogo. Chciał już iść dalej, a tu ten sam głos woła znowu:

— Wypuść mnie!

Zaczął się dobrze rozglądać i zobaczył jakąś małą buteleczkę, z której ten głos wychodził. A ta buteleczka wisiała na małej gałązce drzewa osinowego. Przyjrzał się jeszcze lepiej i zobaczył, że w tej buteleczce siedzi coś małego, czarnego, nie większego od chrząszcza. Przytknął nos do buteleczki, a to lichy ukłoniło mu się małym, trójgraniastym kapelusikiem, skrobnęło nóżką i znowu swoje:

— Wypuść mnie!

— Co ty tam robisz? — zapytał dziad.

— A to mnie tak jeden klecha ładnie urządził — ozwał się głos z buteleczki — bo ja jestem czart z piekła i siedziałem w jednym opętanym człowieku. Dobrze mi się działo i różne z nim harce po świecie wyprawiałem, aż głupi ludziska gęby ze zdziwienia otwierali. Aż tu nagle ksiądz jakiś zaczął mruczeć nade mną pacierze, kropidłem ze święconą wodą machać, wreszcie wypędził mnie, kazał wleźć do tej flaszeczki i powiesił na drzewie.

— Kiedy tak — odpowiedział stary — to ja cię wypuścić nie mogę.

Diabeł zaczął go strasznie gorąco prosić i przyobiecywać, że zrobi wszystko, co zechce, da mu, co tylko zażąda.

Wtedy dziad zapytał:

— A przyniósłbyś mi taki duży kawałek bursztynu jak moja głowa?

— Przyniosę ci — odpowiedział czart — najpiękniejszy i największy kawał bursztynu, jaki tylko jest na świecie.

Wtedy stary zdjął buteleczkę z drzewa, wyjął z niej korek. Mały diabeł wyskoczył zaraz z zamknięcia na ziemię i zaczął rósć coraz większy. Rósł, rósł w oczach i po krótkim czasie był taki duży jak człowiek. Był to prawdziwy diabeł w niemieckich pluderkach, czerwonym kabaciku, z kopytami końskimi i rogami wielkimi na łbie. Dziad zląkł się i na wszelki wypadek przeżegnał się pobożnie, a diabeł mówi do niego:

— Nie bój się, my diabli zawsze dotrzymujemy słowa, za chwilę będziesz miał już to, co ci obiecałem.

To mówiąc pobiegł szybko i nie upłynęło więcej, jak dwa pacierz, a już był z powrotem i dźwigał kawał bursztynu tak duży, jak ludzka głowa.

Ale stary pomyślał sobie:

Cóż to ja najlepszego zrobiłem, żem zamkniętego czarta na świat wypuścił, żeby znowu kogoś opętał? Jakimże ja sposobem dostanę go z powrotem do tej buteleczki?“

Myślał i myślał długo, wreszcie mówi do złego:

— Ty chyba nie jesteś ten sam diabeł, któregom ja z tej buteleczki wypuścił. Przedtem byłeś taki mały, a teraz jesteś taki duży...

— Ale to ja jestem, ten sam! — zawołał zły duch.

Ale stary dziad nie chciał mu uwierzyć i mówi do niego:

— Ja ci prędzej nie uwierzę, aż ty mi pokażesz jakim sposobem możesz się zmieścić w takiej małej buteleczce.

— Zaraz ci pokażę jak to się robi... — rzekł diabeł z zapalem.

I raptem zaczął się robić mniejszy, coraz mniejszy i kiedy stał się zupełnie malutki skoczył na butelkę i przez szyję wjechał do środka. A dziad, nie w ciemną bitą, złapał za korek, zatkał buteleczkę i powiesił ją znowu na osinowym drzewie.

— Teraz siedź sobie tu dalej panie diable! — rzekł śmiejąc się.

A głowę bursztynu wziął pod pachę i szedł znowu prosto do królewskiego zamku. Po drodze zaś myślał sobie:

„To jest jednak prawda co tam napisane, boć mi się sprawdziło. Kto szuka ten znajdzie. Tak jak na przykład ja znalazłem tę głowę bursztynu“.

I poszedł dziad do króla i pokazał, że przyniósł to czego żądano od niego. Król siedział na złotym tronie, a na mniejszym tronie siedziała jego córka, dokoła zaś było wielu panów bogatych. Zasmuciło się serce królewskie patrząc na starego dziada, ale rzekł do niego:

— Przyobiecalem ci córkę, jeśli mi przyniesiesz kawał bursztynu tak duży jak twoja głowa. Tyś ten warunek wypełnił, więc i ja słowa złamać nie mogę. Bierz dziadu królowną za żonę!

Wtedy dziad się uklonił i tak odpowiedział:

— Dobry królu, tę głowę bursztynu ja ci dam, ale twojej córki nie chcę. Nie jestem taki głupi, jakby się zdawało. Wiem, że ze mnie stary dziadyga, a twoja córka młoda i piękna. Z takiego małżeństwa nie wyszłoby nic prócz kłopotu. Chciałem tylko dowiedzieć się, czy prawdziwe są słowa, które wyczytałem w jednej książce: Kto kołacze temu otworzą, kto szuka ten znajdzie, kto prosi temu będzie dane. I oto kołatałem do drzwi twego królewskiego zamku, a one otworzyły się, szukałem w lesie i znalazłem głowę bursztynu, prosiłem o twoją córkę, a ty mi ją chcesz dać. Niczego więcej nie pragnę, wszystko sprawdziło się.

Ucieszył się wtedy król, ucieszyli się wszyscy, a dziad dostał tyle pieniędzy, że mógł żyć zawsze w dostatku aż do samej śmierci.

Tak to bywało...



D Z I A D I B A B A

Z dawien dawna żyli sobie w jednej wsi dziadek z babką. Byli to zamożni gospodarze, przy tym wiodło się im nie najgorzej. Ziemia dobrze rodziła, bydłatko szczęśliwie się chowało, mieszkali zaś w pięknej chałupinie, jak w jakim dworze. Doczekali się siedmiu córek nadobnych i siedmiu synów jak dębów. I tak sobie żyli wszyscy razem spokojnie, dostatnio, chwając Imię Pańskie, aż przyszła na nich marna doła. Jednego roku wszystkie dzieci im pomarły, od ognia bożego spaliła się chałupa z gospodarskim sprzętem i całym dobytkiem.

Zostali dziadkowie sami jedni na świecie, smutne sieroty, boć ojca i matki dawno już nie mieli, a dzieci i wnuki dopiero co pomarły. A sami byli już bardzo starusieńscy, on wysechl jak grzyb po świętym Marcinie, a ona jak próchno. Nie wiedzieli teraz co ze sobą zrobić? Do gospodarstwa wziąć się nie było czym, ani za co, po proszonym chlebie chodzić nie mogli, bo by już nogi nie uradziły. Powlekli się więc za wieś w Piekarskie parowy pomiędzy takie wertepy, gdzie ich nikt nie mógł zobaczyć. Tam sklecili sobie budkę z chrustu i czekali zmiłowania Bożego.

Czekali tak dzień jeden i drugi, aż im się strasznie jeść zachciało. Wyleźli z budy, chodzą po polu i szukają choć jakiejś jagódki, żeby głód omanić. Chodzą, chodzą i chodzą, aż nareszcie znaleźli ziarnko bobru.

Dziadek powiada do babki:

— Zjedz babko bober.

Ale babka nie chce.

— Zjedz ty sam, bo się boję, żeby mnie nie rozparło.



— Kiedy nie chcesz — mówi dziadek — to go lepiej posadźmy. Wyrośnie, obrodzi nam i dopiero będziemy mieli z czego uwarzyć sobie jadła.

Więc zaraz bober przy swojej budzie zasadzili i podlewali go raz po raz wodą ze Stawiska.

I rósł bober, rósł jak na drożdżach. Aż się wierzyć nie chciało, jak on śmigał w górę. Rósł coraz wyżej, wyżej największego drzewa, aż do chmur sięgnął, a rósł i rósł, . . . aż wyrósł do samego nieba.

Kiedy się to stało, mówi dziadek do babki:

— Wiesz ty babko co, wyleżę ja do nieba po bobrze i będę prosił Pana Boga, żeby nam było dobrze.

— A leż dziadku! — odpowiedziała babka.

Dziadek niewiele myśląc zaczął leżeć po bobrze w górę prosto, prościusieńko, wylazł do samego nieba i zastukał w bramę. Wyszedł święty Piotr z kluczami, otworzył, spojrział na niego i pyta:

— Czego tam dziadku chcesz?

— Przyszedłem prosić Pana Boga, żeby nam było dobrze.

— A czego to dobrego chcesz?

Miałem porządne gospodarstwo, miałem niebyłe jaką chałupę, ale mi wszystko Pan Bóg zabrał, więc teraz proszę, żeby mi się to wszystko wróciło.

— Idźcie dziadku z Bogiem, będziecie mieli wszystko o co prosicie.

Dziadek powiedział: „Pochwalony“ i zlął z nieba po bobrze na ziemię. Patrzy, a tu przed nim chałupa nowa, jeszcze piękniejsza niż ta, która od pioruna zgorzała. Babka z dziewczkami i parobkami uwija się po podwórzu, krówki ryczą, koniki rżą, owieczki beczą, gęsi gęgają, kogut z kurami wojuje, maciora rozwaliła się w kałuży, ssie ją dwanaście prosiąt, a ona sobie tylko pomrukuje. Patrzy dziadek, a tu na nim kapota i cały odziewek nowy. Ucieszył się i zaraz wziął się do gospodarki.

Żyli sobie teraz dobrze, jedli setnie i gorzałeczkę popijali, ale jakoś po niedzieli mówi dziadek do babki:

— Wiesz ty babko co, wyleżę ja do nieba po bobrze i będę prosił Pana Boga, żeby nam było dobrze.

— A leż dziadku! — odpowiedziała babka.

Dziadek niewiele myśląc zaczął leżeć po bobrze w górę prosto, prościusieńko, wylazł do samego nieba i zastukał w bramę. Wyszedł święty Piotr z kluczami, otworzył, spojrzął na niego i pyta:

— Czego tam dziadku chcecie?

— Przyszedłem prosić Pana Boga, żeby nam było dobrze.

— A czego to dobrego chcecie?

— Chciałbym, żeby mnie Pan Bóg zrobił dziedzicem, a moją starą dziedziczką.

— Idźcie dziadku z Bogiem, będziecie mieli wszystko o co prosicie.

Dziadek powiedział: „Pochwalony“ i zlął z nieba po bobrze na ziemię. Patrzy, a tu przed nim dwór murowany z pięknym gankiem na słupkach; baba wystrojona jak w święto, w czerwonych atlasach, złotych jedwabiach i grzebieniach perłowych; siedzi na ganku, samiusieńskie skwareczki zajada, a herbatą z arakiem popija. Służby wszędzie niemało. Są i panny od śpiewania i sześciu stołowych lokajów i siedem panien pokojowych i kucharka-szafarka. Patrzy dziadek, a tu za nim żupan złocisty, buty czerwone i czapka z białym piórem. Rozsiadł się koło babki, lokaje naleli mu zaraz słodkiej wódki i postawili przed nim całe miski ze szperką i kielbasą smażoną.

Podjadał sobie dziadek tak nieraz, że aż pasa musiał popuścić. Wreszcie jednego razu mówi znowu do babki:

— Wiesz ty babko co, wyleżę ja do nieba po bobrze i będę prosił Pana Boga, żeby nam było dobrze.

— A leż dziadku! — odpowiedziała babka.

Dziadek niewiele myśląc zaczął leżeć po bobrze w górę prosto, prościusieńko, wylazł do samego nieba i zastukał w bramę. Wyszedł święty Piotr z kluczami i pyta:

— Czego tam dziadku chcecie?

— Przyszedłem prosić Pana Boga, żeby nam było dobrze.

— A czego to dobrego chcecie?

— Chciałbym, żeby mnie Pan Bóg zrobił królem, a moją starą królową.

— Idźcie dziadku z Bogiem, będziecie mieli wszystko, o co prosicie.

Dziadek powiedział: „Pochwalony“ i zlazł z nieba po bobrze na ziemię. Patrzy, a tu przed nim zamek olbrzymi z oknami i drzwiami złocistymi, z dachem srebrzystym. Kapela przed zamkiem rżnie takiego marsza, że aż nogi podrygują, a na podwórzu, pięknie wybrukowanym kamieniami, wojacy na konikach hasają. Patrzy, a tu babka siedzi na wysokim ganku, na złocistym stolcu pod baldachimem, w czerwonym płaszczu z białym futrem; na głowie ma złotą koronę, w rękach trzyma berło i jabłko królewskie. Rozdziawił dziad gębę na takie widowisko i stanął jak słup soli. Aż tu przyskoczyli do niego jacyś panowie czy też lokaje i nuż szorować króla w balii z różaną wodą. Potem oblekli go w królewskie szaty i posadzili na tronie koło babki.

Przez jeden dzień i drugi jedli dziad z babą różne morskie ziela i zwierzęta, plackami to zagryzali, a drogim winem i miodem zapijali. Potem wysypiali się na miękkich, złocistych łóżach albo wysiadali na tronach pod baldachimem. Markotno im tylko było, że ciągle zjeżdżali się do nich różni generałowie, naczelnicy, książęta i szlachta i nie dawali im spokoju. Nie byli też dziadkowie przyzwyczajeni do pańskiej strawy i pańskiego trunku, więc ich brzuchy ciągle bolały i w gnatach strasznie łupało. Wiadomo, starość nie radość... więc sobie strasznie takie życie obmierzili.

Jednego dnia na odwieczarz kiedy sami zostali w królewskiej izbie, mówi dziadek do babki:

— Wiesz ty babko co, wyleżę ja do nieba po bobrze i będę prosił Pana Boga, żeby nam było dobrze.

— A leż dziadku — odpowiedziała babka.

Dziadek nie wiele myśląc zaczął leżeć po bohrze w górę prosto, prościusieńko, wylazł do samego nieba i zastukał w bramę. Wyszedł święty Piotr z kluczami, otworzył, spojrzął na niego i pyta:

— Czego tam dziadku chcecie?

— Przyszedłem prosić Pana Boga, żeby nam było dobrze.

— A czego to dobrego chcecie?

— Chciałbym, żeby święci anieli nas do nieba zabrali i tam nam dogadzali we wszystkim.

Ale święty Piotr bardzo się rozgniewał na niego i krzyknął:

— A ty dziadygo zatracony, czego to ci się zachciewa! A byłeś ty u wielkanocnej spowiedzi, a pokutowałeś ze swoją babą za grzechy?

I święty Piotr zaparł tak prędko bramę niebieską, że dziadek potknął się na progu i zaczął lecieć na dół po bohrze. Łapał się rękami za liście i za gałęzie, ale już niedaleko od ziemi bober się złamał i dziadek brzęknął o ziemię. Kiedy trochę oprzytomniał, patrzy, a tu baba w starych gałganach siedzi przy budzie z chrustu i okropnie lamentuje. Patrzy, a tu i on gdzieś w drodze zatracił swoje królewskie odzienie i świeci gołym cielskiem.

Usiadł dziad przy babie i począł płakać tak rzewnie, że z tych jez rzeczka przez Stawiska aż do Wielogóry popłynęła. W pół drogi zrobiło się z tego jezioro, bo dziadkowie z żalu i pokuty sami się w łzach swoich rozplynęli.



O PANU, CO WSZYSTKO STRACIŁ

Był raz jeden pan nadzwyczaj bogaty. Miał olbrzymie lasy dębowe, sosnowe i bukowe, miał dużo ziemi i folwarków, a na nich wszystko, co potrzeba. Miał bardzo wiele, za wiele nawet.

Ten pan srodze pił. I tak najpierw przepił lasy, potem ziemię, potem folwark, a na końcu cały inwentarz. Pił tak długo, aż mu nic nie zostało.

Kiedy się już pozbył wszystkiego, usiadł na fotelu i kazał zawołać do siebie doktora.

Doktor przyjechał, obejrzał go na wszystkie strony, oklepał, osłuchał, kazał wystawić język i wreszcie rzekł, kręcąc głową:

— Nie mogę u ciebie, panie, znaleźć żadnej choroby. Jesteś zdrow jak ryba w wodzie.

— Popatrz no, doktorze — odparł pan — do mojej gardzieli, tam na pewno coś będzie.

Otworzył usta szeroko, jak tylko mógł. Doktor patrzył i patrzył, wreszcie zauważył:

— I w gardzieli nic nie widać!

— Patrz jednak dobrze — zawołał pan — tam napewno musi coś być!

Doktor zajrzał po raz drugi do gardła, patrzył długo i uważnie, ale tak jak wprzódy nie mógł nic zobaczyć i kazał panu zamknąć usta.

Pan medytował i rzekł:

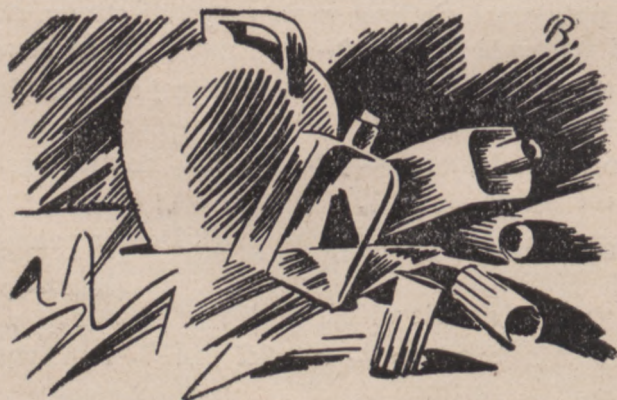
— To dziwne! Przez to gardło szły woły i owce i cały inwentarz. Szły folwarki i budynki, szły drzewa z gałęziami i całe lasy. Myśla-

łem sobie, żeby choć jedna gałązka w moim gardle utknęła, to bym mógł sobie przynajmniej kij dziadowski z niej urznąć. Ale kiedy nie zostało, to i tak musi być dobrze. Włożę ubranie żebracza i

*pójdę od domu do domu
patrzeć, czy zostało co w garnku komu?*

Skrzywdziłem żonę i dzieci, wykierowałem ich na dziadów. Teraz wezmę torbę i pójdę śpiewając:

*Gdy gorzaleczka spalona,
Leci w gardło jak szalona.
Gorzalka rodem z piekła
Od Lucypera uciekła.
Gorzaleczka wielki złodziej
Zegnała nam ojców z roli.*



MRÓZ, SŁOŃCE I WIATR

Nie wiadomo, kto jest silniejszy: mróz, słońce czy wiatr. Ludziska różnie sobie o tym opowiadają. Oto dwie takie ucieszne historie.

Pewnego razu słońce i wiatr założyli się kto z nich mocniejszy? Radzili długo, aż wreszcie zgodzili się, że tego się uzna za mocniejszego, kto wędrownikowi idącemu właśnie drogą potrafi zdjąć płaszcz.

Wiatr zaczął zaraz mocno wiać, ale wędrowny trzymał swój płaszcz tak mocno, że go wicher nie mógł zrzucić. I coraz mocniej wiał wiatr, aż człowiekowi zrobiło się chłodno. Owinął się tedy szczelnie w płaszcz i powoli szedł dalej. Tymczasem drzewa się gięły, gałęzie łamały, ale mimo to wiatr nie mógł swego celu osiągnąć. A kiedy wędrowiec opasał się rzemieniem, wiatr poznał, że nic już nie poradzi i rzekł do słońca:

— Teraz ty spróbuj!

Słońce zaczęło świecić, a człowiek zaraz odpasał rzemień i uchylił płaszcz. Słońce paliło coraz bardziej, chłopu było już tak gorąco, że musiał zdjąć płaszcz i powiesić go na rzemieniu.

W ten sposób słońce wygrało zakład.

Innym razem zbiegli się razem mróz, słońce i wiatr na takim miejscu w polu, gdzie spotkali się z młodą dziewczką.

Zapytali się jej po kolei, który z nich jest najładniejszy. Okazało się, że dziewczce najlepiej wiatr się podobał.

Wtedy mróz się rozgniewał i tak rzekł do dziewczyny:

— Ja cię za to przemrozę!

Ale wiatr ją zaraz pocieszył:

— Nie bój się dziewczyno, mnie tam nie będzie.

— A ja cię spalę! — powiedziało słońce.

— Nie bój się dziewczeczko — przemówił znowuż wiatr — ja tam będę!

I to jest prawda. Mróz bez wiatru nie umrozi, a słońce nie spali, kiedy jest wiatr...



PAJĄK I MUCHA

Był raz jeden król bardzo pyszny. Po prostu zdawało mu się, że wszystkie rozумы sam pojadł. Nie było takiej sprawy, której by wedle własnego mniemania nie rozsądził. A jeśli coś postanowił, nie znosił najmniejszego sprzeciwu. Był w sobie tak podufały, że często ważył się nawet ganić Pana Boga.

Na ten przykład, bardzo much i pajaków nie lubiąc, często dowodził:

Powiadają, że Pan Bóg wszystko na świecie mądrze urządził, ale po cóż Pan Bóg stworzył muchy i pająki, przecież to plugastwo na nic nikomu nie przydatne.

I stało się tak, że temu królowi drugi król wypowiedział wojnę. Długo zmagali się ze sobą, aż mu tamten wszystkich dowódców wybił co do nogi. Nie było innej rady tylko sam musiał objąć komendę nad swoim wojskiem. Wkrótce jednak okazało się, że nie było już komu słuchać jego rozkazów. Wojsko się rozprószyło. Jednych zabiłi, drugich wzięli do niewoli, a reszta nie była zdatna do boju. Niebawem i na niego przyszła kolej. Zastępy nieprzyjacielskie otoczyły króla razem z garścią ostatnich wiernych żołnierzy. Podczas rozpaczliwej obrony wszyscy oddali głowy pod miecz, tylko jemu jednemu udało się przerąbać przez nieprzyjacielskie szyki i zbiec.

Uciekał, uciekał przez kilka dni wciąż narażony na niebezpieczeństwo, aż wreszcie wpadł do jakiegoś przylasku. Był wtedy już tak niezmiernie zmęczony, że nie miał siły wlec się dalej. Został tedy w tym miejscu i tak sobie powiedział:

— Niech się dzieje co chce, położę się i będę spał.

Ledwo przytknął głowę do ziemi, zasnął jak zabity. Tymczasem nadciągnęli nieprzyjacielscy żołnierze, którzy ścigali pobitego króla, tropiąc go tak zawzięcie, jak ogary ranionego zwierza. Po drodze wypytywali ludzi, czy nie widzieli, którądy uciekał. I właśnie od najemników pracujących na polu dowiedzieli się, że król przechodził tamtędy i ukrył się w gajku. Ucieszyli się bardzo i poczęli wołać jeden do drugiego:

— Teraz on już nasz!

Część wojska otoczyła lasek, a reszta weszła do środka, jeden koło drugiego, tak, aby nie mógł wymknąć się im z matni. Tymczasem król nie przeczuwał grożącego mu niebezpieczeństwa, tylko spał twardo, nic nie słysząc.

Kiedy żołnierze nieprzyjacielscy podchodzili coraz bliżej, przyleciała mucha i ucięła go w twarz raz i drugi. Odganiał się przez sen, wymachiwał rękoma, ale mucha cięła coraz mocniej i mocniej. Wreszcie obudził się, zaklął brzydko i zawołał:

— Jeszcze i tu mi spokoju nie dajesz?

Ułożył się znowu do spania, lecz mucha ugryzła go z całej siły.

Nie zdołał już wytrzymać bólu i zerwał się na równe nogi.

Wtem doszedł go jakiś odgłos podejrzany, jeden, potem drugi. Zaczął nadśłuchiwać coraz uważniej, a tu idzie po gaju szum wielki i gwar, coraz bliżej i bliżej. Poznał wreszcie, że to wojsko nieprzyjacielskie nadciąga oblawą, aby go wolności i życia pozbawić.

— Teraz już — zawołał z rozpaczą — teraz nic mi nie pomoże. Zabiorą mnie jak swego, bo nigdzie się ukryć przed nimi nie zdołam . . .

Wtem patrzy, a tu koło niego widać jamę lisią, wykopaną pod drzewem. Nie wiele myśląc schował się do niej i leżąc cichutko czekał, co się stanie. Patrzy, aż tu niespodziewanie zjawił się pająk i począł snuć, snuć szybko siatkę pajęczą. Pracował tak długo, aż zasnuł cały otwór jamy. Kiedy żołnierze nieprzyjacielscy zjawili się, zaraz poznali, że właśnie tutaj leżał i wypoczywał. Świadczyła o tym także chusteczka, którą niebacznie zostawił.

— Był tutaj — mówili — złapiemy go, przecież nigdzie daleko ujść nie mógł.

— Chodźcie, poszukamy go!

A jeden z żołnierzy pokazał jamę lisią i zapytał towarzyszy:

— Patrzcie, a może on wlaź do tej dziury?

— Trzeba albo kopać albo strzelać!

— Tu go nie ma na pewno — dowodzili drudzy — tu przecie otwór pajęczyną zarobiony. Gdyby wchodził, musiałyby przerwać siatkę...

Te słowa trafiły wszystkim do przekonania. Ruszyli dalej i nie znaleźli króla.

Kiedy okazało się, że uniknął niebezpieczeństwa, wyszedł z jamy i westchnąwszy głęboko, rzekł:

— Człowiek do śmierci rozumu się uczy. Wybacz Panie Boże mnie grzesznemu, który nazywałem niepotrzebnym to właśnie, co mi życie ocaliło...



ORKA URZĘDOWA

Jeden chłop oddał swoją sprawę adwokatowi. Kiedy po pewnym czasie przyszedł do jego kancelarii, okazało się, że ze sprawy wyrosła gruba plika papierów, za które trzeba było zapłacić dużo pieniędzy.

Chłop obejrzał tę pisaninę i rzekł wzdychając:

— Panie tu wszystko jest tak bardzo rzadko pisane, a tak drogo kosztuje. Czy nie możnaby napisać trochę gęściej?

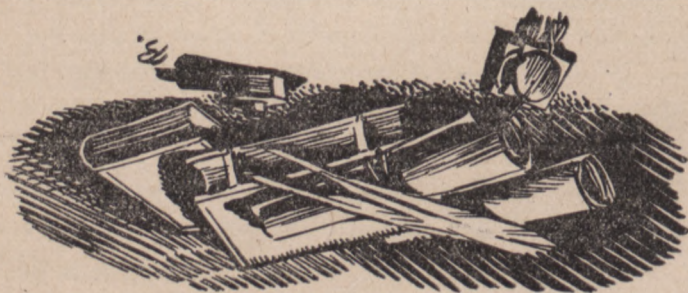
— Moi kochani — odrzekł adwokat — na tym wy się wcale nie rozumiecie. To jest właśnie pismo urzędowe. Jeżeli brakuje wam pieniędzy, możecie mi w zamian zorać kilka morgów mojej roli.

Chłop przystał na to i niebawem zabrał się do orki, orał jednak tak, że skiba od skiby była przynajmniej na łokieć.

Kiedy adwokat przyjrzał się chłopskiej robocie począł wołać:

— Ej, ej, to jest partanina, nie robota!

— Pan się na tym nie zna — odpowiedział chłop — to jest właśnie orka urzędowa...



TANECZNICE

Ludzie, którzy wrócili z jarmarku, opowiadali, że pachołkowie-
miejsy i tym razem coś nowego wybębniłi na rynku. Mianowicie
król tego kraju szukał takiego mądrali, który by umiał odgadnąć,
czym żywią się jego owce?

Wiść o tym przedostała się także do pewnego gospodarza i jego
trzech synów.

— Czy warto pytać o taką drobnostkę? — zawołał syn najstar-
szy. — Głupi król, który nie wie co żrą jego owce. Pójdę i powiem
mu, nie trudno mi chyba będzie dowiedzieć się.

Od razu ruszył w drogę do zamku. Król kazał mu pędzić owce za
wielką wodę i dobrze uważać na to, co się będzie działo. Po drodze
najstarszy syn spotkał wiekową kobietę, która zapytała go, dokąd
wędruje.

— Stul pysk, stara czarownico! — zawołał hardo! — Diabli ci do
tego!

Pędził owce dalej, aż przyszedł do wielkiego jeziora, nad brzegiem
którego leżał olbrzymi kamień. Największy baran z trzody pomknął
w tę stronę i trzasnął rogami o głaz potężny. Wówczas jezioro roz-
warło się, a owce zniknęły bez śladu.

Najstarszy syn zasmucił się i nie wiedział co robić, ale po chwili
woda zaszumiła, toń rozdzieliła się, ukazując wolną przestrzeń i oto-
wyszła stamtąd gromada owiec. Najstarszy syn bardzo się ucieszył,
narwał trawy wraz z koniczyną i popędził stado do królewskiego
pałacu.

— Czemże się żywią moje owce? — zapytał król.

— Trawą i koniczyną — odpowiedział mądry syn.

— Tego moje owce wcale nie jedzą — rzekł król, po czym zawołał żołnierzy i kazał najstarszemu z trzech braci oberżnąć nos i uszy. Wrócił tedy ze wstydem do domu i opowiedział o swojej przygodzie.

— Ty głupcze — rzekł drugi syn, który nazywał się Walenty — ty nie wiesz co owce żrą, teraz ja pójdę do króla i rozwiążę zagadkę.

Chytremu Walentemu nie poszło jednak lepiej jak najstarszemu bratu. Po dobnie jak tamten ofuknął starą kobietę, a królowi powiedział, że owce żrą siano. Wrócił do domu tak samo oszpecony.

Wówczas najmłodszy syn, któremu na imię było Kuba i który za głupiego uchodził, rzekł do ojca:

— Teraz na mnie kolej!

— Idź, skoro koniecznie chcesz, ale chyba nie okażesz się lepszy od twoich braci.

Kuba poszedł do zamku, a król kazał mu pędzić owce za wielką wodę. Po drodze spotkał starą kobietę, która zapytała, dokąd go Bóg prowadzi?

— Sam nie wiem — odpowiedział grzecznie — dokąd owce ciągną? Król nakazał, abym powiedział, co one będą jeść. Ale któż może wiedzieć, co się w tym kryje?

— Kiedy przyjdiesz nad brzeg jeziora — powiedziała starka — uważaj na największego barana. Kiedy on uderzy rogami o wielki kamień, skocz na niego i trzymaj się z całej siły wełny na grzbiecie. Zobaczysz potem bardzo dziwne sprawy. Pewno ci się wszystko jak najlepiej powiedzie, bo z ciebie miły i grzeczny chłopiec.

Kuba podziękował i szedł dalej. Nad jeziorem skoczył zaraz na wielkiego baarna i trzymał go się mocno. Jezioro rozwarło się i najmłodszy syn wjechał na baranie pomiędzy ścianami wody. Owce ciągnęły dokoła, aż wreszcie weszli wszyscy do wielkiego kościoła. Kiedy całe stado uklęknęło koło ołtarza i wszystkie owce stały się ludźmi, baran poszedł do zakrystii i wyszedł stamtąd w księżym ornatie. Natychmiast zapłonęły świece i rozpoczęło się nabożeństwo. Ktoś służył do mszy i raz po raz potrząsał dzwonkiem, ktoś inny grał na organach. Kuba siadł w ławce i modlił się ze wszystkimi, a po skończonym nabożeństwie z całą gromadą przystąpił do spowiedzi i do komunii. Hostii jednak nie połknął, tylko przezornie wyjął ją z ust i schował w chustce do kieszeni.

Po tym wszystkim ksiądz i ludzie stali się znowu owcami. Kuba dosiadł barana i bez szwanku przejechał jezioro, a potem pędził stado do królewskiego pałacu.

— Cóż jedzą moje owce? — zapytał król.

Kuba wyciągnął chustkę, pokazał hostię i odpowiedział:

— Oto jest pożywienie twoich owiec...

Kiedy Kuba wypowiedział te słowa, w tej samej chwili owce stały się ludźmi i cała gromada została wybawiona raz na zawsze.

Król bardzo się ucieszył i rzekł do szczęśliwego pasterza:

— Podaruję ci wszystko, co chcesz, powiedz mi tylko jakie jest twoje życzenie?

Ale Kuba prosił króla, aby mógł tę sprawę odłożyć do jutra, postanowił bowiem poradzić się starej kobiety, której zawdzięczał powodzenie. Znalazł się w tym samym miejscu przy drodze i kiedy opowiedział o wszystkim, starowina rzekła:

— Proś króla o koszulę, ale weź trzecią z tych, które ci pokaże. Będzie to koszula cudowna i przyda ci się doskonale w następnej okazji.

Na drugi dzień stanął przed królem i oświadczył, że potrzebuje koszuli, bo ta, którą ma na grzbiecie, podarła się już zupełnie.

Król kazał mu podać jedną i drugą, ale pierwsza była za mała, a następna za duża. Wziął dopiero trzecią, podziękował i wrócił do domu.

Tutaj nikt nie wierzył, że był u króla, skoro przyszedł z całym nosem i nietkniętymi uszami. A kiedy pokazał koszulę, ojciec i bracia wysmiewali się z głupiego, że zadowolił się tak lichym podarkiem. Skoro jednak włożył tę koszulę na siebie, okazało się, że była to naprawdę rzecz cudowna, bo Kuba natychmiast zginął z oczu i stał się jak duch niewidoczny.

W jakiś czas po tych wydarzeniach, przysłała do wsi wiadomość, że król z dalekiego kraju szuka takiego śmiałka, który by wypatrzył jakim sposobem jego córki drą co noc po kilkanaście par nowych trzewików.

— To coś dla mnie! — zawołał Kuba, wziął ze sobą cudowną koszulę i ruszył w drogę.

Długo wędrował, aż zaszedł do miasta, którego szukał. Zanim udał się na zamek królewski, wstąpił do karczmy, aby przed tym zasięgnąć języka. Okazało się, że król ma trzy córki, jedną piękniejszą od drugiej. Córki te mimo silnej warty co noc z sypialni swojej znikają i pojawiają się dopiero nad ranem — zmęczone, jakby stańczone i wyhulane. A co najdziwniejsza, każdej nocy zabierały ze sobą po dwanaście par nowiuteńkich, złocistych trzewików i wracały

w jednym tylko obuwiu srodze podartym. Nie można było na to nic poradzić. Ani prośbą, ani groźbą nie dało się wydobyć od pięknych panien, gdzie były i co robiły.

Król wielce tymi sprawami zmartwiony ogłosił, że ten, który zbada conocne praktyki jego córek, otrzyma sowitą nagrodę. Niestety nikomu nie udało się tego dokonać. Wówczas król podniósł swoją nagrodę aż do połowy królestwa i ręki jednej z panien. Z góry jednak zapowiedział, że kto się o to pokusi, a nie poradzi, głową przypłaci nieudaną próbę. Zgłosiło się kilku odważnych rycerzy, ale żadnemu nie udało się upilnować królewskich córek i wszyscy postradali życie.

Wysłuchawszy tego wszystkiego ruszył Kuba do zamku. Z trudem udało mu się stanąć przed obliczem królewskim, gdyż z powodu niepokaźnego wyglądu, warta i dworzanie niechętnie go przepuścili. Skoro jednak powiedział, że podejmuje się wyśledzić, gdzie się podziewają panny wśród nocy, król ucieszył się, że wreszcie ktoś, choć mizerak, podjął przepadłą sprawę. Zaraz wezwał do siebie córki, aby Kuba obejrzał sobie dokładnie te, których miał doglądać. Przyszły piękne panny, roześmiane i swawolne, a dowiedziawszy się, że znalazł się jeszcze jeden taki, co chce próbować szczęścia, od razu zaczęły z niego podrwiwać. Zwłaszcza dwie starsze nie żałowały Kubie najprzykrzejszych docinków i obiecywały, że już na drugi dzień powędruje na kwaśne piwko do Abramka.

Tymczasem zapadł wieczór, a z nim czas próby. Król kazał zaprowadzić Kubę do pokojów królewien i zostawić go tam samego. Chłopak nie w ciemną bitą od razu położył się spać na pierwszym lepszym łóżku, udając, że śpi jak zabity. Niebawem zjawiły się piękne panny i zaczęły próbować, czy naprawdę sen zmorzył pociesznego zalotnika. Najpierw podtykały mu pod nos smaczne kaski i wyborne trunki, a potem zaczęły go laskotać, to znów szczypać, a nawet kłuć szpilkami.

Kuba wytrzymał wszystko i nie drgnął nawet, tak niby spał twardo. Dopiero około jedenastej, zerkając spod oka zobaczył, że panny przygotowują się powoli do jakiejś tajemniczej wyprawy. Drzwiami wyjść nie mogły, bo wszędzie warty pilnowały przejścia, musiały tedy mieć do swego rozporządzenia inną drogę, swobodną i pewną, skoro nie znać było po nich ani pośpiechu, ani niepokoju. Powoli jedna drugiej trefiła włosy, a potem ubierały się w strojne, balowe suknie z obnażonym gorsem, a wreszcie przygotowały zwy-

kły zapas trzewików. Kiedy już niczego nie brakowało, najstarsza panna wyjęła z szuflady słoik z jakąś maścią i oto wszystkie posmarowały sobie nagle ramiona.

Ani się Kuba nie spostrzegł, aż tu cichutko wylatywały jedna po drugiej dziurką od klucza. Nie tracąc czasu włożył cudowną koszulę i w ten sam sposób co panny użył pozostawionej maści. Natychmiast porwała go siła niewidzialna, wydzwignęła na pałac królewski i nieść poczęła ponad górami, lasami, gdzieś hen, w świat daleki. Z zadowoleniem zobczył, że przed nim leciały trzy królowny, leciały wysoko do wielkich ptaków podobne.

Ta podróż nadpowietrzna trwała tak długo, aż wreszcie rozstały się chmury i w słabym świetle księżycy ukazała się bezmierna przestrzeń lasów. Nadlecieli bliżej i oto zabłyśły ogniste światła. Panny zaczęły się obniżać, a za nimi Kuba. Niebawem wszyscy stanęli przed szklanym pałacem, z którego biła jasność, skąd słychać było dźwięki tanecznej muzyki, okrzyki żwawe i śpiewanie. Przed wejściem czekało trzech fircykowatych galantów, którzy przywitani królowny, jak dobre znajome. Weszli wszyscy do środka, a za nimi Kuba w cudownej koszuli, dzięki której, sam niezauważony, mógł wszystko oglądać.

Dziwny to był pałac i dziwna sala balowa.

Zamiast lamp świeciły trupie głowy z jarzącymi się oczyma, a cała podłoga wyłożona była ostrymi brzytwami i nożami. Zatrwożył się Kuba na ten widok niesamowity, ale nic, czeka co będzie dalej. Trzech szarmentów od razu porwał panny do tańca. Kuse mieli fraczki, poruszali się lekko i zwinnie, jakby stąpali na kurzych stopkach. Wydawało się nawet Kubie, że trójgraniastymi kapeluszkami przysłaniaли różki, a w pantalonach chowali ogony. Zaczęli hulać, przytupywać i tak rażno obracać się w kółko, że aż w oczach migało.

Po niedługim czasie każda z panien wyrzuciła przez okno po jednej parze obuwia z posiekanymi podeszwami i włożyła nową. Kuba poprzestał już na tym, wyszedł z pałacu, wziął na znak swojej tutaj bytności kilka podartych, złocistych trzewiczków i wyruszył na oglądanie ogrodu, który skrzył się w blasku księżycy niby zbiór najprzedniejszych klejnotów. Rosły tu drzewa niezwyklej piękności. Pnie i konary były miedziane, gałązki złote, liście srebrne, a zamiast owoców zwieszały się całe kiście lśniących pereł. Kuba odłamał kilka takich odrośli i wrócił do pałacu, gdzie zabawa miała się już ku końcowi.

Panny siedziały ze swoimi zalotnikami w jednym z bocznych pokojów. Chrupali razem jakieś przysmaki, ale więcej jeszcze było słówek tkliwych, spojrzeń wymownych, uśmiechów zalotnych i namiętnych pocałunków. Królowny zapatrzone w kawalerów niczego nie widziały, nieświadome z kim właściwie mają do czynienia. Wszyscy razem wyśmiewali się z przybłądy, który podjął się pilnować pannen, a teraz na pewno chrapie na łóżku i jutro da głowę pod topór katowski. Wreszcie postanowili zgodnie, że spotkają się dopiero na drugim nowiu. Wówczas to odbędzie się uroczyste wesele i panny nigdy już więcej nie wrócą do domu.

Kuba przyleciał przed nimi do królewskiego pałacu, położył się na łóżku i znowuż udawał, że śpi smacznie. Po chwili wszystkie trzy panny wleciały dziurką od klucza i przechodząc koło niego na palcach, śmiały się zadowolone, że go tak łatwo wywidły w pole. Kuba zaś śmiał się tym lepiej po cichutku.

Na drugi dzień rano król kazał przyjść do siebie trzem córkom i Kubie.

— Upilnowałeś ich? — zapytał.

— Upilnowałem! — odpowiedział Kuba.

— Jakież dowody możesz na to przedłożyć?

Kuba wydobył podarte trzewiki, a potem położył na stole królewskim kilka złotych gałązek ze srebrnymi listeczkami i gronami pereł. Wreszcie opowiedział, co się działo wśród nocy ostatniej od początku do końca.

— Ci trzej kawalerowie — zakończył — to diabli z piekła, którzy na przyszłym nowiu chcą porwać królewskie córki na wieczyste zatracenie.

Panny z początku śmiały się z Kuby, potem zaczęły się gniewać i zaprzeczać wszystkiemu. Trudno im było przecież pogodzić się z myślą, że szarmanccy kawalerowie, którzy im tak bardzo do serca przypadli, z piekła byli rodem. Wreszcie pojęły prawdę i wówczas rozplakały się strwożone, rozumiejąc jak bardzo niebezpieczne były te nocne przygody. Postanowiły wyrzec się raz na zawsze podróży do szklanego pałacu, gdzie łatwo było nie tylko złociste trzewiki podrzeć, ale i duszę nieśmiertelną zgubić. Na znak skruchy prawdziwej najstarsza córka oddała królowi podarunek: pudełko z czarodziejską maścią.

Obawiano się jeszcze terminu umówionego z piekielnymi zalotnikami. Kiedy nastał księżyc na młodziku, dziwna jakaś trwoga opanowała tym razem dusze ludzkie w całym królestwie.

Przypominano sobie, że kiedy nowy miesiącek wschodzi, święty Jerzy zawsze odpoczywa i przestaje grać na chwałę Boską. Furta do nieba jest wtedy przymknięta, a czarownice o tej porze dowolnie swawolić mogą i zawierać pakt z diabłami. Wszystkie czary, wszystkie uwziątki złych duchów odbywają się ze wzmożoną siłą wówczas, kiedy na niebie pojawia się błądy sierp księżyczka.

Jedni tedy, chcąc odegnać nieszczęście, modlili się na polu:

*Witaj księżycu,
Niebieski dziedzicu!
Tobie w niebie korona,
A nam na ziemi fortuna!*

Drudzy zaś zaklinali:

*Witaj miesiącku nowy,
Niech nas nie bolą głowy!*

Najwięcej jednak strachu było tym razem na zamku królewskim. Panny przyrzekły przecież diabłom wesele na nowiu.

Czekano tedy na nich przy zapalonych świecach, z kredą trzechkrólową, wodą święconą i stosownymi zaklęciami. Żaden jednak z biesów nie pojawił się, tylko pewnej nocy straszliwa burza rozszalała się nad królewskim zamkiem; potem jednak piękna pogoda i pełnia księżyca natchnęły strapione serca ludzkie ufnością i wiarą.

Król postanowił słowa dotrzymać i oddać Kubie połowę królestwa wraz z ręką jednej córki. Kuba wybrał najmłodszą, z nich trzech najlepszą. Wkrótce odbyło się wspaniałe wesele, na które naspraszano gości ze wszystkich stron świata.

I ja tam byłam i wino piłam a wystroiłam się bardzo pięknie, bo miałam na głowie kapelusz z masła, ubrałam się w papierową suknię, a na nogi włożyłam szklane buciki. Zaprosił mnie jakiś galant do tańca i kiedy z nim wywinełam hołupca nadepnął mi tak mocno na nogi, że stłukły się moje piękne trzewiki. Od wielkiego gorąca roztopił się kapelusz i masło zaczęło kapać na suknię, która rozlała się od wielkiej wilgoci. Więc czym prędzej uciekłam z tego balu i takem biegła, ażem tu przybyła i jestem...

BYSTROWIDZ

Był raz we wsi chłopak, który koniecznie chciał zostać księdzem, chociaż wydawało się, że niemrawa z niego i niedbaluch. W domu tak wszystkim o to głowę suszył, aż wreszcie matka zaprowadziła go na plebanię i zaczęła prosić jegomościa, aby go najpierw wyegzaminował — czy on właściwie jest zdatny na księdza czy też nie? Kiedy proboszcz popatrzył na takiego smarkacza, co to się ani mył, ani cesał porządnie, zaraz sobie pomyślał: „Czekaj błaznie! ja się tu zaraz wyegzaminuję, że ci się raz na zawsze odechce być księdzem“.

A matka tego chłopaka stała i czekała co z tego wyniknie. Tak dopiero ksiądz zapytał chłopaka:

— Skoroś ty mój kochany taki mądry, że chcesz księdzem zostać, to powiedz mi mój kochany, co to jest bystrość?

— Hm! bystrość — odpowiedział rezolutnie chłopak — to jest coś takiego niby góra wysoka a spadzista, że w żaden sposób na nią wyleźć nie można.

Jegomość na tę odpowiedź uśmiechnął się i mówi:

— Głupiś ty mój kochany z twoją górą jak, nie przymierzając, młody pies. Bystrość to jest ogień, bo jak się gdzieś pali, to jak płomienie zaczną bić w górę, jak się luna robi, to ją o parę mil widać wokoło. Więc to jest bystrość, a nie żadna góra, mój kochany. Ale to nic, a teraz mi powiesz co to jest radość?

— Hm! radość — odpowiada chłopak wciąż rezolutnie — to jest uciecha. Jak się serce rozweseli to jest radość i tyle.

— Oj głuptaku! głuptaku! — mówi na to proboszcz — i tobie być księdzem? Tobie? Dyć ty nic a nic nie rozumiesz! — Matka chłopaka tylko głową kiwa, a jegomość dalej prawi: — Aby się serce rozwe-

seliło musi być najpierw przyczyna. Ot widzisz, kiedy zboże obrodzi, kiedy ziarno dobrze sypie, a na drzewach pełno jabłek, śliwek, gruszek, kiedy w stodołach pełno snopków, w siasiekach dużo ziarna, to jest radość, to jest uciecha, wtedy się serce raduje. — Nic nie umiesz mój chłopcze, strasznie z ciebie zakuta pała, ale skoroś tu już przyszedł, aby cię wyegzaminować, to cię jeszcze zapytam, co to jest obfitość?

Chłopak pomyślał sobie, że trzeba chyba z innej zacząć beczki. Skoro ksiądz tak go zdradliwie pyta, to trzeba mu zdradliwie odpowiadać, inaczej bowiem strasznie go przed matusią zbrabrze. Namyślił się chwilę i rzecze:

— Ano obfitość... to jest pełno zboża w siasiekach, po sadach pełno owoców, po lasach pełno jagód, w stajniach przychówek wielki i w żrebakach i w cielakach...

— Oj, miała twoja matka przychówek w cielakach — przerwał mu jegomość — kiedyś ty na świat przyszedł! To ty myślisz, że powtarzać za panią matką cały pacierz gładko, to już wystarczy na księdza? Żebyś nie uważał na to, żeś jeszcze brewiarza nie skończył, to bym cię tak kijem wymłócił, żeby ci się egzaminu odechciało. Słuchajże gluptasku! Obfitość to jest woda, bo jej najwięcej na świecie i w studniach i w rzekach i w morzach. Wszędzie jej pełno. Widzisz chłopaku jakiś głupi, niczym kot co świeczkę zjadł, a po ciemku siedział. No, ale żebyś tępa głowo nie myślał, że z prostej zazdrości nie chcę ciebie na księdza przypuścić, to ci jeszcze jedno zadam pytanie. Namyśl się, bo inaczej znowu strzelisz jak kulą w płot. Hm, kiedy tak, to powiedz mi co to jest bystrowidz?

Chłopak myślał, że się go jegomość na ostatek Bóg wie co zapyta, a tu takie łatwe pytanie usłyszał. Tak się strasznie zadumał i zaczął medytować, w czym tu jest podrywka? Medytuje i medytuje długo, wreszcie powiada:

— Ano ja myślę, że tu nie ma co dużo marudzić, bo bystrowidz to jest taki co bystro widzi, niby mój tatuś co jak wyjdzie za chłupę, to widzi i pół mili, czy mu ktoś w lesie koło młodych świerczków bydła nie pasie.

A tu jak jegomość nie skoczy na chłopaka, jak go nie lunie po karku.

— Co ty ośle będziesz ojca twojego do kota przyrównywał? A czwarte przykazanie? A ty błażnie zatracony! To takie masz uszanowanie dla rodziciela?! Bystrowidz to jest kot, bo w nocy widzi, rozumiesz mnie pokrako zatracona!

I nuże na chłopaka, a matka też jak nie skoczy na syna, jak się nie przymierzy, jak go nie bęćnie przez plecy, aż zadudniało.

— Tobie palcem w nosie dłużyć, a nie księdzem zostać, psianogoty jedna!

Chłopakowi w oczach świeceki stanęły, pocałował jegomością w rękę i poszedł, a za nim szła matka, która go przez całą drogę poszturchiwała. Kiedy ojciec dowiedział się w domu o egzaminie, ręki też nie żałował.

Ano chłopak został w domu, ale serce go okrutnie na jegomością bolało i tylko nad tym przemyślał, jaką by tu pomstę wyrzucić za ten egzamin.

Nareszcie raz, kiedy proboszcz odmawiał sobie brewiarz na ganuku przed plebanią, przystępuje do niego ten sam chłopak, kłania się nisko i powiada:

— Polecał bystrowidz z bystrością do radości, a jak nie będzie obfitości, to będzie po radości, proszę jegomości.

— Co? co? co ty gadasz powsinogo?

— Widać, że jegomość zapomniał o naszym egzaminie, skoro mnie nie rozumie. Przecież gadam, jak się patrzy i jak nie będzie duchem obfitości, to będzie po radości.

— Idźże błaznie zatracony ze swoimi zagadkami skądżeś przyszedł, bo jak cię przeskrobie palicą, to ci się egzamin przypomni!

— Ha no! skoro jegomość ma taką krótką pamięć, to mu muszę objaśnić. Właśnie bystrowidz to jest kot... z bystrością to jest z ogniem — bom mu do ogona przywiązał zapalony wiecheć słomy — polecał do radości, to jest do stodół jegomości, a jak nie będzie obfitości, to jest wody, to będzie po radości, bo się spalą stodoły i zboże księdza jegomości.

— O raję, o Boscy święci! — zawołał proboszcz, a tu z dachu stodoły fu-fu-fu! Ogień był już na wierzchu i nie pomógł ratunek. Wszystko się do szczytu spaliło.

Upłynęło od tego czasu kilka dni. Razu jednego kiedy matka tego chłopaka przechodziła koło plebanii, zawołał ją do siebie jegomość i tak do niej powiedział:

— Waszego chłopaka możecie już teraz oddać do szkół, skoro się tak strasznie na tego księdza napiera. Widzi mi się, że się na nim przy egzaminie nie poznał.

No i oddali tego chłopaka na naukę, no i dwie dziurki w nosie i skończyło się.

MATKA ŚW. PIOTRA

Nieraz słyszy się ludzi mówiących ze wzruszeniem ramion:

— Dla zawiści w niebie nie być!

Albo też używają jeszcze takiego powiedzenia:

— Zazdrosny jak Piotrowa mać.

W przysłowiach odzywa się zwykle jakaś mądrość, ale ta mądrość bywa czasami zapomniana. Nie każdy na przykład słyszał o matce św. Piotra. Nie zna jej biblia, istnieje natomiast legenda niegdyś szeroko u nas rozpowszechniona, którą przypomnieć warto.

Święty Piotr jako najstarszy apostoł był w wielkich łaskach u Pana Jezusa i przez życie pobożne niebo sobie zasłużył. Matka jego natomiast wcale nie była podobna do syna. Nikomu dobrego słowa nie powiedziała, żadnemu biedakowi nic nie podarowała, przy lada okazji paskudnie klęła i pomstowała. Kiedy więc umarła, diabli ponieśli ją prosto do piekła. Święty Piotr zostawszy po śmierci klucznikiem niebieskim, jako syn przykładny, bardzo nad tym bolał, że jego matka rodzona, grzesznica-wielka siedzi razem z potępieńcami. Prosił więc z całego serca Pana Jezusa, aby wybawił matkę z mąk piekielnych.

— Jakże mogę tego dokonać — odpowiedział Pan Jezus — skoro twoja matka miała w sobie więcej złości niż w człowieku kości? Gdybyś znalazł w jej życiu choć jeden dobry uczynek, możnaby przezeń duszę twojej matki wyprowadzić z piekielnych otchłani.

Święty Piotr udał się zaraz do piekła, aby wypytać matkę, czy kiedykolwiek nie zrobiła czegoś dobrego, czy nie dała biedakowi choćby jakiejś drobnostki.

Matka świętego Piotra długo myślała i zdawało się już, że nie ma żadnej obrony, aż wreszcie przypomniała sobie, że raz jednego człowieka chodzącemu po prośbie rzuciła bączek*) cebuli.

Kiedy Pan Jezus dowiedział się o tym, rozkazał świętemu Piotrowi:

— Idźże teraz, podaj matce ten bączek, niech się go mocno chwyci i tym sposobem będziesz mógł ją wyciągnąć do nieba.

Święty Piotr położył się na skraju głębokiej studni piekielnej i spuścił matce na długim węzłowatym sznurze szczypiór, który ona zaraz pochwyciła.

Skoro inne duszyczki potępione zobaczyły co się dzieje, chciały także skorzystać z okazji i wydostać się z okrutnej niewoli. Naczeptało się ich co niemiara, wisiały jedne na drugich niby pęki owoców. Niewiele brakowało, a święty Piotr mógłby wybawić prawie całe piekło. Ale matka jego tak, jak za życia, była i po śmierci chyttra i zła. Skoro zobaczyła, co robią dusze potępione, rozłościła się i zaczęła wołać:

— Nie wyście dały cebulę, tylko ja dałam. Nie dla was mój syn u Pana Jezusa łaskę zbawienia wyprosił. Odczepcie mi się stąd!

Tymczasem przerażone duszyczki wołały żalnymi głosami:

— Weź mnie, weź i mnie!

Wtedy matka świętego Piotra zaczęła otrząsać się, wierzgać nogami i krzyczeć z całych sił:

— Nie wezmę was, nie wezmę! Nie dla was niebo, a wy potępieńce, a zaraz mi do piekła z powrotem!

I w zapamiętaniu zaczęła spychać jedną duszyczkę po drugiej. Ale cóż się dzieje? Im więcej duszyczek ze sznura odpadało, tym cięższy się on stawał i cięższy, tak, że święty Piotr ledwo mógł urządzić. A kiedy ostatnia dusza została strącona, ciężar stał się tak olbrzymi, że urwało się wszystko i razem z matką świętego Piotra spadło w bezdenność piekła, skąd już żaden głos nie dochodzi do nieba.

I siedzi ona w otchłani piekielnej na zawsze potępiona, a święty Piotr choć ciągle prosi, nic już od Pana Jezusa dla matki swej uzyskać nie może.

Teraz jeszcze kiedy jakaś zła kobieta nikomu nic dać nie chce i sama nie spożytkuje, mówią o niej:

— To Piotrowa mać!

*) Łodyga.



DIABELSKIE ZALOTY

Strala czyli srala jest to jeden z diabłów, który ludziom różne psoty płata, a czasami nawet przebijając miarę figlów, potrafi kogoś sturbować lub do złego skusić. Jako największy między diabłami tancerz przeszkadza on ludziom w postaci fali czy też promienia wiru lub wiatru. Nieraz kręci się w kółko, podczas żniw po polu zrywa garści zboża, mierzwi je, psuje snopy, tańczy dokoła z całą kopą siana i niszczy zaczęte w polu roboty. Czasami w swej wietrznej pohulance posuwa się do zrywania dachów i strzech, do łamania konarów i wyrywania z ziemi drzew z korzeniami.

Częstokroć daje się oglądać jako człowiek niziutki, kusiutki w czerwonym fraku czy kurtce, w błękitnych spodniach czy szarawarach i w kapeluszu na trzy rogi. I w takiej postaci, gdzie się tylko ruszy, sprawia ludziom jakąś mitręgę, jakiś zawód, lub trudność w robocie, tumani ich i nęka.

Szczególniejsze upodobanie zdaje się mieć do płatania figli babom. Zadziera do góry chustki, fartuszki i spódnice; zgoła wszystko, co napotka u nich ciągnie do góry i to na tym większe zatracenie, im wyżej to czyni. Kiedy już należycie ludziom nadokucza, wtedy bytność swoją objawia głośnym, parskliwym śmiechem. Ten śmiech rozlega się przeraźliwie wśród pól, budząc trwogę u wszystkich.

Do zabawek jego należy także przywabianie zalotnych dziewczek do tańca, aby je wtedy durzyć i kusić na różny sposób. Podgląda je i zaczepia zwłaszcza, kiedy do źródła po wodę chodzą. Przestając z parobkami namawia ich, aby nie przepuszczali żadnej cnotce pannieńskiej, jak to mówi piosenka:

*Oj cieszy się dziewczyna,
że jej piersi rosną.
Buzia się jej polyskuje,
Strala chłopcom podszeptuje,
ażeby ją przywłaszcyli,
by jej wianek oberżnęli.*

Na dziewczki nie tylko Strala, ale i każdy diabeł jest łasy. Opowiadają o tym różne, najdziwniejsze historie.

I tak jedna kobieta miała córkę - jedynaczkę, bardzo piękną, imieniem Rozyna. Tej Rozynie matka zawsze mówiła:

— Nie pójdiesz ty za chłopca, tylko za pana...

Choć się zalecał jakiś parobek, albo nawet kmiący syn, Rozyna o żadnym z nich słyszeć nie chciała, wiele o sobie wyobrażając i tylko przybycia pana czekała. Czasami w niedzielę ubierała się pięknie i zamiast do kościoła, do karczmy chodziła. Tam dworakom głowę zawracała, tańczyła z nimi i słodziutkie wino spijała. W dni powszednie, nie umiejąc i nie chcąc brać się do żadnej roboty, chodziła po łąkach, zbierała kwiatki, pioseneczki śpiewała i to zawsze światowe, a nigdy pobożne.

Jednego razu, kiedy tak chodziła, zobaczyła na gościńcu wspaniałą karetę, z której piękny pan wychylił okienkiem głowę. Na widok dziewczyny zbierającej kwiaty, pan ten wyciągnął czerwoną, jedwabną chusteczkę i zaczął nią powiewać, oraz wołać:

— A toś ty Rozyna, Rozyna, moja jedyna!

Kareta stanęła jak wryta przed dziewczyną, a pan rzekł znowu:

— Najpiękniejsza z dziewcząt pojedziesz ze mną, bo ja właśnie dla ciebie jestem przeznaczony.

Rozyna namyśliła się przez chwilę i odpowiedziała:

— Pojechałabym, ale skoro matusia o niczym nie wie, trzeba ją o tym zawiadomić.

— Nie chodź nigdzie, bo nie mam czasu czekać i ty byś straciła dobrą sposobność. Jestem bardzo bogaty, ty i matusia będziecie mieć bardzo dużo pieniędzy.

Rozyna słysząc o dostatkach, na nic już nie zważała, tylko wsiała do karety. Furman trzasnął z bicia i pojechał.

W powozie pan począł zaraz miłosne stroić ceregiele. Wtedy dopiero Rozynę strach ogarnął, bo spostrzegła, że ten kochanek miał racice zamiast nóg, pazury zamiast rąk, a dwa rogi wyglądały mu spod kapelusza.

— Dokąd jedziemy, gdzie my staniemy? — dopytywała się nie-
spokojnie.

— Pojedziemy przez Kraków — odrzekł on — bo ja mam tam
dwóch bratów; pojedziemy przez bór i las, bo opadł mnie srebrny
pas, a gdzie staniemy, to zobaczymy.

Jechali, jechali i zajechali we wielkie lasy i borowiska, a jechali
tak prędko, że aż liście z drzew leciały. W końcu karetą zatrzymała
się przed piekielnymi bramami. Kawaler zakolał i począł wołać:

— Otwórzcie bratowie, tego ciała katowie!

Wylecieli drudzy diabli, porwali dziewczynę i rzekli do niej:

— Siadajże na murowanym stolcu i napij się smakolcu. A ty
panno pij wino, takiego nie piłaś jak żywo...

Ale Rozyna odpowiedziała:

— Jam pijała z panami, nie z takimi durniami. Jam do karczmy
chodziła i dworaków zwodziła. Jam pijała słodziuchne, a nie taką
śmierdziuchę.

Diabli wciąż naigrawali się z niej, ona zaś im odpowiadała:

— Nie pijże smalcu smolnego, ino se zawołaj miłego!

— Nie będę ci go wołała. tylko będę sama cierpiała.

Pytali się jej także diabli o matkę. Wtedy Rozyna rozżaliła się
i tak zawołała:

— Czemu mnie matka nie karała, do kościoła mi iść nie dała.
Do karczmy mnie ubrała, jeszcze za mną wyjrzała; nie tańczujże
z ubogim, ino z ładnym, chędogim. Na mszę matka niech nie daje,
bo ja w piekle na zawsze zostaję. Masz matko jeszcze córki dwie,
karaj je lepiej niż mnie!

Dopieroż zaczęły się w piekle tańce. A było tam bardzo ludno-
o tej godzinie, bo właśnie tańcowały czarownice. Rozyna poznała, że
nie ma już dla niej żadnego ratunku i zawołała:

— Piękniem się ubrała i na wieki przepadła!

Wziął ją diabeł do tańca i uwija się z nią tak, aż do sądnego
dnia...

W innej znowuż wiosce zdarzyło się, że jedna dziewczka szła za
mąż bez dobrej woli, bez chęci, lecz tylko z przyniewoliska, bo jej
się kawaler nie podobał. Nie mogła jednak być długo przeciwna, gdyż
to małżeństwo ułożyli rodzice obojga już od dawna pomiędzy sobą.
Kiedy więc we czwartek wieczorem kawaler zjawił się z oświad-
czynami, musiała dziewczyna dać mu słowo. W piątek zaś kazali je-
chać jej z starościna i druchną do Krakowa po wieńce. A gdy nad-
szedł dzień wesela, trzeba było, chcąc czy nie chcąc, iść za Maćka.

Przy ślubie, jak to zwyczajnie bywa, ksiądz najpierw związał ręce nowożeńców, a potem wkładając pierścionki poświęcane na palce, zapytał jej:

— Czy chcesz tego oto... za małżonka? Czy ślubujesz mu wiarę, miłość i posłuszeństwo?

Ona zaś zamiast odpowiedzieć głośno i wyraźnie jak należy, coś tam zamruczała pod nosem, a sama przeklinając mocno w duszy, pomyślała:

— Ej, bodajbym diabłu ślubowała, nie tobie.

Po skończonej ceremonii, kiedy ludzie z kościoła wyszli, panna młoda jak kamień w wodę rzucony, znikła spomiędzy grona weselników i nikt jej już odszukać nie zdołał.

Pan młody, człowiek porządny i pracowity, bardzo był z tego powodu nieszczęśliwy w swoim osamotnieniu. Ani wdowiec, ani mąż, ani kawaler. Stęskniony zabijał czas nieustanną robotą.

I tak się razu pewnego zdarzyło, że razem z innymi chłopami wybrał się do oddalonego za wsią lasu, gdzie stawiano sągi. Pracowali do południa, na ostatku ten pan młody uciął sosnę, od której został pniak z odziemkiem. Po południu wrócił sam do lasu, lecz, o dziwo: na uciętym przezeń pniaku siedzi jego narzeczona w weselnym stroju.

Rzucił się ku niej i począł wołać:

— Co ty tu robisz! Złaż mi zaraz z pniaka i chodź do domu, przecież tak długo czekam już na ciebie!

Ona jednak nie ruszyła się nawet i nic nie powiedziała.

Wtem przyleciało trzech czarnych i tak rzekło do niego:

— Nie będzie nic tego, gdyż w duszy inaczej ślubowała!

I dopiero wtedy ona przytaknęła:

— Diabłum ślubowała, nie tobie...

Diabli tym większej nabrali mocy, otoczyli chłopca do koluśka i dalejże go męczyć, dusić, żeby ją gwałtem do krzty rozbierał.

Z wielkiego strachu poddał się woli czartowskiej i zdejmował z dziewczyny po kolei wszystko, od wieńca ślubnego począwszy. Wreszcie nagusieńka została, jeden tylko szkaplerz poświęcany na jej piersiach pozostał, lecz tego chłop w żaden sposób zdjąć nie chciał.

Diabli jednak na nic nie zważają, tylko grożąc mu widłami, rozpalonymi węglami i gorącą smołą, szkaplerz zdjąć rozkazują. Umęczony, strachem, gniewem i żalem przejęty, zdarł wreszcie chłop szkaplerz z jej piersi.

Diabli tylko na to czekali. Bezpieczni od tego puklerza pochwycili ją co ducha. Unieśli w górę i poczeli kręcić się w koło. Wirem powietrznym szli w górę, coraz wyżej i wyżej. Las zatrzęsł się, zaszumił, a ona wraz z czartami znikła z oczu na wieki.

Ten człowiek nieszczęsny nie wiedział dobrze, jak się w takiej okazji należy zachować. Gdyby miał na to dosyć rozumu, nie zważałby na męki pozorne i nie tykałby poświęcanego szkaplerza. W ten sposób byłby wybawił narzeczoną swoją ze szponów diabelskich.

Nie zawsze jednak udaje się diabłom porwać do piekła duszę chrześcijańską. Świadczy o tym następujące wydarzenie:

W jednej dworskiej oborze pięć dziewczek doiło krowy. Cztery miały kawalerów, a piąta żyła w samotności. Wieczorem po robocie cztery dziewczki szły ze swoimi kawalerami na tańce. Piąta zaś została sama. Było jej zawsze markotno, że nie ma z kim iść, więc raz pewnego zawołała w gniewie:

— Ach, bodaj i z tego łajna krowiego wylazł dla mnie kawaler!

Zaledwie wymówiła te słowa, aż tu klap! klap! i oto krowie spod ogona wyleciał kawaler taki piękny, taki strojny i ładny jak żaden inny. Dziewka ucieszyła się bardzo. Śmiała się, radowała się głośno. Od razu rzuciła skopiec z mlekiem i co tchu poleciała do karczmy.

Jakże pięknie jej się tam wszystko wydało. Muzyka grała bez przerwy. Wszystkie cztery dziewczki tańczyły, ale ona tańczyła najwięcej, bo parobek spod krowiego ogona nie odstępował jej ani na chwilę. Pieniądzy miał huk, płacił do koła, a choć w skrzypce garściami sypnął, nie ubywało mu talarów. Hulał tak okropnie ze swoją dziewczką, że się wszyscy dziwowali. Tylko to zastanawiało, że nikt go tutaj nie znał, nikt nie wiedział, co on właściwie za jeden.

Kiedy nad rankiem wszyscy zaczęli rozchodzić się do domu, nieznamomy parobek prosił dziewczkę:

— Odprowadź mnie, bo za lasem mieszkam.

Ona zaś tak była tym parobkiem zachwycona, że bez namysłu w dyrdy za nim poleciała. Idą, idą, aż przyszli nad bagno. Ona się zawahała, ale on ciągnie dziewczkę za sobą. Ale cóż, parobek szedł swobodnie wierzchem błota i nic mu się nie działo. Wreszcie dziewczka zatrzymała się i dalej iść nie chciała. Wtedy kawaler złapał ją z całej siły za rękę i pociągnął na trzęsawisko. Sam zaś przesmyknął się wierzchem bagna i znikł, bo był to nikt inny, jak tylko sam diabeł. Tymczasem dziewczka czując, że wpada w błoto, zaczęła krzyczeć okropnie.

Znikąd nie widać było ratunku. Ona wpadła najpierw po kolana, potem po pas, a niedługo tylko szyję było jej widać. W ostatniej rozpaczycy poczęła płakać i krzyczeć ze wszystkich sił. Na szczęście pokazali się niedaleko chłopcy, którzy jechali do lasu. Ujrawszy takie utopione nieboże, poczęli ratować. Z początku nie wiele mogli poradzić; dopiero kiedy przywieźli kopne drabiny, osęki, drągi, tak jej pomogli, że dziewczka wyszła z bagna. Odtąd zadowolona, iż uszła cało, tego swojego kawalera na oczy widzieć nie chciała i żadnego innego także już byle jako nie wzywała...

Najstraszliwsze jednak zaloty diabelskie miały się wydarzyć w miejscowości Inwałdzie koło Andrychowa.

Ludzie tamtejsi opowiadali, że pewnego razu niegodziwy ojciec sprzedał rodzoną córkę diabłu za sto talarów. Tak się nawet ze sobą ugodzili, że któregokolwiek wieczoru diabeł przyjdzie i dziewczynę jak swoją zabierze.

Córka tego złego ojca chodziła na pańskie, a kiedy jednego dnia wróciła do domu i powiecerzała, ktoś począł kolatać do dźwierzy.

— Idź otwórz drzwi — rozkazał ojciec — i puść go do środka!

Dziewczyna wstała, ale przed tym umaczała palce w kropielnicy ze święconą wodą, przeżegnała się i otworzyła drzwi.

Ale nie było widać nikogo. Wróciła do chaty i powiedziała ojcu, że nie ma nikogo. Potem poszła spać, a rano jak zwykle udała się do pracy.

Tymczasem o godzinie dziesiątej przed południem przyleciał diabeł i powiedział ojcu, że nie może dziewczyny wziąć, dopóki to pudelko z wodą będzie wisieć nad drzwiami. I zaraz się stracił. Córka wróciła z pańskiego, a kiedy powiecerzali, ktoś począł znowu się dobijać. Ojciec kazał córce otworzyć drzwi. Skoro dziewczyna nie znalazła kropielnicy na ścianie, wraziła rękę do konewki, zmaczała palce we wodzie i przeżegnała się. I znowu nie było nikogo.

Na drugi dzień diabeł kazał ojcu, aby powypróżniał wszystkie naczynia, aby w całym domu nigdzie nie było wody.

Tegoż dnia wieczorem wszystko powtórzyło się tak samo jak przed tym. Dziewczyna znalazła trochę wody w dołeczku pod ławą, zmaczała palce i przeżegnała się. Diabeł uciekł jak oparzony.

Niepowodzenie tak rozjątrzyło czarta, że kazał ojcu, aby pobożnej dziewczynie obciął obie ręce. Wtedy weźmie ją już bez trudu, bo się przeżegnać nie będzie miała czym.

Na drugi dzień ojciec nie pozwolił córce iść na pańskie, tylko kazał wybrać się z nim do lasu na patyki. Wziął cieślęcę i poszli.

Kiedy zaszli do lasu, kazał córce trzymać krzak, a sam począł rąbać. Jak rąbnał, tak uciał jej prawą rękę, a lewa to tylko na skórce zawisała. Dziewczyna krzyknęła i popłakała się z bólu. Potem wzięła odrąbane ręce do fartuszka i poszli do domu.

Wieczorem znowu ktoś do drzwi kołatał, a ojciec jak zawsze kazał córce wstać i puścić diabła do izby. Dziewczyna usłuchała rozkazu, ale idąc do drzwi, przeżegnała się uciętym kikutem. I znowu nie widać było nikogo.

Na drugi dzień przyleciał diabeł i pyta ojca:

— Coby tu zrobić, żeby ją wziąć nareszcie?

A ojciec odpowiedział:

— Teraz już nic nie poradzę.

Wtedy diabeł strasznie się rozgniewał, skoczył, urwał mu głowę i z grzeszną duszą niegodziwego ojca uciekł do piekła.

Kiedy córka wstała i zobaczyła ojca nieżywego, bez głowy, rozpłakała się, klękała przy ławie, przyłożyła ręce ku kikutom, modliła się gorąco tak długo, aż jej te ręce przyrosły. A kiedy ręce przyrosły, poszła do krewnych i uprosiła ich, aby ciało ojca pogrzebali. Potem z tymi krewnymi żyła aż do śmierci...

Wiele jest jeszcze historii o diabelskich zalotach i psotach. Wszystkich jednak opowiedzieć nie podobna.



C Y G A N

Kiedy ludzie pracowali na pańskim, nadszedł cygan i życzył im grzecznie:

— Szczęść Boże!

A gromada odpowiedziała:

— Daj Panie Boże!

A potem ktoś zapytał cygana:

— A może byś, cyganie, trochę z nami pograbił?

— Kiedy nie mam grabi — odpowiedział cygan — ale będę stał z wami, to mnie pan i tak zapisze na wieczór.

Rzeczywiście wieczorem przyszedł dziedzic i zaczął ludzi zapisywać. Zapisał także i cygana. Przed tym jednak przyniósł poczęstunek i po zapisach zaczął ludzi do jedzenia zapraszać.

— Kto będzie jadł? — zapytał pan.

A cygan mówi:

— Ja!

— A kto będzie pił?

A cygan znowu:

— Ja!

Wreszcie pan zaczął się dowiadywać:

— Mam stajanko pszenicy, która dojrzeje na jutro, kto ją zerźnie?

Nikt się na to nie odezwał, tylko cygan zwrócił się do gromady i woła:

— Gadajcież ludzie, bo cóż, to ja będę ciągle gadał...

S I E D E M G R Z E C H Ó W

Był raz jeden chłop, któremu się zdawało, że jest wielkim filutem, po prawdzie zaś był tylko hultajem najpośledniejszego gatunku. Lubił się podlizywać bogaczom i nieraz udawało mu się schwycić coś na odczepnego, jakąś kruszynę spadłą z bogatego stołu. Każdy bowiem rychło się poznawał na jego mętnych kadzidlach. Nawet rodzona żona często mu dogadywała:

— Ach, jak ty kłamiesz paskudnie...

Krętacz uśmiechnął się wówczas tylko i zawsze nie wiadomo dlaczego odpowiadał:

— Kto mieszka na przedpieklu, diabła prosi w kumy...

Zdarzyło się raz, że ta baba porodziła synka, a ponieważ mieszkali daleko od wsi, pod lasem, w lichej chałupinie, nie było im dogodnie wybrać się do kościoła. Nie śpieszyli się ani z wywodem, ani ze chrztem, tylko postanowili czekać na jakąś przystępną sposobność, najlepiej z wielkim świętem złączoną.

Tymczasem jednego dnia, ni stąd ni zowąd, bo tamtędy nie przechodził publiczny gościniec, zajechał przed chałupę jakiś wielki pan ze służbą i śmiało wszedł do izby. Niby to zaczął się tłumaczyć, że zabłądziwszy na polach, drogi znaleźć nie umie, ale nie czekając odpowiedzi, skoro tylko od niechcienia rzucił okiem na kołyskę z dzieckiem, zaraz się chłopu ofiarował na kumotra. Obojgu tego właśnie było potrzeba. Najlepiej niech się tak stanie, mówili, jeżeli pan tam a tam do kościoła zajedzie, a oni dziecko zaniosą na piechotę.

— Nie trzeba szukać kościoła — odpowiedział przybyły jego mość — bo droga zła, a mnie się bardzo śpieszy. Zresztą wiozę ze sobą kapelana, który dziecko może ochrzcić na miejscu.

— Proszę wielmożnego pana — sprzeciwiała się nieśmiało baba — kiedy to trzeba zapisać w metrykach...

— Już my tutaj wszystko zrobimy. Mój kapelan potem do odpowiedniego proboszcza napisze, a teraz nie traćmy czasu.

Chciała jeszcze kobieta coś od siebie dorzucić, ale chłop widząc talary w ręku bogacza, mignął tylko na nią:

— Cicho bądź, głupia...

Diabli porwali dziecko między siebie, bo przecież oni to byli, i coś tam z nim na podobieństwo chrztu sprawiali. Nade wszystko nie żalowali chłopu dobrej wódki i kupy pieniędzy. Diabeł - kumoter na odjeźdźnym przykazał gospodarzowi, żeby dziecko jakimś dziwnym imieniem nazywał, a za lat siedem on sam we własnej osobie po swojego chrześniaka przyjedzie i weźmie go na wychowanie. Wreszcie cała czereda gości zniknęła jak tuman mgły.

Baba w żaden sposób przypomnieć sobie nie mogła imienia danego synowi, a tym mniej ojciec, który mając pod dostatkiem pieniędzy, dzień w dzień się upijał. Niewiele czasu minęło, a chłop wszystko do ostatniego grosza zmarnował. Co od diabła wyszło, do diabła wróciło. Chłop tracąc ostatnie grosze umarł w nędzy.

Została baba z dzieckiem, które po chrzcie diabelskim zupełnie poczerwiano i krzyczało od rana do nocy tak, że niczym nie dało się uspokoić. Nieraz zdawało się, że mały chłopak wyrzuca z siebie przeraźliwym głosem jakieś wyrazy niezrozumiałe w obcym języku. Nie pomagały zaklęcia matki, a skoro razu pewnego przyniosła wody święconej, ciało dziecka nawiedzone szatańskim nagabaniem poczęło się wić i szamotać, jakby w śmiertelnym ataku wielkiej choroby. Nie mogąc sobie dać rady z dzieckiem, wzięła je na ręce i poszła do księdza, który przyjrząwszy mu się, coś niedobrego zmiarkował. Wypytał się baby o całą historię, mocno ją ofuknął, kazał iść do spowiedzi i na wywód. Na szczęście ksiądz był doskonałym egzorcystą i umiał wzięść się tak dobrze do rzeczy, iż niebawem złamawszy opór szatański wyprowadził z dziecka aż siedem złych duchów. Potem dopiero ochrzcił malca w kościele, nadawszy mu imię Michała. Po świętym obrzędzie chłopiec zupełnie się odmienił, wybielał i w dalszym ciągu chował się, jak należy. Na szczęście ta operacja w czas się odbyła, bo gdyby siedem lat minęło bez wypędzenia czar-tów, nic by już nie zdołało uwolnić chłopca od władzy szatańskiej.

Liczył sobie już lat kilkanaście, kiedy go matka odumarła. Zostawszy sierotą poszedł na służbę do ludzi. Najpierw pasał bydło, a później gdy podrośł, wziął go do siebie jeden porządny gospodarz

jako parobczaka i wszelkiej wyuczył roboty. Ten gospodarz zajmował się przede wszystkim sprowadzaniem leśnego towaru. Parą dobrych koni zwoził drzewo zakupione przez handlarzy, a czasami wypadło mu w daleką zapuszczać się drogę. Zwykle jeździł sam, kiedy jednak razu pewnego rozchorował się, wysłał z końmi parobczaka.

Michał znał dobrze drogę, jechał więc śmiało, kiedy go jednak zaszła noc w wielkim borze, pobłądziwszy, dostał się w nieznaną jakąś okolicę. Konie pomęczyły się ogromnie, jemu także głód dokuczał. Wreszcie ujrzał światło i podjechawszy bliżej, znalazł na uboczu jakąś podejrzaną karczemkę, z której, o dziwo, rozgłośna brzmiała muzyka.

Zajrzał przez okno do izby i zobaczył, że w środku tańczą. Uwagę chłopca zwróciło przede wszystkim siedmiu drabów, niby jak żołnierzy ubranych, w czerwonych spodniach, niebieskich frakach i rogatych kapeluszach.

Zostawiwszy konie pod karczmą stanął niebacznie w progu izby, do której drzwi były rozwarte i zaczął się jeszcze lepiej, przyglądać, co się tutaj dzieje.

Jeden z tych wojaków, jakby starszy, głośno się chwalił. Napuszony niczym paw dziwy o sobie rozповідаł, a drugi głośno mu się sprzeciwiał i z wielką zapalczywością wymachiwał pięściami. Trzeci żołnierz pożerał kiełbasę, której chyba ze sto łokci było, i wódkę pił garncem. Czwarty siedział przy stole i z gębą chciwą rachował wielką kupę talarów przed nim leżących. Piąty trzymając karty w garści spoglądał z wielką zazdrością na tego, co jadł i na tego, co rachował pieniądze. Szósty zupełnie już pijany rozwalił się na ławie do góry brzuchem i kurzył fajkę. A siódmy tańczył nieobyczajnie z dziewczynkami bardzo nikczemnego wejrzenia.

Parobczak z początku przypatrywał się obojętnie wszystkiemu, z czasem jednak to, co się działo w izbie, zaczęło ciekawić go coraz bardziej. Zapach kiełbasy i wódki przypominał, że jest głodny. Wreszcie opadły go grzeszne myśli. Jakaś siła niepohamowana ciągnęła go do tych siedmiu hultajów, do izby smrodliwej i szynkwasu ochlapanego gorzałką.

„Gdybym się już najadł i opił — myślał mimowoli — grałbym w karty, żeby mieć pieniądze, kurzyłbym tabak, wyszturkałbym każdego, coby mi przeszkadzał, a na koniec wziąłbym się do tej rozpustnej dziewczki, co mi tak doskonale wpadła w oko“.

Ledwie powziął te zamysły, aż tu wszyscy wojacy, jakby doskonale o jego myślach powiadomieni, przypadli do niego i zaczęli go



ciągnąć na środek izby, a każdy do swego namawiał. Już miał skosztować wódki i kiełbasy, już się to dziewuszyisko obleśnie do niego uśmiechało, już miał używać wszystkich przyjemności, które mu diabli stręczyli, kiedy nagle w samym progu izby zjawiła się jakaś tajemnicza postać.

Był to sędziwy pustelnik ciemnym okryty płaszczem, z kijem w rękę, który przejmującym zawołał głosem:

— Michale, opamiętaj się, wychodź stąd czym prędzej, a może uda nam się pochwycić złodzieja, który ci konie ukradł.

W jednej chwili chłopak odwrócił się od grzesznych widoków i wpadł w tak okropną rozpacz, że począł krzyczeć i płakać. Pustelnik wyprowadziwszy go z karczemnej izby, przemówił do niego łagodnie:

— Konie twego gospodarza znajdują się, ale przyrzeknij, że już więcej tutaj nie wrócisz.

Kiedy chłopiec zaprzysiągł opamiętanie, staruszek wydobył małe zwierciadelko i kazał spojrzeć w nie przy blasku księżyca.

— Cóż tam widział Michale? — zapytał pustelnik.

— Widziałem piekło z czarownicami.

— Tych siedmiu z karczmy, to są złe duchy, które wyszły z ciebie przed chrztem, a teraz jako siedem grzechów głównych: pycha, gniew, zazdrość, obżarstwo, lakomstwo, lenistwo i nieczystość znowu duszę twoją starali się skusić piekła na pastwę. Gdybyś im uległ, byłiby weszli w ciebie. Spójrz jeszcze raz w zwierciadelko i zobacz, co by cię w piekło czekało.

Kiedy chłopak ujrzał okrutne męki, które mu już prawie były przeznaczone, wzruszony bił się w piersi i płakał. Pustelnik widząc jego szczerą skruchę, rzekł:

— Patrz na mnie, bom ja Archanioł Michał, stróż twojej duszy.

Kiedy padły te słowa, na świecie zrobiło się tak jasno, jakby już świt nastawał. W okamgnieniu sędziwy pustelnik przeobraził się w anielską postać młodego rycerza. Błysnął srebrzysty pancerz, zamigotał hełm strojny w biały pióropusz, a z pustelniczej laski urosła długa kopia. Archanioł rzucił ją przed siebie i chłopiec od razu zobaczył, że kopia, wpadłszy ostrzem w ziemię, zatrzymała złodzieja, który uciekał z wozem. Konie stały spokojnie, a złodziej, który także należał do diabelskiej zgrai, jęczał teraz u stóp Archanioła jako smok w ciężkie kajdany okuty. Niebieski mocarz, który niegdyś w wielkiej bitwie samego Lucypera pokonał i przywiązał go na łańcuchu po środku piekła, niezbyt się utrudził w tej potyczce z kilko-

ca diablami. Stał teraz spokojnie, wyniosły i wspaniały wielką swoją potęgą.

— Wracaj z końmi do swego gospodarza! — rozkazał chłopcu.

— O święty Aniele — zawołał Michał wciąż jeszcze przerażony — jakże powrócę, oni mnie tu znowu gdzieś nadybią. Czemże się przed nimi obronię?

Wówczas Archanioł złożył na pierś chłopca żelazny krzyżyk i rzekł:

— Oto jest znak zbawienia, przed nim uciekają szatani. Noś go zawsze na sercu, za życia i po śmierci. Ten znak kiedyś niebo ci otworzy.

Chłopiec chciał ucałować rękę Archanioła, ale ten począł się wznosić w górę, stojąc z kopyą na okutym smoku.

Rozwidniało się już zupełnie. Chłopiec uzbrojony w święty talizman powrócił bezpiecznie do swego pana i oddał mu konie wraz z wozem.

Od tego czasu gospodarz bardzo swego parobka polubił, w parę lat potem oddał mu córkę jedynaczkę za żonę i zapisał im cały dobytek. Michał żył bogobojnie, a umierając kazał się pochować razem z żelaznym krzyżykiem, którym niegdyś obdarzył go święty Michał.



BOCIAN

Gdy Pan Bóg stworzył świat i wszystkie zwierzęta, zauważył, że za wiele namnożył gadów i robactwa. Zeszedł tedy na ziemię i pzbierał to całe plugastwo do wielkiego worka. Potem zawołał jednego ze swojej służby, który nazywał się Wojtkiem, kazał mu wziąć worek na plecy i rzucić go do głębokiego morza.

— Nie wolno ci jednak — przykazał Pan Bóg — żadnym sposobem zaglądać do środka.

Wojtek, chłop bardzo chudy, z długim nosem, miał dość krzepy, żeby wykonać to polecenie. Zarzucił sobie wór na plecy i szybko ruszył w daleką drogę. Ponieważ ładunek był ciężki, wypadło odpocząć po długiej wędrówce. Mimo woli skusiło go, aby zajrzeć do środka. Ledwo worek odwiązał, aż tu całe plugastwo zaczęło rozlazić się na wszystkie strony. Myk, myk, fru, fru! Jedne uciekały do wody, drugie rozpełzły się po ziemi, a trzecie uleciały w powietrze. Wojtek zląkł się okropnie, że się tak Panu Bogu naraził i zaczął chwycić wszystkie. Ale ciężka to była robota. Jak jedno z powrotem wsadził, to mu trzy razy tyle uciekło. Pokateczył sobie nogi, pourabiał ręce, a niewiele wskórał.

Nie widząc innej rady wrócił do Pana Boga srodze zmartwiony, skurczony i zgarbiony, umazany błotem i z nosem spuszczonej na kwintę.

Kiedy Wojtek przyszedł, Pan Bóg, zamierzając dokonać jakiegoś nowego dzieła, grzebał właśnie w ogniu palącą się szczapą. Dowiedziawszy się o nieostrożnej ciekawości Wojtka, bardzo się rozgniewał i zawołał:

— Za to, żeś rozpuścił to całe szkaradzieństwo, ty i twoje potomstwo będziecie je zbierać, zjadać i tym sposobem czyścić świat.

I cisnął za nim głównią. Wojtek uchylił się i ogień osmalił go tylko trochę z boku. Wówczas nieposłuszny sługa zmienił się w wielkiego i niezgrabnego ptaka, zamiast nosa wyrósł mu długi dziób, a tam gdzie dostał palącą się szczapą, została wielka, czarna plama.

Od tego czasu bociany zbierają skrzętnie żaby, jaszczurki, węże i rozmaite robactwo; zbierać muszą to wszystko, co przez nieostrożność ich przodka rozlazło się po całym świecie. I tak zostało aż do dnia dzisiejszego. Często się też słyszy, jak ludzie nazywają bociana Wojtkiem.

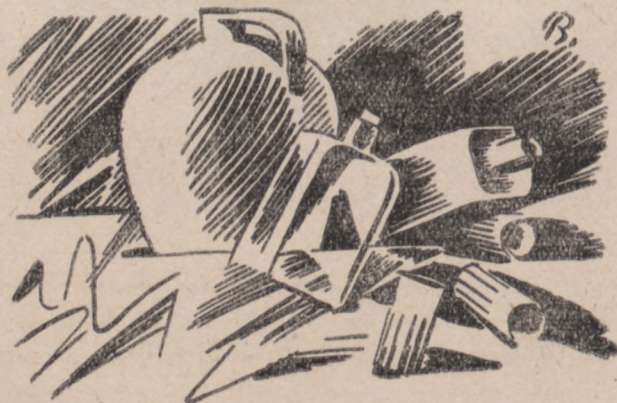


KOŻUCH I WATA

Było to na jesieni. Chłop w kożuchu wiózł mieszcucha w palcie watowanym. Mieszczuch zziął i kazał chłopu zajechać do karczmy na rozgrzewkę. Mieszczuchowi podał karczmarz herbatę, a chłopu kapuśniak. Mieszczuch dzwoni zębami, dmucha na herbatę i pije, a chłop zajada kapuśniak i gorąco mu, że aż pot kroplami z czoła spływa. Widzi to mieszczuch i pyta chłopu:

— Słuchaj no, dlaczego mnie zimno, a tobie gorąco?
A chłop na to:

— *Bo co kożuch, to nie wata.
Co kapuśniak, nie herbata!*



UCZEŃ CZARNOKSIĘŻNIKA

Ubogi szlachcic zagrodowy miał syna, któremu sprzykrzyło się klepanie biedy w domu, czekał więc tylko odpowiedniej sposobności, żeby się na świat wydostać i znaleźć jakąś dobrą służbę. Jednego razu chłopak siedział przy drodze w lesie i nie mając nic do roboty pisał litery palcem po piasku. Wtem nadjechał czwórka koni jakiś bogaty, stary pan, a zobaczywszy chłopca zatrzymał się i zapytał:

— Może chciałbyś pójść do mnie na służbę?

— Chciałbym bardzo.

— A umiesz czytać?

— Umiem.

— Kiedy tak, to cię nie chcę!

I odjechał.

Chłopiec nie w ciemną noc pobiegł przez las na przelaj i siadł znowu przy drodze. Niepoznany przez przejeżdżającego pana, który znowu wdał się z nim w rozmowę, odpowiedział, że ani pisać, ani czytać nie umie.

— W takim razie — rzekł nieznajomy pan — przyjmuję cię do terminu na trzy lata.

Powiedział mu, gdzie mieszka i kazał przyjść z ojcem na drugi dzień.

Ów pan był właścicielem pięknego dworu wśród lasu. Kiedy tam przyszli, powiedział szlachcicowi:

— Syn waszmości może zostać u mnie na naukę, proszę przyjść po niego za trzy lata. Jeżeli waszmość pozna swoje dziecko, będziesz mógł je zabrać ze sobą. W przeciwnym razie zostanie u mnie na drugie trzy lata.

— A czegoż on się będzie u wielmożnego pana uczył? — zapytał szlachcic.

— Dowiesz się waćpan w swoim czasie — odpowiedział nieznamy — teraz nie masz prawa o nic się dopytywać.

W tym dworze było wiele pięknych pokojów, a w nich porozkładano najrozmaitsze księgi i książki. Jeszcze inne poustawiano w szafach i na półkach. Razem ze starym mieszkała tutaj jego córka, oraz dwóch uczniów w tym samym wieku co młody szlachcic. Wszyscy trzej nie mieli nic innego do roboty, jak tylko uprzątać pokoje, okurzać książki i ustawiać je znowuż w należyтым porządku.

Po pewnym czasie stary kazał zaprząć do karety i wyjechał dokądś na długo. Kiedy nikt nie widział, młody szlachcic zakradał się do któregoś z pokojów i czytał jedną księgę po drugiej. Znajdowało się tam wiele książek czarodziejskich, które wtajemniczały w najdziwniejsze sprawy świata. Były wielkie księgi czarne, za pomocą których można było panować nad ludźmi, a nawet duchy zniewalać do posłuszeństwa. Książek takich spalić nie można, a gdyby je ktoś wrzucił do wody, wówczas zaczynały syczeć, wyrzucać bąble, a potem z ogłuszającym hukiem podnosiły się bardzo wysoko. Inne uczyły, jak odkrywać skarby i jak ujarzmiąć złe stwory. Nie brakowało i takich, które zawierały najskuteczniejsze egzorcyzmy. Podczas czytania ich diabeł musiał opuścić człowieka, zgrzytając zębami, warcząc i szczekając.

W bibliotece czarnoksięskiej można było znaleźć również wiadomości o tym, w jaki sposób człowiek może zamienić się w zwierzę i z powrotem odzyskać ludzką postać.

Młody szlachcic pochłaniał to wszystko i czytając nabierał coraz większego smaku do wiedzy tajemnej.

Pewnego razu zdarzyło się, że córka starego pana przydybała go na czytaniu książek.

— Ach — zawołała — to ty jednak znasz się na literach!

— A znam się — odpowiedział szczerze, bo nie podobna było się już wykreść.

— Będziesz ładnie wyglądał, jak ojciec wróci...

— Tych dwóch gamoniów — rzekł śmiało — niczego się nie domyśla, a ty mnie przecież nie wydasz...

— Cóżes taki pewny?

— Bo wiem, że mnie lubisz...

Rzeczywiście lubiła go już od dawna i wyróżniała przy każdej sposobności, a on także upodobał ją sobie od razu.

Wreszcie dowiedział się od niej wszystkiego. Stary pan był czarnoksiężnikiem i prowadził jakieś ciemne sprawy z nieczystymi duchami. Zdradziła mu jeszcze wiele tajemnic, a przede wszystkim zwróciła uwagę na małą, niepozorną książeczkę, w której mieściła się cała mądrość czarodziejska.

Spenetrował ją jak najdokładniej, z wielkim zapalem, zgłębił gusa, zamawiania, rzucanie i odczymanie uroków, oraz wszystkie rodzaje tajemnych kunsztów. Jego młoda głowa przyswoiła sobie tę całą naukę bez wielkiego trudu, wkrótce wiedział więcej od starego czarnoksiężnika. Nie podobna jednak było zapamiętać wszystkiego, postanowił więc, że kiedy będzie wracał do domu, zabierze ze sobą małą, czarną książeczkę.

Trzy lata minęły szybko. Zbliżał się już czas, kiedy ojciec miał przyjść po niego.

— Cóż będzie z nami? — zapytał pewnego razu córki czarnoksiężnika.

A ona uśmiechnęła się zagadkowo i odrzekła:

— Miej nadzieję i czekaj spokojnie na mnie. Najważniejsza sprawa, żeby cię twój ojciec stąd wy dostał. Postaram się wam dopomóc.

Kiedy szlachcic w przepisany terminie zbliżał się już do dworu, na drodze ukazała się córka czarnoksiężnika i od razu zaczęła:

— Macie, panie, poznać swego syna, ale to nie tak łatwo. Ojciec mój przemienił ich trzech w czarne kruki. Jeden od drugiego niczym się nie różni. Otóż trzeba pamiętać, że pański syn będzie siedział zawsze w środku.

Ku wielkiemu zdziwieniu starego czarnoksiężnika szlachcic wskazał bez omyłki, który z kruków jest jego synem. Trudna rada! — trzeba było pozwolić, aby zabrał swoje manatki i poszedł z ojcem do domu.

Po niedługim czasie uczeń czarnoksiężnika, nieprzyzwyczajony do lichej, wiejskiej strawy, zapytał ojca:

— Czy tu będzie niedługo w naszej okolicy jakiś jarmark?

Ojciec odpowiedział, że właśnie na jutro zapowiedziano wielki targ w pobliskim miasteczku.

— Weźcie powroza — nakazał syn ojcu — pójdziemy na ten jarmark.

Zajrzał jeszcze do czarnej książeczki, coś tam przeczytał i dorzucił staremu:

— Pamiętajcie, że kiedy mnie będziecie sprzedawać, to za nic na świecie nie sprzedawajcie mnie nigdy ani z powrozem, ani z uzdzeniem, bo musiałbym za to drogo zapłacić.

Kiedy przyszli pod miasto, chłopiec zamienił się w wielkiego, spaśnego wieprza. Na targowisku obskoczyli ich zaraz rzeźnicy i zaczęli jeden przez drugiego podbijać cenę. Wreszcie szlachcic sprzedał wieprza za sto talarów, tylko wymówił sobie, że nie da powroza.

— A cóż mnie po powrozie — odpowiedział rzeźnik — kiedy ja go i tak jutro zaszlachtuję.

Zapędzili go do świńskiego chlewa i wegnali. Szlachcic zdjął mu powróż z nogi i poszedł do domu, gdzie już zastał syna.

Od razu zaczęli prowadzić inne życie. Podjadali sobie obficie i tłusto. A kiedy wydali wszystkie pieniądze, uczeń czarnoksiężnika w innym miejscu dokazał podobnej sztuki, zamieniając się w tegoż wołu, którego kupili żydowscy handlarze.

Trzecim razem wyruszyli na jarmark z uzdeczką. Chłopiec bowiem zamienił się w pięknego czarnego ogiera, który tak się podobiał, że każdy, co spojrział na ognistego rumaka, zaraz chciał go nabyć. Najbardziej dobijał się o ogiera i najdrożej chciał za niego zapłacić jegomość ubrany z waszecia. Był to stary czarnoksiężnik w odmienionej postaci, który już o wszystkim wiedział, i o skradzionej księżeczce, i o praktykach jarmarcznych dawnego ucznia.

Cenę już ubito, chodziło jeszcze o uzdeczkę, której nabywca domagał się uparcie i dawał za nią aż sto talarów. Głupi szlachcic niepomny przestrogi syna, zlakomił się na wysoką cenę i przehandlował konia tak, jak go na jarmark przyprowadził.

Na próżno ogier parskał, sypał skrami i wierzgał jak szalony, wyrażając w ten sposób niechęć do nowego właściciela. Stary czarownik trzymał go już mocno za uzdę i ledwo uszli kilka kroków, zaczął konia niemilosiernie batem okładać.

— Teraz ja ci dam za swoje, teraz będziesz miał nareszcie dobrą naukę — mruczał przez zęby.

Bił, gdzie popadło, łeb nie łeb. Ludzie widząc katowanie wspaniałego zwierzęcia, dziwili się, jak to można było się tak nad nim znęcać.

Wreszcie czarnoksiężnik dosiadł konia i wichrem przeleciał dwie mile do swojego majątku. Tutaj uwiązał go do słupa przy kuźni, kazał dworskiemu kowalowi rozpalić wielki ogień i powiedział, że zaraz będzie się kuć tego ogiera. Dziwnym wydało się majstrowi, że pan kazał mu włożyć do ogniska wielki, ostry rożen. To okrutne narze-

dzie przeznaczone było do przebicia konia. Na razie jednak czarnoksiężnik nie zdradzał swoich zamysłów.

Kiedy córka starego usłyszała żalosne rzenie ogiera, od razu zrozumiała, co się stało. Zresztą przysła do niej niebawem jedna z dziewczek dworskich i zaczęła opowiadać o dziwnym, pięknym koniu, który trzyma w pysku złotego dukata i patrzy na człowieka wielkimi ślepiami tak, jakby o coś prosił.

— Idźże tam zaraz — rozkazała — i staraj się zdjąć z niego uodziennicę.

Ledwo dziewczyna ściągnęła mu uzdę z jednego ucha, ogier potrząsnął łbem i zrzucił wszystko. Od razu przemienił się w zająca i dalej uciekać co siły. Czarnoksiężnik, widząc co się dzieje, stał się chartem i puścił się za szarakiem. Kiedy go już prawie dopadał, zając przemienił się w gołębia i uleciał w powietrze. Chart kręcił się przez chwilę w kółko, jak oglupiały i niebawem wbił się w górę przybrawszy na się postać wielkiego jastrzębia. Oba ptaki doleciały aż do wielkiego jeziora. Jastrząb sięgał już pazurami po bezbronnego gołębia, kiedy ten ostatnim wysiłkiem zamienił się w pierścień i wpadł do wody, gdzie go zaraz połknęła jakaś wielka ryba.

Czarnoksiężnik nie wiedział już teraz jak dalej tropić swego ucznia i, będąc zresztą śmiertelnie znużony, wrócił do domu.

Mineło wiele czasu. Córka czarownika miała już z rozkazu ojca poślubić jakiegoś farmazona. We dworze przygotowywano się właśnie do uroczystych zrękowin, na które zjechało wiele gości. Zakupiono wówczas także wiele ryb, wyłowionych z pobliskiego jeziora. Kiedy kucharka zaczęła je oprawiać, znalazła w największej rybie piękny pierścionek. Uradowana wetknęła go na palec i przyglądała się ciągle blaskowi szlachetnego kamienia. Przypadkiem zobaczyła go córka czarnoksiężnika i domyśliwszy się co to za klejnot, dała kucharce pierścień kosztowniejszy, a z tamtym poszła do ogrodu.

Tutaj ukazał się jej od razu chłopiec ulubiony. Przywitali się grzecznie i ucałowali.

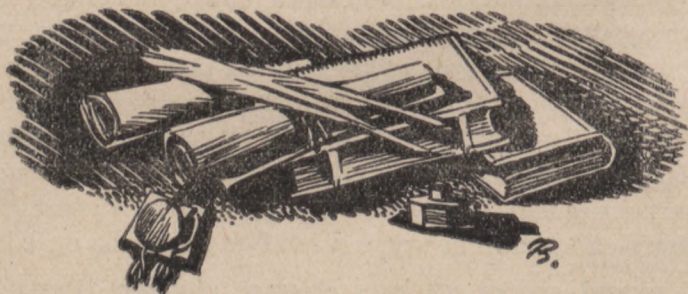
—Dobrze, żeś się nareszcie znalazł — powiedziała zadowolona — bo mi już ojciec zrękowiny wyprawia. Ale cóż ja teraz biedna z tobą zrobię?

— Nigdzie mnie nie chowaj — odparł uczeń czarnoksiężnika — tylko włoż mnie z powrotem na palec i wracaj na pokoje, a kiedy stary mnie zobaczy, to ciśnij mnie na posadzkę.

Czarownik ujrawszy pierścień, skoczył natychmiast do córki i kazał go sobie oddać, ale ona rzuciła pierścionek i oto zamiast niego potoczyły się trzy ziarnka grochu. Stary przemieniwszy się w kurę, zaczął dziobać jedno ziarnko po drugim. Umknęło mu się tylko ostatnie, z którego wyskoczył rudy lis. Ten lis od jednego zamachu złapał kurę za gardziel i udusił.

Wreszcie pobrało się dwoje młodych. Zaraz po ślubie zaczęli razem uprawiać czarodziejskie praktyki. Wielka sława rozchodziła się o nich i zjeżdżali się zewsząd ludziska po radę i pomoc.

Nie było chyba na całym świecie większych od nich zabobonników...



ROZTERKA MIĘDZY MIESIĄCAMI

Na ziemi od początku zgody nie było. Nie tylko ludzie wojny prowadzili, ale nawet i miesiące prawowały się między sobą, że to jeden ma więcej dni, a drugi mniej. To znowu miesiące godziły się i zapraszały wzajemnie na zabawy. Razu jednego Marzec, który jest strasznie chciwy i któremu Luty, największy w świecie birbant, zdążył już przepić dwa dni, chciał tego ostatniego przynajmniej przy pomocy zakładu trochę oskubać. W czasie zapustów zaprosił tedy Marzec Lutego do siebie na wielki bal i przy tej okazji założył się, że Luty do niego dojechać nie potrafi. Tymczasem Luty nie w ciemię bity poradził się Maiczka, który jest pomiędzy miesiącami najmądrzejszy. I ten Lutemu tak zalecił:

— Kiedy będziesz jechał do Marca, to weź ze sobą sanie, łódź i wóz. Będzie Marzec prać śniegiem, to pojedziesz saniami, będzie deszczem lać, wsiądziesz na łódkę, a będzie gruda, to włożysz sanie i łódkę na wóz i także przejedziesz.

Luty posłuchał mądrej rady i nie dał się złapać Marcowi, który musiał mu jeszcze dużo pieniędzy zapłacić za przegrany zakład. Luty domyślił się, czyja to była robota i począł odgrażać się Maiczkowi:

— Poczekaj Maiczku, ja ci zamrozę ziemniaki w gaiczku! Czekaj Maju, opalę ci liście w gaju!

Maj zaś odpowiedział:

— Ach, ty głupi Marcu, nic mi nie zrobisz, bo jak wyjdę z ciepłymi nocami, będziesz uciekał przede mną cieniami...

Wskutek starego zatargu Marzec jeszcze dotąd w dniach ma-
jowych nieraz z daleka mroźnym wiatrem dmuchnie i zwarzy całą
zieloność.

Niektórzy ludzie znowuż opowiadają, że dobrej rady Lutemu
udzielił jakiś sędziwy człowiek. Dlatego też rozgniewany Marzec,
kiedy pora jego panowania nastaje, zabija po całym świecie najwię-
kszą ilość starców.



U PANA JEZUSA W GOSCINIE

Byli raz jedni państwo, pan i pani, bardzo do siebie niepodobni. Pan był bardzo miłosierny, nigdy obiadu nie zjadł sam, tylko zawsze błednego zapraszał, pani zaś skąpa i Nielitościwa sprawowała się niczym ostatnia jędza. Pan rozdawał wielkie jałmużny, a pani, kiedy męża nie było w domu, wypędzała ubogich za drzwi i wołała:

— Śmierdzą mi te dziady!

Pewnego razu pan przyjechał z drogi, ale kiedy już obiad podali, okazało się, że żadnego dziadka nie było, wiedząc bowiem o niebytności pańskiej, nie kręcili się koło domu. Pan zawołał swoich lokajów i mówi:

— Szukajcie mi ubogiego, bo bym bez niego nie mógł spożywać smacznie darów Bożych.

Po chwili lokaje przychodzą i meldują:

— Żadnego ze znajomych ubogich znaleźć nie mogliśmy, na wsi jest tylko jakiś obcy dziad, brudny i obszarpany, lecz nie zawołaliśmy go, bo to może przechodni włóczęga, co jeszcze porwie widelec albo tyżkę srebrną.

— Wołać mi go! — rozkazał pan.

Po niedługim czasie lokaje przyprowadzili dziadka z długą, siwiuteńką brodą. Pani bardzo się rozgniewała i schowała się do drugiego pokoju, mówiąc:

— Nie chcę go widzieć, a pfe, oszalałeś, mężu, z twoimi dziadami.

A pan na to:

— Cóż ty narzekasz, żono, mnie ten dziadek pachnie, za najlepszego gościa uważać go będę.

Pani nie siadła do stołu, pan zaś dziadka sam obmył, przebrał w swoje nowe suknie, potem zaś zasiedli do obiadu i cieszyli się ze sobą długą, miłą rozmową.

Wreszcie dziadek tak do pana przemówił:

— Przebrałeś mnie, panie, umyłeś, uraczyłeś sówicie, a teraz ci powiem, że skoro ja do ciebie przyszedłem, ty także do mnie przyjść musisz. Teraz ja ciebie zapraszam na obiad, bo trzeba ci wiedzieć, że nie jestem znowuż tak ubogi, jakby się wydawało.

— Dobrze — rzekł pan — pojedę do ciebie, tylko musisz mi powiedzieć, dokąd mam jechać.

— O nic się nie bój, panie, przyślę po ciebie siwego konika, a kiedy on zarzy przed twoim domem, pożegnaj się ze wszystkimi: z żoną, z kumotrami, przyjaciółmi i nieprzyjaciółmi. A kiedy on zarzy po raz drugi, śpiesz się i siadaj na niego. I o tym jeszcze pamiętaj, że choćbyś nie wiem co po drodze widział, nie wolno ci z konia zsiadać i nikogo ratować.

Pana zdziwiła taka mowa, ale o nic już więcej nie pytał, tylko powiedział:

— Dobrze, dziadku!

A wtedy dziadek gdzieś nagle zniknął.

W niedługi czas potem w samo południe zarżał siwy koń przed pańskim dworem. Pan zaczął się żegnać ze wszystkimi, a żona go się pyta:

— Cóż ty się tak żegnasz, czyżbyś miał już więcej nie wrócić?

— Żegnaj mi, żono — odpowiedział pan — bądź zdrowa i wszyscy niech będą zdrowi, co się zaś ze mną stanie, nie wiem — wola Boska.

Siadł na siwego konia i pojechali cwałem. Jechali długo, aż przyjechali w takie miejsce, gdzie płynęła szeroka, głęboka rzeka. Patrzy, a tu jakiś chłop kąpie się w niej, zanurzony po samą szyję. Woda mu się prawie do gardła leje, a on wciąż krzyczy:

— Pić mi się strasznie chce, niechże mi ktoś da wody!

Pan zdziwił się strasznie i mówi do niego:

— A pijże, kiedy ci się woda sama do gardła leje!

On zaś na to:

— Ile razy chcę się wody napić, ona przede mną ucieka i muszę tak męczyć się aż do sądnego dnia.

Jechali dalej, a on znowu widzi człowieka, który ma na głowie bochenek chleba i wciąż woła:

— Jeść, jeść!

A ile razy chciał ten bochenek złapać, rękoma, zawsze mu uciekał w górę.

I znowu jechali dalej, aż zajechali w takie miejsce, gdzie stał wielki, wspaniały pałac, a w tym pałacu było chyba ze sto pokoi, a może i więcej. Tylko jeden pan tam mieszkał. Uwijał się ciągle po wszystkich piętrach, wszystkie drzwi zamykał, to znowu otwierał i wołał bez ustanku:

— Ciasno mi, ciasno mi!

Jechali dalej, patrzy pan, a tu jakaś kobieta przelewa ciągle wodę z pełnej studni do próżnej, a woda nie ubywa w jednej, nie przybywa w drugiej.

Niedaleko od tego miejsca bodły się okropnie dwa woły, aż krew czerwona z nich ciekła. Kiedy zobaczyli pana, poczęli wołać do niego ludzkimi głosami:

— Rozpędź nas!

Ale pan wspomniął na przykazanie dziadkowe i nie śmiał ich ratować.

Jechali dalej i pan zobaczył jakąś kobietę, której diabeł paznokcie kleszczami rozpalonymi obcinał. Spojrzał na nią i wydało mu się, że to jakby twarz znajoma. Nie mógł znieść tego widoku i odwrócił głowę.

Jadą dalej, a tu pacie się olbrzymia gromada owiec w gęstej, soczystej trawie, ale owce tak były chude, że im aż żebra sterczały. Dalej zaś widać było owce ogromnie tłuste, które, o dziwo, pasły się na gołym tylko piasku.

Wreszcie siwy koń zajechał przed piękny dwór i zatrzymał się tutaj. Kiedy pan zsiadł, wyszedł ze dworu ten sam siwy dziadek, z którym jadł obiad i powiada do niego:

— Miły gościu, proszę cię, wejdź do środka, abym się mógł ugościć, bo byłeś dla mnie dobry i litościwy.

Zaraz rozpoczęła się uczta, a wśród tej uczytę poznał pan, że gośty koń przywiózł do samego raju, a dziadek to przecie nie kto inny. tylko Pan Jezus.

Ucztowali ze sobą w niebieskich radościach.

Cudowna jakaś muzyka grała, anieli i święci, co niby jako publiczność byli, przepięknie śpiewali pieśni, a dokoła roztaczały się prześliczne widoki. Okolice pełne wód tęczowych, w których odbijały się srebrne chmury. Drogi i ścieżki okolone pachnącymi kwiatami. Cały obiad składał się z potraw i napojów niewypowiedzianego smaku. Ptactwo wszelkie i wszystkie stworzenie stało na usługi ucztujących w rajskim ogrodzie. Po obiedzie podano gościowi owoce najśodsze i jabłka szczerozłote, a wreszcie przybyła Najświętsza Pnienka w orszaku aniółów i świętych dziewic.

Stary Pan Bóg zaś otworzył swoje okienko w niebieskim pałacu i patrząc na ucztujących błogosławił im.

Wreszcie Pan Jezus zapytał pana:

— Powiedz mi, widziałeś ty może coś, kiedyś do mnie jechał?

— Oj, widziałem — odpowiedział pan — wiele dziwów niepojętych.

Pan Jezus uśmiechnął się dobrotliwie i pyta znowu:

— A cóż takiego?

— Widziałem najpierw takiego człowieka, co był w wodzie po samą szyję zamoczony i nie mogąc się jej napić, wołał, że go strasznie prześladuje pragnienie. A potem widziałem takiego, który miał chleb na głowie i umierał z głodu, bo mu się ten chleb zawsze z rąk wyrykał.

— Ten człowiek — odpowiedział Pan Jezus — który nie mógł się wody napić i ten, co nie mógł chleba zjeść, to są tacy, którzy za życia biednemu ani odrobinki, ani kawałeczka chleba dać nie chcieli. I cóż więcej widziałeś?

— Widziałem takiego, co miał sto pokoi, sam jeden w nich mieszkał i wołał: „Ciasno mi“. widziałem też kobietę, która przelewała po próżnicy wodę z jednej studni do drugiej.

— Ten pan, który wołał: „Ciasno mi“, to był wielki gospodarz, co miał olbrzymie majątki i folwarki, a jeszcze biednym miedze obrywał, za to mu teraz nawet w stu pokojach ciasno. A ta kobieta była za życia karczmarką, co ludziom nigdy sprawiedliwej miary nie

szynkowała. Dwa zaś woły, co się tak ze sobą okropnie bodły, to są tacy, którzy w życiu doczesnym klócili się i procesowali o kawałek roli. I cóż widziałeś więcej?

— Widziałem — odrzekł pan — chude owce na gęstej trawie, a tłuste pasące się na gołym piasku.

— Gromada chudych owiec we wielkiej trawie — ma znaczyć, że kto za życia był nienasycony, chociaż we wszystko opływał, to i na tamtym świecie będzie wciąż głodny. Gromada tłustych owiec na szczerym piasku znaczy, że kto na małym poprzestaje, ten i na tamtym świecie będzie miał wszystkiego pod dostatkiem.

— Ach, Panie Jezusie! — zawołał pan — widziałem jeszcze komietę, której diabli obcinali paznokcie rozpalonymi kleszczami.

Pan Jezus zasmucił się i odparł:

— Ta kobieta to była twoja żona. Ponieważ była skąpa i brzydka się ubogimi, więc ją diabli wzięli jak swoją.

Panu na tę wiadomość zrobiło się bardzo smutno, upadł do nóżek Panu Jezusowi, Najświętszej Paniencie, podziękował świętym i prosił, żeby mu było wolno do domu powrócić.

Wtedy Pan Jezus zapytał go:

— A wiesz ty, ileś czasu był u mnie w gościnie?

— Myślę, że chyba tu jestem od wczoraj.

— Wracaj na ziemię — rzekł Pan Jezus — bo na ziemi umierać musisz, a ile czasu minęło, sam zobaczysz.

I kazał, aby go ten sam siwy konik na ziemię odwiózł.

Kiedy już wrócili na granicę swojej wsi, zesiadł, a konik znikł.

Idzie, patrzy niby to samo, co było przed tym, a jednak nie to samo.

Patrzy, plebania stoi tam, gdzie stała przed tym, ale jakoś inaczej wygląda.

Wstąpił do proboszcza, a proboszcz nie ten sam, co był wczoraj

— A gdzież jest ten proboszcz, co tu był wczoraj?

A ksiądz mu odpowiada:

— Jakto wczoraj, przecież ja tu jestem już kilkanaście lat. Co pan za brednie wygaduje?

Dopiero, kiedy mu wszystko opowiedział, ksiądz zaczął szukać w księgach nazwiska tego dawnego plebana i mówi wreszcie:

— Od tego czasu minęło już sto lat, a pan mówi: wczoraj!

Zamedytował się bardzo i poszedł w stronę swego domu. Ale domu już nie było, tylko na tym miejscu znalazł olbrzymi kamień, mchem obrosnięty.

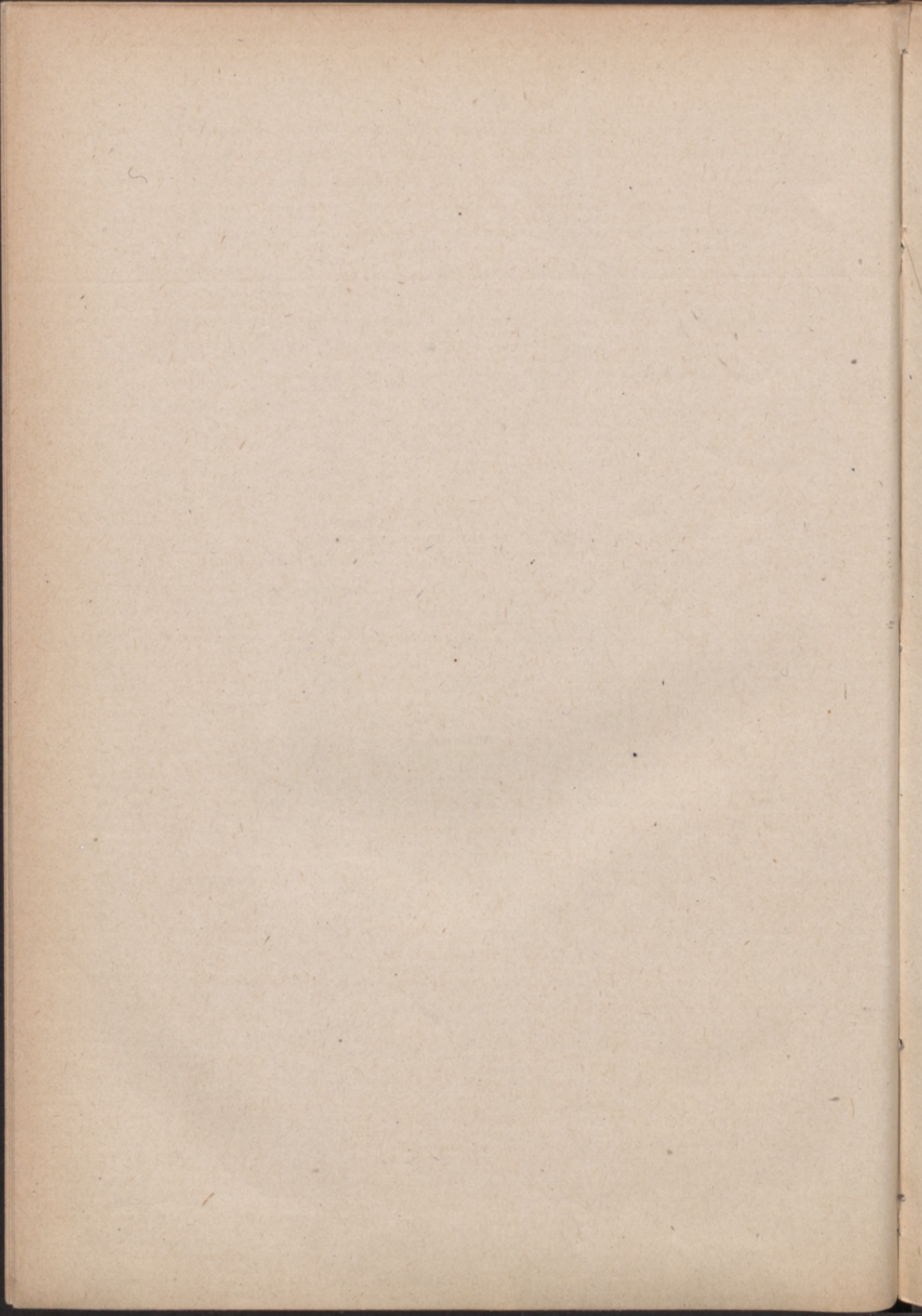
A zza tego kamienia wyszła śmierć i mówi do niego:

— Dobrze, zem cię nareszcie znalazła, bo już sto lat chodzę po świecie i szukam ciebie, ażem sobie nogi pokaleczyła.

I umarł pan i wyprawili mu należyty pogrzeb, a potem dostał się do nieba na zawsze.



PRZYPISY



WYKAZ SKRÓCEN

Archf. S.	—	Archiv für slavische Philologie Jagicza.
Bar.	—	S. Barącza: Bajki, fraszki, podania, przysłowia i pieśni na Rusi.
Berw.	—	R. W. Berwińskiego: Powieści wielkopolskie.
Cen.	—	F. Cenovy: Skarb kaszubsko - słowinskje mowy.
Cen. Za.	—	F. Cenovy: Zarys do gramatyki kaszubsko - słowinskje mowy
Chelch.	—	S. Chelchowskiego: Powieści i opowiadania ludowe z okolicy Przasnysza.
Cisz.	—	S. Ciszewskiego: Krakowiacy.
Fed.	—	M. Federowskiego: Lud okolicy Żarek, Siewierza i Pilycy.
Fed. B.	—	M. Federowskiego: Lud białoruski.
Gryf	—	„Gryf“, pismo poświęcone Kaszubszczyźnie.
Kolb.	—	O. Kolberga: Lud, serii XXIII.
Kolb. Maz.	—	O. Kolberga: Mazowsze.
Kolb. Przem.	—	O. Kolberga: Przemyskie.
Kozł.	—	Kornela Kozłowskiego: Lud Mazowsza Czerskiego.
Lor.	—	F. dr Lorentza: Teksty pomorskie.
Lud	—	„Lud“, organ Tow. ludoznawczego we Lwowie.
Łęga	—	Ks. Władysława Łęgi: Ziemia malborska.
Mac.	—	„Materiały antropologiczno-archeologiczne i etnograficzne“, rocznik Akademii Umiejętności w Krakowie.
Nadm.	—	Dr Nadmorskiego: Kaszuby i Kociewie.
Nitsch	—	Prof. Kazimierza Nitscha: Wybór polskich tekstów gwarowych.
Or. L.		„Orli Lot“, miesięcznik krajoznawczy w Krakowie.

Pleszcz.	—	A. Pleszczyńskiego: Bojarzy międzyrzeccy.
Pol.	—	Stanisława Polaczka: Wieś Rudawa.
Siem.	—	L. Siemieńskiego: Podania i legendy.
Sok.	—	Bronisława Sokalskiego: Powiat Sokalski.
Steff.	—	Augustyna Steffena: Opowiadanie komiczne i podania z Warmii.
Stop.	—	Stopki Aleksandra: Sabała.
Święt.	—	J. Świętka: Lud nadrabski.
Tetm.	—	Kazimierza Przerwy Tetmajera: Bajeczny Świat Tatr.
Wisła	—	„Wisła“, miesięcznik etnograficzny w Warszawie.
Zar. śl.	—	„Zaranie Śląskie“, miesięcznik krajoznawczy w Cieszynie.
Zawil.	—	R. Zawalińskiego: Z powieści i pieśni górali beskidowych.
Zawil. B.	—	R. Zawalińskiego: Brzeziniacy.
Zwak	—	Zbiór wiadomości do antropologii krajowej, rocznik Akademii Umiejętności w Krakowie.

Z ŻOŁNIERZA PAN

Święt. 373 (Znad Raby), Kolb. XIV, 170 (Krakowskie), Zwak VII, 10, 20 (Beskidy), Mae. VI, 395 (Pow. Iańcucki).

Z wyjątkiem odmiany nadrabskiej w czterech pozostałych bohater tej baśni rozpoczyna swoją karierę od służby w wojsku. Ojcem jego jest albo bogaty chłop, albo karczmarz, albo nawet szlachcic.

W odmianie krakowskiej, zapisanej przez Kolberga pt.: „Z żołnierza król, z króla pastuch“, szlachcic ma trzech synów, dwóch mądrych, a trzeciego głupiego, który właśnie idzie służyć w wojsku. Naciąga on ojca, który musi sprzedać wreszcie wieś, wełnę i zboże, aby posłać synowi, co princem został, całą brykę pieniędzy. Kiedy ojciec odkrywa prawdę, głupi wędruje w dalekie kraje aż do murzynów, gdzie zyskuje miłość murzyńskiej królowny. Na jej żądanie dostaje się do wojska i zaciąga „wache“ przed królewskim pałacem. Królowna rzuca mu w paczce „sto ludorów“ i list, w którym każe mu za te pieniądze wyprawić bal dla żołnierzy i starszyzny. Wreszcie awansuje i żeni się z królowną, którą opuszcza po roku, aby odwiedzić rodziców. W lesie zbójcy trują jego żołnierzy, a samego ogrywają w karty przy pomocy lustra. Nagiego ratuje z niedoli służący, który oddaje mu ubranie i zabiera list do królowej. Młody król wraca do ojca, który każe mu uczyć musztry bydła i kozy. Ponieważ z tą musztrą nie może sobie dać rady, prosi o pomoc staruszka spotkanego na krzyżowej drodze. Pan Jezus, bo on jest tym staruszkiem, daje mu cudowną piszczałkę, której kozy słuchają.

Po pewnym czasie przybywa za nim żona. Spotyka ona tych samych zbójców w tym samym lesie i ogrywa ich w karty, skoro nie chce, tak jak jej mąż, siedzieć pod lustrem. Potem zaczyna mówić do zbójców po francusku. Strzela z pistoletu, a wówczas wypadają zaczajeni żołnierze i wycinają zbójców. Po różnych mniej ciekawych przygodach małżeństwo odnajduje się, wynagradza rodzicom wszystkie straty i wraca do swojego kraju.

W pierwszej odmianie beskidzkiej młody żołnierz dostaje się jako pisarz do hrabiego, który po dwóch latach na prośzonej kolacji proponuje mu córkę za żonę. Kiedy młodzieniec chce przed tym odwiedzić rodziców, hrabia daje mu powóz, konie, lokaja i forysica. Po drodze ucieka im, sprzedaje wszystko

te po raz drugi werbuje się do wojska. Dzięki edukacji u hrabiego zostaje „felfebrem manikulantem“. Oficerów unika „żeby się nie zlompacył“.

Następnie zdobywa miłość królowej, znajduje zgubiony przez nią pierścionek, oraz zgaduje zadane przez nią zagadki. Dalszy ciąg niemal analogiczny z innymi odmianami.

W drugiej odmianie beskidzkiej oszukany ojciec przez syna Ignasia doznaje jeszcze jednej przykrej niespodzianki. Kiedy rozczarowany wraca do domu, Ignas zastępuje mu drogę w lesie i obrabowuje własnego ojca, co przypomina charakterystyczny szczegół z legendy o słynnym Janosiku. Co prawda Janosik wypróbowuje tylko swój talent zbójnicki na ojcu i to, co przemocą odebrał, zwraca.

W odmianę rzeszowską wplatają się zupełnie odrębne motywy. Po rozprawie z ojcem syn zostaje jeszcze w wojsku, a kiedy je wysłużył, zostało mu trzy „szóstki“ na drogę: „jedna na chleb, druga na tabak, a trzecia na wódkę“. Wojak rozdaje te szóstki trzem spotkanym dziadkom, za co otrzymuje od Pana Jezusa cudowną kaletkę i fajkę. Potem w zaklętym zamku wojuje z diabłem i wybawia czarną królową, która bieleje. Stary król oddaje mu swoje państwo i córkę za żonę. Kiedy wyjeżdża do rodziców, wstępuje do karczmy, gdzie wszyscy żołnierze, poczęstowani kieliszkiem wódki przez starą babę, kamienieją. I t. d.

Odmiana nadrabska, którą przede wszystkim wyzyskałem, jest bardzo rozwlekła i dlatego trzeba ją było znacznie skrócić. Służba w wojsku tutaj nie istnieje. Pierwszą część opowiadania wypełnia nauka u bogatego pana, którego młodzieniec porzuca dla żądzy przygód.

Niektórych szczegółów z życia wojskowego zaczerpnąłem od Kitowicza usuwając w ten sposób wszelkie reminiscencje armii austriackiej.

KUR I WIATR

Pleszcz. 153 (Pow. międzyrzecki).

Tę poetyczną bajkę zapisał ks. Pleszczyński, nie podając żadnych o niej szczegółów, nie wymieniając nawet nazwiska osoby, która ją opowiedziała. Przytoczyłem ją dosłownie. Żadnych odmian tej bajki w materiałach etnograficznych nie znalazłem.

DIABEL NA SŁUŻBIE

Chelch. II, 100 (Spod Przasnysza), Kolb. III, 182 (Kujawy), V, 63 VIII, 165, 167 i 169 (Krakowskie) XIV, 224 (Poznańskie), Mae, V, 82, (Górny Śląsk), VI, 351 (Pow. łańcucki), Pleszcz., 151 (Pow. radzyński), Święt. 341 (Znad Raby), Wisła VI, 312, XIII, 79, 80 (Krakowskie), XIX, 419 (Lubelszczyzna), Zwak VII, 43 (Beskidy), Gryf 1912, 130 (Kaszuby), Mae. XIII, 129 (Staniawów, Polska szlachta zaściankowa). —

Bardzo rozpowszechniona u nas baśń o diable na służbie ma kilka bardzo efektownych zakończeń, po namyśle wybrałem to, które zaczerpnąłem z VIII serii Kolberga i odmiany stanisławowskiej, inne znajdzie czytelnik w streszczeniach poszczególnych odmian. Dla wyjaśnienia dodać należy, że wedle wierzeń

ludowych najstarszy diabeł, Lucyfer, jest uwiązany na łańcuchu. Ten łańcuch, którym go okułał po walce św. Michała, jest oznaką jego godności, a zarazem źródłem męki. „Diabły — czytamy u Chełchowskiego — to precz gryzą zębami i pilnikami rzną ten łańcuch, co on na nim stoi, ale jak tylko ksiądz na Wielkanoc zaśpiewa Aleluja, to ten łańcuch nazad się zrasta.“

W odmianie Chełchowskiego diabeł szasta pieniędzmi i ogrodnikowi za rozsadę daje pełną czapkę pieniędzy, a kiedy gospodyni go pyta, skąd wziął tyle pieniędzy, odpowiada: „Ja towarzystwo zaciągnonem do jednego pana i muse mu za to odrobić.“ Jeździ też na wesele, ale kiedy każdą pannę okulał, żadna z nim nie chciała tańczyć. Kiedy pracuje u pana przy roztrząsaniu gnoju, kładzie się i nic nie robi. Rządca i ekonom napędzają go do roboty, a on odpowiada: „Coś bysta wy i pięć razy przetrzęśli, to ja z wami zdążę. A zresztą kiedy mnie odprawiała, to wsadźta mi który nogę w d...“ Zwałł portki i jeden mu wsadził nogę. „No to wsadźta i wy wszyscy.“ Tak ich przytrzymawszy, wodzi po roli i w ten sposób przetrząsa gnój, itd. Baśń kończy się porwaniem córki gospodarza, którą ten obiecał mu oddać w nagrodę za pracę w dziesięć lat po urodzeniu.

W odmianie kujawskiej pan wypuszcza na diabła, unoszącego śpichlerz dzikiego ogiera, a on łapie go za łeb, wrzuca na dach i mówi: „Toć to i to w gospodarstwie potrzebne“. Potem zabiera panu „ćwiertnię“ pieniędzy, a pan się z rozpaczyny wiesza. Kiedy diabeł ma już odejść, sprawa tak się układa, że gospodarz zubożony ma go również zrobić panem. Według wskazówek czartha chłop ma iść do kościoła i wziąć kociołek ze święconą wodą, oraz kropidło. A kiedy zajdą do piekła, to będzie kropić wszystkich diabłów wodą, a skore wody zabraknie, to należy walić kropidłem, a kiedy kropidło się zedrze, to kociołkiem bić po łbach. I tak się też stało. Gospodarz wszystkich diabłów wygnał z piekła, swojego parobka na łańcuchu uwiązał i tym sposobem zrobił go najstarszym diabłem.

Bardzo interesujący jest pierwszy wariant krakowski. Akcja toczy się w kopalni wielickiej. Diabeł porywa chleb litościwemu terlarzowi (średniowieczna nazwa robotnika pracującego w sztolni) i za karę musi u niego służyć, bijąc sztolnię i piece. Kiedy rok mija, diabeł uderza końskim kopytem w ścianę z której natychmiast lunął gruby strumień wody, a po krótkiej chwili woda zalała już korytarz i rogaty w niej przepadł.

W drugiej odmianie krakowskiej najstarszy diabeł wysłał młodego na ziemię, żeby próbował ludziom dokuczać. Przemieniwszy się w tłuste ciele, pozwala się wziąć rzeźnikowi, który kłął okropnie, że nic kupić nie mógł. Na końcu drogi diabeł zmienia się w czarnego, warczącego psa. Pierwsza sztuczka udała się, gorzej poszło z garncarzem, u którego za karę musi służyć i wykopuje mu olbrzymie ilości gliny, zabiera panu siano, a drugiemu wyrwie drzewo z korzeniami. Ponieważ obaj panowie klną strasznie, diabeł dobrze się zasłużył i może wracać do piekła.

W czwartej odmianie krakowskiej diabeł, który nazywa się Ka, musi służyć u chłopu dlatego, bo zjadł chleb, a chleb jest darem niebieskim. Ponieważ nie bardzo był zgrabny, gospodarz postanawia go wygnąć po sześciu latach służby. Diabeł robi wódkę, ponieważ jednak spaliły mu się buty, które dla gorąca

położył za piecem, wyleciał, jak wściekły, na środek chałupy i zaczął krzyżeć: „Zgorzał Ka!“ Odtąd ten trunek przez diabła wynaleziony nazwano gorzałką.

W wariacie poznańskim diabeł musi za karę zostać przez siedem lat kwestarzem w klasztorze i zbierając jałmużnę, różnych dokazuje nadzwyczajności z bykiem i psami, które skąpy pan na niego wypuszcza. Kończy zaś swoją służbę w ten sposób, że wyprawia wspaniałą ucztę, na której szlachtę okoliczną do bijatyki i zabójstwa przywodzi. Porwawszy pięćdziesiąt dusz, wraca do piekła.

W odmianie łańcuckiej zabiera panu wszystko zboże, przy pomocy worka, który coraz bardziej się rozszerza.

Diabeł międzyrzecki żegnając się z gospodarzem tak powiada: „Dziś moja służba się kończy, a com zrobił, to za ten chleb, com ci go wziął łoni z wło-czyska, bo ja chocia diabeł, ale nie złodziej i mam ci swój hunor“.

W wariacie nadrabskim diabeł zostaje ukarany za to, że biednej babie „wszystką mąkę z miareczki wydmuchał“. Nie trzeba biednemu na despekt robić! — powiada Lucyper. Diabeł służy, pracuje, i opuszcza swoich gospodarzy, kiedy dorobili się wielkiego majątku.

W piątej odmianie krakowskiej, zapisanej przez Zygmunta Wasilewskiego, diabeł nazywa się Judasz.

Diabeł lubelski zostaje oddany na służbę do chłopca, kiedy ten poskarżył się nań u ojca - diabła, że mu psie figle stroi. Pracuje u dziedzica za chłopca i zabiera do rękawa olbrzymie ilości zboża. Zażdrośny sąsiad namawia go, żeby także u niego służył, ale diabeł robi mu na złość. Kiedy miał być suchy rok, kazał siać na wzgórkach, kiedy mokry, na nizinach. I w ten sposób go zniszczył.

Beskidzki diabeł Ryga pomaga gospodarzowi i wzbogaca go za to, że zgłodniałego nakarmił.

W odmianie kaszubskiej diabeł mści się na gospodarzu za niesprawiedliwie wydalonego parobka.

Według odmiany stanisławowskiej zboże posiane przez diabła rośnie bardzo bujnie. Ponieważ mają bardzo dużo kartofli, diabeł namawia ogospodarza do założenia gorzelni, którą budują z kupionej stodoły. Naturalnie diabeł przynosi całą stodołę na plecach. Zakończenie tej odmiany w znacznym stopniu wyzyskałem.

H U L A L A

Wisła III, 179 (Pow. nowotarski).

Powtórzyłem z małymi zmianami tekst zanotowany przez Stefanię Ulanowską we wsi Ponice pod Rabką.

T O P I E L E C

Wisła I, 72 XII, 153, Kolb. VII, 59, Lud. II, 361, Lud. XI, 313, Pol., 98, Święt., 453, Mae. VI, 12, 26, 32, 37, 38, 39, 42, 58, 66, 70, 74, 78, 93; Mae. XIV, 49 (Krakowskie), Archf. S. V, 644, Zwak XIV, 187 (Puszcza sandomierska), IX, 62 (Spod Pączowa), X, 112 (Spod Ropczyc), XI, 15 (Spod Olkusza), XIII, 78 (Pow. przemyski), XVII, 125 (Spod Częstochowy), Wisła IV, 111, VIII, 148.

366, Kolb. XVII, 93 (Lubelskie), Wisła VI, 181 (Mazury), VII, 103, Lud. XIV, 249 (Spod Nowego Sącza), Wisła VII, 275 (Piotrkowskie), Wisła X, 590 (Spod Dąbrowy Górniczej), XII, 57 (Spod Przeworska), XV, 504 (Sieradzkie), Lud. VII, 187 (Podhale), X, 439, XI, 311 (Spod Będzina), XIII, 42 (Spod Sanoka), XVI, 88 (Spod Suchej), Kolb. XV, 13 (Poznańskie), Mae. VII, 11 (Spod Myślenie), XI, 55 (Pow. brzeski), 276 (Tarnów - Rzeszów), Mae. V, 11, 152, Or. L. XII, 131, Zar. śl. I, 46, IV, 43, V, 90, VII, 69, VIII, 119 (Górny Śląsk), Kolb. Przem., 233 (Przemyskie).

Materiały odnoszące się do postaci topielca są niezmiernie bogate i różnorodne. Dość stwierdzić, że sam Udziela w swoim „Świecie nadzmysłowym” podaje z górą pięćdziesiąt baśni. Liczny jest również zbiór Świętka i Ciszewskiego. Prawdopodobnie niektóre odmiany przeoczyłem, do wielu zaś rozprószonych po wydawnictwach periodycznych w ogóle nie dotarłem. W każdym razie zasób baśni topielcowych, które wyzyskałem, jest wystarczająco obszerny i przy opracowywaniu syntetycznego cyklu wymagał długiego i żmudnego wysiłku.

Postać topielca przeprowadziłem tutaj konsekwentnie jako pewien rodzaj diabła, wychodząc z założenia, że ten demon w dużej ilości wypadków ujawnia swój diabelski charakter. Świętek w swoich tekstach nazywa go często pokusnikiem, a w materiałach zebranych przez Zaranie Śląskie występuje on po prostu jako Rokita. Od zwykłego diabła jest bardzo niebezpieczny, walka z topielcem znacznie trudniejsza ze względu na przyrodzony mu żywioł wody. Niewątpliwie inne ujęcie topielca utrudniałoby w znacznym stopniu moje zadanie i zubożałoby temat zasadniczy. Wszystkie pojęcia o topielcu odbiegające od typu diabelskiego staram się jak najskrzętniej zanotować.

W „Encyklopedii staropolskiej” Gloger stwierdza, że topielec „w pojęciach ludu jest człowiekiem, który utonął, a duch jego żyje w głębinach wody i żyjących ludzi, gdy się kąpią lub wpadną do wody przypadkiem, rad wciąga. Topielec rodzi się także z kobiety brzemiennej, jeżeli w tym stanie utonęła. Jeżeli zaś utonęła matka, zostawiwszy niemowlę przy piersi, to gdy przyniosą dziecko po zachodzie słońca na brzeg wody, wypływa i karmi.” — Gloger powołuje się przy tym na Wójcickiego i Hauffa, nie wspominając o nowszych badaniach etnograficznych.

Na wstępie należy zaznaczyć, że lud polski nazywa topielca rozmaicie. Bardzo popularny jest topielec albo utopiec, poza tym spotykamy jeszcze: wodnik, topczyk, stopczyk, tąpielec, topień, topnik i topich. Na Śląsku mówią z niemiecka waserman.

Stefania Ulanowska w rozprawie „Wśród ludu krakowskiego” opowiada o boginiarzu, któremu z lewej poły woda kapiała i który wyjaśnił młynarzowi w jaki sposób ma zapobiec niszczeniu mostu. W czasie walki z Topielcem trzeba uważać, aby on w usta nie chuchnął. Pewien gospodarz łapiąc ryby w stawie zagarnął Topielca do saku, po czym trzymał go przez rok cały za piecem. Karmił go kluskami i ziemniakami, po roku zaś Topielec domagał się wolności, gdyż musi utopić parobka i dziewczynę. Za to gospodarz brał po stawach tyle ryb, ile mu się podobało.

Najliczniejszy zbiór baśni topielcowych znalazłem w znakomitej pracy Seweryna Udzieli pt.: „Świat nadzmysłowy ludu krakowskiego mieszkającego po

prawym brzegu Wisły". Zbiór ten wraz z materiałami Świętka, Ciszewskiego i Kapuścińskiego był główną podstawą mojego opracowania.

Topielec nazywa się czasami, tak jak diabeł Iwon, daje się on złapać człowiekowi jako ryba, albo rak, a zapytany przez drugiego topielca albo topielców: „A gdzie są Iwon?“, odpowiada: „U chłopą się na plecach kiwom“. Ukazuje się czasami w czerwonym fraczku i podobnie, jak diabeł Srala śpiewa: „Kapelusik na głowie, tańczujemy se szwagrowie“. W Stadnikach widziano dwóch topielców w postaci żołnierzy z czerwonymi czapkami walczących na szable. W Lipnikach chłop, nabierając gliny do worka wziął i topielca, który go chwycił potem za kark zimnymi rękoma. W Gaju utopiec wabi ludzi, wzywając ich pomocy, niby jako człowiek, który tonie. W Czaślawiu topielec domagał się, aby go dopuszczono do pławienia koni. W Wrząsowicach topielec nie mogąc dać rady parobkowi wezwał pomocy drugiego utopca. Kobiety, które topielec prosił w kumy, widziały pod wodą dziecko w złotej kołysce, a chrzest dopełnił się w małym kościółku podwodnym. Często zdarza się, że kobiety spotkawszy szkaradną żabę ofiarowują się jej żartem za kumoszkę. Potem okazuje się, że żaba była topielcówą, a mąż jej zmusza do wypełnienia niebacznej propozycji. W Świętnikach Górnych kobieta przyniosła do domu topielcówę dziecko, później jednak musiała odnieść je w to samo miejsce, skąd je wzięła. We Wrząsowicach pasterze widzieli całą rodzinę topielców: chłopą, babę i dziecko w czerwonych czapeczkach, z czarnymi, pokreconymi włosami. W Dziekanowicach topielec co noc wyjadał młynarzowi mąkę i zboże. Poskromił go dopiero niedźwiedź przyprowadzony przez cygana. Topielec pytał potem młynarza: „Młynarzu, jest tu jeszcze kociara?“ W Gdowie widziiano topielca naprawiającego buty ze słowami: „Tu łatkę... tu łatkę...“ Przy poskramianiu topielca dobrze jest się opasać łańcuchem żelaznym. W Rzozowie topielca chwytającego gęsi i kaczkę wyciągnął ułan, który przyszedł od wojska. Topielec został przyprowadzony do chałupy, gdzie pochwalił Pana Boga, a potem siadł na piecu. Kiedy mu się sprzykrzyło siedzieć prosił u gospodarza o mały snopek słomy i paczkę zapalek. Wypuszczony wszedł w Rabe i idąc w górę rzeki, wyjmował żdźbła i zapalał je. W ten sposób doszedł aż do Dobrzyc, gdzie się też pokazywać zaczął. Kiedy pokazał się pod Rzozową na kładce jako pies, napastowany chłop odpędził go słowem: „Świńskie gównoc chyb do wody“. Podczas zmagania z topielcem często zrywa się wichur i nadciąga burza.

Kolberg w wierzeniach krakowskich przytacza jedynie wyjątek z „Kłósów“. Topielec powstaje z ludzi dobrowolnie lub przypadkowo utopionych, których diabeł ożywia. Przebywa w głębinie, topi kąpiących się, oraz rybaków lub flisaków. Nigdy się wraz z sową w dzień nie pokazuje. Nic go więcej nie gniewa, jak zapowiedź ludzi, że już świta, przypomina mu to bowiem, iż z powrotem musi zanurzyć się w wodę.

Baśń Kapuścińskiego podaną w drugim tomie „Ludu“ wyzyskałem niemal całkowicie. Pominąłem jedynie szczegół, który mi się wydał sztuczny, a mianowicie, że topielec wyjeżdża w świat siwym konikiem ze złotą uzdą zaprzągniętym do karetki.

Według materiałów zebranych przez Karola Potkańskiego, topielec mieszka w bełku, w którym woda nigdy nie zamarza.

Polaczek w swojej monografii o Rudawie opowiada, że topielec jest to syn boginki. Siedzi zwykle w głębokiej wodzie i wabi tam kąpiących. Po zatopieniu oddaje duszę ludzką diabłu, z którym i topielec i boginka w bliskich pozostają stosunkach. Spotkany na brzegu rozplywa się we mgłę i wraca do wody. Panowanie wody i lasów ludzie tłumaczą sobie tym, że topielec i boginki na świat wychodzą. Zupełnie to samo powtarza Polaczek w swojej monografii powiatu chrzanowskiego.

Według Świętka mieszkania topielców są to bardzo piękne pałace, zbudowane misternie przez wodę, która rozstępuje się w miejscach, gdzie są pokoje, wytwarzając zarazem ich ściany, powały i podłogi jak najkunsztowniej. Sprzęty opatrzone są w najrozmaitsze rzeźby, a drzwi i okna przyozdobione kolorami tęczy. Topielec ma taką władzę nad wodą, że skoro się tylko poruży, ona ściele po jego myśli drogę; a jak swą zakreśli laską, tak mu się w okamgnieniu buduje pałac. Topielca można pokonać, gdy go się bije poświęconymi rzeczami, można go również zmusić, aby dusze utopionych przez siebie wypuścił na wolność. Topielec obawia się nie tylko nowego noża i nowej igły, ale również broni wojskowej, w przekonaniu, że jest poświęcona. Ludzi topi niekiedy z łodzi, gdy nie spodziewając się żadnego niebezpieczeństwa, wystawiają nogi za burty.

Na Kleparzu topielec występuje w magierce na głowie, w pstrym ubraniu i różnokolorowych portkach. Może się zmieniać nie tylko w rybę, ale i w drzewo.

W baśni opowiedzianej przez Matusiaka pałac podwodny przypomina piekło. Dziewczyna porwana przez topielca musi nosić drzewo i palić pod blachą wielkiego pieca, na którym stoją garnki z duszyczkami. Wszystkie inne szczegóły wyzyskałem.

Wierzchowski w materiałach z puszczy sanđomierskiej opowiada o topielcu podobnym do byka z łbem dzikiej świni. Odpędzić go można poświęconym szkaplerzem. „Przed kilkunastu laty o północy, gdy księżyc pięknie świecił, siedział na promie młody, urodziwy topielec u przewozu naprzeciw Niska; na to nadeszła młoda dziewczucha z miasta, a myśląc, że to przewoźnik, weszła na prom. Topielec wnet ją pochwycił i poszedł z nią pod wodę; właściwy zaś przewoźnik, ukryty w krzakach, widział to porwanie. Koło Rozwadowa młoda Żydóweczka wskoczyła w rozpachy do Sanu i w tym samym miejscu pokazuje się ona, jako widmo w białej szacie.“

W okolicach Pińczowa topielce uchodzą za duchy samobójców. Przebywają oni na dnach rzek, a kiedy się przewracają jak niedźwiedzie, to wtenczas woda bałwani się po wierzchu. Topielec nie utopi dobrego człowieka, jeno takiego, który ma złą w sobie duszę. Topielec już tym samym, że kogoś utopi, sam się zbawić może.

W ropczyckim właściwy topielec jest to chłop; chodzi on w teleju, tj. płótniance, w której jedna poła jest zawsze mokra i ciągle się z niej woda leje. Topielec mieszka w wodzie, gdzie ma na dnie dom ze szkła. Wychodzi on tylko wtedy, gdy świeci księżyc i stara się utopić każdego, kto się kąpie w jego wodzie lub przez nią przejeżdża. Najprędzej może utopić tego, co się kąpie w południe.

Ciszewski w „Ludzie rolniczo-górnicy“ stwierdza, że topielcem może być żywy człowiek, ale taki, który ze złym trzyma. Inni zaś opowiadają, że jest

to zły duch, który wchodzi w ciała utopionych ludzi. Złapać topielca można tylko na poświęcone łyko, którym był związany snopek na Matkę Boską Zieloną. Pewnego razu topielec kupował mięso u rzeźnika, który mu przy tej sposobności obciął dwa palce. Utopiec zapowiedział zemstę i jakkolwiek rzeźnik wystrzegął się wody, topielec wciągnął go do beczki stojącej w sieni. Topielec nie ma prawa do człowieka, który się żegna, wchodząc do wody. Ciszewski podaje również znaną klechdę o szczęśliwej godzinie, w której zamiast demona występuje topielec. Unikatem w swoim rodzaju jest opowieść o córce utopielcowej, która wychodziła na muzykę i urody miała zadość. Parobcy okropnie z nią hulali. Razu pewnego nie chciała się bawić dłużej jak do 1-ej po północy. Bardzo się wówczas rwała do domu i poszła wreszcie z jednym. Kiedy stanęli nad wodą, powiedziała mu, żeby czekał, aż zajdzie do domu. Jeśli jednak woda zakrwawi się, to powinien uciekać. Woda jednak nie zakrwawiła się, panna wyszła i wezwwała go do siebie, uderzając prętkiem po rzece. Pod wodą dali mu dobrze jeść i pić w jakiejś przedziwnej izbie. Chłopak ożenił się z dziewczyną, którą utopiec bogato wywianował. Po jakimś czasie przenieśli się na ziemię i tam żyli szczęśliwie.

Według Ciska (Przemyskie) topielec jest złym duchem, który siedzi w głębokich wodach i ludzi topi. Wyszędzszy z wody ukazuje się w postaci człowieka w ubraniu wiejskim. Poznać go po czarnej twarzy i dużych, świecących oczach...

W odmianie częstochowskiej kobieta zaproszona w kumy do topielca, tak zasmakowała w nowej znajomości, że bardzo często odwiedza swego chrześniaka.

W Lubelskim we wsi Krynicach topielcami są mieszkańcy zatopionego niegdyś miasta.

Według materiałów zebranych na Lubelszczyźnie przez Kowerską, jeśli matka utopi dziecko niechrzczone, to ożywa ono po siedmiu latach i zostaje topielcem. Topielec schwytyany na lipowe łyko został ochrzczony i był potem, jak inni ludzie.

To samo powtarza Kolberg. W Kraśniku i Modliborzycach opowiadają, że topczyk przemienia się częstokroć w jesiotra, ale wtedy ma łeb zupełnie zaostrzony i bez pyszczka, tylko szyja otworem pluje serwatkę. Za Krasnymstawem wyłowiono siecią dwóch topczyków. Jeden był trochę garbaty, a drugi obrośnięty sierścią bydlęcą. Przyprawieni do dworu kryli się po kątach i zaczęli mówić dopiero po chrzcie. Dowiedziano się wówczas, że matka niemowa, dostawszy synów tak od kogoś, potopiła ich. Garbaty włożony był do garnka, który pękł po siedmiu latach i topczyk rósł sam w wodzie. Skoro niabawem pomarli, pochowano ich na cmentarzu. Od tego czasu w tych stronach ryb łowić nie podobna.

Na jeziorach mazurskich każdy większy obszar wody ma swego topielca, który w pewnych porach wymaga ofiary. Dlatego też na jeziorach musi utonąć pewna ilość osób. Nieraz można słyszeć jak tupich w wodzie krzyczy, śmieje się, płacze, lamentuje, jak gdyby chciał zwrócić uwagę przechodniów. Nieraz słyhać wyraźnie: „Czas idzie i godzina, a człowieka nie ma“. Komu przeznaczony jest paść ofiarą topielca, tego nieprzeparta siła pędzi ku wodzie. Dla przywabienia ludzi tupich zawiesza na drzewie lub krzaku czapkę, but albo inną ponętą rzecz.

Matyas w „Naszym siole“ powtarza znane skądinąd szczegóły. Poza tym kuma zaproszona przez topielca radzi się przed tym księdza. Dziecko zostaje ochrzczone w prawdziwym kościele i trzeba z n m wracać pod wodę do dwóch pięknych pałaców z żelaznymi bramami. Skoro kuma wraca już do domu, topielec trzaska drzwiami i obcina jej pięć. Później dopiero topielczyna przyniosła jej dużo pieniędzy.

W Muszynie w ziemi nowosądeckiej jest słynny „czarny wir“. Woda w tym miejscu obraca się i kotłuje, a ma być tak głęboka, że ustawione dwa kościoły jeden na drugim nakryłyby się. O północy wychodzą z tej głębiny topielce i panny wodne. Słychać wtedy śmiechy, klaskanie rękami, płacz i jęk, wołanie o ratunek. Topielce te i panny wodne wychodzą na brzeg, bawią się, zwozują ludzi, których topią. Jeśliby wtedy szedł człowiek i ujrzał topielca lub wodną pannę, zaraz ma uciekać naorne pole, bo one tam nie mają do niego przystępu. Jak wieść gminna niesie, mają być w tej głębiny wspaniałe pałace i mnóstwo skarbów.

Według górników z Dąbrowy utopiec jest ślepy i ma białe włosy. Kiedy jednego chłopca schwycił, to zostały po nim ślady pięciu pałców.

W ziemi przeworskiej nikt się nie kąpie przed św. Janem z obawy przed topcem. Baśń o porwanej dziewczynie wyzyskałem całkowicie.

Topielec z Sieradzkiego jest to człowiek, który rozmyślnie sobie życie odbiera, topiąc się. Straszy i pokutuje, a będąc pod opieką diabła kieruje się jego wolą.

Topielec podhalański nie wykazuje żadnych cech oryginalnych.

W powiecie będzińskim opowiadają o licznych spotkaniach z topielcem, ukazującym się w postaci wysokogo, chudego chłopca w ogromnym kapeluszu na głowie. Zaczepia on robotników i mści się za zniewagi, pyta o drogę do wody, a żołnierza rosyjskiego ze straży granicznej wsadza po pachy w rzecze, obiecując, że tutaj właśnie schwyta przemytników. Widziano go i na piecu wapiennym, mieszającego wapno wielką miotłą. Zjawia się pomiędzy dziećmi, to znów przemienia się w młodego żrebaka. Podczas zimy przechadza się środkiem rzeki w długiej do ziemi kapocie. Innym razem dokucza pasterzom, porywa młodą dziewczynę i mani krawca z Czeladzi, który obcina sobie własną kapotę. Pewnego razu schwytano go, zarzucając na szyję szkaplerze i inne świętości. Topielec pod groźbą chrztu przyrzekł, że puszczony do wody nikogo już w Będzinie nie utopi. Słowa dotrzymał.

W sanockim stary rybak wciągnięty został za wędkę do wody. Lecząc zdołał jeszcze zawołać: „Jezus, Mario, ratuj mnie!“ Leciał długo i wpadł wreszcie do pałacu, który błyszczał od złota. We drzwiach stał stary dziad, który mu powiedział: „Czemu ty człowieku mącisz wodę, twoje szczęście, żeś wezwał imienia boskiego, bo inaczej byłaby twoja śmierć!“ Po czym topielec wziął go na plecy i wyniósł do góry. Dopiero na drugi dzień znaleziono zemdlącego rybaka na brzegu.

W Skawie biło się raz dwóch topielców tak mocno, że aż rzeka się zaczerwieniła. Zdarza się również, że topielec psoci rybakom, plątając więcierze.

Szczegóły przytoczone przez Kolberga w wierzeniach poznańskich zdradzają wybitne pochodzenie literackie i z etnografią mało mają wspólnego.

Topielec z pod Myślenic wygląda, jak mały chłopak i nosi na głowie czerwoną krakuskę, a na nogach nie kierpce, tylko buty. Nieustannie śmieje się, dzieciom pokazuje wstążki, a zwabiwszy do siebie dusi je. Jedna kobieta widziała topielca, który wjechał do rzeki wozem, przewrócił go i dalej jechał. Czasami ukazuje się jako człowiek z latarnią, to znowu wspina się na lipę albo grzebie dołki w piasku. Jeśli ktoś pójdzie kąpać się w niedzielę przed św. Janem, zwłaszcza podczas nabożeństwa, a zobaczy czerwoną wstążkę na wodzie, niech za nią nie płynie, bo to jest topielec, który by go porwał i utopił.

W Radłowie topielec wygrzewa się zarówno dniem w słońcu, jak i nocą do księżyca. Widziano również topielca wjeżdżającego karetką do wody.

W pośmiertnych materiałach Kolberga z Tarnowa i Rzeszowa znajdujemy co następuje: Topielec (topień czyli topnik) pochodzi z kobiety brzemiennej, która utonęła. Panuje on w rzekach i różne topi w nich bydłota. Topielec to także człowiek o dwóch duchach, którego czart utopił, a który po śmierci innych topi ludzi.

Utoplec górnośląski z materiałów Malinowskiego niczym nie różni się od diabła i tak, jak on, zostaje zwyciężony podstępem przy pomocy śrubsztaka.

Pod Katowicami był wielki staw z wyspą pośrodku, gdzie w budce mieszkał utopiec garbaty. Szył on buty przy świetle księżyca, uderzony jednak po garbie deską przepadł bez śladu.

W „Zaraniu śląskim“ o topielcu znajduje się wiele oryginalnych szczegółów.

W okolicach Pszczyny opowiadają, że utopiec ma wzrostu najwyżej metr dwadzieścia. Na gębie wygląda jak każdy inny człowiek. Ubranie ma czerwone, krótki żakiecik, a na głowie nosi czerwoną czapeczkę. Siedzi w stawach i pidłach (śluzach), a najczęściej na łąkach, w przykopach. Jak w nocy idzie pijak albo grzesznik, to go utopiec zaraz wciągnie.

Raz w Tychach utopiec chłopu pijanemu ściągnął spodnie, ale buty zostawił mu na nogach. Innemu „opitemu“ pokazał drogę, która go zawiodła do wody. O mało się nie utopił, a zły duch tańcował po wodzie i wyśmiewał się z chłopca. Ludzie rzucali na niego kamieniami, ale żaden nie mógł go trafić.

W Jaworzynce opowiadano o topielicach. Kryły się one w plosach i pod mostkami i wciągały kąpiących się w głębiny lub furmanom wozy wywracały z mostu do wody i ssaly z nieszczęśliwych krew, młodość i życie.

W Szomfiurkach, na końcu wsi, jest kapliczka, a za nią wielki staw. Tam był raz utopiec, ale on się ożenił i więcej we stawie nie może mieszkać, bo jego baba nie chce.

Opowiadanie Morcinka (Powiarki śląskie) o utopcu ma zalety literackie, mniej jest jednak wartościowe jako materiał etnograficzny.

W Przemyskiem topielnik zjawia się w postaci małego człowieka z długimi aż do ziemi włosami, które go całkiem zakrywają. W Wyszatycach wyobrażają go sobie jako człowieka całkowicie rybią łuską pokrytego, pod samym zaś Przemysłem w postaci czarnego diabełka po zachodzie słońca pluszczącego się w Sanie.

KOBYLE JAJO

Kolb. XIV, 357, Wisła IX, 325 (Poznańskie), Święt. 443, 446 (Znad Raby),
Czasz. 220 (Krakowskie), Zwak XV, 31 (Beskidy), Lor. 22 (Kaszuby).

Facecja niniejsza należy do kręgu zabawnych opowiadań o sąsiadach, które są między innymi tematem interesującej pracy Bystronia pt. „Megalomania narodowa“, chociaż nie znajdujemy jej tutaj. W „Kobyli jaju“ chłop poznański wyśmiewa Niemca, mieszkaniec nizin górala, Białorusin Mazura, inni obierają za cel swego szyderstwa żydka itd.

Wstęp do niniejszego opowiadania oparłem na tradycyjnych wyobrażeniach ludu naszego o Niemcach. Poznańską odmianą Kolberga wzbogaciłem szczegółami zaczerpniętymi z innych tekstów. W odmianie poznańskiej zapisanej przez niemieckiego uczonego Knoopa, błazen diabelski wysiaduje dynię jako jajko zajęce. Kiedy dynia pęka, w tej samej chwili przebiegł tamtędy zajac. Błazen zawołał: „Pójdźże tu, czy nie znasz matki?“ W pierwszej odmianie nadraabskiej góral wysiaduje kobyle jajo najpierw przez cztery miesiące pod pierzyną, a potem idzie z nim do lasu. Kiedy wyrznął dynię o chojak, wylatuje stamtąd niespodziewanie zajac i przestraszony ucieka bardzo chyżo. Góral biega po lesie i woła: Ście! ście! ście! ściesiu! Kiedy wyżala się przed żoną, ta zaczyna jeszcze bardziej swarzyć i mówi, że chętnie by też ze cztery miesiące na jaju posiedziała, a może wylęglaby się źrebiczka, to by sobie więcej takich koni przychowali.

Druga odmiana nadraabska opowiada o żydzie, który będąc chory, wysłał parobka do doktora z moczem. Ponieważ parobkowi flaszka się rozbiła, nalał do innej moczu od żrebnej kobyły. Doktor po zbadaniu rzekł, że żyd jest żrebny, trzeba go zaprzęgnąć do pługa, aby się dobrze przeciągnął i pałą mu dogrzać, to może to żrebię z niego się wybije. Jak doktor kazał, tak się stało. Żyd ciągnąc pług, obity przez tym przez parobka, zmęczył się, stanął i powiedział parobkowi, że idzie żrebić się do lasu. Kiedy tu raz i drugi drzysnął, z za krzaka wyskoczył zajac. Parobek zaczął go przywoływać, a żyd krzyczy: „Nie wołaj, nie wołaj, bo ja nie mam cycek dla niego“.

W odmianie krakowskiej żrebak ma się wylęgnąć z malutkiego pęcherza, kupionego u rzeźnika.

Odmiana beskidzka jest prawie identyczna z drugą odmianą nadraabską.

W odmianie kaszubskiej głupi syn wysiaduje banię na wysokiej górze. Po trzech tygodniach przypomniał sobie, że gęś siedząc na jajach obraca się, a więc z końskim jajem trzeba tak samo postępować. W rezultacie głuptas spada w krzaki, skąd wylatuje zajac. Przywołując go, pyta ze zdziwieniem: „Cóż to, nie poznajesz twojej matki?“

WILK I JEGO ŚNIADANIE

Gryf 1909, 6, Lor. 624 (Kaszuby), Chelch. I, 67 (Spod Przasnysza), Lud VII, 45, (Spod Dukli), VIII, 297, 304, 307 (Pomorze), Mac. IV, 270 (Spod Andrychowa), V, 222 (Górny Śląsk), Święt. 384 (Znad Raby), Wisła VI, 142 (Podhale), Zwak VII, 107 (Kieleckie), XVI, 33 (Pow. ropczycki), Kolb. Przem., 202 (Przemyskie).

Bajka ta i jej fragmenty występują często w najrozmaitszych połączeniach z innymi motywami albo też zupełnie odrębnie. W moim opracowaniu opar-

łem się głównie na bajce kaszubskiej, zamieszczonej w I. tomie „Gryfa“, która odznacza się doskonałą konstrukcją. Szczegół o św. Mikołaju opuściłem, gdyż wyzyskałem go bardziej wszechstronnie w bajce p. t.: „Lis szyje wilkowi buty“. Zamiast „Rusów“ wprowadziłem „Ukrainę“, która u ludu naszego oznacza zawsze świat daleki.

W odmianie zapisanej przez Chełchowskiego spotkanie wilka z kobyłą wplecione jest w zupełnie inny motyw, opowiadający mianowicie o nienawiści między wilkami i lisami a zającem. Lud podduklański opowiada, że wilk uderzony przez barana „przewrócił się na trzmiele, rozwalił ich chałupkę i brzęczą koło niego, a on: „Brzęcz, brzęcz, kiedy ja cię już zjadł“. „On myślał, że to baran w brzuchu brzęczy“.

W odmianach pomorskich znajdujemy następujące ciekawe szczegóły: Wilk z czegoś niezadowolony stoi w lesie i spostrzega nad sobą drwala. Rozzłoszczony woła, żeby mu ogon odpadł z tyłu. Drwal rzuca siekierą i odcina ogon, a wilk oburzony powiada do niego: „Czyż już nie można zażartować?“ Kobyła za zjedzenie żrebaka żąda, żeby wilk wyciągnął jej kolec z kopyta, wilk godzi się i dostaje w łeb. Bijącym się kozłom ofiarowuje się na sędziego rozjemczego, staje pomiędzy nimi, a kozły walą go rogami.

W wariacie andrychowskim wilk prosi Pana Boga, aby pozwolił skosztować ludzkiego mięsa. Dostaje nauczkę od pijaka i wraca, wołając, że ludzkie mięso jest gorzkie. Na Górnym Śląsku w takiej samej sytuacji zostaje zabity. Nad Rabą lud, tak jak gdzie indziej, wierzy, że wilk ma kość jednostalną i nie może się wykrecić. Dlatego, gdy go kto za ogon chwyci, może mu „dorżnąć“, ile wlezie.

W bajce zakopiańskiej opowiada Sabała, że „kie Pan Bóg ozdawał wyżywienie sytk'emu stworzeniu, to się wilk nabarzy dokładał, cym ón będzie żył. Pan Bóg mu pojada: „Bedzies orał, bedzies siał...“, a wilk gwarzy: „A tera bede jad“ — „O ni, mój wilku, pirwy będzie rośło, dopiro żra'e skosis...“, a wilk snowu: „A tera bede jad!“ — „O ni, trza pirwy snopy powrósłem wiązać, susyc, trza wozic do sopy...“ Wilk krzyczy: „A tera bede jad!“ — „O ni! pirwy musis mlócić, a potem we mlynie zboże mleć...“ Wilk zniecierpliwiony domaga się coraz bardziej stanowczo jedzenia, Pan Bóg wysłał go, aby zjadł kobyłę pasącą się ze żrebięciem, a potem barana, przy czym wilk doznaje tych samych niepowodzeń, co i w innych odmianach.

Bardzo interesująca jest odmiana kielecka. Rzecz dzieje się w tym czasie, kiedy Pan Jezus ze św. Piotrem chodzą po świecie. Wówczas to ludzie łakomi i lubiący jeść samo mięso zostali przemienieni w wilkołaków, którzy chodzili na dwóch nogach. Jeden z nich prosi Pana Jezusa o pozwolenie pożarcia człowieka. Po nauczce ledwo się do Pana Jezusa na czworakach przywłókł. Na pamiątkę wydarzenia wilki od tego czasu na czterech łapach biegają.

Wariant ropczycki jest zupełnie podobny do andrychowskiego, z tą tylko różnicą, że wilk prosi św. Mikołaja o pozwolenie skosztowania chłopskiego mięsa, które okazuje się ogromnie kwaśne.

W Przemyskiem wilk głodny zwraca się do św. Mikołaja z prośbą, aby go obdarował pożywieniem. Św. Mikołaj wysłał go po kolei, aby zjadł barana,

potem świnie, a wreszcie konia. Po każdym niepowodzeniu wilk wraca do swojego patrona ze skargą. Wreszcie ginie od uderzenia kopyta końskiego, na którym chciał obejrzyć metrykę.

Dodać jeszcze należy, iż we wszystkich naszych bajkach ludowych wilk jest uosobieniem naiwności i głupoty, w przeciwieństwie do lisa, który ma zawsze na zawołanie „sześć sposobów i siódmy wykręt“. Takie mniemanie o wilku bynajmniej nie jest słuszne, o czym wie dobrze chociażby każdy myśliwy.

CZERWONY KIJASZEK

Zwak XVI, 102.

Prawie dosłownie według tekstu Wierzchowskiego.

MIASTO Z RÓZOWEGO MARMURU

Gryf 1909, 47 (Kaszuby), Mae. IV, 73 (Księstwo cieszyńskie), Wisła VII, 23 (Mazury), II 468, VI, 588, Kolb. VIII, 13 (Krakowskie).

Tę klechdę opowiedziałem bardziej niż inne swobodnie. W odmianie kaszubskiej, na której oparłem się przede wszystkim, znalazłem wyraźne dowolności literackie, bardzo zresztą szczęśliwie zastosowane, które ośmieliły mnie jeszcze więcej. Konstrukcję, jak zawsze, zachowałem ściśle. W odmianie cieszyńskiej dalekie miasto nazywa się mięsem różowym, co pozwoliłem sobie jeszcze wyraźniej określić. W odmianie kaszubskiej bohaterem jest syn chłopski, który w poszukiwaniu za wybraną wędruje do kręgu okrągłego żelaznej ziemi. W odmianie mazurskiej królowny trzeba szukać tam, gdzie słońce zachodzi i gdzie wieczna zima. W odmianach krakowskich, zapisanych przez Ciszewskiego, mowa jest o takim miejscu, gdzie wiatr nie dowieje, słońce nie doświeci, a wiatr nie dojrzy. U Kolberga zakłete panny mieszkają na wieży Babilońskiej.

Poza tym fragmenty tej klechdy znajdują się jeszcze niejednokrotnie w najrozmaitszych baśniach fantastycznych, w których splatają się wątki najróżnorodniejsze, mniej lub więcej szczęśliwie z sobą połączone.

GLAZ CZARTOWSKI

Wisła XV, 354 (Sandomierskie).

Opracowałem z małymi zmianami według tekstu Mariana Kucza. W pierwszej serii „Klehd polskich“ podanie to reprezentuje naiwną, ale i pomysłową etymologię ludową.

SABAŁOWA ŚPIEWKA

Nitsch, 37.

Przytoczyłem dosłownie według tekstu „zapisanego przez Juliusza Zborowskiego, kustosa Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem, doskonałego znawcę języka i kultury podhalańskiej“. „Sabałową śpiewkę“ opowiadał Jędrzej Tylka Suleja, urodzony w Kościeliskach, zamieszkały na Bystrem, lat wtedy około 60. (1911 — 6).

W następnym tekście gwarowym, zapisanym również przez Zborowskiego, tenże Suleja dodaje jeszcze:

„To istna prawda była z tym śpiewaniem, nie bajka. Zaraz sobie pomyślałem: niektóry to się będzie śmiał z tego, nie uwierzy. Ba, cóżbym miał bajtłować, kiedy przecież i żona i Stasiek słyszała i ja.“

Suleja wyraził zadowolenie ze ścisłości, z jaką zapisano powyższe opowiadanie. W ten sposób potwierdza on zupełną autentyczność tekstu. Dzięki temu mamy do czynienia z oryginalną twórczością ludową, schwytaną na gorącym uczynku. Tego rodzaju wydarzenia w literaturze etnograficznej są dość rzadkie, stały się one możliwe dzięki najbardziej nowoczesnym metodom zapisywania tekstów ludowych (nieraz według fonografu) przez językoznawców. Wartość „Sabałowej śpiewki“ powiększa jeszcze i ten wzgląd, że jest ona utworem nawskół oryginalnym, wysnutym z osobistego przeżycia. Trudno byłoby lepiej utrwalić legendarność postaci Sabałowej.

ANIOL I KSIĄDZ

Mae. IV, 239 (Spod Andrychowa), VIII, 182 (Górny Śląsk), Lud XI, 189 (Spod Wojnicza), XVI, 199 (Podhale), Zwak VII, 40 (Beskidy).

W odmianie krakowskiej i podhalańskiej zamiast anioła występuje Pan Jezus, zamiast księdza św. Piotr.

W odmianie górnośląskiej, zapisanej przez Kolberga, a ogłoszonej przez Udziele, pan przyjmuje na służbę stangreta, który go uczy istoty rzeczy. Po ostatecznej między nimi rozprawie pan każe, aby stangret obstał mu nowe buty. Stangret śmieje się z tego i wyjawia panu, że nic mu po nowych butach, skoro jutro już umrzeć musi. Ten szczegół jest identyczny z legendą Tolstoja, którą Witkiewicz na gwara góralską przełożył.

Odmianę spod Wojnicza wyzyskałem niemal całkowicie.

MADRY CHŁOP I GADATLIWA BABA

Mae. XI, 43 (Pow. limanowski), Zwak XVI, 4 (Pow. ropczycki), Kolb. VIII, 214, Cisz. 213 (Krakowskie), Zawil. B. (Ateneum 1881, 4) 466 (Tarnowskie), Kolb. XIV, 276 (Poznańskie), Gryf 1912, 295, Lor. 829 (Kaszuby), Mae. VI, 178 (Puszcza sandomierska), Lud VI, 345 (Lud podduklański).

W siedmiu pierwszych odmianach chłop - filut ipscenizuje swoje groteskowe pomysły według jednej i tej samej zasady. Różnice są niewielkie. W odmianie limanowskiej chłop wmawia swojej żonie, że „naszego pana szlachcica na sośnie diabli łupią“. W odmianie ropczyckiej spór między chłopem a panem rozstrzyga sąd. W odmianie krakowskiej chłop kupuje babie w mieście wszystko, co pragnie. Inscenizacja rozpoczyna się w karczmie. Baba wierzy, że pan ukradł świnie na jarmarku i ludzie go gonią. Kiedy wrócili do domu, chłop wiąże rybę w ogrodzie na śliwce, do skrzyni wsadza zajacą, a zarządzący gołębicę, urządza krwawy deszcz z komina. Odmiana poznańska, przytoczona przez Kolberga wedle „Przyjaciela ludu“, jest zbyt rozwlekła i żadnych interesujących szczegółów nie wnosi. W odmianie kaszubskiej pojawia się zdechły zajac w stawie, a ryba na jabłoni. „Wszystkie zwierzęta —

wyjaśnia chłop — mają wielki strach, bo dziś będzie koniec świata“. Przestraszona baba wiazi w piec, a chłop leje kominem wodę i opowiada żonie, że na świecie jest wielka woda, a on stoi w kominie po gardło we wodzie“, itd.

W odmianie tarnowskiej sprawa z panem, który domaga się zwrotu znalezionych pieniędzy, kończy się przed sądem. Wyrok zwraca się przeciwko babie, której kazali wypalić dziesięć buków.

Zupełnie odmienne jest opowiadanie sandomierskie zapisane przez Wierzchowskiego. Sąsiedzi łowią ryby siecią biednego szewca i zarzucając ją raz na jego imię wydobywają wielki i ciężki pakul szczeciny, który mu wrzucają potem przez wybite okno do izby. Okazuje się, że w środku jest wiele dukatów. Od tego czasu zaczyna się szewcowi dobrze dziać. Kupuje krowę, potem grunt. Ciekawej babie opowiada, że zabił wieprzaka, którego zakopał pod drzwiami komory. Skoro baba wygadała wszystko, wójt sprowadza do niego żandarmów. Podczas rewizji okazuje się jednak, że pod komorą pogrzebany jest kogut, którego tam sprytny szewc w czasie nieobecności żony umieścił. Szewc wyznaje teraz wszystko i dodaje: „To nauka dla nas chłopów, cobyśmy nikiej przed babą nic ciekawego nie gadali.“

Druga odmiana zapisana przez Ciszewskiego pt.: „Pies lepszy niż baba“ brzmi jak następuje:

„Zabił chłop owcę i zakopał ją do ziemi i mówił do baby, żeby go nie wydawała, że zabił człowieka. A on się znowu założył z innym chłopem, że baba nie utrzyma sekretu, że pies lepszy jak baba. I ten chłop wziął, uciął psu kawałek nogi, a babę zbił. Ta baba zaraz wywołała na niego, wyszła na wieś i wywołała, a pies go lizał po ręce“.

W odmianie podduklańskiej chłop zakłada się z drugim o garniec wódki, że jego baba nic nikomu nie wygada, jeśli jej coś powie w sekrecie. W domu chłop bierze jajo do łóżka i rano mówi do baby: „Ej, wiesz ty co, ja jajo zniósł, ej nie wydaj mnie, bo mnie będzie hańba, wiesz, że ja družba na całą wieś“. A baba: „Sumiennie, że nie powiem“ — i ucieszona schowała jajo. Chłop znosi coraz więcej jajek i baba cieszy się, że niedługo do majątku dojdą, bo jaja drogie. Nie mogąc wytrzymać z uciechy zwierza się pod sekretem kumocze, a od niej dowiaduje się cała wieś i chłop zakład przegrywa.

S K A R B N I K

Wisła XII, 607, Kolb. V, 65, 42 (notka), VII, 63, Lud XI, 312 (Krakowskiej), Zwak XI, 21 (Spod Olkusza), Wisła X, 590 (Dąbrowa Górnicza) Kolb. XXI, 209 (Radomskie), Or. L. VI, 123 (Opoczyńskie), XI, 171, Berw. 202 (Sandomierskie).

W stosunku do innych postaci demonicznych opowieści o Skarbniku są dosyć nieliczne. Stosunkowo najczęściej zanotowali Kolberg, Ciszewski i Udziela. Materiały te wyzyskałem niemal całkowicie, za wyjątkiem bezużytecznej, cikliwej opowiadki, przytoczonej niepotrzebnie przez Kolberga w drugiej części Radomskiego. W „Orlim Locie“ z r. 1930 uczeń gimnazjalny Sikora opowiadał o Skarbniku na podstawie relacji starych górników. Przytacza on szczegóły nieco odmienne. Skarbnik ukazuje się pod postacią starca z białą brodą, odzianego „plótnicą“, przepasanego „czumą“, z oskardem na ramie-

niu. Pod ziemią posiada on wspaniałe pałace, górników lekceważących go grzebie żywcem. Gdzie to się wszystko ma dziać, Sikora nie podaje. Według relacji St. Słazaka w tymże „Orlim Locie“, Skarbnik ukazuje się również w Selcu, w kopalni glinki białej. Łatwo tutaj dostać się w moc tego ducha, któremu trzeba potem służyć przez wiele lat. Bardzo cenne są szczegóły o Skarbniku, podane przez Berwińskiego w „Przypiskach“ do „Powieści wielkopolskich“. Ostatnie podanie tedy zakończyłem według Berwińskiego.

ZAHANDLOWALI

Nitsch, 2.

Opowieść tę, jedyną w swoim rodzaju, perłę naszej ludowej literatury frywojnej, zapisał nauczyciel seminarium Rudolf Kubalak, rodem z Istebnego. Nie wiadomo, czy jest to zupełnie wierne odtworzenie opowiadania nieznanego starszego mężczyzny? Być może, iż p. Kubalak, który zapewne z ludu pochodzi, coś niecoś dodał od siebie, być może trafił na szczegóły uzdolnionego narratora. W każdym razie rzecz sama wypadła bez zarzutu. Oprócz pewnych skrótów i jednej zmiany nazwiska powtórzyłem to opowiadanie niemal dosłownie.

NIEMIEC KAMIĘSKI

Zwak XVI, 100.

Prawie dosłownie według tekstu zapisanego przez Zygmunta Wierchowskiego.

TRZY OSELY

Zwak XI, 69 (Olkuskie).

Według Ciszewskiego.

ZŁA BABA

Or. L. XI, 156, (Górny Śląsk).

Według tekstu zapisanego przez Klarę Lubrichównę.

KRÓLEWNA - STRACH

Kolb. XIV, 72, 75 (Poznańskie), Kolb. VIII, 138, 141, Cisz, 175 (Krakowskie), Kolb. XIX, 223 (Kieleckie), Mac. IV, 72 (Księstwo cieszyńskie), VI, 364 (Pow. łancucki), X, 269 (Pow. rzeszowski), Chelch. I, 124 (Spod Przasnysza), Nitsch, 157 (Pow. inowrocławski), Lor. 767 (Kaszuby).

Baśń tę opracowałem na podstawie 12 odmian. Jako głównej osnowy użyłem pierwszej odmiany poznańskiej, włączyłem jednak bardzo wiele szczegółów z baśni zapisanych w różnych okolicach Polski. Niektóre wierzenia zaczerpnąłem z Świętka „Ludu nadrabskiego“, z Dąbrowskiego „Zwyczajów rodzinnych w powiecie wysoko - mazowieckim“ i z Kolberga serii VII-ej.

Pierwsza odmiana poznańska wymienia jako ojca królowny - stracha polskiego króla Władysława. Zamyka on czarną córkę „w osobnym sklepie“, trzy-

ma ją tam aż do lat osiemnastu. Pokazuje ją po raz pierwszy innym królom, którzy przyjechali doń w gościnę i wówczas zaklęta królowa umiera. Stary żołnierz, który ją wreszcie wybawia, staje przy jej grobie na warcie tylko dwukrotnie.

W drugiej odmianie poznańskiej bezdzietny król prosi Boga chociażby o diabła, byleby tylko miał komu królestwo zostawić. Po roku rodzi się córka z czarnymi stopami. Czarnieje zupełnie w roku czternastym i wówczas umiera. Królowi śni się, że trzeba co noc stawiać żołnierza na warcie. Podstarzaly żołnierz broni się od królowy-stracha przez dwie noce przy pomocy „kredy trzejkrólowej“ (tj. święconej na Trzech Króli) oraz wody święconej z dziesięciu kościołów.

W pierwszej odmianie krakowskiej król traci córkę, która „żyła źle i bardzo rozwiźle“. Pochowana w kruście kościelnej „świece łamie, aparata psuje, a na dobitkę Strach ów nakazał królowi stawiać wartę w kruście, i tamże przy odmianie warty przynosić sto par trzewików. Nazajutrz zniżdywano posłanego na wartę żołnierza nieżywego, trzewiki zdarte“. Kiedy nic nie pomaga, kolej odbywania warty przypada na młodzieńca, który miał kochankę. Ta radzi mu, aby uciekł. Spotkany dziadek każe mu jednak, aby nie porzucał wojska, tylko wrócił. „Wdziż — mówi — na twarz maskę z oczami, gębą i nosem, i jak przyjdzie królowa nieboszczka, dać ci wino w szklaneczce, weź je od niej, udaj, że pijesz, ale niekosztowawszy nawet wylej w zanadrze, a potem się połóż i udaj nieżywego, chociażby cię ktuła i męczyła“. Po trzech godzinach wartowania przychodzi nieboszczka w białej koszuli, chuda i wysoka. Kiedy żołnierz zachowuje się stosownie do rady dziadka, królowa „klasnęła w ręce i przyjechało sto osób, panien, kawalerów i pojęli się i polecili z nią do tańca gdzieś za kościół czy dalej, słyszał tylko, jak zberezyje robią i ze śmiechem hulają do upadłego, po czym nad ramię wrzucano do kruchty sto par zdartych trzewików. Żołnierz ledwie żywy wstał i poszedł do domu“. W nagrodę za ten wyczyn żołnierz dostaje od króla 300 złotych. Drugiej nocy powtarza się to samo, tylko że żołnierz nie czując się bezpieczny ukrywa się na chórze, a potem na ambonie, a wreszcie na ołtarzu. „Tu dopiero zobaczył, jak z kościoła zrobili sobie karczmę. Jedli, pili, cej - co, śmiali się sprośności czyniąc, bo jużci było to od złego ducha. Muzyka dziwna przygrywała, gdy królowa najpierwsza rozpoczęła taniec, a za nią inni, biegnąc w pary hulali aż się trzęsły sklepienia grobowe...“ Na trzecią noc dziadek każe mu zabrać kredę trzechkrólową i gwer (broń), „który, ponieważ jest cesarski i poświęcony przez biskupa, przeto na strachy bardzo jest skutecznv“. Kiedy królowa zdejmuje z siebie koszulę, żołnierz chwyta ją, wpada na chór, gdzie „się okrydował w kołe i koszulę trzyma na gwerze“. Królowa chce się do niego dostać kładąc trumny z grobów jedną na drugiej. Żołnierz zaś spycha ją gwerem na dół. Dopiero ona zaczyna prosić, aby jej oddał koszulę. „Nie oddam — odpowiedział — dokąd nie pow'esz, czego chcesz“. Do trzeciego razu tak prosiła, lecz napróżno; nareszcie, że godzina jej czynności mijała i nie mogła wracać do grobu bez koszuli, rzekła mu: „Proś króla ojca, aby z pokoju mego, gdzie lubieżnie żyła, zrobił kaplicę, poświęcił ją Bogu i msze tam za moją duszę odprawiać kazał; wszystkie także skarby, które dla mnie z rąk poddanych niesłusznie wydarł, niech napowrót ubóstwu porozdaje,

a wtenczas będę wybawiona". — Żołnierz rzucił nieboszczce koszulę i królowi całą rzecz opowiedział, a zmarła, gdy się jej woli stało zadość, więcej już od-
tąd nie straszyla. A tak, król się uspokoił i żołnierza do wielkich podniósł
godności.

W drugiej odmianie krakowskiej motyw królowej - taneczniczki jeszcze wy-
raźniej występuje. Królowa umierając każe, aby nie chowano jej do grobu,
lecz „trzymając przez dziewięć dni w kościele i na każdą noc dajcie żołnierza
na wartę". Przez sześć nocy królowa zjada żołnierza, dopiero potem idzie
wartować chłopak, który jej taniec podpatrzył. Pomaga mu również dziadek,
który przez dwie noce radzi mu „kiedy ona wstanie i przejdzie na lewą stro-
nę, to ty przejdź na prawą" i odwrotnie. Chodźby nie wiem jak prosiła, nie
trzeba się jej pokazać, „(bo ona nie widzi, chyba kto bliźuńko przed nią stan-
nie) a o drugiej godzinie musi ona znów iść do trumny". Drugiej nocy wszyst-
ko się powtarza, trzeciej zaś dziadek każe stanąć na samym środku ołtarza
i wziąć ze sobą dzwonek. Będzie „prosić i błagać cię, abys zlaź z ołtarza, bo
sama tam przystąpić nie może; a wtedy, jak będzie blisko ciebie, zadzwoni
mocno, a wybawisz ją z zaklęcia i jakaś skorupa z niej spadnie". Wszystko
się tak stało. „Królowa ożyła i zaczęła mu już tam w kościele za wybawienie
dziękować, boć to ją matka tak była zaklęła. Ten chłopak wybawiciel ożenił
się z nią później i podobno królował po śmierci starego króla".

W odmianie zapisanej przez Ciszewskiego królowa „wyjada z lampy
i powiada: „Chep, chep, czleczka dusza śmierdzi".

W odmianie kieleckiej „córka bardzo urodna nie chciała iść za żadnego,
tylko umyśliła żyć w panieństwie". Przed śmiercią prosi króla, aby jej przy-
słał po sto żołnierzy na każdą noc. Zjadała ich wszystkich, a kości w gro-
bach zostawiała. Wybawia ją winowajca, żołnierz stary, wysłużony, który bez
żadnej rady posługuje się kredą trzechkrólową. Baśń kończy się następują-
cym wyjaśnieniem: „Królowa owa nie umarła tylko była w zachwyceniu,
co miała dwa duchy". W przypisku Kolberga czytamy: „Opowieść niniejsza
zasługuje na uwagę z tego względu, iż nam tu przedstawia szczegół o wierze
ludu w odmiennym waryjancie o „strzygach". Według bowiem mniemania
gminu, człowiek - strzygoń, mający dwa duchy, kiedy umiera, ciało jego
z duchem dobrym grzebie się, a duch zły jego, nie mogąc rozstać się ze świa-
tem, błąka się po nim jako straszdyło. Wnosić więc trzeba, że jeżeli uda się
zażegnać lub odpędzić owego złego ducha — to i duch dobry spokojniejsze
już wiedzcie życie pozagrobowe. (ks. W. S.) — Oącz Lud., Ser. VII, str. 63.
Ser. XIV, str. 73". —

W odmianie cieszyńskiej królowa - strach pochowana zostaje w kościele
za ołtarzem. Żołnierz pierwszej nocy chowa się, z namowy starego chłopca, pod
uduszonymi poprzednio kamratami, drugiej nocy ukrywa się koło ołtarza za
świętym apostołem. Trzeciej nocy chłop, którym był Pan Bóg, każe ułożyć
mu się w trumnie, co doprowadza do wybawienia.

W odmianie łańcuckiej królowi rodzi się „dziwak", który wśród nocy wsta-
je, „potem idzie po kościele: grac, grac, nic nie znalazł, nikogo nie było wi-
dać". „Wtedy zawołał: — Szulwa, szulwa jezdeś tu? Oj huncfot mój ojciec,
huncfot! Co ja bede jadła?" Żołnierz z porady dziadka wiesza wszystkie swo-
je łachy na gwerze, a sam ukrywa się na kazalnicy, potem włązi między świę-

tych, a trzeciej nocy kładzie się do trumny. Po wybawieniu dziwaka żołnierz oddaje dziadkowi wszystkie pieniądze, które dostał od króla. Wówczas dziadek przeciął szablą „te dziewczę, wyjął z niej wszystkie żmije i węże, co tam w niej były; wtedy złożył ją znowu do kupy i dał temu żołnierzowi piękną panienkę i powiedział: — Teraz się już nie bój nic. Oboje potem żyli“.

W odmianie rzeszowskiej przychodzi na świat cudak, „bo nie miało ani gęby ani nosa, w ogóle żadnego otworu, ani ocz, ani uszów, tylko ręce i nogi i głowa całkiem gładka była“. I tak żyło do lat osiemnastu, „ale nic nie jadło, nie piło zgoła nic i tylko tak żyło“. Po śmierci nie wiedzieli „jakiej to płci jest, bo włosy miało długie, z włosów nie można było poznać“. Po śmierci leżało spokojnie przez kilka miesięcy w familijnym, królewskim grobowcu. Dopiero jednego razu przychodzą do kościoła, a „tu wszystko wymordowane, świece połamane, łój wyjedzony, ławki powywracane“. Potem cudak wydusił „blisko regiment wojska“. Wiarusowi, na którego wypadła kolej wartowania, zjawia się w kościele dziadek i za litr gorzały udziela rad stosownych. Trzeciej nocy kładzie się do trumny i kiedy cudak na próżno stara się go stamtąd wypłoszyć, na pytanie wiarusa wyjawia, że jest córką królewską. „Dopiero on się jej pyta, czy wierzy a w to a w to, ona mu odpowiedziała. I czy pacierz umie mówić, ona zmówiła cały pacierz i wszystką, całą wiarę mu opowiedziała. Dopiero on otworzył te drzwi i wychodzi i widzi prześliczną damę. Wszystko miała: gębę, nos, oczy, co jej do życia było potrzebne. Tak żołnierz wziął, zewlókł ją z tego ubrania (bo to ubranie było śmiertelne), więc ją ubrał w swój mantel i poszli przed wielki ołtarz się modlić i Panu Bogu dziękować, za jej wybawienie“.

U Chełchowskiego „królowna tyle wyjadła żołdatów, co mało co zostało się w wojsku. Jedno raz sadzają na wartę takiego żołdata, co miał żonę i dzieci“. Królowna przecina zębami fuzję, która nad ranem zrasta się po złożeniu. Trzeciej nocy żołnierz kładzie się do trumny, z krzyżem na piersiach, z laseczką przy prawym, a z książeczką przy lewym boku. Kiedy królowna zdjęła to wszystko z niego, poszli razem do ołtarza. Żołnierz rozłożył książeczkę i kazał jej czytać w tym miejscu. „Co ona nie chce czytać, to on ją rznie tą laseczką i ona zaraz wyrzuje żywego żołdata. Zaczym kościół otworzyli, ona tyle wyrzygała ludzi, że nie mogli się pomieścić i w kościele i na chórze“. Potem królownę drugi raz pochowali i od tego czasu nie trzeba było stawiać żołnierzy na warcie.

Bardzo interesującą jest odmiana z Turzan (pow. inowrocławski) zapisana przez zmarłego podczas wojny światowej Walentego Kopia, ukończonego studenta filozofii, który przygotował naukowy opis swej rodzinnej gwary turzańskiej. Rzecz dzieć się zaczyna wówczas, kiedy w kościele w Tucznie pochowano masona Czajkowskiego „co go w sześć koni uciągnąć nie mogło“. Od tego czasu w kościele ciągle „coś kusiło, obrazy zrzucalo, świece łamało“, a nad ranem nie było nikogo. Zbadanie sprawy podjął się śmiały organista, który w nocy stoczył walkę z siedmioma czarno ubranymi masonami. „Żarzyło się im w pysku tak, jakby cygara palili, ślepie im się skrzyły, jak ogień“. Kiedy ksiądz dowiedział się o wszystkim od organisty, kazał wszystkim masonom iść poucinać, aby nie trafili do kościoła. Ciała ich pozakopywano po rowach

i na rozstajnych drogach. Od tego czasu w kościele było spokojnie, masoni poczuli natomiast kusić po drogach i rozstajach.

W odmianie pomorskiej wszystko co się ma stać przepowiada królowi stara kobieta.

ZMIJA, KOMAR I JASKÓŁKA

Wisła VII, 108 (Nowotarskie) XIV, 485, Zwak V, 138, 149 (Wola Batorska) VII, 110 (Kieleckie). Lud VII, 133 (Spod Dukli) Mae. XI, 26 (Pow. limanowski).

Głównie oparłem się na tekście zapisanym przez Jadwigę z Rymszewiczów Petrową. Tekst ten opatrzony jest dopiskiem: z ust ludu polskiego, miejscowości jednak n.e. podano. Odmiana zapisana przez Matyasa operuje żabą, która zatyka dziurę w arce. W tekście z Woli Batorskiej diabłu usiłującemu przegryźć spód arki przeszkadzano zabijaniem dziury. „Wreszcie ta mysz przyszła do miejsca, gdzie siedział kot. Wtem kot złapał ją i zjadł. Diabeł nie mógł już z niego wyjść i wlaź mu w oczy“. Dlatego kot ma złego ducha w oczach. Lud mniema, że czarny kot po siedmiu latach zamienia się w diabła. W odmianach kieleckiej i podduklańskiej diabeł stwarza mysz i wpuszcza ją do arki. Noe zatyka dziurę chustką, którą Pan Bóg w kota zamienił. Ponieważ jednak Noe miał tylko jedną chustkę, a diabeł więcej myszy stwarzał, jeden kot bardzo się zmordował i nie mógł wszystkim myszom poradzić, więc żyją. Odmiana limanowska zajmuje się pracą Noego. Okazuje się, że po wygadaniu tajemnicy żonie, robota idzie mu znacznie gorzej, widać zgrzeszył.

CHŁOPSKA SUPLIKACJA

Lud IX, 74 (Pow. sokalski), Mae IV, 231 (Z okolic Andrychowa), Mae V, 18 (Śląsk Górny), Mae VII, 103 (Pow. pilzneński), Kolb XIV, 339 (Poznańskie).

Korzystałem niemal ze wszystkich odmian, najwięcej jednak z tekstu sokalskiego i andrychowskiego. W odmianie sokalskiej poszkodowaną jest baba. Pańska krowa zjadła jej trzy grządki kapusty. Skargę pisze również baba olówkiem ośniakiem zastruganym na papierze. Król każe chłopu wrócić do domu, wziąć babę i dzieci i przyjść do króla. Dostają grunt, chałupę, krowę i dziesięć dukatów. W odmianie śląskiej pan chce się pozbyć gospodarza, który ma zagrodę blisko dworu. Trapią go różnymi sposobami, a kiedy raz świnia gospodarza wlaźła wraz z czternastoma prosiętami na pańskie, dziedzic posłał myśliwca, który to wszystko powystrzelał. Toczy się proces, który chłop w pierwszych instancjach przegrywa, bo pan lepiej opłaca adwokatów. Dopiero kiedy narysowana przez gospodarza skarga dociera do króla, chłop sprawę wygrywa i pan musi zapłacić odszkodowanie. W odmianie tej właściwa pointa jest zatracona. Odmiana pilzneńska nadesłana Świętkowi przez Wojciecha Kutę zaopatrzona jest w ciekawy rysunek. W odmianie poznańskiej chłop ma przy pańskim podwórzu gospodarstwo, więc pan mu na jego polu strzelał świnie, gęsi, kury i co popadło. Chłop poszedł z panem w prawo, ale nie nie wskórał, bo pan i sędziemu i adwokatowi płacił. Wreszcie chłop napisał skargę na pozszywanych arkuszach papieru przy pomocy maźnicy ze smołą i pędzla. Z tym pismem zameldował się do króla, którym był wówczas stary Fryc. Król zaprosił chłopą do siebie na obiad. Potem szlachcic musiał chłopu wszystkie szkody wynagrodzić.

MADEJOWE ŁOŻE

Kolb. VIII 122 (Krakowskie), XIV, 197, 201 (Poznańskie), Zwak V, 239 (Beskidy), XI, 106 (Pow. olkuski), Cisz. 67, 69, 71 (Krakowskie), Lud. VII, 159, Mae. VI, 363 (Górny Śląsk), Gryf 1911, 68, Cen. 102 (Kaszuby).

W opracowaniu tego podania opierałem się przede wszystkim na znakomitym studium Jana Karłowicza pt.: „Podanie o Madeju“. (Wisła II, 804, III 102 itd.). Oprócz wyjątków przytoczonych przez niego, korzystałem także i z tych, które ukazały się później.

I tak Stanisław Ciszewski w monografii swojej „Krakowiacy“ zamieścił trzy bardzo interesujące odmiany Madeja. Piękną odmianę prof. Malinowskiego wyzyskałem w zakończeniu legendy. Mniej ciekawe są warianty Bron. Gustawicza i Saloniego. Pieśń o zbójcy Madeju zamieszczona w „Gryfie“ zdaje się być literackiego pochodzenia. Pewnym dopełnieniem legendy o Madeju jest studium Adama Fischera („Wątek odkwitającej gałęzi“ Lud. XV, 200, XVI, 33). Odmianą Cenovy zupełnie zniekształcona.

Ponieważ w wielu odmianach początek podania o Madeju i o Twardowskim jest niemal identyczny, korzystałem i z takich motywów, jak chrzest dziecka, przeszkody i nawoływania diabelskie, myszka-przewodniczka, itd. Opis drogi do piekła i samego piekła zaczerpnąłem z Kolberga trzeciej części Krakowskiego.

Bardzo ciekawie ujęta została historia tego podania w studium prof. Juliana Krzyżanowskiego („Paralele“ str. 151—157).

ASTROLOG I DOKTÓR NA KASZUBACH

Lor. 27 (Kaszuby) Lud. XVI, 91 (Sucha koło Żywca), Mae. III, 126 (Podhale).

Oparłem się wyłącznie na odmianie kaszubskiej. Według tekstu zapisanego w Suchej przez Goneta pogodę przepowiadają mądrzejsze od astrologa woly. Kiedy ma być w nocy pogoda to „legają w ogrodzie podłe stodoły, a jak się ma na deszcz same idą na wieczór do stajni“. W odmianie podhalańskiej występuje dwóch astrologów, a wraz z nimi Niemiec. Pogodę przepowiada w analogiczny sposób „byraszek“. Godzinę zaś ustala chłop bezbiednie wedle piania koguta. Astrologowie i Niemiec wstali tedy „rano, jak się ino świtało i poszczęścili się z tym gazdą i poszli, bo nic go nie nauczyli, bo gazda ten to jeszcze więcej wiedział jako oni“.

KORONA KRÓLA WĘŻÓW

Lud. II, 56, XII, 250, Sok. 273 (Pow. sokalski), XIII, 42 (Sanockie) Mae, I 69 (Pow. wielicki), V, 92 (Górny Śląsk), Cisz., 115, Siem., 94 (Krakowskie) Święt., 361 (Znad Raby), Lor. 402, 675 (Kaszuby), Kolb. III, 139 (Kujawy), VII, 113 (Krakowskie), XV, 61 (Poznańskie), XVII, 148 (Lubelskie), Wisła VII, 152 (Spod Nowego Sącza).

Baśń tę opowiedziałem dosyć swobodnie. Przeważnie opierałem się na odmianie zapisanej przez Siewińskiego w pow. sokalskim. Przypuszczać należy, że zapisana została na podstawie opowiadania tamtejszego ludu polskiego, uległa jednak w pewnej mierze wpływom ukraińskim. W odmianie tej kot dla-

tego gubi koronę króla węzów, ponieważ jest bardzo łakomy i chciał złapać rybkę. Pies każe mu potem wsadzić ogon do wody jako przynętę, na którą łapie się szczupak. W brzuchu tego szczupaka znajduje się korona.

W odmianie zapisanej przez Cerchę w Przebieczanach (pow. wielicki) bohater baśni zostaje wraz z psem i kotem lokajem u króla. Lokaj nowy rywalizuje o względy królowej z lokajem starym, który posiada cudowny pierścień. Pierścień ten przechodzi z rąk do rąk. Królowa wychodzi za lokaja młodego, bo stary miał całą gębę nieprzyjemną, zdziobaną po krostach. Młody wznosi wspaniały pałac, ale traci go wraz z pierścieniem, a król zamyka go do aresztu. Wierne zwierzęta znoszą mu tam pożywienie, a same wyruszają po cudowny pierścień. Po odzyskaniu tegoż kochająca para łączy się, a dawny lokaj, jako czarownik, zostaje stracony.

W odmianie górnośląskiej pastuch świński kocha się z córką królewską. Ponieważ jednak król nie zgadza się na taki związek, pastuch wyrusza na wędrówkę. Po drodze kupuje psa i kota, oraz wybawia od zagłady węża. W czasie dalszej wędrówki pastuch, który zwie się już panem, wybawia z węża dziewczę, która mu za to ofiarować musi cudotwórczy kamyk. Dzięki niemu syn pastuszy dokonywa prac najtrudniejszych i królowi nie pozostaje nic innego, jak oddać rękę córki. Po ślubie królowa romansuje z pogańskim królem Arcyjusem. W podstępny sposób oboje zabierają cudowny kamyk, sami wyprowadzają się za morze, a syna pastuszego, wśród nagich skał zostawiają. Wierne zwierzęta docierają jednak do króla Arcyjusza i przez króla szczurów odzyskują cudowny kamyk. Przygoda na morzu kończy się szczęśliwie dzięki zabiciu królowi. Syn pastuszy odzyskawszy władzę, skazuje swoją dawną żonę na śmierć ogniową. Wiernym zwierzętom na ich żądanie ścina głowy, wskutek czego ulatują do nieba dwie białe gołębicę.

W odmianie Ciszewskiego nieco odmienny jest początek baśni, opowiedzianej zresztą krótko i dość niedbale. „Jeden chłopak pasł bydło i zobaczył skrzynkę i otworzył do niej; a wąż wyskoczył mu na szyję. I mówi do niego: „Chodź ze mną, bo jak nie pójdziesz, to cię uduszę“. Tak on poszedł. Idzie, idzie, aż zaszedł w takie jaskinie. I ten wąż mu powiedział, że tam bardzo dużo węzów i że mu się będą kłaniać. „Jest mój ojciec i matka, bardzo starzy. I będą ci dawali, co tylko będziesz chciał, ale ty nic nie chciej, jeno gałkę diamentu“. Ci ojcowie się pytali, kto go tak nauczył. On odpowiedział, że nikt go nie nauczył. Tak mu dali. Poszedł, chciał, żeby być królem, tak zaraz się zrobił królem. A dokoła wojsko niego stał. Pojechał do królowej córki, ściał się z nią żenić“. Itd.

W odmianie przytoczonej przez Karola Matyasa w „Naszym siole“ wybawiony przez chłopca wąż jest samym królem, „najstarszym z diablów“. Daje mu kamyk cudowny, który miał na ustach trzymać. W przygodach psa i kota występuje najpierw najstarsza mysz, matka wszystkich myszy, a potem matka rodu żab. Stosownie do rady tej ostatniej kot z psem biją się aż do krwi. Wówczas woda zaczerwieniła się, rozstała na dwoje i wnet ujrzeli suche dno, a na nim cudowny kamyczek, który oddali panu. Ten włożył go do ust i pomyślał: „Ty kochanku mojej żony zapadnij się w ziemi, a ty moja droga żono przyjeżdż do mnie“. Tak się stało, obóje żyją aż do tego czasu szczęśliwie.

Odmiana nadrabska jest tylko fragmentem całej baśni. Parobek chowa psa i kota, a raz pyta się „skąd by on mógł być bardzo bogaty“. Wówczas radzą mu, aby poszedł do jednej trumny, w której pochowany jest czarnoksiężnik i żeby mu zdjął pierścień z palca i żeby na swój palec włożył, to, co sobie pomyśli, zaraz będzie miał. W odmianie tej królewna nie ma kochanka, czarodziej pierścień zabiera mężowi przez chciwość i zamyka go do aresztu na trzy lata. Baśń kończy się ożenkiem z inną i zamknięciem pierwszej żony do tego samego aresztu.

W odmianie kujawskiej zamiast węża występuje lewek, zamiast króla wężów stary lew, zamiast korony sygnet. Motyw erotyczny zupełnie tutaj nie istnieje. W ogóle odmiana mało interesująca.

Tenże sam Siewiński w „Opowiadaniach ludu w powiecie sokalskim i bużackim“ zapisał jeszcze jedną baśń o wężowym królu, którą ze względu na jej odrębność przytaczam dosłownie:

„W samym środku wsi Liski obok Bełzca jest sadzawka niewielka. W tej sadzawce jest źródło i wypływa z niej mały strumyczek. Wieśniacy opowiadają, że w jednym miejscu w tej sadzawce są żelazne drzwi, a za tymi drzwiami jest długi korytarz. Tym korytarzem dojść można do pałacu króla wężów. Rzeczywiście woda w sadzawce w okolicy źródła nigdy nie zamarza, nawet w największe mrozy. Wieśniacy jednak na to głową kręcą i mówią, że to inna temu przyczyna i opowiadają: „Bardzo dawno już temu żyła we wsi bardzo biedna kobieta. Miała ona trzy córki i wszystkie chodziły do dworu na robotę. Najmłodsza z tych córek nazywała się Helena, a była taka ładna, że aż strach“. Wyrażenia: „aż strach“ używa lud, chcąc coś wyrazić w stopniu najwyższym. Raz poszły się dziewczęta kąpać, a ubranie zostawiły na brzegu pod płotem. Gdy się wykapały, wylazły z wody i pobiegły pod płot, ażeby się ubrać. Wtem spostrzegły, że na koszu najmłodszej z nich siedzi wielki wąż. Na głowie jego świeciła korona, co świeciła jak słońce, choć to było w nocy. Dwie starsze siostry zlekły się bardzo, porwały ubranie i uciekły.

Najmłodsza została ze strachu w wodzie i nie wiedziała co robić. Tedy wąż do niej rzekł: „Nie bój się, nic ci złego nie zrobię, czy chcesz być moją żoną?“ Dziewczyna zdumiała się, lecz bez namysłu rzekła tylko: „Chcę“.

Wąż tedy plusnął w wodę i znikł.

Dziewczyna ubrała się, przybiegła do domu i opowiedziała całą rozmowę swoją z wężem matce i siostram. Matka tylko głową pokiwała i rzekła: „No, no“.

Drugiego zaraz dnia przyjechała przed chatę owej baby złota karetą, zaprzężoną w cztery konie. Na koźle siedział lokaj z wężową głową i rzekł do zdziwionej kobiety: „Dawaj babo swoją córkę“. Kobieta czym prędzej ubrała najstarszą donię we wstążki i wsadziła do karety. Nie minęło pół godziny karetą wraca a w niej najstarsza córka.

„No i co?“ pyta matka. „Ot nic, nie chciał mnie, ale mi dał sto dukatów“. Tedy matka kazała drugiej córce ubrać się i pojechać. Lecz i ta wróciła i przywiozła matce sto dukatów. W końcu ubrała matka trzecią córkę, zaczesła, w kosy (warkocze) wpleła wstążki, dała jej korale, pocałowała i posadziła do karety. Niedługo jechali, karetą wjechała w sadzawkę, żelazne drzwi się otworzyły i wjechali w korytarz.

Tam było tak jasno, jak we dnie.

Dalej spostrzegła pałac jasny, jak słońce.

Przed pałacem stał tron, a na nim siedział zniecierpliwiony król węzów. Na głowie miał koronę. Naokoło siedziało mnóstwo węzów i posługiwało królowi. Król kazał jej usiąść koło siebie i pokazał ją węzom. Te zaczęły znosić miód, ryby, chleb, masło, mleko. Oboje jedli i Helena nic się nie bała. Potem król zszedł z tronu i oprowadzał ją po różnych pokojach. Były one piękniejsze niżeli we dworze. W kącie stały fajki. Król poszedł do kąta, wziął jedną fajkę, nałożył tytoniem, zapalił hubkę i włożył ją do fajki. Helenie na niczym nie zbywało i było jej dobrze przez lat siedem.

Miała ona potem syna. Chłopiec był ładny, choć o węzowej twarzy. Miał on po ojcu zostać królem.

Tedy prosiła swego ojca, by jej pozwolił wraz z synem pojechać do matki. Wąż dał jej pozwolenie na całą noc. Gdy się ściemniło, siedli obydwoje do karety i przyjechali do matki. Ta się bardzo ucieszyła, widząc córkę bardzo pięknie ustrojoną i bardzo ładnego wnuka. Częstowały wnuka czym mogły, ale panicz nic nie chciał jeść. Tylko zostawił babce i dwom ciotkom po sto dukatów i nad świtem siadł razem z matką do karety i pojechali. Matka z pozostałymi córkami widziały, jak wjechali do sadzawki, jak drzwi się otworzyły i wszystko zniknęło.

Teraz, gdy wieśniacy w zimie na sadzawce, lód rąbią, uderzają drągami w stronę źródła i mówią jeden do drugiego: „Słyszysz, jak drzwi huczą“. Nie znamem jednak człowieka, który by z pewnością powiedział, że drzwi te widział“.

Podobną baśń przytacza Sokalski w swojej monografii powiatu sokalskiego. Tylko zakończenie jest odmienne. Siostry żony króla węzów postanawiają zabić go, co im jednak nie udaje się. Uderzają trzy razy laską w wodę, która się rozstępuje i ukazuje się pałac podwodny. Wychodzi z niego król ze złotą koroną na głowie. Kiedy jednak zobaczył, że żony nie ma, chowa się z powrotem. Potem porywa swoich synów, a żona zostaje na ziemi i za karę w żaden sposób nie może się dostać do pałacu podwodnego.

W pierwszej odmianie kaszubskiej, zapisanej przez Lorentza, biedny chłopiec służy u starej kobiety. Kiedy do końca roku brakuje już tylko trzy dni, stara kobieta każe mu zbudować dokoła domu mur drewniany, który trzeba będzie podpalić. Ostrzega go przy tym, że z tego drzewa wylezie wiele żmij, które trzeba spalić. Przez dwa dni zadanie spełnił dobrze, a trzeciego jeszcze lepiej, bo spalił olbrzymią żmiję ze złotą koroną na głowie. Wówczas chata zamieniła się w wielki pałac, a stara kobieta przeobraziła się w młodą i piękną królową, z którą chłopiec w nagrodę za wybawienie ożenił się.

Druga odmiana podobna jest do pierwszej, z tą tylko różnicą, że pogromca żmij i króla węzów dostaje w nagrodę tysiąc talarów.

Lucjan Siemiński w „Podaniach i legendach“ przytacza następującą, z ust ludu zapisaną, opowieść o królu węzów:

„Opowiadają wiele o jego nadzwyczajnej piękności, o mieniących się barwach i o grzebyku diamentowym na głowie. Napastowany wydaje gwizd donośny i wnet ze wszystkich stron zlatują mu tłumy węzów na pomoc. Złazrzyło się, iż pewien pastuszek widujący czasami tego króla węzów i dziwiąc

się diamentowej jego koronie, umyślił zdobyć takową. Jakiegoż więc używa fortelu? Oto ukręcił sobie potężny bicz, osadził na gibkim biczysku i wysmarował smołą; tak przygotowany czatuje na króla węzów. Niedługo widzi, jak ku niemu sunie, kitka diamentowa trzęsie się do słońca, pastuch podskoczył, zaciął biczem i zerwał kitę, która przylepiła się do smoły. Ale tu, jaki strach go ogarnął! Król węzów gwizdnął, aż się liście zatrzęsły i oto zewsząd zlatują się gromady węzów. Nie było innego sposobu, jak wziąć nogi za pas i zmykać; pastuszek tak też zrobił. Uciekał, uciekał, a węże wciąż za nim i pewnie byłyby go na mak rozniosły, gdyby nie był dopadł klasztoru panien na Zwierzynku pod Krakowem i bramy za sobą nie zatrzasł“.

Podobną odmianę przytacza Kolberg według podań Józefa Chociszewskiego.

W VII serii Kolberga czytamy: „Węże mają swego króla w diamentowej koronie, i tam gdzie on przesiaduje, pilnują go gromadnie; na zimę idą z nim do jam podziemnych. W zimowym legowisku wąż w koronie leży na kamiennym stole. W dzień Matki Boskiej Gromnicznej (2 lutego) węże przewracają się na drugi bok, a wiosną z jam wychodzą. Jeden żołnierz jadąc konno lasem, ujrzał gromadę węzów i króla pomiędzy nimi; chciał mu tedy łeb uciąć, by zabrać koronę, ale go węże obstały i tak ścisnęły, że ledwo z koniem uciekł przez ich zastępy; jednak później z ran mu zadanych zmarł. Inny znów żołnierz był szczęśliwszym, bo mu się udało podejść węże i zabiwszy zręcznie króla, unieść jego koronę, która bogactwem wielkim na całe życie go zaopatrzyła. (Niektórzy utrzymują, że korona ta po jego śmierci wróciła znów do króla węzów czy jego następcy niewidzialnym sposobem; gdy inni o tej okoliczności zamilczają)“.

Według wierzeń z Lubelszczyzny pod korzeniem leszczyny, na której by rosła jemiola, znajduje się król węzów. Jest on większy od innych przynajmniej dwa razy; na głowie ma złotą koronę stosowną do objętości głowy; a ten król w pewnych porach zwołuje radę i na ten czas wszystkie węże gromadzą się koło niego i odbierają do dalszego postępowania rozkazy. Mówią, że gdyby kto znalazł taką leszczynę, niech kopie pod jej korzeniem, a gdy tam znajdzie króla węzów, trzeba, aby go w oliwie ugotował tak dobrze, aby się całkowicie rozplynał. Maść taką niech zleje do jakiego słoika; a skoro się starym zrobi, niech weźmie tej maści, na chleb posmaruje i zje, a natenczas sen go ogarnie; śpi długo, a gdy się ocuci, nie tylko, że całkiem odmłodnieje, ale nadto szczęście się jemu będzie przez cały ciąg dalszego życia; a tak ile razy się zestarzeje, tyle razy w sposób podobny odmłodzić się może. Wystawia się tylko na pokusy czarownic, które długiego jego wieku nie lubią i starają się przeto przez wszystkie sposoby, aby się napił dekoktu z ziela bylicy, a wtenczas władza takiej maści zupełnie ustaje“.

Według zapisek z Sanoka król gadów ma swoje siedlisko w głębokim rowie, otaczającym zwaliska zamku królowej Bony na Białej Górze. Strzeże on tam zaklętych skarbów i nosi na głowie złotą koronę, wysadzaną drogimi kamieniami. Przygody, których z nim doznali chłopcy wiejscy, są zupełnie podobne do opowiedzianych poprzednio.

W VI tomie Wisły znajdujemy niezmiernie interesujące studium Erazma Majewskiego p. t.: „Wąż w mowie, pojęciach i praktykach ludu naszego“.

Między innymi jest tu i charakterystyka króla węzów, oparta głównie na materiałach etnograficznych polskich, z uwzględnieniem jednak niektórych ukraińskich, litewskich, a w jednym wypadku i białoruskich.

Charakterystyka ta brzmi jak następuje:

„Król jest większy od innych węzów, zwie się Złotogłowiec, Rohata Zwaka, Złoczyń, Caruż, Zdział, itd.

Przebywa na łące pod Gniezmem, za Cieszynem na górze Godule, w Tatrach, w lochach Tęczyńskich, pod korzeniem leszczyny, na której rośnie jemiola, którą się czołga, ziemia się rozstępuje.

Bywa cały biały, jest nadzwyczajnej piękności kolorów, ma grzybek na głowie, podobny do korony, na głowie ma złotą koronę, ma koronę z drogich kamieni, brylantową, ma brylant na głowie, ma dwa różki złote, korona błyszcząca i świeci jasno, kąsa ona śmiertelnie.

Węże robią koronę na św. Krzyż, robią ze śliny kamień drogi na koronę, albo w tym celu plują i dmuchają na głowę obranego króla.

Król węzów jest obieralny, obierają węże króla na św. Jana, w norach swoich albo w tym celu odbywają podróż za morze.

Kandydat na króla musi staczać walkę z innymi węzami i wyjść zupełnie cało.

Na gwiźnięcie króla (często nadzwyczaj donośne) wszystkie węże zlatują się do niego i spełniają jego rozkazy.

Król nikomu nic złego nie czyni, kładzie na głowę koronę raz tylko na rok na Św. Krzyż, strzegą jej węże. Gdy kąpie się w potoku, wtedy składa na brzegu koronę.

Znaleziona lub zabrana węzom korona czyni posiadacza na całe życie szczęśliwym, bogatym. Ten kto zdobędzie koronę, nie będzie potrzebował światła, będzie wiedział myśli wszystkich ludzi, królów, nawet i cesarzów, dowie się o ukrytych skarbach. Koronę trudno zdobyć, ze zdobytą trzeba dobrze uciekać, bo węże gonią zawzięcie i zagryzą na śmierć śmiałka. Gdy w ucieczce rzuci się koronę, wtedy węże dalej nie gonią. Trzeba ją zdobywać o północy, ostrożnie, aby nie obudzić straży.

Gdy rozłożyć przed napotkanym królem chustę, wtedy składa on w niej koronę. Zdobyta korona wraca niewidzialnym sposobem do węzów, które niekiedy zostawiają ją ludziom w nagrodę.

Król buduje pałace po lasach i górach.

Ażeby król o złotych różkach zrzucił je z siebie, trzeba go o to prosić. Szczęśliwym będzie kto tych różków dostanie, mnożą one pieniądze w miarę potrzeby i pragnienia.

Głowa króla, ugotowana i spożyta w rosole, daje moc odmykania zamków.

Węże na zimę idą do jam podziemnych z królem, który tam leży na kamiennym stole.

Zamiast króla węże mogą mieć królową ze złotą koroną; może nią zostać wąż-samica, która jeszcze nikogo nie ukąsiła; zrzuca ona także koronę na rozpostarte płótno“.

Kazimierz Łapczyński jest autorem baśni tatrzańskiej o królu węzów, którą podobno spisał wedle opowiadania górali szczawnickich. Baśń ta po raz pierwszy ogłoszona została w „Kłosach“ w r. 1867-ym. Przez dłuższy czas mało znana, została zużytkowana przez Karola Potkańskiego w r. 1897-ym, a w r. 1905

wydrukował ją z wielkimi honorami „Pamiętnik tatrzański“ z ilustracjami Walerego Eliasza Radzikowskiego i entuzjastycznym życiorysem autora. Również i Tetmajer w „Legendzie Tatr“ treść tej baśni przytacza.

Dziś trudno o entuzjazm dla utworu Łapczyńskiego.

Autor, bardzo szacowny wielbiciel Tatr i znakomity przyrodnik, nie posiadał dostatecznych uzdolnień ani dla wiernego zapisania tego podania ani dla swobodnej obróbki literackiej. Wymyka się on z pod wszelkiej kontroli, gdyż żaden ze zbieraczy podobnego podania nie zapisał. Nie ulega wątpliwości, że Łapczyński do baśni o królu węzów wprowadził bardzo wiele własnych dodatków i pomysłów. Niektóre fragmenty są zupełnie z całością niezwiązane, inne grzeszą ckliwością, ogólna linia konstrukcyjna bez należytego wyrazu.

Dokładnej treści nie podaję, gdyż utwór Łapczyńskiego nie wiąże się z opracowanym przeze mnie tematem i do literatury ludowej nie należy.

TRZY RADY

Mae. V, 37 (Śląsk Górny), Lor. 35, 332 (Kaszuby), Zwak XI, 69 (Pow. olkuski), XVI, (Stary Sącz), Lud VII, 244 (Spod Dukli).

Opracowałem głównie na podstawie tekstu śląskiego i dwóch pomorskich, początek oparty jest na odmianie zapisanej przez Udzielę w okolicach Starego Sącza. W tej ostatniej ojciec radzi, aby panu pieniędzy nie pożyczał, do karczmy w dobrej przyrodziewie nie chodził, żonie sekretu nie wyjawiał i wychowańca nie chował. Bardzo skomplikowana akcja potwierdza naturalnie słuszność czterech rad.

W odmianie olkuskiej syn ma nie chwalić przed nikim Pana Boga i co tydzień sprawiać sobie nowe buty. Zastosowanie tych rad w życiu daje ujemny wynik. Dopiero stara babka wyjaśnia, że chwalić Boga przed nikim, to znaczy wstawać bardzo rano, a sprawiać co tydzień nowe buty, to smarować je tłuszczem.

Odmiana poddukańska wymienia rady podobne do zawartych w tekście starosądeckim.

R A K

Zwak II, 168 (Dobrzyńskie), V, 160 VII, 115 (Beskidy) Lud VII, 146 (Spod Dukli) Kolb. XV, 171 (Poznańskie) Mae. IV, 194 (Pow. wielicki) XI, 76 (Pow. brzeski).

Różnice w poszczególnych odmianach bardzo małe. U Kolberga zamiast raka występuje jeź, który wysłany po drożdże wraca dopiero po siedmiu latach. W odmianie beskidzkiej rak obraża Pana Jezusa i zostaje za to ukarany. Zupełnie odmienny natomiast jest tekst brzeski: „Stary rak uczył syna, żeby nie chodził tyłem tylko przodem, a on gada: „Pokażcie mi tatusiu, jak się chodzi przodem“. „No jakże ja ci pokażę kiedy nie umiem“. Cercha, który tę odmianę zapisał, dodaje jeszcze następujące przysłowie o raku: „Ulitował się Pan Bóg raka, dał mu oczy tam, gdzie sraka“.

BIEDNY I BOGATY W NIEBIE

Lor. 464 (Kaszuby).

Legendę tę opowiedziałem według Lorentza, innych odmian nie znalazłem. Opis nieba zaczerpnąłem z VII serii Kolberga (Krakowskie).

TRZEJ SIŁACZE

Kolb. III, 113 (Kujawy), VIII, 76, Cisz. 153, 156 (Krakowskie), Kolb. XIV, 94, 220 (Poznańskie), XVII, 183, Wisła XI, 295, 455 (Lubelskie), Chełch. I, 214 (Spod Przasnysza), Lud VII, 348 (Spod Dukli), Wisła XII, 725 (Pow. przeworski), Zwak V, 204, 220, VII, 78 (Beskidy), XI, 104 (Spod Olkusza), XV, 9 (Spod Rabki), Gryf 1909, 263, Lor. 782 (Kaszuby), Mae. IV, 31 (Śląsk cieszyński), 254 (Spod Andrychowa), V, 7, 34, 153, 211 (Śląsk Górny), VI, 370 (Pow. łańcucki), Łęga, 176 (Ziemia malborska).

Klechda o „Trzech siłaczach“ należy niewątpliwie do najwdzięczniejszych i najłatwiejszych tematów. Linia kompozycyjna jest zachowana tak wyraziście, że nie nasuwają się przy jej opracowaniu najmniejsze trudności. Poza tym czerpać można dowoli z niezmiernego bogactwa szczegółów zawartych nieraz w odmianach, mających tylko luźny związek z zasadniczym motywem. Zniekształcenia i odchylenia, które występują zawsze w klechdach fantastycznych, zdradzają się od razu i nie mogą mieć żadnego wpływu na ustalenie motywu jednolitego i zwartego w sobie. Opracowałem przeto „Trzech siłaczy“ jak najbardziej ściśle.

Odmiana kujawska, najwidooczniej zniekształcona, obejmuje tylko fragment wyprawy z dziadem i powrót na ziemię przy pomocy wielkiego ptaka. Bardziej jednolita jest odmiana krakowska. Dwoje ludzi martwi się, że ich Pan Bóg dziećmi nie obdarzył. Jednego razu kobieta poszła do kościoła, wypowiedziała się i pyta księdza, dlaczego nie może mieć dziecka. Ksiądz zaś jej powiedział, że kiedy będzie wracała z kościoła do domu, to się będzie taczała przed nią groszek, a jeżeli go zje, urodzi się jej dziecko. I tak się stało. W niedługi czas potem zległa i przyszedł na świat syn, którego na pamiątkę dziwnego wydarzenia nazwali Toczygroszkiem. Ssie on pierś matki przez lat osiemnaście. Dwaj inni siłacze nazywają się: Wyrwidąb i Rozwaligóra. Podczas zawodów między nimi żaden z siłaczy nie mógł podnieść laski żelaznej, a Toczygroszek jak cisnął, to aż dwie mile poleciała. Znalazło ją czterech chłopów, ale nie mogli jej na wóz położyć. Toczygroszek zaś wziął ją do garści i poszedł. Przygody z dziadem odbywają się w starym zamczysku, dziad wywołuje bójkę, skoro zaczyna popychać i przewracać garnki. Pod ziemię spuszczają się wszyscy trzej, a potem idąc długim, ciemnym kurtylarzem zachodzą do wspaniałych pokoi. W jednym z nich znajdują trzy prześliczne panny przywiązane do muru. Były niegdyś u ojca-króla, skąd skradł je stary dziad, czarnoksiężnik. Jedna z nich musi dziada myć, druga czesać, a trzecia, najstarsza i najładniejsza, iskać. Dziad po rozprawie z Toczygroszkiem jest chory i śpi. W jego pokoju pod stołem jest skrzynka, a w niej taki pas, co jak się nim opasze, taki będzie mocny, że dzieściom się nie da. Jest tam też pałasz, co jak nim raz tnie, to naraz siedm głów spadnie, a poza tym pierścień żelazny, co jak o kamień nim potrze, to zaraz taki duch wyjdzie czarnoksięski, który spełni każde żądanie. Toczygroszek nie dopuszcza dziada do skrzyni, zwycięża go, a potem ucina mu łeb, wyjmuje język i chowa do torby. Wybawia też panny, najstarsza daje mu za to połowę chusteczki, druga jeden trzewik, a trzecia połowę pierścionka. Siłacze przy wyciąganiu na górę zdradzają go, kosz z dziadem umyślnie wsadzonym spada na dół. Toczygroszek wydobywa się z matni dzięki cudownemu pierścieniowi, po czym ojcu trzech córek udowadnia przy pomocy chustki i trzewika, że to on

zabił dziada. Wreszcie sprawa rozstrzyga się ostatecznie, skoro Toczygroszek zwycięża w walce dwóch siłaczy.

W pierwszej odmianie zapisanej przez Ciszewskiego Toczygroszek ssie pierś matki ~~trzy~~ trzy razy po siedem lat, aż nabiera takiej siły, że kiedy ruszy dębem odlatują wszystkie gałęzie. Wędruje razem z Kruszyską i Wyrwidębem. Toczygroszek zwycięża diabła-staruszka, dzięki temu, że on pije wodę siły, a tamten wodę słabości. Na orle leci przez morze i w ostatniej chwili karmi go swymi rękoma. Orzeł jednak ręce „wycharknął“ i z powrotem Toczygroszkowi przyrosły. Królowna miała wziąć ślub z jednym z siłaczy, ale kiedy Toczygroszek pokazał otrzymany od niej pierścień, ożenił się z nią, a tych dwóch rozszarpali końmi na krzyżowych drogach.

Druga odmiana Ciszewskiego zaczyna się od porwania trzech królewskich córek przez złe duchy. Postanawia je wybawić pewien człowiek, który wziął sobie trzech żołnierzy i pojechał z nimi za morze. Zdradzony i pozostawiony przez towarzyszy wydobywa się dzięki cudownej trąbce, na rozkaz której zjawia się koniczek lecący wiatrem i woreczek, z którego sypie się złoto. Królowne poznają go również po pierścieniu, który od jednej z nich dostał. I ten człowiek ożenił się z najśliczniejszą panną, a tych żołnierzy kazali ukamienować.

W lubelskiej odmianie Kolberga występują trzej siłacze: Wałigóra, Wąż-morza, Żelazna-pałka. Przychodzą oni do zakłętą dworu, gdzie nie było nikogo, ale do jedzenia wszystko: kasza, słonina, mięso, groch, kapusta i mąka. Dziad włazi do garnka, kąpie się w barszczu, a podczas bitki ucina najpierw Wałigórze kawałek przytyłku. Tego samego doświadcza Wąż-morza. Zwycięża go dopiero Żelazna-pałka, który potem zyskuje pomoc starego ptaka za to, że nie bił z fuzji jego dzieci. Podczas lotu karmi go swoim przytykiem. Mięso ludzkie tak ptakowi smakuje, że gdyby wiedział o jego dobrym smaku, zjadłby go całego. Wówczas Żelazna-pałka uderzył ptaka mocno siekierą w gardziel, połknięty kawałek wyleciał i przyrósł na dawnym miejscu.

Pierwsza odmiana lubelska Kowerskiej opowiada o trzech dziewczynach, które wiatr porwał gdzieś na tamten świat. Postanawiają ich szukać kawalerowie z namowy najmłodszego, który najlepiej kochał swoją pannę. Od trzech ptaków, których rozmowę podsłuchali, dowiadują się, że trzy panny porwał diabeł. Są one pod ziemią, a żeby się do nich dostać trzeba kuć łańcuch przez dziesięć tygodni, a kto się ma spuszczać powinien wziąć ziela święconego, wody święconej, kredy i różnych rzeczy pomocnych. Potem trzeba się z diabłem zmagać i po zwycięstwie wyciągać panny przy pomocy łańcucha. Stoi łożyna nad dołem, tam się trzeba spuszczać. Najmłodszy dostaje się pod ziemię i zwycięża diabła dzięki temu, że się nakropił wodą ogromnie silną. Pozostawiony na tamtym świecie żyje z polowania. Potem wraca dzięki orłowi. Tymczasem tamci pożenili się z królownami, a trzecia była u nich na służbie. Wreszcie spotyka na spacerze ukochanego, który zabił tamtych, a te dwie, co były gospodyniami, musiały być za służące.

Bohaterem drugiej fragmentarycznej odmiany zapisanej przez Kowerską jest Cycuch, który ma już sto lat, a jeszcze ssie. Idzie on w świat z laseczką, która ma sto łokci długości i trzydzieści łokci grubości. Towarzyszy ma również dwóch, a mianowicie Wylejwodę i Wyrwidębka. Dziad każe im przesadzić się przez próg, a kiedy najpierw jeden, a potem drugi nie chce, grozi, że ich ba-

tem przetnie. I rzeczywiście uderza po ławie i przecina ją przez pół. Wyjada wszystko z garnków i odchodzi. Ponieważ nic nie ma do jedzenia, Cychuch zabija swoją laską krowę i we trzech ją zjadają. Dziad poskromiony przez Cychucha uciekł, więcej się nie naprzykrzał. Trzej silacze spokojnie siedzieli sobie w chałupie.

W odmianie zapisanej przez Chełchowskiego trzej zbójcy nazywają się: Rozdziradąb, Rozwaligóra i Niedźwiedzie Uszko. Bohaterem jest Rozdziradąb, który po wszystkich przygodach dostaje się przy pomocy gryfa na ziemię. Od tegoż gryfa dowiaduje się, że Rozwaligóra ożenił się z Lodzią, to jest z jedną z wybawionych panien i zagarnął królestwo chatmańskie. Rozwaligóra ucieka przed Rozdziradąbem i ze strachu odbiera sobie życie. Opanowawszy jedno królestwo wyrusza, mimo próśb Lodzi, do królestwa orgańskiego. W dalszym ciągu odmiana staje się zupełnie zniekształcona, snuje się rozwlekła historia walk ze zbójcami, która kończy się śmiercią Rozdziradąba.

Bohaterem odmiany poddukańskiej jest prosty żołnierz, jego towarzyszymi, zaś oficer i feldfebel. Szukają oni razem trzech prześlicznych królewien, które zniknęły bez śladu. Kiedy nocują w lesie, żołnierz stojący na warcie słyszy kilkakrotne dzwonienie. Idąc w tamtą stronę znajdują zamek wielki, śliczny, pobity złotą blachą, mający ściany ze szkła, otoczony wspaniałymi ogrodami. Dziad zjawia się podczas gotowania z kijem okropnym, z pałką żelazną na końcu. Zwycięża go naturalnie żołnierz, który również udaje się za dziadem do studni. Wody tu nie ma, tylko widać drzwi, po otwarciu których żołnierz wchodzi do ślicznego pokoju, gdzie znajdują się zaginione córki królewskie. Siła dziada polega na srebrnym dzwoneczku, na dźwięk którego pojawiają się skóre do posług duchy. Skoro najmłodsza królewna wykradła ten dzwoneczek, żołnierz natychmiast zabił dziada. Oficer i feldfebel zdradzają żołnierza i każą przysiąc pannom, że będą jak najgorzej o żołnierzu opowiadać. Ten jednak dzięki srebrnemu dzwoneczkowi odzyskuje wszystko i srogo karze złych towarzyszy.

Bohaterem odmiany przeworskiej jest chłopak, którego kowal zrobił z żelaza. Panny wybawione są córkami dziada, a żelazny chłopiec wraca na ziemię niesiony przez kruczycę.

Baśnie beskidzkie o mocnym człowieku dostarczyły mi wiele barwnych szczegółów, które wyzyskałem odpowiednio, jakkolwiek nie łączą się one ściśle z zasadniczym motywem. Dopiero trzecia odmiana zasługuje na bardziej szczegółowe omówienie. Matka ma trzech synów tak mocnych, że jeden wyrwidąb wyrwał dęba, wyrwibuk buka, a wyrwijdlica jodłę. Ponieważ w chałupie była bieda, poszli w świat szukać chleba. W chałupie przy lesie, gdzie postanowili się osiedlić i żyć z polowania, zaczynają się przygody z dziadem, którego pokonuje wyrwidąb. Idąc śladem krwawym dotarli do kamienia tak wielkiego, jak cztery chałupy. Jak go odwalili, poszli do ziemi. W pierwszej izbie zobaczyli diabłów i wszystkich pozabijali. W drugiej padł z ich rąk smok o ośmiu głowach, w trzeciej zabili Lucypera, w czwartej znaleźli chorego dziada na łóżku, którego również zamordowali. Dopiero w piątej izbie znaleźli trzy królewskie córki przez diabłów porwane. Uwolnili je, sama droga otworzyła się przed nimi i przyszedł do tego króla, którego były córki. Skończyło się na weselu.

W odmianie olkuskiej kobieta żyjąca z niedźwiedziem ma syna, który ssą ją przez siedm lat i nazywał się Niedźwiedzia-juszka. Towarzyszami jego są Zawalidroga i Zawaligóra. Rolę dziada pełni w tej odmianie Wyrwidąb. Niedźwiedzia-juszka spuszcza się do królestwa Wyrwidęba i po długim szukaniu znajduje go z bardzo piękną panną, która iskała brodę Wyrwidęba. Dalszy ciąg identyczny z moim opracowaniem.

Kopernicki zapisał w okolicach Rabki zniekształcony fragment o Wyrwidębie, Rozwaligórze i Rozedrzyskale.

W odmianie kaszubskiej siłacz nazywa się Muzalf. Towarzysze: Wyrwidąb i Wywrógóra jednakową z nim moc objawiają. Panny zakłęte są czarne, a pokonany dziad przestrzega przed zdradą towarzyszy. Kiedy panny zostają wyciągnięte na świat, stają się białe i piękne.

Tekst Lorentza opowiada fragmentarycznie o przygodach kowala, strzelca i krawca. Dziada zastępuje w tej odmianie krasnoludek, który przychodzi wśród nocy i gasi ogień. Pokonany przez kowala prowadzi go do zakłętego zamku, gdzie siłacz wybawia króla wraz z trzema córkami, które wreszcie poślubiają trzech towarzyszy.

Odmiana cieszyńska jest nietylko fragmentaryczna, ale wplata również odmienne motywy. Zamiast dziada istnieją diabli, którzy wśród nocy biją po kolei dwóch synów. Dopiero trzeci, który schował nahajkę, nie daje się maltretować. Z podziemi wyciąga go na linie najmłodsza królowna. po czym obaj bracia padają ofiarą jego zemsty.

W odmianie andrychowskiej trzech żołnierzy szuka zaginionej córki królewskiej. Zapasy z dziadem, który jest diabłem, odbywają się w ^{domu} ~~karcerze~~. Zwyczajem opowiada kamratom:

„Przyszedł stary z brodą
Biłem się z nim, jak z wodą!
Przyjrzyj się bracie:
Jest tam przybity na gnacie“.

Pozostawioną brodę przybijają na szczycie i piszą na kominie:

„Z wyprawy do piekła
Ostatnia pamiątka“.

W podziemiach żołnierz znajduje królownę i zabija wszystkich diabłów po kolei. W ostatniej komnacie znajduje starego diabła bez brody, który szył królownie ubranie. Kiedy ostatni diabeł ginie, szycie jego zamienia się w złote jabłko, dzięki którym żołnierz buduje złoty pałac i robi złote odzienie. Wobec tego żeni się z królowną, a dwaj inni żołnierze zostają jego ministrami.

Dwie pierwsze odmiany górnośląskie obejmują jedynie walkę z dziadem i przygodę pod ziemią. Bardziej interesującą jest trzecia. Kobieta skamraciła się ze lwem i ma z nim syna niezwykle silnego. Wydobywa on się wraz z matką z lwiej jamy, rozdziera własnego ojca i wraca do Małych Strzeleczek. Skoro miał lat siedem stał się wielkim siłaczem, a wskutek tego przysparza wiele kłopotu rodzicom. Ksiądz radzi wysłać go do piekła po pieniądze, po czym lwi syn doznaje różnorodnych przygód, nie mających jednak żadnego związku z naszym motywem.

Bohaterem czwartej odmiany górnośląskiej jest młody, niezwyklej siły kowal. Towarzyszy mu najpierw chłop, który wężem ścina drzewa, a potem taki, który swoją pierdelą góry obala. Jedzenie wyżera stare babsko, w podziemiach kowal zabija lwa, tygrysa i smoka, przyczem wybawia trzy królewny. W wydobyciu się na świat pomaga mu częściowo dobry staruszek oraz stary lew. Baśń kończy się ukaraniem fałszywych kamratów i poślubieniem królewny.

W odmianie andrychowskiej znajdujemy trochę szczegółów o mocnym chłopaku, który cykał przez siedem lat i jadł naraz funt mięsa. Poza tym z motywem zasadniczym nie ma żadnego związku.

W odmianie malborskiej bohaterem jest syn kowala, który tak jest mocny, że w szkole całą ławkę chłopców zabija. Idzie on na wędrownkę w świat z kijem zrobionym z siedmiu fur żelaza. Zły starzec zjawia się poprzedzony kupą siana, kubłem wody i biczem.

NA KRUCHYM LODZIE

Lor. 628. (Kaszuby).

Legenda powtórzona niemal dosłownie według „Tekstów pomorskich“.

KACZMARECZKA TŁUSTA

Kolb. I, 281—289 (Od Warszawy, Poznania, Tarnowa, Sandomierza, Płocka, Białegostoku, Radomia i Miechowa), Tetm., 82, Stop., 87 Mae. III, 104 (Podhale), Zwak VII, 45 (Beskidy), X, 330 (Olkuskie), XVII, 126 (Częstochowskie), Kolb. XII, 248 (Poznańskie), XVI, 300 (Lubelskie), XIX, 247 (Kieleckie), Kolb. Maz. III, 287, IV, 330, V, 286 (Mazowsze), Wisła IV, 155 (Od Dąbrowy Górniczej), IX, 350 (Włoszczowskie), XVI, 729 (Ciechanowskie).

Jak widać, motyw wędrowny w centralnej Polsce dość powszechny, skoro go zapisano prawie w 30 odmianach. Według Wójcickiego jest to piosenka „ułożona z prawdziwego zdarzenia, które zachowało stare podanie“. Pomieścił ją również w swoim zbiorze pieśni wielkopolskich Lipiński oraz Żegota Pauli w pieśniach galicyjskich. Kolberg w „Pieśniach ludu polskiego“ podał dwanaście odmian. Złodzieje czyli andrusy zabierają nie tylko pieniądze i żywność, ale i konie. Niekiedy posługują się gwara złodziejską, co się powtarza również w niektórych innych odmianach. Czasami piosenka złączona z opowiadaniem prozaicznym ustępuje na plan drugi. Wówczas akcja jest bardziej zwarta i konsekwentna. Najpełniejszą jest odmiana Sałałowa, przytoczona przez Tetmajera i Stopkę. Tę właśnie odmianę wykorzystałem całkowicie.

TAK ŚWIAT PŁACI

Kolb. VIII, 235, Cisz. 310 i 312 (Krakowskie), Lud VII, 243 (Spod Dukli), Chelch. I, 86 (Spod Przasnysza), Gryf 1909, 75, Lor. 324, 404 (Kaszuby).

W odmianie krakowskiej Kolberga wyratowany smok chce zjeść chłopca razem z kobyłą, bo mu przypadli do smaku. Taż sama kobyła jest sędzią, twierdzi ona, że spracowanemu koniowi nie dają obroku na starość, a w końcu zostaje skóra dla żyda. Smok już chce pożreć kobyłę, kiedy wypada z jamy stara lisica, bywalska po świecie i ofiarowuje się na sędziego. Kiedy smok znalazł się znów przywalony kamieniem, lisica zaśmiała się i rzeknie do gospodarza:

„Teraz wy gospodarzu nie bądźcież dla mnie smokiem, ale mi pozwólcie za wypłatą dla was sztuczkę zjadać wasze kury“. Chłop godzi się oddać lisicy swoich dwanaście kur, zanim jednak padła ostatnia, żona gospodarza zatłukła lisicę na śmierć kijem. Sprawdziły się tedy słowa kobyły, że nie było i nie ma wdzięczności na świecie.

Według tekstu Ciszewskiego chłop ratuje niedźwiedzia. Sędziami są: koń, a potem zając, który mówi: „Za dobre to się zawsze złem płaci. Na mnie teraz wszyscy: pies na mnie, wilk na mnie, wrona na mnie“. W dalszym ciągu wpleciony jest tutaj fragment bajki o strachliwym zającu. Dalej tak, jak w innych odmianach, chłopą wydobywa z biedy liszka. W drugiej odmianie Ciszewskiego chłop utopił lisa fortelom przy pomocy podstawionego dzbanka.

Odmianę poddukałską wyzyskałem całkowicie.

U Chelchowskiego zamiast smoka występuje słoń. Pierwszym sędzią jest wilk, który postanawia chłopą razem ze słoniem zjeść, bo są głodni. Lis czyli Lisieski za wybawienie chłopą dostaje pozwolenie chwytania kaczek na stawie. Kiedy jednak zjawia się po raz pierwszy, chłop czeka na niego z trzema psami i żelaznym drągiem. Lisieski jednak zdołał uciec, od tego czasu wciąż boi się ludzi, nic im dobrego nie robi, a jak może, to i kaczki, kury, gęsi im porywa.

W odmianie „Gryfa“ wąż został przyduszony wielkim kamieniem. Po uwolnieniu gad rzucił się na chłopą i chciał mu krew wyssać, bo węże tak z człowiekiem robią. Podczas dyskusji pomiędzy nimi chłop twierdzi, że światem rządzi sprawiedliwość, a byłoby niesprawiedliwie płacić złem za dobre. Sędziowie: stary, kulawy koń, stary, bezzębny pies nie chcą, mimo gorzkich doświadczeń, wydać wyroku. Dopiero lis wybawia chłopą za obiecaną gęś. Na drugi dzień chłop wsadza w worek złego i mocnego psa, który zażera lisa. A przecież mógł dać tylko jedną gęś.

Jeden z tekstów Lorentza jest analogiczny z odmianą Gryfa, drugi natomiast bardziej jest oryginalny. Do chłopą orzącego pod lasem przybiega lis i zapowiada, że niebawem zjawi się tutaj niedźwiedź, który będzie chciał go pożreć razem z kobyłą. Chłop chce uciekać do domu, ale lis stwierdza, że już za późno. Wreszcie umawiają się w ten sposób, że lis za wyratowanie z biedy otrzyma worek kur. Kiedy niedźwiedź zjawia się i wypowiada drapieżne zamiary, w lesie odzywa się trąbienie myśliwskie. Niedźwiedź chowa się i prosi gospodarza, aby nie mówił, że go widział. Natychmiast zjawia się lis, który pyta, czy chłop nie widział tutaj wilków i niedźwiedzi, na które właśnie król urządził polowanie. „Nie widziałem żadnych“ — odpowiada chłop. „A co tam leży pod krzem?“ — „To jest pień“. „Chyba to nie pień, bo pień ma odcięte gałęzie“ — mówi lis i ucieka. Przestraszony niedźwiedź każe chłopu, aby mu poobcinał nogi. Wreszcie chłop dzięki fortelom lisa zabija niedźwiedzia. Na drugi dzień jednak zamiast kur chowa do worka złego psa, który zażera lisa.

DIABLI-TANECZNYCY

Fedor. 338 (Znad Pilicy), Kolb. XIII, 155, Wisła VIII, 240 (Krakowskie), XXI, 190 (Radomskie), Kozł. 364 (Mazowsze czerskie), Wisła XVII, 722 (Pow. radzyński), Zwak VII, 79 (Beskidy), VIII, 305 (Łukowiec mazowiecki), XVI, 3 i 39 (Pow. ropczycki), XVII, 124 (Pow. częstochowski), Lud XX, 266 (Spód Andrychowa).

Piosenka, którą diabli śpiewają, jest piosenką krakowskiego diabła Strali czyli Srali, największego ze wszystkich diabłów tancerza. Objawia się on ludziom wietrznym tumanem i widać nieraz, jak kręci się w kółko, lubi także tańczyć na łące podczas suszy. Najlepszy na niego sposób, gdy ukryty wśród wiru na człowieka napada, rzucić weń nóż ostry.

Kosmyk według Balińskiego oznacza część kądzieli, jednakże w tym wypadku kosmyk-dzieweczka jest raczej przezwiskiem dziewczyny przedzącej. Kosmać albo kosmektać, mówić kosmyk-dzieweczka. Jest to więc przedrzeźnianie diabła w odpowiedzi na jego przezwisko.

W krakowskiej odmianie Kolberga macocha wyprowadza pasierbicę do lasu i tam ją zostawia. Błądząc wśród nocy znajduje budynek pusty, lecz oświetlony, z otwartymi oknami i drzwiami, przez które daje się słyszeć ochocza muzyka. W środkowej sali tańczy sam jeden jakiś jegomość w czarnym fraku, niebieskich spodniach, mający na głowie na trzy rogi kapelus. Ten jegomość, niziutki bardzo, wesoło się śmieje i zadowolony sam z siebie tańczy w kółeczko, klaskając w ręce.

W radomskim pasierbica znajduje w chacie same trupy, a w odmianie krakowskiej, zanotowanej przez Karola Matyasa, akcja toczy się we młynie, gdzie już od północy zły nie pozwala nikomu pracować. Diabeł to pan w cylindrze, we fraku, w białych rękawiczkach, tylko mu ogon widać spod fraka. Pomaga dziewczynie w ten sposób, że miele dla niej worek mąki.

W odmianie z Łukowa diabeł odwiedza pustą chałupę tylko raz na tydzień, we czwartek.

W drugim wariantcie ropczyckim biedna służąca tłucze o północy jęczmień w stępie, co powoduje ukazanie się diabła, itd. Porywa on potem córkę bogatego sąsiada.

Wariant beskidzki jest naogół pozbawiony sensu, prócz oryginalnego zakończenia ze śpiewającym ptaszkiem, co też wyzyskałem.

Pewne analogie znaleźć można w bajce pt. „Jak jedna matka bez zazdrość dała diabłu swoją córkę“ (Świątek, 338).

JUHAS BOGOBOJNY

Lud VII, 188 (Podhale).

Legendę tę powtórzyłem za tekstem gwarowym, zapisanym przez M. Wysłouchową wedle opowiadania Jędrzeja Gąsienicy z Gładkiej na Gubałowie. Dwa fragmenty tejże legendy przytoczył również Stanisław Witkiewicz za Sabałą w swej książce „Na przełęczy“ (str. 126 i 136). Tekst Wysłouchowej pomnożyłem o fragment zbójnicki, zaczerpnięty z właściwych materiałów.

KARA NA WILKA

Nitsch 12 (Pogranicze czeskie).

Tekst z rozpraw Czeskiej Akademii, zapisany w Czechosłowacji we wsi Dobrańcach, „wsi już przed wojną mocno szcieszczoną, ale w gruncie rzeczy językowo polskiej“.

Faceję tę napisałem dość swobodnie, wprowadzając do niej nieco wyrażań przysłowiowych.

CZARNY KOT

Zwak XVI, 96 (Puszcza sandomierska).

Niesamowita baśń zapisana przez Zygmunta Wierzchowskiego w puszczy sandomierskiej należy do tych nielicznych płodów twórczości ludowej, które nie posiadają żadnych odmian. Są to unikaty, których pochodzenia nie podobna wyprowadzić z mniej lub więcej znanego źródła. Wedle notatki Wierzchowskiego o „Czarnej kocinie“ opowiedziała Stara Zośka Koczwarzanka ze wsi Pyszniczy, która jest również narratorką interesującej legendy pt.: „Fajt-majt cerwonym kijaskiem“. Trudno dociekać w jaki sposób powstała w puszczy sandomierskiej baśń „O czarnej kocinie“ i czy nawet na tym terenie była ona powszechnie znana. Mogło się nieraz zdarzyć, że pewne utwory ludowe powstawały pod wpływem literatury drukowanej i to nieraz literatury podrzędnej. Ostatecznie wszystko jest jedno, czy jakaś baśń wywodzi się z „Gesta Romanorum“ czy też z jarmarcznego kalendarza, trzeba tylko, aby lud przetworzył ją w sposób swoisty i użył jej zalet sobie właściwych. W tym wypadku proces ten niewątpliwie nastąpił. Baśń „O czarnej kocinie“ przytoczyłem niemal dosłownie.

BIEDNY I BOGATY BRAT

Zwak V, 212 (Beskidy), XI, 111 (Spod Olkusza), XVI, 50 (Pow. ropczycki), Cisz. 131—136 (Krakowskie), Mae. V, 194 (Górny Śląsk), Wisła IV, 102, VI, 855 (Lubelskie), XI, 266 (Spod Wiślicy), XVII, 547 (Pow. radzyński), Gryf 1910, 23 (Kaszuby).

Dobry i zły brat występują w naszych baśniach ludowych rozmaicie. W tym wypadku wydzieliłem ściśle jeden motyw, odrzucając wszystkie pokrewne. Najbardziej jednolicie występuje on u Ciszewskiego, zarówno w „Kra-kowiakach“, jak i w „Ludzie górniczo-rolniczym“.

W odmianie beskidzkiej jest aż trzech braci, dwóch mądrych a jeden głupi. Ten ostatni podczas kradzieży zachował się tak nieudolnie, że wszyscy dostali się do aresztu, za co mądrzy bracia wyłupili mu oczy i zaprowadzili pod szubienicę.

Odmiana olkuska opowiada o dwóch braciach, starszym i młodszym. Żyją oni najpierw z części młodszego, a potem starszy za utrzymanie wyłupuje oczy młodszemu. Królowa dlatego choruje, bo nie spożyła komunii, którą zjadła żabka, siedząca w kaflowym piecu. Żabkę trzeba rozciąć, wyplukać i tej wody dać się napić królowi. W końcu młodszy brat bierze za żonę uzdrowioną królową.

W odmianie ropczyckiej bogaty brat wydłubuje każde oko za ćwierć pszenicy. Wody nie ma dlatego, że kiedy ludzie przeganiali koło studni nierogaciznę, wpadła tam nieczystość świńska. Bogata pani umarła, a żeby ją ożywić trzeba wydobyć w stajni spod dyli ropuchę, porozdzierać ją i obłożyć tym nieboszczkę. Za zebrane bogactwo biedny brat kupił sobie wieś, ożenił się i był wielkim panem. Bogaty wydłubał sobie oczy, kazał zaprowadzić się pod szubienicę, ale, nie mogąc bólu wytrzymać, zakończył tam życie.

W pierwszej odmianie krakowskiej wchodzi w grę tylko brak wody i cudowna trawa. Według drugiej, aby woda trysnęła, trzeba łaską trącić skałę. W trzeciej jeden brat wyrabiał po panach, a drugi po żydach. Jedzą razem

po karczmach, a kiedy młodszemu pieniędzy nie stało, uspił starszego, wydłubał mu oczy i zabrał pieniądze. Kruki, które przylatują w to miejsce, gdzie siedzi starszy brat, okrzykały go jako trupa. Oczy trzeba potrzeć wodą z cudownego źródła. W mieście biją studnię od lat siedmiu i nie mogą się wody dobić. Tymczasem wystarczy postawić białego koguta na cebraźnie, a woda buchnie na wierzch. Panna choruje od lat siedmiu, uzdrowić ją można wyjmując spod podłogi chropawą żabę, zetrzeć ją, ugotować i dać się pannie napić tego rosołu. Czwarła odmiana zniekształcona.

W odmianie górnośląskiej najmłodszy brat daje sobie wydłubać oczy za wykurzenie fajki. Od chorej królowny trzeba odegnać wszystkich doktorów i wykapać ją trzy razy w pokrzywowej wodzie. Kiedy starszy brat żąda, aby najmłodszy wydłubał mu oczy, ten czyni to pod groźbą miecza. Kiedy wielkie ptaki szarpia złego brata, głos jego słychać na pół mili, a do rana tylko małe kawałeczki z niego zostały.

Ubogi brat z odmiany lubelskiej, zapisanej przez Kazimierę Skrzyńską w Krynicach, traci oko za ćwierć żyta i bułkę. Królownie trzeba dać do zjedzenia Przenajświętszy Sakrament, który połknęła kicka czyli żaba. Za tryśnięcie wody biedny brat dostaje cudowną kaletkę, która w jednej połowie zawiera naczynia, a w drugiej potrawy. Za uzdrowienie królowny ofiarowywano mu pół królestwa, biedny brat jednak prosi króla, aby mu nadał taką moc, że „jak stąpnie, to mila, a jak skoczy, to dwie“. W dalszym ciągu baśń przechodzi w odrębny motyw.

W drugiej odmianie lubelskiej, zapisanej przez Szczęsnego Jastrzębowskięgo w Krzywowoli, dwaj bracia idą na wojaż. W karczmie zjadają razowy chleb biednego, a bogaty za pytlowy wydłubuje oko. Biedny brat zostawiony pod figurą słyszy śpiew przechodzących aniołów, które każą mu leżeć do rana i przemywać oczy rosą. I w tym wypadku baśń kończy się innym motywem.

Odmiana wiślicka zaczyna się wstępem luźnie tylko z zasadniczym motywem związanym. Biedny brat po wyłupieniu oczu zostaje wyprowadzony pod topolę. Aby wodę odzyskać trzeba odwalić siwy kamień na Jaśkowej miedzy. Po odzyskaniu wzroku biedny brat leczy również uzdrawiającymi kroplami ludzi chorych na oczy. Kruki rozszarpują dwóch braci chytrych i chciwych. Biedny brat został panem wielkim, miał duży, bogaty dwór. „Ja tam raz byłem, to mi pełen koszyk nasypał pieniędzy, za co sobie i grunt i tę chałupę kupiłem“.

Bardzo oryginalna jest odmiana radzyńska, zapisana przez Witowta. Za dawnych czasów Prawda i Krzywda żyli w zgodzie, po sąsiedzku, ale potem Krzywdę wzięli do urzędu, bo bez Krzywdy nie osądzą, bo bez Krzywdy w urzędzie nic nie zrobią. Prawdzie zaczęło się wówczas źle powodzić. Poszła do nieba, ale tam jeszcze więcej wynędniała, bo nie miała co robić, więc wzięła kij i poszła w świat z torbami. Idzie sobie Prawda, a tu Krzywda jedzie powozem i zaprasza Prawdę do siebie. Kiedy przyjechali pod miasto, gdzie stały wielkie szubienice, Krzywda mówi do Prawdy, że będzie jej dobrze na świecie, tylko niech pozwoli wyjąć sobie oczy. Skoro to się stało, Prawda ślepa przez lat siedem siedziała pod szubienicą, nie wiedząc nic co się na świecie dzieje. Dopiero jednej nocy zerwała się wielka wichura i ozwały się głosy wisielców, którzy tak jak w innych odmianach zdradzili tajemnicę trawy cudownej, królewicza chorego na suchoty, bo mu ropucha ściąga ślinę, itd. Kiedy

Prawda dokonała wszystkich prac, ludzie zaczęli ją słać i wszystko się zmieniło. Prawda jeździ powozem, a Krzywda zgarbiona łązi piechotą. Wreszcie oślepią Krzywda ginie pod szubienicą. Krzywdę diabli wzięli, a teraz ludzie mówią: „A gdzie moja Krzywda? Krzywdę diabli wzięli. Nie ma krzywdy — moja prawda!“

W odmianie kaszubskiej dwaj bracia idą na wędrówkę w świat. Obaj dostali od ojca po równym dziale pieniędzy. Najpierw wydają pieniądze młodszego, który żąda, aby teraz żyli na koszt drugiego. Starszy jednak wyśmiewa go i żąda wyskubania najpierw jednego, a potem drugiego oka. W dalszym ciągu młodszy brat po odzyskaniu wzroku uzdrawia królowną przez złotą rybę wyłowioną w stawie. Z tą królowną żeni się i jest szczęśliwy. Pewnego razu spotykają na spacerze biednego dziada, który zbity i okaleczony prosi o chleb. Był to właśnie brat starszy, który pokutować musiał za swoją niegodziwość. Skoro przyznał się do winy, młodszy darował mu, zabrał do zamku, gdzie po jakimś czasie starszy brat przewidział i chował się tam aż do śmierci.

DLACZEGO ZAJĄC NIE JE MIĘSA?

Gryf 1909, 15, Lor. 214 (Kaszuby), Zwak V, 246 (Beskidy).

Głównie oparłem się na odmianie kaszubskiej. W odmianie beskidzkiej wilk bierze na służbę psa, a potem pies, będąc pewny, że to samo potrafi, umawia do przyświadczenia kota. Kiedy skok na konia psu się nie udaje, kot skoczywszy na drzewo wyśmiewa się z niefortunnego zamachu jego pracodawcy.

DIABELSKA GRA

Gryf 1909, 235, Lor. 590, 609, 631 (Kaszuby), Wisła XIII, 19 (Krakowskie), Kolb. XIX, 221 (Kieleckie), Zwak V, 219 (Beskidy), Mae. VIII, 189 (Górny Śląsk).

Głównie oparłem się na odmianie wydrukowanej w „Gryfie“. Wszystkie trzy teksty zapisane przez Lorentza są niemal identyczne. Stary żołnierz, który po wyjściu z wojska nie wie co robić, zostaje ugodzony na służbę przez pana z końską nogą. Nie wolno mu przez siedem lat ani cesać się, ani myć, ani obcinać paznogi, ani zmieniać ubrania. Do obowiązków jego należy podkładanie ognia pod kotłami w piekle. Kiedy diabeł z piekła oddala się, żąda, aby żołnierz do kotłów nie zaglądał. Nie słucha jednak tego rozkazu, w jednym kotle ogląda swego kapitana, a w drugim generała. Ponieważ jednak obaj dobrze mu się dali we znaki, ognia nie żałuje. Wobec tego diabeł wybacza mu nieposłuszeństwo i pozwala mu wrócić na ziemię z cudownym mieszkaniem, zawsze pieniędzmi wypełnionym. Ponieważ jednak dopiero cztery lata minęły, żołnierz musi chodzić po świecie w odrażającej postaci. W tym czasie spotyka chłopca, który z powodu wielkich długów nie ma z czego żyć wraz ze swoimi trzema córkami. Żołnierz wybawia go z kłopotu, a chłopca w nagrodę za to postanawia oddać mu jedną z córek za żonę. Dwie starsze nie chcą jednak słyszeć o nim, zaręczają się z najmłodszą i obdarzywszy ją pierścieniem obiecuje wrócić za trzy lata, a wówczas odbędzie się ich wesele. Po tym czasie zjawia się w pięknej postaci, wspaniale ubrany. Starsze córki chcą się z nim żenić, tylko najmłodsza oświadcza, że tego uczynić nie może, bo przyrzekła już swą rękę innemu. Sprawa się wyjaśnia ku zadowoleniu najmłodszej, a rozpacz dwóch starszych córek.

W „Świecie nadzmysłowym ludu krakowskiego“ znajdujemy fragmentaryczną baśń o chłopie, który gra w karty z diabłem. Grają wśród ciemnej nocy przy świetle płwocin diabelskich, po czym następują przygody chłopca, nie mające związku z naszym opowiadaniem.

W odmianie kieleckiej, zapisanej przez Kolberga, żołnierz po 25 latach służby nie ma się gdzie obrócić i wreszcie trafia na służbę do diabła, który zabiera go do piekła. Podpisuje się krwią i przyrzeka, że przez lat siedem nie będzie umywał się, ani obłóczył, ani pazurów obrzynał, ani nosa ucierał, ani brody golił. Za to dostaje ściereczkę, która dostarcza mu złota i pieniędzy. Żołnierz trafia do karczmy na trakcie i powiada do arendarza: „Nakupmy różnych trunków, owsa, siana i sprzedajmy z tego to, czego z przejeżdżających kto żądać będzie. Za to, co sprzedawać będziemy, nie żądamy pieniędzy, tylko jedno słowo: „Bóg zapłać“. Żołnierz mieszka w osobnej stancji i nie rusza się z łóżka, usługują mu kucharz i lokaj, a kto przyjeżdża do karczmy płaci za wszystko tylko dobrym słowem. Wreszcie przyjeżdżają rycerze, którzy szukają takiego, co by ich królowi dał trzy cetnary złota, za co dostanie pół królestwa i córkę za żonę, choćby był dziadem, żydem lub drabem. Żołnierz posyła przez rycerzy swój portret, który budzi odrazę u dwóch starszych córek. Godzi się go jednak poślubić najmłodsza. Itd.

W odmianie beskidzkiej na służbę do diabła idzie syn głupi wygnany przez ojca. Poza zwykłymi warunkami nie wolno mu również odmawiać pacierza. Z namowy anioła stróża żąda za służbę swoją, aby mógł kożuchem przecierać kotły. W ten sposób zabiera ze sobą pokutujące dusze. Diabli grają z nim o te dusze w karty, przy czym szczęście dopisuje głupiemu. Odmiana beskidzka jest najwidoczniej mocno zniekształcona i składa się z dwóch jeszcze motyłów fragmentarycznych, luźnie tylko powiązanych.

Odmiana górnośląska, zapisana przez Kolberga, a ogłoszona przez Udziele, tylko częściowo łączy się z naszym motywem. Jakkolwiek powstała z połączenia dwóch odrębnych motywów, wykazuje logiczną zwartość i odznacza się oryginalnym zakończeniem. Prawdopodobnie zostanie wyzyskana w następnej serii. Opowiada ona również o chłopcu, który służył u diabła i zaniedbując swój wygląd zewnętrzny podkładał ogień pod kotły. W jednym z nich znajduje złego dziedzica i praży go niemiłosiernie. Kiedy wraca na ziemię wybawia z kłopotu pana, który cały swój majątek przegrał w karty. Wdzięczny szlachcic postanawia mu oddać jedną z córek za żonę. W dalszym ciągu opowiadania zaczynają się perypetie zupełnie innego rodzaju.

WILK W GROCHU

Nitsch, 150 (Pow. chodzieski).

Opowieść ta należy do kręgu ulubionych gawęd o tzw. „głupich ludziach“. Istnieje wiele różnorodnych odmian tego motywu. „Wilk w grochu“ jest jednak tak w swoim rodzaju zwarty, że przytoczyłem go niemal dosłownie. Trywialne nazwisko „Pierdziocha“ zamieniłem na Maślanke, itd. Prof. Nitsch w swoich tekstach gwarowych podaje, że facecję tę spisał z dawnego opowiadania R. Piosik, nauczyciel gimnazjalny, rodem z Rzadzkowa.

OSTATNI FIGIEL BORUTY

Kolb. XXII, 257 (Łęczyckie).

Bardzo popularna, zdawałoby się, postać diabła Boruty nie posiada dostatecznego oparcia w materiałach etnograficznych. O ile wiem nie zapisano ani jednego ludowego podania o nim. Rozmaite materiały rozprószone po kalendarzach i różnych czasopismach wydają się zawsze zbyt dowolnymi i mało zasługującymi na uwagę. Właściwie do popularności Boruty najwięcej się przyczynił dwiema klechdami Kazimierz Władysław Wójcicki. Według tego ostatniego Boruta jest diabłem wyłącznie szlacheckim. Tak go też Wójcicki w dwóch swoich opowiadaniach odtworzył. Dziś wydaje się to mocno wątpliwe, a klechdy Wójcickiego sprawiają na nas wrażenie, zwykłej zresztą u tego autora, konwencjonalności i dowolności. Już Karłowicz w wybornym szkicu o Borucie (Wielka Encykl. Powsz. IX, 206) trafnie wywodzi, że Boruta jest chłopskim diabłem leśnym. Szczegółowe uzasadnienia znaleźć można również w Karłowicza „Słowniku gwar polskich“, oraz w „Słowniku etymologicznym“ Brücknera.

Rozporządzałem przeto materiałem bardzo skąpym, przeważnie przez Kolberga podanym w jego „Ludzie“. Powtórzyłem z małymi zmianami opowiadania Waclawa Szymanowskiego (Tyg. Illustr. 1863 Nr. 173 str. 22), oraz Kozerskiego (Tyg. Illustr. 1862, V, 178). Streściłem również pierwszą klechdę Wójcickiego.

Tego rodzaju przygód, co łączycki Regierungsrath, często Niemcy u nas doświadcza. W bardzo przyjemnej książeczce „Górale beskidowi“, którą napisał L. Delaveaux znajdujemy opis podobnego wydarzenia. Tym razem padł ofiarą znany naturalista Schultes, profesor Akademii krakowskiej. W r. 1808 zbierał on rośliny w lasach babiogórskich i straszyl górali swoim wyglądem: czarnym i kusym ubiorem, okularami, kapeluszem i parasolem. Kiedy w górach zabłądził, żaden z górali nie chciał mu przyjść z pomocą. Wszyscy żegnali się i uciekali od rzekomego diabła. Dopiero urzędnicy leśni, słysząc opowieści o błąkającym się w górach czarciu, odszukali po dwóch dniach ledwo żywego profesora.

LENIWA DZIEWCZYNA

Kolb. XXI, 202 (Radomskie), Gryf 1910, 20 (Kaszuby), Mae. X, 283 (Pow. rzeszowski), Wisła XIX, 405 (Lubelskie), Zwak XVII, 122, 126 (Pow. częstochowski).

W odmianie radomskiej Kudła, straszac swojego przyszłego męża, który jest wdowcem, mówi: „Przysłał mnie sam Pan Jezus z nieba, że tę Kudłę za żonę wziąć trzeba“. Chłop zaś myśli, że to jego żona nieboszczka przychodzi po śmierci i każe mu się z tą Kudłą żenić. Roboty uczy ją zwyczajnym biciem.

W wariacie kaszubskim pozorem bicia jest trzepanie zakurzonej torby Strzelec bierze harap i co raz w torbę, to dwa razy w żonkę uderzy.

Lubelska Kudła przebiera się także za śmierć i idzie do trzeciej chałupy, do gospodarza, co miał syna, porządnego chłopaka. Młóci on właśnie zboże, a Kudła mówi: „Przyszedł tutaj do ciebie, żebyś się ożenił w trzeciej chałupie od siebie. Jak się ożenisz, to weź ją do siebie, a jak nie, to ja ciebie wezmę do siebie“. Po weselu Kudła leży na piecu, a jego matka tłucze proso w stępie.

Dostaje potem tyle łyżek kaszy na obiad, ile razy zlezie z pieca i uderzy stęporem.

W nieuwzględnionych tutaj w moim opracowaniu odmianach kieleckich (Kolb. XIX, 198, 227) opowiadanie to przeradza się w legendę. Zwłaszcza pierwszy wariant pt.: „Niezgoda w małżeństwie“ bardzo jest interesujący. Przytaczam go dosłownie: „Ziele Anioła Stróża czyli betonijka „*Betonica Vulgaris*“ powstało wskutek zdarzenia bardzo pouczającego dla wszystkich kobiet bezładnych*). Był chłop, miał żonę, wielkiego próżniaka. Co miała mu jeść nastroić, to ona uciekała na wieś, chodziła po kumosiach, gawędziła a obiadu ani śniadania nigdy mężowi nie dała na czas, tylko wtedy, kiedy jej się podobalo. Chłop chodził na zarobek, cały dzień pracował ciężko, a wieczorem, jak przyszedł do domu, nie miał co jeść. Raz i drugi powiada jej: „Czemżś wiesz czy wczorzy nie ugotowała?“ A ona mówi: „Nie ugotowałam, bo nie miałam czasu“. Chłop stracił cierpliwość i dalej kole skóry, zaczął ją bić i zawsze odtąd bijał. Anioł stróż to widział i strasznie mu było markotno, że między nimi zgody nie ma, więc razu jednego stał się babką prośalną i przyszedł do chałupy. Pyta się kobiety: „Gdzie chłop?“ — Ona powiada: „Łąkę siecze“. I dopiero szczęśliwa, że ma z kim rajcować, zaczyna opowiadać o swoim mężu, żali się, że taki zły, że ją bije i dokazuje z nią. „Jak by tu teraz przyszedł, — powiada — toście i wy tu niepewni, jeszcze was tu zbije“. Babka wysłuchawszy tego wszystkiego, powiada jej tak: „A możebym ja co na to poradziła, żeby on was nie bił. Pójdźmy ku niemu, ja sobie usiądę w gaju, a wy mu obiad zanieście, skoro zaś zacznie was bić, wołajcie na mnie, to wystąpię“. Nauczyła ją, jak ma wołać. Ale kobieta, swoim zwyczajem, nie ugotowała na czas i dopiero wtedy przyniosła obiad, kiedy inni zabierali się do podwieczorku. Chłop powiada: „Bój się Boga, co ty robisz, że mi tak późno jeść dajesz?“ — Ona mówi: „Nie miałam czasu“. Chłop się rozgniewał i łyżką ośmietał ją kole gęby. Dopiero ona w krzyk i woła: „betonijko, wychodź, bo mnie chłop chce bić!“ Wtedy betonijka wystąpiła z gaju i powiada jej tak:

„Nie płacz, nie krzycz,
Boś sama winna.
Ino strój śniadanie — kiej śniadanie,
Obiad — kiej obiad,
Wieczerzę, kiej ma być,
Nie będzie cię twój chłop bić“.

Potem stała się aniołem i ten anioł wleciał ku niebu. Kobieta przejęta tym widokiem, winę swoją poznała i odtąd wszystko w porze zaczęła robić, a chłop przestał ją bić. Od tego też betonijka nazywa się ziele Anioła Stróża, a pomocna na wszystkie choroby, najskuteczniejsza bywa tam, gdzie niezgoda panuje w domu. (Krakowskie, Chełmek).

Druga odmiana kielecka połączona jest z wędrówką Pana Jezusa, św. Piotra i Pawła po ziemi. Spotykają oni pracowitego parobka, a potem nocują u gospodyni, która ma córkę próżniaka. Pan Jezus postanawia, że pracowity parobek ożeni się z leniwą dziewczyną. Święty Piotr mówi: „Szkoda tak dobrego

*) Wedle innej wersji, rodzaj ziela *Veracilla* (Kurdwanów, Swoszowice), przyp. Kolberga.

chłopaka, żeby sobie świat takim leniuchem zamotał". Pan Jezus zaś powiada: „Jedno leniwe, drugie pracowite — a tak będzie dobrze". Po weselu, podczas którego panna młoda śpi za piecem, mąż zabiera ją do domu, każe robić dla niej kołyskę i prosi matkę swoją, aby ją kołysała. Jedzenie zaś dostaje takie: małą kwatereczkę mleka, bułeczkę za grosz na śniadanie, toż samo na obiad i na kolację — i nic więcej. Głód robi swoje, leniuch zaczyna pracować. Tymczasem zięć dostaje od pana ojca byka, który nikomu prowadzić się nie daje. Wraca zmartwiony do domu, a żona powiada: „Ja go przyprowadzę". „Oj moja córko — rzecze ojciec, gdy przyszła — ty mu nie poradzisz". „Mój ojciec kochany, jam robić nie umiała, a nauczyli mnie, to i ja byka zaprowadzę, tylko mu wprzódki nie dam jeść przez trzy dni". Po trzech dniach wzięła wiązkę siana na plecy, a byk szedł spokojnie za nią i przegryzał siano.

Nieco podobieństwa znaleźć można i w legendzie, zapisanej przez Chełchowskiego (T. II, 126). Pan Jezus kojarzy pracowitą dziewczynę z leniwym parobkiem, który chce, żeby mu same gruszki do ust leciały. Naukę otrzymuje od samego Pana Jezusa przy pomocy uciekającego bochenka chleba.

CZTERECH MISTRZÓW

Lor. 230, 498, 535, 542, 558, 709, 794 itd. (Kaszuby), Nitsch, 147 (Poznańskie), Zwak V, 233 (Beskiły), Mae. V, 43 (Górny Śląsk).

Baśń ta najpełniej się przedstawia w odmianach kaszubskich, na podstawie których ją opracowałem. Odmiana umieszczona w tekstach gwarowych prof. Nitscha obejmuje tylko pierwszy fragment baśni. Odmiana beskidzka opowiada o trzech braciach, złodzieju, strzelcu i wrózu, którzy dzięki swoim talentom nie potrzebują odrabiać pańszczyzny. W odmianie górnośląskiej, zupełnie do kaszubskich podobnej, królewna wybiera za męża złodzieja, a bracia zostają jego ministrami.

LIS SZYJE WILKOWI BUTY

Cisz. 317 (Krakowskie), Chełch. II, 24 (Spod Przasnysza), Mae. V, 90 (Górny Śląsk), Lud VIII, 296, Gryf 1911, 66, Lor. 161, 284 (Kaszuby), Kolb. Przem. 238 (Przemyskie).

W niektórych odmianach zamiast lisa występuje także i pies. Czasami lis robi buty z żywicy albo ze swojego łajna. W odmianie zapisanej przez Chełchowskiego pies daje wilkowi jako buty kopyta ze zjedzonego konia i radzi mu, aby w razie napaści na łód uciekał, w nadziei, że ludzie przewracającego się wilka dopadną i zabiją. Wilk jednak odrzuca kopyta, a rozgniewawszy się na psa wypowiada mu wojnę. W ten sposób bajka ta łączy się z odrębnym motywem.

ZŁOTE STRZEMIE

Lud VI, 340 (Z nad Dukli), Wisła VIII, 227 (Stary Sącz).

Oparłem się głównie na odmianie podduklańskiej, zapisanej przez Gustawicza. We wstępie do tej baśni wyzyskałem rozprawę Matusiaka (Olimp polski podług Długosza. — Lud XIV, 68), oraz szczegóły podane przez Kolberga (Seria VII, 29), Świętka („Lud nadrabski", 543).

W odmianie zapisanej przez Udzielę w okolicach Starego Sącza występuje św. Piotr. Jedzie on konno za różnymi interesami do nieba i aby konia popaść, zatrzymuje się przed karczmą. Na wieść o tym zbiegają się ludzie, każdy z jakąś prośbą, którą pragną przez świętego posłać do Pana Boga. Biedny chłop prosi św. Piotra, aby się zapytał w niebie, dlaczego mimo pilnej pracy i przykładnego życia, tak mu się źle powodzi. Św. Piotr zostawia mu złote siodło ze złotymi strzemionami. Rada, którą potem otrzymuje, pochodzi od samego Pana Boga. Kiedy wybiera się na sprawę do sądu, dostaje od trzech chłopów kożuch, buty i czapkę, czego się potem zapiera.

Ten sam sposób, w jaki sprytny chłop oszukuje chciwego żyda i sędziego, powtarza się również w innych opowiadaniach ludowych.

NIESZCZĘŚLIWA MIŁOŚĆ

Nadm. 41, Lor. 316, 336 (Kaszuby).

Opracowałem z małymi zmianami wedle trzech tekstów kaszubskich.

BIJ ŻYDA

Bar, 254.

Dosłownie według tekstu podanego przez ks. Sadoka Barączca. Ta niespotykana nigdzie fraszka przywędrowała prawdopodobnie na Ruś z centralnej Polski.

MOCNY BRAT I ZŁA SIOSTRA

Cisz. 89, 97 (Krakowskie), Gryf. 1910, 77, 1912, 298 (Kaszuby), Zwak XI, 119 (Pow. olkuski), Mae. I, 95 (Pow. wielicki), IV, 248 (Spod Andrychowa), V, 22, 53, 197, 205 (Śląsk Górny), VI, 338, (Pow. łańcucki), Wisła VIII, 249 (Krakowskie), XII, 734 (Pow. przeworski), XVII, 558 (Pow. radzyński), Zwak V, 240, VII, 17, XIV, 10, Zawil. 9, 28 (Beskidy), Łęga 173 (Ziemia malborska).

Baśń fantastyczna jest często znacznie trudniejsza do opanowania, niż inny rodzaj opowieści ludowej, nierzadko bowiem znajduje się w niej powikłania kilku motywów, które niegdyś musiały być odrębnymi całościami. Wylania się tedy pytanie, czy należy te połączenia usunąć czy też przyjąć je w tak skomplikowanej postaci. W takich wypadkach trudno jednolitą ustalić zasadę.

W baśniach fantastycznych innych narodów znajdujemy również sploty tego rodzaju, czasami nawet zupełnie bezsensowne. Często jednak w śmiałych i oryginalnych połączeniach motywów przejawia się właśnie prawdziwa twórczość.

Taka jest właśnie i baśń: „O mocnym bracie i złej siostrze“. Niewątpliwie druga jej część: walka ze smokiem jest późniejszym połączeniem. Nie brak odmian, w których oba motywy występują oddzielnie lub też w innych splotach, ale konstrukcja, którą znalazłem w odmianie kaszubskiej i górnośląskiej jest tak zwarta, że uznałem za najbardziej odpowiednie utrzymać ją i wzbogacić tylko wieloma barwnymi szczegółami, zaczerpniętymi z innych wariantów. Bohatera tej baśni nazwałem mocnym Janem, godząc w ten sposób charakter ludowy z dawniejszymi wspomnieniami rycerskimi. Tego rodzaju przydomek jest o tyle usprawiedliwiony, że się go spotyka w naszych baśniach

bardzo często (Jan nie bój się, mocny Bartek, mocny Maciek, mocny Karolek itd.).

Oba w tej baśni występujące motywy pojawiają się i w wielu innych, niezliczonych połączeniach. Dokładna analiza wszystkich pokrewieństw zaprowadziłaby za daleko, ograniczyłem się przeto do najwyraźniejszych, a i tych jest niemało.

W pierwszej odmianie krakowskiej Ciszewskiego bohaterem jest królówic, zamiłowany w myśliście. Wędruje on razem z siostrą, a kiedy ta śpi, stacza zwycięską walkę ze zbrojcami. Jeden z nich ranny w ucho zataił się i udawał zabitego, on też później siostrę do zdrady namawia. Po nieudanych próbach z mlekiem zajęcym, niedźwiedziem, lwem i młynem zaczarowanym, każe zbrojca siostrze brata wykopać i związać mu kciuki nitką jedwabną w kilkoro złożoną. Po uwolnieniu przez zwierzęta brat mówi do siostry: „Ano moja siostrze, ja ci już wszystko daruję, jeśli mi jeszcze jedną kąpiel zrobisz w tej balii“. „Dopiero był taki filar pod sklepieniem murowany, wziął tę balię, postawił pod ten filar, onę wziął, przywiązał do tego filara, dopiero powiada: „Jak mi w tę balię ze swoich łez pełną kąpiel zrobisz, wtenczas dopiero wszystko daruję“. Tak wziął, zamknął, te klucze wziął pod taki kamień schował na świecie, pod tym tam budynkiem, no i powrócił do domu“. Potem ożenił się i dopiero podczas wojny znalazł się w tym samym miejscu. Tam już wszystko mchem zarosło, ale kiedy drzwi odemknął znalazł siostrę żywą i wannę łzami zapełnioną. Opuścił jej winy, a wtedy ona w proch się rozsypała.

Bohaterem drugiej odmiany jest strzelec, któremu umarła żona, a siostra ofiarowała się: „Ja to zrobię, co i żona“. Zostaje tedy w domu i przyprowadza do polowania młodego zająca, lwa i wilka. Potem wędrują w świat, zachodzą do zbrojeckiej chatupy itd. Siostra za pokutę musi zjeść ryneczkę węglu i potem pełną łez nakapać. Następnie strzelec ma się ożenić z królewną. „No i chodzili se na spacer, no i nie wiem kto mu to stał na zwadzie, dość, że go porąbał. Wilk jest majster do koni: wziął, zażarł konia. Lis znowu jest spekulant, wziął wygarnął mu flaki z brzucha, wlał tam do brzucha i siedzi. I kruki przyleciały na tego konia i wziął lis, złapał kruka. I pytają go się, gdzie jest taka woda, żeby uzdrowić pana. A kruk mówi tak: „Jedna idzie woda do góry, a druga na dół; od tej, co idzie do góry, to się zrośnie, a od tej co na dół, ożyje“. I wzięli, poszli z krukami, pokazał im, wzięli, poskładali te kawałki, polali tą pierwszą wodą, zrosł się. Polali tą drugą, co na dół i ożył. I ożenił się. I koniec końcem!“

Pierwszą odmianę kaszubską wyzyskałem niemal całkowicie. Mocny Karolek zwycięża tutaj zbrojców podstępem. Kiedy pytają co się dzieje na świecie, przyrzeka im odpowiedź, ale żąda, aby się do niego tyłem obrócili, bo musi sobie to najpierw spisać, a kiedy kto na niego patrzy, pisać nie może. Po czym jednym cięciem szabli ścina dwanaście łbów. Siostra wiąże go śpiącego powrozami, ale brat budząc się, jak pajęczynę je przerywa i myśli, że to był tylko sen. Jego moc jest ukryta w małym promyku białych włosów. Podczas snu siostra mu ten promyk wystrzyga i goli brzytwą. Smoka zwycięża częściowo przy pomocy „wódki do lepienia“, smarują nią kamień, na którym potwór zwykł się wylegiwać. Zdrajca przecina mocnego Karolka na pół.

W drugiej odmianie syn wędruje z matką-wdową, uzbrojony w pas i szablę, którą znalazł na drodze do cmentarza. Zachodzą do zbrojeckiej chatupy,

a stary zbójca posyła go po miód do piwnicy, gdzie ukrywa się dwunastu zbójców. Syn zabija ich szablą i wraca. Zdziwiony herszt dowiaduje się od matki, że syn ma w pasie i szabli siłę dwunastu chłopów. W nocy matka śpi ze zbójcą w jednym łóżku, kradną mu szablę, wyłupują oczy i wyrzucają z chałupy. Wybawia go piękne dziewczę, prowadząc do cudownego źródła. Mszcząc się zabija zbójcę, matce oczy wyłupuje, a potem zostaje królewskim zięciem.

W odmianie olkuskiej Ciszewskiego baśń nasza jest spleciona z baśnią „O złotym człowieku“. W czasie walki ze zbójcami, ocalał jeden z nich — czarnoksiężnik, który każe siostrze brata kąpać, a potem związać mu palce, najpierw splotką niebieską, a potem zieloną, a wreszcie czerwoną. Po pierwszym związaniu otwierają się drzwi, po drugim jeszcze lepiej, po trzecim wpada czarnoksiężnik. Kiedy na głos trąbki, którą otrzymał od „złotego człowieka“ zjawiają się zwierzęta, każe im czarnoksiężnika rozszarpać, a siostrę zamyka. Potem żeni się z córką królewską, rodzi mu się czworo dzieci i wreszcie jedzie po siostrę, która tak wynędziała, że aż grzyb na niej porósł i ogryza ostatnie żebro z czarnoksiężnika. Zabiera ją ze sobą, ale siostra znowu o zdradzie myśli, chociaż nic nie ma więcej do roboty, jak bratu łóżko ścielić! Bierze ona żebro czarnoksiężnika i kładzie „na sztorc pod kołdrą“. Król wicz rzuca się na wznak i przebija. Potem wierne zwierzęta ratują go w następujący sposób: „Zawołał zając do siebie lwa, tygrysa, niedźwiedzia i wilka. „Chodźmy na cmentarz“. Poszli na cmentarz. „Kopcie bracia, dostańcie go“. Jak zaczęli kopać, dostali trumny. „Weź bracie, powiada zając do lwa, i wyjmij go z trumny“. Jak go wyjęli z trumny, tak powiada zając: „Trząśnij nim“. Jak trząsnął, tak to żebro gruch na lwa. Król wicz jest żywy, a ten nieżywy. Tak dopiero wziął tygrys lwa, jak trząśnie nim — lew żywy, a tygrys nieżywy. Tak dopiero zaś wziął wilk tygrysa, jak trząśnie nim, tygrys żywy, a wilk nieżywy. „Leć teraz — powiada zając do lwa — jest przed masarzem taki gnat, przynieś go tu“. Lew poleciał i przyniósł ten gnat. Jak go przyniósł, położył go przy wilku. Teraz na zająca kolej. Ano wskoczył na ten gnat i łapką go ta ruchu. Jak trząśnie lepiej, buch to żebro w gnat i wilk żywy“. Uratowany król wicz oddaje siostrę zwierzętom, a te „porozrywały ją na odrobineczki, co nawet wiaterek takie kawałeczki potrafił porwać“.

W wariantcie wielickim smok, nie mając już nic do jedzenia, ma pożreć najstarszą córkę króla. Walki ze smokiem podejmuje się druciarz i prosi tylko królową, aby, gdy zasiabnie, podrzuciła mu placek. Ze zwycięstwa korzysta cygan, który wioził królową.

W ten sposób druciarz wybawia córkę średnią i najmłodszą, ucinając smokowi ostatnie głowy. W końcu przy pomocy uciętych języków prawda wychodzi na wierzch, góral żeni się z najmłodszą królową, cygan zaś ucieka i jak cyganem był, tak i „cyganem ze świata zejdzie“.

Odmiana andrychowska przypomina drugą kaszubską. Matka pijaczka występuje tu zamiast siostry i także synowi wyłupuje oczy. Ratuje go jelonek, wiodąc na daleką, cudowną łąkę. Kiedy tam jedną noc przebył i ptaszki zaczęły śpiewać, odzyskuje wzrok. Matkę za karę wpuszcza do kotła ze smołą. Po jakimś czasie sam umiera, a jelonek stoi nad jego grobem i z żalości zdycha. Leśne zwierzęta grzebią syna i jelonka w jednym grobie, a trupa matki wilki wyciągają ze smoły, rozszarpują i roznoszą po całym lesie.

W pierwszej odmianie górnośląskiej syn wyrusza w świat, obdarzony przez ojca strzelbą, która naraz dwunastu ludzi może zabić i koszulą dającą siłę. Rolę złej siostry spełnia dziewczka, porwana przez zbójców. Namawia go, aby się kąpał bez koszuli i w ten sposób wydaje go w ręce zbójcy, co uszedł z życiem. W walce ze smokiem tak się dzieje, że jeśli smok wciągnie powietrze do pyska, każdy kto jest w pobliżu wpaść tam musi. Ale myśliwcy chowa się za skałę i zmusza smoka do opuszczenia jamy, po czym zabija go przy pomocy zwierząt.

Treścią drugiego wariantu górnośląskiego jest walka ze smokiem. Bohater otrzymuje cudowny miecz od jakiejś starej kobiety. Wystarczy powiedzieć: „Miły miecz, wszystkie głowy precz!“, a zwycięstwo będzie niechybne. W trzeciej odmianie owczarek, który wyrusza w świat, otrzymuje od ojca, oprócz różnych nauk, psa wiernego, miecz i pudełko z cudowną maścią. Po zwyciężeniu smoka, królowa przyrzeka owczarkowi czekać na niego rok i sześć niedziel. Zabija go królewski sługa i wymusza na królowie milczenie. Wierny pies przywraca życie owczarkowi, który wyrusza na dalsze przygody ze smokiem i demonami. Wraca dopiero po roku i sześciu niedzielach, itd.

W czwartym wariantcie Henryk myśliwcy walczy ze smokiem przy pomocy lwa, niedźwiedzia i wilka. W tej walce wilk nie spisuje się, jak należy i za to dostaje „fackę“ od lwa. Zdrajcą jest lokaj, który wiezie królową do lasu i tam pod grozą śmierci każe jej przysiąc, że go zaślubi. Po rozplątaniu tych zawiązań i po ślubie Henryka z królową, nowożeńiec ginie z ręki najstarszego ministra. Zwierzęta przywracają mu życie potarciem cudownego zioła, a on wybawia je, ucinając głowy i przemieniając ich tym sposobem w królewiczów.

W odmianie łańcuckiej dwoje rodzeństwa: Ludwiś i Hania uciekają od rodziców, którzy chcą ich zjeść. Wędrują i zachodzą do małego domku, w którym Ludwiś znajduje strzelbę i rękawicę, na której napisane było, że kto się w nią ubierze, ten nie będzie widziany. Ludwiś zabija zbójców, tylko kucharz zbójceki odżywa. Po zwycięstwie przybywa do miasta, gdzie przy pomocy zwierząt przywraca życie chorej królowie. Potem wraca po siostrę, przywozi ją i wydaje za ministra.

W odmianie krakowskiej przez Karola Matyasa zapisanej występuje także matka i syn. Matka jest ślepa i chodzi z synem po prośbie. Kiedy raz usiedli w lesie, a matka się „zdrzymała“, zjawia się jaszczurka i każe synowi iść za sobą do strumyka. Tu znajduje czerwoną wstążkę, która niezwykłą moc daje, a kiedy potem matce wodą z tegoż strumienia przemył oczy, ona odzyskuje wzrok. Wędrują dalej i przychodzą do zamku, gdzie każą im iść do pana na drugie piętro. Jest tu bardzo długi korytarz i wiele drzwi. Na pierwszym napisano: same strzelby, na drugich: same rewolwery, na trzecich: same puginały, na czwartych: noże i brzytwy, na piątych: siekiery i tasaki, na szóstych: same pnie, na siódmych: same trupy, na ósmych: trupie główki. Pan zamku jest hersztem zbójcekim. Pozwala im zostać, a niedługo matka zaczyna z nim romansować; syn zaś chodzi na wyprawy ze zbójcami. Zabija zbójców podstępem, wabiąc ich w przygotowaną pułapkę. Za namową herszta, który oscałał, matka zdejmuje mu podczas snu czerwoną wstążkę. Potem oślepią ją i wywożą nad morze, na wysoką skałę. Wybawia go księżniczka, „żywymi kroplami“ wzrok przywraca, wychowuje i bierze za męża. Dopiero potem następuje zemsta. Zakrada się do zamku, zbója zabija, matce zaś każe płakać przez siedem lat do żelaznej wanny, polecając jakiemuś chłopu, żeby jej pilnował. Kiedy

matka zdołała się wydobyć i szła z wyostrzoną siekierą do synowej, każe ją nareszcie zabić.

W odmianie przeworskiej brat złą siostrę ukrzyżował i każe jej płakać do wanny.

Wariant radzyński zaczyna się od walki ze smokiem, a kończy pierwszą częścią naszej baśni. Zdrażczynią jest właśnie wybawiona królowna, którą potem razem ze zbójcą rozszarpują zwierzęta.

W pierwszej odmianie beskidzkiej syn wędruje z matką, zbójców zaś zwycięża przy pomocy cudownej trzcinki. Wysyłają go po wino do czterdziestu rozbójników i do smoka po jabłka. Przy tej ostatniej sposobności wybawia zakłęta królownę. Podczas kąpieli zabierają mu trzcinkę, potem oślepiają i zostawiają samego w lesie. Dzięki diamentom, które przy nim świeciły, znajdują go furmani i wiozą do kościoła, gdzie bierze z nim ślub wybawiona królowna. Wzrok odzyskuje dzięki dzbankowi, który leciał po wodzie, a gołąb nad nim wołał: „kto niema ocz, niech się umyje z tego dzbanka, a będzie je miał“. Potem odzyskuje trzcinkę, zbójcę oślepił, a matkę posiekał na drobne kawałeczki. Ta sama trzcinka pobija wojsko, walczące z wojskiem jego żony i zdobywa wielkie łaski.

W drugiej odmianie beskidzkiej król przysłał z polowania zająca i każe go sobie „przystroić“. Kiedy kot zjadł zająca, królowna, bojąc się męża, który ją zawsze bił, oderżnęła sobie ze strachu piersi i włożyła do garnka. Król tak zasmakował w ludzkim mięsie, że postanawia zjeść synka i córkę. Dzieci uciekają, pomaga im w tym dziadek, który chłopca także cudowną szablą obdarza. Przychodzą do zamku, którego pilnują dzikie zwierzęta, a panami jego jest pięciu wielkoludów. Wszystkich zabija, tylko jednemu życie darowuje. Siostra z wielkoludem wysłała go do drugiego zamku po jabłka, gdzie zabija dzikie zwierzęta, dziewięciu wielkoludów i wybawia królownę. Podstępem w kąpieli zyciężają go, oślepiają i na drodze zostawiają. Spotyka się z wybawioną królowną, ale ojciec jej nie chce mieć ślepego zięcia i wypędza oboje. Odzyskuje wzrok, skoro królowna zobaczyła, że ślepy zając wleciał do „przykupki“ i przewidział. Mści się na wielkoludzie, spoiwszy go przedtem baryłką wódki. Siostrę ukrzyżował i przybił na murze, po czym z żoną wrócili do króla.

W opowiadaniach beskidzkich pt. „Trzej bracia“ i „O felfebrze powiastka“ baśń nasza jest mocno związana z innymi motywami. Dość ciekawy jest szczegół następujący: Zwierzęta polecały szukać cudownej maści i napotkały gada: „Niedźwiedź spytał go się, co to niesie, a on odpowiedział: „Maść“. Niedźwiedź gada: „Dajże tyż troszkę“. Gad odpowiedział: „Idźcie se szukać tak, jak ja szukałem siedem років“. I nie chciał im dać, ino uciekał. Niedźwiedź przyskoczył i przystąpił mu kark, a gad odzławił pysk, lew przyskoczył i łap mu z pyska i uciekli oba, a gad uwiesił się u niedźwiedzia i szczypał go. Niedźwiedź gada: „Nie szczypaj mnie, bo jak cię złapę i urnę o drzewo, to się rozlecisz na 77 kawałków“. Ale gad nie przestał, ino szczypał. Niedźwiedź jak złapi, jak urnie o drzewo, to gad się rozleciał na 77 kawałków“. W obu odmianach smok stałe się „siankrem“ nazywa. Wszystkie ciekawsze szczegóły wyzyskałem.

W drugiej baśni beskidzkiej pt.: „O rybaku i jego trzech synach“, zapisanej przez prof. Kopernickiego, walka ze smokiem połączona jest z kilku innymi motywami.

CUDOWNY KOGUT

Kolb. XVII, 194 (Lubelskie), VIII, 74 (Krakowskie), Zwak II, 165 (Dobrzyńskie), Lud VIII, 182 (Z okolicy Jaćmierza).

W odmianie lubelskiej cudowny kubek dostarcza dziedzicowi szampańskiego wina, araku Jamajka i innych rzadkich trunków. W moim opracowaniu szczegóły te zarchaizowałem nieco na podstawie Kitowicza oraz kilku innych współczesnych pamiętników. W tej samej odmianie kogut wrzucony do pieca nie tylko gasi ogień, ale połyka również dym, który zacadza i dusi konie, skoro został wrzucony do stajni.

W odmianie krakowskiej występuje kogut i kurka, którym pan odbiera znalezione złote kółko. Pan oddaje wreszcie kogutowi to, co mu zabrał, za co pani dostaje połknięte pieniądze. Nastaje wówczas zgoda, podczas wielkiego balu kogut razem z państwem siedzi za stołem.

Odmiana zapisana przez Petrowa w okolicach Dobrzyńa jest, tak zwaną bajką łańcuskową. Dziad ma koguta, a baba kota. Kogut wędruje w świat, aby zdobyć dużo pieniędzy dla swojego pana. Po drodze zabiera do d... lisa, potem wilka, wiewiórkę i dużego szczura. Kiedy rozpoczyna walkę z królem, który każe go wrzucić do wolarni, wilk i lis duszą woły. W studni sam wodę wypija, w kasie zjada pieniądze, a wiewiórka i szczur pomagają wydobyc mu się z ciemnicy. Król zjada go, ale kiedy poszedł na wysiadkę, kogut łeb wystawił i pieje swoje. Przywołany lokaj zamiast koguciego łba przez omyłkę urznął królowi ojczyznę. Wróciwszy do domu sypie dziadkowi na płachtę dużo pieniędzy.

Baba wygania w świat kota i każe mu dokonać tego samego. Kot jednak sypie z d... zamiast pieniędzy dużo szczurów. Baba uciekła ze strachu do izby dziada, a że to byli małżonkowie, mieszkali razem i używali pieniędzy, które kogut przyniósł. Koguta bardzo kochali, a kota precz wygnali.

Odmiana zapisana przez Magierowskiego nie przynosi żadnych nowych szczegółów.

P Y C I N A

Kolb. III, 172 (Kujawy), Kozł. 342 (Mazowsze czerskie), Wisła VIII, 243 (Krakowskie), Wisła IX, 329 (Poznańskie), Chełch. II, 58 (Spod Przasnysza), Lud IX, 71 (Pow. sokalski).

Ta groteska ludowa w polskiej wersji, dzięki połączeniu kilku odmian, wypada bardzo konstruktywnie i znacznie przewyższa między innymi opowieść Grimmów, która spleciona jest niepotrzebnie z najrozmaitszymi innymi wątkami.

W każdej naszej odmianie „głupia baba“ inaczej się nazywa. U Kozłowskiego występuje pod imieniem Jakubowej, u Kolberga zwie się Maćkową. Chełchowski zapisuje ją jako Cechnową, w Poznańskim jest Marianna, a w powiecie sokalskim Tomkową. Odmiana krakowska kończy się powrotem do męża. Najbardziej trafnym wydało mi się zakończenie odmiany kieleckiej, które też do mojego opracowania wprowadziłem. Złączone teksty podane są dość ściśle z dołączeniem jedynie kilku wyrażeń przysłowiowych i podkreśleniem ponurego nastroju w kostnicy.

SAMOTKA — ZAWITKA

Zwak XVI, 90 (Puszcza sandomierska).

Według tekstu zapisanego przez Zwierzchowskiego.

KOZA ROGATA

Zwak II, 169 (Pow. dobrzyński), VIII, 306 (Łukowiec mazowiecki), XV, 26 (Spod Rabki), Chełch. I, 171 (Spod Przasnysza), Mae. IV, 271 (Spod Andrychowa), X, 304 (Pow. rzeszowski), Wisła IV, 77 (Mazowsze czerskie), XIII, 523 (Pow. wielicki), XIX, 61 (Lubelskie), Cisz. 307 (Krakowskie), Gryf 1910, 19 (Kaszuby).

Bajka ta niezmiernie w folklorze europejskim popularna, w polskich odmianach wykazuje bardzo niewielkie różnice. W niektórych wersjach zamiast kozy występuje kozioł, pasą ją czasami same kobiety, to znowu na przemian z mężczyznami. W epilogu zwierzęta występują również z niewielkimi różnicami.

U Ciszewskiego koza zapytana odpowiada :

„Mocny Boże!
Tłukłam ząbki na ugorze;
On spał, w karty grał,
A mnie palką sprzał“.

W odmianie zaś zapisanej przez Majewskiego jurny kozioł woła wyzywająco:

„Ja kozioł rogaty
Do połowy obdarty;
Tupu, tupu nogami,
Zabiję cię rogami!“

W odmianie andrychowskiej odpowiedź kozy brzmi jeszcze inaczej:

„Pasterz spał,
Kozicę kijem sprzał,
Kozica tam jadła,
Gdzie świnia pokładła“. *)

A w odmianie rzeszowskiej koza skarży się:

„Najadłam się, napiłam na suchym ugorze
Ledwie się pożywiła, mój mocny Boże“.

Koza spod Rabki przemawia prozą: „Nie pasłam się, bo mię uwiązała na kamyczkach, dała mi kamyczków polizać, a sama się goniła z parobeczkami“.

Znany ludoznawca Adam Fischer zestawiał w specjalnej rozprawce (Lud XVI, 347) niektóre odmiany polskie i obce tej bajki.

BABSKA ROBOTA

Mae. V, 100 (Śląsk Górny), VI, 326 (Pow. łańcucki), Chełch. II, 56 (Spod Przasnysza), Wisła XIX, 392 (Lubelskie).

Z drobnymi tylko zmianami powtórzyłem odmianę górnośląską. Dwie następne odmiany opowiedziane są z groteskową przesadą. W łańcuckiej śmietaną zjadają świnie, a z beczi wylewa się piwo. Krowy nieporadny gospodarz pa-

*) Zrobiła nieporządek.

się przy pomocy sznura przewleczonego przez komin i uwiązanego do nogi. W czasie gotowania obiadu krowa wpada do „wondołu“. Wskutek tego gospodarz zawisł w kominie ponad ogniskiem. Porządek przywraca dopiero sierp żony wracającej z pola.

W odmianie zapisanej przez Chełchowskiego chłop ma zemleć mąkę, przyczynić chleba, pilnować kury z kurczakami i zrobić masło. Naturalnie wszystko mu się nie udaje, doprowadzony do rozpacz przez muchy wyciskał za onymi całe ciasto. Wreszcie nie mogąc sobie dać rady osmarował się smołą, wskutek czego żona wzięła go za diabła. W chałupie śmietana wylana, kurczaki pozabijane, chleb z dzieży porozchlapywany, o obiedzie ani słycho.

— Ja już nigdy — kaja się gospodarz — nie będę zostawał w chałupie i teraz będę tobie, żono, wierzył, że i w chałupie jest robota.

DZWONY ZATOPIONE

Kolb. V, 15, Lud V, 220, Wisła VII, 100, Mae. VII, 138 (Krakowskie), Lud V, 358 (Podkarpacie), VII, 255 (Spod Dukli), Kolb. XV, 53 (Poznańskie), Kolb. XV, 53 (Poznańskie), Kolb. XVII, 81, Wisła IV, 111 (Lubelskie), Kolb. XX, 252, XXI, 142 (Radomskie), XXIII, 24 (Kaliskie), Nadm. 41, 44, Lor. 7, 20, 25, 95, 186, 416 (Kaszuby), Łęga 162 i 163 (Ziemia malborska).

Legend i podań o zatopionych dzwonach zostało napisanych bardzo wiele. W moim zestawieniu mogłem uwzględnić tylko niektóre, w samym opowiadaniu zaś starałem się połączyć teksty najbardziej zasadnicze w jedną, wiążącą się całość.

Według Matyasa (Wisła VII, 100) w opisywanych przez niego okolicach krakowskich istniało niegdyś duże i bogate miasto, nazwiskiem Cymborya, które zapadło się w ziemię na skutek zaklęcia nieuczciwej przekupki. W innym miejscu jest trzęsawisko. Zawsze w dzień Wniebowstąpienia Pańskiego słychać tam pod ziemią śpiewy procesji i głuche dźwięki dzwonów.

Gustawicz w „Ludzie poddukłańskim“ opowiada, że w Cergowskiej Górze, na błoniach Targowisk (pow. krośnieński) zapadł się przed laty kościół. Mówią, że pastuchy zapuścili się w głąb Cergowy i wynieśli sobie pełne czapki diabelskich pieniędzy. Na błoniach targowiskich pastuch świń znalazł dzwon z zapadłego kościoła. Dzwon ten dotąd tak dzwoni:

„Bęborają, bęborają,
Świnie mie wyryły,
A pastuch mnie znalazł
Do kościoła zanios“.

Podanie według tekstu Udzieli (Lud V) wzbogaciłem szczegółami zaczerpniętymi z legendy pt. „Myśliwy pan“, którą przytoczył w swoim zbiorze Siemieński („Ze wspomnień wielkopolskich“). Materiał podany przez Udzielę jest bardzo obfity i dotyczy zapadłych miast, kościołów, dzwonów i karczm.

Według Kolberga w ziemi kaliskiej w pobliżu Praszki jest trzęsawisko duże i głębokie, gdzie wedle podania miało niegdyś stać zapadłe później miasto Mszela. W tym miejscu słyszy lud niekiedy wydobywający się odgłos dzwonów i raz „jedna dziewczyna dobra i pobożna, gdy się nachyliła, słuchając ich dźwięku, uczuła, że dzwony te przyczepiły się do jej warkoczy i wyciągnęła je, więc wydobyła z tego zaklęcia, wybawiła“.

W tekstach pomorskich Lorentza dzwon nieochrzczony wpadł do rzeki. W okolicach Babiego Dołu dzwony, które miały być przeniesione do nowego kościoła, utonęły w rzece i do dzisiejszego dnia każdej niedzieli dzwonią, gdy zbliża się czas na nabożeństwo. Kto dźwięki te słyszy, umrze jeszcze w tym samym tygodniu. Koło Mierzyna dzwony uciekły ze spalonego kościoła i utonęły w jeziorze. Na Helu dzwony uciekły do morza, skoro je przeniesiono do luterskiego kościoła.

We wsi Krynicach w Lubelskiem wieś, w której mieszkali źli ludzie, zapadła się i na tym miejscu powstało jezioro. Był w tej wsi kościół i teraz bardzo często widać obrazy święte pływające po wodzie, słysząc dzwony, a gdy one zadzwonią, to jezioro zaraz marszczy się, zapieni, fala taka podniesie się, że na żadnej łódce przepłynąć nie można, a wtedy zaraz następuje burza. Raz baba prała bieliznę i zobaczyła jakieś szare nici we wodzie, poruszyła nimi i oto zadzwoniły dzwony, a baba zaraz umarła.

PIES STARY I WILK

Cisz. 314, 315 (Krakowskie), Chełch. II 38 (Spod Przasnysza), Lud VII, 45 (Spod Dukli), Wisła XII, 742 (Pow. przeworski), XIX, 411 (Lubelskie), Zwak V, 259 (Beskidy). Zwak V, 177, Iwonicz).

Poszczególne odmiany mało się różnią między sobą. Niektóre obejmują tylko fragmenty tej bajki, inne przechodzą w wojnę zwierząt. Przeważnie wyzyskałem najpełniejsze teksty: podduklański i bekidzki.

PROŚCIE, A BĘDZIE WAM DANE

Gryf 1909, 73 (Kaszuby), Kolb. III, 187 (Kujawy), Pleszcz, 145 (Spod Międzyrzecza).

Przed wszystkim wyzyskałem odmianę kaszubską. Odmiana kujawska nosi tytuł: „Żyd, co się z hrabianką ożenił“. Żyd handlujący po jarmarkach elementarzami, kantyczkami, kalendarzami i „ienszemi książkami“ słyszy przypadkiem podczas kazania następujące słowa: „Kończcie to będzie wam otworzono, szukajcie a znajdziecie, proście a będzie wam dano“. Pragnąc sprawdzić to, co usłyszał, dostaje się do pałacu hrabiowskiego i domaga się hrabianki za żonę. Hrabia śmiejąc się nie odmawia pod warunkiem, że żydek stanie się tak jak on bogaty. W poszukiwaniach żyd trafia do pustelnika, który uwięził czartha pod dzwonkiem. Wypuszcza go za wskazanie skarbu w lesie i fortelera z powrotem pod dzwonkiem umieszcza. Kiedy przyniósł hrabiemu olbrzymi majątek nie podobna mu córki odmówić. Daje się tedy ochrzcić i bierze hrabiankę za żonę.

Odmiana zapisana przez Pleszczyńskiego, niemal identyczna z poprzednią, kończy się słowami żyda: „Nu, widzita, casem i Ewanielii postuchać to dobry interes“.

DZIAD I BABA

Wisła XIII, 385 (Sandomierskie).

Motyw tej baśni jest niezmiernie rozpowszechniony. Najczęściej jako rozdawczyni łask występuje ryba, która schwytana w sieć odwzajemnia się za

uwolnienie jej pierwszym darem szczęścia. Z namowy chciwej baby mąż eksploatuje jej cudowną władzę aż do katastrofy nadmiernym pożądaniem.

W polskich materiałach ludowych jest bardzo wiele podobnych odmian. U samego Lorentza znalazłem ich siedem. Nie podaję ich jednak z tego względu, że w moim opracowaniu oparłem się wyłącznie na bardzo oryginalnej odmianie zapisanej przez Mariana Kucza w Bilczy.

O PANU, CO WSZYSTKO STRACIŁ

Gryf 1910, 22.

Przytoczyłem niemal dosłownie, odmian żadnych nie znalazłem, natomiast sama piosenka pojawia się tu i ówdzie.

MRÓZ, SŁOŃCE I WIATR

Lor., 228 (Kaszuby), Kolb. XIX, 219 (Kieleckie).

Oba teksty powtórzyłem z niewielkimi zmianami.

PAJĄK I MUCHA

Cisz. 299, Kolb. VII, 115 (Krakowskie), Lor. 598 (Kaszuby).

Opracowałem głównie na podstawie tekstu zapisanego przez Ciszewskiego. U Kolberga żołnierz, który zabił niechcący kamrata, ukrywa się w lesie. Mucha użarła go w ucho i ostrzegła, że pogoń nadchodzi, a pająk zasnuł dziurę w spróchniałym drzewie, gdzie się ukrył. Doszedł tedy do przekonania, że wszystkie stworzenia dane są od Pana Jezusa i każde ma jakiś użytek. U Lorentza król pobity ocalał dlatego, że pająk zasnuł pajęczyną wejście do kaplicy, gdzie się schronił. Odmiana kaszubska pozbawiona jest tendencji moralnej.

ORKA URZĘDOWA

Cen. Za., 78 (Kaszuby).

Niemal dosłownie według tekstu podanego przez Cenowę, przytoczonego również w „Tekstach pomorskich“ Lorentza.

TANECZNICE

Wisła VIII, 435 (Stary Sącz), Lud VIII, 191, Kolb. VIII, 141 (Krakowskie), Lud IX, 179 (Ze Sławkowa), Święt. 352 (Znad Raby), Mae. IV, 30 (Księstwo cieszyńskie), Gryf 1912, 290, Lor. 775 (Kaszuby).

Początek tej klechdy wziąłem z odmiany kaszubskiej, zapisanej identycznie w Gryfie i u Lorentza. W dalszym ciągu tej odmiany „prynessa“ wstaje o północy z łóżka, ubiera się w piękną suknię, wyciąga lalkę i uderza ją trzy razy różgą, wskutek czego lalka zamienia się na żywego „prynca“. Idą oni razem gankiem podziemnym do kościoła, w którym tańczą aż do rana. Pryncesa drze buty, a z nóg jej leje się krew i wówczas mówi: „Mam już dość“. Wracają do domu i wskutek trzykrotnego uderzenia różgi prync zamienia się w lalkę. Głupi Maciek, który to wszystko dzięki cudownej koszuli podpatrzył, wyjawia tajemnicę królowi. Okazuje się, że para tańcząca odbywa w ten sposób pokutę za to, że przed laty tańczyli w kościele. Maciek dostaje w nagrodę piękne gospodarstwo, a prync żeni się z, pryncesą.

W odmianie Udzieli ze Starego Sącza zaczyna się od służby żołnierza Kuby w piekle. Pozyskawszy przychylność jednego z diabłów Kuba wie, że należy prosić Lucypera, aby otrzymać od niego za wysługę stary płaszcz i starą torbę. Są to dary cudowne. Płaszcz jest taki, że jak się nim owinać, to ludzkie oko nie zobaczy, a jak go rozłożyć nad ramionami, niby skrzydła, to się leci powietrzem szybciej od ptaka. Do torby włożyć można co się chce, a ona nie powiększy się ani nie zaciąży. Podczas lotu za pannami Kuba trafia na las srebrny i złoty, z których ułamuje gałązki. W czasie tańców Kuba chowa do torby sześćdziesiąt par trzewików podartych od każdej panny, a w czasie uczyty z załotnikami zabiera jeszcze trzy łyżki nowe i widelce. Jak się potem okazuje, na przyborach do jedzenia wypisane są imiona królewien.

Bohaterem odmiany krakowskiej, zapisanej w okolicach Krzeszowic przez Stefana Zaleskiego, jest młody hrabia, który wyrusza w świat, aby poznać co to jest bieda. Najpierw spotyka umarłego, który leży koło kościoła i piecze się na słońcu. Jest to kara za niezapłacone długi. Hrabia pokrywa należność i umarłego zaraz chowają. Podczas dalszych przygód popada w biedę i wreszcie spotyka staruszkę, który radzi mu, aby zajął się wybawieniem zaczarowanych córek królewskich, co znikają wśród nocy i zabierają ze sobą masę podartych trzewików. Od tegoż staruszka otrzymuje cudowne trzewiki i płaszcz. W zaczarowanym ogrodzie rosną złote jabłka i śliwki. Kiedy hrabia wyjawia prawdę królowi, jedna z córek kamienieje po kolana, druga po pas, a trzecia całkowicie. W dalszym ciągu klechda przechodzi w motyw „Królowny-stracha“. Hrabia wybawia trzy siostry pokutujące w kościele i wreszcie żeni się z najmłodszą.

Podobne połączenie dwóch motywów znajdujemy również w drugiej odmianie krakowskiej, zapisanej przez Kolberga. Córka tanecznicza potrzebuje na każdą noc 12 par złotych trzewików. Żołnierz przywołany na wartę zostaje przez nią otruty. Drugi jest sprytniejszy, wylewa truciznę koło siebie, pada na ziemię i udaje nieżywego. O północy przyjeżdża po nią „jakiś“ w złotym powozie. Żołnierz umieszcza się niespostrzeżenie z tyłu powozu. „W drodze zachciało się tej pannie pić. Ten pan uderzył laską o ziemię, wytrysło źródło i złoty kubeczek wyleciał ze źródła. Więc ona napiła się wody i rzucili napowrót ten kubek. A chłopak zeskoczył i wziął go z sobą. Jechali dalej, a tam znowu rosły złote kłosa. Tak ona zerwała jeden, a chłopak zerwał drugi. Zajechali przed ogromny zamek i tam wysiedli; zesiadł i chłopak także. I weszli do jakiejś sali ogromnej a posadzka cała gwoździami była wybita. Więc ona tańczyła tam przez całą noc i zdarła wszystkie te trzewiki. I przyjechali znów do domu i chłopak z nimi“. Kiedy przed królem prawda wykryła się, królowna zaraz na ziemię padła i umarła. Pochowana w kościele zjada żołnierzy, aż wybawia ją ten sam chłopak, który się z nią później ożenił.

Bohaterem odmiany sławkowskiej jest podróżny, który wyludził od dwóch braci cudowne pióro. Pióro to jest mu potrzebne podczas śledzenia tańczącej królowny. Podróż napowietrzną królowna kilkakrotnie przerywa. Raz, aby wypić kawę, w czym ją uprzedza podróżny, to znowu dla przepłynięcia rzeki. Podróżny udaje zbłąkanego i zostaje przewieziony. Kiedy potem zjawia się karetą, podróżny psuje ją, aby królowna musiała iść pieszo na wysoką górę, gdzie wznosi się wspaniały zamek. Zdemaskowana przed ojcem, pokutuje w kościele i zostaje przez tegoż podróżnego wybawiona.

W odmianie nadrabskiej królewska córka zdiera codziennie trzysta bucików. Przez dwie noce dwóch chłopów pilnuje jej bez skutku, wreszcie bierze się do roboty niejaki Józiek. Królowna z innymi pannami rusza w drogę, a Józiek za nimi, po drodze zrywa srebrne i złote liście oraz gałązkę z perłami. Kiedy wyjawia prawdę żąda tylko, aby królowna nigdy tam nie chodziła. Skoro udało mu się to przeprowadzić, dostaje królownę za żonę.

W odmianie cieszyńskiej żona jednego pana zdiera codziennie piętnaście par butów. Stary żołnierz wyszedł, że jeździ ona kolasą do piekła, gdzie tańczy przy muzyce. Kiedy wszystko wydało się, wzięli ją między siebie księża i nie dopuścili diabłów po nią przyjeżdżających. Pani umiera, pokutuje w kościele, a kiedy została wybawiona, była już panią jak się patrzy.

Klechę o tanecznicy znajdujemy również u ks. Sadoka Barączca. Poza przytoczonymi wyżej fragmentami nie wnosi ona nic szczególnie odmiennego.

Zakończenie klechdy wzięłem niemal dosłownie z baśni zapisanej przez Helenę Sosnowską w powiecie wrocławskim.

BYSTROWIDZ

Lud II, 43 (Myślenice).

Niemal dosłownie według tekstu podanego przez Pobratymca.

MATKA ŚW. PIOTRA

Kalendarz Lubelski 1894, Kolb. XVII, 207 (Lubelskie), Kolb. XV, 172 (Poznańskie), Chelch. II, 92 (Spod Przasnysza), Mac. IV, 192 (Pow. wiślicki), XIV, 48 (Spod Kleparza), Lud I, 176, VII, 49 (Spod Dukli), IX, 69 (Pow. sokalski), Nitsch, 111 (Pow. tarnobrzeski), Lor. 137 (Kaszuby).

Najpełniejszą odmianę zapisał Rafał Lubicz w Kalendarzu lubelskim. Wspomina on jeszcze o innych. W odmianie rzeszowskiej matka św. Piotra kołacz sama do nieba, aby ją syn wpuścił, czego on, rozumie się, uczynić nie może. W legendzie ze Stajnego opowiadają, że inne dusze, które uczepiły się szczypiórka, wyszły z piekła i zostały wybawione, bo nie grzeszyły tak, jak matka Piotrowa.

W odmianie lubelskiej św. Piotr przypomina sobie, że matka raz jednego dała dziadkowi łupin z cebuli, którymi tenże pofarbował pisanki. Św. Piotr spuszcza do piekła nitkę.

Według odmiany poznańskiej biedak dostał trzy szczypiórki od cebuli; podczas wyciągania matki św. Piotra z piekła trzy szczypiórki urywają się po kolei.

Odmiana przasnyska i wielicka nie przynoszą żadnych odmiennych szczegółów, natomiast w odmianie spod Kleparza święci szukają w księgach niebieskich, „co ona dobrego zrobiła i znaleźli o tym bączku cebuli zapisane“.

W rozprawie Kolbuszewskiego pt.: „Gwiazdy i grzyby w podaniach ludu“ znajdujemy, że przzerwana część sznura wisi na niebie jeszcze i widać go z guzami świecącymi niby gwiazdy. Szczegół ten należy prawdopodobnie do folkloru ukraińskiego.

Według odmiany podduklańskiej matka św. Piotra dała raz ubogiemu przedziwo i na tym właśnie przedziwie usiłuje ją syn wyciągnąć z piekła.

Odmiana sokalska kończy się słowami Pana Jezusa: „Widzisz Piotrze, jaka twoja matka była za życia, taka i po śmierci“.

Odmiana tarnobrzeska, zapisana przez dr Stanisława Bąka, opowiada, że po nieudanym wydobyciu matki Pan Jezus dał taką łaskę, że na „świętego Piotra i Pawła idzie w piekle deszcz“. Pada też i na ziemi, jak nie u nas, to u ludzi a zawsze go trochę jest.

Legendę tę znam również z ustnej relacji Józefa Jedlicza, któremu za-wdzięczęm porównanie piekła do głębokiej studni, oraz szczegół, że im mniej duszyczek na sznurze tym cięższy się on staje.

DIABELSKIE ZALOTY

Kolb. XIV, 154 (Poznańskie), Kolb. VIII, 158, 159 (Krakowskie), Mae. IV, 252 (Spod Andrychowa).

W polskich materiałach ludoznawczych wątki miłosne o diable są dość skapo uwzględnione, jakby wstydliwie. Odnajduje się je tedy z trudem, chociaż w rzeczywistości musiały się przedstawiać bardziej obficie.

Pokrewną baśń opowiedziałem poprzednio pt.: „Diabli-tanecznicy“, gdzie Strale występują w różnokolorowych portkach.

Tutaj połączyłem w jedną całość cztery baśni. Wyzyskałem, nieraz do-słownie, szczegóły, które znalazłem w zebranych przez Kolberga wierzeniach, oraz piosenkach kujawskich i krakowskich.

CYGAN

Mae. IV, 194 (Pow. wielicki).

Powtórzyłem z małymi zmianami według tekstu zapisanego przez Stanisła-wa Cerche.

SIEDEM GRZECHÓW

Kolb. VIII, 129 (Krakowskie).

Opracowałem na podstawie jedyne-go tekstu Kolberga z małym dodatkiem szczegółów demonologicznych. Tekst zapisany przez Kolberga wydaje się być unikatem. Żadnych innych odmian nie znalazłem.

BOCIAN

Wisła XI, 273 (Wołyń), XIV, 61 (Białostockie), Pleszcz. 155 (Spod Między-rzecz), Lud XIV, 173 (Spod Jasła), Gryf 1910, 247, Lor. 603 (Kaszuby).

Dwie odmiany małopolskie pominąłem. Głównie oparłem się na odmianie przytoczonej przez Matusiaka w jego rozprawce „Święty i przeklęty“. W opo-wiadaniu szlachezca Papciowego z Wołynia zamianą człowieka w bociana jest epilog walki Pana Boga z nieczystym duchem. Chłop nazywa się Jan i kiedy wraca po rozwiązaniu worka Pan mówi do niego: „Poznałem się: tyś boć Jan“.

W odmianie kaszubskiej diabeł naśladować Pana Boga stwarza różne poczwary, które człowiek imieniem Bocian ma utopić.

KOŻUCH I WATA

Wisła XIX, 220.

Tekst zapisany przez Jadwigę z Rymszewiczów Petrową „z ust drobnej szlachty w gub. Kowieńskiej“.

UCZEŃ CZARNOKSIĘŻNIKA

Kolb. III, 136 (Kujawy), XIV, 44 (Poznańskie), Cisz. 73 (Krakowskie), Zwak V, 254 (Beskidy), XI, 107 (Spod Olkusza), Wisła XII 727, 728 (Spod Przeworska), Mae. V, 21 (Górny Śląsk), Gryf 1910, 125, Lor 200, 245, 280, 300, 543 (Kaszuby).

Baśń tę opowiedziałem dość swobodnie, zasadniczą konstrukcję oparłem na kujawskiej odmianie Kolberga. Bohaterem jest tutaj świniopas, który oświadcza matce, że postanowił terminować u czarnoksiężnika. Kiedy doń oboje przyszli, czarownik przyjmuje go na rok i żąda od matki osiem dukatów, o ile go nie pozna. W czasie zmagania z czarownikiem chłopiec ucieka jako koń, a majster goni za nim w postaci wilka. Potem koń zamienia się w lisa, a wreszcie w pierścionek. Ziarnko grochu zjada kapłon, którego dusi jastrząb. Czarownik widząc, że młody jest mądrzejszy od niego, oddaje mu dobrowolnie córkę za żonę.

Odmiana poznańska jest bardzo skomplikowana i spleciona z innymi motywami. Uczeń ma polecenie poza okurzaniem książek karmić także zaklętego ptaka i konia, które otrzymuje potem jako zasługę. Po różnych przygodach, nie mających nic wspólnego z motywem zasadniczym, młodzieniec w postaci kuny pokonuje ostatecznie czarnoksiężnika i żeni się z królewną.

W odmianie Ciszewskiego uczeń wybawia również zaklętego konia i psa. Podczas walki z czarnoksiężnikiem chłopiec zamienia się w mysz, a tamten w kota, następna przemiana: gołąb — jastrząb. Wreszcie uczeń w postaci kanarka znajduje schronienie w klatce u pięknej panny, po czym następuje zwykły epilog.

Odmiana beskidzka jest fragmentaryczna i poza tym przypomina tekst Ciszewskiego. Odmienne jest tylko zakończenie. Kiedy czarnoksiężnik został pokonany, chłopiec stał się znowu ptaszkiem. Pan postanowił spalić go razem z córką, ale chłopiec stał się robaczkiem, uciekł dziurką, potem przemienił się w orła, porwał pannę i uciekł z nią.

W odmianie olkuskiej wystarczy przeczytać czarnoksiężną książeczkę, aby stać się czym się chce być. Byk i ogier są tak strasznymi potworami, że na jarmark musi ich prowadzić aż czterech ludzi. Uzdeczkę wraz z koniem czarnoksiężnik otrzymuje na podstawie wyroku sądowego, bo ktoś to widział konia bez uzdy. Czarnoksiężnik postanawia przybić ogierowi cztery podkowy na czerwono. Wybawia go służąca, do której koń przemawia ludzkim głosem. W dalszym ciągu zająca goni lis, gołębia jastrząb, wreszcie sygnet dostaje się w ręce królewny. Czarnoksiężnik sprawia, że królewna zachorowała i za wyzdrowienie jej żąda pierścienia. Chłopiec jako lis pożera czarnoksiężnika jako indyka. Wówczas król podejrzewa chłopca, że jest diabłem, ten zaś stwierdza, że jest Polakiem rodowitym i pokazuje szkaplerz królowi, który oddaje mu za żonę najmłodszą córkę, co podniosła sygnet.

W odmianie przeworskiej czarnoksiężnik kupuje od razu chłopca w postaci świni, a kiedy ona ulatnia się z chlewu, zrozumiał, że ma do czynienia z dawnym swoim uczniem. Koń zmienia się w gołębia, czarnoksiężnik w jastrzębia, po czym wilk goni lisa, wreszcie przed gołębiem ucieka skowronek, który przemienia się w pierścień na rękę hrabianki. Podczas ostatniej rozprawy czarnoksiężnik jako indyk zżera jagły. Jedno ziarnko wpada do trzewika panny i chłopiec zostaje ocalony.

W odmianie górnośląskiej interesów czarnoksiężnika pilnuje kocur, którego chłopiec zabija. Matka za pierwszym razem nie odgaduje, który z kruków jest jej synem. Zabiera go dopiero wówczas, kiedy syn każe jej wskazać na tego kruka, który będzie płakał krwawymi łzami. Chłopiec przewraca kozła i zamienia się w co chce. Gołębia prześladowuje krogulec, po czym chłopiec chroni się do stawu jako ryba, następnie obaj wracają do pierwotnych postaci. Wreszcie uczeń jako ziarnko prosa chroni się u młodej pani na piersiach. Niech twoja hańba kosztuje, co chce, powiada wówczas czarnoksiężnik, a musisz zdjąć przy nim staniczek. Na końcu krogulec pożera gołębia, który chce połknąć ziarnko prosa.

Odmiany kaszubskie nie zawierają wiele nowego. Ojciec sprzedaje syna najpierw jako psa. W czasie zawodów chłopiec jest również jaskółką. W drugiej odmianie Lorentza chłopiec na życzenie swoje zostaje przeniesiony do domu przez chmurę. W piątym tekście pomorskim chłopiec zabiera ze sobą czarodziejski pierścień; w epilogu uczeń przemienia się w ziarnko owsa.

ROZTERKA MIĘDZY MIESIĄCAMI

Zwak VII, 77 (Beskidy), Kolb. XIX, 196 (Kieleckie), Wisła XIV, 498 (Krakowskie).

Głównie wyzyskałem kielecką odmianę Kolberga. W odmianie tej musiałem pominąć taki ciekawy szczegół, wedle którego „tylko Marzec z Kwietniem dobrze żyją, bo jak Marzec chciał chłopca umrozić, a brakło mu swoich dni, to Kwiecień mu pożyczył dnia jednego“. W odmianie beskidzkiej Marzec zakłada się z Kwietniem, że Kwiecień Marca nie przejedzie. Zakład rozgrywa się w przeciągu trzech lat. Wreszcie Kwiecień wygrywa i Marzec musi mu zapłacić dużo pieniędzy. W odmianie krakowskiej miesiące jadą nieproszone do Marca, który zawsze przechwalał się bogactwami, ale nigdy nikogo nie prosił. Dojeżdżają do niego po przewyciężeniu tych samych trudności. Znajdują go biednym, ale on powiada im: „Jednak ja z was najbogatszy, bo do was samiami albo wozem dojedzie, a do mnie trzeba wszystkim jechać“.

U PANA JEZUSA W GOŚCINIE

Kolb. III 149 (Kujawy), VIII, 99 (Krakowskie), Chelch. II, 47 (Spod Przasnysza), Wisła IV, 340 (Od Myślenic), Mac. IV, 246 (Od Andrychowa), Zwak V, 218 (Beskidy), Lor. 293 (Kaszuby).

W odmianie kujawskiej chłop idąc drogą spotyka człowieka zbiedzonego, pokutującego (z tamtego świata). Zaprasza go na obiad i kiedy idą razem, pokutujący przemienia się w coraz porządniejszego i weselszego człowieka. Chłop każe żonie przygotować obiad, bo przyprowadził swego brata. Podczas podróży

do nieba widzi między innymi kobiety, które siedzą w płocie i krzyczą na cały głos, żeby je ratować. Potem spotyka jeszcze kobietę uwięzłą w okropnym błocie, a dalej staruszkę, która rwała kwiatki i śpiewała. Dopiero ta ostatnia doprowadziła go do nieba, gdzie spotkał się z pustelnikiem. Od niego dopiero dowiedział się, że dwie kobiety w płocie znaczyły, iż którzy wyłamują na tym świecie z cudzego płota drzewo, to na tamym świecie muszą ciągle w płocie tkwić. Kobieta w błocie uwięzła nie pozwalała, aby z jej studni wodę brali, a wreszcie staruszka śpiewająca z kwiatkami, to jest Matka Boska i opiekunka ludzi.

W odmianie krakowskiej pan wyjeżdża do raju bryczką, zaprzęoną w parę siwych koni. Po uczcie pan wraca tym samym zaprzęgiem, powożonym przez anioła, na ziemię. W drodze krzyżowej, co nawracała przez czyściec do piekła, spotkał żonę własną męczoną przez diabłów. Kiedy się o tym dowiedział, boleścią przejęty umarł na ręku anioła i już z nim przeniósł się na wieczne mieszkanie do raju.

W tekście zapisanym przez Chełchowskiego pan modli się pod figurą, żeby Pan Jezus przyszedł do niego na obiad. I Pan Jezus przysłał kartkę przez anioła, że przyjdzie tego a tego dnia. Wprawdzie anioł przykazywał, aby obiad był dobry, ale kiedy pan sprowadził najlepsze mięso z całej gubernii, Pan Jezus nie stawił się i dał znać przez anioła, że obiad był za bogaty. Wystarczy kapusta i kartofle. Koń który potem po pana przyjeżdża to sam św. Piotr. Podczas jazdy chłop widział takie dwie dziewczyny, które miały dwa jabłka i rzucały nimi do siebie, a żadna nigdy nie miała obydwóch. Dalej znowuż chłop niósł kawał żelaza i wołał: „Ciężko mi“. Później okazało się, że dwie dziewczyny za życia wadziły się o jednego chłopaka, poczem obie umarły. Chłop uginający się pod ciężarem żelaza, to zły brat, który biednemu bratu ukradł w nocy kawał drewna.

Roman Zawiliński w rozprawie: „Mit o Tantalu i Syzyfie w powieściach ludu od Myślenic i Lidy“ przytacza dwie odmiany. Pierwsza, mocno spleciona z innymi motywami, opowiada między innymi o chłopach, którzy toczą pod górę wielkie drzewo, a co wytoczą, to spada nazad. W drugiej bajce pt.: „Tamten świat“ młody a dobry dziedzic udaje się na daleką wędrowkę; na puszczy jakiejś znajduje przytułek u pustelnika, który potem skłania go do pasania osła i taką mu daje naukę. „Gdzie cię osieł poniesie, nie sprzeciwiaj mu się; tam z niego zeskoczysz, gdzie się sam zatrzyma“. Pierwszego dnia paść się na zroszonej łące, na której wznosił się pałac przepyszny, a w nim słycać było muzykę i widać bawiących się. Na drugi dzień osieł dalej poniósł jeźdźca swojego; trzeba było przebyć ogromną, krwawą rzekę, a potem dostali się pod górę wysoką. „Na tę górę wchodzi biedna baba żebraczka, obwieszona torbami i jak tylko do szczytu dojdzie, to spada na dół i tak bez końca“. Przy drugiej górze tak się gryzą dwa wieprze, że aż z ich krwi kałuża stoi. Dalej przybyli nad cudownie pachnącą łączką, na której stała kapliczka, a z niej wylatywało mnóstwo śnieżnobiałych gołąbków. Po powrocie do pustelnika wędrowiec otrzymał wyjaśnienie tego, co widział. Nie ten, ale tamten był to świat. Pałac z muzyką to piekło, krwawa rzeka to łyzy sierot i niewinnie gnębionych, baba zsuwa się wiecznie z góry za to, że choć brała jałmużnę, za nikogo paciorka nie zmówiła, wieprze gryzące się to dwaj bracia, którzy za życia bili się przy podziale ojcowizny, wreszcie łączka i kaplica to raj, a gołąbki to dusze ludzi sprawiedliwych.

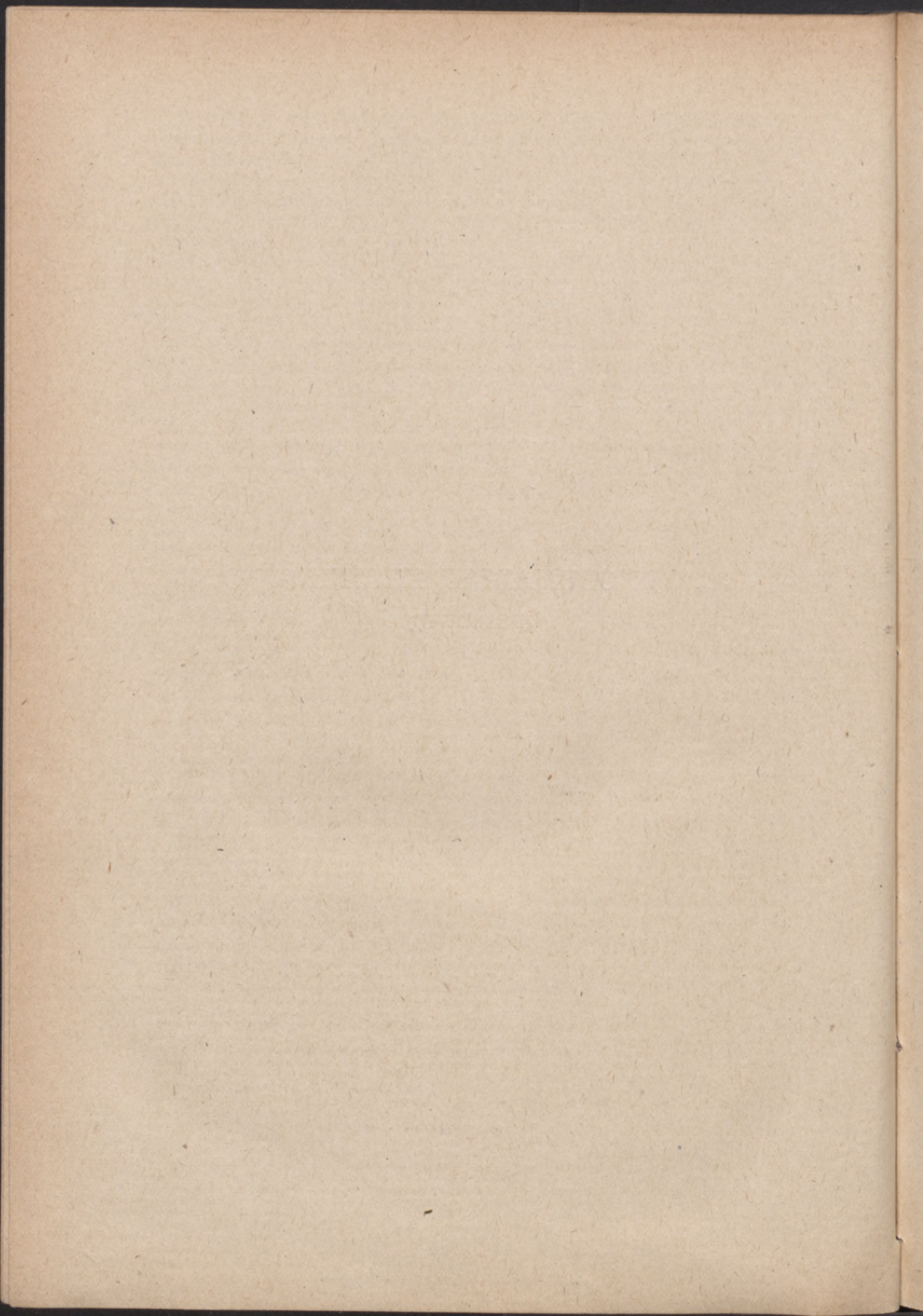
W odmianie andrychowskiej chłop skąpy nie dostaje od księdza rozgrzeżenia, dopóki nie będzie obiadował z człowiekiem, który po ubóstwie chodzi. Siwy dziadek trafia mu się dopiero na trzeci dzień i również na trzeci dzień po obiedzie chłop wyjeżdża na tamten świat. Między innymi ogląda na brzegu rzeki dwie baby, które nieustannie biły się kijankami. Były to dwie kumy, które za życia wadziły się o bydło. Jadąc dalej widzi ogród, a w nim jabłonkę, pod którą stoi jakaś biała pani i objada z niej liście, kwiaty i owoce. Była to śmierć, która zbiera dzieci, młodych i starych. Kiedy wraca na ziemię dostaje karteczkę, na której opisana jest jego droga, aby jak ludzie to przeczytają, poprawili się. Wreszcie okazuje się, że na tamtym świecie podejmował go św. Piotr. Po powrocie na ziemię tam, gdzie niegdyś było jego gospodarstwo, stał spróchniały dąb, który właśnie ścinał jakiś człowiek. Kiedy chłop się zaczął temu sprzeciwiać, popchnięto go, a on rozsypał się w proch i siwiuteńkim gołąbkim uleciał do nieba. Kartka, którą przywiózł z tamtego świata, dostała się w ręce księdza na ziemi. Ksiądz to miejsce poświęcił, proch zagrzebał do ziemi, z dębu ucosano i postawiono krzyż.

Odmiana beskidzka przetwarza dwa motywy. Parobek pragnie zaprosić ubogiego na obiad wigilijny. Skoro go nie znajduje, zaprasza trupią głowę, którą znalazł koło kościoła trąca przecikiem. Ta głowa, która jest długim ludzkim, nie tylko, ku przerażeniu obecnych, usiada przy stole, ale zaprasza do siebie parobka, który wstaje na drugi dzień wczesno i udaje się do spowiedzi. Potem razem z księdzem idą do chaty i czekają co z tego wszystkiego wyniknie. Zjawia się trupia głowa i wzywa do siebie parobka, skoro tylko pół godziny brakuje do południa. Kiedy ksiądz chce iść z nimi razem, dług ogląda się i mówi: „Ty popie się wróc i patrz z czego żyjesz, a ty mój kochany parobku pójdź!” Kiedy doszli do cmentarza trupia głowa jeszcze raz odpęda księdza. Otwierają się przepiękne marmurowe schody, wchodzi tam dług z parobkiem, poczem wszystko się zawarło. Ksiądz zaś poszedł na plebanie, napisał o tym na karteczce i włożył do metryki, co też to potem może być. Po obiedzie, który odbywa się pod ziemią, trupia głowa każe parobkowi przejść się, aby co też tu ujrzał. Najpierw spotkał chłopca, co niósł ziemię na sobie. I prosił go ten chłop, aby wziął choć garść tej ziemi i rzucił, bo mu bardzo ciężko. Ale parobek odpowiedział: nie włożyłem na ciebie, to i nie mogę zdejmować. Był to taki, co przyorywał miedze, więc musiał nosić ziemię do sądnego dnia. W dalszej przechadzce spotkał człowieka, który za życia pożyczał pieniądze i wielkie lichwy dał, a teraz ugina się pod ciężarem pieniędzy. Dwa psy żrące się przez płot to kumotrowie co i za życia się żarli. Po wyjaśnieniu wszystkiego trupia głowa pyta parobka czy chce do domu wracać czy też tutaj zostać? Bo i tak tu przyjdzie. Parobkowi jednak zdawało się, że ani kwadransa nie był pod ziemią. Tymczasem tam się już wszystko zmieniło i okazało się, że już 3000 lat minęło, co wykazały stare papiery. Kiedy parobek zaczął jeść, natychmiast posiwiął i w proch się rozleciał.

Tekst zapisany przez Lorentza nie zawiera żadnych interesujących szczegółów.

W OBUMARŁEJ KRAINIE

(POSŁOWIE)



Nie zamierzam pisać wyczerpującej historii klechdy polskiej, odczuwam natomiast potrzebę rozprawienia się raczej osobistego z tymi zagadnieniami, które narastały i, mam nadzieję, narastać będą podczas mojej pracy. Po przewertowaniu olbrzymiego materiału etnograficznego, po przeczytaniu wielu książek, studiów rozproszonych po czasopiśmie i zapoznaniu się z nieskończoną ilością przyczynków, których posiadamy w naszej literaturze ludowej aż za wiele, musiało się zjawić wiele pytań domagających się odpowiedzi, musiały wyniknąć rozmaite trudności, które trzeba było przezwyciężyć przy ustalaniu systemu pracy, jakiej dotychczas nikt się u nas nie podjął.

Niniejsze „posłowie“ nie ukrywa w najmniejszym nawet stopniu tendencji do pracy ściśle naukowej. Badania nad klechdami przeprowadziłem w miarę sił moich jedynie w celu takiego ich opracowania, które w poszczególnych wypadkach uważałem za najbardziej właściwe. Na zakończenie pierwszego etapu pragnę zupełnie swobodnie opisać wrażenia z podróży odbytej po różnorodnych dziedzinach etnografii polskiej. Nie wygłaszam sądów, w których bym się kusił o moc obowiązującą. Stwierdzam po prostu czego szukałem, czego się dowiedziałem i czego nie znalazłem. Mówię o rozkoszach i zawodach osobistych, co wszystko razem było jedną wielką przyjemnością, której doznawałem przez cały okres tej pracy pociągającej i dziwnie odświeżającej.

Jest to więc przedsięwzięcie nawskroś literackie. Z charakteru tego rodzaju pracy nie wynika bynajmniej dowolność zupełna. Starałem się oprzeć na jak najbardziej rozległej znajomości przedmiotu. Wydaje mi się również, że w tym wysiłku nie przeszkadzały mi wszelkiego rodzaju niepotrzebne uprzedzenia.

Rozdz. IV

Poza tym miałem jeszcze na uwadze taki typ czytelnika, który interesując się dokonaną pracą, pragnie mieć z tego zakresu jak najwięcej informacji. Trudno by było polecać mu wędrówkę po bardzo bogatej i różnorodnej literaturze naukowej.

Tę wędrówkę odbyłem także i za niego...

* * *

Pierwsze klechdy polskie pojawiają się stosunkowo dość późno. Jeśli wyłączymy zapiski kronikarskie, literaturę sowizdrzańską, utwory demonologiczne, oraz tzw. literaturę mieszczańską i komedię rybałtowską, w znacznej części mało oryginalną, a z etnografią luźnie tylko związaną*), wypadnie rozpocząć dzieje klechdy polskiej od początku wieku XIX, to jest od wystąpienia Zoriana Dołęgi Chodakowskiego**). W „Wiadomości o Z. D. Chodakowskim“ drukowanym w Pamiętniku Umiejętności w r. 1830 czytamy: „Wiarogodny świadek, który się z nim poznał osobiście na 9 lat przed jego zgonem, kiedy po Czerwonej Rusi i Galicji odbywał swoją naukową wędrówkę, widział, że już wówczas posiadał foliały materiałów, starożytności słowiańskiej dotyczących, między którymi obfity zbiór podań między prostym ludem zebranych i pieśni gminnych uważał za najszacowniejszy. W ciągu następujących lat te zasoby musiały się znacznie pomnożyć“.

Biograf Chodakowskiego Fr. Rawita Gawroński twierdzi, że rękopisy jego rozchwymano i rozdrapano. Pieśni zużytkowane zostały bezimiennie przez uczonych rosyjskich***). „Naukowa spuścizna w formie raportów i samodzielnych prac lub szkiców w części odnalazła się, ale materiały etnograficzne zaginęły bezpowrotnie. Gdyby nie ślady ich, a raczej resztki i pozostałości, rozsiane w różnych korespondencjach i notatach, dla obcych nawet chętnie robionych, posiadalibyśmy tylko głuche wieści o skrzyniach napełnionych nimi“.

Tak więc pierwszy zbiór klechd polskich nigdy nie dotarł do naszej świadomości. Nie został po nich ślad najmniejszy nawet w tradycji ustnej. Nie wiemy o nich nic więcej jak tylko to, że spoczywały w wielkiej skrzyni drewnianej, którą Chodakowski woził z wielkim utrudzeniem podczas swoich licznych i dalekich wędrówek, a do-

*) Omówię to wszystko w drugiej serii „Klechd polskich“, skoro wypadnie w niektórych tematach zespolić współczesny materiał etnograficzny z dawniejszymi tradycjami.

***) Właściwe nazwisko: Adam Czarnocki.

***) Później korzystali z nich również Puszkini i Gogol.

świadczając srogich przeciwności powtarzał z uporem, że materiałów swoich na papiloty nie odda.

Tragiczny los pracy usilnej, której z takim wytężeniem dokonał w przeciągu krótkiego, awanturniczego życia (zmarł po latach 41), jest jakby zgodny z jego całą historią niespokojną, z poglądami ultraradykalnymi, z nienawiścią do szlachty i kościoła katolickiego. Pod koniec życia zerwał zupełnie z Ojczyzną i wyraził uczucia wierнопoddańcze dla cesarza Aleksandra I.

W literaturze polskiej jest on jednak pozycją nie do pogardzenia. Drobną rozprawką, którą napisał na żądanie księcia Czartoryskiego „O Słowiańszczyźnie przed Chrześcijaństwem“, wywarła niemały wpływ na pokolenie współczesne. Chodakowski był krańcowym entuzjastą Słowiańszczyzny i pogaństwa. Trudno się zgodzić z jego poglądami egzaltowanymi i często grzeszącymi naiwnym brakiem krytycyzmu, ale trudno również zaprzeczyć, że były nawskroś oryginalne, że torowały drogę wielkiej epoce romantyzmu i że echo ich odzywało się nieraz w czasach ostatnich. Słusznie dowodzi Rawita-Gawroński, iż ten płomienny entuzjasta nie ulegał właściwie niczym wpływom. To co uważał za swoje posłannictwo odczuwał już w okresie najwcześniejszej młodości. Usłuchał może słynnego wezwania Kołłątaja z r. 1802 o potrzebie poznania zwyczajów ludowych, ale okoliczności wszystkie: nieznamość języków i osobiste koleje wpłynęły na to, że drogę swoją odbywał samodzielnie, nie wiedząc co się dzieje za granicą. Jego wartością niezaprzeczoną był zapał, zapał zapewne błędny i strojący się w napuszoną frazeologię, ale szczery i po swojemu konsekwentny. Młodzież współczesna słuchała go ze drżeniem serca, kiedy wołał płomiennymi słowy:

„Trzeba pójść i zniżyć się pod strzechę wieśniaka w różnych odległych stronach, trzeba spieszyć na jego uczyty, zabawy i różne przygody. Tam w dymie, wznoszącym się nad głowami, snują się jeszcze stare obrzędy, nucą się dawne śpiewy i wśród płasów prostoty odzywają się imiona bogów zapomnianych. W tym gorzkim zmroku dostrzec można trzy księżycy, trzy zorze dziewicze, siedm gwiazd wozowych. Tam Zorza Lelowa zbliża się do młodego Miesiąca, miłość nowożeńców i gody zwiastuje; tam zorza księżycem ogrodzona lub zawojką pokryta, ślubną przysięgę tłumaczy... Wyznać trzeba, że kiedy lud wiejski, tak dawno usunięty od swobody, mógł jeszcze podobne nucenia zatrzymać, pewnie one w epoce panowania swojego na rajskich dworach i ogrodach, w gajach, na górach i polach uświęconych, podczas soborów płci obojej, pod okiem Kniaziów, Księdzów,

Królów, żerców, Klechów i Starostów obrzędowych były nierównie znakomitszymi. Niestety! Nasza ziemia nie była morzem z trzech stron ubezpieczona, aby mogła pomimo wieków zachować tyleż co Szkocja“.

Gromadzenie materiałów etnograficznych zakończył Chodakowski już w r. 1817, po czym zajmował się przeważnie archeologią przedhistoryczną, pogańską.

Tymczasem ruch na polu ludoznawstwa znacznie się ożywił. Pojawily się pierwsze zbiory pieśni i pierwsze zbiory klechd. Przyczynił się do tego pośrednio i Brodziński, który domaga się „ścisłego związku twórczości poetyckiej z życiem narodowym“.

Historycy literatury polskiej, ulegający wpływowi romantyzmu, wprowadzają do swoich badań pomijanego dotychczas Kopciuszka, a mianowicie twórczość ludową. Wbrew zasadom klasyków najpierw Łukaszewicz, potem Wiszniewski, Wójcicki i Maciejowski postępują zgodnie z poglądem biskupa Woronicza, który już w r. 1803 ujął się „za pogardzaną przez skrybów, pod słomianą strzechą przy dymnym ognisku tulącą się muzą polską“. Zjawiają się okresy starosłowiańskie i polsko-słowiańskie, rozpatrywane są rzekome zabytki runiczne, pieśni, klechdy, podania i przysłowia ludowe.

Poszczególni badacze bardzo naiwnymi i sztucznymi sposobami usiłują radzić sobie z zagadkowymi wędrownkami baśni i podań. Znajdujemy w tych wysiłkach wiele sprzeczności nieraz w tej samej książce, u tego samego autora. Rozbrajające są również wywody etymologiczne. Wszystko to razem poddaje bezlitosnej, sarkastycznej krytyce Berwiński, pisarz dotychczas za mało znany i zawsze jeszcze niedoceniany.

Entuzjastą twórczości ludowej był również Kraszewski, który stwierdza, że „podania gminu stały się ważnym i prawie jedynym żywiołem dzisiejszej literatury; podania dostarczyć dziś mają tego, czego dawniej dostarczały mythologia starożytnych, ich dzieje, itp.“

W okresie pomiędzy pojawieniem się Chodakowskiego aż do rozpoczęcia pracy na polu etnografii przez Kolberga mamy do czynienia z pierwszymi zbiorami klechd polskich. Są one mniej liczne i, powiedzmy od razu, mniej wartościowe od pierwszych zbiorów pieśni Konopki, Lipińskiego, Wójcickiego, Zaleskiego, Zejsznera, Żegoty, Pauliego i innych. Zbieracze poezji ludowej musieli być z natury rzeczy bardziej sumienni, bardziej ścisli w zachowaniu tekstów, które trudno było przerabiać i upiększać.

Natomiast w odniesieniu do prozy ludowej panuje oburzająca dowolność. Pisarze miernego talentu oddają tematy klechdowe na pastwę swoich nieciekawych ambicji literackich. „Powłokę szorstkiego słowa“ zastępują nieznośnym gadulstwem, jędrne określenie przemieniają na liche ozdóbki, wysnute z własnej ubogiej wyobraźni, na miejsce właściwych skrótów wprowadzają niestosowne uzupełnienia, nie dbają o logikę akcji, nie troszczą się o pointę, której wartość lud intuicyjnie odczuwa, a wszystko rozwadniają w powodzi cikliwości i sentymentalizmu.

Shusznie stwierdza Kraszewski, który zresztą sam nie uniknął w opracowaniu bajek pewnych błędów, że „z mnóstwa zebranych podań ledwie część użyteczna być może, bo reszta ra gorącym razie popsuta i podana, na wieki kaleką“. W innym miejscu skarży się „na wymuszoną nadętość, którą tchnie tekst Wójcickiego“.

1. Najfatalniejszym jednak przedstawicielem tego okresu jest A. J. Gliński, którego „Bajarz polski“ był niestety najpopularniejszym u nas zbiorem tego rodzaju, doczekał się największej ilości wydań, reprezentował nas za granicą i został nawet wznowiony na krótko przed ostatnią wojną. A przecież jest to stanowczo najgorsze opracowanie baśni polskich, jakie posiadamy. Wydanie go w czasach ostatnich jest błędem nie do darowania, skoro rozporządzamy innymi lepszymi opracowaniami dla młodzieży.

Gliński w przedmowie do swojego „Bajarza“ nazywa sam siebie w sposób pretensjonalny kmiotkiem nieuczonym, który nic nie zbierał, natomiast „w dzieciństwie namiętnie słuchał, spisując tytuły tylko“. Twierdzi dalej, że utrwalone przez niego baśni pochodzą z powiatu nowogródzkiego, a mianowicie ze Szczors i Niechniewicz, dóbr zmarłego w r. 1844 Adama ks. Czartoryskiego. Obojętną jest sprawą, że Gliński, wbrew swojemu twierdzeniu, zaciągał pożyczki od różnych pisarzy, skoro wszystko stopił w swym tyglu w jedną całość cikliwą i przesłodzoną.

„Bajarz polski“, najzupełniej obcy charakterowi ludowemu, jest szczególnie nieznośny z powodu isce częstochowskiego rymowania. Wątki są pomieszane ze sobą tak dowolnie, że trudno to wszystko inaczej określić, jak: groch z kapustą. Nomenklatura okropna! A więc siwek złotogrzywek, świnka perłosypka, cud dziewica, maczuga niewidka-samobjjka, królewicz Niespodzianek, Sługobyl, królowna Gapiomila, rycerz Niezginiek, piesek szczeczek, kotek mrucek, kmiotek Roztropek, itd., itd.

Dziwne, że Karłowicz w przedmowie swojej do nowego wydania „Podań i baśni“ Romana Zmorskiego uznał za stosowne oszczędzić Glińskiego, a natomiast ostro skrytykował Wójcickiego i Berwińskiego, jakkolwiek nie ulega wątpliwości, że obaj oni różnią się dodatnio od autora „Bajarsa polskiego“. Szczególnie krzywdzącym jest zlekceważenie Berwińskiego, zwłaszcza, że jak to przypomniał Terlecki *) Karłowicz kilkanaście lat przed tym nazwał Berwińskiego „niepospolitym na swój czas uczonym“.

2. Począwszy od r. 1835 zaczęły się ukazywać klechdy, starożytne podania i powieści ludu polskiego i Rusi w opracowaniu K. Wł. Wójcickiego. Tak jak cała działalność tego autora zostały przyjęte entuzjastycznie. Twórczością Wójcickiego zachwycali się nawet tacy ludzie, jak Dembowski i Trentowski. Ten ostatni uważa go „za pierwszego prozaika naszych czasów“.

Niewątpliwie były to pochwały przesadne, ale surowe nagany, których mu niezczędzono później, były również niezupełnie uzasadnione. Wspomniamy wyżej Tymon Terlecki charakteryzuje go po prostu jako grafomana i nieuka. Prawda, że Wójcicki nie posiadał dostatecznego przygotowania naukowego do zadań jakie sobie wytknął. Nie wytrzymuje porównania z takim interesującym szperaczem jakim był współczesny mu Gołębiowski, autor kilku uczonych rozpraw o ludzie polskim. Nie można jednak odmówić Wójcickiemu wszystkiego. Był pisarzem na owe czasy co najmniej pożytecznym, pracował z zacięłością podziwu godną, budził zamiłowanie zarówno do przeszłości jak i kultury ludowej, gromadził między innymi materiały do obyczajowości Warszawy, które dotychczas są cenione przez miłośników tego rodzaju literatury. Odznaczał się zainteresowaniami różnorodnymi, pierwszy wydobył z ukrycia nieznane zabytki piśmiennictwa i poniekąd sprowokował późniejsze krytyczne edycje. Ogłaszał także prace innych pisarzy. Mniej szczęśliwym pomysłem było puszczenie w świat mało wartościowych „Powieści ludu“ K. Balińskiego, ale niewątpliwą zasługą Wójcickiego było umieszczenie w „Archiwum domowym“ interesującej pracy etnograficznej J. Gluźnińskiego o obyczajach ludu w okolicach Zamościa i Krasnego Stawu.

Wójcicki był niewątpliwie pisarzem bardzo sugestywnym i ta sugestywność zachowała się poniekąd do dni dzisiejszych. Odrzuciwszy to, co niepotrzebne, znajdziemy nawet dla celów ludoznawczych nie-

*) Tymon Terlecki — Rodowód poetycki Ryszarda Berwińskiego. Poznań 1937.

jeden rys interesujący, który przyczyni się do rozszerzenia horyzontów tematowych. Niektóre klechdy, zwłaszcza starszslacheckie, są dziś jeszcze do przyjęcia. Postać diabła Boruty nie istnieje właściwie poza Wójcickim i chociaż leśnego demona dowolnie na szlacheckiego czarta przekształcił, nie możemy dzisiaj nic przeciwstawić jego fantazji pomieszanej z łączycznymi tradycjami.

3.

Jednym z wielbicieli i naśladowców Wójcickiego był 21-letni Ryszard Berwiński, który rozentuzjasmowany klechdami wydał swoje „Powieści wielkopolskie“ (Wrocław 1840).

Berwiński jest postacią pod każdym względem niezwykłą. Jego życie tragiczne i awanturnicze składa się jakby z elementów przeciwnych sobie, wytwarzając wieczysty niepokój w psychice człowieka, nie mogącego się zdobyć na ład w duszy i na ład w poczynaniach praktycznych. Dandys i hulaka, a jednocześnie radykał i spiskowiec, zakochany beznajdziejnie w pannie arystokratycznej, która nie odwzajemnia jego uczuć. Ulega wpływom nieraz zupełnie podrzędnym, przechodzi przez zależność od wszystkich niemal luminarzy romantyzmu i wydobywa się z trudem największym na własną drogę. Liryk i wizjoner o wysokiej wrażliwości staje się w pewnych okresach przenikliwym i bystrym badaczem, który krytykuje surowo nie tylko innych, ale i siebie samego. Odrzuca bez wahania zamysły, które rozpoczynał w atmosferze największego uniesienia. Gotowe rękopisy np. dalszych „powieści“ ukrywa w szufladzie i nie wydobywa ich nigdy mimo początkowych znacznych sukcesów, które zupełnie lekceważy.

Od pierwszego swojego wystąpienia znajduje się w zupełnym nieporozumieniu z własnym społeczeństwem i czyni wszystko, aby ten rozłam jak najbardziej pogłębić, co go prowadzi do więzienia w Moabie. Berwiński opuścił wreszcie kraj na zawsze i zakończył życie w Turcji u boku Sadyka Paszy.

Dodajmy od razu, że Berwiński jest jednym z najbardziej niedocenionych pisarzy polskich. W wielu naszych podręcznikach literatury nie znajdujemy nawet najdrobniejszej wzmianki o autorze tak interesującym i niezwykłym. Najlepiej znają go, lecz nie zawsze dostatecznie oceniają badacze rodzimej etnografii, dla której jego zasługi dzięki „Studiom o literaturze ludowej“ są wiekopomne. Jedyną naprawdę wartościową pracą o Berwińskim jest wspomniana już przeze mnie praca Tymona Terleckiego. Niestety zajmuje się ona wyłącznie poetyką działalnością tego autora, który poetą przestaje być już w r. 1846.

W „Powieściach wielkopolskich“⁴ większą część tomu zajmuje „Bogunka“, programowy utwór młodego entuzjasty. „Dwunastu róbózników“ i inne opowiadania drukowane w „Przyjacielu ludu“ przypominają Wójcickiego. W „Bogunce“ natomiast Berwiński wytknął sobie wielkie zamierzenia. Według Terleckiego „miała być syntezą wszystkich prądów, które ożywiały dzielnicę wielkopolską w czwartym dziesiątku ubiegłego wieku... miała też przedstawiać kwintesencję osobistych możliwości w zakresie techniki poetyckiej, i w dziedzinie wiedzy lingwistycznej, historycznej, archeologicznej“. Niestety siły nie dopisały autorowi dwudziestoletniemu. „Bogunka“ jest dzisiaj tuż tylko ciekawostką regionalną. Należy się jej szacunek ze względu na wielki wysiłek pisarza, wysiłek jakiego nie znał nigdy taki np. Wójcicki. Niektóre przypisy zachowały swoją wartość użytkową do dziś, interesujący jest też „spis wyrazów przestarzałych albo zapomnianych“. Najciekawszym jest fakt, że niektóre idee, którymi przesycona była „Bogunka“, miały być poddane druzgocącej krytyce, z jaką w r. 1854 wystąpił tenże sam Berwiński. W historii literatury wydarzenia takie nie są zbyt częste.

Tymczasem ukazały się inne zbiory klechd polskich.

Przede wszystkim Lucjana Siemieńskiego „Podania i legendy polskie, ruskie i litewskie“ (Poznań 1845).

Jest to jeden z najlepszych zbiorów nie tylko tej epoki, zawsze aktualny, zawsze stanowiący lekturę miłą i pouczającą. Jest to zbiór pisarza o wybornym smaku, pisarza klasycznego w swoim umiarze, trafnego w doborze i nie starającego się w tekstach przedstawionych czytelnikowi ani o poziom dziecinny, ani o efekty jaskrawe. Stosownie do pojęć ówczesnych Siemieński uprawiał szlachetną ekspansję na terenach Litwy i Rusi, a poza tym do swojej antologii włączył kilka doskonałych obróbek, z których zwłaszcza „Widmo w zamku Rydzyńskim“, prawdopodobnie pióra Morawskiego, jest małym arcydziełem groźnego nastroju.

Berwiński zarzuca Siemieńskiemu, że „bez krytyki pomieszał podania ludu z podaniami i klechdami kronikarskimi“.

Zarzut czysto formalny. Przy tym stanie badań etnograficznych nie podobna było Siemieńskiemu same tylko podania ludowe w jednym, sporym tomie pomieścić. Jest jego wielką zasługą, że zdobył się na osobiste zebranie z ust ludu niektórych powieści, które przytoczył wprawdzie bez właściwości gwarowych (nikt tego zresztą w Polsce wówczas nie dokonał), ale przytoczył je ściśle, bez własnych ujęć i dodatków, zachowując z całą pieczołowitością właściwość

twórczości ludowej. I dlatego Siemieński jest dziś przy rozpatrywaniu tekstów ludowych źródłem poważnym i autentycznym. W antologii, której dokonał, nic zresztą nie razi, wszystko razem stanowi całość pociągająca i harmonijną, która przerasta niemal wszystkie zbiory tych czasów*).

I jeszcze jeden zarzut Berwińskiego.

W przedmowie do „Podań i legend“ Siemieński utrzymuje, „że klechda, podanie, legenda nie może przypuszczać żadnej rozprawy ani krytyki gdyż tarcza głębokiej wiary odbija pociski wymagań rozumowych, jak i wzdurliwej filozofii“.

Nic dziwnego, że takie poetyczne oświadczenie musiało podniecić Berwińskiego, który rozpoczynał właśnie gwałtowną krucjatę przeciwko wszelkiemu w tej dziedzinie doktrynerstwu. Ustęp wywołany mglistym zdaniem Siemieńskiego jest wyborny w swojej argumentacji żywej, wnikliwej i we wszystkich dalszych bystrych wnioskach.

Wydaje się jednak, że cały ten incydent polegał na nieporozumieniu. Siemieński miał poniekąd na myśli tę nienaruszalność tworu ludowego, która stała się prawem niezłomnym za czasów Karłowicza, a na co dziś również trudno się zgodzić.

Do okresu romantycznego należy również Zmorski, którego Karłowicz ze wszystkich mu współczesnych pisarzy najpochlebniej ocenił. Istotnie na korzyść Zmorskiego zapisać należy, że „w głównej osnowie niczego nie sfalszował, a jeśli pisał stylem literackim, to styl ten jest, bądź co bądź, szlachetnym, a język poprawnym i czystym“.

Tak stwierdził Karłowicz. Zmorski jednak uczciwie przyznaje: „Czując się ludu swego częścią, zachowałem sobie pełną swobodę w szczegółach ubocznych lub obojętnych. Wprowadziłem do niektórych powieści akcesoria i koloryt właściwy czasom, do których prawdopodobnie rzecz bajki odnieśćby się dała“.

Zbiorek Zmorskiego przedstawia się bardzo ubogo, nawet razem z „Powiastkami domowymi“ obejmuje materiał nader skąpy. Jediną zaletą autora jest tylko to, że zachowuje dość wiernie strukturę podania ludowego. W niektórych podaniach jego udział jest skromny i te wypadły najlepiej. Natomiast obróbka zawsze bardzo podrzędna z tego prostego powodu, że i sam Zmorski był literatem podrzędnym.

*) W „Wieczornicach“ Siemieński często zajmował się tematami ludowymi. Był jednym z pierwszych, którzy opisali Janosika. Większa część utworów z tej serii nie wyrasta jednak ponad poziom Wójcickiego.

Mimo całego chłopomańskiego zapachu, który podobnie, jak później u Rydla, wyraża się w nawoływaniu do przywdziewania wieśniaczej siermięgi, Zmorski opracowuje tematy ludowe w sposób konwencjonalny i sentymentalny. Nie jest on lepszy od tych wszystkich obrabiaczy, których gromił Kraszewski i Berwiński, a którzy w okresie największego gromadzenia materiałów etnograficznych stali się istną plagą literacką. Stworzyli oni jakby zwartą falangę lada jakich pośredników pomiędzy literaturą ludową a czytającą publicznością, niwelując do swojego pospolitego poziomu to, co wymagało jeśli już nie kongenialności tworzenia, to przynajmniej sumiennego i rzetelnego wysiłku połączonego z dobrym smakiem.

Nie wyczerpalibyśmy charakterystyki okresu romantycznego, gdybyśmy nie podkreślili, że właśnie wówczas pierwsi ludoznawcy polscy odkryli Tatry.

Jest to sprawa niezmiernie interesująca.

Poeci romantyczni właściwie mało mieli wspólnego z motywami ludowymi rdzennie polskimi. Przeważnie — jak to słusznie stwierdza Chlebowski — „wyszli z litewsko-ruskich dzielnic Rzeczypospolitej. Choć więc wprowadzają w swych utworach wierzenia, podania i postaci ludowe, to biorą je zawsze ze swego białoruskiego lub małopolskiego otoczenia, z którym żyli się w dzieciństwie i w którym widzą jedną z wielu odmian ludu polskiego“.

Nawet i u zwykłych zbieraczy powszechnym było wówczas sięganie po materiały etnograficzne do Litwy i Rusi. Tym więc godniejszy uwagi fakt, że przynajmniej jedna czysto polska dzielnica została tak zdecydowanie wysunięta na plan pierwszy. I co najważniejsza: wszystkie niemal usiłowania zmierzające w tym kierunku zostały jak najbardziej trafnie i rzeczowo wypełnione. Wydaje się, jakby dostojne i surowe piękno Tatr narzucało ówczesnym etnografom rzetelność i ścisłość. I tak Zejszner we wstępie do zebranych pieśni daje interesujący opis ludoznawczy okolic tatrzańskich, później Siemieński w „Wieczornicach“, a wreszcie Wincenty Pol opracowuje ten sam temat z doskonałym umiarkowaniem.

Zupełnie wyjątkowym zjawiskiem w tej dziedzinie jest Seweryna Goszczyńskiego „Dziennik podróży do Tatrów“ — podróży, którą znakomity poeta odbył po upadku powstania listopadowego w r. 1832, kiedy zaproszony został na Podhale przez Leona Tetmajera, właściciela Łopusznej.

Jest to jedna z najbardziej uroczych książek, jakie o Tatrach napisano, godna zestawienia z arcydziełem Witkiewicza „Na przełęczy“.

Goszczyński syn Ukrainy, odnajduje w górskim regionie jakby wia-
ściwą sobie, zagubioną ojczyznę. Niesłychana, irracjonalna wrażli-
wość na piękno wyniosłych szczytów świadczy o jakimś tajemni-
czym, wewnętrznym procesie, który w następstwie doprowadza do
wyładowania najszlachetniejszych nastrojów poetyckich. Jest to coś
znacznie więcej, aniżeli przypadkowe zetknięcie się z Tatrami. Poeta
doświadcza tutaj przeżyć najgłębszych, które wyraża w formie o prze-
dziwnie dostojnej prostocie. Odczuwa i wgłębia się we wszystko.
Obok poetyckich opisów przyrody, które poznaje z zapamiętałością
niestrudzonego wędrowca, wtajemnicza nas w całą niemal kulturę
umysłową Podhalan. „Po Brodzińskim — stwierdza słusznie J. St.
Bystrzeń — chyba jeden Goszczyński ma poczucie realizmu etnogra-
ficznego“. Odtwarza on wierzenia i obyczaje ludu górskiego, charak-
teryzuje zwłaszcza zbójnictwo, przytacza pieśni i podania, a czyni
to wszystko z umiarem pełnym subtelnej delikatności, ze zrozumie-
niem prawdziwego ducha ludowego w takim stopniu, w jakim nikt
go w owej epoce nie objawił. Nie bawi się w żadne rozważania teore-
tyczne, nie wysnuwa żadnych wniosków, nie obciąża materiału
zebranego żadnymi komentarzami i dzięki stanowisku tak wstrze-
mięzliwemu, stwarza atmosferę niezwykle bezpośredniości.

Kiedy się czyta „Dziennik podróży“ doznaje się wrażenia, że przez
tych kilka miesięcy Goszczyński znajdował się jakby w odświętnym,
niecodziennym napięciu uczucia poetyckiego, które w dzień wyjazdu
do Francji, przesłonięte melancholią rozłąki, szczególniejszego na-
bierało wyrazu.

Cała późniejsza twórczość poetycka Goszczyńskiego zostaje pod
wpływem kilkumiesięcznej wyprawy odkrywczej. „Sobótka“, „Ko-
ścielisko“, „Król zameczyska“ i „Straszny strzelec“, jego dzieła naj-
wybitniejsze powstały z wrażeń tatrzańskich. A kiedy jako starzec
70 letni może wrócić do Polski, wraca do Tatr, do dworu Adolfa
Tetmajera, ojca Włodzimierza i Kazimierza — Kazimierza Przerwy
Tetmajera, późniejszego autora „Legendy Tatr“ i „Skalnego Podha-
la“. Tetmajer jako dziewięcioletni chłopiec obcował jeszcze z Gosz-
czyńskim, który nawet uratował mu życie...

Wracając do tematu zasadniczego, należy raz jeszcze stwierdzić
stanowczo, że jeśli chodzi o same klechdy ludowe, to epoka roman-
tyzmu w tym zakresie dała stosunkowo bardzo mało.

Prymityw ludowy stał się źródłem ożywczym dla wielkiej poezji.
Mickiewicz od pierwszego swojego wystąpienia czerpie stamtąd peł-

podsumowanie

litera-
tura
czerpie z
kult. lud.

ną dłonią i tworzy jedno arcydzieło po drugim. Pierwiastek ludowy nie opuszcza jego twórczości niemal na chwilę. Od gminnej powieści i ballady przez najwyższe napięcie twórcze w „Dziadach“ aż do eposu narodowej w „Panu Tadeuszu“. Ludowość jest obecna również w twórczości poetów większego i mniejszego autoramentu, u Brodzińskiego, Słowackiego, Malczewskiego, Goszczyńskiego, Zaleskiego i in.

Ale jeśli chodzi o etnografię czystą, o zbiór materiałów, a zwłaszcza podań i baśni, to pomimo wielkiego zapasu rezultat jest dość nikły. Porównanie przez Berwińskiego literatury ludowej do morza ogromnego i tajemniczego jest najzupełniej przesadzone, jeśli ma być mowa o Polsce. Sączy się u nas i szemrze nieśmiało pierwszy zaledwie strumyczek.

W stosunku do zagranicy, jak to się często w różnych naszych epokach literackich zdarzało, jesteśmy znacznie upośledzeni. We wszystkich krajach europejskich istniały już od dawna zbiory klechd i opowiadań bardzo rozległe, a wreszcie co najważniejsze w r. 1812 ukazały się w Niemczech braci Grimmów „Kinder und Hausmärchen“. Cokolwiek byśmy dzisiaj temu zbiorowi mieli do zarzucenia, jak wielkie jest nasze niezadowolenie, że przez czas dłuższy, zwłaszcza nasza literatura dziecienna została niepotrzebnie „zagrimmowana“, nie podobna zaprzeczyć, że tych dwieście baśni i podań zebranych przez autorów niemieckich okazało z miejsca bardzo wysoką wartość etnograficzną, że wniosło wiele nowych wartości do całej literatury europejskiej, że stało się elementem zapładniającym sztukę i że niemal klasyczne ujęcia pewnych tematów ostały się aż do dni dzisiejszych.

Bracia Grimmowie dali nie tylko olbrzymi zbiór literatury ludowej, ale stworzyli pierwsze podstawy dla badań porównawczych, co w rezultacie zostało uwieńczone kapitalnym dziełem Boltego i Polivki (Anmerkungen zu den Kinder und Hausmärchen der Brüder Grimm — Lipsk 1913), które na podstawie baśni Grimmów zestawia olbrzymi materiał wariantów.

Dziś nie ulega wątpliwości, że zakres baśni grimmowskich jest nader ograniczony, opracowanie wiele zostawia do życzenia, szczególnie rażąco wydaje się jakby programowe zdziecinnienie tematów, które pomimo to łączą niejednokrotnie rysy sentymentalizmu z aparaturą wyrefinowanego okrucieństwa (choćby umuzykalniona przez Humperdincka baśń: „Jaś i Małgosia“). Niemniej jednak ukazanie się tego zbioru miało znaczenie epokowe i w Polsce onego

czasu nie posiadaliśmy nawet w przybliżeniu nic podobnie wartościowego.

Wychodzimy tedy z okresu romantycznego z nader skąpym zasobem klechd, których tylko cząstka została opracowana prawidłowo-

Ogarniając te pierwsze początki ludoznawstwa polskiego od Zoriana Chodakowskiego aż do wystąpienia Kolberga, mamy na zakończenie do czynienia z zagadnieniami niezmiernie doniosłymi, które w znacznej mierze rozwiązuje Berwiński w swoich znakomitych „Studiach o literaturze ludowej“ (Poznań 1854).

Niestety ta praca bystra i wnikliwa, oparta na rzetelnie zdobytych wiadomościach filologicznych i historycznych, została zupełnie zlekceważona przez współczesnych. Prawdopodobnie także i dlatego, że autor jej znajdował się już na indeksie, prześladowany pogardliwym milczeniem, daleki od uznania, które mu towarzyszyło podczas pierwszych młodzieńczych wystąpień. Był poddany ostracyzmowi powszechnemu właśnie wtedy, kiedy zdobył się na wysiłek najwyższy i spełnił zadanie o znaczeniu epokowym.

Cały nakład świetnej książki leżał na półkach księgarskich nieknięty prawie. Trzeba się było tedy ratować i w osiem lat później wypuścić nowe, li tylko okładkowe wydanie, bez nazwiska autora, pod bardziej zechęcającym tytułem: „Studia o gusłach, czarach, zabobonach i przesądach ludowych.*)

I to jednak nie pomogło. Znakomita praca krytyczna utonęła w morzu niepamięci. Odkryli ją po wielu latach niektórzy. We wszystkich niemal okazjach Berwiński wspomniany jest wyłącznie jako poeta. W wielu opracowaniach historii literatury polskiej w ogóle nie istnieje. Nawet nie wszyscy etnografowie biorą go pod uwagę tak, jak na to zasługuje. Obdarza go sądem sprawiedliwym dopiero J. St. Bystroń, a przede wszystkim Ganszyniec, który pisząc o książce Tuwima („Czary i czarty polskie“. — Warszawa 1924), stwierdza: „Dzieło Berwińskiego powinno być punktem wyjścia dla prac tego rodzaju, bo stanowi epokę; poglądy, do których doszliśmy dopiero w czasach najnowszych, tam już są jasno wypowiedziane i metodycznie uzasadnione. T. dużo korzystał z materiału podanego w tej książce, niestety mniej z jego metody“.

*) W „Bibliografii ludoznawstwa polskiego“ dr. Franciszka Gawełka (Kraków 1914) ta sprawa jest zupełnie zagmatwana. Wyjaśnili ją dopiero Ganszyniec i J. St. Bystroń.

Gdyby ktoś nawet niesłusznie zlekceważył rezultaty ostateczne pracy Berwińskiego, jak to się zresztą raz po raz dzieje, nie podobna dzisiaj nikomu przejść do porządku dziennego nad ogromem zebranego przezeń materiału i wnikliwą jego analizę. „Studia o literaturze ludowej“ są jednym z najważniejszych źródeł do demonologii polskiej, Berwiński istotnie w tej dziedzinie kroczy „drogą, której nikt dotąd jeszcze nie wydeptał“. W najnowszej dobie zresztą, zwłaszcza u nas, nie należy ona do zbyt wydeptanych. Zebrano wierzeń ludowych bardzo wiele, ogłoszono trochę krytycznych przyczynków, znaleźli się i tacy, którzy w swoich mętnych wywodach prawią wciąż jeszcze o mitologii polskiej, powołując się na Długosza, ale jeśli chodzi o krytyczne przeniknięcie całości, to znajdziemy je jedynie w krańcowych poglądach Brücknera*), a w pewnych zarysach także i u Moszyńskiego („Kultura ludowa Słowian“).

Cały wysiłek Berwińskiego był stanowczym przeciwstawieniem się poglądom ówczesnie utartym i powszechnym, wedle których od wyłaniającej się dopiero literatury ludowej, od pierwszych zbiorów pieśni i podań wymagano ni mniej ni więcej, jak tylko tradycji początkowych i obfitych materiałów do starożytnej mitologii polskiej.

Na wątły organizm nowego zjawiska wtłoczono ciężar nadmierny.

Ponieważ przeciwnie niż u innych narodów, nieraz nawet od nas niższych kulturalnie, nie dochowaliśmy ani epepei ludowej, ani niczego w rodzaju „bylin“, wydawało się prawdopodobnie w epoce romantycznej doskonałą sposobnością, aby literatura ludowa te braki uzupełniła. Uczyniono wszystko, aby pierwsze nikłe przejawy nagiąć niemal przemocą do idei z góry powziętych. Niektórzy historycy literatury byli nawet głęboko przekonani, że dobro sprawy uprawnia ich do bezceremonialnych pożyczek z materiałów ogólnosłowiańskich.

Takie były nadzieje Kollątaja, Woronicza, Kraszewskiego, Wójcickiego, Maciejewskiego, Wiszniewskiego, Szulca, a nawet samego Berwińskiego za czasów młodszych.

Ale autor „Studiów o literaturze ludowej“ sugestiom żadnym nie ulegał i objawił niezłomne dążenie do prawdy. Słusznie nazwał Terlecki „Studia“ pierwszą i bezwzględną rewizją ludomanii romantycznej... stanowiącej przejście od romantyzmu do pozytywizmu“.

*) W „Słowniku etymologicznym“ (str. 660) czytamy: „folklor polski w całej Słowiańszczyźnie najuboższy, nic nie zachował dawnego, pierwotnego“.

Sumienne i wnikliwe rozpatrzenie zagadnienia, które rozwinął potem na czterystu kilkudziesięciu stronach, doprowadziło Berwińskiego do nieoczekiwanych wniosków.

Nie przeczy on bynajmniej, że istniały niegdyś u nas wierzenia i zabobony pogańskie, przyznaje, że tu i ówdzie dadzą się one jeszcze odszukać w niektórych obrzędach, ale zasadniczo „w praktykach, jakie dziś w tej mierze pomiędzy ludem polskim napotykamy, nie znajduje się już nic zgoła, co by owych tam pierwotnych czasów słowiańskich sięgało. Owych tam czasów zabobonne mniemania i wyobrażenia już się w pamięci ludu zatarły, a raczej nie one same zatarły siebie, ale zatarte w niej zostały przez wpływy cywilizacji nowszej i nowszych wyobrażeń, które wyrugowały mniemania i błędy dawniejsze, usadowiły się na ich miejscu“.

A gdyby nawet pozostałości pogańskie utrzymały się w gusłach i zabobonach, tej ujemnej dogmatyce wiary ludu, to „jakże podaniom, klechdom i baśniom jego przypisywać mistyczną jakąś niezmienną i szukać w nich choćby też tylko echa przedwiekowych dziejów“.

Berwiński nie ulega żadnym złudzeniom epoki. Jego twierdzenia są przeważnie zgodne z ostatnimi badaniami naukowymi. Lud, wedle niego, nie jest płytą Daguerra, na której słońce raz na zawsze utrzyma obraz zewnętrzny. „Przedstawia i on raczej, jako wyraz organicznego ducha, wszystkie pojawy duchowej fenomenologii, a wzięty za zbiorową jednostkę, jak pojedynczy człowiek, jednych rzeczy uczy się, drugich zapomina, różniąc się i w tej mierze, jak indywiduala, pomiędzy sobą okolicami, z których w jednej prędko się uczy i prędko zapomina, w drugiej z uporem przyswajają sobie nową naukę, a z trudnością zrzeka się starej; ale i tam i tutaj ulega mniej albo więcej wpływom czasowych okoliczności i wrażeń, stanowiących po-niekąd to, co powszechnie nazywają duchem czasu“. Wpływ decydujący wywarły na niego Kościół, wyższe sfery inteligencji i „każdo-razowy rząd, jako wyraz politycznych kraju stosunków“. „Lud nie jest w społeczeństwie, jakby to wielu mniemać chciało, żadną potęgą samodzielną, od reszty tego społeczeństwa, którego część integralną stanowi, niezależną i niezawisłą, mającą w samej sobie i dla samej siebie własne jakieś warunki tak fizycznego, jak i duchowego, umysłowego życia i bytu, rządzącą się nimi udzielnie, choć bez świadomości, tworzącą wedle nich, na kształt żywiołowej siły w naturze, bez wiedzy i woli swoje kreacje i plody najswobodniejszej nawet wyobraźni. Lud nie jest taką potęgą!“

W dalszych swoich rozumowaniach Berwiński dochodzi jednak do wniosków zbyt jednostronnych.

„Lud nie ma nawet — twierdzi — samodzielnej twórczości ducha, a jeśli ją ma, to w takiej tylko mierze, *mutatis mutandis*, jak dziecko. Siła jego ducha a raczej wyobraźni, jest raczej tylko reproduktywną. Co w nią wniosą lub wrzucą zewnętrzne stosunki miejsca i czasu, w których żyje, to wedle rozwinięcia władz swoich umysłowych przetwarza czasami, ale i to nie zawsze. Najczęściej i zwykle powtarza tylko to, czego się nauczył od swoich nauczycieli . . .“

Berwiński widać nie zdawał sobie sprawy, że skoro nie rozporządzał dostatecznym materiałem doświadczalnym nie wolno mu było wyrażać sądów tak już bezwzględnych. Zagadnienie o ile twórczość ludowa jest oryginalna i jakie są pozytywne wartości w procesie przetwarzania tego, co ona otrzymuje z zewnątrz, wypada odłożyć aż pod koniec niniejszego szkicu. Jest to bez wątpienia sprawa niezmiernie doniosła, może nawet najważniejsza. Do niej zmierza właściwie cały wysiłek badawczy. Berwiński ją w znakomity sposób podjął, naszym zadaniem jest posunąć się na tej drodze naprzód, skoro możemy oprzeć się zarówno na olbrzymich, pracowicie zebranych materiałach etnograficznych, jak i rozległych poszukiwaniach teoretycznych. Musimy wszyscy zdać sobie jasno sprawę, że jeśli chodzi o oryginalność ludową, to *jej wartość pozytywnych ani wyolbrzymiać nie należy, ani tym bardziej pomniejszać.*

Berwiński występując z krytyką doktryn jałowych, usiłujących zdobyć jakąś wymarzoną krainę ułudy, musiał z natury rzeczy zająć stanowisko zbyt krańcowe. Taki zazwyczaj jest los tych, którzy pierwsi torują niewydeptane ścieżki.

Zresztą starał się przemyśleć wszystko do końca jak najbardziej rzetelnie. Świadczy o tym i odpowiedź na pytanie ostateczne: „ . . . czy warto spisywaniu jej (literatury ludowej) i obrabianiu poświęcać tyle jak dotąd siły, pracy, mozółu, wytrwałości, a może i talentu, który na inne zwrócony pole, wydałby może najpiękniejsze i prawdziwą chlubę piśmiennictwu naszemu przynoszące owe! Czy warto?“

Odpowiedź jest jak najbardziej zdecydowana.

„Od roku mianowicie 1830 zawróciła literatura nasza książkowa, czyli szlachecka, jak ją Maciejowski nazywa, do ludu i szuka pomiędzy nim do dziś dnia ożywczego dla siebie pierwiastka. Musiała więc w umysłowym życiu narodu konieczną do tego być potrzeba. Nie ma się o co spierać! Sądzę nawet, że zwrot taki odbył się try-

bem naturalnym i przyrodzonym... ludzie myślący i światli w narodzie pisarze są jak góry wyniosłe wśród równin, na których zagon ojczysty uprawia lud i krząta się przy ziemi. Na szczycie gór tych krystalizują się opary ziemi w puch śniegu, lub w słupy lodowate, jak myśl narodu na czole jego pisarzy, ale nie przymarzają do nich martwe na zawsze, bo ciepłem wewnętrznym ziemi ogrzane, topnieją powoli i znowu niewidzialnymi porami wsiąkają pod ziemię, ażeby niewidzialne upładniać w pierw roślinność, zanim gdzieś zdrojowskim na jaw wytrysną i zanim oparami znów się podniosą w powietrze, i powtórnie na szczyty wrócą gór, gdzie znowu ścinają się i krystalizują, jak tchnienie wewnętrznego życia w narodzie na czole jego pisarzy“.

„Taka kolej powtórnego zwrotu oświaty odbywa się obecnie w Polsce. Spuściła się ta oświata ze szczytów społeczeństwa już raz na dół i przesiąkła dolne jego warstwy w nizinach, a teraz wraca oparami do tych samych znów szczytów, ażeby im dać świadectwo o losach, jakich tam w owych głębokich nizinach doznała i o sposobie, w jaki użyźniła i upładniła łono ludu. Taką przede wszystkim wiadomość przynieść nam i podać ma i może bliższe poznanie literatury ludowej. Tak jest! Więcej czegoś szukać w niej systematycznie nie należy!“

Berwiński ujął całe zagadnienie twórczości ludowej w sposób niezwykle śmiały i bystry. Niewątpliwie wyprzedził pod tym względem całą współczesną mu epokę. Przez grutowne studia nad demonologią polską i obcą wysświetlił w znacznej części jej prawdziwe pochodzenie, a jednocześnie stworzył obraz tak ze wszech miar godny uwagi, że każdy kto się interesuje tą dziedziną musi raz po raz nawracać do „Studiów o literaturze ludowej“. Berwiński wreszcie przeciwstawiając się romantycznym mrzonkom po raz pierwszy ustalił istotę literatury ludowej, określił jej prawdziwe granice i właściwe przeznaczenie. Trudno wymagać, aby przy tym nie dopuścił się w swych sądach niejakich przejawów.

Kiedy rozpoczęło się pracowite zbieranie materiałów etnograficznych, postępowano ściśle wedle metody, której domagał się Berwiński już na pierwszych stronicach „Studiów“, a więc w sposób kronikarsko-bibliograficzny, bez własnych wymysłów i badań krytycznych. Zbieracza bowiem nie tylko można, ale trzeba uwolnić od badań krytycznych, które dopiero wtedy dadzą się dopełnić, „gdy źródłowe zbiory będziemy mieli kompletne i czyste“.

III
Idealnym zbieraczem w duchu wymagań Berwińskiego był właśnie Oskar Kolberg.

Nazwano go słusznie ojcem etnografii polskiej. Takiego ogromu pracy w tej dziedzinie nie objawił nikt ani przed nim, ani po nim. Przez lat 33 nie zajmuje się niczym innym, jak tylko przeprowadzaniem planu powziętego już w wieku dojrzałym. Nawet w jego pierwszych próbach młodzieńczych nie ma już żadnych odchyłeń. Kroczy do celu drogą prostą i nie szuka wytchnienia w najkrótszych nawet zboczeniach. Przeprowadza dzieło swojego życia z zadziwiająco systematycznością, ogniskując cały swój wysiłek aż do ostatniego tchnienia w pracy ściśle określonej, której nie zdążył wykonać w całości, ale która mimo to jest zjawiskiem wyjątkowym w całej etnografii europejskiej. Kolberg ma coś z epickiego rozmachu wytrwałości jednolitej, w skierowaniu wszystkich sił do jednego celu. Plon jego pracy to 38 tomów, które ukazywały się kolejno wedle planu jednakowego i które utrwaliły kulturę ludową zarówno umysłową jak i materialną jeszcze w tym czasie, kiedy utrzymywała się ona w formach prymitywnych, niedotknięta wpływami najpierw rozkładowymi, a potem narzucającymi jej nowe treści.

Kolberg posiadał zdolności osobliwe, które uczyniły go najbardziej wszechstronnym z pomiędzy wszystkich zbieraczy. Był z wykształcenia muzykiem, odznaczał się tedy wrażliwością osobliwą. Z początku zbierał tylko melodie ludowe, a potem uwzględniał je tylko jako jeden dział gromadzonych materiałów. Ale zachowuje wrażliwość muzyczną we wszystkich dziedzinach. I dlatego nie będąc wykształconym językoznawcą dokonuje pierwszych w Polsce zapisków gwarowych z wiernością doskonałą. Jego wrażliwość muzyczna chwytą każdy odcień języka i narzecza. Odczuwa jakby siódmym zmysłem każdą osobliwość, unosi z zadowoleniem każdą ciekawostkę i włącza ją do swojego skarbczyka. W jego odtwórczości czuje się, jakby rytm podskórny, w jego odkryciach lub zapiskach zupełnie nieoczekiwanych doznaje się uczucia przedziwnego smaku.

Kolbergowi zawdzięczamy obraz zasadniczy, który inni zbieracze, nieraz bardziej ulepszonymi metodami, ale właściwie tylko dopełniają. Jeśli zaś chodzi o klechdy tomy kolbergowskie są w tej dziedzinie jednym ze źródeł najcenniejszych. Znajdujemy je skupione w działach specjalnych. W Krakowskim i Poznańskim obejmują dwa całe tomy wypełnione li tylko powieściami ludowymi, a poza tym ileż ich jeszcze znaleźć można przede wszystkim w wierzeniach,

a poza tym w opisach topograficznych i przypisach. Mnóstwo interesujących szczegółów można zawsze wyłowić z pieśni, obrzędów i z tego osobliwego magazynu kolbergowskiego. Czasami doznaje się wrażenia, że ten niestrudzony zbieracz pragnie w swoim „Ludzie“ pomieścić wszystko, co ma z jego ideą przewodnią związek choćby jak najdalszy. Cytaty, wycinki, streszczenia książek rzadkich i ciekawych, wiadomości z odnośnej literatury zagranicznej, itd., itd. W swojej zaborczości posuwa się on czasami aż do pedanterii przesadnej. Zamieszcza nieraz materiał zbędny, postępując, jak człowiek zbyt ostry, który woli zawsze wziąć za dużo, niż, broń Boże, za mało. Obok świetnych tekstów zebranych osobiście pomieszcza cliwe bajdurzenia grafomanów, różne dyrdymałki obyczajowe i liche powiastki, tylko dlatego, że temat ich jest ludowy i do danej należy dziedziny. W tym cennym zbiorowisku są to dysonanse, które mają rację bytu tylko chyba jako przykład, obróbki najgorszej.

Ale to wszystko wybacza się zbieraczowi niezmordowanemu, który za te przerosty i przeciągnięcia wynagradza nas sownie na następnych stronicach.

Wykonanie pełnego planu kolbergowskiego przerastało siły jednego człowieka. Kolberg wykonał to, co zdążył — następca się już nie zjawiał. Dorównywał mu pracowitością jeden jedyny Udziela, ale pasja zbieracka tego ostatniego obracała się na terenie daleko szczyplejszym, a zdolności tak wysokiej klasy, jak Kolberg, Udziela nie posiadał. Po Kolbergu, zbieraczu syntentycznym, zmierzającym w swoich zamysłach do objęcia całokształtu kultury ludowej, pojawiają się zbieracze o charakterze regionalnym. Niestety niektóre dzielnice Polski pozostały, mimo pracy olbrzymiej, białymi plamami na mapie odkryć etnograficznych. Trzeba sobie dziś jasno uświadomić, że te zaniedbania nigdy już naprawione nie zostaną. Przedmiot badań niedoprowadzonych do skutku zniknął, uleciał, rozwiął się i pograżył na zawsze w nieodgadnionych mrokach minionego czasu. I dlatego jakże nam bardzo żałować trzeba, że Oskar Kolberg w ostatnich latach swojej pracy uległ szlachetnej ekspansji ducha polskiego i podążył starym szlakiem na Wschód. Jakaż to niepomiarna szkoda, że badacz tak doskonały odwiedził Tatry dopiero w ostatnim okresie życia i zebrał niezbyt wiele materiału, który powierzył Akademii Umiejętności. A przecież właśnie Podhale mimo kilku epok wielkiego dla nich entuzjaku są w istocie jednym z najbardziej zaniedbanych regionów etnograficznych. Co za niepowetowana strata, że Kolberg tak mało zajmował się Śląskiem jednym

i drugim, że nie dodał osobnego zbioru powieści ludowych do pięciu tomów swojego Mazowsza.

IV
Z epoki pracowitego gromadzenia materiałów najpełniejszy pod każdym względem obraz etnograficzny osiągnęła ziemia krakowska. Nigdzie również nie zebrano tylu klechd ludowych, co tutaj. Najpierw Kolberg, potem Ciszewski, Świętek, Udziela, Polaczek, Matyas, Cercha, Gonet, Jaworek i tylu innych utrwaliło wielką ilość wątków i odmian klechdowych. Gdyby wszystkie ziemie Rzeczypospolitej opracowane zostały z tak drobiazgową niemal sumiennością, co Krakowskie, posiadalibyśmy wspaniałą, niespotykany nigdzie zasób literatury ludowej. Żadnej połaci kraju nie poświęcono tak wybornych monografii jak Udzieli „Świat nadzmysłowy ludu krakowskiego“, Świętka „Lud nadrański“ albo Ciszewskiego „Krakowiaczy“. Zjawiskiem wyjątkowym poza regionem krakowskim są jedynie „Teksty pomorskie“ Lorentza, uczonego niemieckiego, który zebrał z górą tysięcy tekstów przeważnie klechdowych.

Niezmiernie doniosłym syntetycznym opracowaniem, podstawowym dla badania klechd, jest Kazimierza Nitscha „Wybór polskich tekstów gwarowych“. Znajdujemy tu nie tylko bogactwo materiałów, ale jednocześnie praca wybitnego językoznawcy jest dla nas jakby interesującym przewodnikiem, ułatwiającym orientację i pokonanie najważniejszych zagadnień. Nitsch przystępując do swojej pracy zwrócił się o pomoc nie tylko „do zawodowych językoznawców, ale też sumiennych amatorów“. Dzięki temu zdobył 172 tekstów nowych, które do pewnego stopnia zapełniły nieuwzględnione dotychczas pustacie. Układ geograficzno-gwarowy wpływa jak najkorzystniej na przejrzystość całości i pozwala dość dokładnie zorientować się w różnych niedostatkach pracy etnograficznej.

Zapiski gwarowe, które zjawily się po materiałach regionalnych, mają swoje specyficzne cele. Językoznawcę nie zawsze obchodzi literacka wartość zapisanego tekstu. Bardzo często nie zwraca on najmniejszej uwagi na osobę narratora. Nieraz wystarcza mu dziecko kilkunastoletnie, chociaż gdyby ten sam temat został opowiedziany przez jakąś starszą, specjalnie uzdolnioną osobę, otrzymalibyśmy zdobycz nieporównanie cenniejszą. Ale trudno, cóż poradzić, skoro w poszczególnym wypadku rozstrzygające znaczenie ma nie tok opowiadania, nie finezja szczegółów, ale szmer krtaniowy albo redukcja jakiejś samogłoski, itp. Zdarzają się jednak i w materiałach językoznawczych niespodziewane smakołyki. Szczególnie wartościowym

jest pierwszy w Polsce zbiór językoznawczy Lucjana Malinowskiego „Powieści ludu polskiego na Śląsku“, w których wartość narracyjna jest z reguły niepowszednia.

Nowsi dialektologowie byli w swoich dążeniach nieraz bardziej zasklepieni.

Odczytywanie zapisków gwarowych jest z początku zazwyczaj bardzo trudne. Przeoranie np. tysiąca tekstów Lorentza, zapisanych specjalnym alfabetem, jest dla laika z początku niezmiernie uciążliwe. Są to jednak przeszkody do przewyciężenia. Po oswojeniu się z niezrozumiałymi początkowo hieroglifami, doznaje się wreszcie wrażeń niezwykłych. Niewątpliwie żadna metoda zapisywania tekstów oryginalnych nie daje takiej rozkoszy bezpośredniości, co te tajemnicze znaki odtwarzające tak niesłychanie wiernie dialekt jakiegoś regionu. Jest to przecież ścisłość płyty gramofonowej, na której zostały zapisane. A jeśli przy tym zdarzy się, że tekst pochodzi od utalentowanego narratora, to wartość takiej reprodukcji jest po prostu jedyna w swoim rodzaju, niespotykana nigdy przy żadnej innej metodzie utrwalania. W wyborze Nitscha tego rodzaju niespodzianek znajduje się bardzo wiele. Wydaje mi się, że dla każdego literata interesującego się twórczością ludową, „Wybór tekstów gwarowych“ jest po prostu lekturą obowiązującą.

Gromadzenie materiałów etnograficznych miało u nas nieraz charakter przypadkowy. Czasami rozstrzygał fakt, że jakiś pilny i uzdolniony zbieracz przybył do danej okolicy np. jako nauczyciel lub ksiądz i ulegając wrodzonemu zamiłowaniu rozpoczynał swój romans z ludem. Najszczęśliwszym zbiegiem okoliczności był etnograf, który jak np. Świętek, urodził się w okolicy, którą potem eksploatował, czyniąc z swej pracy terenowo ograniczonej zadanie życia. Było wielu zbieraczy utalentowanych, przejawiających nie tylko rzetelność w zbieraniu, ale i wycucia literackie, wyrażające się chociażby w odnalezieniu szczególnie uzdolnionych narratorów. Ale jedni z nich objawiali ambicję pozostawienia po sobie zbiorów obszernych, czasami nawet wyczerpujących, inni natomiast błysnęli zaledwie kilkunastu albo kilkoma tekstami, które dziś jeszcze podniecają nasz apetyt. Do tych ostatnich należy taki Pobratymiec (Jan Szczęsny zmarł w r. 1938), który wydrukował w lwowskim „Ludzie“ wszystkiego jedną rozprawkę, jeden zbiór zagadek i jedną świetną, humorystyczną gadkę.*) Marian Kucz, współpracownik „Wisły“, przek-

*) Przytoczyłem ją niemal dosłownie w pierwszej serii „Klehd polskich“.

zał zaledwie osiem podań pierwszorzędnej wartości i nie wiadomo dlaczego po trzech latach niezbyt wyężającej działalności znikł na zawsze z ludoznawstwa polskiego. Inż. Traczyk jest autorem kilku przyczynków etnograficznych, z których na szczególną uwagę zasługują teksty: „O smokach i p̄anetnikach“ (Wisła IX, 75).

Pierworzēdny i rzadko wspomniany zbieraczem jest Zygmunt Wierzchowski, którego teksty zapisane w okolicach puszczy sandomierskiej należą do najlepszych i najciekawszych, jakkolwiek nie cieszą się one uznaniem ani etnografów, ani językoznawców. Teksty zapisane przez Wierzchowskiego odznaczają się zawsze konsekwentną strukturą, tok opowiadania wartki i obrazowy wywiera powab osobliwy. Do pewnego stopnia doznaje się wrażenia jakby pewnej subtelnej stylizacji, która jednak w niczym nie osłabia charakteru opowieści ludowej. Wszystkie baśnie z puszczy sandomierskiej są zlokalizowane, wszystkie złączone z jakąś wioską, ze zdarzeniami rzeczywistymi i osobami o ustalonym nazwisku, co razem nadaje im cechę niewątpliwej autentyczności. W ten sposób utrwalonych zostało 60 tekstów, z których znaczna część niespotykana jest w innych okolicach Polski.

Tak zwanymi „lasowiakami“ z okolic Sandomierza zajmował się również znany etnograf Matusiak, który właśnie z tych stron pochodził. Wiele cennego materiału pomieścił on w „Archiv für slavische Philologie“ i w „Kwiatach polskich“. Zapiski Matusiaka świadczą również o niezwykłym bogactwie wyobraźni, o głębokich przeżyciach tego ludu, który niegdyś stanowił odrębną wyspę etnograficzną, mało dostępną wpływom zewnętrznym.*)

Co najciekawsze jest to lud o małej wartości moralnej. Nie wytrzymuje on żadnego porównania np. z mieszkańcami Podhala albo Kurpiami, których wysokie walory są ogólnie znane.

Wierzchowski, który tyle lat tutaj spędził i który jest obserwatorem rzetelnym, wystawia lasowiakom świadectwo bardzo niepochlebne.

Nie okazują oni żadnego przywiązania do ojcowizny, chętnie przesiedlają się, poczucie obywatelskie prawie żadne, na dobro ogólne całkowita obojętność, nieufność i konserwatyzm, chciwość grosza, egoizm w stosunkach rodzinnych, towarzyskich, służbowych itd.

*) Teksty gwary lasowskiej zapisał również językoznawca Stanisław Bąk, rodem z Grębowa w pów. tarnobrzskim.

A jednak, jak świadczy ich twórczość umysłowa, tkwi w tym ludzie coś bardzo nieprzeciętnego. Jeszcze raz sprawdza się przysłowie: „spiritus flat ubi vult“.

Poza przytoczonymi powyżej zbieraczami istnieje jeszcze wielu innych. Na czoło wysuwa się wspomniany już niejednokrotnie Se-weryn Udziela, najbardziej ze wszystkich nieustrudzony i wnikliwy etnograf, mało jednak poświęcający uwagi właściwościom gwarowym.

Wspaniały zbiór klechd górali beskidowych pozostawił Władysław Kosiński. Bronisław Gustawicz zajmuje się przede wszystkim ludem poddukłańskim, Kopernicki działał w okolicach Rabki, a Kornel Kozłowski niemal równocześnie z Kolbergiem wydał doskonałą monografię Mazowsza czerskiego. Do etnografów o charakterze językoznawczym zaliczyć należy Edwarda Klicha z jego niezmiernie interesującymi tekstami z powiatu limanowskiego. Wartościową jest monografia Pleszczyńskiego o bojarach międzyrzeckich, oraz zbiór opowiadań ludowych Chelchowskiego z okolic Przasnysza. Dość sumiennie opracowane zostało Lubelskie, gdzie zaczynając od Kolberga działało wielu etnografów. Lud ziemi Dobrzyńskiej opracował rzetelnie Aleksander Petrow, a okolice Łańcuta, Rzeszowa i Przeworska były przedmiotem cennych badań Saloniego. Gonet Szymon zbierał gadki w okolicach Andrychowa, Kaczmarczyk zaś gromadził ciekawe podania z Wiśnicza. Próbnami ujęcia bardziej ogólnego są Siarkowskiego „Podania i legendy o zwierzętach, drzewach i roślinach“, Gustawicza „Podania, przesady, gadki i nazwy ludowe w dziedzinie przyrody“, oraz Rostafińskiego „Zielnik czarodziejski“, który przy opracowywaniu klechd niemałe oddaje przysługi. Wzorowe są syntentyczne opracowania Erazma Majewskiego, poświęcone poszczególnym zwierzętom, jak np. wężowi, kukułce, nietoperzowi, sowie, itd. Znajduje się tutaj również i dla klechd mnóstwo cennego materiału.

Wielu etnografów działało na kresach. Przede wszystkim godzien uwagi jest zbiór Sadoka Barącz „Bajki, fraszki... na Rusi“, jakkolwiek ze zgromadzonego tutaj materiału należy korzystać dość ostrożnie. Antoni Siewiński ogłosił w lwowskim „Ludzie“ kilkadziesiąt tekstów przeważnie z okolic Brzeżan, gdzie wpływy polskie i ruskie wzajemnie się przenikają. Bardzo interesująca jest praca Saloniego o zaściankowej szlachcie polskiej w okolicach Delejowa (pow. stanisławowski). Karłowicz zebrał na Wileńszczyźnie szereg baśni, z których wiele opowiedziano mu po polsku. W pracowanym dziele

Fedorowskiego o Białorusi znajduje się pewna ilość tekstów polskiej szlachty zaściankowej. Sporo zawdzięczamy uczonym niemieckim, przede wszystkim Toeppenowi (wierzenia mazurskie), oraz Knoopowi, który dostarczył wiele materiału z dość zaniedbanego pod względem etnograficznym regionu poznańskiego.

Poza tym wielu etnografów polskich przeprowadziło swoje poszukiwania na Rusi, Łotwie, Białorusi i Litwie. Dalecy jednak jesteśmy już od tych czasów, kiedy włączaliśmy je bezceremonialnie do zbiorów polskich, jak to się działo za Wójcickiego i Siemieńskiego.

Przedmiotem bardzo intensywnych badań była Kaszubszczyzna i Pomorze. Częściowo doskonałym przewodnikiem w tej mierze jest interesujący, niedawno wydany przez Stelmachowską „Rok obrzędowy na Pomorzu“, oraz praca zbiorowa Lorentza, Fischera i Lehr-Splawińskiego „Kaszubi, kultura ludowa i język“. I w jednym i drugim opracowaniu znajdujemy dokładną bibliografię przedmiotu.

Przez pewien okres zagadnienie Kaszubszczyzny było zagadnieniem spornym. Pierwszy badacz tej ziemi, słynny Florian Cenova był separatystą kaszubskim i mimo, że w sposób decydujący sam wpływem polskim ulegał, podkreślał przy każdej sposobności zupełną odrębność „tego nieznanego ludu“. Podtrzymują ten separatyzm zarówno uczeni niemieccy, jak i niektórzy polscy na czele z Ramułem, autorem „Słownika pomorskiego“. W gorących na ten temat dyskusjach wypowiadali się za polskością Kaszub uczeni tej miary, co Karłowicz, Kryński, Kalina Antoni, Krcek i inni. Sprawa została wreszcie przesądzona. Narodowe odrodzenie Kaszub przybrało na sile i razem z tym odbywała się eksploatacja etnograficzna tej ziemi. Krakowska Akademia Umiejętności wydała wspaniały zbiór „Tekstów pomorskich“ Lorentza, które zwłaszcza dla klechd polskich posiadają wartość pierwszorzędną. Bardzo cenny zbiór literatury kaszubskiej znajdujemy na łamach czasopisma „Gryf“, które wychodziło dwukrotnie, po raz pierwszy pod redakcją Majkowskiego. Niezwykle interesujące jest studium etnograficzne Nadmorskiego „Kaszuby i Kociewie“, oraz „Zbiór podań, powieści i baśni kaszubskich“ Grzegorza Smulskiego.

Wiele należałoby się spodziewać po Kurpiach. Osobliwości mieszkańców „puszczy zielonej“, ich charakter odrębny, znany każdemu, co się z Kurpiami stykał, wspaniałe tradycje historyczne, nieprzeciętne zdolności artystyczne obiecywały wiele w dziedzinie twórczości umysłowej. Niestety nie została ona utrwalona. Najbardziej znany etnograf tej grupy A. Chętnik więcej się Kurpiami zachwycał, niż

dostarczył interesującego materiału. Zanotował zaledwie kilka opowiadań, często zniekształconych przerostami literackimi i ckliwą stylizacją. Nitsch w „Wyborze tekstów gwarowych“ przytoczył zaledwie kilka mało interesujących nas opowiadań.

Tak więc region pierwszorzędny, zupełnie zaniedbany i pominięty przez sumiennych zbieraczy, wnosi bardzo ubogie wiano do ogólnego bogactwa polskiej kultury umysłowej.

Mniej więcej to samo można powiedzieć o łowickich księżakach, którzy zresztą najszybciej ulegli niwelacji. Zachowali wprawdzie do dziś dnia oryginalne stroje ludowe i zdobnictwo, ale pod czułą i nieumiejętną opieką entuzjastów miejskich zatracili właściwą oryginalność. Ogólne ujęcie kultury łowickiej przez A. Chmielińską w małej, popularnej książeczce wypadło zbyt pobieżnie i ubogo.

Zostawiliśmy na koniec sprawę najbardziej interesującą, a mianowicie sprawę regionu podhalańskiego.

Odkrywanie Podhala odbywało się wielokrotnie. W historii tej dzielnicy należy uwzględnić co najmniej trzy zasadnicze okresy: romantyczny, pozytywistyczny i młodopolski.

Trudno określić w którym z tych trzech okresów entuzjazm dla Podhala był bardziej gorący i szczery. Jest to dziś sprawa prawie obojętna. Nas obchodzi wyłącznie co ostatecznie wynikło, co się urodziło i zostało z tych trzech romansów polskiej inteligencji z ludem podhalańskim, który w ostatnim okresie uległ już niszcycielskiemu procesowi rozkładu i wywołał pogardliwe niezadowolenie, może właśnie dlatego, takiego entuzjasty Tatr, jakim był Kazimierz Przerwa Tetmajer, skoro w przedmowie do swojego „Skalnego Podhala“ stanowczo się zastrzegł, że „z dzisiejszą góralszczyzną i zakopiańszczyzną nie ma tu nic wspólnego“.

Seweryn Goszczyński, największy entuzjasta Podhala w epoce romantycznej, napisał wprawdzie czarującą książkę o Tatrach i ich mieszkańcach, ale właściwie dał dopiero przedsmak tego, co miało niebawem nastąpić, zaostriął apetyt wszystkich późniejszych wielbicieli Tatr i wskazał niewyczerpane jeszcze źródła bogactw olbrzymich.

Miarodajnym dla właściwej eksploatacji Podhala jest tedy okres rozwijającego się ludoznawstwa z jednej strony, a z drugiej odkrycie swoistej kultury góralskiej przez Witkiewicza, Matlakowskiego, Dembowskiego i wielu innych. Są to jednocześnie czasy Chalubińskiego, Sabały i ks. Stolarczyka, czasy, kiedy wspaniały podhalański

prymityw ludowy jaśniej jeszcze w całym swoim przepychu i domaga się po prostu umiejętnego zeń czerpania.

A było się o co pokusić.

„Górale — pisał Witkiewicz — są jedną z najwyborniejszych odmian polskiej rasy. Lud to po prostu genialny, cudownie nadający się do cywilizacji. Nadzwyczajna inteligencja, połączona z wielką rozwagą, nie zabijająca jednak ani lotności pojmowania ani wrażliwości na zjawiska i wpływy zewnętrzne; wrodzona wytworność obyczajów i stosunków, dzielność, energia i sprawność czynów są przymiotami górali, które uderzały wszystkich ludzi, zacząwszy od Staszica. Lud ten, niespętany nigdy pańszczyzną, bardziej niż jakiś inny lud polski świadomy swojej odrębności plemiennej, przechował u siebie w stanie żywym i świeżym pierwiastki dawnej kultury polskiej w obyczajach, przepysznej mowie, i budownictwie i artyźmie, który nadawał każdemu przedmiotowi codziennego użytku. Góral przy tym ma pewne szczególne przymioty fizjologiczne, które zeń robią wyjątkową organizację ludzką. Ma on nadzwyczajnie silny system nerwowy, który mu pozwala żyć i działać przy nadzwyczajnie lichym pożywieniu, z energią, jakiej nie wykazałaby w tych warunkach żadna inna odmiana polskiego ludu. Prowadzi to w dalszym skutku do pewnych przymiotów psychicznych, tak bardzo cennych w życiu, jak niedający się zwalczyć przeciwnościami optymizm, nieupadająca nigdy energia czynu, ciągła pogoda ducha, utrzymująca ludzką istotę ponad nędzami życia.“

Dodajmy jeszcze do tej świetnej, zwartej charakterystyki osobliwe piękno natury, której lud był częścią, „był jakby jej duchem, fantastycznym tłumaczem jej piękna i potęgi, zdolnym opowiadaczem i twórczą legend...“

To wszystko razem wyraziło się w niesłychanie przyciągającej sile ku Tatom. Przybywają tutaj ludzie najrozmaitszego rodzaju i najrozmaitszego poziomu. Cudowny klimat ścigał suchotników, którzy stają się na całe życie entuzjastami Podhala i znajdują w nowoodkrytej krainie prawdziwą ojczyznę. Nasycy się kulturą Podhala twórczość wielkich pisarzy, wszelkich artystów i badaczy naukowych. Poezja unosi swoje skrzydła ponad śnieżne szczyty. Język polski przyswaja raz na zawsze zwroty soczyste, określenia jędrne, słowa nieznanne i z radosnym zdumieniem odnajduje w gwarze góralskiej prastare archaizmy.

Wreszcie Zakopane staje się modną, letnią stolicą Polski.

Przybywają tutaj niemal wszyscy, przybywa śmietanka towarzyska i cyganeria artystyczna, przybywają ludzie strudzeni i żądni nowych wrażeń, tworzą się całe zastępy zajadłych tatarników i jednocześnie wyrastają, jak spod ziemi, nieprzebrane zastępy snobów którzy rozpoczynają niebawem swoją niszczycielską robotę i doprowadzają ten lud wspaniały do przejściowej degeneracji, tak, jak to się dzieje wszędzie w okresach bezkrytycznej, zawsze szkodliwej, egzaltowanej chłopomanii.

Zjawia się wreszcie i sam Ferdynand Hoesick, rozwlekły, pospolity gaduła, autor czterech tomów „Tatr i Zakopanego“, który w najbardziej nieumiejętny sposób gromadzi materiał olbrzymi, przetykany niezdarnymi komentarzami i konwencjonalnymi aż do uprzykrzenia połączeniami sążnistych cytat. Rozpoczyna od stworzenia świata i kończy na swoich najświeższych elukubracjach, drukowanych w prasie codziennej. Reprezentuje on egzaltację najbardziej płaską i bezkrytyczną, nie umie nawet w najprymitywniejszy sposób uporządkować tego, co o Tatrach pisano, często opuszcza sprawy najważniejsze i oddaje całe stronicę na łup zbędnych błahostek. Jest wciąż pełen zachwyków i wykrzykników, rozdaje na prawo i lewo komplementy wyuzdane, opatruje etykietami niezdarnymi legendarne postacie Zakopanego i w ten sposób staje się jakby prekursorem snobizmu ogarniającego powodzią głupstwa „bajeczny świat Tatr“.

Są tedy na miejscu wszyscy. Dokonuje się w okresie dwóch epok literackich proces tak u nas niestety powszechny. Podczas jednak wieloletniego entuzjazmu tatrzańskigo brakuje wyteżonej pracy zawodowych sumiennych etnografów. Nie znajduje się jakiś językoznawca niestrudzony w rodzaju Malinowskiego albo Lorentza, który by poświęcił kilka lat gromadzeniu literatury ludowej podhalańskiej, a przecież należało się spodziewać, że lud tak odrębny, tak, dzięki warunkom przyrodzonym, odporny na wpływy zewnętrzne musiał posiadać niezmierne bogactwa w dziedzinie wierzeń i opowieści wysnutych z własnych osobliwych przeżyć.

Podhale zdane jest nieraz na mniej lub więcej przypadkowe zainteresowanie pisarzy wprawdzie świetnych, ale szukających wyładowania dla swojego temperamentu twórczego w dziedzinach rozległych, nie podlegających ścisłym nakazom. Zachwyty nad literaturą ludową Podhala są wspaniałe, ale jakże często gołosłowne. Znawcy prawdziwi Tatr, jak Witkiewicz, Tetmajer i Orkan są organizacjami

niezmiernie chłonnymi, ale zdobyty materiał przetapiają w tyglach własnej twórczości. Wrześniowski daje wprawdzie cenny opis etnograficzny, ale jest on jeszcze daleki od wymagań nowoczesnych badań folklorystycznych. Istnieje kilku etnografów domorosłych, ożywionych najlpszymi chęciami, jak Stopka, Kantor i Brzega, jest i folklorysta na miarę europejską w osobie Juliusza Zborowskiego, kustosa Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem, ale wysiłek wszystkich czterech zawiera się objętościowo w jednej małej książeczce i kilku broszurkach.

Zborowski utrwalił zaledwie kilkanaście przepysznych tekstów gwarowych, utrwalił je z sumiennością, ze smakiem człowieka zżytego z kulturą Podhala, czego nikt oprócz niego nie osiągnął. Trudno o wyższy poziom zbieracza. Teksty Zborowskiego mają jeszcze tę niepoślednią wartość, że się przeważnie wywodzą z rzeczywistych, oryginalnych przeżyć uzdolnionych narratorów. Są tedy najprawdziwszym świadectwem samorodnej twórczości ludowej, nie mającej nic wspólnego z motywami wędrownymi, o czym powątpiewa wielu uczonych badaczy. Gdyby Zborowski, który miał wszelkie ku temu dane, dociągnął chociaż do jednego tomu rozmiaru kolbergowskiego „Ludu“, mielibyśmy utrwalony na zawsze pomnik rdzennej kultury podhalańskiej w zakresie tak mizernie w tym regionie reprezentowanych klechd.

Etnografia podhalańska zdobyła się wszystkiego na jedną, jedyną monografię jednej wsi „Czarnego Dunajca“, opisanego przez Kantora, która jednak nie wytrzymuje porównania z innymi pracami tego rodzaju. Monografista na poziomie Świętka w Tatrach nie pojawił się nigdy.

Nie brakowało natomiast tutaj doskonałych narratorów o żywej wyobraźni, dobitnym, jędrnym stylu i trafnym poczuciu pointy.

Przede wszystkim Sabała, potem Suleja, Obrochta, Gadeja, Janik i wielu innych. Najbardziej popularnym i znanym był naturalnie Sabała. Żadna chyba z chłopskich postaci nie doznała tylu zachwytołów wyrażanych w formie najwyższych superlatywów. Z kimże go nie porównywano? Z Miltonem, Homerem, Sokratesem i Ezopem, a jak zawsze usłużny Hoesick nazwał tych, którzy zapisywali sabałowe bajki, jego ewangelistami. Niewątpliwie Sabała wywierał na swoim otoczeniu silny urok, który nieraz przenoszono podświadomie na całą jego osobowość. Z tymi wrażeniami bezpośrednimi mamy teraz trochę kłopotu. Np. p. Wysłouchowa, która utrwaliła kilku interesujących tekstów podhalańskich, wyraża przekonanie, że ten

tylko do głębi może je odczuć i zrozumieć, kto słuchał opowiadań góralskich wieczorem, przy ognisku, pośród malowniczej i dzikiej przyrody tatrzańskiej. Tego rodzaju sugestie działają również we wspaniałym dziele Witkiewicza „Na przełęczy“, w opisach Chałubińskiego, u Tetmajera i innych entuzjastów Tatr. Niestety dziś wyłania się w tej mierze sytuacja beznadziejna. Nic na to nie można poradzić, że pewne możliwości minęły bezpowrotnie. Żadna siła nie zdoła wskrzesić Sabały wraz z jego gęślikami. Pod wierchami można jeszcze rozpałić ogniska, ale współczesny narrator sparodiowałby prawdopodobnie tych, co w młodości swojej wyskakiwali jeszcze zza buczka.

Czytamy te historie i pieśni z dawnych czasów beznamytnie, bez entuzjazmu zakopiańskiego i co najważniejsza bez egaltacji, która się potem wyłoniła. Czytamy je i przejmujemy się nimi, a nawet wzruszamy, ale dopiero wówczas, kiedy wedle naszych współczesnych pojęć znajdujemy tam wartości, które przetrwały bez nastrojów wieczornych, bez rozpalonych ognisk, bez scenerii natury i osobistego uroku niezwykłych gawędziarzy. I dlatego prawdopodobnie nasz osąd wypadnie bardziej sprawiedliwie i bardziej obiektywnie choćby dlatego, że literaturę podhalańską badamy jako część ogólnie polskiej całości.

Przy realnej pracy nad klechdami polskimi nie podobna obronić się przeświadczeniu, że mimo wszystko Sabała jest postacią mocno przereklamowaną. Zostało po nim kilka zaledwie odmian niepospolitych i bardziej oryginalnych w ujęciu, reszta zaś należy do motywów wędrownych, przy tym niezbyt interesujących. Zapisane przez Dembowskiego „Bajki według opowiadania Jana Sabały Krzeptowskiego z Kościelisk“ przynoszą nam raczej rozczarowanie. W książeczce Stopki więcej jest entuzjazmu, niż wartościowego materiału. Najciekawsze opowiadania myśliwskie utrwalił Witkiewicz. Tak więc albo nie zdołano dobrać się do całego repertuaru Sabały albo też nie istniał on w ogóle w takich rozmiarach, jakie narzucała podniecona reklama. Sabała jest więcej legendą, niż rzeczywistą postacią o trwałych wartościach. Równie dobrych narratorów istniało wielu i na Podhalu i w innych polskich regionach, tylko, że tamci nie mieli tyle szczęścia, aby zostali odkryci przez entuzjastów takiej klasy, jak Witkiewicz lub Chałubiński.

Świat „starodawnych chłopów“ wraz z całym osobliwym otoczeniem przekazany nam został najtrwalej, najpiękniej i najgłębiej przez wizje artystyczne Kazimierza Przerwy Tetmajera, który two-

rzył go w poczuciu osamotnienia i melancholijnego niezrozumienia. Nikt tak jak on go nie przetworzył, nikt tak oryginalnie i prawdziwie go nie odczuwał. I przede wszystkim w „Skalnym Podhalu“, a nie w „Legendzie Tatr“. Tetmajer jest typowym lirykiem i przez liryzm spokrewniony najściślej z formą nowelistyczną, tak bliską opowiadaniu ludowemu. Tam, gdzie usiłuje stworzyć epopeę historyczno - ludową, jego wrażliwe, przeczulone serce zawodzi; traci siły twórcze pod brzemieniem zadań nadmiernych. Tetmajer należy w ogóle do artystów nie zdających sobie dokładnie sprawy z własnych możliwości, stąd tyle w jego psychice niepokojów, rozżaleń i załamania wewnętrznych. W „Legendzie Tatr“ współzawodniczy bez powodzenia z Sienkiewiczem. Tak jak wszyscy pisarze podhalańscy, ulega sugestywnej zachęcie Kubali i wyolbrzymia postać mało ciekawego w istocie awanturnika, jakim był Kostka Napierski. Nie udaje mu się również wyidealizowany Janosik, tworzy jakąś wymyśloną, z własnej wyobraźni wysnutą mitologię podhalańską, która niewiele ma wspólnego z folklorem, jak i ze starymi tradycjami. Znużony wreszcie tymi wszystkimi wysiłkami odpoczywa w konwencjonalizmie literackim. Niedomagania te nagradzają z nawiązką wspaniałe opisy przyrody i rapsodyczne, zwarte poematy prozą, do jakich należy np. wymarsz na hale.

Mistrzem o pełni wyrazu jest dopiero w „Skalnym Podhalu“, w tych krótkich opowiadaniach, wyrażających z nieporównaną plastyką całą odrębną urodę psychiki podhalańskiej.

Ale jeszcze jedno niestety... niestety opowiadania Tetmajera zostały napisane przeważnie w gwarze naśladowującej podhalańską. Znakomity pisarz uległ modzie powszechnej tego okresu, kiedy interesujący i wartościowy dialekt usiłowano podnieść do godności języka literackiego, kiedy na gwarę podhalańską tłumaczono fragment Iliady, Kwiatki św. Franciszka z Asyżu, Tolstoja itd. Przyczyniło się to od razu do niepopularności „Skalnego Podhala“, które nawet dla wielu inteligentnych czytelników pozostało do dziś księgą zamkniętą albo przynajmniej lekturą trudną, zniechęcającą mozolemiem się nad odczytywaniem niezrozumiałego tekstu.

Wprowadzenie dialektu góralskiego jako trwałej pozycji literackiej zawiodło. *) Wysiłki Tetmajera i Witkiewicza nie zdobyły sobie

*) Tetmajer zdawał sobie z tego sprawę, skoro w „Bajecznym świecie Tatr“ zdania gwarowe zaopatruje w przekład na normalny język literacki.

również uznania u specjalistów, a język ogólnie polski wziął z gwary podhalańskiej to tylko, co było mu potrzebne.

Zagadnienia transpozycji językowej, które wyłoniły się na pograniczu folkloru i literatury, rozstrzygnął najbardziej szczęśliwie inny pisarz, który nie uległ powszechnej sugestii. Pisarzem tym był Henryk Sienkiewicz, który w genialnej obróbce „Sabałowej bajki” dał niedościgniony wzór umiaru artystycznego w traktowaniu literatury ludowej. Wystarczy porównać tekst sienkiewiczowski z tekstami Dembowskiego i Stopki, aby przypatrzeć się dokładnie chwytom mistrzowskim wielkiego prozaika, jego fenomenalnym skrótom i nasyceniu opowiadań folklorem w nieomyślnej proporcji.

Gdyby Tetmajer uległ nakazom, które musiały mu się nasuwać, nie potrzebowałby się skarżyć na niepopularność i narzucać piękny wprawdzie obraz poetyki, niemniej jednak świadczący o nieopanowanych konfliktach wewnętrznych:

„Nic mnie też nie martwi, że moje pisma góralskie są niezmiernie mało wzięte i znane wśród publiki; byłoby źle, gdyby było inaczej. Czterech tylko powinienem mieć słuchaczy: mego ojca; Seweryna Goszczyńskiego; pierwszego proboszcza zakopiańskiego księdza Józefa Stolarczyka i nieśmiertelnej tatrzańskiej pamięci doktora Tytusa Chałubińskiego. — Przy wielkiej wiatrze, gdzieś u wierchu w Kościeliskach, albo Chochołowskiej Dolinie, mógłbym im czterem opowiadać te powieści, a oni by słuchali, rozumieli i czuli.“

Prawdę powiedziawszy jest w tym dużo poetyckiej przesady. „Skalne Podhale” nie jest jakąś skomplikowaną mistyką dostępną tylko dla wybranych. Niepowszednią, przesycone oryginalnością, bardzo dalekie od ludowego konwencjonalizmu, są jednak zasadniczo przejrzyste i pełne szlachetnej prostoty. Sam Tetmajer przyznaje, że niektóre z jego opowiadań lud podhalański sobie przyswoił. Prócz trudności gwarowych nie ma tedy żadnych przeszkód, aby „Skalne Podhale” zdobyło sobie taką samą co najmniej popularność, jak niektóre jego liryki.

Dla nas jedno jest w tej sprawie pewne. Pomiedzy nieudanym eksperymentem z dialektem podhalańskim a opanowaniem artystycznym Sienkiewicza ściele się prosta i jasna droga dla tych wszystkich, którzy znajdują się kiedykolwiek wobec konieczności parania się z obróbką klechdy ludowej.

Zaniedbania etnograficzne co do literatury ludowej Podhala nie dały się już usunąć, mimo żywego ruchu folklorystycznego, mimo ukazania się wielu czasopism regionalnych w rodzaju „Pamiętnika

tarzańskiego“, „Rocznika podhalańskiego“, „Wierchów“, „Gazety podhalańskiej“ i innych.

Jak już wspominałem, nie były to zaniedbania jedyne. Ubolewa nad nimi Nitsch, a J. St. Bystron stwierdza jeszcze, że mało zajmowano się góralami białogórskimi i beskidowymi, prawie nic nie wiemy o Kliszczakach, skąpe materiały zebrano o wielkiej grupie śląskiej, jak i o grupach: wielkopolskiej, kujawskiej i środkowopolskiej.

Jasno z tego wszystkiego wynika, że badania etnograficzne w Polsce podczas największego dla nich zamięłowania prowadzone były niesystematycznie, bez skoordynowania znacznych wysiłków w granicach z góry obmyślanego planu.

Nie było instytucji naukowej, która by kierowała wyprawy etnograficzne w te regiony, które zostały pominięte. Nie było przede wszystkim na to dostatecznych środków materialnych. Krakowska Akademia Umiejętności dokunuje wspaniałych wysiłków, podejmuje i prowadzi przez całe lata różnorodne wydawnictwa naukowe, ale nie może poradzić sobie z zadaniami, których ważność należyście docenia, ale których doprowadzić do skutku nie może. Wszystkie pisma etnograficzne, przede wszystkim warszawska „Wisła“ i lwowski „Lud“, walczą z nieustającym niedoborem. W terenie pracują najczęściej bezinteresownie licho wynagradzani nauczyciele i profesoremie gimnazjalni, oraz przypadkowi entuzjaści z zapałem w sercu i płótnem w kieszeni, ożywieni ideą szlachetną działającą tylko dla samej pasji pracy, jakże często pozbawieni nawet podniety moralnej z zewnątrz. Jest to jedno pasmo wysiłków najtrudniejszych, pokonywanie przeszkód najrozmaitszych, nie wyłączając tych, które wyłaniały się niemal na każdym kroku dla synów narodu pozbawionego wolności, podzielonego między trzy odrębne organizmy państwowe.

Nie da się tedy zaprzeczyć, że w sytuacji tak ciężkiej zdziałano bardzo wiele — nieraz ponad środki, którymi rozporządzano.

Obok gromadzenia materiałów etnograficznych rozpoczęły się po pewnym czasie także i pierwsze badania teoretyczne. Głównym inicjatorem w tym kierunku a jednocześnie niezamordowanym pracownikiem był jeden z najświetniejszych naszych uczonych — Jan Karłowicz. Jest on uczonym o typowo polskiej strukturze umysłowej, to znaczy jego cechą zasadniczą była niezwykła wszechstronność i dążność do syntezy. Nie koordynuje on wszystkich swoich wysiłków w jednej dziedzinie, nie umie się ograniczyć do jednego

celu, ale zmienia jedną dziedzinę wiedzy na drugą, nawet w tym samym zakresie przechodzi działy różnorodne, wszędzie jest twórczy i wszędzie nie opuszcza ani na chwilę wysokiego poziomu naukowego, — nie tylko spostrzega rażące niedostatki, ale natychmiast rozpoczyna w tempie gwałtownym pracę w tym właśnie kierunku. Nie zdołał dokończyć dwóch dzieł rozpoczętych: „Słownika języka polskiego“ i „Słownika gwar polskich“, ale jego autorytet jest tak wielki, praca, którą rozpoczął, tak ważna, że jakby pod naciskiem jego osobowości zza grobu, oba te pomnikowe wydawnictwa zostały doprowadzone do końca przez innych. Jest rasowym, pełnokrwistym polskim badaczem. Jego fotografia była umieszczona w specjalnych wydawnictwach jako podobizna typu polskiego, a cała jego działalność naukowa świadczy o specyficznym polskim walorach duchowych. Bibliografia działalności Karłowicza jest zjawiskiem najbardziej osobliwym.

W zakresie najbliższym nam tutaj obchodzącym prace Karłowicza są do dziś pozycjami niewzruszonymi. W studium o Madeju jest pierwszym polskim etnografem, który w sposób doskonały zbiera wszystkie odmiany tego motywu zarówno polskie jak i obce, analizując ich znaczenie. Krytyczne rozbiory starodawnych legend i postaci legendarnych* (Dobosz, Janosik) są wciąż jeszcze nie do zastąpienia. W „Wielkiej Encyklopedii“ zamieszcza wiele wybornych charakterystyk bazyliuszka, biedy, biesa, błędnych ogników, boginek, Boruty, chochlika doli, dziewanny itd. W pierwszym tomie „Wisły“ zamieszcza studium „Czary i czarownice polskie“ które w zakresie etnograficznym jest podstawowy dla demonologii polskiej. Zajmował się również systematyką pieśni ludowej, był wreszcie niestrudzonym pośrednikiem między najnowszymi zdobyczami nauki europejskiej a Polską, analizował pojęcia podstawowe i wprowadzał wszędzie tam, gdzie panowała dyletancka dowolność, metody ścisłe. Żadna z jego prac nie wydziela posmaku dżubaniny seminaryjnej, nie dorzuca też, jak inni, przyczynków; jego twórczość, utrzymując się na najwyższym poziomie naukowym, pociąga swoim urokiem niemal wszystkich.

Niepożyte są jego zasługi, jako kilkonastoletniego redaktora „Wisły“, które to pismo w owym czasie osiągnęło najwyższy poziom w Europie.

*) Tylko dzięki Karłowiczowi mógł Żeromski napisać swoją „Opowieść o Walgierzu Udałym“.

Karłowicz jako wybitny przedstawiciel epoki pozytywistycznej, jest zwłaszcza w odniesieniu do literatury ludowej pogromcą wybujałości romantycznych. Czasami jednak i on wyraża poglądy zbyt krańcowe, aby nie wymagały one dzisiaj przezwyciężenia.

2. Niemal równocześnie z Karłowiczem działał Zygmunt Gloger, napół naukowiec, napół zbieracz i sentymentalny gawędziarz. Najcenniejszą jego pracą są nieskończone „Obchody weselne” oraz czterotomowa „Encyklopedia staropolska ilustrowana”, podręcznik niezastąpiony, którego doskonałym rozszerzeniem i uzupełnieniem jest już przed wojną ukończona brücknerowska „Encyklopedia staropolska”.

3. Stanisław Ciszewski, typ naukowca, jest zbieraczem poważnym już w najwcześniejszej młodości. Najbardziej znanym zbiorem jego są „Krakowiacy”, praca zamierzona na wielką skalę, która się jednak ograniczyła do pierwszego tomu, obejmującego podania, baśni, powieści, anegdota i zagadki. Teksty z wieloma nieraz odmianami zostały zapisane tak wiernie pod względem gwarowym, że Nitsch uznał za stosowne włączyć niektóre z nich do swojego „Wyboru tekstów”.

Co do wartości literackiej o wiele bardziej interesująco przedstawia się monografia tegoż autora: „Lud rolniczo-górnicy z okolic Sławkowa w powiecie olkuskim”. Akademia Umiejętności wydała go w r. 1886, autor liczył sobie wówczas lat zaledwie 21. Znajduje się tutaj jeden z najcenniejszych zbiorów klechdowych, jaki w ogóle posiadamy. Wyborne facecje i baśnie demonologiczne uzupełniają szczególnie wartościowa i rzadka wiązanka legend o Skarbniku, który w materiałach etnograficznych pojawia się nader rzadko.

W dalszym ciągu swojej działalności Ciszewski drukował jeszcze w „Wiśle” wiele cennych rozpraw na temat motywów wędrownych, a potem zajął się ścisłymi badaniami etnologicznymi.

VI.
1. Z etnografią wiele mają wspólnego historycy, filologowie i historycy kultury. „Lud” lwowski podczas redakcji Antoniego Kaliny, a również w innych okresach, jest przeładowany pracami tego rodzaju. Ponad całe to środowisko wyrasta potężna indywidualność Aleksandra Brücknera, erudyty niezwykle, pisarza świetnego i pełnego żywiołowego temperamentu, który często prowadzi go do wniosków zbyt krańcowych. Wszędzie tam, gdzie przy obróbce klechd wchodzi w grę dawne tradycje, spotykamy się z tym pracownikiem niezmordowanym. W samych tylko: „Dziejach kultury polskiej”, w „Słowniku etymologicznym”, w „Mitologii słowiańskiej” i „Mito-

logii polskiej“ znajduje się istna otchłań zagadnień pobudzających, cały nawał nastrojów polemicznych, nie oszczędzających żadnego autorytetu. A ileż zostaje jeszcze rozpraw cennych, wnikających w dziedzinę najtrudniejsze, poświęconych najrzadszym pomnikom piśmiennictwa polskiego, ludziom zapomnianym albo też zupełnie nieznanym, środowiskom niewyzyskanym dotychczas przez żadnego naukowca.

W ostatnich czasach na czoło etnografii polskiej wysunął się Jan St. Bystron, uczonego i pisarza złączonego ze środowiskiem ludowym przez podwójne tradycje rodzinne. Dąży on już do syntetycznych opracowań nagromadzonego materiału. Jego „Kultura ludowa“ i „Wstęp do ludoznawstwa polskiego“ są pozycjami, które będą podstawowymi dla każdego, co się dostaje w krąg naszego folkloru. Prace nad pieśniami balladowymi i wyborne studium o „Megalomanii narodowej“ są szczególnie interesujące przy rozpatrywaniu zagadnień klechdowych. Poza tym nie ma prawie takiej dziedziny w etnografii polskiej, w której by Bystron czegoś nie uporządkował, gdzie by nie wtrącił swego inteligentnego widzi mi się albo nie rzucił wskazówki na przyszłość. Jest badaczem nawskroś nowoczesnym, obiektywnym i sprawiedliwym, nie ulegającym żadnym sugestiom. Nie wyolbrzymia nigdy zagadnień, które narastają u wielu innych do nienaturalnych rozmiarów przez nieopanowaną predyspozycję uczuciową. Podczas uciążliwych nieraz wędrówek wśród ludoznawstwa polskiego, kiedy wylaniają się pytania niepokojące i piętrzą się nieprzewidziane trudności, w książkach Bystronia znajduje się często przystań spokojna, prawdziwe wytchnienie, powrót do zachwianej równowagi i zachętę do prostoty, skoro zawile komplikacje zagradzają nam niepotrzebnie drogę do sądów jawnych i ścisłych.

Prawie przed samą wojną ukazał się trzeci tom wielkiego dzieła Kazimierza Moszyńskiego pt.: „Kultura ludowa Słowian“. Nie jest to jeszcze całość. Zakończona została dopiero kultura materialna i kultura duchowa, została jeszcze kultura społeczna, oraz „bardzo obszerne indeksy“. Bez tych ostatnich trudno się zorientować dokładnie w olbrzymim materiale zgromadzonym na dwu i pół tysiąca stron. Wiemy tylko, że część tego materiału zupełnie nieznanego zebrana została albo osobiście przez Moszyńskiego, albo przez jego uczniów. Niektóre fragmenty tej pracy, jak np. teksty M. Gładysza, są wprost rewelacyjne. To samo trzeba powiedzieć o przykładach zaczerpniętych z różnych prymitywów słowiańskich.

Brückner broniąc Moszyńskiego od zarzutu „nierównomiernego uwzględnienia materiału z różnych krajów słowiańskich“ stwierdza: „Ani wszystkie połacie Słowiaństwa samego, ani wszelkie wymienione rozdziały są równocześnie obrobione — dla słusznych przyczyn. Ponieważ rozchodzi się o ludowość tj. rodzimość, nęcą autora nierównie mniej zachodnie połacie, Czechy, Łużycanie, Słowianie, Wielkopolska, wystawione na potężne, wszechstronne oddziaływanie niemieckiej kultury ościennej niż wschodnie i południowe, od niej mniej lub wcale nie zawisłe.“

A Moszyński dodaje od siebie: „Nie chodziło mi bowiem tu, jak zresztą w całym dziele, o trzymanie się zasady równomiernego uwzględniania materiałów z różnych krajów słowiańskich, lecz o jak najlepsze zademonstrowanie na materiale słowiańskim prymitywnych stopni rozwoju kultury, by pogłębić zrozumienie tego rozwoju“.

Na tym właśnie polega urok dzieła Moszyńskiego, że oscyluje ono nieustannie między najwyższym, niemal przerafinowanym wykwi-tem naukowej myśli europejskiej a prymitywem ludu słowiańskiego, co jednak żadnych nie wytwarza dysonansów. Wszystkie ostatnie zagadnienia są tu poruszone i indywidualnie przetrawione. Moszyński mówi o sobie, że nie jest dialektologiem, ale poczucie języka i to niejednego ma wyborne, a poza tym pisze z głęboką znajomością przedmiotu zarówno o całej kulturze materialnej, plastyce, muzyce, tańcu, teatrze, jak o magii i wierzeniach ludowych, o całej twórczości umysłowej, onomastyce itd. Całe dzieło ilustrowane bogato, nasycone zostało wielką ilością przykładów, które rozwierają przed nami niezwykle możliwości porównawcze. Jest to olbrzymi zbiór wiadomości, który podczas pracy nad klechdami, musiał być wertowany nieustannie, który pomagał do odpowiedzi na najbardziej zasadnicze i skomplikowane pytania, przy czym błędziło się zawsze bez praktycznego celu wśród spotykanych przypadkiem uroków prymitywnego piękna. Nieraz i sam autor, porzucając chłodną metodę naukową, przemawia do czytelnika sugestywnym obrazem o wielkiej plastyce albo piękną, bezpośrednią apostrofą wydobywa to, co wymagałoby długiej i skomplikowanej analizy, przeładowanej terminologią naukową.

Dzieło Moszyńskiego jest jednym z najważniejszych wydarzeń pośród nowoczesnej etnografii czy też etnologii polskiej. Zjawia się ono po długim impasie badań teoretycznych, z materiałem nieoczekiwanym i mało komu znanym, z całym nowoczesnym aparatem naukowym i polotem myśli głębokich.

W okresie ostatnim działa jeszcze jeden etnograf czy też etnolog, którego nazwisko w bibliografiach ludoznawczych niezmiernie często się powtarza. J. St. Bystróż z wrodzoną sobie sumiennością notuje go we „Wstępie do ludoznawstwa polskiego“ 22, a w „Bibliografii etnografii polskiej“ aż 59 razy. Jest nim Adam Fischer, profesor etnologii na uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, do ostatnich czasów redaktor lwowskiego „Ludu“, uczestnik wielu zjazdów i korespondent różnych instytucji naukowych, a przy tym pisarz niestrudzony.

Wszystkie jego prace naukowe i popularne małą stosunkowo przedstawiają wartość. Materiał zebrany jest interesujący, ale opracowanie go przez Fischera nie zadowala najskromniejszych nawet wymagań (np. rozprawa w diable polskim w księdze ku czci Brücknera).

Została mi jeszcze jedna pozycja, najbliższa podjętemu zadaniu. Dotyczy ona teoretycznego ujęcia i analizy istoty klechdy.

Od czasów romantyzmu, od pierwszego przewyciężenia nadmiernych w tej dziedzinie wybujałości dziwnie u nas było tu glucho. Błysnęły na pewien czas pierwsze próby Karłowicza (przede wszystkim wzorowe studium o Madeju), powoływano się na różnorodne opinie uczonych europejskich, a w „Wiśle“ znajdujemy kilka wartościowych opracowań z tego zakresu. Interesujące jest studium Sumcowa o boginkach, oraz Weryhy o śpiących rycerzach, a Matyas zestawia ciekawie różne baśni o śmierci.

Ale na razie poza tym niewiele.

Tymczasem w nauce europejskiej rozwijają się badania w tym właśnie kierunku w bardzo szerokim zakresie. Rozpoczyna się od wspomnianego już dzieła Boltego i Polivki: „Anmerkungen zu den Kinder und Hausmädchen der Brüder Grimm“. Badania te rozszerzają do olbrzymich nieraz rozmiarów uczeni niemieccy, fińscy, angielscy, rosyjscy, czescy itd. Systematyczną klasyfikację bajki obejmują dzieła wielotomowe. Przede wszystkim Aarne-Thompson (The Types of the Folk - Tale), którego numeracja utrzymuje się w naukowych badaniach międzynarodowych, ukazują się wielkie monografie poszczególnych wątków, z odmianami, pośród których niejednokrotnie znajdują się odmiany polskie. Badaniom szczegółowym podlegają wszystkie rodzaje klechd, baśni, bajek, facecji, anegdot, nawet tzw. „kawałów“. Wszystko to odbywa się na olbrzymiej przestrzeni czasu i współczesnego świata. Nauka porównawcza sięga aż do prastarych zaczątków kultury i wdziera się do duszy najbardziej

prymitywnych ludów, żyjących w dalekich, niedostępnych krainach egzotycznych. Dowiadujemy się nieraz o wynikach ostatecznych, które wymagały wysiłku współżycia całymi latami z jakimś prymitywnym plemieniem na zagubionej wśród oceanu wysepce. Pole tedy badań, niejednokrotnie ścierających się ze sobą, jest tak otchłanne, że uczeni muszą ograniczać rozpiętość swej pracy i wycofywać się z zamierzeń zbyt szeroko nakreślonych.

Osiągnięcia są bardzo poważne. Zdradzona została w znacznym stopniu tajemnica powstawania bajki. Odpadło wiele złudzeń zbytecznych i poskromione zostały, chyba ostatecznie, zbędne przesłanki uczuciowego subiektywizmu. Oglądamy nieraz najbardziej szczegółowo rozrastanie się jakiegoś motywu w najrozmaitszych odmianach narodowych, śledzimy jego wędrówkę najdalszą, widzimy nawet jak przenika on od folkloru od literatury a potem odbywa drogę odwrotną. Dzięki temu jesteśmy w stanie utrwalić dokładnie prawdziwe twórcze zdolności ludu, tę jego, tak przez Moszyńskiego określoną, kongenialność. Możemy stwierdzić wreszcie co w prymitywie ludowym jest naprawdę oryginalne, a co wynikiem tylko wpływów niezmiernie różnorodnych. Nauka porównawcza, która niemal z pasją detektywiczną tropi te wpływy, jest raczej skłonna do sądów ujemnych, jak to zwykle bywa z tzw. wpływologią. Literaturze ludowej zbyt często zarzuca się przestępstwo plagiatu, chociaż oskarżenie tego rodzaju nie pojawiłoby się nieraz w normalnych stosunkach z elitą literacką.

Pozwolę sobie na użycie przykładu, który mimowoli nasunął mi się na myśl.

Bolesław Prus napisał kiedyś wyborną humoreskę pt.: „Pan Wesołowski i jego kij“. Doskonale wszyscy pamiętamy ile zabawnych kłopotów przyniosła właścicielowi laska z głową murzynka, która wracała doń uparcie. Pochodzenie groteski Prusa nie zostało zanalizowane przez żadnego badacza, jakkolwiek nie trudno byłoby dowieść, że jest ona niemal identyczną z opowiadaniem arabskim pt.: „Pantofle Abu-Kasima“. Tak jak kij pana Wesołowskiego, tak i stare pantofle wracają do Abu - Kasima, spiętrzając wciąż przed nim nowe trudności życiowe. Słuszne jest, że się tą sprawą nikt nie zajął. Gra nie warta świeczki. Trudno byłoby nawet udowodnić, czy Prus znał arabską powiastkę, czy też pisał pod wpływem jakiegoś rzeczywistego wydarzenia. Możemy sobie jednak łatwo wyobrazić, że gdyby coś podobnego znalazło się w literaturze ludowej, wywo-

łałoby niewątpliwie długie, uczone wywody i stare pantofle Abu-Kasima musiałyby odbyć jeszcze jedną, daleką wędrówkę.

W nauce porównawczej niejednokrotnie podaje się jako fakt obciążający pokrewieństwo bardzo odległe, zamiast odmian bliskich sobie łączy się nieraz motywy odrębne na podstawie jakiegoś przypadkowego pokrewieństwa. Wiedza jest w niektórych wypadkach sędzią zbyt surowym, ale zawdzięczamy jej za to olbrzymiość przeanalizowanego materiału, który, choćby pozornie najodleglejsze ukrywał znaczenie, pełen jest wartości, zwłaszcza przy opracowywaniu poszczególnych wątków.

U nas najwybitniejszym przedstawicielem nauki porównawczej jest Julian Krzyżanowski, niepospolity erudyta, który przy wielu różnorodnych zainteresowaniach ogarnął szczególnym zamiłowaniem bajkę, — bajkę polską. Świetnie zorientowany w postępach badań europejskich, zajmuje się ze szczególnym upodobaniem zagadnieniami z pogranicza folkloru i literatury.

— Dziedzina ta — pisze Krzyżanowski we wstępie do swoich „Paralel” — to rozmaite upośledzone rodzaje i gatunki literackie, a więc kazania i apokryfy, facecje i fraszki, powiastki i gawędy, pieśni świeckie i nabożne, budujące „przykłady” i swawolne anegdoty, a wreszcie bajki ludowe, i to niekoniecznie bajki opracowane przez znanych pisarzy, lub przynajmniej wygładzone przez stylizujących je wydawców, lecz również nieskładne, zapisane dosłownie z ust analfabetów.“

Krzyżanowski skierował znaczną część swojego wysiłku naukowego w dziedzinę polskiej klechdy ludowej. Jest chyba najlepszym, encyklopedycznym jej znawcą. Ukoronowaniem tej działalności jest wielkie dzieło pt.: „Bajka polska w układzie systematycznym“. Zostało ono ukończone podczas wojny i teraz dopiero ukazały się jej części pierwsze. Jest to dokonanie zamierzenia, które niweluje całą przepaść dotychczasowego zaniedbania. Na podstawie olbrzymiego materiału Krzyżanowski uporządkował niemal wszystkie motywy klechdy polskiej wraz z jej odmianami. Utrwalił związki literackie, a całość swojego opracowania zespolił z systematyką międzynarodową. Dokonał tedy tego, o czym marzył Udziela, usunął przeszkody hamujące rozwój badań naukowych i stworzył podstawę do ujęcia całokształtu klechdy polskiej.

Dzięki Bystroniowi, Moszyńskiemu i Krzyżanowskiemu etnografia polska znalazła się od razu na znacznych wyżynach.

Jeszcze przed samą wojną objawił się w tej dziedzinie poważny wysiłek wielu starszych i młodszych uczonych. Przede wszystkim obszerne studia o Twardowskim, rozprawy Ganszyńca, Janowa, Korayniego, Baudouin de Courtenay - Ehrenkreutzowej, wspomnianej już Stelmachowskiej, cenne studium Dworakowskiego „Zwyczajy rodzinne w powiecie wysokomazowieckim“, oraz jako zgromadzenie materiałów książki H. Biegeleisena i wielu innych.

Ten pobieżny przegląd literatury, z którą się zetknąłem, świadczy z jak bogatym ma się do czynienia materiałem. Dość powiedzieć, że Gawełka „Bibliografia ludoznawstwa polskiego“ obejmuje z górą 7.000 pozycji, Bystroń w dalszym uzupełnieniu (1910 — 1929) opracował ich 1700. Dodać jeszcze należy bibliografię Bachmana, która do ostatnich czasów przedwojennych ukazywała się systematycznie w lwowskim „Ludzie“.

W r. 1915 Seweryn Udziela stwierdził, że posiadamy zapisanych około sześć tysięcy różnych opowiadań ludowych. A przecież od tego czasu przybyło jeszcze bardzo wiele: Dość sobie uprzytomnić tysiąc pozycji „Tekstów pomorskich“ Lorentza, oraz zbiory językoznawcze na czele z „Wyborem polskich tekstów gwarowych“ Kazimierza Nitscha.

VII
Te cyfry orientacyjne wystarczają, aby zdać sobie sprawę, jak olbrzymią jest ta obumarła kraina. Wędrując pośród niej mamy do czynienia z materiałem wyłącznie surowym. Nie ogłoszono na tej podstawie ani jednego ogólnopolskiego wyboru choćby tekstów nie-retuszowanych. Jednym wyjątkiem od reguły jest 47 klechd, które J. Piprek przełożył na język niemiecki. Z małymi wyjątkami nie podjęto rzetelnego nasycenia wyobraźni dziecinnej rodzimą baśnią. Młode pokolenie polskie zostało doszczętnie „zagrimmowane“, a w najlepszym razie jako stałe zapotrzebowanie utrzymywały się „Klechdy“ Wójcickiego i „Bajarz polski“ Glińskiego. Z podręczników szkolnych i czytanek bajka polska i folklor są niemal całkowicie wyrugowane. W dziedzinie całego bajkopisarstwa, rozprószanego po wydawnictwach przygodnych, grasują najpodrzedniejsze talenty literackie albo niedbalcy przepuszczający tę robotę przez palce.

Klechda polska przy tym dziecinnieje, spada do poziomu lektury dla najmłodszego wieku, nawet do metod zbierackich dociera

często purytyzm i nakaz omijania tematów drażliwych. *) Zubożamy się dobrowolnie, programowo. Cały olbrzymi materiał zbierany z takim zapalem i wśród tylu trudności nie przedostaje się do świadomości ogółu, nie jest przezeń użytkowany poza jakimś krótkotrwałymi wybuchami entuzjazmu, które np. rozwierają widok na ludową literaturę podhalańską, na nieszczęście mało bogatą i trudną do przyswojenia nawet w literackich opracowaniach.

Jesteśmy tedy podobni do skąpca, który swój majątek zakopał pod ziemią i ani sam zeń nie korzysta ani nikomu doń dotrzeć nie pozwala. W najbardziej bujnym okresie ludoznawstwa polskiego, w epoce Karłowicza to skąpstwo, oparte na mocnych zasadach teoretycznych, obowiązywało przede wszystkim i powstrzymywało prawdopodobnie tych, którzy by może mieli ochotę na udostępnienie klechdy polskiej szerokiemu ogółowi.

Karłowicz kilkakrotnie w sposób stanowczy opinię swoją w tym względzie wyraził.

I tak we wstępie do „Podań i baśni ludu na Mazowszu“ Romana Zmorskiego pisze: „Dziś wszelkie podmalowywanie podania ludowego poczytujemy za grzech śmiertelny; idziemy wszyscy za prawidłem, aby ani z baśni ani z pieśni „słowa nie wyrzucić“, wymagamy zachowania nawet gwary, w której była opowiedziana; domagamy się podania daty, miejsca i nazwiska osoby opowiadającej.“ „Jakżeby zdziwiony był (Zmorski), gdyby mógł czytać dzisiaj na przykład przepyszne bajki Sabalowe, albo tryskające życiem i dowcipem powiastki z Przasnyskiego, ogłoszone przez Stan. Chelchowskiego.“

We wstępie zaś do „Podań i bajek ludowych zebranych na Litwie“ Karłowicz oświadcza: „Podług mnie baśń, podanie, legendę, pieśń ludową, zagadki itd. drukować należy bez żadnych komentarzy uczonych, bez żadnych poprawek, przeróbek, bez tak zwanego obrabiania; badania zaś porównawcze zostawiać należy ludziom fachowym, którzy niczego więcej nie pragną, jak samego tylko powtórzenia klechdy z ust ludu“.

Jasno z tego wynika, że Karłowicz opracowanie literackie uważa nie tylko za niefachowe, ale wręcz niepożądane. Zmorskiemu wy-

*) W tym właśnie czasie ukazała się „Księga przysłów“ Adalberga, który starannie usunął z tego zbioru o charakterze naukowym wszystkie przysłowia nieprzyzwoite. Nic dziwnego, że Boy, rozpoczynając tłumaczenie Rabelais'go Pantagruela i Gargantui rznął szacowną księgą o ziemię, skoro się przekonał, że nie znajdzie tego co mu było najbardziej potrzebne — proverbialna obscura.

bacza winy niewątpliwie tylko dlatego, że baśnie ludowe retuszował mniej od innych i przynajmniej nie fałszował osnowy.

Trudno się dziwić zastrzeżeniom Karłowicza, pozytywisty, skoro miał do czynienia albo z nieudanymi eksperymentami drugorzędnych pisarzy romantycznych, pozbawionych nie tylko smaku ale i bogactwa materiału, albo ze współczesnymi mu grafomanami i grafomankami.

Niemniej jednak trudno się dziś zgodzić z dogmatyzmem Karłowicza. Gdybyśmy mieli przestrzegać głoszonych przez niego zasad klechdy polskie drzemały w dalszym ciągu ukryte w wydawnictwach specjalnych i niedostępne dla przeciętnego czytelnika, od którego trudno chyba wymagać, aby przedzierał się przez gęstwinę niejednolitej wartości tekstów.

Cóż z tego, że Karłowicz poleca lekturę np. opowiadań ludowych Czełchowskiego?

To, co jest interesujące dla uczonego i biegłego dialektologa nie będzie budzić zainteresowania u człowieka z innej dziedziny, a cóż dopiero mówić o przeciętnym czytelniku.

Opowiadania ludowe Czełchowskiego są właśnie najlepszym przykładem, jak bardzo literatura tego rodzaju mogłaby odstręczyć nawet największych wielbicieli literatury ludowej. Będąc tylko częścią wielkiej całości wymagają krytycznego porównania i uzupełnienia. Czełchowski zresztą nie trafił, tak, jak inni zbieracze, na zdolnych narratorów. Trudno u niego znaleźć choćby jedną opowieść całkowicie skończoną, wyposażoną w należyłą pointę. Nieraz natrafiamy na połączenia zupełnie bezsensowne, motywy poplątane bez ładu i składu, to znowu oglądamy jakby torsy zniekształcone i okaleczone, bez rąk i nóg.

Przy metodzie porównawczej te wszystkie rażące braki powoli ustępują. To, czego nie ma u jednego zbieracza, znajdujemy u drugiego. Doskonały np. początek Czełchowskiego, uzupełniony szczegółami Kolberga i innych, znajduje najlepszy epilog w materiale zebrany przez Saloniego. Takie przykłady możnaby wymieniać bez końca. I właśnie znaczna część moich opracowań jest oparta na tego rodzaju metodach porównawczych, zarówno w klechdach poszczególnych, jak i cyklicznym łączeniu większej ilości pokrewnych motywów (np. „Dzwony zatopione“ albo „Topielec“).

Do czego prowadzi lektura materiałów surowych niechże posłuży opinia Świętochowskiego, który we wstępie do drugiego tomu

„Historii chłopów polskich“ pisał: „Po przestudiowaniu dwudziestu kilku tomów zbioru O. Kolberga oraz Gołombiowskiego, Z. Glogiera, L. Malinowskiego. Materiałów wydawanych przez Akademię Umiejętności i in., znalazłem tak mało poezji i opowieści artystycznych nawet według miary niskiego poziomu kultury, że one nie wystarczyły mi do podniesienia wysoko całej tej dziedziny objawów ducha ludowego.“

Świętochowski tak dalece się zniechęcił, że postanowił nie opracowywać „tomu trzeciego, obejmującego twórczość duchową ludu“.

Jest to opinia nie jakiegoś przypadkowego czytelnika, ale pisarza świetnego, wytwornego intelektualisty, a przy tym badacza, który godził się, że w chłopie polskim widzieć trzeba „moralne zdrowie, ogromną siłę i zdolność do odrodzenia Polski“.

Trudno się wtajemniczać, dlaczego Świętochowski tak surowo i tak niesprawiedliwie *) osądził to, co nazywamy folklorem polskim, ale nie ulega wątpliwości, że w znacznej części wpłynęło na to zetknięcie się z materiałem surowym i może niezbyt szczęśliwie dobranym. Wniosek stąd jest prosty. Czegóż lepszego mogliśmy się spodziewać od rzeszy czytelników przeciętnych, gdybyśmy im narzucali zapoznanie się z klechdą polską zupełnie nieopracowaną. Może nie zdobyliby się na osąd zdecydowany, ale po prostu wzruszyliby niechętnie ramionami i po pierwszym rozczarowaniu nie chcieliby czytać dalej.

Zanim przedstawiona zostanie metoda należytego w moim pojęciu opracowania, trzeba zdać sobie jeszcze sprawę z istoty samej klechdy.

*) Świętochowski nie informuje nas ściśle i stara się przekonać o niskim stanie literatury ludowej przy pomocy cytat z Berwińskiego i Feliksa Konecznego. Poglądy Berwińskiego przedstawiłem tak obszernie, że pod tym względem sugestii Świętochowskiego prostować nie potrzebuję. Natomiast Koneczny („Polskie Logos a Ethos“) pisze wprawdzie, że lud polski naśladuje w swoich obyczajach szlachtę, że „żyje po większej części przeżytkami“, ale potem stwierdza:

„... poezja i sztuka mogą opierać się wyraźnie na podkładzie ludowym“. „Utarło się taką właśnie sztukę i poezję uważać za najbardziej narodową. Jest w tym prawdy wiele. Nie ulega bowiem wątpliwości, że co wśród ludu przyjęło się **samorzutnie**, to jest naprawdę polskim. Choćby to bowiem było pierwotnie czymś najbardziej egzotycznym, zanim doszło do ludu, musiało zostać przetrwionym, skoro on przyjął to za swoje. Lud nie przyjmuje niczego w naśladownictwie ślepy, lecz asymilując, przystosowując (czasem przekręcając przez brak zrozumienia rzeczy) do siebie, a w ten sposób polszczy bądź co bądź wszystko, czego się tknie. I oto jest moc twórcza ludu wiejskiego“.

Nie ulega dzisiaj żadnej wątpliwości, że w tej dziedzinie mamy przeważnie do czynienia z motywami wędrownymi, które przeno-
żąc się od jednego narodu do drugiego, od zamierzchłej przeszło-
ści aż do czasów, kiedy prymitywna twórczość ludowa została zni-
welowana, nasycają się w poszczególnych środowiskach wpływami
odrębnymi i wskutek tego zdobywają się na wyraz odmienny. Na
tym właśnie polega stosunek motywu zasadniczego do odmian po-
szczególnych.

Drogi tego krażenia są bardzo różnorodne, nieraz tajemnicze
i zagadkowe, a niektóre fragmenty badań naukowych mają posmak
policyjnego śledztwa. Tropi się jakiś motyw niby przestępcę ucieka-
jącego przed wymiarem sprawiedliwości — z kraju do kraju, z jed-
nego środowiska do drugiego. Metoda naukowa nie da się przy tym
rozwiązywać w poszczególnych wypadkach schematycznie. Nieraz
uczony najbardziej wnikliwy musi wycofać się na pozycję hipoteczn-
ą albo wręcz przyznać, że trafił na trudności nie do przezwycięże-
nia. Ktokolwiek jednak będzie usiłował w tej rozległej dziedzinie
odbyć jakąś wyprawę chaotyczną, bez pomocy nauki, ten będzie raz
po raz ulegał błędnym sugestiom i do błędnych dojdzie wniosków.

Ileż to razy trafiamy na jakąś klechdę, która zdaje się każdym
swoim słowem dawać świadectwo osobliwości narodowej. Wydaje
się nie ulegać wątpliwości, że powstała ona właśnie w tym środo-
wisku, że jest tak rdzennie niemiecka, polska, rosyjska czy też fran-
cuska. Żadne inne środowisko nie wyłoniłoby ze siebie tego właśnie
rodzaju struktury, takiego dowcipu i dosadnego epilogu. Tymcza-
sem już w pierwszym dotknięciu badawczym znajdujemy identycz-
ny motyw, dajmy na to, w jakiejś prastarej baśni wschodniej, która
przez „Gesta Romanorum“ rozeszła się po całym kontynencie euro-
pejskim.

W ogóle, jeśli chodzi o motywy baśniowe, to zrodziły się one
przede wszystkim na Wschodzie. Tutaj zapewne istniała kolebka lu-
dów aryjskich, tutaj po raz pierwszy człowiek starał się wytłuma-
czyć obserwowane przez siebie zjawiska przyrody za pomocą prymi-
tywnych wyobrażeń i wierzeń. Stąd zabrane zostały na daleką wę-
drówkę pierwsze skarby folkloru przedhistorycznego. Na Wschodzie
istnieją najsilniejsze treści tradycyjne, łączące twory wyobraźni lu-
dowej z religią w jedną harmonijną całość, która nie uległa wstrzą-
som i przeobrażeniom w takiej mierze, jak w Europie. Wschód tedy
ze swoim mistycyzmem głębokim i bujną ornamentyką życia jest

klasyczną krainą baśni, której urokom szczególnym kraje europejskie musiały się przeciwstawiać w innych wartościach.

Te motywy ulegały na gruncie naszym osobliwym przekształceniu. Zmieniała się atmosfera, zmniejszało się napięcie głębokiego mistycyzmu, ginął duch rezygnacji, zjawiała się natomiast bujna przedsiębiorczość, chęć zdobywania, zaznaczały się jeszcze bardziej różnice klasowe i dążenie do wydobycia się z nizin upośledzonych. Jednocześnie pewna część motywów przechodziła z własnych wierzeń pogańskich, ustępujących z wolna wpływowi Kościoła chrześcijańskiego, który nie mogąc sobie nieraz poradzić z jakimiś tradycjami dawnymi przekształcał je i wchłaniał. Legendy są niemal wyłączną domeną kultury kościelnej, ale czasami lud i tutaj wyraża swój pogląd krytyczny. Podania natomiast to tradycje historyczne, nieraz bardzo naiwnie przerabiające i zniekształcające prawdę dziejową, przy czym nie brak różnorodnych wpływów obcych. Nieraz jedna wielka postać pożyczca swoich walorów i faktów od drugiej.

Bardzo ważnym działem literatury ludowej jest facecja, fraszka i anegdota, gdzie szczególnie silnie wyrażają się wpływy klas oświeconych, wpływy tzw. „literatury elitarnej“. Granice są tu jednak niezmiernie trudne do ustalenia. Facecjonistyka średniowieczna, literatura sowizdrzalska bardzo często zapożyczały się od ludu i odwrotnie, nie wyłączając kazań kościelnych. Utwory bezimiennej muzy wulgarnej stoją nieraz na tym samym poziomie co np. fraszki najlepszych poetów. Te ostatnie różnią się nieraz tylko staranną formą literacką. W dziedzinie tej panuje wymiana nieustanna, niezmiernie żywa i trudna do ustalenia. Trzeba tu jeszcze dodać, że w ogóle w pewnych okresach granice pojęć pomiędzy ludem a warstwami przodującymi przesuwają się dość znacznie. Nie ma np. wielkiej różnicy pomiędzy poglądami na świat wyłożonymi w słynnych „Nowych Atenach“ przez ks. Benedykta Chmielowskiego a współczesnymi wierzeniami ludowymi; niebawem jednak rozwiera się istna przepaść, kiedy pod wpływem haseł oświecenia wypowiedziana zostaje bezwzględna walka z zabobonem i ciemnotą.

Poza tymi wszystkimi rodzajami motywów ludowych istnieje niewątpliwie twórczość ludowa bezpośrednia, zapłodniona przez wydarzenia rzeczywiste i wypowiadające się samodzielnie. Jest ona najmniej objęta badaniami naukowymi, najbardziej lekceważona, otoczona atmosferą podejrzliwości.

Neutralnie my nie jesteśmy pod tym względem ani lepsi ani gorsi od innych narodów europejskich. Lud polski nie może podoleć za-

daniom, którym by nie podolali inni. Lud polski nie może wypełnić zobowiązań narzuconych mu samowolnie przez różnych fałszywych proroków idei chłopomańskich. Na naszą niekorzyść przemawia jedynie, że nie posiadamy obecnie ludowych poematów epickich i że nie przechowaliśmy mitologii pogańskiej w szerszym zakresie. Niewątpliwie kiedyś posiadaliśmy to wszystko, a szybka utrata nastąpiła wskutek charakterystycznej polskiej wrażliwości na nowe wpływy. Chrześcijaństwo utrwaliło się szybko i wyparło bez wielkiego trudu dawne tradycje pogańskie, które zostawiły po sobie ślady mało wyraźne. Zostaliśmy olśnieni urokiem nowości*). Małe w tym względzie zamilowanie do tradycjonalizmu może być poczytywane w pewnych okolicznościach za wadę, w innych zaś wyraża się jako niewątpliwa zaleta. Byliśmy bardziej od innych naszych sąsiadów wrażliwi na zachodnią kulturę europejską. Przynależymy ją sobie w pełni i uprawialiśmy jej ekspansję w kierunku wschodnim. Podtrzymywaliśmy solidarność z nią nawet wówczas, kiedy Zachód łupił nas, krwawił i prześladował najbardziej wyrafinowanymi metodami.

Wracając do motywów klechdowych można ustalić następujący ich podział:

zasadnicze motywy wędrownie (Wschód, świat antyczny, dalsi i bliscy sąsiedzi);

motywy chrześcijańskie

motywy literackie, oraz wszelkie wpływy elity wyższej**);

motywy samodzielne.

Wszystkie trzy pierwsze rodzaje motywów są przeważnie motywami wędrownymi, wyrażają się w nich jedynie przetwórcze zdolności ludowe i to zarówno w dziedzinie prymitywu, jak i tam, gdzie działają wpływy środowiska kościelnego, literatury i warstw oświeconych. W niektórych wypadkach grupy narodowościowe, żyjące

*) To zagadnienie tak bardzo interesujące nie zostało w nauce polskiej dostatecznie wyświetlone. Stanowisko Brücknera w „Mitologii polskiej“ jest bardzo krańcowe. Podpieranie „Olimpu polskiego“ (według Długosza) przez Matusiaka budzi wiele zastrzeżeń. Pisarzy dawniejszych, w rodzaju Szulca, trudno brać pod uwagę. Do najbardziej interesujących badań tego rodzaju należą studia Karola Potkańskiego.

***) Berwiński wprowadza jeszcze specjalny wpływ wszelkiej państwowości, który mieści się właśnie w pojęciu elity wyższej.

w warunkach większego lub mniejszego wyodrębnienia, poddane wskutek tego w małym stopniu wpływom zewnętrznym, zdobywają się na bardziej oryginalną twórczość, niż inne, którym narzucane jest z zewnątrz wszystkimi drogami niezmiernie bogactwo nowych treści. Wpływy kulturalne niwelują twórczość prymitywną i zmuszają organizm ludowy do parania się z nawałem wrażeń, wiadomości, pojęć, dogmatów religijnych, itd. Wytwarza się konieczność ciężkiej pracy przetwórczej: stapianie nowych treści z dawnymi tradycjami, przyswajanie sobie jednych motywów i odrzucanie drugich, wzbogacanie zaabsorbowanego materiału lokalnymi szczegółami i tworzenie wielu nowych odmian. W klechdach fantastycznych zjawia się również łączenie motywów rozmaitych. W całym tym ciężkim trudzie wypowiada się tak samo, jak gdzie indziej odrębność narodowa i regionalna. Jest to proces niezmiernie skomplikowany, różnorodny, którego wysiłku nie należy lekceważyć. Nie mamy przecież do czynienia z bezdusznymi plagiatami ani mechanicznym przeżuwaniem duchowego pokarmu. Oglądamy raczej działalność żywą, pomysłową i niestrudzoną. Zdarza się nieraz obrót niespodziewany. Jakiś motyw, który przywędrował z daleka, zachowuje się jak ziarno, które trafiło na właściwą glebę. Zyskuje na sile, rozrasta się bujnie, zakwita wreszcie wspaniale i barwnie. Inny znowuż wątek wywołuje wszędzie tam, gdzie się pojawia, jakby osobliwe współzawodnictwo. Oto np. opowiadanie cudne i śmieszne, powszechnie znane, w którym chłop zakłada się z panem, że go okłamie i pan mu to przyznaje. Otóż te kłamstwa, które zmierzają do ustalonego z góry rozwiązania, stanowią pole do popisu dla każdego środowiska. Rywalizacja jest bardzo pomysłowa. Bajka o łgarstwach jest niewyczerpanym źródłem pomysłów zabawnych i groteskowych.

Nie można tego wszystkiego określić ani tak, jak Berwiński, twórczością na poziomie dzieciennym ani, jak F. Konieczny twierdzić, że „ludowe jest po większej części to, co było niegdyś szlacheckim“.

O wiele bardziej trafny jest pogląd Moszyńskiego, który pisze co następuje: „Lud jest — tak twierdzą — przede wszystkim *kongenialnym współtwórcą* warstw wyższych, przy czym twórczość jego . . . z konieczności obraca się przeważnie w zakresie tworzenia, które określibyśmy jako niższe. Jednakowoż tu i ówdzie chłopci niewątpliwie tworzyli — *jak i dziś jeszcze tworzą* — mniej lub więcej nowe, samodzielne pieśni czy powieści. Jeśli były one miernotami (wg skali

wieśniaczego wartościowania) — ginęły; jeśli twórcą ich był sui generis genius, a one arcydziełami (wedle tejże skali) — tedy rozchodziły się szeroko z samej natury rzeczy mieszały się w tym stopniu między dzieła wzięte od warstw wyższych, że ich stamtąd prawdopodobnie nie wyodrębnimy nigdy". „Nieuniknioną konsekwencją wszystkiego... jest fakt nierozdzielności dorobku warstw wyższych i niższych w obrębie literatury ustnej. To też mówiąc o literaturze ludowej, należy bardziej, niż przy innych dziełach kultury, nieustannie pamiętać, że rozumienimy przez nią zespół utworów niekoniecznie powołanych do życia przez lud, lecz tylko przezeń kultywowanych“.

Poglądy Moszynskiego, wielbiciela prymitywu ludowego, odnoszą się przede wszystkim do tych właśnie środowisk, które żyły i jeszcze żyją, zdala od wpływów narodów sąsiednich. Jest to zaleta czysto formalna, wynikająca ze specjalnych warunków geograficznych i inn. Płaci się za nią drogą — upośledzeniem ekonomicznym i niższością kulturalną. Zdaje mi się, że kongenialność twórczości ludowej istnieje do pewnego czasu wszędzie. W Polsce musiała ona zdobyć się na większy, niż gdzie indziej wysiłek, gdyż właśnie nasze położenie geograficzne sprawiło, że napór obcy uderzał na nas wieloma drogami, że na terenie polskim krzyżowały się wpływy niezmiernie różnorodne. Materiału do przetwarzania było bardzo wiele, kultywowanie tradycji było niezwykle skomplikowane.

Zreszta jeśli chodzi o wartość polskiej literatury ludowej, to należy zapytać z czysto praktycznego punktu widzenia, do czegoż właściwie miałyby doprowadzić negatywne wobec niej stanowisko w rodzaju Świętochowskiego czy też Konecznego?

Świętochowski nie napisał trzeciego tomu „Historii chłopów polskich“. Wielka szkoda! Może w ogniu pracy pogłębiły to zagadnienie tak, jak ono zasługuje. Może zasmakowałby w twórczości ludowej i mimo uprzedzeń podniósł ją, jeśli nie wysoko, to przynajmniej trochę wyżej.

Gdybyśmy nawet zgodzili się z argumentami wszystkich gnębieli twórczości ludowej, to czyż byśmy mieli nie zajmować się wcale tą dziedziną, porzucić ją niedbale, jak spłacheć ziemi jałowej, ani jej nie uprawiać, ani obrabiać. Dyskusja prowadzona w tym przedmiocie przez zagorzałych wielbicieli i zaciętych przeciwników jest potrzebna, o ile doprowadzi wreszcie do wyjaśnienia zagadnienia spornego. Ale jedno jest pewne! Niemi się ona skończy; nie mamy potrzeby najmniejszej wyrzekać się tego, co, jak wszędzie, jest częścią naszego dobyt-

ku narodowego. Jakaś wartość, do licha, literatura ludowa posiada*). Jednym wydaje się klejnotem wspaniałym, drugim marną, kolorową ozdóbką, sporządzoną przez lichego rzemieślnika ze zwykłego szkiełka. Ale tak czy owak istnieje! Dlaczegoż nie mielibyśmy jej wydstać z przepaścistych, zakurzonych skrzyń, gdzie spoczywa od dawna zapomniana? Dlaczegoż nie mielibyśmy jej pokazać sobie samym i całemu światu, który się już niejednokrotnie o nią dopytywał?

W pierwszej serii opracowanych przeze mnie „klechd polskich” zamieściłem pewną ilość opowiadań ludowych, które, jak ośmiem twierdzić, są niewątpliwie motywami najzupełniej oryginalnymi, kilka innych zostało przetworzonych w tak doskonały sposób (np. „Dziad i baba“), że byłyby najchlubniejszym świadectwem talentu nawet w oficjalnej literaturze.

Tymi oryginalnymi utworami są między innymi: Kursi wiatr, Hulala, Sabałowa śpiewka, Zahandlowali, Na kruchym łodzi, Czarny kot, Wilk w grochu, Orka urzędowa i Bystrowidz, czyli dwie baśni, jedna legenda, dwie opowieści i cztery facecje.

Nie ulega wątpliwości, że każdy uzdolniony dialektyk, opierając się przytym o znaczną erudycję, mógłby po pewnym wysiłku wykazać rozmaite pokrewieństwa tych utworów ludowych. Wydaje mi się jednak, że tego samego można nieraz jeszcze łatwiej dokonać w literaturze warstw oświeconych. To znowuż nie wyklucza faktu, że twórczość artystyczna zapładnia rzeczywistość. Dlaczegoż miałyby się dziać inaczej w literaturze ludowej? Dlaczegoż jakiś uzdolniony narrator ludowy miałby nie umieć opowiedzieć osobistego przeżycia lub zaobserwowanego zdarzenia w sposób interesujący i wartościowy? Niewątpliwie fakt tego rodzaju został utrwalony w opowiadaniu pt.: „Sabałowa śpiewka“. Żaden największy nieprzyjaciel literatury ludowej nie może mu odmówić ani wysokich walorów artystycznych, ani pełnej oryginalności, ani autentyczności gwarantowanej godnym zaufania nazwiskiem J. Zborowskiego. Baśń „Kursi i wiatr“ jest tajemniczym unikatem, którego ani pochodzenia, ani pokrewieństwa nikt dotychczas nie umiał wyjaśnić. Facecja „Zahandlowali“, która mogłaby być perłą „Dekameronu“, powstała z wszelką pewnością wskutek bardzo zabawnego wydarzenia. Trudno sobie rów-

*) Trzeba tu jeszcze raz przypomnieć bystrość Berwińskiego, który wświatliwszy należyście pochodzenie twórczości ludowej, bynajmniej nie odma-wiał jej prawa bytu ani też nie wypowiadał się przeciwko potrzebie jej kulturywowania.

niez wyobrazić, aby „Wilk w grochu“ powstał pod wpływem bezpośrednim czy też pośrednim „Przygód imci Pana Tartarina z Tarasconu“. Po prostu opowiedziane zostało zdarzenie autentyczne. „Orka urzędowa“ to dowcip kaszubski tak wyborny i tak lokalny, że byłoby trudem niepotrzebnym męczyć się nad jego pochodzeniem i pokrewieństwami. To samo można powiedzieć zarówno o pozostałych, jak i o wielu innych utworach, opracowanych przeze mnie. Nie chcę jednak mnożyć przykładów. Uważny czytelnik zorientuje się doskonale sam, posługując się odnośnymi przypisami. Mnie pozostało jeszcze jedno, a mianowicie odpowiedź na pytanie, w jaki sposób klechdy powinny być opracowane?

Jest to sprawa nieco złożona.

Klechdy były u nas bardzo często dziedziną, w której operowali albo pisarze pośledniego rodzaju, albo nawet pióra zdecydowanie grafomańskie. Zaczęło się to już w epoce romantycznej, ciągnęło i ciągnie się dalej. Po prostu niektórym literatom, którzy w inny sposób nie zdołali zaspokoić swoich ambicji, bajka ludowa wydawała się łatwym łupem. Bo cóż to właściwie takiego wielkiego? Treść istnieje, akcja zaznaczona, osoby działające na posterunku, efekty fantastyczne w zaczątku, więc trochę to wszystko rozrobić, dodać niezawodnej porcji sentymentalizmu, przypstrzyć zgrabnymi frazesami, całość gotowa i jazda do druku. W ten sposób raz po raz pojawiały się te ludowe bohomyzy. Mało kto zdawał sobie sprawę, że kłiwość, za pomocą której zastępuje się szlachetne wartości emocjonalne, ta nieodłączona cecha małych talentów, nie ma nic wspólnego ani z artystem na wysokim poziomie, ani tym bardziej z twórczością ludową. Była ona tedy zniekształcana systematycznie i programowo, co działało odpychająco czasami nawet na najszerszy ogół czytelników.

Brakowało nam również opracowań rzetelnych, opartych na znajomości bogatego materiału, brakowało wysiłków nacechowanych skromnością i delikatnością w ujęciu tych tematów, którym należy się przynajmniej... ostrożne uszanowanie.

Nie chcę wymieniać nazwisk tych literackich grassantów, którzy znęcali się nad utworami ludowymi. Nie widzę potrzeby dokładniejszej analizy tych niewczesnych usiłowań. Wolę zamiast tego przytoczyć przykłady opracowań doskonałych, bo i takich u nas nie brakowało.

Przed wszystkim po raz wtóry Henryk Sienkiewicz, o którego świetnym odtworzeniu baśni ludowej i szczęśliwym pokonaniu trudności gwarowych, już raz wspominałem. Ale Henryk Sienkiewicz jest

jeszcze autorem mniej znanej klechdy pt.: „Jako się pan Lubomirski nawrócił i kościół w Tarnawie zbudował“, którą po specjalnym bibliofilskim wydaniu wydrukowano dopiero w jego „Pismach zapomnianych i niewydanych“. Autor „Trylogii“ oparł się w tym wypadku bezwątpienia na tekście Kazimierza Kaczmarczyka (Podania ludowe w Wiśniczu i okolicy. — Kraków 1904. — Mae VII).

Jest to przykład szczególnie wymowny.

Trzeba by długo szukać w całej literaturze europejskiej, aby znaleźć tak doskonale, tak kongenialne przetworzenie skromnego utworu ludowego. Doznaje się przy tym wrażenia, że ta świetna klechda spłynęła bez żadnego wysiłku z pióra wielkiego prozaika, że był to najzupełniej swobodny upust intuicji artystycznej — taka tu jest potoczność, zwartość i bezpośredniość. Czy można lepiej utrafić w charakter stylu ludowego tak zabawnym pomieszaniem czasu i historii? A przy tym humor nieporównany, groteskowość fantastyczna i pointa moralna przeprowadzona konsekwentnie od początku do końca.

Jest to przykład nie do zastąpienia. W „Sabałowej bajce“ Sienkiewicz rzucił tylko wyborny skrót opowieści, tutaj zaś olśniewa nas całym swoim mistrzostwem, pokazuje w jaki sposób talent wielki może rozwinąć i *podnieść najwyżej* motyw zupełnie surowy i niemal lakoniczny.

Artur Górski, pisarz doskonały, w swoich „Klehdach“ musnął tylko folklor polski. Przetwarzając niektóre motywy rzucił je na tło rodzime, dokonując tego z doskonałym znawstwem wybranej epoki i wybitną kulturą literacką. Ludoznawstwo polskie było dlań przeważnie księgą zamkniętą, skoro wybierał odmiany obce, choć nieraz ten sam temat mógł bez wielkiego trudu znaleźć w naszych materiałach etnograficznych. Odnosi się to np. do klehd: „Magda Kruk“, „Prząśniczka“, itd. W jednym tylko wypadku Górski oparł się na motywie, zapisanym przez bardzo zresztą mierną zbieraczkę Piątkowską (Wisła III, 761) i oto niespodziewanie powstała znakomita i głęboka klechda pt.: „Głaz“. Opracowanie Górskiego przeprowadzone jest z dużą swobodą literacką. Nie stara się on bynajmniej o zachowanie w najmniejszym nawet stopniu właściwości opowiadania ludowego. Rzadko wtrąca jakieś słowo gwarowe. Ale jego talent pisarski i kultura wytwarzają atmosferę harmonii zupełnej. Nic tu nie razi. Literatura ludowa została uszlachetniona i najmniejszego nie doznała szwanku. Atmosferę grozy wydobyto środkami szlachetny-

mi i prostymi. Tajemniczość wydarzenia niesamowitego zestawiona ze sceptyzmem grabarza wywołuje efekt dalekosiężny.

Ten przykład jest jeszcze jednym dowodem, że folklor obcuje zawsze w dobrej harmonii z pisarzami najlepszymi.

Więcej tematów polskich Górski nie szukał, w następnych opracowaniach podążył dalekimi szlakami na wschód i na północ. Autor „Monsalwatu“ kocha się przecież w motywach mistycznych i spżowym podźwżęku sag.

Skoro weźmiemy pod uwagę tylko te dwie próby Sienkiewicza i Górskiego, dokonane jakby mimochodem, poza właściwą twórczością obu pisarzy, okazuje się jak niezwykle horyzonty rozwierają się przed klechdą polską albo torturowaną przez poślednich pisarzy, albo drzemającą w ukryciu.

Opracowań doskonałych, które by przetwarzały mniej lub więcej ściśle ustalone teksty ludowe, jest u nas niezmiernie mało. Wielu wybitnych pisarzy wchłania wpawdzie motywy folklorystyczne, ale przetwarza je dowolnie — z doskonałym, lepszym lub gorszym wynikiem. Analiza tego rodzaju poczynań byłaby bardzo wskazana, ale wymagałaby badań bardzo trudnych i należących do innego zakresu, niż zagadnienia tutaj poruszone. Natomiast dla bardziej wszechstronnego naświetenia sprawy pragnę przytoczyć jeden przykład tekstu ludowego opracowanego jak najgorzej i to przez pisarza skąd inąd doskonałego.

Mam na myśli Adolfa Dygasińskiego i bajkę: „Wdzięczność i sprawiedliwość“.

Ten sam temat pomieściłem w pierwszej serii „Klechd polskich“ pt.: „Tak świat płaci“.

W moim opracowaniu wyzyskałem osiem odmian, z których najcenniejsza jest odmiana poddukłańska. Konstrukcja całego motywu nie przedstawia żadnych wątpliwości. Twardy, filozoficzny pogład na świat i jego prawa zaznaczony jest wraz z powtarzającą się kilkakrotnie pointą bardzo wyraźnie. Opracowanie tedy nie nastęrczało żadnych trudności.

Trudno mi ustalić jaką odmianę znał Dygasiński. Sądząc z rezultatu chyba najgorszą, ułamkową. Uwidacznia się to bardzo jaskrawo zarówno w szczegółach, jak i przebiegu, oraz zakończeniu akcji. Dygasiński pomnożył ilość zwierząt jako sędziów, wprowadził zupełnie niepotrzebnie epizodyczną jaskółkę, a zamiast efekt końcowy zachować dla lisa, umieścił go po środku. Rozwiązanie pozostawił zajęcowi, wskutek czego klasyczna niemal pointa odpadła, zastą-

piona ckliwą sentencją moralną. Poza tym cały tok opowiadania został rozwodniony, opatrzony niepotrzebnym wstępem, a całość pozbawiona jest budowy logicznej.

Bardzo obce polskiemu światopoglądowi ludowemu są również bajki i klechdy, które znajdujemy w „Chłopach“ Reymonta, tej „epopei narodowej“, uczczonej przez wszystkich niemal naszych historyków literatury mianem arcydzieła. Zwłaszcza legenda przez Reymonta stworzona o Panu Jezusie i Burku razić musi każdego jako tako obznajmionego z twórczością ludową. Czyż jest do pomyślenia, aby diabeł polski, którego przeraża jedna kropla wody święconej, który zbliżyć się nie może do figury świętej, mógł sprzeciwiać się Panu Jezusowi, a nawet go straszyć. Tak sobie czart pozwolić może ze zwyczajnym człowiekiem, z jakimś pijakiem zabląkanym pośród nocy ciemnej, ale nie z Bogiem.

Dziwna rzecz, iż takie potknięcia wydarzyły się właśnie pisarzowi, który zdaje się być wierzącym katolikiem i pochodzi z ludu.

Jeżeli pisarzy tej miary, co Dygasiński i Reymont, tak bardzo niezgodni byli z twórczością ludową, to łatwo sobie wyobrazić, co się dzieje z naszym folklorem eksploatowanym przez talenty pomniejszych, albo przez pracowite pióra różnych grafomanek i grafomanów.

* * *

Przy opracowaniu „Klechd polskich“ starałem się wykorzystać jak najwięcej materiału w szerokim zakresie, nie udało mi się jednak osiągnąć tych zamiarów w zupełności. Pragnąłem skończyć w czasie wojny przynajmniej pierwszą serię i wskutek tego nie mogłem dotrzeć do niektórych bibliotek i zbiorów rękopiśmiennych. Nie przejrzałem wielu czasopism regionalnych, miałem do dyspozycji bardzo małą ilość kalendarzy, nie znam dokładnie działalności etnograficznej Lompy, nie miałem w ręku zbioru bajek Kraszewskiego, który istnieje, nie został jednak wymieniony w „Bibliografii ludoznawstwa polskiego“ Gawelka, nie przestudiowałem tak, jakby należało, wspomnianych dzieł Boltego-Polivki, oraz Aarnego-Tompsona nie uwzględniłem tekstów słowińskich Lorentza, itd., itd. Mam nadzieję, że te zaniedbania będę mógł przynajmniej częściowo odrobić podczas pracy nad drugą serią „Klechd polskich“ w warunkach bardziej sprzyjających.

Bibliografia materiału przeze mnie wyzyskanego zajęłaby jednak wiele miejsca. Usiłowałem w miarę możliwości rozwiązywać ogólne

Borch
IV

i poszczególne zagadnienia klechdy w jak najszerszym zakresie. Wydawało mi się, że nie wystarczy zadowolić się tylko nagromadzeniem samych wątków i odmian. Klechda jest zjawiskiem mocno rozgałęzionym. Niektóre jej fragmenty znajdujemy w demonologii ludowej, w wierzeniach, magii, wróżbiarstwie itd., a także w pieśniach, obrzędach, całej kulturze społecznej, zwyczajach prawnych, itd. Nie ma właściwie takiego działu w folklorze i etnografii który by był obojętny dla motywów klechdowych, wszędzie niemal znajduje się jakiś punkt oparcia, wszędzie istnieje możliwość pogłębienia i wzbogacenia jakimś szczegółem. Niektóre motywy wymagały po prostu studiów specjalnych. Nieraz trzeba było nawiązywać wątek z tradycjami dawnymi, albo przynajmniej uświadomić sobie rezultat negatywny. Poza licznymi dalekimi i bardzo różnorodnymi wyprawami opierałem się przeważnie na pewnym ustalonym zbiorze materiałów, który trzeba było wertować nieustannie. Ten żelazny kapitał obejmował następujących 137 tomów:

- 1) 18 t. Zbioru wiadomości do antropologii krajowej.
- 2) 31 t. Kolberga Oskara „Lud“.
- 3) 20 t. „Wisły“ miesięcznika etnograficznego.
- 4) 35 t. „Ludu“ „ „
- 5) 14 t. Materiałów antropologiczno-archeologicznych i etnograficznych.
- 6) 1 t. Cenowy Skarbu kaszebskosłowjnskie mowe.
- 7) 6 t. „Gryfa“, czasopisma dla spraw kaszubskich.
- 8) 1 t. „Mazowska częrskiego“ Kozłowskiego.
- 9) 1 t. „Krakowiaków“ Ciszewskiego.
- 10) 1 t. „Ludu nadrabskiego“ Świętka.
- 11) 1 t. Archiv für slawische Philologie (t. V).
- 12) 1 t. „Kaszubów i Kociewi“ Nadmorskiego.
- 13) 2 t. Chełchowskiego „Opowiadań ludowych z okolic Przasnysza.
- 14) 1 t. Lorentza „Tekstów pomorskich“.
- 15) 1 t. Nitscha „Tekstów gwarowych“.
- 16) 3 t. Moszyńskiego „Kultury ludowej Słowian“.

Dzięki uprzejmości autora, w znacznej mierze korzystałem z rękopisu „Bajki polskiej w układzie systematycznym“, co oszczędziło mi wiele trudu i pozwoliło wynagrodzić wiele braków. Oprócz tego posługiwałem się stale opracowaniami bibliograficznymi Gawelka, J. St. Bystronia, Bachmana i częściowo Kołodziejczyka. Bardzo cze-

sto zaglądałem również do „Księgi przysłów“ Adalberga, „Słownika gwar polskich“ Karłowicza i „Słownika etymologicznego“ Brücknera.

3. Niniejsze opracowanie „Klehd polskich“ jest opracowaniem pełnym, przeznaczonym dla czytelniczek i czytelników dorosłych, w znacznej części natomiast nie nadającym się dla młodzieży. Staralem się od samego początku aż do końca o wydobycie klehd polskich z długoletniego okresu zdziczenia, który ogarnął je od chwili pojawienia się zbioru Grimmów. Wydawało mi się, że dopiero po odzyskaniu dojrzałości klehdy polskie mogą stać się lekturą ciekawą, skoro twórczość ludowa wypowie się w nich swobodnie, bez żadnych ograniczeń cenzury, którą narzucamy sobie nieraz dobrowolnie. Nie sądzę, aby celowe było bardziej szczegółowe zastanawianie się nad tą sprawą. Mam nadzieję, że uważny czytelnik zrozumie moje prawdziwe intencje podczas bliższego obcowania z samymi klehdami.

4. Drugim ważnym zadaniem, które sobie wytknąłem i któremu obym podświadomie ulegał, było wydobycie w jak największym stopniu rodzimej oryginalności. Szukałem jej zarówno w motywach odrębnych, wysnutych nieraz z osobistych przeżyć osoby opowiadającej, jak i w odmianach przesyconych pasją przetwórczą, a wreszcie w szczegółach barwnych, zwrotach gwarowych, pieśniach i wyrażeniach przysłowiowych. 5. Kiedy się ku temu nadarzyła sposobność, a zwłaszcza, kiedy w toku opowiadania rozwierały się luki, wprowadzałem nieraz całe ustępy zaczerpnięte z demonologii i wierzeń polskich. 6. Po raz pierwszy opracowałem trzy cykle klehd mitologicznych („Dzwony zatopione“, „Skarbnik“ i „Topielec“), obiecując sobie znaczne rozszerzenie tej dziedziny w serii drugiej. Nie ograniczyłem się zresztą do samych tylko klehd fantastycznych. Ponieważ wydaje mi się, że lud polski, tak, jak my wszyscy, lubi się pośmiać i żartować, że istnieje specyficznie polskie poczucie humoru, nie skąpiłem materiału facecjonistycznego, tak blisko spokrewnionego z dawną literaturą sowizdrzalską i fraszka poetycką takich mistrzów, jak Rej, Kochanowski i Potocki.

Staralem się, aby pierwsza seria „Klehd polskich“ przedstawiała jak najwszechstronniej polską prozę ludową. Unikałem nieraz tematów powszechnie znanych, nie starając się bynajmniej o wyczerpanie tych wszystkich motywów, które wedle opinii niektórych, uważane są za konieczne dla całości polskiej klehdy. Nie opracowałem np. „Pana Twardowskiego“, gdyż wymaga on studiów bardzo spe-

cyjnych, a co najważniejsza, twórczość ludowa odnośnie do postaci polskiego czarnoksiężnika przedstawia się bardzo ubogo. Nie zdołałem również uporać się z postacią diabła Boruty — postacią właściwie bardzo zagadkową i niejednorodną, którą należałoby wyświetlić przez rozpatrzenie materiałów dziś nieosiągalnych.

Usiłowałem ściśle ograniczyć się do folkloru polskiego, unikałem odmian i terenów obcych, za wyjątkiem takich okolic, gdzie znajdują się wyspy narodowościowe polskie. Nie uwzględniłem np. tekstów zebranych przez Karłowicza w okolicach Lidy. W każdym razie byłem o wiele bardziej powściągliwy od takiego Zaunerta który w swoich „Deutsche Maerchen seit Grimm“ zagarnął bezceremonialnie bardzo wiele tekstów kaszubskich.

W całym moim opracowaniu posługiwałem się stale metodą porównawczą, usiłując odtworzyć dany motyw jak najbardziej wszechstronnie na podstawie licznych odmian z najrozmaitszych okolic Polski. Naturalnie nie starałem się o całkowite wyczerpanie materiału, gdyż przyniosłoby to nikły rezultat i przeciągnęłoby całą pracę w nieskończoność. W niektórych wypadkach miałem do czynienia ze stanowczą przewagą poszczególnego regionu. W ten sposób powstały klechdy podhalańskie, kaszubskie, krakowskie itd.

Po większej części jednak mamy tu do czynienia z motywami ogólnopolskimi. Każdy region dorzuca do tematu zasadniczego jakiś szczegół ciekawy, jakieś nowe ujęcie albo też dostarcza wątku podstawowego. Z takiego materiału należało tworzyć całość jak najbogatszą i jak najsilniejszą w wyrazie. Odbywało się to bardzo różnorodnie — z większą lub mniejszą swobodą. Zawsze jednak przestrzegałem bardzo usilnie linii konstrukcyjnej w jej właściwym rozwoju. Wydaje mi się, że jest to najważniejsza zasada przy opracowywaniu materiałów etnograficznych. Wprowadzanie jakichkolwiek dowolności w przejawiającej się kompozycji klechdy jest największym przestępstwem. Trzeba jeszcze zaznaczyć, że nigdy nie miałem kłopotu z pointą, która istniała zawsze, choćby w jednej tylko odmianie.

Jeszcze raz powtarzam, że praca nad klechdą polską, dokonana przeważnie w czasach wojennych, była dla mnie największą przyjemnością.

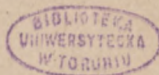
Milanówek — Czarniecka Góra 1941/43.

SPIS RZECZY

	Str.
Wstęp	7
935 Żołnierza pan	11
Kur i wiatr	24 - 283
Diabeł na służbie	25 - 651
Hulala	35
4060 Topielec	36
1319 Kobyle jajo	48
Wilk i jego śniadanie	51 476
Czerwony kijaszek	56
Miasto z różowego marmuru	58 - 900
Głaz czartowski	71
Sabałowa śpiewka	74
796 Anioł i ksiądz	77
Mądry chłop i gadatliwa baba	81
6500 Skarbnik	85
Zahandlowali	93
Niemiec kamieński	97
Trzy osły	99
1396 Zła baba	99
Królewna - strach	100 - 307
825 1660 Żmija, komar i jaskółka	107
Chłopska suplikacja	110
4560 Madejowe łoże	113
Astrolog i doktor na Kaszubach	122
Korona króla węzów	124 - 560

	Str.
310 Trzy rady	137
Rak	140
802 Biedny i bogaty brat	141
Trzej silacze	143 - 301
Na kruchym lodzie	155
15250 Karczmareczka tłusta	157
Tak świat płaci	160 - 155
Diabli - tanecznicy	164 - 480 C
750 F Juhas bogobojny	169
1368 Kara na wilka	174
Czarny kot	176
Biedny i bogaty brat	178 - 613
Dlaczego zając nie je mięsa?	184 - 107
Diabelska gra	187 - 361
Wilk w grochu	192
Ostatni figiel Boruty	194
902 Leniwa dziewczyna	198
Czterech mistrzów	202 - 653
Lis szyje wilkowi buty	207 - 102
790 Złote strzemię	209
Nieszczęśliwa miłość	216
Bij żyda!	217
Mocny brat i zła siostra	218 - 530
Cudowny kogut	234 - 715
302 Pycina	238
3115 Samotka - zawitka	243
Koza rogata	245
1408 Babska robota	249
Dzwony zatopione	251
Pies stary i wilk	260 - 101
Proście a będzie wam dane	264 - 331
Dziad i baba	268 - 555
O panu, co wszystko stracił	273
Mróz, słońce i wiatr	275 - 276
567 Pająk i mucha	277
15878 Orka urzędowa	280
Tanecznicze	281
Bystrowidz	288
209 Matka św. Piotra	291

	Str.
1572A Diabelskie zaloty	294 - 499
767 ↓ Cygan	301
Siedem grzechów	302
Bocian	<u>308</u>
Kożuch i wata	310
Uczeń czarnoksiężnika	311
Rozterka między miesiącami	317 - 480 0
U Pana Jezusa w gościnie	<u>319</u> - 470
Przypisy	327
W obumarłej krainie (Postowie)	389



U. 10708

T	1 - 299	bajki wiersze
	300 - 778	basnie magiczne
	750 - 849	legendy
	850 - 999	nowele
	1000 - 2440	kawady i anegdoty
	2441 - 2999	bajki antylogiczne
	3000 - 8256	opowiesci mroczne i podania

